



STEPHEN

King

M Roczna P Ołowa

STEPHEN
king

MRO CZNA POŁOWA

Z angielskiego przełożył
MAREK FEDYSZAK



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE DARK HALF

Copyright © Stephen King 1989
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz
2012

Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2012

Redakcja: Anna Magierska
Ilustracja na okładce: Andrey Yurlov/Shutterstock
Zdjęcie autora: Dick Dickinson
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-481-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

OD AUTORA

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA NADZIENIE Z GŁUPCA

ROZDZIAŁ PIERWSZY LUDZIE BĘDĄ GADAĆ

ROZDZIAŁ DRUGI KONIEC Z PROWADZENIEM DOMU

ROZDZIAŁ TRZECI CMENTARNY BLUES

ROZDZIAŁ CZWARTY ŚMIERĆ W MAŁYM MIEŚCIE

ROZDZIAŁ PIĄTY 96529Q

ROZDZIAŁ SZÓSTY ŚMIERĆ W WIELKIM MIEŚCIE

ROZDZIAŁ SIÓDMY SPRAWA POLICJI

ROZDZIAŁ ÓSMY PANGBORN SKŁADA WIZYTĘ

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY INWAZJA MENDOIDÓW

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY PÓŹNĄ NOCĄ

ROZDZIAŁ JEDENASTY ENDSVILLE

ROZDZIAŁ DWUNASTY SIOSTRA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY AUTENTYCZNA PANIKA

ROZDZIAŁ CZTERNASTY NADZIENIE Z GŁUPCA

CZĘŚĆ DRUGA STARK BIERZE SPRAWY W SWOJE RĘCE

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY NIEDOWIERZANIE STARKA

ROZDZIAŁ SZESNASTY POWOŁANIE GEORGE'A STARKA

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY UPADEK WENDY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY PISANIE MACHINALNE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY STARK DOKONUJE ZAKUPU

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PO TERMINIE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY STARK BIERZE SPRAWY W
SWOJE RĘCE

CZĘŚĆ TRZECIA PRZYBYCIE PRZEWODNIKÓW DUSZ

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI UCIECZKA THADA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI DWA TELEFONY DO SZERYFA
PANGBORNA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY PRZYLOT WRÓBLI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY MASZYNA ZE STALI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY WRÓBLE FRUWAJĄ

EPILOG

POSŁOWIE

Przypisy

*Książkę tę dedykuję Shirley Sonderegger,
która pomaga mi pilnować moich spraw,
oraz jej mężowi Peterowi*

OD AUTORA

Jestem wdzięczny świętej pamięci Richardowi Bachmanowi za inspirację i pomoc. Bez niego ta powieść nie mogłaby powstać.

S.K.

PROLOG

– Chłaśnij go – rzekł Machine. – Zrób to, póki tu stoję i patrzę. Chcę widzieć, jak płynie krew. Nie każ mi powtarzać.

George Stark, Sposób Machine'a

Życie ludzi – życie prawdziwe w odróżnieniu od zwykłej fizycznej egzystencji – zaczyna się w różnych momentach. Prawdziwe życie Thada Beaumonta, chłopaka, który urodził się i wychował w okolicach Ridgeway w Bergenfield w stanie New Jersey, zaczęło się w 1960 roku. Wtedy przydarzyły mu się dwie rzeczy. Pierwsza nadała kształt jego życiu, druga omal go nie zakończyła. Thad Beaumont był wówczas jedenastolatkiem.

W styczniu zgłosił nowelę na konkurs pisarski wspierany przez „American Teen”. W czerwcu dostał od redaktorów magazynu list z informacją, że zdobył wyróżnienie w kategorii Beletrystyka. W dalszej części listu stwierdzono, że jurorzy przyznaliby mu drugą nagrodę, gdyby z jego zgłoszenia nie wynikało, iż do wieku, w którym zostanie prawdziwym „amerykańskim nastolatkiem”, brakuje mu jeszcze dwóch lat. Redaktorzy napisali, że mimo to jego nowela zatytułowana *Za progiem domu Marty’ego* jest dziełem niezwykle dojrzałym i należą mu się gratulacje.

Dwa tygodnie później z redakcji „American Teen” przyszedł dyplom uznania. Listem poleconym wartościowym. Widniało na nim jego nazwisko zapisane literami zdobionymi w tak wymyślne staroangielskie esy-floresy, że z trudem je odczytał, oraz złota pieczęć u dołu z wytłoczonym logo czasopisma – sylwetkami ostrzyżonego na jeża chłopaka i dziewczyny z końskim ogonem tańczących jitterbuga.

Matka wzięła w ramiona Thada, cichego, poważnego chłopca, któremu wszystko leciało z rąk i który często potykał się o własne

stopy, i obsypała go pocałunkami.

Na ojcu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Skoro to było tak cholernie dobre, czemu nie dali mu forsy? – mruknął ze swojego głębokiego fotela.

– Glen...

– Nieważne. Może gdy już skończysz go obściskiwać, nasz Ernest Hemingway przyniesie mi piwo.

Matka Thada nie powiedziała nic więcej, ale kazała oprawić pierwszy list oraz dyplom, który przyszedł po nim, płacąc za to z pieniędzy na drobne wydatki, i powiesiła je w jego pokoju nad łóżkiem. Gdy przychodzili do nich krewni lub inni goście, prowadziła ich tam, żeby sobie obejrzeni. Mówiła im, że pewnego dnia Thad zostanie wielkim pisarzem. Zawsze czuła, że wielkość jest mu przeznaczona, i oto pojawił się pierwszy dowód. Thad był tym zażenowany, lecz za bardzo kochał matkę, by to powiedzieć.

Zażenowany czy nie, Thad uznał, że jego matka ma przynajmniej po części rację. Nie wiedział, czy ma zadatki na wielkiego pisarza, ale w każdym razie pisarzem zamierzał zostać. Czemu nie? Był w tym dobry, a co ważniejsze, gdy dobierał właściwe słowa, czuł wielką frajdę. A przecież nie mogli pozbawiać go nagród pieniężnych ze względów formalnych w nieskończoność. Kiedyś przestanie mieć jedenaście lat.

Druga ważna rzecz przydarzyła mu się w sierpniu 1960 roku. Wtedy właśnie zaczął mieć bóle głowy. Z początku nie były silne, ale gdy we wrześniu szkoła znowu otworzyła podwoje, łagodne utajone bóle w skroniach i przy czole przerodziły się w potworne, długie i wyczerpujące katusze. Gdy go chwytaly, mógł tylko leżeć w przyciemnionym pokoju i czekać na śmierć. Pod koniec września

miał nadzieję, że umrze. A w połowie października ból wzmógł się do tego stopnia, że Thad zaczął się bać, iż do tego nie dojdzie.

Nadejście tych okropnych bólów zwykle sygnalizował urojony dźwięk słyszalny tylko dla niego, przypominający odległy pisk tysięcy małych ptaków. Czasem wydawało mu się, że widzi te ptaki – myślał, że to wróble – jak dziesiątkami obsiadają druty telefoniczne i dachy domów, tak jak czyniły wiosną i jesienią.

Matka zaprowadziła go do doktora Sewarda.

Doktor Seward zbadał mu dno oczu za pomocą oftalmoskopu i pokręcił głową. Potem, zaciągając zasłony i wyłączając górne światło, kazał Thadowi popatrzeć na białą ścianę w gabinecie. Szybko zapalając i gasząc na przemian latarkę, rzucał na nią jaskrawy krąg światła.

– Czy to sprawia, że dziwnie się czujesz, chłopcze?

Thad pokręcił głową.

– Nie kręci ci się w głowie? Jakbyś miał zaraz zemdleć?

Thad znowu zaprzeczył ruchem głowy.

– Czujesz coś? Na przykład woń zgniłych owoców lub płonących szmat?

– Nie.

– A twoje ptaki? Słyszałeś je, gdy patrzyłeś na błyski światła?

– Nie – odparł Thad zdziwiony.

– To nerwy – rzekł później ojciec Thada, gdy chłopak został odesłany do poczekalni. – Ten cholerny dzieciak jest kłębkim nerwów.

– Myślę, że to migrena – wyjaśnił doktor Seward. – Niezwykła u tak młodej osoby, ale spotykana. A on wydaje się bardzo... uczuciowy.

– Bo taki jest – odparła Shayla Beaumont nie bez aprobaty.

– Cóż, kiedyś może znajdzie się jakieś lekarstwo. Na razie, niestety, będzie musiał po prostu jakoś to przeczierać.

– Taak, a my razem z nim – zauważył Glen Beaumont.

Nie były to jednak nerwy ani migrena, nie były to również jedyne dolegliwości.

Cztery dni przed Halloween Shayla Beaumont usłyszała wrzask jednego z chłopaków, z którymi Thad codziennie czekał na szkolny autobus. Wyrzała przez okno w kuchni i zobaczyła swojego syna skracającego się w konwulsjach na podjeździe. Pojemnik z drugim śniadaniem leżał obok, zapakowane do niego owoce i kanapki wysypały się na gorącą nawierzchnię podjazdu. Wybiegła przed dom, przepłoszyła pozostałe dzieci, po czym stała bezradnie nad Thadem, bojąc się go dotknąć.

Gdyby duży żółty autobus z panem Reedem za kierownicą podjechał tam trochę później, Thad mógłby umrzeć u stóp podjazdu. Ale pan Reed był w Korei sanitariuszem. Zdołał odchylić głowę chłopca i udrożyć mu drogi oddechowe, nim Thad zadławił się na śmierć własnym językiem. Karetka zabrała go do szpitala okręgowego w Bergenfield i gdy chłopca wieziono na wózku, doktor Hugh Pritchard akurat przez przypadek znajdował się w izbie przyjęć. Popijał kawę i wymieniał się golfowymi kłamstwami z jakimś przyjacielem. Hugh Pritchard przypadkiem był też najlepszym neurologiem w stanie New Jersey.

Lekarz zaordynował prześwietlenie i obejrzał zdjęcie. Pokazał je potem Beaumontom, prosząc, by przyjrzeni się ze szczególną uwagą niewyraźnemu cieniowi, który zakreślił żółtą kredką świecową.

– To – rzekł. – Co to takiego?

– Skąd, u licha, mamy wiedzieć? – odparł Glen Beaumont. – To pan

jest lekarzem.

– Zgadza się – stwierdził oschle Pritchard.

– Żona mówiła, że rzucał się jak wściekły – dodał Glen.

– Jeżeli sądzą, że miał atak, to owszem, miał – rzekł doktor Pritchard. – Jeżeli myślicie, że był to atak epilepsji, to jestem prawie pewien, że nie. Tak poważny atak z pewnością byłby silnym napadem padaczkowym, a Thad nie wykazał żadnej reakcji w teście świetlnym Littona. Tak naprawdę, gdyby cierpiał na silną epilepsję, nie potrzebowaliby państwo lekarza, żeby to stwierdzić. Ilekroć na ekranie waszego telewizora pojawiałyby się pasy, Thad rzucałby się na dywan w salonie.

– W takim razie co mu dolega? – zapytała nieśmiało Shayla.

Pritchard odwrócił się ku kliszy umieszczonej na podświetlonej ramie.

– Co mu dolega? – powtórzył i znowu postukał w zakreślony obszar mózgu. – Nagłe pojawienie się bólów głowy w zestawieniu z brakiem uprzednich ataków sugeruje, że państwa syn ma guza mózgu, przypuszczalnie małego i, miejmy nadzieję, łagodnego.

Glen Beaumont gapił się na lekarza z kamiennym wyrazem twarzy, podczas gdy jego żona stała obok niego i ocierała łzy chusteczką. Płakała bezgłośnie. Ten cichy płacz był wynikiem wielu lat małżeńskiej tresury. Uderzenia pięści Glena były szybkie i bolesne i prawie nigdy nie zostawiały śladów, a po dwunastu latach cichego smutku Shayla przypuszczalnie nie potrafiłaby głośno płakać, nawet gdyby chciała.

– Czy to znaczy, że chce mu pan pociąć mózg? – zapytał Glen z typowym dla siebie taktem i delikatnością.

– Tak bym tego nie ujął, panie Beaumont, ale sądzę, że zabieg

eksploracyjny trzeba wykonać – odparł lekarz i pomyślał: Jeśli Bóg naprawdę istnieje i jeśli naprawdę stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, to nie chcę się zastanawiać, dlaczego tak cholernie dużo ludzi tego pokroju chodzi po świecie i decyduje o losie tylu innych osób.

Glen milczał przez długi czas z pochyloną głową i czołem zmarszczonym w zadumie. W końcu uniósł głowę i zadał pytanie, które najbardziej go prześladowało:

– Niech pan mi powie prawdę, doktorze: ile to wszystko będzie kosztowało?

Pierwsza zobaczyła je instrumentariuszka.

Jej przeraźliwy okrzyk był czymś szokującym w sali operacyjnej, gdzie przez ostatnie piętnaście minut słyhać było jedynie wypowiedane półgłosem polecenia doktora Pritcharda, szum masywnego respiratora i krótkotrwałe świst piły chirurgicznej.

Pielęgniarka cofnęła się chwiejnie, strąciła ze stolika chirurgicznego na kółkach tacę, na której równo ułożono dwa tuziny instrumentów. Taca spadła na wykafelkowaną podłogę z głośnym szczękiem, a po nim rozległo się wiele cichszych brzęków.

– Hilary! – krzyknęła siostra przełożona.

Jej głos był pełen zaskoczenia. W szoku zapomniała się do tego stopnia, że aż zrobiła pół kroku w kierunku uciekającej kobiety w trzepoczącym zielonym fartuchu.

Doktor Albertson, który asystował przy operacji, kopnął ją w łydkę obutą w pantofel stopą.

– Pamiętaj, proszę, gdzie jesteś.

– Dobrze, panie doktorze.

Odwróciła się natychmiast, nie patrząc nawet w stronę drzwi sali

operacyjnej, gdy te otworzyły się z hukiem, a podekscytowana Hilary opuściła scenę, wciąż wyjąć niczym pędzący wóz strażacki.

– Włóż sprzęt do sterylizatora – polecił Albertson. – Natychmiast. Migiem!

– Dobrze, panie doktorze.

Dysząc ciężko, wyraźnie podenerwowana, lecz panując nad sobą, zaczęła zbierać instrumenty.

Wydawało się, że doktor Pritchard w ogóle tego nie zauważył. Spoglądał z wyteżoną uwagą w okienko, które zostało wycięte w czaszce małego Thada.

– Niewiarygodne – wymamrotał. – Po prostu niewiarygodne. To naprawdę nadaje się do książek. Gdybym nie widział tego na własne oczy...

Ocknął się chyba, słysząc szum sterylizatora, spojrzał na doktora Albertsona i rzekł ostro:

– Ssanie!

Zerknął na pielęgniarkę.

– A co ty robisz, do kurwy nędzy? Rozwiązujesz krzyżówkę z niedzielnego „Timesa”? Rusz tyłek i przynieś narzędzia!

Podeszła z instrumentami na nowej tacy.

– Lester, daj mi aspirator – rzekł Pritchard do Albertsona. – Natychmiast. Potem pokażę ci coś, co widywałeś dotąd tylko w jarmarcznych gabinetach osobliwości.

Albertson przetoczył pompę ssącą, nie zważając na siostrę przełożoną, która uskoczyła z drogi, balansując zręcznie tacą z instrumentami.

Pritchard spoglądał na anestezjologa.

– Utrzymuj odpowiednie ciśnienie, przyjacielu. O nic więcej nie

proszę.

– Ma sto pięć na sześćdziesiąt osiem, doktorze. Niewzruszone jak skała.

– Cóż, jego matka twierdzi, że leży przed nami nowy William Szekspir, więc utrzymuj je na tym poziomie. Odessij krew, Lester. tylko nie łaskocz go tym cholernym ssakiem.

Albertson usunął krew aspiratorem. Sprzęt monitorujący pikał miarowo, monotonnie i pokrzepiająco na drugim planie. Potem lekarz wciągał jedynie własny oddech. Czuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios pięścią w splot słoneczny.

– O mój Boże. Chryste, Chryste Panie. – Cofnął się na moment, po czym pochylił się bliżej. Jego błyszczące oczy widoczne nad maską i za szklami okularów w rogowych oprawkach zrobiły się okrągłe z nagłego zaniepokojenia. – Co to jest?

– Myślę, że widzisz, co to jest – odparł Pritchard. – Tyle że oswajasz się z tym dopiero po chwili. Czytałem już o tym, ale nie spodziewałem się, że naprawdę to kiedyś zobaczę.

Mózg Thada Beaumonta miał kolor zewnętrznej krawędzi muszli – szary z nieznaczoną domieszką różu.

Z gładkiej powierzchni opony twardej wystawało ślepe i zniekształcone oko ludzkie. Mózg lekko pulsował. Wraz z nim pulsowało oko. Można było odnieść wrażenie, że próbuje do nich mrugnąć. I właśnie to wrażenie zmusiło instrumentariuszkę do ucieczki z sali operacyjnej.

– Chryste Panie, co to jest? – znowu zapytał Albertson.

– Nic – odparł Pritchard. – Kiedyś mogło być organem żywej, oddychającej istoty ludzkiej. Teraz jest niczym. Poza tym, że źródłem kłopotu. Tak się jednak składa, że możemy sobie z nim poradzić.

Doktor Loring, anestezjolog, zapytał:

– Mogę zerknąć, doktorze Pritchard?

– Pacjent nadal stabilny?

– Tak.

– W takim razie proszę. Będzie o czym opowiadać wnukom. Ale niech pan się pośpieszy.

Podczas gdy Loring przyglądał się oku, Pritchard zwrócił się do Albertsona:

– Potrzebuję piły. Otworzę go trochę szerzej. Wtedy je zbadam. Nie wiem, czy uda mi się wydobyć je w całości. Ale mam taki zamiar.

Les Albertson, pełniący teraz funkcję siostry przełożonej, wcisnął świeżo wysterylizowany zgłębnik w dłoń chirurga, gdy ten go zażądał. Pritchard, który nucił pod nosem temat przewodni z *Bonanzы*, pracował szybko i niemal bez wysiłku, tylko sporadycznie zerkając w lusterko zamontowane na końcu zgłębnika. Pracował głównie na dotyk. Albertson powiedział później, że nigdy w życiu nie był świadkiem tak porywającego, instynktownego zabiegu operacyjnego.

Oprócz oka znaleźli część nozdrza, trzy paznokcie i dwa zęby. W jednym z zębów był mały ubytek. Oko pulsowało i próbowało mrugnąć aż do chwili, gdy Pritchard przy użyciu cienkiego jak igła skalpela najpierw je nakłuł, a potem wyciął. Cała operacja od wstępnego badania do wycięcia trwała tylko dwadzieścia siedem minut. Pięć kawałków tkanki spadło z plaśnięciem do nierdzewnej stalowej miski na tacy ustawionej przy ogolonej głowie Thada.

– Myślę, że mamy jasność – rzekł w końcu Pritchard. – Wydaje się, że cała obca tkanka była połączona szczątkowymi zwojami nerwowymi. Nawet jeżeli są jeszcze inne kawałki, to

najprawdopodobniej je uśmierciliśmy.

– Ale... jak to możliwe, skoro chłopak żyje? Przecież to wszystko stanowiło część jego organizmu, prawda? – zapytał zdumiony Loring.

Pritchard wskazał na tacę.

– Znajdujemy w jego głowie oko, zęby i pęczek paznokci, a ty myślisz, że to stanowiło część jego organizmu? Czyżbyś zauważył u niego brak paznokci? Chcesz sprawdzić?

– Ale nawet rak jest tylko częścią własnego...

– To nie był rak – wyjaśniał cierpliwie Pritchard, a jego ręce w tym czasie robiły swoje. – Często tak bywa, że rodzi się jedno dziecko, choć w rzeczywistości rozpoczęło ono swoje życie jako bliźnię, przyjacielu. Może się to zdarzać aż w dwóch przypadkach na dziesięć. Co się dzieje z drugim płodem? Silniejszy wchłania słabszy.

– Wchłania? Chce pan powiedzieć: zjada? – zdziwił się Loring, który trochę pozieleniał na twarzy. – Czy mówimy tutaj o kanibalizmie *in utero*?

– Nazywaj to, jak chcesz; to dość częsta sytuacja. Jeżeli kiedyś powstanie sonograf, o którym stale się mówi na konferencjach medycznych, może rzeczywiście dowiemy się, jak częsta. Ale bez względu na jej częstotliwość to, co ujrzeliśmy dzisiaj, zdarza się o wiele rzadziej. Część jednego z tych bliźniąt nie została wchłonięta i przypadkiem trafiła do płata przedczołowego. Równie dobrze mogła wylądować w jelitach, śledzionie, rdzeniu kręgowym, gdziekolwiek. Zwykle coś takiego oglądają wyłącznie patolodzy... wychodzi to na jaw podczas sekcji zwłok... i nigdy nie słyszałem, żeby obca tkanka była przyczyną zgonu.

– No to co stało się tutaj? – zapytał Albertson.

– Coś ponownie uruchomiło rozwój tej tkanki, która rok temu

przypuszczalnie miała submikroskopowe rozmiary. Zegar wzrostu wchłoniętego bliźnięcia powinien był się na zawsze zatrzymać co najmniej miesiąc przed porodem, ale znowu jakoś został nakręcony... i to cholerstwo rzeczywiście zaczęło rosnąć.

W tym, co się stało, nie ma żadnej tajemnicy; samo ciśnienie śródczaszkowe wystarczyło, by chłopak miał bóle głowy i dostał konwulsji, po których trafił tutaj.

– Rozumiem – odparł cicho Loring – ale dlaczego to się stało?

Pritchard pokręcił głową.

– Jeżeli za lat trzydzieści wciąż będę się zajmował czymś trudniejszym od gry w golfa, możesz mnie o to zapytać. Pewnie będę znał odpowiedź. Teraz wiem tylko, że zlokalizowałem i wyciąłem bardzo szczególny i bardzo rzadki typ guza. Łagodnego guza. I o ile nie nastąpią żadne powikłania, sądzę, że rodzice chłopaka nie muszą wiedzieć nic więcej. Przy jego ojcu nawet troglodyta wyglądałby na intelektualistę. Nie wyobrażam sobie, bym mógł mu wytłumaczyć, że zrobiłem skrobankę jego jedenastoletniemu synowi. Les, zaszyjmy go – zaproponował, po czym jakby po namyśle zwrócił się uprzejmym głosem do pielęgniarki: – Ta głupia cipa, która stąd związała, ma zostać zwolniona. Proszę to sobie zapisać.

– Dobrze, doktorze.

Thad Beaumont opuścił szpital dziesięć dni po operacji. Przez prawie sześć następnych miesięcy lewa strona jego ciała była niepokojąco słaba, a od czasu do czasu, gdy czuł się bardzo zmęczony, widział przed oczami dziwne, niezupełnie chaotyczne wzory ze świetlistych błysków.

Matka kupiła mu w prezencie starego remingtona 32 i te błyski światła najczęściej pojawiały się, gdy zgarbiony siedział nad maszyną

przed snem, usiłując wyrazić coś we właściwy sposób lub wymyślić, co powinno się teraz wydarzyć w jego opowieści. W końcu one także minęły.

Ów dziwny, urojony odgłos ćwierkania – odgłos dywizjonów lecących wróbli – w ogóle nie powrócił po operacji.

Thad nadal pisał, zyskując pewność siebie i czelując rodzący się własny styl. Swoje pierwsze opowiadanie sprzedał „American Teen” sześć lat po tym, jak zaczęło się jego prawdziwe życie. Później po prostu nigdy nie wracał myślami do przeszłości.

Z tego, co wiedzieli rodzice Thada i on sam, jesienią jedenastego roku jego życia z płąta przedczołowego mózgu usunięto mu łagodnego guza. Gdy Thad w ogóle o tym myślał (co z biegiem lat zdarzało się coraz rzadziej), dochodził jedynie do wniosku, że miał niezmiernie dużo szczęścia, że przeżył.

Wielu pacjentów, którzy przeszli w tych prymitywnych czasach operację mózgu, nie przeżyło.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NADZIENIE Z GŁUPCA

Machine powoli i uważnie prostował spinacze długimi, silnymi palcami.

– Przytrzymaj mu głowę, Jack – powiedział do mężczyzny stojącego za Halsteadem. – Przytrzymaj mocno.

Halstead zrozumiał, co Machine ma zamiar zrobić, i zaczął krzyczeć, gdy Jack Rangely przycisnął swą dużą dłoń do jego głowy i ją unieruchomił. Krzyki odbijały się echem w opuszczonym magazynie. Rozległa pusta przestrzeń spełniała funkcję naturalnego wzmacniacza. Halstead przypominał śpiewaka operowego rozgrzewającego się w dniu premiery.

– Wróciłem – rzekł Machine. Halstead zacisnął powieki, ale to nie pomogło. Mały stalowy pręt wsunął się bez trudu przez lewą powiekę i przebił gałkę oczną z cichym trzaskiem. Z oka zaczął wyciekać lepki galaretowaty płyn. – Wróciłem z zaświatów i wygląda na to, że wcale się nie cieszysz na mój widok, niewdzięczny sukinsynu.

George Stark, *Podróż do Babilonu*

ROZDZIAŁ PIERWSZY LUDZIE BĘDĄ GADAĆ

1

Wydanie magazynu „People” z dwudziestego trzeciego maja było całkiem zwyczajne.

Okładkę zdobiło zdjęcie Martwego Celebryty tygodnia, gwiazdora rock and rolla, który powiesił się w więziennej celi po tym, jak aresztowano go za posiadanie kokainy i rozmaitych pokrewnych jej narkotyków. Wewnątrz numeru znajdował się tradycyjny bogaty zestaw tematów: dziewięć niewyjaśnionych morderstw na tle seksualnym w opustoszałej zachodniej części Nebraski; guru zdrowego odżywiania, którego przymknięto za dziecięcą pornografię; gospodyni domowa z Marylandu, która wyhodowała kabaczek przypominający nieco popiersie Jezusa Chrystusa – o ile patrzyło się nań spod półprzymkniętych powiek w ciemnym pokoju; dzielna niepełnosprawna dziewczyna trenująca do nowojorskiego maratonu rowerowego; rozwód w Hollywood; małżeństwo członków nowojorskiej socjety; zapaśnik dochodzący do zdrowia po ataku serca; komik broniący się przed sądowym pozwem o alimenty.

Był tam również artykuł o przedsiębiorcy z Utah, który wprowadzał na rynek nową lalkę o nazwie Yo Mamma! Wyglądała rzekomo jak „teściowa, za którą wszyscy przepadają (?)”. Miała wmontowany magnetofon, który wyrzucał z siebie fragmenty dialogu, takie jak: „W

moim domu, gdy dorastał, kolacja nigdy nie była zimna, moja droga” i „Twój brat nigdy nie zachowuje się tak, jakbym miała nieświeży oddech, gdy przyjeżdżam na parę tygodni”. Prawdziwym skandalem było to, że aby zmusić ją do mówienia, zamiast ciągnąć za sznurek na plecach lalki, kopało się pieprzoną babę z całej siły. „Yo Mamma! jest porządnie wywatowana, na pewno nie pęknie ani nie wyszczerbi ścian i mebli” – powiedział dumny wynalazca, pan Gaspard Wilmot (który, o czym wspomniano mimochodem, został kiedyś oskarżony o uchylanie się od płacenia podatku dochodowego – zarzuty wycofano).

Na stronie trzydziestej trzeciej tego zabawnego i pouczającego numeru najbardziej zabawnego i pouczającego amerykańskiego tygodnika znajdował się typowy dla „People” cięty, trafny i zjadliwy nagłówek: BIOGRAM.

– „People” – powiedział Thad do swojej żony Liz, gdy siedzieli ramię w ramię przy kuchennym stole, czytając powtórnie artykuł – lubi dochodzić do sedna sprawy. BIOGRAM. Jeżeli nie interesuje cię BIOGRAM, przejdź do W TARAPATACH i poczytaj o dziewczynach, które upijają się do nieprzytomności w samym sercu Nebraski.

– Gdy się nad tym porządnie zastanowić, nie jest to zbyt zabawne – odparła Liz Beaumont, po czym zepsuła efekt swojej wypowiedzi, parskając śmiechem w zaciśniętą dłoń.

– Nie do śmiechu, ale z pewnością osobliwe – zauważył Thad i zaczął znowu kartkować artykuł. Robiąc to, w roztargnieniu pocierał małą białą bliznę na czole.

Jak w większości numerów „People”, tak i w tym dział BIOGRAMÓW był jedynym, gdzie więcej powierzchni przeznaczono na tekst niż na zdjęcia.

– Żałujesz, że to zrobiłeś? – zapytała Liz.

Nasłuchiwała odgłosów bliźniąt, ale na razie spisywały się na medal, śpiąc jak susły.

– Po pierwsze – odparł Thad – sam tego nie zrobiłem. Zrobiliśmy to wspólnie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, pamiętasz?

Postukał palcem w zdjęcie na drugiej stronie artykułu. Ukazywało ono jego żonę podającą blachę ciastek czekoladowych z orzechami Thadowi, który siedział przy maszynie do pisania. Jeżeli na kartce pod wałkiem w ogóle było coś napisane, to nie dało się tego stwierdzić. Może i dobrze, bo pewnie był to jakiś bełkot. Pisanie zawsze stanowiło dla niego ciężką pracę i nie było rzeczą, którą mógł robić na oczach czytelników, szczególnie gdy jeden z nich przypadkiem był fotografem magazynu „People”. O wiele łatwiej przychodziło to George’owi, ale dla Thada Beaumonta było cholernie trudne. Gdy próbował pisać – czasem z powodzeniem – Liz nie zbliżała się do niego. Nie przynosiła mu telegramów, a tym bardziej czekoladowych ciastek.

– Tak, ale...

– Po drugie...

Spojrzał na zdjęcie, na którym Liz stała z ciastkami, a on patrzył na nią. Oboje uśmiechali się szeroko. Te uśmiechy wyglądały dość osobliwie na twarzach ludzi, którzy choć sympatyczni, ostrożnie dawkowali rzeczy tak proste jak uśmiech. Wrócił pamięcią do czasów, gdy pełnił funkcję przewodnika na Szlaku Appalachów w Maine, w stanie New Hampshire, i Vermoncie. W tamtych niewesołych czasach miał w domu szopa pracza, Johna Wesleya Hardinga. Nie żeby jakoś próbował go oswoić; szop po prostu przyłączył się do niego. Stary J.W., podobnie jak Thad, lubił sobie

łyknąć w zimny wieczór, a czasem, gdy dostał nieco więcej z butelki, uśmiechał się właśnie tak.

– Po drugie co?

Po drugie, w tym, że pisarz nominowany kiedyś do National Book Award i jego żona szczerzą do siebie zęby w uśmiechu niczym para pijanych szopów, jest coś zabawnego, pomyślał i ryknął śmiechem, którego nie był w stanie już dłużej powstrzymać.

– Obudzisz bliźnięta!

Thad bez powodzenia usiłował stłumić salwy śmiechu.

– Po drugie, wyglądamy jak para idiotów i ani trochę mi to nie przeszkadza – odparł, przytulił ją mocno i pocałował w szyję.

W drugim pokoju rozległ się najpierw płacz Williama, a potem Wendy.

Liz próbowała spojrzeć na męża z wyrzutem, ale nie potrafiła. Tak miło było słyszeć, jak się śmieje. Chyba dlatego, że robił to zbyt rzadko. Dźwięk jego śmiechu miał dla niej nieziemski, egzotyczny urok. Thad Beaumont nigdy się nie zaliczał do wesołków.

– To moja wina – rzekł. – Przyniosę je.

Zaczął się podnosić, trącił stół i omal go nie wywrócił. Był człowiekiem delikatnym, lecz dziwnie niezdarnym; wciąż miał w sobie tę chłopięcą cechę.

Liz chwyciła dzban z kwiatami, którym udekorowany był stół, tuż przedtem, zanim zdążył się zsunąć i roztrzaskać na podłodze.

– No nie, Thad! – zawołała, ale potem też zaczęła się śmiać.

Usiadł na chwilę z powrotem i nie tyle wziął Liz za rękę, ile pieścił delikatnie jej dłoń w swoich dłoniach.

– Słuchaj, ślicznotko, przeszkadza ci to?

– Nie – odparła.

Przez moment miała zamiar powiedzieć: „Ale mnie to niepokoi. Nie dlatego, że mamy trochę głupie miny, ale... cóż, nie wiem dlaczego. Po prostu mnie trochę niepokoi, i już”.

Miała zamiar, ale nie powiedziała tego. Ścisnęła go za rękę.

– Nie – powtórzyła. – Nie przeszkadza. Myślę, że to niezła zabawa. A jeżeli ta reklama pomoże *Złotemu psu*, gdy wreszcie poważnie zajmiesz się dokończeniem tej cholernej książki, to tym lepiej.

Wstała, wciskając go w krzesło, gdy próbował do niej dołączyć.

– Możesz je przynieść następnym razem – powiedziała. – Chcę, żebyś tu siedział, dopóki nie minie twe podświadome pragnienie stłuczenia mojego wazonu.

– W porządku – odparł i się uśmiechnął. – Kocham cię, Liz.

– Ja też cię kocham.

Poszła po bliźnięta, a Thad Beaumont zaczął znowu kartkować swój BIOGRAM.

W odróżnieniu od większości artykułów w tygodniku „People” krótka biografia Thaddeusa Beaumonta nie zaczynała się od całostronicowej fotografii, lecz od zdjęcia, które zajmowało niespełna ćwierć strony. Mimo to przyciągało wzrok, ponieważ jakiś grafik mający doskonałe wyczucie niezwykłości umieścił zdjęcie, które ukazywało Thada i Liz na cmentarzu, w czarnej obwódce. Wiersze druku poniżej w zestawieniu z fotografią odznaczały się prawie brutalnym kontrastem.

Na zdjęciu Thad trzymał szpadel, a Liz kilof. Z boku stały taczki z kolejnymi cmentarnymi narzędziami. Na samym grobie ułożono kilka bukietów kwiatów, ale napis na płycie nagrobnej był nadal doskonale czytelny.

GEORGE STARK

1975–1988

Niezbyt sympatyczny facet

W niemal rażącym kontraście z miejscem i pozornym aktem (niedawno dokonany pochówek kogoś, kto sądząc z dat, powinien być nastolatkiem) tych dwoje fałszywych kościelnych wymieniało uścisk dłoni nad świeżo ułożoną darnią i śmiało się radośnie.

Była to oczywiście scena upozowana. Wszystkie zdjęcia ilustrujące artykuł – grzebanie ciała, pokazywanie ciastek oraz to z Thadem wędrującym samotnie jak chmura opustoszałą drogą w lasach Ludlow, przypuszczalnie „szukającym pomysłów” – zostały upozowane. Było to zabawne. Liz kupowała „People” w supermarkecie przez ostatnich pięć lat i oboje naśmiewali się z magazynu, ale oboje kolejno przeglądali go przy kolacji bądź w toalecie, jeżeli nie mieli pod ręką dobrej książki. Thad rozmyślał czasami o sukcesie czasopisma, zastanawiając się, czy tak niesamowitą popularność zawdzięcza ono poświęceniowi uwagi życiu celebrytów, czy po prostu sposobowi, w jaki było składane, z tymi wielkimi czarno-białymi fotografiami i tłustym drukiem tekstów złożonych głównie z prostych zdań orzekających. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, by się zastanawiać, czy te zdjęcia są inscenizowane.

Autorem fotografii była kobieta, Phyllis Myers, która poinformowała ich, że wcześniej zrobiła sporo zdjęć pluszowym misiom w dzieciennych trumnach, a wszystkie pluszaki były odziane w dziecięce ubranka. Miała nadzieję, że sprzeda je jako album dużemu nowojorskiemu wydawcy. Dopiero drugiego dnia wywiadu i sesji zdjęciowej Thad zdał sobie sprawę, że fotografka bada, czy

napisałby do niego tekst. *Śmierć i pluszowe misie* – wyjaśniła – byłby „ostatecznym, doskonałym komentarzem do amerykańskiego sposobu umierania, nie sądzisz, Thad?”.

Uważał, że w świetle jej dość makabrycznych zainteresowań to, iż Myers zamówiła płytę nagrobną George’a Starka i przywiozła ją z Nowego Jorku, wcale nie jest zaskakujące. Płytę zrobiono z *papier mâche*.

– Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby uścisnąć sobie dłonie na jej tle? – zapytała ich z uśmiechem, który był równocześnie zalotny i pełen samozadowolenia. – Wyjdzie z tego wspaniałe ujęcie.

Liz krytycznie nastawiona do pomysłu i trochę nim przerażona spojrzała na Thada. Oboje popatrzyli z osłupieniem na imitację płyty nagrobnej, która przyjechała z Nowego Jorku (siedziby magazynu „People”) do Castle Rock w stanie Maine (letniego domu Thada i Liz Beaumontów). Wzrok Thada stale przyciągały słowa wyryte na płycie:

Niezbyt sympatyczny facet

Zasadniczo historia, którą „People” pragnął opowiedzieć czytelnikom śledzącym z zapartym tchem losy amerykańskich celebrytów, okazała się całkiem prosta. Thad Beaumont był uznanym pisarzem, którego pierwsza powieść *Niespodziewany taniec* uzyskała w 1972 roku nominację do National Book Award. Tego rodzaju wyróżnienie przydało mu pewnego znaczenia wśród krytyków literackich, lecz ludzi śledzących z zapartym tchem życie amerykańskich celebrytów mało obchodził Thad Beaumont, który potem opublikował pod własnym nazwiskiem tylko jedną powieść. Człowiek, który rzeczywiście ich obchodził, wcale nie był prawdziwą postacią. Thad napisał jeden wielki bestseller i trzy stanowiące jego

kontynuację, niezmiernie poczytne powieści pod innym nazwiskiem. Brzmiało ono oczywiście George Stark.

Jerry Harkavay, będący jedynym pracownikiem Associated Press w Waterville, pierwszy szerzej ujawnił historię George'a po tym, gdy agent Thada, Rick Cowley, przekazał ją – za zgodą autora – Louise Booker z „Publishers Weekly”. Ani Harkavay, ani Booker nie poznali całej historii – przede wszystkim dlatego, że Thad stanowczo sprzeciwił się wspomnianiu o tym małym przymilnym kutasie Fredericku Clawsonie – ale była ona wystarczająco interesująca, by zasłużyć na szersze rozpowszechnienie, niż mogły zapewnić serwis prasowy AP bądź magazyn branżowy wydawców książek. Clawson zdaniem Thada nie był tematem, a tylko dupkiem, który zmuszał ich do ujawnienia tej historii.

W trakcie pierwszego wywiadu Jerry zapytał go, jakim człowiekiem jest George Stark. „George – odparł Thad – to niezbyt sympatyczny facet”. Ta wypowiedź trafiła na początek wywiadu, zainspirowała też Myers do zamówienia imitacji płyty nagrobnej z wyrytymi na niej tymi słowami. Dziwny świat. Bardzo dziwny świat.

Ni z tego, ni z owego Thad znowu wybuchnął śmiechem.

2

Na czarnym polu pod zdjęciem Thada i Liz zrobionym w jednym z ładniejszych parków sztywnych w Castle Rock widniały dwie linijki białego druku.

ZMARŁY BYŁ NIEZMIERNIE BLISKI I DROGI TYM DWOJGU LUDZIOM – głosiła pierwsza.

DLACZEGO WIĘC SIĘ ŚMIEJĄ? – brzmiała druga.

– Dlatego że świat to kurewsko dziwne miejsce – odparł Thad

Beaumont i parsknął, zasłoniwszy dłonią usta.

Liz Beaumont nie była jedyną osobą, która czuła lekkie zażenowanie tym dziwnym, nagłym rozgłosem. On sam też czuł się trochę skrępowany. Tak czy inaczej, trudno mu było pohamować śmiech. Przestał na kilka sekund, po czym z jego ust znowu wydobył się rechot, gdy słowa: „Niezbyt sympatyczny facet” przykuły wzrok. Próby powstrzymania śmiechu przypominały próby załatania dziur w zbudowanym byle jak wale ziemnym; gdy tylko zatykałeś jeden wyciek, nowy pojawiał się w innym miejscu.

Thad podejrzewał, że w takiej niepoahamowanej wesołości jest coś niestosownego – jakaś forma hysterii. Wiedział, że poczucie humoru rzadko, jeśli w ogóle, ma związek z podobnymi napadami. Tak naprawdę ich przyczyną zazwyczaj jest coś zupełnie innego.

Być może coś, czego należało się bać.

Boisz się jakiegoś cholernego artykułu w „People”? Tak właśnie myślisz? Głupek. Boisz się, że będziesz zażenowany, że twoi koledzy z wydziału anglistyki spojrzą na te zdjęcia i uznają, iż odebrało ci resztki rozumu?

Nie. Nie miał się czego bać ze strony kolegów, nawet tych, którzy pracowali tam od epoki przedlodowcowej. Wreszcie miał stały etat, a także wystarczająco dużo forsy, by stawić życiu czoło jako – fanfary, proszę! – pełnoetatowy pisarz, gdyby tego zapragnął (nie był pewien, czego pragnie; biurokratyczno-administracyjne strony życia akademickiego niezbyt mu się podobały, ale nauczanie było po prostu świetne). Nie bał się również dlatego, że już parę lat temu przestał się zbytnio przejmować tym, co o nim myślą koledzy. Owszem, obchodziło go, co myślą o nim przyjaciele, a w pewnych wypadkach jego przyjaciele, przyjaciele Liz oraz ich wspólni przyjaciele byli jego

kolegami, lecz uważał, że ci ludzie także mogą to uznać za rodzaj błahostki.

Jeżeli było się czego bać, to...

Skończ, rozkazał jego umysł oschłym, poważnym tonem, który nawet najbardziej hałaśliwych z jego studentów potrafił uciszyć i przyprawić o bladość twarzy. Natychmiast skończ z tymi idiotyzmami.

Nic z tego. Choć ów głos mógł skutecznie poskramiać jego studentów, nad samym Thadem nie miał żadnej władzy.

Znowu spojrzął na zdjęcie i tym razem nie zwrócił uwagi na głupie miny, które oboje z żoną stroili do siebie niczym dwoje przedrzeźniających się dzieci.

GEORGE STARK

1975–1988

Niezbyt sympatyczny facet

Właśnie to budziło w nim zakłopotanie.

Ta płyta nagrobna. To nazwisko. Te daty. A przede wszystkim to zabarwione goryczą epitafium, które przyprawiało go o rechot, lecz nie wiedzieć czemu w ogóle nie było zabawne.

To nazwisko.

To epitafium.

– Nieważne – mruknął. – Skurwysyn już nie żyje.

Ale zakłopotanie nie zniknęło.

Gdy Liz wróciła ze świeżo przewiniętymi i przebranymi bliźniętami na rękach, Thad znowu siedział pochylony nad artykułem.

– Czy ja go zamordowałem?

Thaddeus Beaumont, kiedyś obwołany najbardziej obiecującym powieściopisarzem Ameryki, nominowany w 1972 roku do National Book Award za *Niespodziewany taniec*, powtarza w zamyśleniu to pytanie. Wydaje się lekko speszony.

– Zamordowałem? – mówi znowu cicho, jakby to słowo wcześniej nigdy nie przyszło mu do głowy... mimo że jego „mroczna połowa”, jak nazywa George’a Starka, tak naprawdę myśli prawie wyłącznie o mordowaniu.

Z szerokiego kamiennego dzbanka stojącego obok staroświeckiej maszyny do pisania marki Remington wyciąga ołówek Berol Black Beauty (według Beaumonta Stark niczym innym nie pisał) i zaczyna go lekko obgryzać. Sądząc po wyglądzie tuzina innych ołówków w dzbanie, obgryzanie to utrwalony nawyk.

– Nie – mówi w końcu, wrzucając ołówek z powrotem do dzbanka. – Nie zamordowałem go. – Unosi wzrok i rozciąga usta w uśmiechu. Beaumont ma trzydzieści dziewięć lat, lecz gdy się tak szczerze uśmiecha, można by go wziąć za któregoś z jego studentów.

– George umarł śmiercią naturalną.

Beaumont twierdzi, że George Stark to pomysł jego żony. Elizabeth Stephens Beaumont, spokojna i śliczna blondynka, nie chce przypisywać sobie całej zasługi.

– Zasugerowałam tylko – wyjaśnia – by napisał powieść pod innym nazwiskiem i zobaczył, co się z nią stanie. Thad cierpiał na zupełny brak weny i potrzebował pomocy z zewnątrz. I tak naprawdę – śmieje się – George Stark istniał od samego początku. Widziałam ślady jego istnienia we fragmentach niedokończonych tekstów, które Thad pisał od czasu do czasu. Chodziło jedynie o zmuszenie go, żeby się ujawnił.

Według wielu rówieśników Beaumonta jego problemy polegały nie tylko na zaniku inwencji twórczej. Co najmniej dwaj znani pisarze (którzy nie chcieli, by powoływać się na nich bezpośrednio) twierdzą, że w tym kluczowym okresie między pierwszą a drugą książką obawiali się o jego zdrowie psychiczne. Jeden z nich uważa, że Beaumont mógł próbować popełnić samobójstwo po opublikowaniu *Niespodziewanego tańca*, który przyniósł mu więcej uznania krytyków niż wpływów ze sprzedaży.

Zapytany, czy myślał kiedyś o popełnieniu samobójstwa, Beaumont tylko kręci głową i odpowiada:

– To jakiś idiotyczny wymysł. Prawdziwym problemem nie było przyjęcie powieści przez czytelników; był nim zanik inwencji twórczej. A martwi pisarze cierpią na jego nieuleczalną postać.

Tymczasem Liz Beaumont stale „forsowała” – tak określił to Beaumont – pomysł przyjęcia pseudonimu literackiego.

– Powiedziała, że chociaż raz mogę się dobrze zabawić, jeśli zechcę. Napisać, co mi się podoba, nie bacząc na ewentualne opinie recenzentów „The New York Times Book Review”. Że mogę napisać western, powieść sensacyjną, książkę science fiction. Albo kryminał.

Thad Beaumont uśmiecha się szeroko.

– Myślę, że kryminał wymieniła na samym końcu celowo. Wiedziała, że bawiłem się myślą o powieści kryminalnej, choć wydawało się, że nie dam sobie z tym rady. Pomysł z pseudonimem dziwnie mnie pociągał. Na swój sposób dawał poczucie swobody... niczym ukryte wyjście awaryjne, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Ale było jeszcze coś. Coś, co bardzo trudno wytłumaczyć.

Beaumont wyciąga rękę ku porządnie zatemperowanym ołówkom w kamiennym dzbanie, po czym ją cofa. Patrzy w głąb swego gabinetu, gdzie przez przeszkloną ścianę widać wielkie wiosenne widowisko z udziałem zieleniących się drzew.

– Myśl o pisaniu pod pseudonimem przypominała myśl o byciu niewidzialnym – mówi w końcu niemal z wahaniem. – Im bardziej się nią bawiłem, tym silniej czułem, że to by oznaczało... wymyślenie siebie na nowo.

Ręka Thada wysuwa się ukradkiem i tym razem udaje się jej zwięździć jeden z ołówków z dzbana, gdy jego umysł zajęty jest czymś innym.

Thad przewrócił kartkę, po czym spojrzał na bliźnięta usadowione na wysokim podwójnym krzeselku. Bliźnięta różnej płci zawsze cechuje braterskie podobieństwo... albo bratersko-siostrzane,

gdybyśmy nie chcieli podchodzić do tego niczym męskie szowinistyczne świnie. Jednakże Wendy i William byli niemal identyczni, nie będąc identycznymi.

William uśmiechnął się do Thada z butelką w buzi.

Wendy także się do niego uśmiechnęła znad butelki, lecz ona paradowała z wyposażeniem, którego nie miał jej brat – z jednym zębem przednim, który wyrósł bez cienia bólu, przebijając po prostu powierzchnię dziąsła równie bezgłośnie, jak peryskop łodzi podwodnej wysuwa się spod powierzchni oceanu.

Wendy odsunęła pulchną rączkę od plastikowej butelki, otworzyła ją, ukazując czystą różową dłoń. Zamknęła ją. I otworzyła. Skinienie Wendy.

Nie patrząc na siostrę, William odsunął rączkę od swojej butelki, otworzył ją, zamknął i znowu otworzył. Skinienie Williama.

Thad z namaszczaniem uniósł rękę znad stołu, otworzył ją, zamknął i znowu otworzył.

Bliźnięta uśmiechnęły się szeroko z butelkami w buziach.

Thad znowu spojrzał na magazyn. Ach, „People”, pomyślał, gdzie bylibyśmy i co byśmy bez was zrobili. Ludzie to czas amerykańskich gwiazd.

Autor wywlekleń oczywiście wszystkie brudy, które dało się wywlec – a w szczególności czteroletnią złą passę po tym, jak *Niespodziewany taniec* nie zdobył National Book Award – ale tego należało się spodziewać i Thad niespecjalnie się przejął tym popisem. Po pierwsze, nie było to aż tak brudne, a po drugie, zawsze uważał, że łatwiej jest żyć w prawdzie niż w kłamstwie. Przynajmniej na dłuższą metę.

Co oczywiście wywołało pytanie, czy magazyn „People” i „dłuższa meta” mają cokolwiek wspólnego.

No cóż. Teraz już za późno.

Człowiek, który napisał ten artykuł, miał na imię Mike – tyle pamiętał, ale jaki Mike? Jeżeli nie byłeś hrabią gawędzącym o członkach rodziny królewskiej lub gwiazdą filmową paplającą o innych gwiazdach, twoje nazwisko pojawiało się na końcu tekstu. Thad musiał przetrząsnąć cztery kartki (z których dwie stanowiły całostronicowe reklamy), żeby odnaleźć nazwisko autora. Mike Donaldson. Obaj z Mikiem siedzieli do późna w nocy, kłapiąc po prostu ozorem, i gdy Thad zapytał go, czy ktokolwiek naprawdę zainteresuje się tym, że napisał kilka książek pod innym nazwiskiem, Donaldson powiedział coś, co sprawiło, że Thad ryknął śmiechem.

„Badania wykazują, że większość czytelników »People« ma niezmiernie wąskie nosy. To powoduje, że trudno im wybrać, więc wybierają tylu przyjaciół innych ludzi, ilu tylko mogą. Będą chcieli się dowiedzieć wszystkiego o twoim przyjacielu George’u”.

„On nie jest moim przyjacielem” – odparł Thad, nie przestając się śmiać.

Teraz zapytał Liz, która poszła do kuchni:

– Radzisz sobie, ślicznotko? Potrzebujesz pomocy?

– Nie – odparła. – Gotuję kleik dla dzieciaków. Nie macie jeszcze siebie dosyć?

– Jeszcze nie – odparł bezwstydnie Thad i wrócił do lektury artykułu.

– Najtrudniejszy problem faktycznie stanowiło nazwisko – ciągnie Beaumont, lekko obgryzając ołówek.

– Ale ono było ważne. Wiedziałem, że to może zadziałać. Wiedziałem, że mógłbym pobudzić inwencję twórczą, z której zanikiem się zmagalem... gdybym miał jakąś tożsamość. Odpowiednią tożsamość, odmienną od mojej.

Jak wybrał George'a Starka?

– Cóż, jest autor powieści kryminalnych, który nazywa się Donald E. Westlake – wyjaśnia Beaumont. – I pod swoim prawdziwym nazwiskiem Westlake wykorzystuje ten gatunek do pisania bardzo zabawnych komedii obyczajowych z życia Amerykanów. Ale od początku lat sześćdziesiątych do mniej więcej połowy lat siedemdziesiątych stworzył cykl powieści pod pseudonimem Richard Stark i te książki są zupełnie inne. Opowiadają o człowieku nazwiskiem Parker, który jest zawodowym złodziejem. Nie ma przeszłości ani przyszłości i w najlepszych powieściach cyklu nie interesuje go nic poza rabowaniem. W każdym razie z sobie tylko wiadomych powodów Westlake w końcu przestał pisać o Parkerze, lecz ja nigdy nie zapomniałem tego, co powiedział po ujawnieniu jego pseudonimu literackiego. Wyznał, że on pisze książki w dni słoneczne, a Stark przejmuje pisarskie obowiązki, gdy pada deszcz. Spodobało mi się to, ponieważ okres między 1973 a początkiem 1975 roku był dla mnie czasem niepogody. W najlepszej z tych powieści Parker tak naprawdę bardziej przypomina robota zabójcę niż człowieka. Niemal stałym motywem jest w nich obrabowany rabuś. I Parker załatwia złoczyńców – to znaczy innych złoczyńców – właśnie jak robot, który został zaprogramowany w jednym jedynym celu. „Chcę mojej forsy” – oświadcza i właściwie nie mówi nic więcej. „Chcę mojej forsy, chcę mojej forsy”. Czy to ci kogoś przypomina?

Przeprowadzający wywiad dziennikarz kiwa głową. Beaumont opisuje Alexisa Machine'a, głównego bohatera pierwszej i ostatniej powieści George'a Starka.

– Gdyby *Sposób Machine'a* zakończył się tak, jak się zaczął, na zawsze wrzuciłbym go do szuflady – mówi Beaumont. – Publikując ją, popełniłbym plagiat. Ale mniej więcej w jednej czwartej tekstu powieść znalazła własny rytm i wszystko po prostu zaskoczyło.

Dziennikarz pyta, czy to znaczy, że w trakcie pracy nad tą książką George Stark przebudził się i zaczął mówić własnym głosem.

– Owszem – potwierdza Beaumont. – To dość trafna uwaga.

Thad uniósł wzrok, znowu omal nie wybuchając mimowolnym śmiechem. Bliźnięta zobaczyły to i odpowiedziały uśmiechem, mając

buzie pełne przecieru z groszku, którym karmiła je Liz. Pamiętał, że naprawdę odparł: „Chryste Panie, ależ to melodramatyczne! W twoich ustach brzmi to niczym fragment *Frankensteina*, w którym piorun w końcu uderza w pręt na najwyższej baszcie zamku i ożywia potwora!”.

– Jeżeli nie przestaniesz, nie uda mi się ich nakarmić – zauważyła Liz.

Na nosie miała grudkę przecieru i Thad poczuł absurdalną chęć szałowania jej z czubka.

– Czego nie przestanę?

– Ty się uśmiechasz, to i one się uśmiechają. Nie można karmić roześmianego dziecka.

– Przepraszam – rzekł pokornie i mrugnął do bliźniąt.

Ich usta w zielonych obwódkach rozciągnęły się na chwilę jeszcze szerzej w identycznych uśmiechach.

Potem Thad spuścił oczy i czytał dalej.

– Zacząłem pisać *Sposób Machine’a* w 1975 roku, w dniu, w którym wymyśliłem pseudonim, ale pojawił się jeszcze jeden problem. Gdy szykowałem się wieczorem do pisania, wkręciłem kartkę do maszyny... po czym wyciągnąłem ją spod wałka. Wszystkie moje książki pisałem dotąd na maszynie, ale George Stark okazał się przeciwnikiem maszyn do pisania. – I znowu na chwilę błysnął szerokim uśmiechem. – Może dlatego, że nie mieli zajęć z maszynopisania w żadnym z więzień, w których siedział.

Beaumont nawiązuje do „biogramu z obwoluty”, stwierdzającego, że autor ma trzydzieści dziewięć lat i odsiadywał wyroki w trzech różnych zakładach penitencjarnych za podpalenie, zbrojną napaść oraz usiłowanie zabójstwa. Biogram z obwoluty jest jednak tylko częścią historii; Beaumont wyciąga również arkusz biograficzny z Darwin Press przedstawiający dzieje jego alter ego w drobiazgowy sposób, życiorys, który tylko dobry powieściopisarz potrafiłby stworzyć z niczego. Od narodzin w Manchesterze

w stanie New Hampshire do ostatecznego osiedlenia się w Oxfordzie w stanie Missisipi jest tam wszystko z wyjątkiem pochówku George'a Starka na Homeland Cemetery w Castle Rock w stanie Maine przed sześcioma tygodniami.

– W jednej z szuflad biurka znalazłem stary notatnik i użyłem tego. – Wskazuje w kierunku kamiennego dzbana z ołówkami i wydaje się lekko zaskoczony, widząc, że trzyma jeden z nich w wyciągniętej dłoni. – Zacząłem pisać i zanim się spostrzegłem, Liz mówiła mi, że jest północ, i pytała, czy mam zamiar iść spać.

Liz Beaumont ma własne wspomnienie tamtego wieczoru:

– Obudziłam się za kwadrans dwunasta, zobaczyłam, że nie ma go w łóżku, i pomyślałam: Pewnie pisze. Nie słyszałam jednak stukania maszyny i trochę się przestraszyłam.

Jej twarz sugeruje, że chyba bardziej niż trochę.

– Kiedy zesłam na parter i zobaczyłam, że gryzmoli w notatniku, zupełnie mnie zatkało. – Śmieje się.

– Nosem dotykał niemal papieru.

Dziennikarz pyta, czy poczuła ulgę.

– Ogromną – odpowiada Liz Beaumont łagodnym, wyważonym tonem.

– Przerzuciłem kartki notatnika i spostrzegłem, że zapisałem szesnaście stron bez jednego skreślenia – wspomina Beaumont. – I że zestrugałem trzy czwarte nowiutkiego ołówka. – Spogląda na dzban z miną, która może wyrażać melancholię lub skrywane poczucie humoru.

– Skoro George nie żyje, chyba powinienem wyrzucić te ołówki. Sam ich przecież nie używam. Próbowałem. To po prostu się nie sprawdza. Ja nie potrafię pracować bez maszyny do pisania. Ręka mi się męczy i głupieje. Ręce George'a nigdy się to nie zdarzało.

Unosi wzrok i enigmatycznie puszcza oko.

– Kochanie?

Popatrzył na żonę, która skupiała się na wkładaniu Williamowi do

buzi resztek groszkowego przecieru. Sporą jego część chłopczyk miał na śliniaczku.

– Słucham?

– Spójrz na mnie przez chwilę.

Spojrzała.

Thad mrugnął i zapytał:

– Czy to było enigmatyczne?

– Nie, skarbie.

– Tak też myślałem.

Reszta tej opowieści stanowi kolejny paradoksalny rozdział w szerszej historii tego, co Thad Beaumont nazywa „powieścią według dziwaków”.

Sposób Machine'a został opublikowany w czerwcu 1976 roku przez niewielkie wydawnictwo Darwin Press (książki „prawdziwego” Beaumonta wydawał Dutton) i stał się niespodziewanym sukcesem, trafiając na pierwsze miejsce list bestsellerów jak Stany długie i szerokie. Na podstawie powieści nakręcono również wielki przebój kinowy.

– Długo czekałem, aż ktoś odkryje, że ja to George, a George to ja – mówi Beaumont. – Prawa autorskie zostały zastrzeżone w imieniu George’a Starka, ale wiedział mój agent oraz jego żona – jest jego byłą żoną, lecz pozostała pełnoprawną współniczką w firmie – i oczywiście dyrektorzy oraz rewident księgowy w Darwin Press. Musiał wiedzieć, bo George mógł pisać powieści odręcznie, ale miał drobny problem, podpisując czeki. No i oczywiście musiał o tym wiedzieć urząd podatkowy. Tak więc oboje z Liz przez półtora roku czekaliśmy, aż ktoś się wygada. To się nie stało. Myślę, że po prostu trafiło się ślepej kurze ziarno. Dowodzi to jedynie tego, że gdy myślimy, iż ktoś na pewno zdradzi sekret, wtedy wszyscy trzymają język za zębami.

I trzymali go przez następne dziesięć lat, a tymczasem nieuchwytny pan Stark, pisarz znacznie płodniejszy od swojej drugiej połowy, opublikował trzy kolejne powieści. Żadna z nich nie powtórzyła olśniewającego sukcesu *Sposobu Machine'a*, ale wszystkie trafiły na listy bestsellerów.

Po długiej chwili zadumany Beaumont zaczyna wyjaśniać, dlaczego w końcu postanowił zrezygnować z tej zyskowej szarady.

– Musisz pamiętać, że George Stark był przecież człowiekiem tylko na papierze. Lubiałem go przez długi czas. i ten gość tłukł kasę, do cholery. Nazywałem to moją gwarancją jawolności. Sama świadomość, że mógłbym zrezygnować z uczenia, gdybym miał ochotę, i dalej spłacać kredyt hipoteczny, wywierała na mnie ogromnie wyzwalający wpływ. Chciałem jednak znowu pisać własne książki, a Starkowi brakowało pomysłów. Tak po prostu. Wiedzieliśmy o tym ja, Liz, mój agent... Chyba nawet wydawca George'a w Darwin Press o tym wiedział. Gdybym jednak zachował to w tajemnicy, pokusa napisania kolejnej powieści George'a Starka w końcu byłaby dla mnie zbyt silna. Jestem równie wrażliwy na syreni śpiew mamony jak wszyscy. Wydawało się, że rozwiązaniem będzie wbicie osikowego kołka w jego serce raz na zawsze. Innymi słowy – ujawnienie tego. I to właśnie zrobiłem. Prawdę mówiąc, robię teraz.

Thad z bladym uśmiechem uniósł wzrok znad tygodnika. Nagle jego zdumienie zainscenizowanymi zdjęciami w „People” wydało się trochę świętoszkowate i udawane. Fotografowie „People” nie byli bowiem jedynymi, którzy czasem aranżowali sytuację tak, aby wyglądała zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami czytelników. Przypuszczał, że większość rozmówców dziennikarzy też to robi w mniejszym bądź większym stopniu. Sądził jednak, że chyba poradził sobie z tym lepiej niż niektórzy z nich; ostatecznie był przecież powieściopisarzem... a powieściopisarz to po prostu facet, któremu płacono za mijanie się z prawdą. Im bardziej kłamał, tym lepiej był wynagradzany.

„Starkowi brakowało pomysłów. Tak po prostu”.

Jakże szczere wyznanie.

Jakże ujmujące.

Jakże wierutnie kłamliwe.

– Kochanie?

– Tak?

Liz próbowała wytrzeć myjką buzię córce, której ten pomysł niezbyt się spodobał. Odwracała główkę, gaworząc z oburzeniem, a Liz starała się nadążyć za jej ruchami. Thad pomyślał, że żona w końcu ją dopadnie, chociaż nie wykluczał, iż najpierw się zmęczy. Wyglądało na to, że Wendy też nie wyklucza takiej możliwości.

– Czy słusznie zatailiśmy rolę, jaką w tym wszystkim odegrał Clawson?

– Przecież nie skłamaliśmy. Po prostu nie wymieniliśmy jego nazwiska.

– A on był durniem, prawda?

– Nie, skarbie.

– Nie był?

– Nie – odparła spokojnie Liz. Zaczęła teraz wycierać buzię Williamowi. – Był obrzydliwym mendoidem.

– Mendoidem? – prychnął Thad.

– Zgadza się. Mendoidem.

– Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie słyszałem tego określenia.

– Widziałam je w zeszłym tygodniu na pudełku z filmem wideo, gdy szukałam w sklepie na rogu czegoś do wypożyczenia. Horror zatytułowany *Mendoidzi*. I pomyślałam: Cudownie. Ktoś nakręcił film o Fredericku Clawsonie i jego krewnych. Muszę o tym powiedzieć Thadowi. Ale zapomniałam.

– Więc naprawdę nie widzisz w tym nic niewłaściwego?

– Naprawdę nic – odparła i dłonią, w której trzymała myjkę, wskazała najpierw męża, a potem rozłożony na stole tygodnik. –

Thad, dostałeś z tego tyle, ile ci się należało. Gawieź też dostała należną jej część. A Frederick Clawson dostał gówno... czyli dokładnie to, na co zasłużył.

– Dzięki.

Wzruszyła ramionami.

– Proszę. Czasem za bardzo się przejmujesz.

– Czy to cię męczy?

– Tak... tylko to... William, no nie! Thad, gdybyś zechciał mi trochę pomóc...

Thad zamknął magazyn i zaniósł Willa do sypialni bliźniąt, idąc za żoną, która trzymała Wendy. Puciołowaty malec był ciepły i przyjemnie ciężki, zarzucił mu niedbale rączki na szyję i jak zwykle gapił się na wszystko wybałuszonymi z zaciekawienia oczami. Liz położyła córeczkę na stoliku do przewijania; Thad ułożył Willa na drugim. Oboje – Liz nieco szybszymi niż mąż ruchami – założyli im suche pieluchy.

– Cóż – rzekł Thad – pojawiliśmy się na łamach tygodnika „People” i na tym koniec. Dobrze?

– Dobrze – odparła z uśmiechem.

Wydał się on Thadowi trochę nieszczerzy, ale przypomniał sobie swój wcześniejszy napad wesołości i postanowił dać temu spokój. Czasem po prostu nie był pewien sytuacji – owa niepewność stanowiła rodzaj psychicznego odpowiednika jego fizycznej nieporadności – i wtedy czepiał się Liz. Rzadko mu odburkiwała, ale nieraz, gdy mówił zbyt długo, widział w jej oczach znużenie. Co ona powiedziała? „Czasem za bardzo się przejmujesz”.

Zapiął Willowi pieluchę, przytrzymując brzuszek wiercącego się radośnie malca, żeby nie stoczył się ze stolika i nie zabił, na co miał

wyraźną ochotę.

– Kakaraka! – zawołał chłopczyk.

– Taak – zgodził się Thad.

– Titit! – wrzasnęła Wendy.

Jej tatuś skinął głową.

– To też brzmi sensownie.

– Dobrze, że go uśmierciliśmy – oświadczyła nagle Liz.

Thad uniósł wzrok. Zastanawiał się przez moment, po czym potwierdził skinieniem głowy. Nie było potrzeby określać, kim jest nieboszczyk; wiedzieli to oboje.

– Taak.

– Nie przepadałam za nim.

„To straszne mówić tak o swoim mężu” – już chciał powiedzieć, ale zrezygnował. To nie było dziwne, ponieważ Liz nie mówiła o nim. Warsztat pisarski George’a Starka nie był jedyną istotną różnicą między nimi.

– Ja też nie – przyznał. – Co jest na kolację?

ROZDZIAŁ DRUGI

KONIEC Z PROWADZENIEM DOMU

1

Tej nocy Thad miał zły sen. Obudził się bliski łez, trzęsąc się niczym szczenię zaskoczone przez burzę z piorunami. W tym śnie przebywał z George'em Starkiem, tyle że George nie był pisarzem, lecz pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Zawsze też stał tuż za Thadem, więc był tylko głosem i cieniem.

2

Życiorys dla Darwin Press – sporządzony przez Thada tuż przed rozpoczęciem pracy nad *Oksfordzkim bluesem*, drugim dziełem George'a Starka – stwierdzał, że Stark jeździł „pick-upem GMC z 1967 roku, który trzymał się kupy dzięki modlitwie i farbie do gruntowania”. Jednak we śnie jechali czarnym jak smoła oldsmobilem toronado i Thad wiedział, że popełnił błąd, pisząc o pick-upie. Stark kierował bowiem tym pojazdem – karawanem o napędzie odrzutowym.

Oldsmobil był podniesiony z tyłu i wcale nie przypominał samochodu pośrednika w handlu nieruchomościami. Wyglądał za to jak środek lokomocji trzeciorzędnego gangstera. Thad spojrzął na niego przez ramię, gdy szli w stronę domu, który Stark miał mu

z jakiegoś powodu pokazać. Myślał, że zobaczy

Starka, i ostry sopel strachu przeszył mu serce. Ale teraz Stark stał tuż za jego drugim ramieniem (choć Thad nie miał pojęcia, jak zdołał się tam znaleźć tak szybko i bezszelestnie) i Beaumont ujrzał jedynie samochód, błyszczącą w słońcu stalową tarantulę. Na bardzo wysokim tylnym zderzaku widniała nalepka z napisem GŁOŚNY SUKINSYN. Po obu stronach napisu znajdowały się trupia czaszka i piszczele.

Dom, do którego przywiózł go Stark, był jego domem – nie tym zimowym w Ludlow, znajdującym się niedaleko uniwersytetu, lecz letnim domem w Castle Rock. Za nim rozciągała się północna zatoka Castle Lake i Thad słyszał słaby plusk fal na brzegu. Na małym trawniku za podjazdem umieszczono tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ.

– Ładny dom, nieprawdaż? – niemal wyszeptał zza jego ramienia Stark. Jego głos był ostry, lecz pieszczotliwy niczym liźnięcie kociego języka.

– To mój dom – odparł Thad.

– Mylisz się całkowicie. Właściciel tego domu nie żyje. Zabił swą żonę i dzieci, a potem siebie. Skończył ze sobą. Po prostu trzask-prask i do widzenia. Miał w sobie tę cechę. Nie trzeba było wyteżać wzroku, by ją dostrzec. Można powiedzieć, że rzucała się w oczy.

„Czy to jakiś żart?” – miał zamiar zapytać. Czuł, że powinien pokazać Starkowi, iż się go nie boi. Powinien dlatego, że był śmiertelnie przerażony. Zanim jednak zdołał wypowiedzieć słowo, jakaś wielka dłoń jakby pozbawiona bruzd (choć trudno było to stwierdzić na pewno, bo palce były tak zgięte, że rzucały na nią splątany cień) wysunęła się nad jego ramieniem, wymachując mu

przed nosem pękiem kluczy.

Nie, nie wymachując. Gdyby tak było, mógłby się odezwać, może nawet odepchnąłby je, aby pokazać, że wcale się nie boi tego straszego człowieka, który uparcie stał za nim. Ale dłoń cisnęła mu klucze w twarz. Thad musiał je chwycić, żeby nie dostać nimi w nos.

Wsunął jeden z kluczy do zamka w drzwiach frontowych, gładkiej dębowej powierzchni, z której wystawały jedynie gałka oraz mosiężna kołatka z wyglądu przypominająca małego ptaka. Klucz obrócił się bez trudu i to go zdziwiło, ponieważ wcale nie był to klucz do domu, lecz klawisz maszyny do pisania umocowany na końcu długiego stalowego pręta. Wszystkie inne klucze na kółku wyglądały na uniwersalne, jak te używane przez włamywaczy.

Chwycił gałkę i obrócił. W tym momencie okute żelazem drewno drzwi pomarszczyło się i skurczyło; towarzyszyła temu seria gromkich jak wybuchy petard eksplozji. Przez nowe szczeliny między deskami widać było światło. Przez szpary wyleciał kurz. Rozległ się suchy trzask i jedna z żeliwnych ozdób odpadła od drzwi, po czym z głuchym stukiem uderzyła o próg obok nóg Thada.

Wszedł do środka.

Nie chciał tego robić; pragnął stać na werandzie i spierać się ze Starkiem. Więcej! Zaprotestować, zapytać go, dlaczego, w imię Boga, to robi. Wejście do domu było bowiem jeszcze bardziej przerażające niż sam Stark. Ale to był sen, zły sen, i wydawało mu się, że istotą złych snów jest brak kontroli. Przypominało to jazdę kolejką górską, która mogła w każdej chwili wspiąć się wyżej i porwać cię w dół, gdzie zginąłbyś w zderzeniu z murem niczym robak rozgnieciony packą na muchy.

Dobrze znany korytarz stał się obcy, prawie nieprzyjazny przez sam

brak spłowiełego tureckiego chodnika, którego wymianę stale zapowiadała Liz... I choć podczas samego snu wydawało się to drobiazgiem, właśnie do niego potem wciąż powracał, chyba dlatego, że budził autentyczne przerażenie, wykraczające poza kontekst snu. Czy można się czuć bezpiecznie, skoro usunięcie czegoś tak drugorzędnego jak chodnik z korytarza wywołuje tak silne uczucie oderwania, dezorientacji, smutku i lęku?

Nie podobał mu się odgłos własnych kroków na drewnianej podłodze, i to nie tylko dlatego, że potwierdzał to, co stojący za nim łąjdak powiedział o domu – że jest niezamieszkaany, przeniknięty niezmaconym bólem nieobecności. Nie podobał mu się ten dźwięk, bo świadczył o jego straszliwym smutku.

Chciał zawrócić i wyjść, nie mógł jednak tego zrobić, ponieważ za nim kroczył Stark. Wyczuwał też, że George trzyma teraz brzytwę Alexisa Machine'a z rączką z masy perłowej, tę, którą jego kochanka pokiereszowała draniowi twarz w finale *Sposobu Machine'a*.

Gdyby się odwrócił, George Stark sam pobawiłby się w rzeźnika.

Dom mógł być niezamieszkaany, lecz całe wyposażenie oprócz dywanów (ten łososiowy, zajmujący całą powierzchnię salonu, także zniknął) pozostało. Wazon z kwiatami stał na stoliku z miękkiego drewna na końcu holu, skąd można było iść prosto do salonu z wysokim katedralnym sufitem i przeszkloną ścianą wychodzącą na jezioro lub skręcić w prawo do kuchni. Thad dotknął wazonu, a ten, eksplodując, zmienił się w chmurę odłamków i drażniącego ceramicznego pyłu. Sześć róż ogrodowych zwiędło i poczerniało, zanim wylądowały w kałuży cuchnącej wody rozlanej na stoliku. Dotknął samego stolika. Drewno wydało z siebie suchy trzask i blat pękł na dwoje; wydawało się, że obie części osunęły się raczej, niż

upadły na ogołoconą z chodnika podłogę.

– Co zrobiłeś z moim domem!? – krzyknął do stojącego za nim mężczyzny, nie odwracając się jednak. Nie musiał tego robić, by potwierdzić obecność brzytwy, której, zanim Nonie Griffiths wypróbowała ją na Machine, masakrując mu policzki i wydłubując oko, Machine sam używał do rozpruwania nosów swoich „rywali w interesach”.

– Nic – odparł Stark i Thad nie musiał widzieć jego twarzy, by wyobrazić sobie uśmiech, który słyszał w jego głosie. – To ty to robisz, stary koniu.

Potem znaleźli się w kuchni.

Thad dotknął kuchenki i ta pękła na dwoje z głuchym odgłosem przypominającym brzęk wielkiego dzwonu oblepionego zaschniętą gliną. Skrętki grzejne wystrzeliły pionowo i ukośnie w górę niczym porwane wichrem zabawne spiralne kapelusze. Z ciemnej dziury w kuchence wydobywał się obrzydliwy smród. Zerknąwszy do środka, Thad ujrzał odrażającego rozkładającego się indyka. Z jamy w ciele ptaka sączył się czarny płyn z jakimiś kawałkami mięsa.

– Tutaj nazywamy to nadzieniem z głupca – zauważył Stark z za jego pleców.

– Co masz na myśli? – zapytał Thad. – Tutaj, czyli gdzie?

– W Endsville – odparł spokojnie Stark. – Tutaj kończą bieg wszystkie pociągi.

Dodał coś jeszcze, ale Thad tego nie dosłyszał. Potknął się o leżącą na podłodze torebkę Liz. Gdy się chwycił kuchennego stołu, żeby nie upaść, ten rozleciał się w drzazgi i opadł na linoleum. Błyszczący gwóźdź potoczył się w kąt kuchni z cichym metalicznym brzękiem.

– Natychmiast przestań! – krzyknął Thad. – Chcę się obudzić! Nie

znoszę psuć wszystkiego!

– Zawsze byłeś niezdara, stary – odparł Stark. Zabrzmiało to tak, jakby Thad miał liczne rodzeństwo, bez wyjątku poruszające się z gracją gazeli.

– Nie muszę nim być – oświadczył Thad pełnym trwogi, niemal lękliwym głosem. – Nie muszę być niezdarny. Nie muszę wszystkiego psuć. Gdy jestem ostrożny, wszystko gra.

– Tak... to fatalnie, że przestałeś być ostrożny – rzekł Stark tym samym pogodnym głosem obiektywnego obserwatora sytuacji. Stali teraz w holu w głębi domu.

Ujrzał tam Liz siedzącą z rozsuniętymi nogami w kącie przy drzwiach do drewnutni, obutą w jeden mokasyn. Na jej kolanach leżał martwy wróbel. Miała na sobie nylonowe pończochy, w jednej z nich puściło oczko. Nieco szorstkie miodowe włosy zakrywały jej oblicze. Thad nie chciał go widzieć. Tak jak nie musiał widzieć brzytwy Starka ani jego lodowatego uśmiechu, żeby zdawać sobie sprawę z ich bliskości, tak nie musiał widzieć twarzy Liz, by wiedzieć, że wcale nie śpi ani nie jest nieprzytomna, lecz po prostu nie żyje.

– Zapal światło, będziesz lepiej widział – rzekł Stark głosem człowieka spędzającego czas z przyjacielem. Jego dłoń pojawiła się nad ramieniem Thada, wskazując na lampy, które Thad własnoręcznie zainstalował. Były oczywiście elektryczne, lecz przypominały autentyczne naftowe nietoperze: dwie zamocowane na drewnianym wrzecionie latarnie sztormowe o natężeniu światła regulowanym ściemniaczem na ścianie.

– Nie chcę widzieć!

Próbował sprawiać wrażenie pewnego siebie twardziela, ale zaczęło to do niego docierać. Słyszał, że jego głos brzmi nierówno, co

znaczyło, iż jest gotów się rozkleić. To, co powiedział, i tak nie miało chyba znaczenia, sięgnął bowiem do okrągłego reostatu na murze. Gdy go dotknął, między palcami przepłynął mu strumień błękitnego, bezbolesnego elektrycznego ognia, tak gęsty, że przypominał raczej galaretę niż światło. Okrągła gałka reostatu w kolorze kości słoniowej poczerniała, oderwała się od ściany i przefrunęła ze świstem przez pokój niczym miniaturowy latający spodek. Stłukła szybę w małym oknie po drugiej stronie i zniknęła w oddali na niebie, które zabarwiło się niesamowicie na zielono jak pokryta nalotem miedź.

Elektryczne nietoperze zapaliły się nienaturalnie jasnym blaskiem i wrzeciono zaczęło się obracać, nawijając łańcuch, na którym wisiały klosze, i sprawiając, że cienie zaczęły pląsać po pokoju w szalonym karuzelowym tańcu. Stłukł się pierwszy, a potem drugi cylindryczny klosz latarni, obsypując Thada gradem odłamków szkła.

Bez namysłu skoczył naprzód i chwycił żonę, chcąc wydostać ją spod latarni, zanim łańcuch pęknie i zwali na nią ciężkie drewniane wrzeciono. Ten odruch był tak silny, że przeważył nad wszystkim innym, włącznie z przeświadczeniem, iż to i tak nie ma znaczenia, bo ona nie żyje. Stark mógł wyrwać z ziemi Empire State Building z fundamentami i spuścić go na Liz – i tak nie miałyby to znaczenia. W każdym razie nie dla niej. Już nie.

Gdy wsuwał ręce pod plecy Liz i splatał dłonie między łopatkami, jej ciało przesunęło się naprzód, a głowa odchyliła do tyłu. Skóra na jej twarzy pękała niczym powierzchnia wazy z czasów dynastii Ming. Szkliste oczy nagle eksplodowały. Obrzydliwa, odrażająco ciepła zielona galareta trysnęła Thadowi w twarz. Martwa Liz rozdziawiła usta i wyleciał z nich biały grad zębów. Czuł, jak ich twarde bryłki przebijają mu policzki i czoło. Z podziurawionych dziąseł trysnęły

strumienie na wpół zakrzepłej krwi. Język wysunął się spomiędzy warg i spadł na jej sukienkę niczym zakrwawiony kawałek węża.

Thad zaczął wrzeszczeć – dzięki Bogu tylko we śnie, nie naprawdę, bo inaczej przeraziłby śmiertelnie swą żonę.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem, gnoju – rzekł cicho Stark za plecami pisarza. Jego głos przestał być pogodny. Był zimny jak wody Castle Lake w listopadzie. – Pamiętaj o tym. Lepiej mnie nie wkurwiał, bo gdy mnie wkurwiasz...

3

Thad obudził się gwałtownie z mokrą twarzą; poduszka, którą wcześniej konwulsyjnie przyciskał do twarzy, też była mokra. Mógł ją zrosić łzami lub kroplami potu.

– ...to masz przechlapane – dokończył z ustami w poduszce, a potem leżał w pozycji embrionalnej, drżąc spazmatycznie.

– Thad? – wymamrotała niewyraźnie Liz z głębi własnego snu. – Bliźnięta całe i zdrowe?

– Całe i zdrowe – zdołał wykrztusić. – Ja... nic. Śpij dalej.

– Taak, wszystko jest...

Powiedziała coś jeszcze, lecz nie dosłyszał, podobnie jak tego, co dodał Stark, powiedziawszy mu, że dom w Castle Rock to Endsville... stacja, gdzie kończą swój bieg wszystkie pociągi.

Thad leżał na przepoconym prześcieradle, z wolna wypuszczając poduszkę z rąk. Pomasował twarz gołą dłonią i czekał, aż sen pierzchnie, aż ustąpią drgawki. Ustąpiły, tyle że zaskakująco powoli. Przynajmniej udało mu się nie obudzić Liz.

Wpatrywał się bezmyślnie w ciemność, nie próbując rozumieć sensu snu, pragnąc jedynie, żeby odszedł. Po nieskończeniu długim czasie

Wendy obudziła się w sąsiednim pokoju i zaczęła się głośno domagać zmiany pieluchy. Oczywiście chwilę później obudził się William, uznawszy, że jego też trzeba przewinąć (kiedy jednak Thad zdjął mu pieluchę, okazało się, że jest całkiem sucha).

Liz ocknęła się natychmiast i jak lunatyczka pomaszerowała do pokoju dzieci. Thad – znacznie bardziej przytomny i chociaż raz uradowany tym, że trzeba się nimi zająć w środku nocy, a przynajmniej tej nocy – poszedł z nią. Gdy Liz zmieniła pieluchę córce, on przewinął Williama; oboje mówili przy tym niewiele, a gdy wrócili do łóżka, Thad z ulgą uświadomił sobie, że znowu pogrąża się we śnie. Wcześniej myślał, że chyba ma już dosyć spania tej nocy. A gdy się obudził, mając jeszcze w pamięci świeży obraz gwałtownego rozpadu ciała Liz, myślał, że już nigdy więcej nie zmruży oka.

Rano nie będzie po nim śladu, jak po wszystkich złych snach.

Była to jego ostatnia myśl na jawie tej nocy, lecz kiedy ocknął się nazajutrz rano, pamiętał sen w każdym szczególe (choć tylko zagubione i samotne echo jego stąpania po gołej podłodze korytarza zachowało pełne zabarwienie emocjonalne) i nie zatarł się on we wspomnieniach z biegiem dni, jak zazwyczaj bywa ze snami.

Należał do tych nielicznych, które zachował w pamięci, realnym normalnym wspomnieniem. Klawisz maszyny do pisania, zupełnie gładka dłoń oraz oschły, niemal pozbawiony modulacji głos George'a Starka mówiącego mu z tyłu, że jeszcze z nim nie skończył i że jeśli wkurwi tego moralizującego sukinsyna, to ma przechłapanie.

ROZDZIAŁ TRZECI CMENTARNY BLUES

1

Steven Holt był szefem trzyosobowego zespołu dozorców terenów rekreacyjnych w Castle Rock, więc wszyscy miejscowi nazywali go Grabarzem. To przydomek przynależny tysiącom dozorców publicznych terenów rekreacyjnych w miasteczkach Nowej Anglii. Jak większość z nich Holt odpowiadał za dość duży zakres robót, zważywszy na niewielką liczebność swojej ekipy. Miasto miało dwa boiska małej ligi, które wymagały pielęgnacji – jedno koło Harlow, a drugie w Castle View; były też miejskie błonia, które trzeba było obsiewać wiosną, kosić latem i grabić z liści jesienią (nie wspominając o drzewach wymagających przycinania, a czasami ścinania, o konserwacji estrady i miejsc wokół niej); oraz parki miejskie – jeden nad Castle Stream koło starego tartaku, a drugi przy Castle Falls, gdzie od niepamiętnych czasów płożono niezliczoną liczbę dzieci miłości.

Mógł tym wszystkim kierować i aż do śmierci pozostać zwyczajnym poczciwym Steve'em Holtem. W Castle Rock były jednak także trzy cmentarze i jego brygada za nie odpowiadała. Grzebanie ludzi było najprostszą z prac związanych z utrzymaniem cmentarza. Do tego dochodziło sadzenie, grabienie i ponowne obkładanie darnią oraz uprzątnięcie śmieci po dniach świątecznych. Po Dniu Pamięci do

sprzątnięcia pozostawała największa sterta gówna, ale Czwarty Lipca, Dzień Matki i Dzień Ojca też zapewniały zajęcie – trzeba się było pozbyć zwiędłych kwiatów i spłowiałych flag. A od czasu do czasu zmyć lekceważące komentarze nagryzmolone przez dzieci na grobowcach i nagrobkach.

To wszystko oczywiście nie miało znaczenia dla mieszkańców miasta. Ludzie tacy jak Holt zawdzięczali swój przydomek grzebaniu nieboszczyków. Matka dała mu na imię Steven, ale on był Grabarzem Holtem, odkąd podjął tę pracę w 1964 roku, i pozostałby nim aż do dnia swej śmierci, nawet gdyby znalazł inne zajęcie, co po sześćdziesiątce było mało prawdopodobne.

O siódmej rano w środę pierwszego czerwca, pięknego i słonecznego późnowiosennego dnia, Grabarz podjechał pick-upem pod Homeland Cemetery i wysiadł, by otworzyć żelazną bramę. Miała zamek, ale używano go tylko dwa razy w roku – wieczorem w dniu rozdania dyplomów w miejscowej szkole średniej i w Halloween. Otworzywszy ją, ruszył powoli środkową alejką.

Tego ranka chodziło wyłącznie o rekonesans. Obok Grabarza leżała podkładka do pisania, na której miał zaznaczyć strefy cmentarza wymagające pracy przed Dniem Ojca. Po sprawdzeniu Homeland miał pojechać na Grace Cemetery na drugim końcu miasta, a później do parku sztywnych przy skrzyżowaniu Stackpole Road i drogi miejskiej numer 3. Tego popołudnia miał wraz ze swą ekipą rozpocząć niezbędne prace. Nie powinno być najgorzej; ciężką robotę wykonali w końcu kwietnia, w porze wiosennych porządków.

Podczas tych dwóch tygodni on, Dave Phillips oraz Deke Bradford, szef miejskiego wydziału robót publicznych, pracowali po dziesięć godzin dziennie jak co roku, czyszcząc zatkane przepusty, układając

darń w miejscach, gdzie spływająca wiosną woda zerwała starą okrywą roślinną, naprawiając płyty nagrobne i pomniki, które się przechyliły wskutek wysadzin. Wiosną mieli setki uciążliwych obowiązków, wielkich i drobnych, więc wróciwszy do domu, Grabarz ledwie był w stanie przyrządzić sobie skromną kolację i wypić puszkę piwa, po czym padał na łożko. Wiosenne sprzątanie zawsze kończyło się w tym samym dniu – kiedy czuł, że bezustanny ból pleców doprowadzi go do kompletnego szaleństwa.

Czerwcową pielęgnacja była znacznie mniej wyczerpująca, lecz nie mniej istotna. Z końcem czerwca do Castle Rock zaczynały tradycyjnie przybywać grupy letników, a wraz z nimi dawni mieszkańcy (oraz ich dzieci), którzy wyprowadzili się w cieplejsze lub bogatsze rejony kraju, ale zachowali w mieście nieruchomości. Ludzi tych Grabarz uważał za prawdziwych upierdliwców. Podnosili larum, gdy od koła wodnego w tartaku odpadła łopatką lub płyta na grobie stryja Reginalda przewróciła się napisem do dołu.

Cóż, nadciąga zima, pomyślał. Tym właśnie pocieszał się przez wszystkie pory roku, z obecną włącznie, gdy zima wydawała się równie odległa jak sen.

Homeland był największym i najładniejszym z miejskich cmentarzy. Jego centralna alejka szerokością dorównywała niemal zwykłym drogom i krzyżowała się z czterema węższymi alejkami, utworzonymi właściwie przez ślady kół, ze starannie przystrzyżoną trawą rosnącą między nimi. Grabarz jechał przez cmentarz centralną alejką, minął pierwsze i drugie skrzyżowanie, dotarł do trzeciego... i ostro zahamował.

– O w dupę jeża! – wykrzyknął, gasząc silnik i wysiadając z pick-upa. Ruszył alejką w stronę dziury w trawniku widocznej około

piętnastu metrów dalej, na prawo od skrzyżowania. Wokół niej niczym odłamki po wybuchu granatu leżały brunatne grudy ziemi. – Cholerni smarkacze!

Stanął przy dziurze w swych spłowiałych zielonych spodniach roboczych, wsparty pod boki zgrubiałymi dłońmi. Niezły bałagan. Niejeden już raz musieli sprzątać po zgrai smarkaczy, którzy za czyjąś namową albo pod wpływem alkoholu urządzali o północy kopanie grobów – zazwyczaj chodziło o rytuał inicjacyjny bądź o zgrywę garstki nastoletnich cymbałów podnieconych blaskiem księżyca i bawiących się setnie. Z tego, co wiedział, żaden z nich nie wykopał jeszcze trumny ani, nie daj Boże, nie ekshumował żadnego z lokatorów – bez względu na stopień upojenia te wesołki zazwyczaj poprzestawały na wykopaniu dziury głębokości około metra, po czym znużone zabawą wynosiły się z cmentarza. I chociaż kopanie dołów na jednej z lokalnych kościotrupiarni było w złym guście (chyba że dotyczyło faceta takiego jak Grabarz, któremu płacono i którego formalnie upoważniono do grzebania ludzi), zwykle bałagan był umiarkowany.

To jednak nie był zwykły przypadek.

Dziura nie miała wyraźnego kształtu. Z pewnością nie przypominała prostokątnego grobu ze starannie wyrównanymi narożami. Była głębsza niż te, które zazwyczaj udawało się wykopać pijakom i licealistom, lecz jej ściany nie były pionowe. Dół miał kształt przepołowionego stożka i gdy Grabarz zdał sobie sprawę, co naprawdę przypomina, poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz.

Dół wyglądał tak, jakby ktoś, kogo zakopano w nim żywcem, ocknął się i gołymi rękami wygrzebał się spod ziemi.

– Och, daj spokój – mruknął. – Pieprzony kawał. Pieprzeni

smarkacze.

To pewnie ich sprawka. W dole nie było trumny, nie widział przewróconej płyty nagrobnej, co było całkowicie zrozumiałe, bo przecież nikogo tutaj nie pochowano. Żeby się o tym przekonać, nie musiał wracać do szopy z narzędziami, gdzie do ściany przypięto pinezkami szczegółowy plan cmentarza. Znajdował się na sześciokwaterowej działce będącej własnością przewodniczącego rady miejskiej Danfortha „Bustera” Keetona.

I jedyne rzeczywiście zajęte kwatery mieściły ciała jego ojca i stryja. Leżeli z prawej strony, ich płyty nagrobne stały prosto, nienaruszone.

Grabarz dobrze pamiętał tę działkę z jeszcze jednego powodu. Tutaj właśnie nowojorczyk z tygodnika „People” postawili imitację płyty nagrobnej, gdy przygotowywali artykuł o Thadzie Beaumencie. Beaumont i jego żona mieli letni dom nad Castle

Lake. Dave Phillips zajmował się ich lokum, a zeszłej jesieni Grabarz osobiście pomagał mu asfaltować podjazd, zanim liście opadły z drzew i znowu było sporo roboty. Po czym tej wiosny Beaumont zapytał go z lekkim zażenowaniem, czy jakiś fotograf może ustawić na cmentarzu imitację nagrobka do czegoś, co nazywał „zdjęciem trikowym”.

– Jeżeli ma pan coś przeciwko temu, niech pan po prostu powie – zastrzegł Beaumont, wydając się bardziej zakłopotany niż kiedykolwiek. – To naprawdę drobna sprawa.

– Bardzo proszę – odparł uprzejmie Grabarz. – Powiedział pan: z magazynu „People”?

Thad skinął głową.

– No! No! To nie byle co, prawda? Ktoś z naszego miasta będzie

w tygodniku „People”! Będę musiał kupić ten numer!

– Ja nie jestem pewien, czy to zrobię – odparł Beaumont. – Dzięki, panie Holt.

Grabarz lubił Beaumonta, mimo że ten był pisarzem. Sam skończył tylko osiem klas – tę ostatnią dopiero za drugim podejściem – i nie wszyscy w mieście zwracali się do niego w ten sposób.

– Ci cholerni żurnaliści, gdyby tylko mogli, najchętniej sfotografowaliby pana goluteńskiego z kutasem wetkniętym w psi zad.

Beaumont wybuchnął wyjątkowo gromkim śmiechem.

– Taak, myślę, że tego właśnie by chcieli – odparł i klepnął Grabarza w ramię.

Okazało się, że fotografem była kobieta w rodzaju tych, które Holt nazywał luksusowymi cipami z miasta. W tym wypadku oczywiście z Nowego Jorku. Chodziła tak, jakby miała jedno wrzeczono wetknięte do pochwy, a drugie do tyłka i oba kręciły się jak frygi. Wynajęła kombi w jednej z wypożyczalni na lotnisku w Portlandzie i wypełniła je po sufit sprzętem fotograficznym. Aż cud, że w środku znalazło się jeszcze miejsce dla niej i jej asystenta. Gdyby samochód okazał się za mały i przyszło wybierać między pozbyciem się asystenta a wywaleniem części tego sprzętu, jeden goguś z Nowego Jorku próbowałby pewnie złapać okazję z powrotem na lotnisko.

Beaumontowie, którzy przyjechali za nią własnym samochodem i zaparkowali za kombi, wyglądali na zakłopotanych i zarazem rozbawionych. Ponieważ wydawało się, że towarzyszą luksusowej cipie z miasta z własnej nieprzymuszonej woli, Grabarz przypuszczał, że rozbawienie wzięło u nich górę nad zakłopotaniem. Mimo to nachylił się, żeby się upewnić, ignorując przemądrzałe spojrzenie luksusowej cipy.

– Wszystko w porządku, panie B...? – zapytał.

– Bynajmniej, ale chyba będzie dobrze – odparł Thad i puścił oko do Grabarza. Holt mrugnął doń w odpowiedzi.

Gdy zrozumiał, że Beaumontowie mają zamiar zrobić, co zaplanowali, rozsiadł się wygodnie, żeby obserwować – potrafił nie mniej niż inni docenić darmowy spektakl. Między resztę swoich manatków kobieta wetknęła imitację płyty nagrobnej w rodzaju tych staroświeckich, zaokrąglonych u góry. Przypominała raczej płyty, które Charles Addams rysował w swoich komiksach, niż te prawdziwe, niedawno instalowane przez Grabarza. Fotografka wydziwiała, zmuszając swojego pomocnika do ustawiania jej to tu, to tam. Grabarz wtrącił się raz, żeby zaproponować pomoc, lecz ona po prostu podziękowała na swój nadęty nowojorski sposób, więc wrócił na swoje miejsce.

W końcu dopięła swego i zmusiła asystenta, by przestał się opieprzać i zaczął ustawiać światła. I na tym zeszło im blisko pół godziny. A pan Beaumont przez cały czas stał tam i się przyglądał, niekiedy pocierając białą bliznę na czole w ów dziwny, charakterystyczny dla niego sposób. Jego oczy zafascynowały Grabarza.

Facet robi teraz własne zdjęcia, pomyślał. Pewnie lepsze od jej wypocin, a w dodatku o wiele trwalsze. Zapamiętuje ją po to, żeby pewnego dnia umieścić w książce, a ona nawet o tym nie wie.

W końcu kobieta była gotowa zrobić kilka zdjęć. Kazała Beaumontom ucisnąć sobie dłonie nad tym nagrobkiem kilkanaście razy, a tego dnia było cholernie zimno i mokro. Dyrygowała nimi tak jak swym piskliwym, afektowanym pomocnikiem. Słyszając jej ryki i wielokrotne polecenia, żeby powtórzyć ujęcie, bo było

nieodpowiednie światło albo ich twarze wyglądały nie tak, jak trzeba, lub może swędział ją cholerny tyłek, Grabarz spodziewał się, że pan Beaumont – według zasłyszanych przez niego plotek człowiek dość szybko tracący zimną krew – zaraz się na niej wyładuje. Ale pan Beaumont – oraz jego żona – wydawał się raczej rozbawiony niż wkurzony i dalej robili to, co kazała im luksusowa cipa z miasta, mimo paskudnej pogody. Grabarz uważał, że gdyby chodziło o niego, wkurzyłby się na tę panią już po chwili. Na przykład po piętnastu sekundach.

I właśnie tutaj, gdzie znajdował się ten idiotyczny, cholerny dół, wkopali niby-nagrobek. Gdyby zaś potrzebował dodatkowego dowodu, to w darni były jeszcze okrągłe wgłębienia, ślady, które pozostawiły obcasy luksusowej cipy z miasta. Przecież była z Nowego Jorku; tylko babka stamtąd zjawiałaby się w szpilkach pod koniec wiosny, a potem dreptała w nich po cmentarzu, robiąc zdjęcia. Jeżeli to nie było...

Przerwał ciąg myśli i znowu poczuł chłód. Wpatrywał się w zanikające tatuaże pozostawione przez obcasy butów fotografki i wówczas natrafił wzrokiem na inne, świeższe ślady.

2

Ślady? Czy to były ślady?

Jasne, że nie, po prostu czubek, który wykopał ten dół, odrzucił część ziemi dalej niż resztę. I to wszystko.

Tyle że tak nie było i Grabarz Holt zdawał sobie z tego sprawę. Zanim zdążył dotrzeć do pierwszej ziemistej plamy na zielonej trawie, w stercie ziemi na brzegu dołu ujrzał głęboki odcisk buta.

Więc są ślady stóp, no i co z tego? Myślisz, że ten, kto to zrobił,

fruwał ze szpadlem w ręce niczym przyjazny duszek Kacper?

Żyją na świecie ludzie, którzy całkiem dobrze okłamują samych siebie, ale Grabarz Holt nie był jednym z nich. Ten nerwowy drwiący głos w jego myślach nie mógł zmienić tego, co widziały oczy. Całe życie tropił dzikie zwierzęta i polował na nie, więc ten znak był po prostu zbyt czytelny. I wiele by dał, żeby było inaczej.

W tej stercie ziemi przy grobie widniał nie tylko ślad stopy, ale i okrągłe wgłębienie o wielkości bliskiej średnicy płytkiego talerza. Znajdowało się ono na lewo od odcisku buta. A z obu stron wgłębienia i śladu stopy, lecz bardziej z tyłu, w ziemi widać było rowki, najwyraźniej ślady palców, które ślizgały się trochę, zanim się uczepiły gruntu.

Spojrzał dalej i spostrzegł kolejny ślad stopy. Jeszcze dalej na trawie widniała połowa trzeciego, który powstał, gdy od opartego w tym miejscu buta odpadła gruda ziemi. Odpadła, lecz była wystarczająco wilgotna, by zachować odcisk podeszwy... i tak samo zachowały je trzy lub cztery inne grudy, które najpierw przykuły jego wzrok. Gdyby nie przyjechał tak cholernie wczesnym rankiem, kiedy trawa była jeszcze mokra, słońce wysuszyłoby ziemię i ta rozpadłaby się na luźne, nic niemówiące kawałki.

Żałował, że nie przyjechał później, że nie udał się najpierw na Grace Cemetery, jak zamierzał, opuszczając dom.

Ale tego nie zrobił, i tyle.

Fragmentaryczne ślady stóp urywały się w odległości niespełna czterech metrów od

(grobu)

dołu w ziemi. Grabarz podejrzewał jednak, że na mokrej od rosy trawie mogły się jeszcze zachować odciski. Chociaż nie bardzo chciał,

postanowił to sprawdzić. Na razie skupił się na najwyraźniejszych śladach odcisniętych w małej stercie ziemi niedaleko dołu.

Bruzdy zrobione palcami; okrągłe wgłębienie tuż przed nimi; ślad stopy obok wgłębienia. Co wynikało z tej konfiguracji?

Grabarz właściwie nie musiał zadawać sobie tego pytania, bo odpowiedź wpadła mu do głowy niczym zagadkowe słowo w tym starym teleturnieju Groucho Marxa *Założ się o życie*. Zobaczył to tak wyraźnie, jakby tu był w chwili, gdy się to stało, i właśnie z tego powodu nie chciał mieć z tym więcej nic wspólnego. Było to cholernie odrażające.

No bo spójrz: oto mężczyzna stojący w świeżo wykopanym dole.

Tak, ale jak się tam znalazł?

Tak, ale czy to on wykopał ten dół, czy zrobił to ktoś inny?

Tak, ale dlaczego korzonki są skręcone i postrzępione, jakby darń została rozerwana gołymi rękami, nie zaś przecięta równo szpadlem?

Mniejsza o te „ale”. Mniejsza o zastrzeżenia. Chyba lepiej było o nich nie myśleć. Po prostu trzymaj się mężczyzny stojącego w dole, który jest trochę za głęboki, by mógł z niego po prostu wyskoczyć. Cóż zatem robi? Opiera dłonie na najbliższej stercie ziemi i się podciąga. Nie wymagało to wprawy, jeżeli oczywiście był w pełni dojrzałym mężczyzną, a nie małym chłopcem. Grabarz popatrzył na kilka wyraźnych śladów w zasięgu wzroku i pomyślał: Jeżeli to był chłopiec, to miał cholernie duże stopy. Pewnie co najmniej dwunastki.

Wysunąć ręce. Podciągnąć ciało. Dłonie ślizgają się nieco w luźnej ziemi, więc wbijasz w nią palce, pozostawiając te krótkie bruzdy. Wydostajesz się z dołu i wspierasz się na jednym kolanie, tworząc to okrągłe wgłębienie. Stawiasz stopę obok kolana, przenosisz ciężar

ciała z kolana na stopę, wstajesz i odchodzisz. Proste jak budowa cepa.

Więc jakiś facet wygrzebał się ze swojego grobu i po prostu sobie poszedł, czy tak? Może trochę zgłodniał i postanowił wpaść na piwo i cheeseburgera do Nan's Luncheonette?

– Niech to szlag trafi, przecież to nie jest żaden grób, to pieprzona dziura w ziemi! – powiedział głośno, po czym podskoczył nieco, gdy skarcił go krzykiem jakiś wróbel.

Tak, to tylko dziura w ziemi – czyż sam tak wcześniej nie mówił? Tylko dlaczego nie widział żadnych śladów kojarzących mu się z robotami ziemnymi? Dlaczego był tylko jeden ciąg śladów stóp prowadzących od wykopu i żadnych dookoła, żadnych skierowanych ku niemu, jak byłoby wtedy, gdyby facet kopał dół i stąpał po wybranej z niego ziemi, jak zwykle robi się w takich sytuacjach?

Przyszło mu do głowy pytanie, co z tym wszystkim pocnie, i niech go diabli porwą, jeśli znał na nie odpowiedź. Formalnie rzecz biorąc, popełniono przestępstwo, nie można było jednak oskarżyć sprawcy o splądrowanie grobu – nie w sytuacji, gdy kwatera, którą rozkopano, nie zawierała zwłok. W najgorszym razie można było to nazwać aktem wandalizmu, a jeżeli należało wywnioskować z tego coś jeszcze, Grabarz Holt nie miał pewności, czy ma na to ochotę.

Najlepiej chyba zasypać dół, ułożyć z powrotem te skrawki darni, które zdołałby odnaleźć, przywieźć wystarczająco dużo świeżej, by skończyć robotę, a potem zapomnieć o całej sprawie.

Ostatecznie, pomyślał po raz trzeci, nie wygląda na to, by ktoś naprawdę był tutaj pogrzebany.

Tamten dżdżysty wiosenny dzień zajaśniał przez chwilę w świetle jego wspomnień. Płyta nagrobna wyglądała tak prawdziwie! Gdy

człowiek zobaczył, jak nosi ją ów gibki asystent, wiedział, że to atrapa, ale gdy już ją ustawiono ze sztucznymi kwiatami z przodu i całą resztą, przysięgłby, że jest autentyczna i ktoś naprawdę jest tam...

Na rękach poczuł gęsią skórę.

– Po prostu daj temu spokój – powiedział do siebie ostro, a gdy wróbel znowu go skarcił, Grabarz z radością powitał nieprzyjemne, lecz całkowicie prawdziwe i zupełnie zwyczajne brzmienie jego głosu.
– A krzycz sobie, skurwielu – dodał i podszedł do ostatniego fragmentarycznego śladu stopy.

Za nim, jak w zasadzie podejrzewał, ujrzał inne odciski w trawie, szeroko rozstawione ślady. Patrząc na nie, Grabarz doszedł do wniosku, że facet może nie biegł, ale na pewno nie zwlekał. Czterdzieści metrów dalej napotkał wzrokiem trop innego rodzaju: duży kosz z kwiatami. Choć z tak dużej odległości nie mógł dostrzec żadnych odcisków stóp, kosz zapewne znajdował się na ścieżce wytyczonej przez ślady, które widział. Mężczyzna mógł ominąć kosz, ale zamiast to zrobić, po prostu kopnął weń i szedł dalej.

Zdaniem Grabarza Holta z ludźmi, którzy tak postępowali, nie należało zadzierać bez uzasadnionego powodu.

Idąc na ukos przez cmentarz, facet zmierzał w stronę niskiego muru odgradzającego park sztywnych od głównej drogi. Zachowywał się niczym człowiek, który ma dokąd iść i wie, co robić.

Chociaż natura poskapiła Grabarzowi wyobraźni w równym stopniu co umiejętności oszukiwania samego siebie (ostatecznie te dwie rzeczy zwykle idą w parze), przez chwilę widział tego człowieka, widział go w dosłownym sensie tego słowa: rosłego mężczyznę z dużymi stopami krocącego w ciemności przez ciche przedmieście

nieboszczyków, poruszającego się wytrwale i pewnie na dużych stopach, usuwającego kopniakiem ze swej drogi kosz z kwiatami i niezwalniającego przy tym nawet kroku. Ten człowiek na pewno się nie bał. Jeżeli bowiem były tu istoty, które jeszcze żyły, jak wierzyli niektórzy, to one by się go bały. Poruszał się, szedł, kroczył i oby Bóg przyszedł z pomocą każdemu, kto wejdzie mu w paradę.

Ptak znowu go zrugął.

– Zapomnij o tym, kolego – powiedział do siebie jeszcze raz. – Zasyj ten pieprzony dół i przestań o nim myśleć!

Rzeczywiście tak zrobił i naprawdę miał zamiar zapomnieć, lecz późnym popołudniem Deke Bradford zastał go na cmentarzu przy Stackpole Road i przekazał mu wiadomość o Homerze Gamache’u, którego znaleziono późnym rankiem niecałe dwa kilometry od Homeland Cemetery przy drodze numer 35. Przez większość dnia w całym mieście huczało od plotek i spekulacji.

Wówczas niechętnie Grabarz Holt pojechał porozmawiać z szeryfem Pangbornem. Nie wiedział, czy dół i ślady mają jakiś związek ze śmiercią Homera Gamache’a, ale uznał, że najlepiej będzie powiedzieć, co wie, i pozwolić, by ci, którym za to płacą, zajęli się wyjaśnieniem tej sprawy.

ROZDZIAŁ CZWARTY ŚMIERĆ W MAŁYM MIEŚCIE

1

Castle Rock, przynajmniej w ostatnich latach, było pechowym miastem.

Jakby na przekór staremu porzekadłu, że piorun rzadko uderza dwa razy w to samo miejsce, w ciągu ostatnich ośmiu, dziesięciu lat w Castle Rock wydarzyło się wiele złych rzeczy – na tyle złych, by trafić do krajowych serwisów informacyjnych. Szeryfem był wówczas George Bannerman, lecz Duży George, jak go pieśczośliwie nazywano, nie musiał się zajmować Homerem Gamache'em, ponieważ już nie żył. Przeżył pierwszą złą rzecz, serię gwałtów i uduszeń popełnionych przez jednego z jego ludzi, lecz dwa lata później został zabity przez wściekłego psa przy drodze miejskiej numer 3 – nie zabity po prostu, lecz niemal dosłownie rozszarpany. Oba te wypadki były niezmiernie dziwne, ale też świat był dziwnym miejscem. I bolesnym. A czasami pechowym.

Nowego szeryfa (Alan Pangborn sprawował swój urząd już osiem lat, lecz uznał, że pozostanie „nowym szeryfem” co najmniej do roku 2000 – zakładając zawsze, jak wyznał żonie, że tak długo będzie kandydował i będzie wybierany) nie było wówczas w Castle Rock; do 1980 roku kierował policją drogową w niezbyt dużym mieście w północnej części stanu Nowy Jork, niedaleko Syracuse.

Patrząc na zmaltretowane ciało Homera Gamache'a leżące w rowie przy drodze numer 35, żałował, że już nią nie kieruje. Wyglądało na to, że pech nie opuścił miasta wraz z Dużym George'em.

Och, daj spokój – nie żałujesz przecież, że nie jesteś w innym miejscu zielonego ogrodu Boga. Nie mów, że żałujesz, bo pech naprawdę zacznie cię prześladować. To cholernie dobre miejsce dla Annie i chłopców, a dla ciebie również. Może więc po prostu zejdiesz z tego tematu?

Słuszna rada. Głowa, jak odkrył Pangborn, stale udzielała nerwom słusznych rad, których one nie potrafiły przyjąć. Mówiły: „Tak jest, skoro o tym wspomniałeś, to najprawdziwsza prawda”. Po czym nie wytrzymały i odmawiały posłuszeństwa.

A jednak był na coś takiego przygotowany, czyż nie? Podczas swojej służby w roli szeryfa zebrał z miejskich dróg pozostałości niemal czterdziestu osób, położył kres niezliczonej liczbie bójek i zetknął się z blisko setką przypadków znęcania się nad współmałżonkami i dziećmi, a były to tylko te zgłoszone. Ale wszystko się jakoś wyrównuje; jak na stróża porządku w mieście, które niedawno zasłynęło z własnego ludobójcy, miał wyjątkowo mało kłopotów z morderstwami. Tylko cztery i zaledwie jeden ze sprawców – Joe Rodway, który rozwalił łeb swojej żonie – uciekł. Znajac trochę tę panią, Pangborn poczuł niemal żal, gdy otrzymał od policji w Kingston na Rhode Island teleks z informacją, że aresztowali Rodwaya.

Jednym z pozostałych zabójców był nieostrożny kierowca, a dwa inne przypadki to zabójstwa drugiego stopnia, pierwsze z użyciem noża, a drugie – gołych pięści. W tym ostatnim maltretowanie małżonka po prostu zaszło za daleko, a zbrodnia wyróżniała się tylko

jednym niezwykłym szczegółem: żona pobiła kompletnie pijanego męża na śmierć, biorąc ostateczny odwet za prawie dwadzieścia lat udreki. Kiedy kobietę aresztowano, ostatni zestaw siniaków na jej ciele wciąż odznaczał się wyraźnym żółtym odcieniem, więc gdy sędzia skazał ją na sześć miesięcy pobytu w zakładzie karnym dla kobiet i sześćoletni nadzór sądowy po odsiadce, Pangborn ani trochę się tym nie zmartwił. Sędzia Pender przypuszczalnie zrobił to tylko dlatego, że wręczenie tej kobiecie medalu, na co naprawdę zasłużyła, byłoby niewskazane.

Szeryf stwierdził, że w prawdziwym życiu małomiasteczkowe morderstwo rzadko przypomina to z powieści Agathy Christie, gdzie siedmioro ludzi po kolei dźga nożem nikczemnego pułkownika Storpinga-Goitera w jego wiejskim domu w Puddleby-on-the-Marsh podczas ponurej zimowej burzy. Pangborn wiedział, że w prawdziwym życiu po przybyciu na miejsce zbrodni niemal zawsze zastawało się sprawcę spoglądającego na bałagan, którego narobił, i zastanawiającego się, co, do kurwy nędzy, uczynił i jak to wszystko z tak zabójczą szybkością wymknęło się spod kontroli. Nawet jeśli sprawca zniknął z miejsca zabójstwa, zazwyczaj nie odchodził daleko i było dwóch lub trzech świadków, którzy mogli dokładnie powiedzieć, co się stało, kto to zrobił i dokąd poszedł. Odpowiedź na to ostatnie pytanie zwykle brzmiała: do najbliższego baru. Małomiasteczkowe morderstwo w prawdziwym życiu było z reguły zwyczajne, brutalne i głupie.

Z reguły.

Ale reguły tworzone są po to, żeby je łamać. Piorun niekiedy rzeczywiście uderza dwa razy w to samo miejsce i czasem morderstw, które zdarzają się w małych miastach... morderstw takich jak to... nie

da się wyjaśnić natychmiast.

Pangborn mógł poczekać.

2

Funkcjonariusz Norris Ridgewick wrócił ze swojego radiowozu zaparkowanego za samochodem Pangborna. W ciepłym późnowiosennym powietrzu rozbrzmiewały trzaski wezwań z dwóch policyjnych radiostacji.

– Ray już jedzie? – zapytał Pangborn o Raya Van Allena, koronera i lekarza sądowego okręgu Castle.

– Tak – odparł Norris.

– Co z żoną Homera? Czy ktoś ją już powiadomił?

Mówiąc to, Pangborn machnięciem ręki odegnał muchy z twarzy Homera. Niewiele z niej zostało poza sterczącym haczykowatym nosem. Szeryf wątpił, czy rozpoznałaby go własna matka, gdyby nie proteza lewej ręki i złote zęby, które kiedyś znajdowały się w ustach nieboszczyka, a teraz leżały rozrzucone na indyczej szyi i gorsie koszuli.

Norris Ridgewick, który trochę przypominał zastępcę szeryfa Barneya Fife'a z dawnego *Andy Griffith Show*, zaczął przestępować z nogi na nogę i przyglądać się swoim butom, jakby nagle bardzo go zaciekały.

– Cóż... John jest na patrolu w Castle View, a Andy Clutterbuck w Auburn, w sądzie okręgowym...

Pangborn westchnął i wstał. Gamache ma – miał – sześćdziesiąt siedem lat. Mieszkał z żoną w zadbanym domku przy dawnym dworcu kolejowym niespełna trzy kilometry stąd. Ich dorosłe dzieci wyjechały. To właśnie pani Gamache bliska płaczu zadzwoniła

wczesnym rankiem do biura szeryfa z informacją, że gdy się obudziła o siódmej, stwierdziła, iż Homer, który z powodu jej chrapania sypiał czasem w jednej z dawnych sypialni dzieci, ubiegłego wieczoru w ogóle nie wrócił do domu. Wyszedł na swój mecz ligowy do kręgielni o dziewiętnastej, tak jak zawsze, i powinien był wrócić do domu przed północą, najpóźniej o wpół do pierwszej, lecz wszystkie łóżka były puste, a jego furgonetki nie było ani na podwórku przed domem, ani w garażu.

Sheila Brigham, dyspozytorka z dziennej zmiany, przekazała treść rozmowy szeryfowi, on zaś zadzwonił do pani Gamache z automatu na prowadzonej przez Sonny'ego Jacketta stacji Sunoco, gdzie tankował paliwo.

Podawała mu niezbędne informacje o furgonetce – pick-up marki Chevrolet z 1971 roku, biały z rdzawoczerwonymi łatami farby do gruntowania w zardzewiałych miejscach i ze stelażem na broń w sfoferce, zarejestrowany w Maine pod numerem 96529Q. Puścił je w eter do swoich ludzi w terenie (tylko trzech, gdyż Clut składał zeznania w Auburn) i powiedział pani Gamache, że skontaktuje się z nią, gdy tylko się czegoś dowie. Nie był specjalnie zaniepokojony. Gamache lubił się napić piwa, zwłaszcza w wieczór rozgrywek kręglarskich, ale nie był bezdennie głupi. Gdyby wypił za dużo, żeby czuć się bezpiecznie za kółkiem, przespałby się na kanapie w salonie jednego ze swoich kumpli z drużyny.

Pojawiało się jednak pytanie: skoro Homer postanowił przenocować w domu kolegi, czemu nie zadzwonił do żony i nie zawiadomił jej o tym? Nie wiedział, że będzie się zamartwiała? Cóż, było późno i może nie chciał jej niepokoić. Istniała taka możliwość. Bardziej prawdopodobne było, że jednak dzwonił, a ona mocno spała

odgradzona od domowego telefonu drzwiami sypialni. No i należało dodać, że prawdopodobnie chrapała jak ciężarówka GMC wyciągająca ponad sto kilometrów na godzinę na płatnej autostradzie.

Pangborn pożegnał zrozpaczoną kobietę i się rozłączył, sądząc, że jej mąż zjawi się w domu najpóźniej o jedenastej rano skruszony i potwornie skacowany. Ellen powie wówczas staremu rozpustnikowi do słuchu. Pangborn postara się więc pochwalić Homera – po cichu – że miał dość oleju w głowie, by nie pokonywać w takim stanie pięćdziesięciu kilometrów między South Paris a Castle Rock.

Mniej więcej godzinę po telefonie Ellen Gamache szeryf doszedł do wniosku, że w jego pierwszej analizie sytuacji coś się nie zgadza. Jeżeli Gamache przespał się w domu kumpla od kręgli, zapewne zrobił to po raz pierwszy w życiu. Tak w każdym razie wydawało się Alanowi. W przeciwnym razie jego żona sama by o tym pomyślała i przynajmniej zaczęła by trochę z dzwonieniem do biura szeryfa. I wtedy nagle sobie uświadomił, że Homer Gamache był trochę za stary na zmianę swoich zwyczajów. Jeżeli zeszłej nocy gdzieś nocował, powinien był robić to już wcześniej, ale telefon jego żony świadczył o tym, że było inaczej. Jeżeli wcześniej ubzdryngalał się w kręgielni, a potem jeździł w takim stanie do domu, to przypuszczalnie zeszłej nocy znowu by to zrobił, a tymczasem...

Więc stary pies w końcu nauczył się nowej sztuczki, pomyślał. Zdarza się. A może po prostu wypił więcej niż zwykle. Psiakrew, mógł nawet wypić tyle co zawsze i mocniej się wstawić. Ponoć to rzeczywiście się przytrafia ludziom.

Próbował zapomnieć o Homerze, przynajmniej na razie. Miał na biurku masę papierów i siedzenie tam, obracanie ołówka w palcach i myślenie o tym staruszkę sterczącym gdzieś w swoim pick-upie, tym

siwym dziadku ostrzyżonym maszynką najeża, ze sztuczną ręką zamiast prawdziwej, straconej w miejscu zwanym Pusan w niewypowiedzianej wojnie, która wybuchła, gdy większość obecnych weteranów z Wietnamu sikała w pieluchy... cóż, żadne z tych zajęć nie posuwało naprzód papierkowej roboty ani nie pomagało w znalezieniu Gamache'a.

Tak czy inaczej, szedł właśnie do małej pakamery Sheili Brigham, zamierzając ją poprosić, żeby przywołała Norrisa Ridgewicka, bo chciał sprawdzić, czy Norris się czegoś dowiedział, gdy jego podwładny sam się zgłosił. To, co miał do przekazania, przemieniło stróżkę niepokoju w zimny nieprzerwany strumień. Przepłynął przez trzewia szeryfa i wywołał u niego lekkie otępienie.

Zawsze drwił z ludzi opowiadających w audycjach radiowych o telepatii i przeczuciach, drwił jak wszyscy, dla których aluzje i intuicja stanowią tak istotny element życia, że posługują się nimi niemal bezwiednie. Ale gdyby go zapytano, co w tamtym momencie sądził o Homerze Gamache'u, Alan odparłby: „Gdy Norris się zgłosił... cóż, wtedy właśnie pojąłem, że staruszek jest ciężko ranny lub nie żyje. Obstawiałem tę drugą ewentualność”.

3

Tak się złożyło, że Norris zatrzymał się przed domem

Arsenaultów przy drodze numer 35, około półtora kilometra na południe od Homeland Cemetery. Nawet nie myślał o Homerze Gamache'u, chociaż farmę Arsenaultów i dom Homera dzieliło niespełna pięć kilometrów i gdyby poprzedniej nocy Homer wybrał logiczną trasę powrotu z South Paris, mijałby po drodze siedzibę Arsenaultów. Wydawało mu się mało prawdopodobne, by któryś

z Arsenaultów widział Homera poprzedniej nocy, bo gdyby tak było, to mniej więcej dziesięć minut później Homer dotarłby do domu cały i zdrowy.

Norris zatrzymał się przy farmie Arsenaultów, ponieważ prowadzili najlepszy w regionie stragan przydrożny z produktami rolnymi. Był jednym z nielicznych kawalerów, którzy lubią gotować, i nabrał niesamowitej ochoty na świeży groch cukrowy. Chciał się dowiedzieć, kiedy Arsenaultowie będą mieli trochę na sprzedaż. Dopiero potem zapytał Dolly Arsenault, czy poprzedniej nocy widziała furgonetkę Homera.

– A wiesz – odparła pani Arsenault – to zabawne, że o tym wspominasz, bo widziałam. Późną nocą. Nie... kiedy teraz o tym myślę, było to dzisiaj wczesnym rankiem, ponieważ puszczała program Johnny’ego Carsona, ale już zbliżał się do końca. Miałam zamiar zjeść jeszcze jedną miskę lodów i trochę pooglądać program Davida Lettermana, a potem pójść spać. Obecnie niezbyt dobrze śpiam, a ten człowiek po drugiej stronie drogi bardzo mnie zdenerwował.

– Co to był za człowiek, pani Arsenault? – zapytał Norris nagle zaciekawiony.

– Nie wiem... po prostu jakiś człowiek. Nie podobał mi się jego wygląd. Nawet go dobrze nie widziałam, a mi się nie spodobał. Jak to możliwe? Wiem, że to fatalnie brzmi, ale ten zakład dla obłąkanych na Juniper Hill nie jest zbyt daleko, a gdy widzisz samotnego człowieka na wiejskiej drodze o pierwszej nad ranem, to wystarczy, by się zdenerwować, nawet jeśli ma na sobie garnitur.

– Jakiego rodzaju garnitur. – zaczął Norris, ale to pytanie okazało się bezcelowe. Pani Arsenault była sympatyczną wiejską gadułą i po

prostu zignorowała go z czymś na kształt niepoahamowanej pretensjonalności. Policjant postanowił przeczekać, a przy okazji zapisać, co się da. Wyjął z kieszeni notes.

– W pewnym sensie – ciągnęła – ten garnitur wprawił mnie w jeszcze większe zdenerwowanie. Wydawało się niestosowne, by mężczyzna nosił garnitur o tej porze, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Chyba nie, pewnie uważasz, że masz przed sobą głupią babę, i może jestem tylko głupią babą, ale zanim nadjechał Homer, przez parę minut myślałam, że ten człowiek ma zamiar przyjść do mojego domu. Wstałam, żeby się upewnić, czy drzwi są zamknięte na klucz. Bo wiesz, on spojrzał w tę stronę, widziałam, jak to robi. Wydaje mi się, że spojrzał, bo pewnie zobaczył, że w oknie mimo późnej pory wciąż pali się światło. Prawdopodobnie spostrzegł też mnie, bo zasłony są bardzo przejrzyste. Nie mogłam dojrzeć jego twarzy... zeszłej nocy nie było księżycy i nie sądzę, by zainstalowali tutaj kiedyś latarnie, a co dopiero telewizję kablową jak w mieście... ale widziałam, jak odwraca głowę. Potem rzeczywiście zaczął przechodzić przez drogę... a przynajmniej sądzę, że to właśnie robił albo taki miał zamiar, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli... i przypuszczałam, że przyjdzie, zapuka do drzwi, powie, że samochód mu się zepsuł, i zapyta, czy może skorzystać z telefonu. Zastanawiałam się też, co powinnam powiedzieć, gdyby to zrobił, czy w ogóle powinnam otworzyć mu drzwi. Chyba jestem głupią babą, bo zaczęłam myśleć o filmie z cyklu *Alfred Hitchcock przedstawia* z szaleńcem, który potrafił zwabiać ptaszki z drzew, tylko że użył siekiery, aby kogoś poćwiartować, i wpakował kawałki zwłok do bagażnika swojego samochodu. Schwytali go tylko dlatego, że miał niesprawne tylne światło lub coś w tym stylu... ale z drugiej strony...

– Pani Arsenault, zastanawiam się, czy mógłbym zapytać...

– ...nie chciałam być jak Filistynka, Saracenka lub mieszkanka Gomory albo ktoś, kto przechodził na drugą stronę drogi – kontynuowała pani Arsenault. – No wiesz, w tej przypowieści o dobrym Samarytaninie. Tak więc byłam trochę w rozterce. Ale pomyślałam...

Tymczasem Norris zupełnie zapomniał o grochu cukrowym. W końcu zdołał przerwać pani Arsenault, mówiąc, że mężczyzna, którego widziała, może być obiektem, jak to określił, „toczącego się śledztwa”. Zmusił ją, by wróciła do początku i powiedziała mu wszystko, co widziała, pomijając, o ile to możliwe, Hitchcocka i przypowieść o dobrym Samarytaninie.

Wersja, którą przekazał przez radio szeryfowi Pangbornowi, brzmiała tak: pani Arsenault oglądała sama *The Tonight Show*, jej mąż i synowie jeszcze spali. Jej fotel stał przy oknie, które wychodzi na drogę numer 35. Roleta była podciągnięta. Około wpół do pierwszej lub za dwadzieścia pierwsza uniosła wzrok i zobaczyła jakiegoś mężczyznę stojącego po drugiej stronie drogi... czyli od strony Homeland Cemetery.

Czy ten mężczyzna szedł stamtąd, czy z innego kierunku?

Pani Arsenault nie mogła tego stwierdzić z całą pewnością. Wydawało się jej, że chyba przyszedł od strony cmentarza, co by znaczyło, że wynosił się z miasta, ale nie potrafiła powiedzieć, dlaczego odniosła takie wrażenie, wyjrzała bowiem przez okno tylko raz i widziała jedynie drogę. Potem, zanim wstała, by pójść po lody, spojrzała znowu i wtedy już tam był. Stał tam po prostu i patrzył w stronę oświetlonego okna – przypuszczalnie na nią. Myślała, że ma zamiar przejść przez drogę lub już ruszył (prawdopodobnie po prostu

tam stał, pomyślał Alan; reszta była tylko złudzeniem zdenerwowanej kobiety), gdy na szczycie wzgórza ukazały się światła. Kiedy mężczyzna w garniturze zobaczył, że się zbliżają, uniósł kciuk w ponadczasowym i uniwersalnym geście autostopowicza.

– To była furgonetka Homera, a on siedział za kierownicą – wyjaśniła policjantowi pani Arsenault. – Najpierw myślałam, że po prostu pojedzie dalej jak każdy normalny człowiek, który widzi autostopowicza w środku nocy, ale potem błysnęły światła hamowania, mężczyzna podbiegł do szoferki od strony pasażera i wsiadł.

Pani Arsenault, która miała czterdzieści sześć lat, ale wyglądała na dziesięć lat starszą, pokręciła głową.

– Homer musiał być wstawiony, skoro zabrał autostopowicza o tak późnej porze – stwierdziła. – Wstawiony lub naiwny, a przecież znam go prawie od trzydziestu pięciu lat. Naiwny nie jest.

Przerwała, by się zastanowić.

– Cóż... nie aż tak.

Norris próbował wydobyć od pani Arsenault trochę więcej szczegółowych informacji o garniturze, jaki mężczyzna miał na sobie, ale mu się nie udało. Pomyślał, że naprawdę szkoda, iż latarnie uliczne kończą się przy terenie cmentarza, ale miasteczka takie jak Castle Rock miały ograniczone środki finansowe.

To był garnitur, miała co do tego pewność, nie żadna sportowa kurtka ani męska marynarka. I nie był czarny, lecz to pozostawiało dość szerokie spektrum barw do wyboru. Pani Arsenault nie sądziła, by autostopowicz miał na sobie biały garnitur, ale skłonna była jedynie przysiąc, że nie był on czarny.

– Wcale nie proszę, by pani przysięgała – zastrzegł Norris.

– Kiedy ktoś rozmawia z funkcjonariuszem policji w sprawie urzędowej – odparła pani A., wsuwając sztywnym ruchem dłonie w rękawy swetra – wychodzi na to samo.

Tak więc jej wiedza sprowadzała się do tego, że widziała, jak Homer Gamache mniej więcej za kwadrans pierwsza w nocy zabrał jakiegoś autostopowicza. Nic nie przemawiało za powiadomieniem FBI. Ta informacja stawała się niepokojąca dopiero po uwzględnieniu faktu, że Homer zabrał swojego pasażera w odległości około pięciu kilometrów od własnego domu... ale tam nie dotarł.

Pani Arsenault miała też rację co do garnituru. Widok autostopowicza na takim zadupiu w środku nocy był dostatecznie zaskakujący – za kwadrans pierwsza każdy normalny włóczęga leżałby już w jakiejś opuszczonej stodole lub farmerskiej szopie – ale gdy dodało się, że miał na sobie garnitur i krawat („W jakimś ciemnym kolorze – powiedziała pani A... – tylko mnie nie proś, żebym się zarzekała w jakim, bo nie mogę i nie zrobię tego”), sytuacja robiła się jeszcze bardziej nieprzyjemna.

– Co mam teraz robić? – zapytał Norris przez radio po zakończeniu raportu.

– Zostań tam, gdzie jesteś – polecił Alan. – Pogadaj sobie z panią A. o filmach Hitchcocka, dopóki nie przyjadę. Sam zawsze bardzo lubiłem te rozmowy.

Zanim jednak ujechał kilometr, miejsce jego spotkania z podwładnym zostało zmienione. Mniej więcej półtora kilometra na zachód od domu Arsenaultów Frank Gavineaux, chłopiec wracający pieszo do domu z dość wczesnego wędkowania nad Strimmer's Brook, ujrzał nogi sterczące z wysokiego zielska na południowym poboczu drogi numer 35. Pobiegł do domu i powiedział o tym matce. Ta

zadzwońiła do biura szeryfa, a Sheila Brigham przekazała wiadomość Alanowi Pangbornowi i Norrisowi Ridgewickowi. Sheila trzymała się zasad i nie wymieniła w eterze żadnych nazwisk – zbyt dużo drobnych dilerów z wielkimi cobrami i bearcatami prowadziło stały nasłuch na policyjnych częstotliwościach – ale Alan poznał po jej nerwowym tonie, że nawet ona dobrze wiedziała, czyje to nogi.

Chyba jedyną dobrą rzeczą, jaka się wydarzyła przez cały ranek, było to, że zanim Alan dotarł na miejsce, Norris przestał wymiotować i zachował dość trzeźwości umysłu, by robić to na północnej stronie drogi, z dala od ciała i wszelkich śladów, które mogły się wokół znajdować.

– Co teraz? – zapytał Norris, przerywając bieg jego myśli.

Alan westchnął ciężko i przestał odganiać muchy ze szczątków Homera, co było z góry skazane na niepowodzenie.

– Muszę teraz pojechać i powiedzieć Ellen Gamache, że śmierć przyszła dziś wczesnym rankiem. Ty zostań przy zwłokach. I staraj się odpędzać od niego muchy.

– Chryste, tylko po co, szeryfie? Jest ich cała masa. A on nie...

– Nie żyje, taak, widzę. Nie wiem po co. Chyba po prostu po to, by zrobić to, co należy. Nie możemy mu założyć z powrotem tej pieprzonej protezy, ale przynajmniej możemy powstrzymać muchy od srania na to, co zostało z jego nosa.

– W porządku – zgodził się pokornie Norris. – W porządku, szeryfie.

– Myślisz, że mógłbyś się zwracać do mnie po imieniu, gdybyś się naprawdę postarał? Gdybyś poćwiczył?

– Oczywiście, szeryfie, chyba tak.

Alan chrząknął i odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć na rów, który po jego powrocie najprawdopodobniej będzie odgradzony

jasnożółtą taśmą z napisem MIEJSCE PRZESTĘPSTWA – NIE PRZECHODZIĆ, przymocowaną do słupków mierniczych. Będzie tutaj również koroner okręgowy. A także Henry Payton z Komendy Policji Stanowej w Oxfordzie. Przymuszczałnie zabraknie fotografa oraz techników z wydziału zabójstw prokuratury generalnej – chyba że paru z nich przez przypadek badało w okolicy inną sprawę – ale przyjdą nieco później. Do pierwszej po południu będzie tu też obwoźne laboratorium policyjne wraz z doświadczonymi specjalistami od medycyny sądowej oraz człowiekiem mającym wykonać gipsowe odlewy śladów opon, których Norris dzięki swej inteligencji lub szczęśliwym trafem (Alan dość niechętnie optował za tą drugą ewentualnością) nie rozjechał kołami własnego radiowozu.

I co to wszystko da? Jak to co? To: na wpół pijany starzec zatrzymał samochód, żeby wyświadczyć przysługę nieznanemu. („Wskakuj, chłopcze – Alan słyszał jego słowa – do domu mam tylko parę kilometrów, ale podwiozę cię kawałek dalej”). No i ten nieznanomy odwzajemnił się zatłuczeniem staruszka na śmierć i kradzieżą jego furgonetki.

Szeryf przypuszczał, że mężczyzna w garniturze poprosił, by Homer się zatrzymał – najprawdopodobniej pod pretekstem, że musi się odlać – i gdy tylko furgonetka stanęła, uderzył staruszka, wyrzucił z auta i...

Ale wtedy zrobiło się paskudnie. Cholernie paskudnie.

Alan po raz ostatni zajrzał do rowu, tam gdzie Norris Ridgewick przykucnął przy zakrwawionym kawałku mięsa, które kiedyś było człowiekiem, cierpliwie odganiając muchy podkładką do wypisywania mandatów od tego, co kiedyś było twarzą Homera, i poczuł, że znowu robi mu się niedobrze.

On był tylko starcem, ty skurwysynu, starcem, który był trochę wstawiony i w dodatku miał tylko jedną prawdziwą rękę, starcem, któremu została tylko jedna drobna rozrywka – wieczory w kręgielni. Czemu więc nie uderzyłeś go raz w szoferce furgonetki i nie zostawiłeś w spokoju? Noc była ciepła, a gdyby nawet było trochę chłodno, najprawdopodobniej nic by mu się nie stało. Założyłbym się o mój zegarek, że znajdziemy w jego organizmie mnóstwo płynu zapobiegającego zamarzaniu. A numer rejestracyjny furgonetki i tak podaje się przez radio. Po co więc ta jatka? Człowieku, mam nadzieję, że będę miał szansę zadać ci to pytanie.

Czy jednak przyczyna miała jakieś znaczenie? Dla Homera Gamache'a na pewno nie. Już nie. Dla Homera nic już nie miało mieć znaczenia. Ponieważ po zadaniu pierwszego ciosu autostopowicz wywlóknął go z szoferki i zaciągnął do rowu, prawdopodobnie chwyciwszy pod pachy. Alan nie potrzebował chłopców z wydziału zabójstw, żeby rozpoznać ślady pozostawione przez obcasy butów Homera. Po drodze autostopowicz odkrył, że Homer jest inwalidą. I na dnie rowu zerwał protezę starca z kikuta ręki i zatłukł go nią na śmierć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

96529Q

– Chwila! Moment! – powiedział głośno funkcjonariusz policji stanu Connecticut Warren Hamilton, chociaż był jedyną osobą w radiowozie. Był wieczór drugiego czerwca, około trzydziestu pięciu godzin po odkryciu zwłok Homera Gamache’a w miasteczku w stanie Maine, o którym Hamilton nigdy przedtem nie słyszał.

Stał na parkingu McDonalda przy zjeździe z autostrady I-95 do Westport w drodze na południe. Gdy krążył po autostradzie, miał zwyczaj zajeżdżać na parkingi stacji benzynowych mieszczących bary; gdy nocą sunął wolno wzdłuż ostatniego rzędu miejsc parkingowych, czasem dokonywał ciekawych aresztowań. Ciekawych to mało powiedziane. Fantastycznych. Gdy wyczuł, że chyba natrafił na taką okazję, bardzo często mówił do siebie. Te monologi zwykle zaczynały się od słów „Chwila! Moment!”, po czym przybierały postać typu: „Sprawdzimy tego dupka” albo „Zapytaj mamusię, czy w to wierzy”. Funkcjonariusz Hamilton miał bzika na punkcie pytania mamusi, czy w to wierzy, gdy trafiał na trop czegoś frapującego.

– Co my tu mamy? – wymamrotał tym razem i zawrócił. Minął camaro. Minął toyotę, która w miedzianym blasku lamp sodowych wyglądała niczym starzejąca się kulawa chabeta. I... bach! Stary pickup GMC, który wydawał się w tym świetle pomarańczowy, co

oznaczało, że jest – lub był – biały albo jasnopopielaty.

Wyciągnął latarkę i skierował jej punktowe światło na tablicę rejestracyjną. Jego skromnym zdaniem tablice rejestracyjne były coraz lepsze. Kolejne stany umieszczały na nich małe symbole. Dzięki temu łatwiej było rozpoznać je w nocy, gdy w zmieniającym się oświetleniu prawdziwe kolory przybierały najrozmaitsze odcienie. A najbardziej utrudniało rozpoznawanie tablic rejestracyjnych pomarańczowe światło tych cholernych mocnych lamp. Nie wiedział, czy powstrzymywały gwałty i rozboje, do czego miały służyć, lecz był przekonany, że to z ich powodu pracowici gliniarze, tacy jak on, olewali tablice rejestracyjne skradzionych samochodów i pojazdy zbiegów bez numerów.

Małe symbole w znacznym stopniu przyczyniły się do rozwiązania tego problemu. Statua Wolności była Statuą Wolności zarówno w jasnym słońcu, jak i w stałym blasku tego rdzawopomarańczowego badziewia. I bez względu na kolor bogini wolności oznaczała Nowy Jork.

Tak samo jak ten pieprzony rak, na którego właśnie skierował punktowe światło, oznaczał Maine. Nie trzeba już było wyęźać wzroku w poszukiwaniu napisu KRAINA WAKACJI ani próbować dojść, czy to, co wygląda na różowe, pomarańczowe lub jaskrawoniebieskie, w rzeczywistości jest białe. Wystarczyło poszukać pieprzonego raka. Wiedział, że tak naprawdę to langusta, ale pod dowolną inną nazwą pozostawał pieprzonym rakiem. Choć Warren prędzej pożałby gówna ze świńskiego tyłka, niż włożył do ust jednego z tych pieprzonych raków, i tak był bardzo zadowolony, że widniały na tablicach.

Szczególnie gdy tak jak dzisiaj na tablicy rejestracyjnej z rakiem

ujrzał numer poszukiwanego wozu.

– Zapytaj mamusię, czy w to wierzy – wymamrotał i przestawił dźwignię skrzyni biegów na parkowanie. Zdjął podkładkę do pisania z namagnetyzowanego paska, który utrzymywał ją pośrodku deski rozdzielczej tuż nad tunelem wału korbowego, przerzucił niewypełniony druk mandatu, którym wszyscy gliniarze zasłaniaли wykaz poszukiwanych pojazdów (nie było potrzeby, żeby ludzie gapili się na numery rejestracyjne samochodów budzących szczególne zainteresowanie policji, gdy posiadacz wykazu przekąsał hamburgera lub załatwiał się w pośpiechu na przydrożnej stacji benzynowej), i przesunął końcem kciuka w dół listy.

Znalazł. 96529Q; stan Maine; siedlisko pieprzonych raków.

Wstępne oględziny wykazały, że szoferka furgonetki jest pusta. Podobnie jak stelaż na broń. Niewykluczone – mało prawdopodobne, ale możliwe – że ktoś był na platformie pick-upa. Możliwe nawet, że ten ktoś miał strzelbę zdjętą ze stelaża. Ale najprawdopodobniej kierowca dawno już sobie poszedł lub właśnie jadł w barze hamburgera. Mimo wszystko...

– Są starzy gliniarze albo odważni gliniarze, ale starych i odważnych nie ma – rzekł cicho funkcjonariusz Hamilton. Zgasił latarkę i powoli ruszył wzdłuż rzędu zaparkowanych aut. Zatrzymał się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem włączając latarkę, chociaż nawet nie raczył spojrzeć na oświetlone samochody. Zawsze istniała możliwość, że pan 96529Q, wracając z baru z kiblem, widział, jak Hamilton oświetla skradzioną furgonetkę, ale jeżeli potem zobaczył, że radiowóz pojechał dalej i sprawdzał inne samochody, to może nie dał dyla.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc chowajcie się, żołnierze! –

wykrzyknął Hamilton. To było kolejne z jego ulubionych powiedzonek, nie tak bardzo jak to z pytaniem mamusi, czy w to wierzy, ale prawie.

Wjechał między samochody, skąd mógł obserwować furgonetkę. Zadzwoił do bazy usytuowanej niespełna siedem kilometrów dalej i poinformował o znalezieniu pick-upa GMC z Maine poszukiwanego w związku z morderstwem. Poprosił o wsparcie i usłyszał, że niebawem przyjadą.

Nie zauważył nikogo, kto by się zbliżał do furgonetki, i uznał, że ostrożne podejście do niej nie będzie zbyt śmiałym posunięciem. Prawdę mówiąc, gdyby w chwili przybycia wsparcia nadal siedział w ciemności o jeden rząd dalej, wyszedłby na mięczaka.

Wysiadł z radiowozu, odpinając kciukiem kaburę, ale nie wyciągnął z niej rewolweru. Podczas służby zrobił to tylko dwa razy, ale nigdy nie strzelił. Teraz też nie miał ochoty na żadną z tych rzeczy. Podeszedł do pick-upa tak, by mógł obserwować zarówno furgonetkę – zwłaszcza platformę – jak i dostęp od strony baru. Zatrzymał się, gdy jakiś mężczyzna i kobieta wyszli z McDonalda i zbliżyli się do forda stojącego trzy rzędy bliżej budynku, a kiedy wsiedli do auta i ruszyli w stronę wyjazdu z parkingu, kontynuował swój marsz.

Trzymając prawą dłoń na kolbie służbowego rewolweru, opuścił lewą rękę na biodro. Jego skromnym zdaniem policyjne pasy też były coraz lepsze. Zarówno w dzieciństwie, jak i w wieku męskim był wielkim fanem Batmana alias Zakapturzonego Krzyżowca – podejrzewał nawet, że to między innymi dzięki tej fascynacji został gliną (tego drobnego faktu nie raczył wpisać do podania o pracę). Jego ulubionym wyposażeniem nie był batpole ani batarang, nawet nie sam batmobil, lecz pas uniwersalny Zakapturzonego Krzyżowca.

Ów wspaniały element stroju przypominał porządny sklep z upominkami: miał jakiś drobiazg na wszystkie okazje, czy to linę, czy to noktowizor, czy to kilka kapsułek z gazem paraliżującym. Służbowy pas Hamiltona nie dorównywał mu klasą, ale z lewej strony miał trzy szlufki mieszczące trzy bardzo użyteczne rzeczy. Jedną z nich był zasilany bateriami cylinder sprzedawany pod nazwą „Siad, piesku!”. Gdy przycisnąłeś czerwony guzik u góry, cylinder emitował ultradźwiękowy świst, który nawet rozwścieczone pitbule zamieniał w bezwolne kluchy. Obok znajdowała się puszka z mace (odmianą batmanowskiego gazu paraliżującego stosowaną przez policję stanową w Connecticut), a koło niej latarka na cztery baterie.

Hamilton wyjął ją ze szlufki, włączył, po czym przesunął lewą dłoń, by częściowo osłonić smugę światła. Zrobił to, nie zdejmując ani na chwilę prawej ręki z kolby rewolweru. Są starzy gliniarze albo odważni gliniarze; starych i odważnych nie ma.

Oświetlił platformę pick-upa. Leżał tam kawałek brezentu, ale nic poza tym. Platforma była tak samo pusta jak szoferka.

Hamilton przez cały czas roztropnie zachowywał dystans od GMC z rakami na tablicach rejestracyjnych – był to nawyk tak głęboko zakorzeniony, że robił to bezwiednie. Pochylił się teraz i zaświecił latarką pod furgonetkę, w ostatnie miejsce, gdzie mógł się czaić ktoś, kto pragnąłby mu zrobić krzywdę. Mało prawdopodobne, ale nie chciał, żeby – gdy w końcu kopnie w kalendarz – pastor rozpoczął mowę pogrzebową od słów: „Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby opłakiwać niespodziewane odejście funkcjonariusza Warrena Hamiltona”. To byłoby *très* w złym guście.

Przesunął szybko snop światła pod pojazdem z lewej strony na prawą i spostrzegł jedynie zardzewiały tłumik, który miał odpaść

w niedalekiej przyszłości – choć sądząc po widocznych w nim dziurach, kierowca nie zauważyłby wtedy dużej różnicy.

– Myślę, że jesteśmy sami, mój drogi – rzekł Hamilton.

Przyjrzał się po raz ostatni otoczeniu furgonetki, zwracając szczególną uwagę na podejście od strony baru. Nie zauważył nikogo, kto by go obserwował, więc podszedł do okna szoferki po stronie pasażera i skierował latarkę do środka.

– Kurwa mać – wymamrotał. – Zapytaj mamusię, czy wierzy w ten radosny syf. – Nagle bardzo mu się spodobały pomarańczowe lampy, które oświetlały parking i wnętrze szoferki, zmieniły bowiem rdzawoczerwony kolor na niemal czarny, sprawiając, że krew przypominała tusz. – Prowadził go w takim stanie? Jezu Chryste, prowadził go aż z Maine w takim stanie? Zapytaj mamusię...

Przechylił latarkę w dół. Fotel i podłoga GMC wyglądały jak chlew. Zobaczył puszki po piwie i napojach bezalkoholowych, puste lub prawie puste torebki po chipsach i skórkach wieprzowych, pudełka po kanapkach Big Mac i Whoopper. Kulka wyglądająca na kawałek balonowej gumy do żucia była przyciśnięta do metalowej deski rozdzielczej nad otworem, w którym kiedyś znajdowało się radio. W popielniczce leżało wiele niedopałków bez filtra.

Przede wszystkim zaś widać było krew.

Na fotelu zobaczył krwawe smugi i plamy. Krwią zbrukana była też kierownica. Na klaksonie zakrzepła krew niemal całkowicie przesłaniała wytłoczony na nim symbol Chevroleta. Ślady krwi pokrywały klamkę wewnętrzną na drzwiach kierowcy oraz lusterko – ten ślad miał kształt kółka, które o mały włos nie stało się owalem, i Hamilton pomyślał, że poprawiając lusterko, pan 96529Q mógł zostawić niemal idealny odcisk kciuka. Duża plama zakrzepłej krwi

widniała na jednym z opakowań po big macu. Wyglądało na to, że tkwiły w niej włosy.

– Co powiedział dziewczynie w okienku? – wymamrotał Hamilton.
– Że się zaciął przy goleniu?

Usłyszał szuranie za plecami. Odwrócił się gwałtownie, czując, że robi to zbyt wolno, aż nadto pewny, że mimo rutynowych środków ostrożności był zbyt odważny, żeby się zestarzeć, ponieważ w tej sytuacji w żadnym razie nie było nic rutynowego, ten facet zaszedł go od tyłu i wkrótce w szoferce starego chevroleta będzie więcej krwi, jego krwi, bo facet, który za kierownicą tej przewoźnej rzeźni odbył podróż z Maine prawie do granicy stanu Nowy Jork, był psychopata, a taki typ zabiłby policjanta z podobną łatwością, z jaką kupował kwartę mleka.

Hamilton wyciągnął rewolwer po raz trzeci w swej policyjnej karierze, odciągnął kciukiem kurek i omal nie oddał strzału (albo dwóch bądź trzech) w zupełną ciemność; był ogromnie przejęty. Nikogo tam jednak nie zobaczył.

Powoli opuścił broń, w skroniach tętniła mu krew.

Lekki podmuch wiatru wypełnił nocny mrok. Znowu usłyszał szuranie. Ujrzał, jak niesione kapryśnym wiatrem pudełko po filecie rybnym – niewątpliwie z tego samego baru; jaki bystry z ciebie człowiek, Holmesie; nie ma o czym mówić, Watsonie, to było naprawdę elementarne – przelatuje półtora metra, muskając powierzchnię kostki brukowej, po czym znowu się zatrzymuje.

Hamilton dobył z piersi przeciągłe drżące westchnienie i ostrożnie opuścił kurek rewolweru.

– Omal się nie wpakowałeś w kłopoty, Holmesie – powiedział głosem, który wcale nie był opanowany. – Mało brakowało,

a wypełniałbyś CR-czternaście.

CR-14 był formularzem zgłoszenia użycia broni.

Zamierzał schować rewolwer do kabury, skoro było już jasne, że oprócz pustego pudełka nie ma do czego strzelać, ale postanowił trzymać go w ręce, dopóki nie zobaczy jednostek wsparcia. Broń dobrze leżała w dłoni. Poprawiała samopoczucie. Nie chodziło bowiem tylko o krew ani o to, że człowiek, którego jakiś glina z Maine poszukiwał z powodu morderstwa, spokojnie przejechał ponad sześćset kilometrów w tym syfie. Wokół pick-upa unosił się smród, który na swój sposób przypominał odór unoszący się na wiejskiej drodze, gdzie samochód rozjechał skunksa. Hamilton nie wiedział, czy wyczują go inni policjanci, czy to tylko złudzenie, i niezbyt się tym przejmował. To nie był zapach krwi ani zepsutego jedzenia, ani woń ciała. Uważał, że to po prostu zapach zła. Czegoś bardzo, bardzo złego. Na tyle złego, że nie chciał schować rewolweru do kabury, chociaż był prawie pewien, że nosiciel tego zapachu odszedł już dawno, pewnie wiele godzin temu – Hamilton nie słyszał odgłosów tykania, które dochodzą z silnika, gdy jest jeszcze ciepły. To nie miało znaczenia. Nie zmieniało stanu jego wiedzy: przez pewien czas furgonetka była legowiskiem jakiegoś okropnego zwierzęcia i nie miał zamiaru ani trochę ryzykować, że ono wróci i go zaskoczy. I mamusia mogłaby się o to założyć.

Stał tam z bronią w dłoni, ze zjeżonymi ze strachu włosami i miał wrażenie, że minęło bardzo dużo czasu, zanim posiłki w końcu przybyły na miejsce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY ŚMIERĆ W WIELKIM MIEŚCIE

Dodie Eberhart była wkurzona, a gdy Dodie Eberhart się wkurzyła, to w stolicy kraju była babka, z którą nie należało zadzierać. Wchodziła po schodach kamienicy przy L Street z powściągliwością (i cielskiem) nosorożca przemierzającego otwarty obszar sawanny. Jej granatowa sukienka rozciągała się i wiotczała na biuście, który był raczej zbyt duży, by po prostu nazwać go wydatnym. Jej mięsiste ręce kołysały się jak wahadła.

Wiele lat temu ta kobieta była jedną z najbardziej olśniewających call girls w Waszyngtonie. W tamtych czasach jej wzrost – metr dziewięćdziesiąt – oraz uroda sprawiały, że była kimś więcej niż tylko niegrzeczną cizią; cieszyła się takim wzięciem, że spędzona z nią noc dorównywała niemal trofeum w pokoju wysportowanego dzentelmena. I gdyby ktoś uważnie przejrzał zdjęcia z rozmaitych waszyngtońskich *fetes* oraz *soirées* zrobione w okresie drugiej kadencji Johnsona i pierwszej Nixona, na wielu z nich mógłby dostrzec Dodie Eberhart, wspartą zazwyczaj na ramieniu mężczyzny, którego nazwisko często pojawiało się w ważnych artykułach i esejach politycznych. Już sam wzrost powodował, że trudno ją było przeoczyć.

Dodie była dziwką o sercu kasjera bankowego i duszy nienasyconego karalucha. Dwaj spośród jej stałych klientów, senator

z Partii Demokratycznej oraz długoletni republikański kongresman, zapewnili jej wystarczająco dużo gotówki, by mogła się wycofać z branży. Nie uczynili tego całkowicie z własnej woli. Dodie zdawała sobie sprawę, że ryzyko choroby raczej nie malało (a wysoko postawieni urzędnicy rządowi są równie jak plebejusze podatni na AIDS i rozmaite mniej groźne, lecz mimo to kłopotliwe choroby weneryczne). Lat też jej nie ubywało. Nie ufała również bezgranicznie, że ci panowie zapiszą jej coś w swoich testamentach, co obaj obiecali zrobić. Przykro mi, powiedziała im, ale już nie wierzę w Świętego Mikołaja ani w dobrą wróżkę. Mała Dodie jest zdana tylko na siebie.

Mała Dodie kupiła za te pieniądze trzy kamienice. Minęły lata. Osiemdziesiąt kilo żywej wagi, co powalało silnych mężczyzn na kolana (zwykle u jej stóp, gdy naga stała przed nimi), teraz urosło do stu trzydziestu. Zyski z inwestycji, które w połowie lat siedemdziesiątych były całkiem spore, spadły w następnej dekadzie, gdy wydawało się, że wszyscy inni krajowi inwestorzy giełdowi wychodzą na swoje. Aż do zakończenia fazy aktywnej swojej kariery Dodie miała na krótkiej liście dwóch znakomitych maklerów; żałowała czasem, że się ich nie trzymała po przejściu na emeryturę.

Jedna kamienica poszła w osiemdziesiątym czwartym; druga w osiemdziesiątym szóstym w następstwie katastrofalnej kontroli z urzędu podatkowego. Trzymała się tej przy L Street z determinacją przegrywającego w bezlitosnej grze w monopol, przekonana, że znajduje się w dzielnicy, która ma niebawem przyciągnąć inwestorów. Jeszcze ich jednak nie przyciągnęła i Dodie przypuszczała, że nie stanie się to przez kolejnych parę lat... jeśli w ogóle. Wtedy miała zamiar spakować manele i przenieść się na

Arubę. Tymczasem zaś jej właścicielka, która kiedyś była najbardziej pożądaną dupą stolicy, musiała po prostu wytrzymać.

Co zawsze robiła.

I co miała zamiar dalej robić.

I niech Bóg ma w swojej opiece każdego, kto by jej wszedł w drogę.

Jak na przykład Frederick „Gruba Ryba” Clawson.

Dotarła na podest schodów na pierwszym piętrze. Z mieszkania Shulmanów dobiegał ryk Guns n’ Roses.

– Ściszcie ten pierdolony gramofon! – wrzasnęła na całe gardło, a gdy Dodie Eberhart podnosiła głos do maksimum, pękały szyby w oknach i bębni w uszach małych dzieci, a psy padały martwe.

Muzyka natychmiast przeszła z krzyku w szept. Wyczuła, że Shulmanowie drżą jedno przy drugim niczym para wystraszonych szczeniąt podczas burzy z piorunami i modlą się, by to nie ich odwiedziła Straszna Wiedźma z L Street. Bali się jej. I słusznie. Shulman był radcą prawnym w dynamicznie rozwijającej się firmie, lecz ciągle nie był dość dynamiczny, by pohamować zapędy Dodie. Gdyby pokrzyżował jej plany na tym etapie swojego młodego życia, zrobiłaby sobie podwiązki z jego flaków, a on o tym wiedział i było to bardzo satysfakcjonujące.

Gdy oba twoje rachunki bankowe i portfel inwestycji świecą pustkami, trzeba czerpać satysfakcję, skąd tylko się da.

Dodie skręciła, nie gubiąc kroku, i ruszyła po schodach na drugie piętro, gdzie Frederick „Gruba Ryba” Clawson mieszkał sam w przepychu. Szła tym samym miarowym krokiem nosorożca przemierzającego sawannę, z podniesioną głową, mimo swej tuszy zupełnie niezdyszana; schody – dość solidne – trzęsły się odrobinę.

Nie mogła się tego doczekać.

Clawson nie znajdował się nawet na niskim szczeblu korporacyjnej hierarchii. Obecnie w ogóle nie mieścił się w żadnej hierarchii. Podobnie jak wszyscy studenci prawa, których spotkała w swoim życiu (przeważnie jako najemców; z pewnością nigdy nie rzucała się z żadnym z nich w okresie, który teraz uważała za swoje „drugie życie”), Clawson składał się głównie z wielkich aspiracji i niewielkich funduszy, a jedne i drugie unosiły się na grubej poduszce kitu. Dodie z zasady nie mieszała jednego z drugim. Nabranie się na głodne kawałki studenta prawa było w jej mniemaniu równie niewłaściwe jak obsłużenie klienta za darmo. Gdy zaczynałaś tak postępować, mogłaś tak samo dobrze zawiesić swoją zośkę na kołku.

Mówiąc w przenośni, rzecz jasna.

Mimo to Frederick „Gruba Ryba” Clawson częściowo przełamał jej opory. Spóźniał się z zapłatą czynszu czwarty tydzień z rzędu, a ona na to pozwoliła, bo przekonał ją, że w tym wypadku wyświechtana wymówka jest w istocie prawdziwa (lub może się taka okazać): rzeczywiście miał otrzymać pieniądze.

Nie mógłby tego zrobić, gdyby twierdził, że Sidney Sheldon to tak naprawdę Robert Ludlum, a Victoria Holt to Rosemary Rogers, ponieważ Dodie guzik obchodzili ci ludzie i miliardy podobnych im pisarzy. Była wielką entuzjastką powieści kryminalnych, im czarniejszych, tym lepszych. Zakładała, że jest mnóstwo osób, które przepadały za ckliwymi romansami i szpiegowskimi bredniami, jeżeli lista bestsellerów w niedzielnym wydaniu „Post” była jakąś wskazówką, lecz książki Elmore’a Leonarda czytała przez wiele lat, zanim trafiły na te listy, była też silnie przywiązana do twórczości Jima Thompsona, Davida Goodisa, Horace’a McCoya, Charlesa Willeforda i reszty tych gości. Krótko mówiąc, Dodie Eberhart lubiła

powieści, w których mężczyźni ograbiali banki, strzelali do siebie, a wielką miłość swoim kobietom okazywali głównie tym, że rachowali im kości.

George Stark jej zdaniem był z nich najlepszy. Dodie stała się entuzjastką jego książek, począwszy od *Sposobu Machine'a*, przez *Oksfordzki blues*, aż po *Podróż do Babilonu*, która – jak się wydawało – była ostatnią z nich.

Gruba Ryba z mieszkania na drugim piętrze siedział otoczony notatkami i powieściami Starka, gdy po raz pierwszy przysłała się upomnieć o czynsz (zaledwie trzy dni po terminie wpłaty, ale oczywiście gdy dawało się im palec, chwyтали całą rękę). Załatwiwszy swą sprawę i uzyskawszy obietnicę, że Clawson dostarczy jej czek do południa następnego dnia, zapytała, czy dzieła zebrane George'a Starka są teraz lekturą obowiązkową dla przyszłych adwokatów.

– Nie – odparł Clawson z promiennym, radosnym i zwierzęco drapieżnym uśmiechem – ale mogą po prostu sfinansować karierę jednego.

Właśnie ten uśmiech najbardziej się jej spodobał i sprawił, że w jego wypadku poluzowała pętlę, którą we wszystkich innych brutalnie zaciskała. Widziała już taki uśmiech wiele razy w swoim lustrze. Wówczas wierzyła – a tak między nami, wciąż wierzy – że nie może być fałszywy. Clawson naprawdę miał haka na Thaddeusa Beaumonta; jego błędem było przeświadczenie, że Beaumont przystanie na plany takiej grubej ryby jak Frederick Clawson. I na tym również polegał jej błąd.

Po informacji Clawsona o jego odkryciu Dodie przeczytała jedną z dwóch powieści Beaumonta – *Szkarłatną mgłę* – i uznała, że to wyjątkowo głupia książka. Mimo korespondencji i fotokopii, które

pokazał jej Clawson, trudno byłoby jej uwierzyć, że obaj pisarze to jeden i ten sam człowiek. Gdyby nie fakt, że mniej więcej w trzech czwartych książki, gdy była prawie gotowa cisnąć tym nudnym gniotem o ścianę i zapomnieć o całej sprawie, doszła do sceny, w której farmer zastrzelił konia. Koń miał złamane dwie nogi i trzeba go było zabić, sęk jednak w tym, że stary John dobrze się przy tym bawił: przytknął lufę strzelby do głowy zwierzęcia, po czym zaczął trzepać kapucyna, naciskając spust w chwili szczytowania.

Odniosła wrażenie, że gdy Beaumont doszedł do tej części, wstał od maszyny, żeby przynieść filiżankę kawy... a George Stark zasiadł przy niej i napisał tę scenę niczym literacki Titelitury. Z pewnością była to jedyna złota nić w tej stercie siana.

Cóż, teraz to nie miało żadnego znaczenia. Dowodziło jedynie, że nikt nie uodpornia się na wciskanie kitu raz na zawsze. Gruba Ryba ją wykołował, ale przynajmniej na krótko. Teraz to już przeszłość.

Dodie Eberhart dotarła na podest schodów drugiego piętra, zaciskając dłoń w pięść, jak zawsze, gdy nadchodziła pora łomotania w drzwi, po czym spostrzegła, że nie będzie to potrzebne. Drzwi mieszkania Grubej Ryby były uchylone.

– Jezu drogi! – mruknęła Dodie, wydymając wargi. Nie mieszkali w dzielnicy ćpunów, ale jeśli chodziło o obrobienie mieszkania jakiegoś idioty, ćpuny z ogromną chęcią przekraczały granice dzielnic. Ten gość był jeszcze głupszy, niż myślała.

Zastukała do drzwi i te otworzyły się na oścież.

– Clawson! – zawołała głosem zwiastującym nieszczęście i potępienie.

Nie usłyszała odpowiedzi. Spoglądając w głąb krótkiego korytarza, zauważyła, że zasłony w salonie są zaciągnięte i pali się górne

światło. Słysząc było grające cicho radio.

– Clawson, chcę z tobą porozmawiać!

Ruszyła korytarzem... i stanęła.

Jedna z poduch kanapy leżała na podłodze.

To wszystko. Nic nie wskazywało na to, że mieszkanie zostało zdewastowane przez jakiegoś ćpuna na głodzie, lecz jej zmysły nadal były wyostrzone i po chwili ogarnął ją strach. Poczwała jakiś zapach. Ledwo wyczuwalny. Trochę podobny do woni zepsutego, lecz jeszcze nie gnijącego jedzenia. Nie identyczny, ale najbardziej ją przypominający. Wydawało się jej, że kiedyś już go czuła.

W powietrzu unosił się jeszcze jeden zapach, lecz chyba nie węchem go rozpoznała. A rozpoznała natychmiast. Ona i funkcjonariusz Hamilton z Connecticut zgodziliby się od razu: to zapach zła.

Dodie stała tuż przed progiem salonu, spoglądając na zrzuconą poduchę i słuchając radia. Widok jednej nieszkodliwej poduchy sprawił to, czego nie zdołała sprawić wspinaczka na drugie piętro – jej serce biło pospiesznie pod wielką lewą piersią, a z ust wydobywał się płytki oddech. Coś tutaj było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Pytanie tylko, czy ona zostanie w to wciągnięta, jeżeli będzie się tu nadal kręcić.

Zdrowy rozsądek nakazywał jej odwrót, póki miała taką możliwość, a zdrowy rozsądek miał wielką siłę oddziaływania. Ciekawość podpowiadała, żeby zostać, rzucić okiem... i wzięła górę.

Wsunęła głowę za próg salonu i najpierw spojrzała w prawo, gdzie znajdowała się atrapa kominka, dwa okna z widokiem na L Street i niewiele więcej. Potem w lewo i jej głowa nagle zastygła w bezruchu. Jakby została zablokowana. Oczy Dodie zrobiły się

okrągłe.

To nieruchome spojrzenie trwało nie więcej niż trzy sekundy, ale jej wydawało się znacznie dłuższe. I zobaczyła w tym czasie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami włącznie; umysł Dodie zrobił własną fotografię tego, co oglądał, czytelną i ostrą jak zdjęcia, które niebawem miał wykonać policyjny fotograf.

Ujrzała dwie stojące na niskim stoliku butelki piwa Amstel, jedną pustą, a drugą w połowie opróżnioną, z kołnierzem piany wciąż pokrywającej wnętrze szyjki. Dostrzegła popielniczkę z napisem CHICAGOLAND! na zakrzywionej powierzchni. Zauważyła dwa niedopałki papierosa bez filtra rozgniecione na środku nieskazitelnej bieli, mimo że Gruba Ryba nie palił – w każdym razie nie palił papierosów. Zobaczyła plastikowe pudełko leżące na boku między butelkami i popielniczką, kiedyś pełne pinezek. Większość jego zawartości, używana przez Grubą Rybę do przypinania różnych rzeczy na kuchennej tablicy informacyjnej, była rozrzucona na szklanym blacie stolika. Kilka pinezek leżało na otwartym numerze magazynu „People”, tym, w którym zamieszczono artykuł o Thadzie Beaumencie/George’u Starku. Dostrzegła pana i panią Beaumont ściskających sobie dłonie nad nagrobkiem Starka, choć z jej perspektywy byli odwróceny do góry nogami. Ten artykuł zdaniem Fredericka Clawsona nigdy nie miał się ukazać w druku. Dzięki temu zaś on miał zostać dość zamożnym człowiekiem. Mylił się w tej kwestii. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że mylił się we wszystkim.

Ujrzała Fredericka Clawsona, który z Grubej Ryby stał się płotką, na jednym z dwóch krzeseł w salonie. Był do niego przywiązany. Siedział nagi, jego zwinięte w kulę ubranie ciśnięto pod stół. Zobaczyła krwawą dziurę w jego kroczu. Jądra nadal były na swoim

miejscu, ale członek tkwił w jego ustach. Mieścił się w nich bez trudu, ponieważ morderca obciął Grubej Rybie także język. I przypiął go do ściany. Pinezka została wepchnięta w różową tkanę tak głęboko, że widać było jedynie uśmiechający się jaskrawożółty półksiężyc jej główki. Umysł Dodie zarejestrował bezlitośnie również ten obraz. Drobne krople krwi ściekały po tapecie poniżej, tworząc nierówny wachlarz.

Zabójca użył jeszcze jednej pinezki, tym razem z jasnozieloną główką, do przypięcia drugiej strony artykułu z „People” do nagiej piersi byłej Grubej Ryby. Dodie nie dostrzegła na niej twarzy Liz Beaumont – zasłoniła ją krew Clawsona – widziała jednak rękę kobiety podsuwającą uśmiechniętemu Thadowi blachę z czekoladowymi ciasteczkami. Pamiętała, że to zdjęcie szczególnie zirytowało Clawsona. „Ale teatr! – wykrzyknął.

– Ona nienawidzi gotować... powiedziała to w wywiadzie tuż po opublikowaniu jego pierwszej powieści”.

Nad przypiętym do ściany językiem Clawsona widniały trzy słowa napisane umoczoną we krwi palcem:

WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ

Jezu Chryste, dotarła z głębi jej świadomości nagła myśl. Dokładnie tak jak w powieści George’a Starka... jak zrobiłby Alexis Machine.

Zza jej pleców dobiegło ciche stuknięcie.

Dodie Eberhart krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Machine zaatakował ją swą straszną brzytwą, której błyszczące stalowe ostrze pokrywała krew Fredericka Clawsona. Twarz potwora była wykrzywioną maską z blizn po ranach, które w finale *Sposobu Machine’a* pozostawiła na niej ręka Nonie Griffiths, i...

I nie było tam żywego ducha.

Drzwi zamknęły się gwałtownie – i to wszystko, tak czasami bywa.

Czyżby? – dobiegło pytanie z głębi jej świadomości... tyle że tym razem z mniej odległej, głośniejsze, naglące i zabarwione przerażeniem. Gdy weszłaś po schodach, były uchylone. Lekko, ale wystarczająco szeroko, byś mogła stwierdzić, że nie są zamknięte.

Jej wzrok na powrót spoczął na butelkach stojących na stoliku. Jedna była pełna. Druga opróżniona w połowie, z pierścieniem piany na wewnętrznej powierzchni szyjki.

Kiedy weszła, zabójca stał za drzwiami. Gdyby odwróciła głowę, niemal na pewno by go zobaczyła... i teraz też byłaby martwa.

Gdy tu stała zafascynowana kolorowymi szczątkami Fredericka „Grubej Ryby” Clawsona, jego oprawca po prostu wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Nogi ugięły się pod nią i z upiornym wdziękiem osunęła się na kolana; wyglądała jak dziewczynka, która właśnie ma przyjąć komunię. Jak myszokoczka chwyta się koła ćwiczeń, tak ona chwytała się szaleńczo jednej myśli: Nie powinnam była krzyczeć, on wróci, nie powinnam była krzyczeć, on wróci, nie powinnam była krzyczeć...

I wtedy usłyszała głuchy, miarowy odgłos jego wielkich stóp na dywanie w korytarzu. Później nabrała przekonania, że to przekłeci Shulmanowie znowu podkręcili potencjometr w swojej aparaturze stereo, a ona wzięła niskie tony gitary basowej za kroki, lecz w tym momencie była przeświadczona, że to powracający Alexis Machine... człowiek tak gorliwy i tak żądny krwi, że nawet śmierć by go nie powstrzymała.

Po raz pierwszy w życiu Dodie Eberhart straciła przytomność.

Ocknęła się niespełna trzy minuty później. Nogi nadal odmawiały jej posłuszeństwa, więc podpełzła z powrotem do drzwi mieszkania; zwisające włosy zasłaniały jej twarz. Zamierzała otworzyć drzwi i wyrzucić na zewnątrz, ale nie mogła się na to zdobyć. Zamiast tego przekręciła zamek, po czym zasunęła zasuwę i wetknęła rygiel do stalowej stopki. To uczyniwszy, zasapana usiadła przy drzwiach; świat wokół niej tworzył szarą rozmazaną plamę. Miała niejasną świadomość, że zamknęła się w mieszkaniu z okaleczonymi zwłokami, ale to nie było takie złe. Wcale nie było złe, gdy wzięło się pod uwagę inne możliwości.

Stopniowo wracały jej siły i w końcu była w stanie się podnieść. Skręciła na końcu korytarza i wśliznęła się do kuchni, w której znajdował się telefon. Cały czas odwracała oczy od tego, co zostało z Grubej Ryby, chociaż było to pozbawione sensu; jeszcze długo miała oglądać zakodowaną w myślach fotografię w całej jej ohydnej wyrazistości.

Zadzwoiła na policję, a gdy policjanci przybyli na miejsce, nie chciała ich wpuścić do środka, dopóki jeden z nich nie wsunął legitymacji przez szparę pod drzwiami.

– Jak ma na imię pańska żona? – zapytała gliniarza, którego laminowany dowód tożsamości stwierdzał, że to Charles F. Toomey junior. Głos Dodie był wysoki i drżący, brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle. Nie poznaliby go nawet jej bliscy znajomi (gdyby takich miała).

– Stephanie, proszę pani – padła zza drzwi cierpliwa odpowiedź.

– Mogę zadzwonić na komendę i to sprawdzić! – zapiszczała niemal.

– Wiem o tym, pani Eberhart – odparł głos – ale nie sądzi pani, że

szybciej poczułaby się bezpieczna, gdyby po prostu wpuściła nas pani do środka?

Ponieważ Dodie mimo wszystko rozpoznawała głos gliniarza z taką samą łatwością, z jaką wcześniej rozpoznała zapach zła, otworzyła drzwi i wpuściła Toomeya oraz jego partnera do mieszkania. Gdy znaleźli się za progiem, Dodie zrobiła jeszcze coś, czego nigdy wcześniej nie robiła: wpadła w histerię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SPRAWA POLICJI

1

Gdy przyszła policja, Thad pisał w swoim gabinecie na piętrze.

Liz czytała książkę w salonie, a w tym czasie William i Wendy wygłupiali się we wspólnym ogromnym kojcu. Podeszła do drzwi i zanim je otworzyła, spojrzała przez jedno z umieszczonych z obu stron framugi ozdobnych okien. Nabrała tego nawyku, odkąd nastąpił – nazywany tak dla żartu – „debiut” Thada na łamach tygodnika „People”. Zaczęli do nich wpadać goście – w większości nieokreśleni znajomi z mieszaniną ciekawskich mieszkańców miasta, a nawet kilku zupełnie obcych ludzi (bez wyjątku wielbicieli Starka) na dokładkę. Thad nazwał to „syndromem oglądania żywych krokodyli” i powiedział, że za parę tygodni ów syndrom zniknie. Liz miała nadzieję, że ma rację. Tymczasem zaś obawiała się, że któryś z nowych gości może być jakimś szalonym łowcą krokodyli pokroju zabójcy Johna Lennona, i najpierw zerknęła na zewnątrz przez boczne okno. Nie była pewna, czy rozpozna w ten sposób prawdziwego szaleńca, ale mogła przynajmniej uchronić Thada przed dekoncentracją w ciągu dwóch godzin, które każdego ranka poświęcał pisaniu. Potem on sam podchodził do drzwi, rzucając jej zwykle spojrzenie skruszonego chłopca, ona zaś nie wiedziała, jak na nie reagować.

Odgadła, że trzech mężczyźni stojący na progu ich domu sobotniego ranka nie są wielbicielami Beaumonta bądź Starka ani też szaleńcami... chyba że część obecnych szaleńców zaczęła jeździć policyjnymi radiowozami. Otworzyła drzwi, czując pewien niepokój, który nawet najbardziej niewinni ludzie muszą odczuwać, gdy policja zjawia się u nich bez wezwania. Gdyby miała na tyle duże dzieci, by tego deszczowego ranka z krzykiem szalały na dworze, przypuszczalnie już teraz zastanawiałaby się, czy są całe i zdrowe.

– Słucham?

– Pani Elizabeth Beaumont? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Czy pani mąż jest w domu? – zapytał drugi.

Obaj nosili identyczne błyszczące płaszcze przeciwdeszczowe i czapki policji stanowej.

„Nie, to, co słyszycie, to duch Ernesta Hemingwaya stukający w klawisze maszyny do pisania na piętrze” – miała zamiar odpowiedzieć, ale oczywiście tego nie zrobiła. Najpierw pojawiło się przerażenie, że ktoś miał wypadek, potem urojone poczucie winy, które sprawiało, że miała ochotę wyjechać z czymś ostrym lub sarkastycznym, czymś, co bez względu na rzeczywiście wypowiedziane słowa znaczyło: „Odejdźcie. Nie chcemy was tutaj. Nie zrobiliśmy nic złego. Odejdźcie i znajdźcie kogoś, kto jest złoczyńcą”.

– Mogę zapytać, dlaczego chce pan się z nim zobaczyć?

Trzecim policjantem był Alan Pangborn.

– To sprawa policji, proszę pani – odparł. – Możemy z nim porozmawiać?

2

Thad Beaumont nie prowadził uporządkowanego dziennika, czasami jednak pisał o zdarzeniach w swoim życiu, które go zaciekały, rozbawiły lub przerażyły. Te relacje spisywane w oprawionej księdze jego żonie niezbyt się podobały. Prawdę mówiąc, przyprawiały ją o gęsią skórkę, chociaż nigdy nie wyjawiała tego mężowi. Przeważnie były dziwnie beznamienne, jakby chwilami stał z boku i opowiadał o swoim życiu z dystansem niemal obojętnego obserwatora. Po wizycie policji rankiem czwartego czerwca dokonał długiego wpisu pełnego silnych i niezwykłych podskórnych emocji.

Teraz trochę lepiej rozumiem Proces Kafki i Rok 1984 Orwella. Odczytywanie ich jako powieści wyłącznie politycznych jest poważnym błędem. Sądzę, że depresja, jaką przeszedłem po ukończeniu Tańca i odkryciu, że nic za nim nie czeka – to znaczy nic oprócz poronienia Liz – wciąż stanowi najbardziej bolesne doświadczenie emocjonalne w naszym małżeńskim życiu, lecz to, co wydarzyło się dzisiaj, wydaje się jeszcze gorsze. Mówię sobie, że wynika to ze świeżości doznania, ale podejrzewam, że to zdecydowanie nie wszystko. Przypuszczam, że skoro mój pobyt w jądrze ciemności i utrata pierwszych bliźniąt są ranami, które się zabiły, to nowa rana też się zagoi... nie wierzę jednak, by czas zupełnie ją zasklepił. Ona także pozostawi bliznę, krótszą, lecz głębszą – niczym zanikający ślad nagłego cięcia nożem.

Jestem pewien, że policjanci postępowali zgodnie ze swoją przysięgą (jeżeli nadal ją składają, a przypuszczam, że tak). A jednak miałem wtedy wrażenie – i nadal nie mogę się go pozbyć – że grozi mi wciągnięcie w tryby jakiejś nieludzkiej, anonimowej maszyny biurokratycznej, która będzie metodycznie działać, aż rozerwie mnie na strzępy... ponieważ rozrywanie ludzi na strzępy jest jej zadaniem. A moje krzyki nie przyspieszą ani nie opóźnią działania maszyny.

Wiedziałem, że Liz jest zdenerwowana, gdy przyszła na górę i powiedziała, że policjanci chcą się ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie, ale nie chcą wyjaśnić, o co chodzi. Dodała, że

jednym z nich jest Alan Pangborn, szeryf okręgu Castle. Chyba spotkałem go wcześniej parę razy, ale tak naprawdę rozpoznałem go tylko dlatego, że jego zdjęcie od czasu do czasu ukazuje się w „Castle Rock Call”.

Byłem ciekaw powodów tej wizyty i wdzięczny za przerwę w pisaniu, bo moi bohaterowie przez ostatni tydzień domagali się robienia rzeczy, na które nie chcę im pozwolić. Jeżeli o czymś pomyślałem, to o tym, że ich wizyta może mieć jakiś związek z Frederickiem Clawsonem lub artykułem w „People”. I miała, choć nie taki, jak sądziłem.

Nie wiem, czy potrafię właściwie oddać atmosferę spotkania, które potem nastąpiło. Nie wiem, czy to w ogóle ma znaczenie; wiem tylko, że powinienem spróbować. Stali w holu u stóp schodów – trzech tędzy mężczyźni (nic dziwnego, że ludzie nazywają ich bykami) ociekający wodą, która kapiała na dywan.

– Thaddeus Beaumont? – zapytał jeden z nich, szeryf Pangborn, i właśnie wtedy zaczęła następować zmiana emocjonalna, którą pragnę opisać (lub przynajmniej zasygnalizować). Do zaciekawienia i zadowolenia z tego, że chociaż na krótko uwolniłem się od maszyny, doszła konsternacja. I lekka obawa. Wypowiedział moje imię i nazwisko, ale nie słowo „pan”. Niczym sędzia zwracający się do oskarżonego chwilę przed wydaniem wyroku.

– Zgadza się – odparłem. – A pan nazywa się Pangborn i jest szeryfem. Wiem, bo mamy dom nad Castle Lake – wyjaśniłem, po czym wyciągnąłem dłoń w tym tradycyjnym odruchu dobrze wytresowanego amerykańskiego samca.

Spojrzał na nią i na jego twarzy odmalował się taki wyraz, jakby otworzył drzwi swojej lodówki i stwierdził, że ryba, którą kupił na kolację, się zepsuła.

– Nie mam zamiaru ścisnąć pańskiej ręki – rzekł

– może więc ją pan opuścić i oszczędzić nam obu zakłopotania.

Te słowa były cholernie dziwne, wręcz grubiańskie.

Ale nie przeszkadzały mi tak bardzo jak sposób, w jaki je wypowiedział. Jakby myślał, że postradałem zmysły.

I wtedy po prostu się przeraziłem. Nawet teraz trudno mi uwierzyć, jak szybko, jak cholernie szybko moje emocje przeszły od stanu zwykłej ciekawości i pewnego zadowolenia z przerwy

w rutynowym zajęciu do nieskrywanego lęku. Natychmiast zrozumiałem, że nie przyszli tu jedynie porozmawiać ze mną o czymś, ale dlatego, że sądzą, iż coś zrobiłem. I w tej pierwszej chwili grozy – „Nie mam zamiaru ścisnąć pańskiej ręki” – byłem pewien, że mają rację.

Właśnie to muszę podkreślić. W głuchoj ciszy, która zapadła po tym, jak Pangborn nie chciał uścisnąć mi dłoni, rzeczywiście pomyślałem, że zrobiłem wszystko... i nie będę w stanie zataić swojego przewinienia.

3

Thad powoli opuścił rękę. Kątem oka widział Liz z dłońmi zaciśniętymi w białą kulę między piersiami i nagle zapragnął się wściec na tego glinę, który został zaproszony w ich progi, po czym nie chciał podać mu ręki. Na tego glinę, któremu pensję przynajmniej w drobnej części wypłacano z podatków, jakie Beaumontowie płacili od swojego domu w Castle Rock. Na tego glinę, który przeraził Liz i wzbudził przerażenie w nim.

– Świetnie – rzekł spokojnie Thad. – Jeżeli nie uściśnie pan mojej dłoni, to może przynajmniej powie mi pan, po co tutaj przyszliście.

W odróżnieniu od funkcjonariuszy policji stanowej Alan Pangborn nie miał na sobie płaszcza przeciwdeszczowego, lecz nieprzemakalną kurtkę, która sięgała zaledwie do pasa. Z tylnej kieszeni wyjął jakąś kartkę i zaczął z niej czytać. Thad dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że słucha pouczenia o przysługujących mu prawach.

– Jak pan stwierdził, panie Beaumont, nazywam się Alan Pangborn. Jestem szeryfem okręgu Castle w stanie Maine. Przyszedłem tutaj, ponieważ muszę pana przesłuchać w związku z przestępstwem zagrożonym karą śmierci. Przesłuchanie odbędzie się w Komendzie Policji Stanowej w Orono. Ma pan prawo zachować milczenie...

– Dobry Boże, błagam, o co chodzi? – zapytała Liz, a jej słowa

nałożyły się na to, co Thad usłyszał z własnych ust:

– Zaczekajcie, zaczekajcie chwilę, do cholery.

Miał zamiar to wykrzyknąć, ale choć mózg rozkazał płucom zwiększyć natężenie głosu do poziomu scenicznego ryku, zdołał wyartykułować jedynie łagodny sprzeciw, całkowicie zlekceważony przez Pangborna.

– ...oraz skorzystać z pomocy adwokata. Jeżeli nie stać pana na adwokata, otrzyma pan pomoc prawną z urzędu.

Szeryf schował kartkę do tylnej kieszeni.

– Thad?

Liz tuliła się do niego jak małe dziecko wystraszone burzą. Wielkimi zdziwionymi oczami wpatrywała się w Pangborna. Co jakiś czas zerknęła na funkcjonariuszy policji, wystarczająco rośłych, żeby grać w obronie zawodowej drużyny futbolowej, lecz głównie patrzyła na niego.

– Nigdzie z wami nie pójdę – odparł Thad. Głos mu drżał, podnosząc się i opadając, zmieniając rejestry jak głos wyrostka. Beaumont wciąż starał się wzbudzić w sobie wściekłość. – Sądzę, że nie możecie mnie do tego zmusić.

Jeden z policjantów odchrząknął i rzekł:

– Możemy jeszcze wrócić i uzyskać nakaz pańskiego aresztowania, panie Beaumont. Dzięki informacjom, które mamy, będzie to bardzo łatwe. – Policjant spojrział na Pangborna. – Może należałoby dodać, że szeryf Pangborn chciał, byśmy go ze sobą przywieźli. Stanowczo nas do tego przekonywał i przypuszczam, że postawiłby na swoim, gdyby pan nie był... w pewnym sensie... postacią publiczną.

Pangborn wyglądał na zniesmaczonego – prawdopodobnie ich sporem, a może tym, że policjant informował o nim Thada,

a najpewniej jednym i drugim.

Policjant zobaczył jego minę, przestąpił z nogi na nogę w swych mokrych butach, jakby był nieco zakłopotany, ale i tak kontynuował:

– W zaistniałej sytuacji mogę to panu wyjawić.

Spojrzał pytająco na swojego partnera, który skinął głową.

Pangborn nadal miał zniesmaczoną i gniewną minę. Wygląda tak, pomyślał Thad, jakby miał ochotę rozpruć mi brzuch gołymi rękami i owinać mi flaki wokół głowy.

– To brzmi bardzo profesjonalnie – zauważył Thad. Odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że odzyskuje przynajmniej część panowania nad sobą i swoim głosem. Chciał odczuwać gniew, bo gniew uśmierzyłby strach, lecz nadal zdolny był co najwyżej do konsternacji. Czuł się jak bokser po niespodziewanym ciosie. – Ignoruje pan jednak fakt, że nie mam bladego pojęcia, na czym polega ta cholerna sytuacja.

– Gdybyśmy tak uważali, nie byłoby nas tutaj, panie Beaumont – odparł Pangborn.

Wyraz pogardy malujący się na jego obliczu wreszcie załatwił sprawę: Thad wpadł w furję.

– Nie obchodzi mnie, co pan myśli! – zawołał. – Powiedziałem już, że wiem, kim pan jest, szeryfie Pangborn. Oboje z żoną kupiliśmy dom w Castle Rock w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, na długo przedtem, zanim pan usłyszał o tym miejscu. Nie wiem, co pan robi tutaj, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów od swojego rewiru, ani dlaczego patrzy pan na mnie tak, jakbym był ptasim gównem na karoserii nowego samochodu, ale zapewniam, że nigdzie z wami nie pójdę, dopóki się tego nie dowiem. Jeżeli będzie do tego potrzebny nakaz aresztowania, to niech pan go zdobędzie.

Chcę jednak, żeby pan wiedział, że wówczas będzie pan siedział po uszy we wrzącym gównie i to ja będę dokładał do ognia. Ponieważ nic nie zrobiłem. To jest kurewsko oburzające. Po prostu... kurewsko... oburzające!

Jego głos osiągnął teraz pełne napięcie i obaj policjanci wyglądali na nieco speszonych. Pangborn nie. Dalej gapił się na Thada w ten niepokojący sposób.

Jedno z bliźnięt zaczęło płakać w drugim pokoju.

– O Jezu – jęknęła Liz. – O co chodzi? Powiedzcie nam!

– Idź zająć się dziećmi, skarbie – rzekł Thad, nie odrywając wzroku od oczu Pangborna.

– Ale...

– Proszę – dodał Thad i wtedy rozplakało się też drugie dziecko. – Nic się nie stanie.

Liz posłała mu ostatnie drżące spojrzenie, pytając niemo: „Obiecujesz?”, po czym weszła do salonu.

– Chcemy pana przesłuchać w związku z zabójstwem Homera Gamache’a – wyjaśnił drugi policjant.

Thad oderwał wzrok od szeryfa i zwrócił się do policjanta:

– Kogo?

– Homera Gamache’a – powtórzył Pangborn. – Ma pan zamiar wmawiać nam, że to nazwisko nic panu nie mówi, panie Beaumont?

– Oczywiście, że nie – odparł zdumiony Thad. – Homer wywozi nasze śmieci na wysypisko, gdy jesteśmy w mieście. Robi w domu drobne naprawy. Stracił rękę w Korei. Dali mu Srebrną Gwiazdę...

– Brązową – rzekł lodowato szeryf.

– Homer nie żyje? Kto go zabił?

Policjanci spojrzeli teraz na siebie zaskoczeni. Zdumienie jest

oprócz smutku chyba tym ludzkim uczuciem, które najtrudniej przekonująco udawać.

Pierwszy policjant odparł dziwnie łagodnym głosem:

– Mamy wszelkie powody sądzić, że pan to zrobił, panie Beaumont. I właśnie dlatego tutaj jesteśmy.

4

Thad patrzył na niego przez chwilę z kompletną konsternacją, po czym wybuchnął śmiechem.

– Jezu. Jezu Chryste. Ktoś tu zwariował.

– Chce pan zabrać płaszcz, panie Beaumont? – zapytał drugi policjant. – Na dworze dość mocno pada.

– Nigdzie z wami nie pójde – powtórzył z roztargnieniem Thad, zupełnie nie dostrzegając nagłego wyrazu irytacji na twarzy Pangborna. Myślał.

– Niestety, pójdzie pan – powiedział Pangborn. – Tak czy inaczej.

– W takim razie to będzie musiał być ten drugi przypadek – rzekł Thad, po czym wyrwał się z pytaniem: – Kiedy to się stało?

– Panie Beaumont – odparł szeryf, mówiąc powoli i wyraźnie, jakby zwracał się do czterolatka, i to w dodatku niezbyt bystrego. – Nie przyszliśmy tu po to, by przekazywać panu informacje.

Liz stanęła z dziećmi w drzwiach salonu. Jej twarz była blada jak kreda, czoło lśniło jak porcelana.

– To szaleństwo – powiedziała, przenosząc spojrzenie z Pangborna na policjantów i z powrotem na szeryfa. – Szaleństwo. Nie zdaje pan sobie z tego sprawy?

– Niech pan posłucha, szeryfie – rzekł Thad, podchodząc do żony i obejmując ją ramieniem. – Nie zabiłem Homera, ale teraz rozumiem,

dlaczego jest pan tak wkurzony. Zapraszam na górę do mojego gabinetu. Siądziemy i zobaczymy, czy nie można tego wyjaśnić...

– Niech pan weźmie płaszcz – polecił Pangborn i zerknął na Liz. – Proszę mi wybaczyć ten kolokwializm, ale w deszczowy sobotni rano nie zniosę już więcej wciskania kitu. Mamy pana w garści.

Thad spojrzął na starszego z dwóch policjantów.

– Może pan przemówić temu człowiekowi do rozsądku?

Powiedzieć, że może uniknąć zażenowania i całej masy kłopotów, mówiąc mi po prostu, kiedy Homer zginął? – poprosił i po namyśle dodał: – I gdzie. Jeżeli w Castle Rock, a nie wyobrażam sobie, co by tutaj robił... cóż, przez ostatnie dwa i pół miesiąca, jeśli nie liczyć wyjazdów na uczelnię, nie ruszałem się z Ludlow. – Popatrzył na Liz, która potwierdziła skinieniem głowy.

Policjant przemyślał jego słowa, po czym rzekł:

– Przepraszamy na chwilę.

Cała trójka przeszła przez korytarz; wydawało się niemal, że policjanci prowadzą Pangborna. Wyszli przed dom. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Liz zarzuciła męża gradem chaotycznych pytań. Thad znał ją wystarczająco dobrze, by podejrzewać, że jej przerażenie uzewnętrzniłoby się złością – a nawet furią – na gliniarzy, gdyby nie wieść o śmierci Homera Gamache'a. W tej sytuacji była bliska łez.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł i pocałował ją w policzek. Po namyśle dał też całusa Williamowi i Wendy, którzy mieli coraz bardziej zmartwione miny. – Myślę, że ci policjanci już wiedzą, iż mówię prawdę. Pangborn... no cóż, znał Homera. Ty też go znałaś. Jest po prostu piekielnie wkurzony.

A sądząc po jego minie i słowach, musi chyba mieć niezbite dowody wiążące mnie z tym morderstwem, pomyślał, lecz nie

powiedział tego na głos.

Podszedł do drzwi i jak wcześniej Liz wyjrzał przez wąskie boczne okno. W innych okolicznościach to, co zobaczył, byłoby zabawne. Stojąc we trójkę na werandzie, niemal w deszczu, mężczyźni się naradzali. Thad słyszał szmer ich głosów, ale nie rozumiał poszczególnych słów. Przypominali mu baseballistów naradzających się na stanowisku miotacza podczas końcowej, pomyślnej dla zespołu przeciwnika rundy. Obaj policjanci mówili coś do Pangborna, który kręcił głową i odpowiadał z ożywieniem.

Thad wycofał się w głąb korytarza.

– Co oni robią? – zapytała Liz.

– Nie wiem – odparł – ale policjanci chyba próbują go namówić, by mi powiedział, skąd ma pewność, że zabiłem

Homera Gamache’a. Albo przynajmniej częściowo to wyjaśnił.

– Biedny Homer – bąknęła Liz. – To jest jak zły sen.

Thad wziął od niej Williama i powtórzył, żeby się nie martwiła.

5

Policjanci weszli do domu około dwóch minut później. Czoło Pangborna zaszło chmurą burzową. Thad domyślił się, że jego towarzysze powiedzieli mu to, co sam już wiedział, ale czego nie chciał przyznać: twarz pisarza żadnym tikiem ani drzeniem nie zdradziła zachowań, które im kojarzyły się z winowajcą.

– W porządku – rzekł szeryf. Thad pomyślał, że stara się nie być opryskliwy i że całkiem nieźle mu to wychodzi, biorąc pod uwagę, iż przebywa w towarzystwie głównego podejrzanego o zamordowanie jednorękiego staruszka. – Ci panowie chcieliby, żebym zadał panu tutaj przynajmniej jedno pytanie, więc je zadam. Czy może pan

wyjaśnić, gdzie pan był od jedenastej wieczorem trzydziestego pierwszego maja tego roku do czwartej rano pierwszego czerwca?

Beaumontowie wymienili spojrzenia. Thad poczuł, jak powoli spada mu z serca wielki ciężar. Nie spadł całkowicie, jeszcze nie teraz, ale miał wrażenie, że wszystkie przytrzymujące go zaczepy zostały rozpięte. Teraz wystarczyło tylko jedno porządne pchnięcie.

– Czy to wtedy? – wymamrotał do żony. Tak sądził, ale wydawało się to trochę zbyt dobre, żeby było prawdziwe.

– Jestem tego pewna – odparła Liz. – Powiedział pan: trzydziestego pierwszego? – Spojrzała na Pangborna z promienną nadzieją.

Szeryf popatrzył na nią podejrzliwie.

– Tak, proszę pani. Ale obawiam się, że wasze niepotwierdzone słowa nie będą...

Liz nie zwracała na niego uwagi, odliczając wstecz na palcach. Nagle uśmiechnęła się szeroko jak uczennica.

– Wtorek! Trzydziesty pierwszy był we wtorek! – krzyknęła do męża. – Naprawdę! Bogu dzięki!

Pangborn wyglądał na bardziej zaintrygowanego i podejrzliwego niż dotąd. Policjanci spojrzeli najpierw na siebie, a potem znowu na Liz.

– Zechce nam pani to wyjaśnić, pani Beaumont? – zapytał jeden z nich.

– We wtorkowy wieczór trzydziestego pierwszego urządziliśmy tutaj przyjęcie! – odparła i posłała szeryfowi spojrzenie pełne triumfu i złośliwej niechęci. – Nasz dom był pełen gości! Prawda, Thad?

– Bez dwóch zdań.

– W podobnych sprawach dobre alibi samo jest podstawą do podejrzeń – zauważył Pangborn, ale wyglądał na wytrąconego

z równowagi.

– Och, ty arogancki głupcze! – wykrzyknęła Liz. Jej policzki spłonęły teraz jaskrawymi rumieńcami. Strach mijał; nadciągała wściekłość. Żona Thada popatrzyła na policjantów. – Gdy mój mąż nie ma alibi na czas popełnienia morderstwa, którego waszym zdaniem jest sprawcą, to zabieracie go na komendę! Jeśli je ma, ten człowiek twierdzi, iż to prawdopodobnie oznacza, że i tak je popełnił! O co chodzi? Boicie się odrobiny uczciwej pracy? Po co tu jesteście?

– Odpuść sobie, Liz – rzekł spokojnie Thad. – Mają ku temu uzasadnione powody. Sądzę, że gdyby szeryf Pangborn szukał wiatru w polu lub kierował się przecuciem, to przyjechałby sam.

Pangborn posłał mu zgorzkniałe spojrzenie, po czym westchnął i poprosił:

– Niech pan opowie nam o tym przyjęciu, panie Beaumont.

– Urządziliśmy je dla Toma Carrolla – wyjaśnił Thad. – Tom przez dziewiętnaście lat pracował na wydziale anglistyki naszego uniwersytetu, a przez ostatnie pięć był szefem katedry. Dwudziestego siódmego maja, w dniu oficjalnego zakończenia roku akademickiego, przeszedł na emeryturę. Zawsze był naszym ulubieńcem na wydziale, nazywanym przez większość nas, starych wiarusów, Gonzo Tomem z powodu wielkiego zamiłowania do esejów Huntera Thompsona. Postanowiliśmy więc wydać z tej okazji przyjęcie na cześć Toma i jego żony.

– O której się ono skończyło?

Thad uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Cóż, skończyło się przed czwartą nad ranem, ale trwało długo. Gdy grupę nauczycieli angielskiego skojarzy się z niemal nieograniczoną ilością gorzałki, mogliby przebalować cały weekend.

Goście zaczęli się schodzić około ósmej... Kto był ostatni, kochanie?

– Rawlie DeLesseps i ta okropna kobieta z wydziału historii, z którą chodzi od narodzin Chrystusa – odparła Liz. – Ta, co łązi i ryczy: „Mów mi po prostu Billie, wszyscy tak mówią”.

– Racja – potwierdził Thad z szerokim uśmiechem. – Okropna Wiedźma ze Wschodu.

Oczy Pangborna przesyłały czytelny sygnał: kłamiesz i obaj o tym wiemy.

– A o której wasi przyjaciele wyszli?

Thad wzdrygnął się trochę.

– Przyjaciele? Rawlie, owszem, ale ta kobieta z pewnością nie jest naszą przyjaciółką.

– O drugiej – odparła Liz.

Thad skinął głową.

– Musiała być co najmniej druga, gdy odprowadzaliśmy ich do drzwi. O mało ich nie taszczyliśmy. Jak już napomknąłem, zanim wprowadzą mnie do klubu miłośników Wilhelminy Burks, w piekle spadnie śnieg, ale nalegałbym, żeby zostali na noc, gdyby Rawlie miał do przejechania więcej niż pięć kilometrów albo gdyby była wcześniejsza godzina. O tej porze we wtorek w nocy... przepraszam, w środę rano... i tak na drogach nikogo nie ma. Może z wyjątkiem kilku jeleni urządzających wypadki do okolicznych ogrodów. – Nagle umilkł. Pod wpływem doznanej ulgi omal nie zaczął paplać.

Na chwilę zapadła cisza. Dwaj policjanci wbili wzrok w podłogę. Wyrazu twarzy Pangborna Thad nie mógł odszyfrować – chyba nigdy wcześniej nic takiego nie widział. Nie było to rozgoryczenie, choć częściowo to również.

Co, do kurwy nędzy, się tutaj dzieje?

– Cóż, to bardzo sprytnie pomyślane, panie Beaumont – rzekł wreszcie Pangborn – ale do pewności jeszcze daleko. Mamy państwa słowa... czy też przybliżoną ocenę tego, kiedy odprowadzaliście do drzwi tę ostatnią parę. Skoro byli tak narąbani, jak pan sądzi, raczej nie będą w stanie potwierdzić pańskich słów. A jeżeli ten DeLesseps naprawdę jest pana przyjacielem, mógłby powiedzieć... cóż, kto wie?

Tak czy inaczej, Alan Pangborn tracił impet. Thad spostrzegł to i wierzył – nie, wiedział – że policjanci też to zauważyli. Mimo to nie był jeszcze gotów odpuścić. Strach, który Thad czuł na początku, i gniew, który pojawił się po nim, przeradzały się w fascynację i zaciekawienie. Pomyślał, że nigdy nie widział tak wyrównanej walki między konsternacją a pewnością. Ich udział w przyjęciu – a przecież szeryf musiał przyjąć jako fakt coś, co tak łatwo można było sprawdzić – wstrząsnął nim... ale go nie przekonał. Thad zauważył, że policjanci też nie byli w pełni przekonani. Jedyna różnica polegała na tym, że oni się tak nie wściekli. Nie znali Homera Gamache'a osobiście, więc nie byli tym tak bardzo zainteresowani. W przeciwieństwie do Alana Pangborna.

Ja też go znałem, pomyślał Thad. Może więc też jestem zainteresowany. I to nie tylko ratowaniem własnej skóry.

– Niech pan posłucha – tłumaczył cierpliwie, patrząc Pangbornowi w oczy i starając się nie odwzajemniać jego wrogości. – Bądźmy realistami, jak chętnie mawiają moi studenci. Zapytał pan, czy mogę skutecznie dowieść, gdzie wówczas byliśmy...

– Gdzie pan był, panie Beaumont – poprawił szeryf.

– W porządku, gdzie ja byłem. Przez pięć dość kłopotliwych godzin. Wtedy, kiedy większość ludzi leży w łóżkach. Dzięki czystemu łutowi szczęścia my... ja, skoro pan woli... mam alibi na co najmniej trzy

z tych pięciu godzin. Być może Rawlie i jego odpychająca przyjaciółka wyszli o drugiej, może o pierwszej trzydzieści lub o drugiej piętnaście. Kiedykolwiek to było, wyszli późno. To potwierdzą, a pani Burks nie dostarczyłaby mi fałszywego alibi, nawet gdyby zrobił to Rawlie. Myślę, że gdyby Billie Burks zobaczyła mnie topiącego się przy brzegu morza, wylałaby na mnie wiadro wody.

Liz wykrzywiła usta w dziwnym uśmiechu, gdy odbierała od niego Williama, który zaczął się wiercić w ramionach ojca. Początkowo nie zrozumiał, co ów uśmiech oznacza, a potem dotarło do niego, że oczywiście chodzi o ten zwrot – „dostarczyłaby mi fałszywego alibi”. Zwrot, którego czasami używał Alexis Machine, arcyłotr z powieści George’a Starka. W pewnym sensie było to dziwne; nie przypominał sobie, by kiedyś posłużył się językiem Starka w rozmowie. Z drugiej strony nigdy wcześniej nie został też oskarżony o popełnienie morderstwa, a dla Starka morderstwo było sytuacją typową.

– Zakładając nawet, że kropnęliśmy się o godzinę i ostatni goście wyszli o pierwszej – ciągnął – i przyjmując, że wskoczyłem do samochodu w tej samej minucie... sekundzie... w której zniknęli za wzgórzem, a potem popędziłem jak szalony sukinsyn do Castle Rock, zanim bym tam dotarł, byłaby czwarta trzydzieści lub piąta rano. Na zachód nie prowadzi przecież żadna autostrada.

– A ta Arsenault powiedziała, że była prawie za kwadrans pierwsza, gdy zobaczyła... – zaczął mówić jeden z policjantów.

– Nie musimy w to teraz wchodzić – szybko przerwał mu Pangborn.

Rozdrażniona Liz burknęła coś opryskliwie i Wendy wybałuszyła na nią komicznie oczy. Trzymany na drugim ramieniu William przestał się wiercić, pochłonięty nagle cudownością własnych kręcących młynka palców.

– O pierwszej było tu jeszcze mnóstwo ludzi, Thad. Mnóstwo – przypomniała mężowi, po czym napadła na Alana Pangborna, tym razem naprawdę napadła: – Co się panu stało, szeryfie?

Czemu tak uparcie próbuje pan zrzucić to na mojego męża? Jest pan głupcem? Leniem? Złym człowiekiem? Nie wygląda pan na żadnego z nich, ale pańskie zachowanie daje bardzo dużo do myślenia. Może urządziliście loterię? To prawda? Wyciągnął pan jego nazwisko z jakiegoś pieprzonego kapelusza?

Alan wzdrygnął się nieco, wyraźnie zaskoczony – i skonsternowany – gwałtownością jej napaści.

– Pani Beaumont...

– Niestety, szeryfie, mam przewagę – rzekł Thad. – Pan myśli, że zabiłem Homera Gamache'a...

– Panie Beaumont, nie został pan oskarżony o...

– Nie. Ale tak pan myśli, nieprawdaż?

Rumieniec mocny i czerwony jak cegła – nie zażenowania, lecz frustracji – powoli piał się po policzkach szeryfa niczym barwiony spirytus na skali termometru.

– Tak, proszę pana – odparł Pangborn – rzeczywiście tak myślę. Na przekór temu, co oboje z żoną twierdzicie.

Ta odpowiedź przepełniła Thada zdumieniem. Cóż takiego, na miły Bóg, mogło się stać, że ten człowiek (który, jak powiedziała wcześniej Liz, wcale nie wyglądał na głupca) nabrał takiej pewności? Takiej cholernej pewności?

Thad poczuł na grzbiecie wędrujący dreszcz... i wtedy stała się rzecz osobliwa. Jego umysł – nie głowę, lecz umysł – wypełnił na chwilę urojony dźwięk. Dźwięk, który wywołał bolesne wrażenia *deja vu*, minęło bowiem prawie trzydzieści lat, odkąd słyszał go ostatnim

razem. Był to upiorny odgłos setek, może tysięcy małych ptaków.

Przyłożył dłoń do głowy, dotknął małej blizny i wtedy znowu pojawił się dreszcz, tym razem silniejszy, wijący się w jego ciele niczym wąż. Dostarcz mi fałszywego alibi, George, pomyślał. Jestem w dość trudnej sytuacji, więc dostarcz mi fałszywego alibi.

– Thad? – zapytała Liz. – Dobrze się czujesz?

– Hm? – Thad spojrzał na żonę.

– Jesteś blady.

– Nic mi nie jest – odparł zgodnie z prawdą. Dźwięk zniknął. Jeśli w ogóle naprawdę się pojawił.

Obrócił się z powrotem do Pangborna.

– Jak powiedziałem, szeryfie, mam w tej sprawie przewagę. Pan myśli, że zabiłem Homera. Ja jednak wiem, że tego nie zrobiłem. Zabijałem wyłącznie w swoich książkach.

– Panie Beaumont...

– Rozumiem pańskie oburzenie. Homer był sympatycznym staruszką mającym apodyktyczną żonę, nieszablonowe poczucie humoru i tylko jedną rękę. Też jestem oburzony. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc, ale będzie pan musiał zrezygnować z tych tajniackich zabiegów i powiedzieć przede wszystkim, dlaczego się pan tu znalazł... Co, u diabła, doprowadziło pana do mnie? Jestem tym zdumiony.

Alan patrzył na niego bardzo długo, po czym rzekł:

– Całym sobą czuję, że pan nie kłamie.

– Dzięki Bogu – stwierdziła Liz. – Ten człowiek nabiera rozumu.

– Jeżeli się okaże, że mówi pan prawdę – ciągnął szeryf, patrząc tylko na Thada – osobiście znajdę tego człowieka w ASRI, który schrzanił identyfikację, i obedrę go ze skóry.

– Co to jest AS i reszta? – zapytała Liz.

– Armed Services Records and Identification¹ – wyjaśnił jeden z policjantów. – W Waszyngtonie.

– Z tego, co wiem, nigdy dotąd nie dali ciała – ciągnął Alan powoli tym samym tonem. – Powiadają, że wszystko musi się zdarzyć po raz pierwszy, ale... jeżeli oni nie schrzanili, a informacja o waszym przyjęciu się potwierdzi, sam będę cholernie zdumiony.

– Może nam pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Thad.

Alan westchnął.

– Zabrnęliśmy tak daleko, więc czemu nie? W gruncie rzeczy ostatni goście, którzy wychodzili z waszego przyjęcia, i tak nie mają aż takiego znaczenia. Jeżeli był pan tutaj o północy, jeżeli są świadkowie, którzy mogą przysiąc, że to prawda...

– Co najmniej dwudziestu pięciu – wtrąciła Liz.

– ...to ma pan święty spokój. Uwzględniając jeszcze relację kobiety, o której wspomniał mój kolega, oraz protokół z sekcji zwłok, możemy być niemal pewni. Homer zginął pierwszego czerwca między pierwszą a trzecią nad ranem. Został zatłuczony własną protezą.

– Boże drogi – mruknęła Liz. – I pan myślał, że Thad...

– Jego furgonetkę znaleziono wieczorem dwa dni temu na parkingu przy autostradzie stanowej I-dziewięćdziesiąt pięć w Connecticut, niedaleko granicy stanu Nowy Jork. – Alan się zawahał. – Wszędzie były odciski palców, panie Beaumont. W większości pozostawione przez Homera, ale sporo należało do sprawcy. Kilka z nich zachowało się w idealnym stanie. Jeden był niemal „odlany” w stwardniałej kulce gumy do żucia, którą facet wyjął z ust i przykleił kciukiem do deski rozdzielczej. Jednak najlepszy odcisk pozostał na lusterku

wstecznym. Był równie wyraźny jak odcisk zdjęty na posterunku policji, tyle że odciśnięty we krwi, a nie w tuszu.

– W takim razie czemu Thad? – dopytywała z oburzeniem Liz. – Przyjęcie przyjęciem, ale jak mógł pan pomyśleć, że Thad...?

Alan spojrzał na nią i rzekł:

– Gdy ludzie w ASRI wprowadzili odciski do komputera, otrzymali dane z kartoteki pani męża z okresu służby wojskowej. A dokładnie: odciski palców pani męża.

Przez chwilę Thad i Liz mogli jedynie patrzeć na siebie, milcząc w oszołomieniu. Potem Liz oświadczyła:

– W takim razie nastąpiła jakaś pomyłka. Ludzie, którzy sprawdzają takie rzeczy, z pewnością popełniają czasem błędy.

– Owszem, ale rzadko aż tak duże. Oczywiście są w daktyloskopii niezbadane obszary. Laicy, którzy dorastali, oglądając takie seriale, jak *Kojak* i *Barnaby Jones*, wyobrażają sobie, że daktyloskopia to nauka ścisła, a tak nie jest. Ale komputeryzacja usuwa wiele niejasności z analizy porównawczej linii papilarnych, a w tej sprawie zebrano niezwykle wyraźne ślady. Gdy mówię, że to były linie papilarne pani męża, to wiem, co mówię. Widziałem wydruki komputerowe i nałożone na siebie obrazy. One są nie tylko podobne.

– Szeryf odwrócił się teraz do Thada i spojrzał na niego kamiennymi błękitnymi oczami. – Są identyczne.

Liz gapiła się na Pangborna z rozdziawionymi ustami, a leżące w jej ramionach dzieci, najpierw William, a potem Wendy, zaczęły płakać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PANGBORN SKŁADA WIZYTE

1

Gdy kwadrans po siódmej wieczorem znowu zadźwięczał dzwonek u drzwi, to Liz poszła je otworzyć, skończyła bowiem przygotowywać Williama do snu, a Thad nadal szykował Wendy. We wszystkich książkach pisano, że wychowywanie dzieci to umiejętność wyuczona, która nie ma nic wspólnego z płcią rodzica, lecz Liz miała co do tego wątpliwości. Thad przykładał się do pracy, bardzo skrupulatnie wykonywał swoje obowiązki, ale był powolny. Potrafił się uwinąć z wypadem do sklepu w niedzielne popołudnie w czasie, którego ona potrzebowała na dojście do ostatniego rzędu półek, ale jeśli chodziło o przygotowywanie bliźniąt do snu, no cóż...

William wykąpany, świeżo przewinięty i ubrany w zielone śpioszki siedział w kojcu, podczas gdy Thad wciąż z mozołem przewijał Wendy (i jak spostrzegła, nie splukał dokładnie mydła z jej włosów, ale biorąc pod uwagę przeżycia tego dnia, uznała, że później zrobi to sama myjką, i nic nie powiedziała).

Przeszła przez salon do drzwi i wyjrzała na zewnątrz przez boczne okno. Zobaczyła szeryfa Pangborna. Tym razem był sam, ale tylko w niewielkim stopniu złagodziło to jej stres.

Odwróciła głowę i głosem zabarwionym wyraźną nutą trwogi zawołała przez salon w stronę domowej stacji obsługi niemowląt

w łazience na parterze:

– Wrócił!

Po długiej chwili Thad pojawił się w drzwiach na drugim końcu salonu. Był bosy, miał na sobie dżinsy i białą koszulkę.

– Kto? – zapytał dziwnym, ospałym głosem.

– Pangborn. Thad, nic ci nie jest?

Wendy leżała w jego ramionach w samej pieluszce i wodziła rączkami po twarzy ojca... ale to, co Liz zdołała na niej zobaczyć, wyglądało po prostu podejrzanie.

– Czuję się świetnie. Wpuść go. Założę jej śpioszki – odparł i zanim Liz zdążyła coś powiedzieć, wrócił do łazienki.

Tymczasem Alan Pangborn cierpliwie stał na werandzie. Widział, jak Liz wyjrzała na zewnątrz, i więcej nie dzwonił. Miał minę człowieka, który żałował, że nie ma kapelusza, bo mógłby go teraz trzymać, a może nawet trochę miąć w dłoniach.

Powoli i bez cienia powitalnego uśmiechu Liz zdjęła łańcuch z drzwi i wpuściła go do domu.

2

Wendy była dzieckiem ruchliwym i lubiącym się bawić, przez co trudno było sobie z nią poradzić. Thad zdołał naciągnąć śpioszki na jej stópki, a potem na rączki i w końcu udało mu się wysunąć dłonie małej z mankietów. Dziewczynka natychmiast wyciągnęła jedną do góry i energicznie nacisnęła na jego nos. Zamiast jak zwykle się roześmiać, cofnął się i Wendy spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. Thad sięgnął do zamka błyskawicznego, który biegł od lewej nogawki aż do szyi śpioszków, po czym znieruchomiał z rękami przed sobą. Drżały. Nieznacznie, ale jednak drżały.

Czego, u diabła, się boisz? Czyżbyś znowu miał poczucie winy?

Nie; nie poczucie winy. Żałował niemal, że tak nie jest. Po prostu jeszcze raz przestraszył się w tym aż nadto strasznym dniu.

Najpierw przyjechali policjanci ze swym dziwnym oskarżeniem i jeszcze dziwniejszą pewnością co do jego winy. Potem ten dziwny, upiornie piskliwy odgłos. Nie wiedział, nie był pewien, skąd pochodzi, brzmiał jednak znajomo.

Po kolacji pojawił się znowu.

Thad poszedł na piętro do gabinetu, żeby zrobić korektę tego, co wcześniej napisał, pracując nad nową książką *Złoty pies*.

I nagle, gdy pochylał się nad plikiem kartek maszynopisu, żeby dokonać drobnej poprawki, ów dźwięk wypełnił jego głowę. Tysiące kwilących i świergoczących jednocześnie ptaków. Tym razem wraz z dźwiękiem pojawił się obraz.

Wróble.

Tysiące wróbli siedzących w szeregu na kalenicach i walczących o miejsce na przewodach telefonicznych, tak jak walczyły wczesną wiosną, gdy zwały ziarnistych resztek brudnego marcowego śniegu leżały jeszcze na ziemi.

Nadchodzi ból głowy, pomyślał z przerażeniem, a głos, którym ta myśl przemówiła – głos przestraszonego chłopca – był właśnie tym, co obudziło wspomnienia. Strach zaczął dławić go za gardło i ścisnąć jego skronie lodowatymi dłońmi.

Czy to ten guz? Czy znowu się pojawił? Czy tym razem jest złośliwy?

Urojony dźwięk – głosy ptaków – zrobił się nagle głośniejszy, niemal ogłuszający. Towarzyszył mu cichy, ponury trzepot skrzydeł. Thad widział teraz, jak odlatują wszystkie naraz; tysiące małych

ptaków zasnuwających białe wiosenne niebo ciemną smugą.

– Ruszam z powrotem na północ, stary – usłyszał wydobywający się z własnych ust niski, gardłowy głos, który nie należał do niego.

Po czym nagle obraz i odgłos ptaków zniknęły. Był rok 1988, nie 1960, a on znajdował się w swoim gabinecie. Był dorosłym mężczyzną z żoną, dwójką dzieci i maszyną do pisania marki Remington.

Wcześniej gwałtownie wciągnął powietrze. Nie wywołało to bólu głowy. Ani wtedy, ani teraz. Czuł się świetnie. Tyle że...

Tyle że gdy znowu spojrzął na plik kartek maszynopisu, zobaczył, że coś na nim zapisał. W poprzek starannie wydrukowanych linijek tekstu, wielkimi literami: WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ.

Żeby to zapisać, odrzucił długopis i posłużył się jednym z ołówków Berol Black Beauty, choć nie pamiętał, by wymieniał jedno na drugie. Przecież już nie pisał ołówkami. Berole przynależały do zapomnianej epoki... mrocznej epoki. Cisnął ołówek z powrotem do słoika, po czym upchnął go w jednej z szuflad. Ręka, którą to zrobił, wciąż lekko drżała.

Wtedy Liz wezwała go do pomocy w przygotowaniu bliźniąt do snu i Thad zszedł na parter. Chciał jej powiedzieć, co się stało, ale okazało się, że zwykle przerażenie – tym, że guz powrócił, że tym razem będzie złośliwy – zasznurowało mu usta. Być może i tak by jej powiedział... ale wtedy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Liz poszła otworzyć i powiedziała niewłaściwą rzecz w niewłaściwym momencie.

„Wrócił!” – wykrzyknęła z zupełnie zrozumiałą irytacją i przerażeniem, a wówczas niczym zimny podmuch wiatru ogarnął go paniczny strach, na ustach zaś zamarło jedno słowo: Stark.

W sekundzie poprzedzającej powrót do rzeczywistości Thad był pewien, że Liz ma na myśli właśnie jego. George'a Starka. Wróble fruwały i powrócił Stark. Był martwy, martwy i publicznie pogrzebany, a przede wszystkim tak naprawdę nigdy nie istniał, ale to nie miało znaczenia; prawdziwy czy nie, i tak wrócił.

Przestań, pomyślał. Nie jesteś nerwusem i nie ma potrzeby, byś się nim stawał pod wpływem tej dziwacznej sytuacji. Dźwięk, który słyszałeś – odgłos ptaków – to zwyczajne zjawisko psychologiczne zwane „uporczywym wspomnieniem”. Powodowane stresem i napięciem. Więc po prostu się opanuj.

Paniczny strach jednak nie ustąpił całkowicie. Odgłos ptaków wywołał nie tylko *déjà vu*, wrażenie, że doświadczyło się czegoś wcześniej, ale i *présqué vu*.

Présqué vu: wrażenie doświadczenia czegoś, co się jeszcze nie stało, ale się wydarzy. Nie prekognicja, lecz przestawione wspomnienie.

Przestawiona brednia, to właśnie masz na myśli.

Wyciągnął przed siebie ręce i patrzył na nie nieruchomym wzrokiem. Drżenie stało się nieskończenie małe, po czym ustało zupełnie. Gdy był już pewien, że nie przytnie zaróżowionej po kąpielii skóry Wendy zamkiem błyskawicznym śpioszków, podciągnął suwak, zaniósł ją do salonu, włożył do kojca, po czym wyszedł na korytarz, gdzie Liz stała w towarzystwie Alana Pangborna. Gdyby nie to, że tym razem szeryf był sam, można by pomyśleć, iż znowu jest ranek.

Teraz jest właściwy czas i miejsce na drobne *vu* jednego bądź drugiego rodzaju, pomyślał, ale nie było w tym nic zabawnego. Wciąż zbyt silnie tkwiło w nim to drugie uczucie... oraz odgłos wróbli.

– W czym mogę pomóc, szeryfie? – zapytał z poważną miną.

Ach! Była jeszcze jedna różnica: Pangborn trzymał w ręce

sześciopak. Teraz go uniósł i rzekł:

– Zastanawiałem się, czy moglibyśmy się napić zimnego piwa i pogadać o tym.

3

Liz i Alan Pangborn wypili po jednym piwie, a Thad napił się pepsi z lodówki. Rozmawiając, przyglądali się, jak bliźnięta bawią się ze sobą na swój dziwnie poważny sposób.

– Nie powinno mnie tu być – rzekł szeryf. – Utrzymuję kontakty towarzyskie z człowiekiem, który jest obecnie podejrzewany nie o jedno, lecz dwa morderstwa.

– Dwa?! – krzyknęła Liz.

– Zaraz do tego dojdę. Prawdę mówiąc, dojdę do wszystkiego. I ujawnię wszystkie fakty. Po pierwsze, jestem pewien, że pani mąż ma alibi również w wypadku tego drugiego morderstwa. Policja stanowa też jest tego pewna. Gonią w piętę.

– Kto został zabity? – zapytał Thad.

– Frederick Clawson, młody mężczyzna z Waszyngtonu – odparł szeryf, a Liz gwałtownie drgnęła w fotelu, wylewając sobie na grzbiet ręki trochę piwa. – Widzę, że to nazwisko nie jest pani obce – dodał bez zauważalnej ironii.

– Co się dzieje? – zapytała bezsilnym szeptem.

– Nie mam bladego pojęcia. Dostaję obłądu, próbując to rozgryźć. Nie przyszedłem tu pana aresztować ani stresować, panie Beaumont, chociaż zdziwię się cholernie, jeżeli uda mi się zrozumieć, jak te dwie zbrodnie mógł popełnić ktoś inny. Przyszedłem tu prosić pana o pomoc.

– Może będziemy sobie mówić po imieniu? – zaproponował Thad.

Alan Pangborn z zażenowaniem poruszył się na swoim fotelu.

– Na razie chyba byłbym mniej skrepowany formą „pan”.

Thad skinął głową.

– Jak pan sobie życzy. Więc Clawson nie żyje. – Przez chwilę patrzył z zadumą w podłogę, po czym znowu spojrzął na szeryfa. – Czy na miejscu tego przestępstwa też wszędzie były moje odciski palców?

– Tak... i to w niejednej postaci. Magazyn „People” pisał o panu niedawno dość obszernie, prawda, panie Beaumont?

– Dwa tygodnie temu – potwierdził Thad.

– Ten artykuł znaleziono w mieszkaniu Clawsona. Wydaje się, że jedna kartka posłużyła sprawcy za symbol w czymś, co wygląda na rytualizowane morderstwo.

– Chryste Panie – mruknęła Liz. Sprawiała wrażenie zmęczonej i wstrząśniętej.

– Zechce mi pan powiedzieć, kim on dla pana był? – zapytał Pangborn.

Thad skinął głową.

– Nie ma powodu tego ukrywać. Czytał pan ten artykuł, szeryfie?

– Moja żona przywozi ten tygodnik do domu z supermarketu – wyjaśnił Pangborn – ale może lepiej będzie, jak powiem panu prawdę... tylko obejrzałem zdjęcia. Mam zamiar wrócić do tekstu i przeczytać go jak najszybciej.

– Niewiele pan stracił... lecz ten artykuł powstał za sprawą Fredericka Clawsona. Bo widzi pan...

Alan Pangborn uniósł dłoń.

– Dojdziemy do niego, ale najpierw wróćmy do Homera Gamache’a. Upewniliśmy się w ASRI. Odciski palców w jego furgonetce... a także

w mieszkaniu Clawsona, choć żaden z nich nie jest tak idealny jak ślady na gumie do żucia i na lusterku... wyglądają dokładnie jak pańskie. Co oznacza, że skoro nie zrobił tego pan, mamy dwie osoby o identycznych liniach papilarnych, to zaś nadaje się do *Księgi rékordów Guinnéssa*.

Spojrzał na Williama i Wendy, którzy w kojcu próbowali się bawić w „gdzie masz oczka, a gdzie nos”. Wydawało się, że głównie narażają przy tym na szwank swój wzrok.

– Są jednojajowe? – zapytał.

– Nie – odparła Liz. – Rzeczywiście są do siebie podobne, ale to brat i siostra, a bliźnięta różnopłciowe nigdy nie są jednojajowe.

Szeryf skinął głową.

– Nawet bliźnięta jednojajowe nie mają identycznych linii papilarnych – rzekł. Przerwał na chwilę, po czym dodał obojętnym tonem, który według Thada był całkowicie nienaturalny: – Nie ma pan przypadkiem brata bliźniaka, panie Beaumont?

Thad powoli pokręcił głową.

– Nie – oparł. – Nie mam w ogóle rodzeństwa, a moi rodzice nie żyją. William i Wendy to moi jedyni żyjący krewni. – Uśmiechnął się do dzieci, po czym znowu spojrzał na Pangborna. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku Liz poroniła. O ile wiem, tamte... te pierwsze... też były bliźniętami, chociaż nie przypuszczam, by dało się jakoś stwierdzić, czy jednojajowymi, nie w sytuacji, gdy poronienie następuje w drugim miesiącu ciąży. A jeżeli nawet, to kto chciałby to wiedzieć?

Pangborn z lekko zażenowaną miną wzruszył ramionami.

– Robiła zakupy w Filene’s w Bostonie – ciągnął Thad. – Ktoś ją popchnął. Upadła na sam dół ruchomych schodów, dość paskudnie

skaleczyła się w rękę. Gdyby jakiś glina nie założył jej na miejscu opaski uciskowej, to nie wiadomo, czy uszłaby z życiem. I straciła bliźnięta.

– Czy napisano o tym w artykule?

Liz uśmiechnęła się niewesoło i pokręciła głową.

– Gdy zgodziliśmy się na ten artykuł, zastrzeżliśmy sobie prawo do zredagowania swoich życiorysów, szeryfie. Oczywiście nie powiedzieliśmy o tym Mike’owi Donaldsonowi, człowiekowi, który przyszedł przeprowadzić z nami wywiad, ale tak właśnie uczyniliśmy.

– Czy to pchnięcie było celowe?

– Nie sposób ocenić – odparła Liz. Jej zamysłone oczy spoczęły na Williamie i Wendy. – Jeżeli było to przypadkowe potrącenie, to cholernie mocne. Poleciałam w dół... dotknęłam schodów dopiero w połowie ich długości. Tak czy inaczej, próbowałam przekonać samą siebie, że to przypadek. Łatwiej się z tym pogodzić. Myśl o tym, że ktoś popchnąłby kobietę na ruchomych schodach po to tylko, żeby zobaczyć, co się stanie... to gwarancja nieprzespanych nocy.

Pangborn skinął głową.

– Lekarze, do których chodziliśmy, przypuszczali, że Liz już nigdy nie będzie miała dzieci – wyjaśnił Thad. – Kiedy zaszła w ciążę z Williamem i Wendy, powiedzieli, że prawdopodobnie nie donosi jej do końca. Ale obyło się bez problemów. A ja po przeszło dziesięciu latach wreszcie zabrałem się do pracy nad nową książką pod własnym nazwiskiem. To będzie moja trzecia powieść. Więc, jak widać, pomogło to nam obojgu.

– Pseudonim, pod którym pan pisał, brzmi George Stark.

Thad potwierdził skinieniem głowy.

– Ale teraz to już przeszłość. Zaczęło być przeszłością, gdy

Liz była w ósmym miesiącu, nadal cała i zdrowa. Uznałem, że jeżeli zostanę ojcem, powinienem też znowu być sobą.

4

Wtedy w ich rozmowie pojawiło się coś na kształt akcentu metrycznego – krótszego od pauzy – i Thad rzekł:

– Niech pan się przyzna, szeryfie.

Pangborn uniósł brwi.

– Słucham?

W kącikach ust Thada pojawił się uśmiech.

– Nie powiem, że miał pan gotowy scenariusz, ale założę się, że przynajmniej jego ogólny zarys. Gdybym miał brata bliźniaka, to może on był gospodarzem naszego przyjęcia. W ten sposób mógłbym być w Castle Rock, zamordować Homera Gamache’a i zostawić odciski palców w całej furgonetce. Ale to nie mogłoby się tak skończyć, prawda? Mój brat bliźniak sypia z moją żoną i stawia się za mnie na umówione spotkania, a ja tymczasem jadę furgonetką Homera na ten parking w Connecticut, tam kradnę kolejny samochód, jadę do Nowego Jorku, porzucam go tam, po czym wsiadam do pociągu lub samolotu do stolicy. Gdy już jestem na miejscu, wykańczam Clawsona i pędzę z powrotem do Ludlow, wyprawiam brata tam, skąd przyjechał, i obaj wracamy do swojego dawnego życia. Albo wszyscy troje, jeśli założyc, że obecna tu Liz była częścią tej oszukańczej intrygi.

Liz patrzyła przez chwilę na męża, a potem zaczęła się śmiać. Nie śmiała się długo, ale za to na cały głos. Wprawdzie bez przekonania, a mimo to w sposób całkiem niewymuszony, co świadczyło o poczuciu humoru zaskoczonej kobiety.

Alan Pangborn spoglądał na Thada z nieskrywanym zdziwieniem. Bliźnięta przez chwilę śmiały się ze swojej matki – a może razem z nią – po czym wróciły do powolnego turlania dużej żółtej piłki po całym kojcu.

– Thad, to okropne – zauważyła Liz, gdy już zapanowała nad sobą.

– Być może – przyznał. – Jeśli tak, to przepraszam.

– To... dość zawile – ocenił szeryf.

Thad uśmiechnął się do niego szeroko.

– Rozumiem, że nie jest pan wielbicielem zmarłego George'a Starka.

– Szczerze mówiąc, nie. Ale mój zastępca Norris Ridgewick tak. Musiał mi wyjaśnić, o co ten cały szum.

– Cóż, Stark bawił się niektórymi konwencjami powieści kryminalnej. Nigdy czymś tak bliskim intryg Agathy Christie jak scenariusz, który właśnie zasugerowałem, ale to nie znaczy, że nie potrafię myśleć w ten sposób, jeżeli się przyłożę. No, szeryfie... czy przyszło to panu do głowy? Jeśli nie, to naprawdę winien jestem żonie przeprosiny.

Alan Pangborn przez chwilę milczał, uśmiechając się nieco i najwyraźniej intensywnie myśląc.

– Chyba rzeczywiście przyszło – przyznał w końcu. – Nie na serio i niedokładnie tak, ale nie musi pan przepraszać swojej małżonki. Od dzisiejszego ranka jestem skłonny rozważyć nawet najbardziej szokujące możliwości.

– Zważywszy na sytuację.

– Tak, zważywszy na sytuację.

Sam też się uśmiechając, Thad rzekł:

– Urodziłem się w Bergenfield w stanie New Jersey, szeryfie. Nie

musi mi pan wierzyć na słowo, skoro może pan poszukać w archiwach informacji o wszystkich braciach bliźniakach, o których mogłem, no wie pan, zapomnieć.

Alan Pangborn pokręcił głową i wypił kolejny łyk piwa.

– To była niedorzeczna myśl i czuję się trochę jak idiota, ale to nic nowego. Czuję się tak od dzisiejszego ranka, gdy zrobił pan nam niespodziankę tym przyjęciem. Nawiasem mówiąc, sprawdziliśmy waszych gości. Potwierdzają pańskie słowa.

– To oczywiste – zauważyła szorstko Liz.

– A skoro i tak nie ma pan brata bliźniaka, to w zasadzie zamyka temat.

– Niech pan na chwilę założy – rzekł Thad – czysto teoretycznie, że to rzeczywiście wydarzyło się tak, jak zasugerowałem. Byłaby z tego niesamowita opowieść... do pewnego momentu.

– Jakiegoż to? – zapytał Alan Pangborn.

– Do momentu pozostawienia odcisków palców. Po co miałbym zadawać sobie tyle trudu, by załatwić alibi tutaj z moim sobowtórem... a potem wszystko to spieprzyć, pozostawiając odciski palców na miejscach zbrodni?

– Założę się, że sprawdzi pan rejestry urodzeń, prawda, szeryfie? – powiedziała Liz.

Alan Pangborn odparł powściągliwie:

– Podstawą policyjnych procedur jest drażnienie sprawy do skutku. Ale ja już wiem, co tam znajdę. – Zawahał się, po czym dodał: – Nie chodziło tylko o przyjęcie. Sprawiał pan wrażenie prawdomównego, panie Beaumont. Mam pewne doświadczenie w odróżnianiu prawdy od kłamstwa. O ile zdołałem się zorientować, służąc w policji, osób kłamiących jak z nut jest bardzo niewiele. Pewnie pojawiają się od

czasu do czasu w powieściach kryminalnych, o których pan mówił, lecz w prawdziwym życiu są wielką rzadkością.

– Więc skąd w ogóle wzięły się te odciski palców? – zapytał Thad. – To właśnie mnie interesuje. Czy szuka pan po prostu jakiegoś dyletanta z moimi liniami papilarnymi? Wątpię. Czy nie przyszło panu na myśl, że sama jakość tych odcisków budzi podejrzenia? Mówił pan o niezbadanych obszarach. Czytałem trochę o daktyloskopii, kiedy zbierałem informacje do powieści Starka, ale jeśli chodzi o tę stronę mojej pracy, jestem naprawdę dość leniwy... znacznie łatwiej po prostu siedzieć przed maszyną do pisania i wymyślać kłamstwa. Czy odciski palców nie powinny jednak spełnić pewnych kryteriów porównawczych, zanim w ogóle włączy się je do materiału dowodowego?

– W stanie Maine jest ich sześć – odparł szeryf. – Żeby odcisk palca dopuścić jako dowód, należy znaleźć sześć cech wspólnych.

– A nie jest prawdą, że w większości wypadków odciski palców są ledwie cząstkowe lub po prostu stanowią rozmazane plamy z kilkoma pętlami i wirami?

– Taak. W prawdziwym życiu przestępcy rzadko trafiają za kraty na podstawie dowodów w postaci śladów linii papilarnych.

– Jednak tutaj mamy jeden odcisk na lusterku wstecznym, który uznał pan za równie dobry jak te zdejmowane na posterunku policji, i drugi, niemal odlany w kulce gumy do żucia. I właśnie to naprawdę mnie wkurza. Tak jakby te ślady pozostawiono po to, żebyście je znaleźli.

– Przyszło nam to do głowy.

Tak naprawdę zaś skłoniło do znacznie głębszych przemyśleń. Był to jeden z najbardziej irytujących aspektów tej sprawy. Zabójstwo

Clawsona wyglądało na klasyczne gangsterskie sprzątnięcie gościa, który za dużo gadał: odcięty język, penis w ustach ofiary, dużo krwi, dużo bólu, a mimo to nikt w budynku niczego nie słyszał. Skoro jednak zrobili to zawodowcy, dlaczego w całym mieszkaniu zostało tyle odcisków palców Beaumonta? Czy coś, co tak bardzo przypominało próbę wrobienia w morderstwo, mogło nią nie być? Tylko wtedy, gdyby ktoś wymyślił coś zupełnie nowego. Tymczasem Alan Pangborn wciąż stosował starą maksymę: jeżeli coś chodzi jak kaczka, kwacze jak kaczka i pływa jak kaczka, to prawdopodobnie jest kaczka.

– Czy odciski palców można podłożyć? – zapytał Thad.

– Czyta pan w moich myślach równie dobrze, jak pisze książki, panie Beaumont?

– Czytam w myślach, piszę książki, ale okien, kochanie, nie myję.

Alan Pangborn miał pełne usta piwa i wybuchając śmiechem, omal nie opryskał dywanu. Zdołał je połknąć, jednak część piwa dostała się do tchawicy i zaczął kasłać. Liz wstała i kilka razy walnęła go w plecy. Jej reakcja mogła dziwić, ale dla niej była czymś normalnym; życie z dwójką małych dzieci wykształciło w niej ten odruch. William i Wendy gapili się z kojca, zapomniawszy na moment o spoczywającej między nimi piłce. Chłopczyk zaczął się śmiać. Dziewczynka poszła za jego przykładem.

To sprawiło, że szeryf ryknął jeszcze głośniejszym śmiechem.

Zawtórował mu Thad i wtedy Liz, wciąż waląca Pangborna po plecach, też się roześmiała.

– Nic mi nie jest – rzekł szeryf, nie przestając się śmiać i kasłać. – Naprawdę.

Liz rąbnęła go po raz ostatni. Piwo trysnęło z szyjki butelki niczym

gejzer wyrzucający parę i obryzgało mu spodnie w kroku.

– Nie ma sprawy – pocieszył go Thad. – Są przecież pieluchy.

Wtedy znowu wybuchnęli śmiechem i w którymś momencie – po tym, jak Alan Pangborn zaczął kasłać i zanim w końcu zdołał powstrzymać śmiech – przynajmniej chwilowo stali się trójką przyjaciół.

5

– O ile wiem lub zdołałem się dowiedzieć, odcisków palców nie da się podłożyć – rzekł szeryf, podejmując wątek przerwanej wcześniej rozmowy. Byli teraz w trakcie drugiej kolejki, a kłopotliwa plama w kroku jego spodni zaczynała wysychać. Bliźnięta zasnęły w kojcu i Liz poszła do łazienki. – Oczywiście wciąż sprawdzamy, bo do dzisiejszego ranka nie mieliśmy powodu podejrzewać, że w tym wypadku próbowano czegoś takiego. Wiem, że podjęto już taką próbę; kilka lat temu pewien porywacz zdjął odciski palców swojej ofiary, zanim ją zabił, zrobił z nich... matryce, chyba tak należałoby to nazwać... i wytłoczył je w bardzo cienkim plastiku. Potem umieścił plastikowe linie papilarne na opuszkach swoich palców i próbował zostawić odciski w górskiej chacie porwanego, żeby policja myślała, że całe porwanie było mistyfikacją, a facet jest wolny.

– Nie udało się?

– Policjanci zebrali parę pięknych odcisków palców. sprawcy – odparł szeryf. – Naturalne wydzieliny z palców tego gościa spłaszczyły fałszywe linie papilarne, a ponieważ plastik był cienki i oczywiście podatny nawet na najbardziej delikatny nacisk, odcisnęły się w nim linie papilarne porywacza.

– Może jakiś inny materiał...

– Oczywiście, może. To się wydarzyło w połowie lat pięćdziesiątych i przypuszczam, że od tego czasu wynaleziono ze sto nowych rodzajów polimerów. Niewykluczone. Na razie możemy jedynie stwierdzić, że żaden z lekarzy sądowych ani kryminologów nie słyszał, by to się udało, i myślę, że to się nie zmieni.

Liz wróciła do salonu i usiadła, podwijając stopy pod siebie jak kotka i naciągając spódnicę na łydki. Thad zachwycił się tym gestem, który wydał mu się na swój sposób ponadczasowy i pełen nieprzemijającego wdzięku.

– Tymczasem, Thad, pojawiły się w tej sprawie jeszcze inne okoliczności.

Na dźwięk imienia gospodarza Beaumontowie wymienili spojrzenia tak błyskawicznie, że Alan Pangborn tego nie zauważył. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął podniszczony notes i spoglądał teraz na jedną z kartek.

– Palisz papierosy? – zapytał, unosząc wzrok.

– Nie.

– Rzucił palenie siedem lat temu – powiedziała Liz. – Przyszło mu to z wielkim trudem, ale wytrwał.

– Są krytycy, którzy twierdzą, że świat byłby lepszy, gdybym po prostu wybrał sobie miejsce i tam umarł, ale postanowiłem zrobić im na złość – dodał Thad. – Dlaczego pytasz?

– Więc jednak paliłeś.

– Owszem.

– Pall malle?

Thad właśnie podnosił puszkę z colą. Zatrzymał ją kilka centymetrów od ust.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Masz grupę krwi A Rh minus?

– Zaczynam rozumieć, dlaczego dziś rano byłeś gotowy mnie aresztować – odparł Thad. – Gdybym nie miał tak dobrego alibi, siedziałbym teraz w mamrze, prawda?

– Trafne przypuszczenie.

– Mogłeś zdobyć informację o tym, jaką ma grupę krwi, z kartoteki założonej podczas szkolenia przygotowawczego oficerów rezerwy – zauważyła Liz. – Przypuszczam, że właśnie stamtąd pochodzą jego odciski palców.

– Ale nie o tym, że przez piętnaście lat paliłem pall malle – zastrzegł Thad. – O ile wiem, takich informacji nie ma w aktach przechowywanych przez wojsko.

– To dane, które przyszły w ciągu dzisiejszego dnia – wyjaśnił Alan.

– Popielniczka w pick-upie Homera Gamache’a była pełna niedopałków. Staruszek sporadycznie palił tylko fajkę. W mieszkaniu Fredericka Clawsona w popielniczce także leżało parę niedopałków pall malli. Clawson w ogóle nie palił, może z wyjątkiem jakiegoś skręta od czasu do czasu. Tak twierdzi właścicielka kamienicy, w której mieszkał. Grupę krwi sprawcy otrzymaliśmy z analizy śliny pozostawionej na niedopałkach. Raport serologa dał nam też sporo innych informacji. Lepszych niż odciski palców.

Thad przestał się uśmiechać.

– Nie rozumiem tego. Zupełnie nie rozumiem.

– Jedna rzecz się nie zgadza – dodał Pangborn. – Blond włosy. W furgonetce Homera znaleźliśmy ich pół tuzina, a jeszcze jeden na oparciu krzesła, którego zabójca użył w salonie Clawsona. Ty masz czarne włosy. I jakoś nie przypuszczam, byś nosił tupet.

– Nie... Thad nie, ale może nosił zabójca – zauważyła ponuro Liz.

– Niewykluczone – zgodził się Alan. – Jeśli tak, został zrobiony z ludzkich włosów. Po cóż jednak zawracać sobie głowę zmianą koloru włosów, skoro zamierzasz wszędzie zostawić odciski palców i niedopałki? Albo ten gość jest tępakiem, albo celowo próbował wplątać w to ciebie. Blond włosy nie pasują do żadnej z tych możliwości.

– Może po prostu nie chciał zostać rozpoznany – zasugerowała Liz.
– Pamiętaj, że Thad pojawił się w tygodniku „People” ledwie dwa tygodnie temu. W całym kraju.

– Taak, to możliwe. Chociaż jeżeli ten facet przypomina pani męża również wyglądem, pani Beaumont...

– Liz.

– Dobrze, Liz. Jeżeli przypomina twojego męża, wyglądałby niczym Thad Beaumont z jasnymi włosami, nieprawdaż?

Liz przez chwilę nie odrywała wzroku od ojca swoich dzieci, po czym zaczęła chichotać.

– Co cię tak bawi? – zapytał Thad.

– Próbuję sobie wyobrazić, że jesteś blondynem – odparła, nadal chichocząc. – Myślę, że wyglądałbyś jak zdeprawowany do cna David Bowie.

– To jest zabawne? – zapytał Thad szeryfa. – Ja tak nie uważam.

– Cóż... – odparł z uśmiechem Alan.

– Nieważne. Ten facet równie dobrze mógłby nosić okulary przeciwsłoneczne oraz blond perukę z antenkami.

– Chyba że zabójcą jest człowiek, którego pani Arsenault widziała, gdy wsiadał do furgonetki Homera za kwadrans pierwsza w nocy pierwszego czerwca – zauważył Alan.

Thad nachylił się do przodu i zapytał:

– Wyglądał jak ja?

– Nie potrafiła powiedzieć nic ponad to, że miał na sobie garnitur. Jeśli to ma jakieś znaczenie, dzisiaj kazałem jednemu z moich ludzi pokazać jej twoje zdjęcie. Powiedziała, że to chyba nie byłeś ty, choć pewności nie miała. Jej zdaniem mężczyzna, który wsiadł do furgonetki Homera, był tęższy. – Szeryf dodał oschle: – To osoba, która sądzi, że ostrożności nigdy nie za wiele.

– Potrafiła to stwierdzić na podstawie zdjęcia? – zapytała z powątpiewaniem Liz.

– Latem widywała Thada w mieście – odparł Alan.

– A jednak powiedziała, że nie jest pewna.

Liz skinęła głową.

– Jasne, że go zna. Zna nas oboje, jeśli już o to chodzi. Stale kupujemy u nich na straganie świeże warzywa. Idiotka. Przepraszam.

– Nie ma za co przeproszać – rzekł Alan. Dopił piwo i spojrzał na swoje krocze. Suche. Dobrze. Została jasna plama, którą pewnie dostrzegłaby tylko jego żona. – To w każdym razie wiąże się z ostatnią sprawą... lub jej aspektem... czy jak tam, u diabła, chcesz to nazwać. Wątpię, czy to w ogóle ma z tym jakiś związek, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Jaki nosisz numer butów?

Thad zerknął na Liz, która wzruszyła ramionami.

– Chyba mam dość małe stopy jak na gościa, który mierzy ponad metr osiemdziesiąt. Noszę dziesiątkę, chociaż pół numeru w obie strony też...

– Ślady, o których nam doniesiono, chyba były większe – rzekł Alan. – I tak sądzę, że nie mają z tym związku, a nawet jeśli mają, to ślady stóp można spreparować. Wetknąć kawałek gazety do butów o dwa czy nawet trzy numery za dużych i jesteś załatwiony.

– Co to za ślady stóp? – zapytał Thad.

– To bez znaczenia – odparł szeryf, kręcąc głową. – Nie mamy nawet zdjęć. Myślę, Thad, że omówiliśmy już prawie wszystko, co powinniśmy wziąć pod uwagę. Twoje linie papilarne, grupę krwi, markę papierosów.

– On nie... – zaczęła przypominać Liz.

Alan uniósł pojednawczo dłoń.

– Dawną markę papierosów. Chyba zwariowałem, że wtajemniczam was w to wszystko, w każdym razie chwilami mam takie wrażenie, ale skoro już do tego doszło, nie ma sensu ignorować istoty rzeczy. Jesteście związani z tą sprawą również pod innymi względami. Zarówno Castle Rock, jak i Ludlow są miejscami waszego zamieszkania w sensie formalnoprawnym, jako że i tam, i tu płacicie podatki. Homer Gamache był kimś więcej niż tylko znajomym; wykonywał... czy określenie „dorywcze prace” byłoby właściwe?

– Tak – odparła Liz. – Zrezygnował ze stałego doglądania domu w tym roku, w którym go kupiliśmy, teraz robią to na zmianę Dave Phillips i Charlie Fortin, ale lubił dalej mieć nad nim dozór.

– Jeśli założymy, że Homera zabił autostopowicz, którego zauważyła pani Arsenault, a właśnie na tym założeniu się opieramy, nasuwa się pytanie. Czy autostopowicz zabił go, ponieważ Homer był pierwszym człowiekiem, który nadjechał i był na tyle głupi... bądź pijany... żeby go zabrać, czy dlatego, że był Homerem Gamache'em, znajomym Thada Beaumonta?

– Skąd mógł wiedzieć, że Homer nadjedzie?

– Stąd, że w tym dniu Homer zawsze grał w kręgle, a Homer ma... miał... swoje przyzwyczajenia. Był jak stara szkapa; stale wracał do stajni tą samą drogą.

– Najpierw założyliście – rzekł Thad – iż Homer zatrzymał się nie dlatego, że był pijany, ale dlatego, że rozpoznał autostopowicza. Obcy człowiek, który chciał zabić Homera, w ogóle nie próbowałby użyć wybiegu z autostopem. Uznałby, że to zbyt niepewna, a może nawet przegrana sprawa.

– Owszem.

– Thad – powiedziała Liz lekko drżącym głosem. – Policja sądziła, że zatrzymał się, bo zobaczył, że to ty... prawda?

– Prawda – odparł Thad i wziął ją za rękę. – Sądziło się, że tylko ktoś taki jak ja... ktoś, kto go znał... spróbowałby to zrobić w taki sposób. Przypuszczam, że nawet garnitur pasuje do sytuacji. Cóż innego ma na sobie dobrze ubrany pisarz, gdy zamierza popełnić morderstwo na wsi o pierwszej nad ranem? Porządne tweedy, oczywiście... te z brązowymi zamszowymi łatami na łokciach marynarki. We wszystkich brytyjskich powieściach kryminalnych jest to absolutnie *de rigueur*.

Popatrzył na Alana.

– To cholernie dziwne, nieprawdaż? Cała ta sprawa.

Szeryf skinął głową.

– To równie dziwne jak latający dorsz. Pani Arsenault myślała, że tamten zaczął przechodzić przez drogę lub przynajmniej był tego bliski, gdy Homer powoli nadjechał swoim pick-upem. Ale ponieważ znałeś też tego gościa w Waszyngtonie, coraz bardziej prawdopodobne wydaje się, że Homer zginął z powodu tego, kim był, a nie dlatego, że był na tyle pijany, by się zatrzymać. Porozmawiajmy więc o Fredericku Clawsonie. Opowiedz mi o nim.

Thad i Liz wymienili spojrzenia.

– Myślę – odparł Thad – że moja żona zrobi to szybciej i zwięźlej

niż ja. Sądzę też, że będzie mniej przeklinać.

– Na pewno tego chcesz? – zapytała Liz.

Thad skinął głową. Liz zaczęła mówić, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Thad początkowo przerywał jej parę razy, a potem rozsiadł się wygodnie gotów słuchać. Przez następne pół godziny prawie się nie odzywał. Alan Pangborn wyjął notes i pisał w nim, lecz po kilku pytaniach wstępnych także tylko z rzadka jej przerywał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

INWAZJA MENDOIDÓW

1

– Nazywam go mendoidem – zaczęła Liz. – Przykro mi, że nie żyje... ale po prostu nim był. Nie wiem, czy prawdziwi mendoidzi rodzą się, czy są wytwarzani, ale tak czy owak trafiają na swoje obłeśne miejsce w życiu, więc przypuszczalnie nie ma to znaczenia. Miejscem Fredericka Clawsona przez przypadek był Waszyngton. Przyjechał do największego prawniczego kłębowiska żmij na ziemi, żeby się kształcić na adwokata... Thad, dzieci się wiercą, nakarmisz je? A ja poproszę o jeszcze jedno piwo.

Thad podał jej piwo, a potem poszedł do kuchni, żeby ogrzać butelki. Zablokował drzwi, by lepiej słyszeć, i... przy okazji uderzył kolanem o stół. Coś takiego przydarzyło mu się już tyle razy, że prawie w ogóle nie zwracał na to uwagi.

Wróble znowu fruwały, pomyślał i pomasował bliznę na czole, napełniając najpierw rondel ciepłą wodą, a potem stawiając go na kuchence. Gdybym tylko wiedział, co to, kurwa, znaczy.

– Prawie całą tę historię usłyszeliśmy w końcu z ust samego Clawsona – ciągnęła Liz – lecz jego spojrzenie było naturalnie trochę wypaczone. Thad mawia, że wszyscy jesteśmy bohaterami własnego życia, a Clawson uważał się raczej za Boswella niż za mendoida. Zdołaliśmy jednak stworzyć bardziej obiektywną wersję, dodając

informacje uzyskane od ludzi z Darwin Press, wydawcy powieści, które Thad napisał pod nazwiskiem Stark, do informacji przekazanych przez Ricka Cowleya.

– Kim jest Rick Cowley? – zapytał Alan.

– Agentem literackim, który obsługiwał Thada pod oboma nazwiskami.

– A czego chciał Clawson... wasz mendoid?

– Forsy – odparła oschle Liz.

W kuchni Thad wyjął z lodówki dwie butelki z pokarmem na noc (napełnione tylko do połowy, żeby ograniczyć kłopotliwe zmiany pieluch w środku nocy) i wstawił je do rondla z wodą. Odpowiedź Liz była prawidłowa... a zarazem błędna. Clawson chciał o wiele więcej niż pieniędzy.

Liz chyba czytała w jego myślach.

– Co nie znaczy, że nie chciał niczego więcej. Nie jestem nawet pewna, czy chodziło mu głównie o forszę. Pragnął także zasłynąć jako człowiek, który ujawnił prawdziwą tożsamość George'a Starka.

– Niczym ten, kto wreszcie zdoła zdemaskować niesamowitego Spidermana?

– Właśnie.

Thad wetknął palec do rondla, żeby sprawdzić temperaturę wody, po czym skrzyżowawszy ręce na piersi, oparł się o kuchenkę i słuchał. Zdał sobie sprawę, że chce zapalić – po raz pierwszy od lat znowu miał ochotę na papierosa.

Ciarki przeszły mu po plecach.

2

– Clawson zbyt często bywał w wielu właściwych miejscach we

właściwym czasie – wyjaśniła Liz. – Nie dość, że studiował prawo, to był jeszcze zatrudniony na pół etatu jako sprzedawca w księgarni. Nie dość, że pracował w księgarni, to jeszcze był zagorzałym wielbicielem George’a Starka. I pewnie jako jedyny z wielbicieli George’a Starka przeczytał również dwie powieści Thada Beaumonta.

Thad uśmiechnął się szeroko – nie bez goryczy – i znowu sprawdził temperaturę wody w rondlu.

– Myślę, że chciał wykreować ze swoich podejrzeń coś na kształt wielkiego dramatu – ciągnęła Liz. – Jak się okazało, musiał harować jak wół, żeby się czymś wyróżnić. Gdy tylko doszedł do wniosku, że Stark to w rzeczywistości Beaumont i vice versa, zadzwonił do Darwin Press.

– Wydawcy książek Starka.

– Zgadza się. Dotarł do Ellie Golden, kobiety, która redagowała jego książki. Zapytał otwarcie: proszę mi powiedzieć, czy George Stark to tak naprawdę Thaddeus Beaumont? Ellie odparła, że to nedorzeczna myśl. Wtedy Clawson zapytał o zdjęcie autora na ostatniej stronie okładki powieści Starka. Poprosił o adres mężczyzny widocznego na fotografii, a Ellie wyjaśniła, że nie może podawać adresów autorów wydawnictwa. Clawson odparł, że nie chce adresu Starka, tylko człowieka ze zdjęcia. Pozującego jako Stark. Ellie powiedziała, że zachowuje się śmiesznie, że człowiek na fotografii jest George’em Starkiem.

– Wcześniej wydawca nigdy nie ujawnił, że to tylko pseudonim literacki? – zapytał Alan, który wydawał się naprawdę zainteresowany. – Cały czas utrzymywał, że Stark jest postacią prawdziwą?

– O tak... Thad nalegał.

Owszem, pomyślał, wyciągając butelki z rondla i sprawdzając temperaturę mleka na wewnętrznej powierzchni nadgarstka. Thad nalegał. Analizując to z perspektywy czasu, Thad nie wie, dlaczego nalegał, tak naprawdę nie ma bladego pojęcia, ale rzeczywiście nalegał.

Zaniósł butelki do salonu, unikając kolejnego zderzenia z kuchennym stołem. Dał butelkę każdemu z bliźniąt. Podniosły je sennie, z namaszczeniem i zaczęły ssać. Thad znowu usiadł. Słuchał Liz i stwierdził, że już zupełnie przeszła mu ochota na papierosa.

– W każdym razie – powiedziała Liz – Clawson chciał zadać więcej pytań... miał ich chyba całą masę... ale Ellie nie chciała na nie odpowiadać. Kazała mu zadzwonić do Ricka Cowleya, po czym się rozłączyła. Wtedy Clawson zadzwonił do biura Ricka i zastał tam Miriam. To była żona Cowleya. A także współpracowniczka w agencji. Układ nieco dziwny, ale są w bardzo dobrych stosunkach. Zadał jej to samo pytanie: czy George Stark to w rzeczywistości Thad Beaumont? Miriam utrzymuje, że odpowiedziała twierdząco. I dodała, że nazywa się Dolley Madison. „Rozwiodłam się z Jamesem. Thad rozwodzi się z Liz i wiosną się pobierzemy!”, wyznała i odłożyła słuchawkę. Po czym pognęła do gabinetu Ricka i powiedziała mu, że jakiś facet z Waszyngtonu wściubia nos w sprawę ukrytej tożsamości Thada. Potem telefony Clawsona do Cowley Associates kończyły się szybkim przerwaniem połączenia.

Liz pociągnęła spory łyk piwa.

– On jednak nie dał za wygraną. Doszłam do wniosku, że prawdziwi mendoidzi nigdy nie rezygnują. Clawson uznał po prostu, że grzeczne prośby nie poskutkują.

– A do Thada nie dzwonił? – zapytał Alan.

– Nie, ani razu.

– Pewnie macie zastrzeżony numer.

Thad dorzucił swoje trzy grosze do tej opowieści.

– Nie figurujemy w ogólnodostępnych książkach telefonicznych, Alanie, ale nasz telefon tutaj, w Ludlow, znajduje się w książce z numerami kadry wydziału. To wymóg. Jestem wykładowcą i udzielam konsultacji.

– Ale ten gość nigdy nie zabiegał o informacje z pierwszej ręki – nie mógł się nadziwić szeryf.

– Skontaktował się później... listownie – wyjaśniła Liz. – Ale nie chcę wybiegać naprzód. Mam mówić dalej?

– Proszę – zgodził się Alan. – To fascynująca historia.

– Cóż, naszemu mendoidowi wystarczyły trzy tygodnie i pewnie niespełna pięćset dolarów, by wyszperać to, czego od początku był pewien... że Thad i George Stark to ten sam człowiek. Zaczął od „Literary Market Place”, który ludzie z branży wydawniczej nazywają „LMP”. To wykaz nazwisk, adresów i numerów telefonów służbowych prawie wszystkich ludzi z branży... pisarzy, redaktorów, wydawców i agentów. Korzystając z „LMP” i rubryki *Ludzie* w „Publishers Weekly”, zdołał wyselekcjonować pół tuzina pracowników Darwin Press, którzy odeszli z firmy między latem osiemdziesiątego szóstego i latem osiemdziesiątego siódmego. Jeden z nich miał pożądaną informację i był skłonny ją wyjawić. Ellie Golden jest prawie pewna, że winowajczynią była dziewczyna, która w osiemdziesiątym piątym i szóstym przez osiem miesięcy pracowała jako sekretarka głównego rewidenta księgowego. Ellie nazywała ją wścibską zdzirą z Vassar.

Alan się roześmiał.

– Thad też sądzi, że to jej sprawka – ciągnęła Liz – ponieważ

dowodem obciążającym okazały się fotokopie wykazów honorariów autorskich George'a Starka. Pochodziły z biura Rolanda Burretsa.

– Głównego rewidenta księgowego Darwin Press – wyjaśnił Thad, który słuchając, obserwował bliźnięta.

Leżały teraz na wznak ze złączonymi przyjaźnie stópkami w śpioszkach; butelki były skierowane ku górze. William i Wendy mieli szkliste oczy i nieobecne spojrzenia. Thad wiedział, że niebawem zasną na całą noc... i że zrobią to równocześnie. Wszystko robią razem, pomyślał. Niemowlęta są śpiące, a wróble fruują.

Znowu dotknął blizny.

– Na fotokopiach nie było nazwiska Thada – kontynuowała Liz. – Zestawienia tantiem są czasem tropem prowadzącym do czeków, ale same nie są czekami, więc nie musiało się tam pojawić. Rozumiesz to, prawda?

Alan skinął głową.

– Adres jednak powiedział mu niemal wszystko, czego chciał się dowiedzieć. Pan George Stark, skrytka pocztowa numer tysiąc sześćset czterdzieści dwa, Brewer, Maine zero cztery, czterysta dwanaście. Szmat drogi z Missisipi, gdzie miał ponoć mieszkać Stark. Rzut oka na mapę stanu Maine uświadomiłby mu, że na południe od Brewer leży Ludlow, a przecież wiedział, że tam mieszka jeśli nie sławny, to powszechnie szanowany pisarz. Thaddeus Beaumont. Cóż za zbieg okoliczności. Ani Thad, ani ja nie widzieliśmy go na własne oczy, ale on widział Thada. Z otrzymywanych fotokopii wiedział, kiedy Darwin Press wysyła чеki z kwartalnymi honorariami autorskimi. Większość czeków trafia najpierw do agenta autora. Potem wystawia on nowy czek, na którym pierwotna kwota jest pomniejszona o jego prowizję. Ale w wypadku Starka księgowy

wysyłał te czeki bezpośrednio do skrzynki pocztowej w Brewer.

– A co z prowizją agenta? – zapytał Alan.

– Potrącał ją z ogólnej sumy w wydawnictwie i wysyłał Rickowi osobny czek – odparła Liz. – Dla Clawsona byłby to jeszcze jeden wyraźny sygnał, że George Stark nie jest tym, za kogo się podaje... tyle że wówczas Clawson nie potrzebował dodatkowych wskazówek. Chciał mieć twardy dowód. I wyruszył z Waszyngtonu, żeby go zdobyć. Gdy nadeszła pora wystawienia czeku z honorarium autorskim, Clawson przyleciał tutaj. Noce spędzał w Holiday Inn; w ciągu dnia „obserwował” pocztę w Brewer. Właśnie tak określił to w liście, który później otrzymał Thad. To była obserwacja. Całkowicie w stylu filmu *noir*. Było to jednak dość tanie śledztwo. Gdyby „Stark” nie zjawił się po odbiór czeku czwartego dnia pobytu Clawsona w Brewer, ten musiałby zwinąć obóz, wynieść się i zniknąć w ciemnościach. Nie sądzę jednak, że na tym by się skończyło. Gdy prawdziwy mendoid zatopi zęby w twoim ciele, nie puści, dopóki nie odgryzie sporego kawałka.

– Albo dopóki nie wybijesz mu zębów – mruknął Thad.

Zobaczył, że Alan odwraca się w jego stronę z uniesionymi brwiami, i się skrzywił. Zły dobór słów. Ktoś najwyraźniej zrobił to mendoidowi... to lub coś jeszcze gorszego.

– Tak czy inaczej, to kwestia sporna – podjęła Liz i Alan odwrócił się ku niej. – Czekanie nie trwało tak długo. Trzeciego dnia, gdy Clawson siedział na ławce w parku naprzeciw poczty, zobaczył, jak chevrolet suburban Thada wjeżdża na miejsce parkingowe koło urzędu.

Liz wypięła jeszcze jeden łyk piwa i starła pianę z górnej wargi. Gdy odsunęła dłoń, na jej twarzy malował się uśmiech.

– A teraz moja ulubiona część – powiedziała. – To po prostu wy-wywyborne, jak mawiał ten gej z *Powrotu do Brideshead*. Clawson miał aparat fotograficzny. Malutki, w rodzaju tych, które można ukryć w dłoni. Gdy jesteś gotów zrobić zdjęcie, po prostu rozsuwasz nieco palce, żeby odsłonić obiektyw, i pstryk! – Zachichotała, kręcąc głową na myśl o tym. – W swoim liście napisał, że wybrał go z katalogu sklepu, który sprzedaje sprzęt szpiegowski... pluskwy do aparatów telefonicznych, waciki z substancją powodującą, że koperty na dziesięć, piętnaście minut stają się przezroczyste, samoniszczące się teczki, tego rodzaju rzeczy. Tajny agent X-dziewięć Clawson melduje się na stanowisku. Założę się, że sprawiłby sobie wydrażony ząb wypełniony cyjankiem, gdyby ich sprzedaż była legalna. Idealnie pasował do takiego wizerunku. W każdym razie zrobił pół tuzina całkiem niezłych zdjęć. Nie miały wartości artystycznej, ale widać było, kim jest fotografowany i co robi. Na jednym Thad zbliżał się do skrytek pocztowych w holu, na drugim wsuwał klucz do skrytki numer tysiąc sześćset czterdzieści dwa, na kolejnym wyciągał z niej kopertę.

– Wysłał wam odbitki? – zapytał Alan.

Liz powiedziała wcześniej, że Clawson chciał pieniędzy, i szeryf uznał, że ta kobieta wie, o czym mówi. Ten układ nie pachniał, lecz wręcz cuchnął szantażem.

– O tak. I powiększenie ostatniego zdjęcia. Można na nim przeczytać część adresu zwrotnego... litery DARW, a powyżej wyraźnie dostrzec emblemat wydawnictwa.

– Znowu agent X-dziewięć – rzekł Alan.

– Tak. Znowu agent X-dziewięć. Kazał zrobić odbitki, po czym polecał z powrotem do Waszyngtonu. Jego list z dołączonymi

zdjęciami dostaliśmy kilka dni później. Był naprawdę wspaniały. Clawson posuwał się w nim do granicy szantażu, ale jej nie przekroczył.

– Studiował prawo – zauważył Thad.

– Tak – przyznała Liz. – Najwyraźniej wiedział, jak daleko może się posunąć. Thad może ci przynieść ten list, ale ja mogę go sparafrazować. Zaczął od stwierdzenia, jak bardzo podziwia obie połówki tego, co nazwał „podzielonym umysłem” Thada. Opisał, czego się dowiedział i jak to zrobił. Potem przeszedł do konkretów. Wyrażał się oględnie, ale sugestia była wyraźna. Przyznał, że sam jest początkującym pisarzem, ale nie ma czasu na pisanie... studia prawnicze były trudne, lecz to stanowiło tylko część problemu. Prawdziwym problemem było to, że musiał pracować w księgarni, żeby zapłacić chesne oraz inne rachunki. Napisał, że chciałby pokazać Thadowi część swoich tekstów i gdyby Thad uznał, iż są obiecujące, może byłby skłonny zaoferować wsparcie dobrze zapowiadającemu się twórcy.

– Wsparcie – rzekł speszony Alan. – Więc tak to się teraz nazywa?

Thad odchylił gwałtownie głowę i się roześmiał.

– Tak w każdym razie nazywał to Clawson. Ostatni fragment potrafię chyba zacytować z pamięci. „Wiem, że na pierwszy rzut oka musi się to wydać panu bezczelnym życzeniem, ale jestem pewien, że gdyby przestudiował pan moje teksty, szybko zrozumiałby pan, że taka umowa mogłaby być korzystna dla nas obu”. Oboje z Thadem zachwycaliśmy się tym przez pewien czas, potem się z tego śmialiśmy, a później chyba znowu się zachwycaliśmy.

– Taak – potwierdził Thad. – Nie wiem, czy się śmialiśmy, ale z pewnością wprowadziło nas to w wielki zachwyt.

– W końcu zaczęliśmy po prostu rozmawiać i trwało to prawie do północy. Oboje dostrzeżliśmy w liście Clawsona i jego zdjęciach to, czym były w istocie, a gdy Thad powściągnął swój gniew.

– Jeszcze nie powściągnąłem – wtrącił Thad – a ten gość nie żyje.

– Cóż, gdy emocje opadły, Thad odetchnął niemal z ulgą. Od pewnego czasu chciał się pozbyć Starka i zabrał się już do pracy nad własną, obszerną i poważną książką. Którą wciąż pisze. Nosi tytuł *Złoty pies*. Przeczytałam pierwsze dwieście stron i uważam, że jest świetna. O wiele lepsza niż ostatnich parę rzeczy, które wyprodukował jako George Stark. Tak więc Thad postanowił...

– My postanowiliśmy – rzekł Thad.

– W porządku, my postanowiliśmy, że list Clawsona jest niespodziewanym darem losu, sposobem na przyspieszenie tego, na co i tak już się zanosilo. Thad bał się jedynie, że ten pomysł nie spodoba się zbyt Rickowi Cowleyowi, George Stark przynosił bowiem jego agencji zdecydowanie większe zyski niż Thad. Ale on zachował się naprawdę cudownie. Powiedział nawet, że mogłoby to być reklamą, która pomogłaby backliście Starka, backliście Thada...

– Złożonej z dwóch pozycji – wtrącił z uśmiechem Thad.

– ...oraz tej nowej książce, gdy w końcu wyjdzie.

– Przepraszam... ale co to jest backlista? – zapytał Alan.

Thad wyjaśnił z szerokim uśmiechem:

– Stare książki, których nie wkłada się do dużych fantazyjnych pojemników wystawianych przed księgarniami sieciowymi.

– Więc to ujawniliście?

– Tak – potwierdziła Liz. – Najpierw Associated Press w Maine oraz „Publishers Weekly”, ale ta historia pojawiła się w depezbach ogólnokrajowych... Stark był przecież autorem bestsellerów i to, że

w rzeczywistości nigdy nie istniał, stanowiło ciekawy wypełniacz ostatnich stron gazet. A potem skontaktował się z nami tygodnik „People”. Dostaliśmy kolejny gniewny list od Fredericka Clawsona, uświadamiający nam, jacy jesteśmy podli, paskudni i niewdzięczni. Myślał chyba, że nie mamy prawa wykluczać go ze wszystkiego w taki sposób, bo to on wykonał całą pracę, a Thad jedynie napisał kilka książek. Potem się wycofał.

- A teraz wycofał się na dobre – zauważył Thad.
- Nie – zaprzeczył Alan. – Został wycofany... a to spora różnica. Zapadło milczenie. Było krótkie... ale bardzo, bardzo ciężkie.

3

Alan zastanawiał się przez kilka minut. Thad i Liz nie przeszkadzali mu w tym. W końcu uniósł wzrok i rzekł:

– No dobra, tylko po co? Po co ktoś miałby się uciekać do morderstwa z takiego powodu? Zwłaszcza gdy tajemnica już wyszła na jaw?

Thad pokręcił głową.

– Jeżeli to ma jakiś związek ze mną albo z książkami, które napisałem jako George Stark, to nie wiem, kto ani dlaczego to zrobił.

– A wszystko z powodu pseudonimu? – zapytał szeryf pełnym zadumy głosem. – To znaczy... nie chciałbym cię urazić, Thad, ale przecież nie chodziło o poufny dokument ani wielką tajemnicę wojskową.

– Nie ma o czym mówić – odparł Thad. – W gruncie rzeczy całkowicie się z tobą zgadzam.

– Stark miał sporo wielbicieli – zauważyła Liz. – Niektórzy gniewali się, że Thad nie zamierza pisać następnych powieści jako Stark. Po

opublikowaniu artykułu redakcja „People” otrzymała parę listów, a Thad dostał ich całą masę. Pewna pani posunęła się do sugestii, że Alexis Machine powinien wrócić z emerytury i urządzić Thada.

– Kim jest Alexis Machine? – Alan znowu wyciągnął notes.

Thad wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko spokojnie, mój inspektorze. Machine to postać z dwóch napisanych przez George’a powieści. Pierwszej i ostatniej.

– Fikcja zrodzona z fikcji – zauważył szeryf, chowając notes. – Świetnie.

Tymczasem Thad wyglądał na lekko zaskoczonego.

– Fikcja zrodzona z fikcji – powtórzył. – Niezłe. Całkiem niezłe.

– Chodziło mi o to – podjęła Liz – że może Clawson miał przyjaciela... przy założeniu, że mendoidzi mają przyjaciół... który był zagorzałym wielbicielem Starka. Może wiedział, że to Clawson jest naprawdę odpowiedzialny za rozdmuchanie tej historii, i się wściekł, ponieważ nie będzie więcej powieści Starka... – Westchnęła, patrzyła przez chwilę na swą butelkę piwa, po czym znowu uniosła głowę. – Właściwie to dość ułomna hipoteza, nieprawdaż?

– Niestety, tak – przyznał uprzejmie Alan, po czym spojrzał na Thada. – Powinieneś teraz klęczeć i dziękować Bogu za swoje alibi, nawet jeśli dotąd tego nie zrobiłeś. Zdajesz sobie pewnie sprawę, że przez to jeszcze lepiej pasujesz do roli podejrzanego, prawda?

– Sądzę, że w pewnym sensie tak – zgodził się Thad.

– Thaddeus Beaumont napisał dwie książki, których prawie nikt nie czyta. Druga, wydana jedenaście lat temu, nie zyskała uznania nawet u recenzentów. Marne zaliczki, które otrzymał, nie wynagrodziły wysiłku; w tej sytuacji będzie cudem, jeżeli w ogóle uda mu się coś znowu opublikować. Z drugiej strony Stark zgarnia spore sumy. Nie

są to kokosy, ale jego książki i tak przynoszą sześć razy tyle, ile zarabiam jako wykładowca. Pojawia się ten gość, Clawson, z ostrożnie sformułowaną groźbą szantażu. Nie chcę ustąpić, lecz mogę jedynie sam ujawnić tę historię. Niedługo potem Clawson ginie. To wygląda na świetny motyw, ale w rzeczywistości nim nie jest. Zabicie niedoszłego szantażysty już po wyjawieniu tajemnicy byłoby idiotyczne.

– Owszem... ale pozostaje jeszcze zemsta.

– Może... dopóki nie przyjrzesz się reszcie okoliczności. To, co powiedziała ci Liz, jest całkowitą prawdą. Stark i tak szykował się na złomowisko. Mogła powstać jeszcze jedna książka, ale tylko jedna. I Rick Cowley był taki kochany między innymi dlatego, że o tym wiedział. I miał rację co do reklamy. Artykuł w „People”, mimo że głupi, cudownie wpłynął na wyniki sprzedaży. Rick twierdzi, że *Podróż do Babilonu* ma szansę powrócić na listę bestsellerów, wzrosła też sprzedaż wszystkich powieści Starka. Dutton zamierza nawet wznowić *Niespodziewany taniec* i *Szkarłatną mgłę*. Gdy spojrzeć na to z tej strony, Clawson wyświadczył mi przysługę.

– Więc co nam pozostaje? – zapytał Alan.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Thad.

– To łowca krokodyli – powiedziała Liz łagodnym głosem w ciszy, która zaległa. – Dziś rano właśnie o nich myślałam. To łowca krokodyli i kompletny wariat.

– Łowca krokodyli? – Szeryf odwrócił się do Liz.

Wyjaśniła mu, na czym polega syndrom oglądania żywych krokodyli.

– To mógł być szalony wielbiciel – dodała. – To nie jest taka ułomna hipoteza, gdy pomyśleć o człowieku, który zastrzelił Johna

Lennona, i o tym, który próbował zabić Ronalda Reagana, żeby zaimponować Jodie Foster. Oni są wśród nas. I jeśli Clawson potrafił zdemaskować Thada, ktoś inny mógł zdemaskować Clawsona.

– Ale dlaczego taki gość miałby próbować wplątać mnie w zabójstwo, skoro tak uwielbia moje powieści? – zapytał Thad.

– Dlatego że ich nie uwielbia! – odparła gwałtownie Liz. – To Stark jest człowiekiem, którego uwielbia łowca krokodyli. Ciebie przypuszczalnie nienawidzi niemal równie mocno, jak nienawidzi... nienawidził... Clawsona. Powiedziałaś, że nie żałujesz, iż Stark nie żyje. To mogłoby być wystarczającym powodem.

– Nadal nie jestem przekonany – stwierdził Alan. – Odciski palców.

– Powiadasz, że linie papilarne nigdy nie zostały skopiowane ani ich nie podłożono, ale ponieważ były w obu miejscach, musi być jakiś sposób. To jedyna rzecz, która pasuje.

Thad usłyszał swój głos mówiący:

– Mylisz się, Liz. Jeżeli istnieje taki gość, to nie tylko uwielbia Starka.

Spojrzał na swoje ręce i spostrzegł, że są pokryte gęsią skórką.

– Nie? – zdziwił się Alan.

– Pomyśleliście, że człowiek, który uśmiercił Homera Gamache'a i Fredericka Clawsona, mógł uważać, że jest George'em Starkiem?

4

– Będę cię informował, Thad – rzekł Alan na schodach werandy.

W jednej dłoni trzymał zrobione w gabinecie Thada fotokopie dwóch listów Fredericka Clawsona. Thad pomyślał, że jego gotowość, by przyjąć fotokopie jako dowód – przynajmniej na razie – zamiast domagać się oryginałów, jest najwyraźniejszym sygnałem, że wyzbył

się większości podejrzeń.

– I wrócisz, żeby mnie aresztować, jeżeli znajdziesz lukę w moim alibi? – zapytał Thad z uśmiechem.

– Sądzę, że do tego nie dojdzie. Prosiłbym jedynie, żebyś ty też mnie informował.

– Gdy coś się wydarzy?

– Owszem. To właśnie mam na myśli.

– Przykro nam, że nie mogliśmy być bardziej przydatni – powiedziała Liz.

Alan uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo mi pomogliście. Nie mogłem się zdecydować, czy czekać jeszcze jeden dzień, co by oznaczało kolejną noc w zrobionych z pustaków murach Ramada Inn, czy wrócić do Castle Rock. Dzięki waszym informacjom wybieram powrót. Od razu. Dobrze będzie wrócić do domu. Ostatnio moja żona Annie trochę kiepsko się czuła.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – zagadnęła Liz.

– Migrena – odparł krótko Alan i ruszył chodnikiem, po czym odwrócił się i dodał: – Jest jeszcze jedna rzecz.

Thad przewrócił oczami, patrząc na żonę.

– No proszę – rzekł. – Stara dowcipna kwestia inspektora Columbo w wymiętym prochowcu.

– Nic podobnego – stwierdził Alan. – Waszyngton nie ujawnia jednego dowodu materialnego w sprawie śmierci Clawsona. To częsta praktyka; pomaga odsiać świrów, którzy lubią się przyznawać do niepopelnionych zbrodni. Na ścianie w jego mieszkaniu widniał napis.

– Alan zrobił pauzę, po czym dodał niemal ze skrucą: – Namalowany krwią ofiary. Dacie mi słowo, że jeżeli wam powiem, jak brzmiał, zachowacie to w tajemnicy?

Skinęli głowami.

– Napis brzmiał: „Wróble znowu fruują”. Czy to coś mówi któremuś z was?

– Nie – odparła Liz.

– Nie – powiedział obojętnym głosem Thad po chwili wahania.

Alan zatrzymał na moment wzrok na jego twarzy.

– Jesteś zupełnie pewien?

– Jestem.

Szeryf westchnął.

– Tak przypuszczałem, ale wydawało się, że powinienem spróbować. Tyle jest innych dziwnych powiązań, że pomyślałem, iż może być jeszcze jedno. Dobranoc. Nie zapomnijcie się skontaktować, jeżeli coś się wydarzy.

– Dobrze – zapewniła Liz.

– Możesz na to liczyć – zgodził się Thad.

Chwilę później oboje znowu byli w środku, za drzwiami zamkniętymi za Alanem Pangbornem i poza ciemnością, w której miał odbyć długą podróż do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PÓŹNĄ NOCĄ

1

Zanieśli śpiące bliźnięta na górę, po czym sami zaczęli się szykować do snu. Thad rozebrał się do szortów i podkoszulka – swojej piżamy – i poszedł do łazienki. Mył zęby, kiedy chwyciły go dreszcze. Upuścił szczoteczkę, splunął białą pianą do umywalki, po czym zataczając się, podszedł do sedesu na drewnianych niczym szczudła nogach.

Poczuł odruch wymiotny, wydając z siebie żalosne charczenie, lecz niczego nie zwrócił. Jego żołądek zaczął się znowu uspokajać... przynajmniej tytułem próby.

Gdy się odwrócił, Liz stała w drzwiach łazienki w błękitnej nylonowej koszuli nocnej kończącej się kilkanaście centymetrów powyżej kolan. Patrzyła na niego spokojnie.

– Skrywasz przede mną jakieś tajemnice. To do niczego dobrego nie prowadzi. I nigdy nie prowadziło.

Thad ciężko westchnął i wysunął przed siebie dłonie z rozczapierzonymi palcami. Wciąż drżały.

– Od jak dawna wiesz?

– Zachowujesz się nietypowo od powrotu szeryfa. A gdy zadał ostatnie pytanie... o ten napis na ścianie u Clawsona... równie dobrze mogłeś mieć neonowy szyld na czole...

– Pangborn nie widział żadnego szyldu.

– Szeryf Pangborn nie zna cię tak dobrze jak ja... ale jeżeli nie widziałeś jego spóźnionej reakcji na zakończenie, to znaczy, że nie patrzyłeś. Nawet on spostrzegł, że coś jest nie w porządku. Świadczył o tym sposób, w jaki na ciebie spojrział.

Kąciki ust opadły jej lekko, co uwydatniło zmarszczki na twarzy, te, które zauważył po raz pierwszy po wypadku w Bostonie i poronieniu. Później pogłębiały się, gdy obserwowała, jak coraz usilniej próbuje zaczerpnąć wodę z wyschniętej studni.

Mniej więcej wtedy zaczął wpadać w nałóg. Wszystko to – wypadek Liz, poronienie, artystyczna i finansowa porażka *Szkarłatnej mgły* po szalonym sukcesie powieści *Sposób Machine'a* firmowanej przez Starka, nagłe pijatyki – doprowadziło go do stanu głębokiej depresji. Dostrzegł w tym wpływ swojego egoistycznego, introwertycznego usposobienia, ale to nie pomogło. W końcu popił sporą porcją burbona garść tabletek nasennych. Była to dość nieśmiała próba samobójcza... ale jednak ją podjął. Wszystko to trwało trzy lata. Wówczas wydawało się, że znacznie dłużej. Jakby wieczność.

I oczywiście prawie nic z tego nie trafiło na łamy tygodnika „People”.

Teraz zobaczył Liz spoglądającą na niego tak, jak patrzyła wtedy. Nie znosił tego spojrzenia. Niepokój był nieprzyjemny; brak zaufania – jeszcze gorszy. Pomyślał, że jawną nienawiść łatwiej byłoby znieść niż to dziwne, nieufne spojrzenie.

- Nienawidzę, gdy mnie okłamujesz – powiedziała po prostu.
- Nie okłamywałem cię! Na litość boską!
- Ludzie okłamują czasem, po prostu milcząc.
- I tak miałem zamiar ci powiedzieć. Próbowałem jedynie znaleźć na to sposób.

Czy naprawdę? Czy rzeczywiście próbował? Nie wiedział. To było kurewsko dziwne, kurewsko szalone, ale nie z tego powodu mógł skłamać, milcząc. Odczuwał pragnienie milczenia tak jak człowiek, który zauważył krew w swoim stolcu lub wyczuł guzek w pachwinie. Milczenie w takich wypadkach jest irracjonalne... lecz strach też jest irracjonalny.

Ale chodziło o coś jeszcze; był pisarzem, człowiekiem o bujnej wyobraźni. Nigdy nie spotkał pisarza – ze sobą włącznie – który byłby całkiem świadomy tego, co robił. Czasem wierzył, że wewnętrzny przymus tworzenia powieści jest tylko zaporą przed zamętem, może nawet przed niepoczytalnością; rozpaczliwym narzucaniem porządku przez ludzi, którzy potrafią znaleźć ten cenny skarb wyłącznie w swoim umyśle... nigdy w sercu.

Jakiś głos w jego głowie po raz pierwszy zapytał szeptem: Kim jesteś, Thad, gdy piszesz? Kim wtedy jesteś?

I na to pytanie nie miał odpowiedzi.

– No i? – powiedziała Liz ostrym, niemal gniewnym tonem.

Ocknął się i spojrzał na nią zaskoczony.

– Słucham?

– Znalazłeś ów sposób na to? Czymkolwiek to może być.

– Posłuchaj – odparł. – Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka wkurzona!

– Dlatego że się boję! – krzyknęła ze złością, ale Thad zobaczył teraz łzy w kącikach jej oczu. – Dlatego że ukrywałeś coś przed szeryfem i wciąż się zastanawiam, czy nie będziesz ukrywać tego przede mną! Gdybym wcześniej nie widziała twojej miny...

– O? – Teraz Thad sam zaczął odczuwać złość. – A cóż to była za mina? Co ci przypominała?

– Minę winowajcy! – odburknęła Liz. – Taką, jaką miałeś wtedy, gdy mówiłeś ludziom, że przestałeś pić, a nie przestałeś. Kiedy... – Urwała. Thad nie wiedział, co takiego zobaczyła w jego twarzy, nie był pewien, czy chce wiedzieć, ale ten widok uśmierzył jej gniew. Zastąpił go wyraz bólu. – Przepraszam. To nie było w porządku.

– Dlaczego? – odparł z przygnębieniem. – To była prawda. Przez chwilę.

Wszedł z powrotem do łazienki i płynem do płukania usunął z ust resztki pasty do zębów. Płyn był bezalkoholowy. Podobnie jak środek na kaszel. Oraz namiastka wanilii w kuchennym kredensie. Od czasu ukończenia ostatniej powieści Starka nie brał do ust alkoholu.

Dotknęła lekko dłonią jego ramienia.

– Thad... złościmy się na siebie. To rani nas oboje i nie pomoże naprawić tego, co jest nie w porządku. Powiedziałeś, że może istnieć człowiek... chory psychicznie... który myśli, że jest George'em Starkiem. Zabił dwie osoby, które znamy. Jedna z nich była częściowo odpowiedzialna za ujawnienie twojego pseudonimu. Pewnie przyszło ci na myśl, że możesz być wysoko na liście wrogów tego człowieka. I mimo to coś ukrywasz. Jak brzmiał ten napis?

– Wróble znowu fruwią – odparł Thad.

Oglądał swą twarz w ostrym świetle rzucanym przez świetlówki nad łazienkowym lustrem. Ta sama znana mu twarz. Z lekko podkrążonymi oczami, być może, ale wciąż ta sama. Ucieszył się. Nie była to facjata filmowego gwiazdora, ale jego własna.

– Właśnie. To coś dla ciebie znaczyło. Co takiego?

Thad zgasił światło w łazience i objął Liz ramieniem. Podeszli do łóżka i się położyli.

– Kiedy miałem jedenaście lat – rzekł – przeszedłem operację. Jej

celem było usunięcie małego guza z płata czołowego... myślę, że był to płat czołowy... mózgu. Wiedziałaś o tym.

– No i? – Liz patrzyła na niego zaintrygowana.

– Mówiłem ci, że zanim zdiagnozowano obecność guza, miałem ostre bóle głowy, prawda?

– Zgadza się.

Thad zaczął w zamyśleniu gładzić ją po udzie. Liz miała piękne długie nogi, a jej koszula nocna była naprawdę kusa.

– A o odgłosach?

– Odgłosach? – Wyglądała na zdziwioną.

– Chyba nie... ale widzisz, to nigdy nie wydawało się ważne. Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu. Ludzie z guzem mózgu często mają bóle głowy, czasem ataki, a niekiedy jedno i drugie. Dość często tym objawom towarzyszą pewne symptomy. Nazywa się je zwiastunami czuciowymi. Najczęstszymi są zapachy... strużyn ołówka, świeżo krajanej cebuli, spleśniałych owoców. Mój zwiastun był słuchowy. Słyszałem ptaki.

Thad spojrzał na nią spokojnie. Ich twarze stykały się niemal. Czuł, jak zbłąkany kosmyk włosów Liz łaskocze go w czoło.

– A dokładnie wróble.

Usiadł, nie chcąc patrzeć na wyraz nagłego szoku malujący się na twarzy Liz. Wziął ją za rękę.

– Chodź.

– Thad... dokąd?

– Do gabinetu – odparł. – Chcę ci coś pokazać.

2

W gabinecie Thada dominowało olbrzymie dębowe biurko. Nie było

ani modnie zabytkowe, ani modnie nowoczesne. Po prostu niezwykle duży i niezmiernie użyteczny kawał drewna. Stało niczym dinozaur pod trzema wiszącymi szklanymi kulami; światło, które razem rzucały na blat, raziło niemal w oczy. Widoczna była tylko niewielka część powierzchni biurka. Maszynopisy, stosy listów, książki i korekty szczotkowe, które mu przysłano, leżały gdzie popadło. Na białej ścianie za biurkiem wisiał plakat przedstawiający ulubioną budowlę Thada: nowojorski Flatiron Building. Jej niesamowita bryła w kształcie klina zawsze wprawiała go w zachwyt.

Obok maszyny do pisania leżał maszynopis jego nowej powieści zatytułowanej *Złoty pies*, a na maszynie efekt dzisiejszej pracy. Sześć stron. Tyle co zwykle... to znaczy gdy pracował pod własnym nazwiskiem. Jako Stark zazwyczaj wyrabiał osiem, a czasem dziesięć.

– Nad tym właśnie traciłem czas, zanim zjawił się Pangborn – wyjaśnił, podnosząc cienki plik kartek z maszyny i wręczając go żonie. – Wtedy dotarł do mnie ten dźwięk... odgłos wróbli.

Po raz drugi dzisiaj, tyle że tym razem był znacznie intensywniejszy. Widzisz, co jest napisane w poprzek kartki.

Liz długo na nią patrzyła, a Thad widział tylko włosy na czubku jej głowy. Gdy znowu na niego spojrzała, była blada jak kreda. Jej wargi zacisnęły się w wąską szarą linię.

– To samo zdanie – wyszeptała. – Dokładnie to samo. Och, Thad, o co chodzi? Co...

Zachwiała się i Thad przesunął się do przodu, bojąc się przez chwilę, że Liz zaraz zemdleje. Chwycił ją za ramiona, zaczepił stopą o krzyżakową nogę fotela biurowego i omal nie przewrócił ich oboje na biurko.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odparła słabym głosem. – A ty?

– Niezupełnie. Przepraszam. Stary niezdarny Beaumont. Jako rycerz w lśniącej zbroi cholernie dobrze nadają się na odbój drzwiowy.

– Napisałeś to, zanim zjawił się Pangborn – powiedziała Liz. Wydawało się, że nie może tego do końca pojąć. – Zanim.

– Zgadza się.

– Co to oznacza? – Patrzyła na niego z szalonym przejęciem, źrenice jej oczu były duże i ciemne mimo jaskrawego światła.

– Nie wiem – odparł Thad. – Sądziłem, że może ty wpadniesz na jakiś pomysł.

Liz pokręciła głową i odłożyła kartki na biurko. Potem potarła dłońią o nylonową koszulę nocną, jakby dotykała czegoś paskudnego. Thad sądził, że zrobiła to nieświadomie, i nie zwrócił jej na to uwagi.

– Czy teraz rozumiesz, dlaczego to zataiłem? – zapytał.

– Tak... chyba tak.

– Co by na to powiedział nasz praktyczny szeryf z najmniejszego okręgu w Maine, który pokłada zaufanie w wydrukach komputerowych z ASRI i zeznaniach naocznych świadków? Nasz szeryf, który uznał za bardziej wiarygodne, że mogę ukrywać brata bliźniaka, niż że ktoś jakoś odkrył, jak powielać linie papilarne? Co on by na to powiedział?

– Ja... nie wiem. – Liz usiłowała dojść do siebie, otrząsając się z szoku. Thad już wcześniej bywał tego świadkiem, ale to nie zmniejszało jego podziwu dla żony. – Nie wiem, co by powiedział.

– Ja też nie. Myślę, że w najgorszym razie mógłby założyć, iż przeczuwałem tę zbrodnię. Najprawdopodobniej jednak sądziłby, że przybiegłem tu i napisałem to po jego wyjściu.

– Czemu miałbyś coś takiego zrobić? Po co?

– Myślę, że najpierw założyłby niepoczytalność – odparł oschle. – Sądzę, że taki glina jak Pangborn prędzej uwierzyłby w niepoczytalność, niż zaakceptował zdarzenie, które wydaje się pozbawione racjonalnego wytłumaczenia. Jeżeli jednak uważasz, że nie mam racji, ukrywając to do czasu, aż będę miał szansę coś z tego zrozumieć... a mogę się mylić... powiedz to. Możemy zatelefonować do biura szeryfa w Castle Rock i zostawić mu wiadomość.

Liz pokręciła głową.

– Nie wiem. Słyszałam... chyba w jakimś talk-show lub innym programie... o więziach psychicznych...

– Wierzysz w ich istnienie?

– Tak czy inaczej nigdy nie miałam powodu, by to specjalnie analizować – odparła Liz. – Teraz chyba mam. – Sięgnęła po kartkę z nabazgranymi na niej słowami. – Napisałeś to jednym z ołówków George'a – zauważyła.

– Był pod ręką, to wszystko – odparł cierpko Thad. Myślał przez chwilę o piórze marki Scripto, po czym odsunął tę myśl od siebie. – Zresztą to nie są i nigdy nie były ołówki George'a. Są moje. Jestem cholernie zmęczony traktowaniem go jako oddzielnej osoby. To straciło resztki uroku, jaki mogło kiedyś mieć.

– A jednak użyłeś dzisiaj również jednego z jego zwrotów: „nie dostarczyłaby mi fałszywego alibi”. Nie słyszałam, byś wcześniej się nim posługiwał poza książką. Czy to był tylko zbieg okoliczności?

Thad zaczął wyjaśniać, że tak było, oczywiście, że tak było, i przerwał. Prawdopodobnie tak, lecz w świetle tego, co napisał na tej kartce, skąd mógł wiedzieć na pewno?

– Nie wiem.

– Byłeś w transie? Gdy to pisałeś, byłeś w transie?

– Tak. Chyba tak – odparł powoli i niechętnie.
– Czy to wszystko, co się stało? Czy też było więcej wydarzeń?
– Nie pamiętam – odrzekł Thad, po czym z jeszcze większą niechęcią dodał: – Sądzę, że mogłem coś powiedzieć, ale naprawdę nie pamiętam.

Liz patrzyła na niego długo, po czym powiedziała:

– Chodźmy do łóżka.

– Myślisz, że zaśniemy?

Roześmiała się ze smutkiem.

3

Ale dwadzieścia minut później Thad rzeczywiście odpływał w sen, gdy głos Liz sprowadził go z powrotem.

– Musisz iść do lekarza – powiedziała. – W poniedziałek.

– Tym razem nie mam bólów głowy – zaprotestował. – Słyszę tylko odgłosy ptaków. I te dziwne słowa, które zapisałem. – Zawahał się, po czym dodał z nadzieją: – Nie sądzisz, że to mógł być po prostu zbieg okoliczności?

– Nie wiem, o co chodzi – odparła Liz – ale muszę przyznać, że zbieg okoliczności zajmuje bardzo niską pozycję na mojej liście.

Nie wiedzieć czemu, obojgu wydało się to zabawne, leżeli więc w łóżku, chichocząc jak najciszej, żeby nie obudzić dzieci, i trzymając się za ręce. W każdym razie znowu wszystko było między nimi w porządku – Thad czuł, że to jedna z niewielu rzeczy, jakich mógł być teraz pewien, ale to była jedna z nich. Wszystko było w porządku. Burza minęła. Żałosne kości niezgody zostały znowu zakopane, przynajmniej na razie.

– Umówię cię na wizytę – powiedziała, gdy ucichł chichot.

– Nie – sprzeciwił się Thad. – Sam to zrobię.
– I nie pozwolisz sobie na twórcze zapomnienie?
– Nie. Zrobię to w poniedziałek z samego rana. Słowo daję.
– Dobrze więc. – Westchnęła. – Jeżeli dziś w nocy zmruję oko, to będzie prawdziwy cud.

Ale pięć minut później oddychała równo i cicho, a po kolejnych pięciu zasnął też Thad.

4

I znowu śnił ten sen.

Był (a w każdym razie wydawał się) identyczny aż do samego końca: Stark prowadził go przez opuszczony dom, trzymając się stale za nim, zapewniając, że Thad się myli, gdy uparcie twierdzi drżącym, zrozpaczonym głosem, iż to jego własne lokum. „Mylisz się całkowicie” – powiedział Stark zza jego prawego ramienia. A może lewego? Czy to miało jakieś znaczenie? Thad znowu usłyszał, że właściciel domu nie żyje. Jest w tym legendarnym miejscu, gdzie zatrzymują się wszystkie pociągi, miejscu, które wszyscy tam (gdziekolwiek to jest) nazywają Endsville. Żadnych zmian. Aż dotarli do holu w głębi domu, gdzie Liz nie była już sama. Dołączył do niej Frederick Clawson. Na nagim ciele miał jedynie jakiś idiotyczny skórzany płaszcz. I był równie martwy jak Liz.

Stark zauważył refleksyjnie znad ramienia Thada: „To właśnie dzieje się tutaj z kapusiami. Są przerabiani na nadzienie z głupca. Teraz zajęto się nim. To samo czeka wszystkich po kolei. Dopilnuj tylko, żebym nie musiał się zająć tobą. Wróble znowu fruwią, Thad... pamiętaj o tym. Wróble fruwią”.

Potem przed domem Thad je usłyszał: nie tysiące, ale miliony,

może miliardy wróbli i dzień zmienił się w noc, gdy olbrzymie stado ptaków wzbiło się w powietrze i całkowicie przesłoniło słońce.

„Nie widzę!” – krzyknął, a George Stark wyszeptał za jego plecami: „Znowu fruują, stary. Nie zapominaj. I nie wchodź mi w drogę”.

Zbudził się roztrzęsiony i zziębnięty i tym razem długo nie mógł zasnąć. Leżał w ciemności, myśląc, jak bardzo niedorzeczna była myśl zawarta w tym śnie – być może za pierwszym razem także, ale teraz wyrażał ją o wiele jaśniej. Jakże całkowicie niedorzeczna. Chociaż zawsze wyobrażał sobie Starka i Alexisa Machine’a jako podobnych do siebie (czemuż by nie, skoro w istocie narodzili się w tym samym momencie, wraz ze *Sposobem Machine’a*), wysokich, barczystych i jasnowłosych mężczyzn, którzy wyglądali tak, jakby nie wyrosli, lecz jakimś sposobem powstali z litych bloków materii, nie zmieniało to jednak niedorzeczności tej myśli. Pseudonimy literackie nie ożywały i nie mordowały ludzi. Opowie sen Liz przy śniadaniu i będą się z tego śmiali... no, może niezupełnie śmiali, zważywszy na okoliczności, ale przynajmniej oboje uśmiechną się smutno.

Nazwę to moim kompleksem Williama Wilsona, pomyślał, zasypiając na nowo. Ale gdy nastał ranek, sen nie wydawał się wart rozmowy – nie po tym wszystkim. Nie opowiedział go więc, lecz z biegiem dnia raz po raz powracał do niego myślami, kontemplując go niczym mroczny klejnot.

ROZDZIAŁ JEDENASTY ENDSVILLE

1

W poniedziałek wczesnym rankiem, zanim Liz zaczęła mu o to suszyć głowę, Thad umówił się na wizytę u doktora Hume'a. Informacja o usunięciu guza w 1960 roku stanowiła część jego kartoteki medycznej. Powiedział lekarzowi, że niedawno miał dwa nawroty omamów słuchowych, które były zapowiedzią bólów głowy w kilkumiesięcznym okresie poprzedzającym diagnozę i wycięcie guza. Doktor Hume zapytał, czy wróciły same bóle głowy. Thad odparł, że nie.

Nie wspomniał ani słowem o stanie transu, w który wpadł, ani o tym, co w owym stanie napisał, ani też o tym, jaki napis znaleziono na ścianie mieszkania ofiary zabójstwa w Waszyngtonie. Wydawało się to już tak odległe jak sen z ubiegłej nocy. Thad uświadomił sobie nawet, że próbuje zbagatelizować całą sprawę.

Jednak doktor Hume potraktował ją poważnie. Bardzo poważnie. Kazał Thadowi udać się po południu do Eastern Maine Medical Center. Zażądał wykonania serii zdjęć rentgenowskich czaszki oraz tomografii komputerowej głowy.

Thad pojechał tam. Pozował do zdjęć, a potem wsadził głowę do maszyny, która przypominała przemysłową suszarkę do ubrań. Brzęczała i terkotała przez piętnaście minut, zanim go z niej

uwolniono... przynajmniej na razie. Zadzwoił do Liz, powiedział, że wyników można się spodziewać pod koniec tygodnia, i dodał, że jedzie na chwilę do swojego biura na uniwersytecie.

– Zastanawiałeś się jeszcze nad tym, żeby zadzwonić do szeryfa Pangborna? – zapytała.

– Zaczekajmy na wyniki badań – odparł. – Podejmiemy decyzję, gdy zobaczymy, co stwierdzono.

2

Był w swoim gabinecie i właśnie usuwał z biurka i półek całosemestralny balast, gdy w jego głowie znowu zaczęły krzyczeć ptaki. Rozległo się kilka pojedynczych świergotań, potem doszły do nich następne, szybko przeradzając się w ogłuszający chór.

Białe niebo – zobaczył białe niebo z sylwetkami domów i słupami telefonicznymi. I wszędzie były wróble. Ustawiały się rzędami na wszystkich dachach, gromadziły na każdym słupie, czekając jedynie na komendę zbiorowej świadomości. Potem gwałtownie wzbijały się ku niebu z odgłosem przypominającym trzepot tysięcy prześcieradeł na porywistym wietrze.

Thad chwiejnym krokiem ruszył po omacku w stronę biurka, odnalazł krzesło i osunął się na nie.

Wróble.

Wróble i białe późnowiosenne niebo.

Ten odgłos wypełnił mu głowę bezładną kakofonią, a gdy przysunął do siebie kartkę i zaczął na niej pisać, nie był świadomy tego, co robi. Głowa opadła mu do tyłu, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w sufit. Pióro fruwało w prawo i lewo, w górę i w dół, jakby czyniło to samorzutnie.

W jego głowie wszystkie ptaki wzbiły się w powietrze ciemną chmurą, która przesłoniła białe marcowe niebo w Bergenfield w okolicach Ridgeway.

3

Doszedł do siebie niespełna pięć minut po tym, jak w jego myślach pojawiły się pierwsze pojedyncze krzyki. Był zlany potem, krew pulsowała w lewym nadgarstku, ale ból głowy zniknął. Spojrzał w dół, zobaczył kartkę na biurku – odwrotna strona formularza zamówienia na egzemplarze gratisowe podręczników literatury amerykańskiej – i gapił się głupio na to, co zostało na niej napisane.

– To nic nie znaczy – powiedział szeptem. Końcami palców masował sobie skronie, czekając, aż zacznie go boleć głowa lub nagryzmołone na papierze słowa powiążą się i nabiorą sensu.

Nie chciał, by któraś z tych rzeczy się stała... i do żadnej nie doszło. Słowa były tylko słowami, powtórzonymi wiele razy. Niektóre były najwyraźniej zaczerpnięte ze snu o Starku, inne stanowiły nieskładny bełkot.

SIOSTRO KOTY GKUPCY ZNOWU LATAJA
SIOSTRO TERAZ SIOSTRUNIU
TELEFON MIR WIECZNIE GKUPCY
SIOSTRO ENDSULLE SIOSTRO
SKALECZENIA KOTY KONCZA TELEFON SIOSTRUNIU
WROBLE BRZYTWA SIOSTRO TUTAJ
I NA WIEKI MIR SIOSTRO BRZYTWA SIOSTRO
SIOSTRUNIU TERAZ I NA WIEKI SIOSTRO
MIR KOTY NADZIENIE SIOSTRUNIU WROBEL

A głowa go po prostu nie bolała.

Tym razem nie powiem Liz, pomyślał. Za żadne skarby. I to nie tylko dlatego, że się boję... chociaż mam pietra. To zupełnie proste – nie wszystkie sekrety są złe. Niektóre są dobre. Niektóre są potrzebne. A ten jest i dobry, i potrzebny.

Nie wiedział, czy była to rzeczywiście prawda, lecz odkrył coś, co dawało ogromne poczucie swobody: było mu wszystko jedno. Bardzo zmęczyło go nieustanne myślenie i ciągły brak wiedzy. Zmęczył go również strach. Przypominał strach człowieka, który wszedł dla żartu do jaskini i zaczyna podejrzewać, że się zgubił.

W takim razie przestań o tym myśleć. To jest rozwiązanie.

Przypuszczał, że to prawda. Nie wiedział, czy może tak zrobić... ale

zamierzał włożyć w to wiele serca. Bardzo powoli wyciągnął rękę, chwycił formularz w obie dłonie i zaczął go drzeć na paski. Potrawka z zapisanych na nim, wijących się jak robaki słów zaczęła znikać. Ułożył paski wzdłuż, porwał je w poprzek i wrzucił strzępy papieru do kosza na śmieci, w którym spoczęły jak konfetti na wierzchu całego świństwa, jakie wcześniej tam wywalił. Siedział i gapił się na nie przez prawie dwie minuty, oczekując chwilami, że przefruną z powrotem na biurko niczym obrazy na rolce taśmy filmowej, którą puszczono do tyłu.

W końcu wstał i zaniósł kosz w głąb korytarza, gdzie w ścianie koło windy osadzono klapę ze stali nierdzewnej. Poniżej widniał napis SPALARNIA.

Odchylił klapę i wrzucił śmieci do czarnego zsypu.

– Proszę – rzekł w dziwnej letniej ciszy budynku wydziału anglistyki i matematyki. – Wszystko zniknęło.

„Tutaj nazywamy to nadzieniem z głupca”.

– A my tutaj nazywamy to brednią – mruknął i wrócił z pustym koszem do gabinetu.

Zniknęło. W czeluści zapomnienia. I do czasu otrzymania wyników badań ze szpitala – albo do czasu kolejnego zaćmienia, transu, amnezji czy co to, u diabła, było – nie miał zamiaru nic mówić. Nic a nic. Najprawdopodobniej słowa zapisane na tej kartce powstały całkowicie w jego umyśle, podobnie jak sen o Starku i pustym domu, i nie miały żadnego związku ani z zabójstwem Homera Gamache’a, ani ze śmiercią Fredericka Clawsona.

„W Endsville. Tutaj kończą bieg wszystkie pociągi”.

– To nic nie znaczy – stwierdził kategorycznie... ale gdy tego dnia opuszczał uczelnię, uciekał z niej niemalże.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

SIOSTRA

Uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku, gdy próbowała wsunąć klucz do wielkiego zamka w drzwiach swojego mieszkania, a ten, zamiast wśliznąć się do szczeliny ze znajomą i uspokajającą serią trzasków, pchnął skrzydło drzwi. Ani przez chwilę nie pomyślała, jak głupio postąpiła, wychodząc do pracy i zostawiając otwarte drzwi. Chryste, Miriam, może po prostu wywieszisz na drzwiach kartkę z napisem: CZEŚĆ, RABUSIE, GOTÓWKĘ TRZYMAM W KUCHNI W GARNKU NA GÓRNEJ PÓŁCE?

Nie przyszło jej do głowy, ponieważ gdy ktoś mieszkał w Nowym Jorku od sześciu, a nawet czterech miesięcy, to nie zapominał o zamknięciu drzwi. Może na prowincji zamykał je na klucz tylko wtedy, gdy wyjeżdżał na wakacje, może też zapominał czasem to zrobić, wychodząc do pracy, jeżeli mieszkał w takim miasteczku jak Fargo w Dakocie Północnej lub Ames w stanie Iowa, ale spędziwszy jakiś czas w robaczywym Wielkim Jabłku, zamykał drzwi na klucz nawet wtedy, gdy zanosił szklanke cukru sąsiadce w głębi korytarza. Zapomnieć o zamknięciu drzwi na klucz to tak, jakby wypuścić powietrze i zapomnieć nabrać go ponownie. Miasto było pełne muzeów i galerii, lecz nie brakowało w nim także ćpunów oraz psychopatów, toteż człowiek nie ryzykował. Chyba że urodził się głupcem, a Miriam nie była głupia. Może była trochę śmieszna, ale na

pewno nie głupia.

Wiedziała zatem, że coś jest nie w porządku, i chociaż złodzieje, którzy z pewnością włamali się do jej mieszkania, prawdopodobnie wyszli przed trzema bądź czterema godzinami, zabierając wszystko, co można by oddać w zastaw (nie wspominając o osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu dolarach w woku... a może, gdy o nim pomyślała, i sam wok; ostatecznie chyba można go było zastawić?), nadal mogli być w mieszkaniu. W każdym razie takie należało przyjąć założenie. Podobnie uczy się chłopców, zanim nauczy się ich czegokolwiek innego, że otrzymany przez nich pierwszy prawdziwy rewolwer z założenia jest zawsze nabity, nawet gdy wyjmują go z fabrycznego opakowania.

Zaczęła się cofać od drzwi. Uczyniła to niemal natychmiast, zanim jeszcze zakończyły swój krótki ruch do środka, było już jednak za późno. Z ciemności przez kilkucentymetrową szparę między drzwiami a ościeżnicą błyskawicznie wysunęła się czyjaś dłoń. Zaciśnęła się na rękę Miriam. Klucze opadły na wykładzinę dywanową w korytarzu.

Miriam Cowley otworzyła usta, by krzyknąć. Potężny jasnowłosy mężczyzna stał tuż za progiem, czekając cierpliwie od ponad czterech godzin, nie pijąc kawy i nie paląc papierosów. Miał ochotę na papierosa – i zapali, gdy tylko będzie po wszystkim – lecz zapach tytoniu mógłby ją spłoszyć. Nowojorczycy bardzo przypominali drobną zwierzynę kulącą się ze strachu w zaroślach, ich zmysły były wyczulone na niebezpieczeństwo nawet wtedy, gdy sądzili, że dobrze się bawią.

Zanim zdążyła pomyśleć, blondyn trzymał ją prawą ręką za nadgarstek. Teraz chwycił lewą dłonią za drzwi i z całej siły wciągnął kobietę do mieszkania. Drzwi wyglądały na drewniane, lecz

oczywiście były z metalu, jak wszystkie porządne drzwi mieszkań w robaczywym Wielkim Jabłku. Miriam z głuchym stukiem uderzyła twarzą o ich krawędź. Dwa z jej zębów odłamały się w linii dziąseł i rozcięły wargi. Zaciśnięte dotąd usta rozchyliły się pod wpływem szoku i na dolną wargę trysnęła krew, której krople ochlapały drzwi. Kość policzkowa Miriam trzasnęła jak zapałka.

Blondyn puścił ją i wtedy półprzytomna osunęła się na wykładzinę w korytarzu. Trzeba było się spieszyć. Według nowojorskiej tradycji ludowej nikogo w robaczywym Wielkim Jabłku nie obchodziło, co się dzieje, o ile nie dotyczyło to jego. Zgodnie z tą tradycją jakiś psychol mógł w samo południe przy Siódmej Alei dźgnąć kobietę dwadzieścia lub czterdzieści razy przed salonem fryzjerskim i nikt spośród dwudziestu klientów nic by nie powiedział, może z wyjątkiem słów: „Mógłby pan przystrzyc je trochę nad uszami” lub „Myślę, że tym razem obejdzie się bez wody kolońskiej, Joe”. Blondyn wiedział, że tradycja ludowa to fałsz. Dla drobnej zwierzyny łownej ciekawość jest częścią pakietu umożliwiającego przetrwanie. Chroń własną skórę, tak, tylko to się liczyło, lecz obojętne na otoczenie zwierzę wkrótce mogło być martwe. Dlatego też liczyła się szybkość.

Mężczyzna otworzył drzwi, chwycił Miriam za włosy i wciągnął ją do środka.

Już po chwili usłyszał w głębi korytarza brzęk odsuwanej zasuwki, a potem trzask otwierających się drzwi. Nie musiał wyglądać na zewnątrz, żeby zobaczyć twarz, która wychynęła z innego mieszkania, pysk małego bezwłosego królika wężącego nosem.

– Nie stłukłaś tego, Miriam, prawda? – zapytał głośno. Przeszedł na wyższy rejestr, prawie falset, złożył obie dłonie w odległości około pięciu centymetrów od ust, żeby stłumić dźwięk, i stał się kobietą. –

Nie sędę. Możesz mi pomóc to podnieść? – Odsunął dłonie i przybrał z powrotem normalny ton. – Jasne. Chwileczkę.

Zamknął drzwi, wyjrzał przez judasza, rybie oko ukazujące zniekształcony szerokokątny obraz korytarza, i zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: bladą twarz zerkającą zza skrzydła drzwi po drugiej stronie, przypominającą pyszczek królika wyglądającego ze swej nory.

Twarz się cofnęła.

Drzwi się zamknęły.

Nie zatrzasnęły; po prostu zamknęły gwałtownie. Ta głupia Miriam coś upuściła. Towarzyszący jej mężczyzna – może chłopak, może jej były – pomagał jej to podnieść. Nie było powodu do obaw. Same królice i małe króliki.

Miriam jęczała, zaczynała odzyskiwać przytomność.

Blondyn sięgnął do kieszeni, wyciągnął brzytwę i rozłożył ją jednym potrząśnięciem ręki. Ostrze załśniło w przyćmionym świetle jedynej zapalanej przez niego lampy, na stole w salonie.

Miriam otworzyła oczy. Spojrzała na mężczyznę, widząc jego twarz do góry nogami, gdy się nad nią pochylał. Jej usta były usmarowane na czerwono, jakby wcześniej jadła truskawki.

Pokazał jej brzytwę. Oczy Miriam, dotąd mętne i otepiałe, zrobiły się czujne i okrągłe. Rozchyliła wilgotne czerwone wargi.

– Siedź cicho, bo cię potnę, siostró – uprzedził i wtedy zamknęła usta.

Znowu owinął sobie jej włosy wokół dłoni i wciągnął ją do salonu. Spódnica Miriam szeleściła na wypolerowanej drewnianej podłodze. Dywan, o który zahaczyła pośladkami, złożył się pod nią. Jęknęła z bólu.

– Mówiłem ci, żebyś tego nie robiła.

Znawali się w salonie – małym, lecz przyjemnym. Przytulnym. Z reprodukcjami dzieł francuskich impresjonistów na ścianach. Z oprawionym w ramę plakatem reklamującym *Koty* – slogan głosił: TERAZ I NA WIEKI. Z suszonymi kwiatami. Z małą dzieloną kanapą obitą tkaniną o supełkowej fakturze w kolorze pszenicy. Z biblioteczką. Zobaczył w niej książki Beaumonta na jednej półce i wszystkie cztery powieści Starka na drugiej. Te pierwsze stały wyżej. To nie było w porządku, ale musiał założyć, że ta suka po prostu nie grzeszyła rozumem.

Puścił jej włosy.

– Siadaj na kanapie, siostrze. Z tamtej strony. – Wskazał koniec kanapy obok niskiego stolika, na którym stał telefon z automatyczną sekretarką.

– Płosze – wyszeptała Miriam, nie ruszając się z podłogi. Jej policzki i usta zaczęły puchnąć i mówiła niewyraźnie. – Pieniądze so woku.

– Siadaj na kanapie. Z tamtej strony. – Tym razem ostrze brzytwy wycelował w jej twarz, a drugą ręką pokazał kanapę.

Miriam wdrapała się na kanapę i wcisnęła się w jej kąt na tyle, na ile pozwalały poduchy; jej ciemne oczy były okrągłe. Przejechała ręką po ustach i przez chwilę patrzyła z niedowierzaniem na krew na grzbiecie swojej dłoni, po czym znowu spojrzała na niego.

– Czego chcesz? – zapytała niczym ktoś mówiący z pełnymi ustami.

– Chcę, żebyś zatelefonowała, siostruniu. I to wszystko. Podniósł spoczywającą na widełkach słuchawkę staromodnego aparatu i dłonią, w której trzymał brzytwę, włączył głośnik na automatycznej sekretarce. Potem podał jej słuchawkę, która kształtem przypominała

lekką nadtopioną hantle. Była o wiele cięższa niż słuchawka telefonu Princess. Wiedział o tym, a z lekkiego napięcia mięśni w jej ciele, gdy przyjmowała słuchawkę, wywnioskował, że ona też zdaje sobie z tego sprawę. Na ustach blondyna, i tylko na nich, pojawił się cień uśmiechu.

– Myślisz, że mogłabyś rozwalić mi nią głowę, nieprawdaż, siostruniu? Coś ci powiem... to nie jest trafna myśl. A przecież wiesz, co dzieje się z ludźmi, którzy tracą trafność sądu, prawda? – Gdy nie odpowiadała, dodał: – Spadają z nieba. Naprawdę. Kiedyś widziałem to w filmie rysunkowym. Trzymaj więc słuchawkę na kolanach i skup się na odzyskaniu trafności sądu.

Wpatrywała się weń wyostrozonym wzrokiem. Po brodzie powoli ściekała jej krew. Jedna kropla kapnęła na stanik jej sukienki. Nigdy tego nie wywabisz, siostró, pomyślał blondyn. Podobno można to zrobić, jeżeli szybko splucze się plamę zimną wodą, ale tak nie jest. Mają maszyny. Spektroskopy. Chromatografy gazowe. Ultrafiolet. Lady Makbet miała rację.

– Jeżeli ta zła myśl powróci, zobaczę to w twoich oczach, siostró. Są takie duże i ciemne. Nie chciałabyś chyba, by jedno z tych pięknych ciemnych oczu spłynęło ci po policzku?

Miriam pokręciła głową tak szybko i mocno, że jej włosy gwałtownie powiewały wokół twarzy. Ani na chwilę spojrzenie tych pięknych ciemnych oczu nie odrywało się od jego oblicza i blondyn poczuł pobudzenie. Czy ma pan składaną linijkę w kieszeni, czy po prostu cieszy się pan na mój widok?

Tym razem uśmiech pojawił się zarówno na jego ustach, jak i w oczach i mężczyzna pomyślał, że Miriam rozluźniła się troszeczkę.

– A teraz pochyl się i wykręć numer Thada Beaumonta.

Tylko spojrzała na niego bystrymi i lśniącymi pod wpływem szoku oczami.

– Beaumonta – powtórzył cierpliwie. – Tego pisarza. Zrób to, siostro. Czas biegnie niczym skrzydlate stopy Merkurego.

– Mój notes – powiedziała. Jej usta były już zbyt opuchnięte, żeby mogła je z łatwością zamknąć, i coraz trudniej było ją zrozumieć.

– Mój notes? – zdziwił się. – Co to znaczy? Nie wiem, o czym mówisz. Wyrażaj się jaśniej, siostruniu.

Starannie i z wysiłkiem powtórzyła:

– Mój notes. Notes. Mój notes z adresami. Nie pamiętam jego numeru.

Brzytwa przesunęła się w powietrzu w jej stronę. Wydawało się, że wydała przy tym dźwięk przypominający ludzki szept. Prawdopodobnie był on tylko wytworem wyobraźni, a jednak usłyszeli go oboje. Miriam jeszcze bardziej się skuliła na kanapie, grymas przerażenia ściągnął jej opuchnięte wargi. Blondyn obrócił brzytwę, tak że jej ostrze załśniło w miękkim przyćmionym świetle lampy. Przechylił ją, pozwolił, by błysk światła spłynął po ostrzu jak woda, po czym spojrzał na Miriam z takim wyrazem twarzy, jakby szaleństwem było nie podziwiać tak pięknego zjawiska.

– Nie oszukuj mnie, siostro. – Teraz połykał słowa jak mieszkaniec Południa. – Tego nigdy nie należy robić, gdy ma się do czynienia z takim gościem jak ja. Wykręć ten pierdolony numer.

Może i nie wyuczyła się numeru Beaumonta na pamięć, niewiele mieli z nim spraw do załatwienia w agencji, ale na pewno pamiętała numer Starka. W branży książkowej Stark był lokomotywą i tak się złożyło, że obaj pisarze mieli identyczny numer telefonu.

Z oczu zaczęły jej płynąć łzy.

– Nie fanientam – wyjęczała.

Blondyn przygotował się do cięcia brzytwą – nie dlatego, że był zły na Miriam, ale dlatego, że gdy pozwolisz, by jedno kłamstwo uszło płazem takiej osobce, zawsze prowadzi to do następnego – po czym się rozmyślił. Uznał za całkiem możliwe, że tak prozaiczne sprawy jak numery telefonów, nawet tak ważnych klientów jak Beaumont/Stark, chwilowo wypadły jej z pamięci. Była w szoku. Gdyby poprosił, żeby wykręciła numer własnej agencji, mogłoby się okazać, że ma taką samą pustkę w głowie.

Ponieważ jednak nie chodziło o Ricka Cowleya, lecz o Thada Beaumonta, mógł pomóc.

– Dobra – rzekł. – W porządku, siostró. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Nie wiem, czy w to wierzysz, czy nie, ale nawet ci współczuję. I masz szczęście, bo tak akurat się składa, że sam znam ten numer. Można by rzec, że znam go równie dobrze jak własny. I wiesz co? Nie każę ci nawet go wykręcać. Po części dlatego, że nie chcę tu siedzieć i czekać, aż piekło zamarznie, zanim sobie przypomnisz, ale również dlatego, że naprawdę ci współczuję. Zaraz się nachylę i sam go wykręcę. Wiesz, co to oznacza?

Miriam Cowley pokręciła głową. Jej ciemne oczy niemal wypełniły twarz.

– To oznacza, że zamierzam ci zaufać. Ale tylko do pewnego stopnia; tylko do pewnego stopnia, nie bardziej, kochana. Słuchasz tego, co mówię? Dociera to do ciebie?

Miriam skinęła gwałtownie głową, jej włosy fruwały. Boże, jak on kochał kobiety z bujnymi włosami.

– Dobrze. To dobrze. Gdy będę wykręcał numer, siostró, masz patrzeć prosto na to ostrze. To ci pomoże zachować trafność sądu.

Pochylił się i zaczął wykręcać numer na staromodnej tarczy telefonu. Gdy to robił, z głośnika automatycznej sekretarki stojącej obok aparatu dobiegały wzmocnione trzaski. Przypominały odgłos zwalniającego bieg jarmarcznego koła fortuny. Miriam Cowley siedziała ze słuchawką telefonu na kolanach, patrząc to na brzytwę, to na prostą twarz potwornego nieznanego.

– Porozmawiaj z nim – rzekł blondyn. – Jeżeli odbierze jego żona, powiedz, że dzwonisz z Nowego Jorku i chcesz pogadać z jej mężem. Wiem, że masz opuchnięte usta, ale zrób to tak, by odbierający cię rozpoznał. Postaraj się dla mnie, siostrze. Jeżeli nie chcesz, by twoja twarz wyglądała jak z portretu Picassa, po prostu się postaraj.

Ostatnie dwa słowa wyszły z jego ust zniekształcone.

– Co... Co mam powiedzieć?

Blondyn się uśmiechnął. Miriam była naprawdę niezłą sztuką. Bardzo apetyczną. I te włosy. Kolejne sygnały pobudzenia poniżej klamry paska. Zapanowało tam wyraźne ożywienie.

Telefon dzwonił. Oboje słyszeli to przez automatyczną sekretarkę.

– Wymyślisz odpowiednie słowa, siostrze.

Gdy ktoś odebrał, rozległ się trzask. Blondyn czekał, aż usłyszy z ust Beaumonta powitanie, po czym z szybkością atakującego węża nachylił się i przejechał brzytwą po lewym policzku Miriam. Krew trysnęła mocnym strumieniem z rozciętej skóry. Miriam wrzasnęła.

– Halo! – burknął Beaumont. – Halo, kto dzwoni? Niech to szlag, czy to ty?

Tak, to ja, ty sukinsynu, pomyślał blondyn. To ja, a ty wiesz, że to ja, nieprawdaż?

– Powiedz mu, kim jesteś i co się tu dzieje! – warknął na Miriam. – Zrób to! Nie każ mi prosić dwa razy!

– Kto mówi?! – zawołał Beaumont. – Co się tam dzieje?! Z kim rozmawiam?!

Miriam znowu wrzasnęła. Na jasne poduchy kanapy bryzgnęła krew. Na staniku jej sukienki nie było już teraz jednej tylko kropli; przesiąkł krwią cały.

– Rób, co mówię, bo inaczej odetnę ci ten pieprzony łeb!

– Thad, jest tutaj jakiś człowiek! – krzyknęła do telefonu. Pod wpływem bólu i przerażenia znowu mówiła wyraźnie. – Jest tutaj jakiś zły człowiek! Thad, jest tutaj jakiś zły czło...

– Przedstaw się! – ryknął blondyn i przeciął powietrze o centymetr od jej oczu. Miriam skuliła się, zawodząc.

– Kto mówi? Dla...

– Miriam! – wrzasnęła. – Och, Thad, nie pozwól, by znowu mnie skaleczył, nie pozwól, by ten zły człowiek znowu mnie skaleczył, nie...

George Stark zamaszystym ruchem brzytwy przeciął poskręcany kabel telefonu. Aparat wydał z siebie jeden gniewny trzask zakłóceń i umilkł.

I dobrze. Mogło być lepiej; chciał ją przelecieć, naprawdę chciał ją mieć. Minęło sporo czasu, odkąd chciał to zrobić z kobietą, ale pożądał tej, a wyglądało na to, że nie zdąży jej wyruchać. Narobiła za dużo wrzasku. Króliki znowu wysuną głowy ze swoich nor, wietrząc obecność wielkiego drapieżnika, który stąpał bezszelestnie gdzieś w dżungli tuż za strefą blasku ich żalonych elektrycznych ognisk.

Miriam nadal się darła.

Było jasne, że utraciła całkowicie trafność sądu.

Stark chwycił ją więc znowu za włosy, odchylił jej głowę, tak że wrzeszcząc, wpatrywała się w sufit, po czym poderżnął jej gardło.

W pokoju zaległa cisza.

– No proszę, siostró – powiedział czule.

Złożył brzytwę, chowając ostrze w rączce, i wetknął ją do kieszeni. Potem zakrwawioną lewą ręką zamknął jej powieki. Mankiet jego koszuli natychmiast przesiąkł ciepłą krwią, ponieważ tętnica szyjna Miriam wciąż ją tłoczyła, ale trzeba było zrobić to, co należało. Gdy rzecz dotyczyła kobiety, zamykałeś jej oczy. Nieważne, jak nikczemnie postępowała, nieważne, czy chodziło o jakąś naćpaną kurwę, która sprzedawała własne dzieci, żeby kupić prochy, zamykałeś jej oczy.

A Miriam stanowiła tylko drobny element tego układu. Rick Cowley to już była zupełnie inna historia.

I człowiek, który napisał ten artykuł w magazynie.

A także suka, która zrobiła zdjęcia, zwłaszcza zdjęcie nagrobka. Suka, tak, prawdziwa suka, ale jej też by zamknął oczy.

Kiedy już zajmie się nimi wszystkimi, przyjdzie pora, by porozmawiać z samym Thadem. Bez pośredników; *mano a mano*. Czas, by uzmysłwić Thadowi przyczyny. Oczekiwał, że gdy już ich wszystkich załatwi, Thad będzie gotów zrozumieć przyczyny. W razie czego istniały sposoby, żeby go do tego skłonić.

Miał przecież żonę – bardzo piękną żonę, prawdziwą królową powietrza i ciemności.

No i dzieci.

Wetknął palec wskazujący w ciepły strumień krwi Miriam i szybko zaczął pisać drukowanymi literami na ścianie. Musiał dwa razy do niej wracać, żeby starczyło krwi, lecz komunikat pojawił się bezzwłocznie nad zwieszoną głową kobiety. Mogłaby go odczytać do góry nogami, gdyby miała otwarte oczy.

I oczywiście, gdyby nadal żyła.

Pochylił się i pocałował Miriam w policzek.

– Dobranoc, siostruniu – rzekł i wyszedł z mieszkania.

Mężczyzna z naprzeciwka znowu wyglądał zza progu.

Gdy ujrzał, jak usmarowany krwią wysoki blondyn wyłania się z mieszkania Miriam, zatrzasnął i zaryglował drzwi.

Roztropna decyzja, pomyślał George Stark, krocząc korytarzem w stronę windy. Kurewsko rozropna.

Tymczasem musiał pędzić. Nie mógł dłużej zwlekać.

Dziś wieczorem miał jeszcze do załatwienia inne sprawy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY AUTENTYCZNA PANIKA

1

Na kilka chwil – nie miał pojęcia, na jak długo – Thada ogarnął paniczny lęk tak głęboki, że dosłownie nie był w stanie w żaden sposób funkcjonować. Zdumiewało go wręcz, że jeszcze może oddychać. Później pomyślał, że choć trochę podobnie czuł się tylko raz, gdy miał dziesięć lat i wraz z dwoma kolegami postanowił popływać w połowie maja. Co najmniej trzy tygodnie wcześniej, niż którykolwiek z nich kiedykolwiek przedtem pływał, ale i tak pomysł wydawał się świetny. Jak na maj w New Jersey dzień był upalny i bezchmurny, temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Poszli we trójkę nad Lake Davis, jak żartobliwie nazywali mały staw oddalony o półtora kilometra od domu Thada w Bergenfield. On pierwszy zrzucił ubranie i włożył kąpielówki, stąd też pierwszy znalazł się w wodzie. Po prostu skoczył z brzegu w pozycji kucznej i nadal uważał, że chyba był wtedy bliski śmierci – tak naprawdę nigdy nie chciał wiedzieć, jak bliski. Powietrze tego dnia mogło stwarzać wrażenie, że jest środek lata, ale woda była tak lodowata, jak ostatniego dnia przed zamarznięciem wczesną zimą. W układzie nerwowym Thada nastąpiło chwilowe zwarcie. Oddech zamarł mu w piersiach, serce przestało bić, a gdy przebił powierzchnię wody, poczuł się jak samochód z wyładowanym akumulatorem

i potrzebował zastrzyku energii, szybko, ale nie wiedział, jak to zrobić. Pamiętał, jak jasne było światło słońca znaczącego błękitnoczarne lustro wody tysiącami złotych iskier, pamiętał, że Harry Black i Randy Wister stoją na brzegu i Harry wciąga spłowiałe spodenki gimnastyczne na swój tłusty tyłek, a nagi Randy trzyma kąpielówki w jednej dłoni, krzycząc: „Jak woda, Thad?”, gdy on wynurzył się gwałtownie, a w głowie kołatała mu się jedyna myśl: „Umieram, jestem tu na słońcu z dwoma najlepszymi kumplami, po szkole, nie mam nic zadane do domu, a dziś wieczorem w telewizji będzie *Pan Blandings buduje dom swoich marzeń* i mama powiedziała, że mogę zjeść kolację przed telewizorem, ale nigdy nie zobaczę tego programu, bo zaraz będę martwy”. Zaledwie kilka sekund wcześniej z łatwością oddychał, teraz zaś w jego gardle tkwił knebel ze skarpetki, którego nie mógł ani wypchnąć, ani wciągnąć. Serce spoczywało w jego piersi jak mały zimny kamień. Potem to się skończyło, chrapliwie wciągnął w płuca powietrze, całe jego ciało pokryło się gęsią skórą i odpowiedział Randy’emu z bezmyślną złośliwą satysfakcją, w stylu właściwym małym chłopcom: „Woda jest świetna! Całkiem ciepła! Wskakujcie!”. Dopiero po latach uświadomił sobie, że mógł zabić jednego z nich lub obu, tak jak sam omal się nie zabił.

Tak właśnie było teraz; poczuł dokładnie taką samą blokadę całego ciała. W wojsku mieli nazwę na coś takiego – gwałt zbiorowy. Tak. Dobre określenie. Jeśli chodziło o terminologię, wojsko było wspaniałe. Siedział tutaj w trakcie wspaniałego gwałtu zbiorowego. Na krześle, pochylony do przodu, wciąż z telefonem w dłoni, gapiąc się w martwe oko telewizora. Zdawał sobie sprawę, że Liz stanęła w drzwiach, że pyta go najpierw o to, kto dzwonił, a potem o to, co

się stało, i czuł się tak jak tamtego dnia nad Lake Davis, identycznie jak wtedy, jego oddech zamienił się w brudną bawełnianą skarpetę tkwiącą w gardle, knebel, który nie chciał zniknąć. Wszystkie połączenia między mózgiem i sercem nagle padły, przepraszamy za tę niezaplanowaną przerwę w podróży, zostanie ona wznowiona tak szybko, jak to możliwe. A może nigdy, ale tak czy owak życzymy miłego pobytu w pięknym śródmiejskim Endsville, miejscu, gdzie kończą swój bieg wszystkie pociągi.

Potem po prostu minęło to tak jak poprzednim razem i Thad westchnął gwałtownie. Serce zabiło mu pospiesznie dwa razy, po czym odzyskało normalny rytm... choć był nadal szybki, o wiele za szybki.

Ten wrzask. Jezu Chryste, Panie nasz, ten wrzask.

Liz biegła teraz przez pokój, on zaś zdał sobie sprawę, że wyrwała mu słuchawkę z dłoni, dopiero gdy zobaczył, jak raz po raz krzyczy do niej „Halo?!” oraz „Kto mówi?!”. Potem usłyszała szum przerwane połączenia i odłożyła słuchawkę.

– Miriam – zdołał wreszcie odpowiedzieć, gdy Liz zwróciła się do niego. – To była Miriam i krzyczała.

„Jeśli nie liczyć książek, nigdy nikogo nie zabiłem”.

„Wróble fruważą”.

„Tutaj nazywamy to nadzieniem z głupca”.

„Tutaj nazywamy to Endsville”.

„Ruszam z powrotem na północ, stary. Musisz mi zapewnić fałszywe alibi, bo ruszam z powrotem na północ. Zamierzam poderżnąć parę gardel”.

– Miriam? Krzyczała? Miriam Cowley? Thad, co się dzieje?

– To on – odparł. – Wiedziałem, że to on. Chyba wiedziałem o tym

niemal od początku, a potem dzisiaj... dziś po południu... to się powtórzyło.

– Co się powtórzyło? – Uciskała palcami z boku szyję, masując ją mocno. – Znowu miałeś zaćmienie? Kolejny trans?

– Jedno i drugie – odparł. – Najpierw znowu wróble. W oszołomieniu zapisałem na kartce sporo bredni. Wyrzuciłem ją, ale było na niej jej imię, imię Miriam stanowiło część tego, co zapisałem, gdy byłem zamroczony...

Przerwał. Jego oczy robiły się coraz okrągłejsze.

– Co? Thad, o co chodzi? – Chwyliła go i potrząsnęła za rękę. – O co chodzi!?

– Ona ma u siebie w salonie plakat – wyjaśnił. Słyszał swój głos, jakby nie należał do niego, jakby docierał z daleka. Na przykład z domofonu. – Plakat z broadwayowskiego musicalu. *Koty*. Widziałem go podczas naszej ostatniej wizyty. *Koty*, TERAZ I NA WIEKI. To też zapisałem. Zapisałem, ponieważ on tam był, więc ja sam tam byłem, część mojej osobowości patrzyła jego oczami...

Spojrzał na Liz. Popatrzył na nią swoimi okrągłymi oczami.

– To nie jest guz. A przynajmniej nie taki, który znajduje się w moim ciele.

– Nie wiem, o czym mówisz! – krzyknęła niemal Liz.

– Muszę zadzwonić do Ricka – mruknął Thad.

Wydawało się, że częścią świadomości odrywa się od ziemi, porusza się z wielką gracją i mówi do siebie obrazami i prymitywnymi jaskrawymi symbolami. Tak właśnie czasem pisał, ale nie pamiętał, by wcześniej w ten sposób funkcjonował w prawdziwym życiu – nagle zaczął się zastanawiać, czy pisanie jest prawdziwym życiem. Uważał, że nie. Było raczej przerwą w życiu.

- Thad, błagam!
- Muszę go ostrzec. Chyba jest w niebezpieczeństwie.
- Thad, mówisz od rzeczy!

Oczywiście, że mówił od rzeczy. A gdyby przerwał, żeby wyjaśnić, zabrzmiałoby to jeszcze bardziej bezsensownie... i kiedy zwierzałyby się żonie ze swoich obaw, przypuszczalnie osiągając tylko tyle, że zaczęłyby się zastanawiać, ile czasu zajmie wypisanie skierowania na przymusowe leczenie psychiatryczne, George Stark mógł przemierzać dziewięć kwartałów na Manhattanie dzielących mieszkanie Ricka od mieszkania jego byłej żony. Siedząc w taksówce lub za kierownicą skradzionego samochodu, psia krewna, za kierownicą czarnego toronada z jego snu, o ile Thad wiedział – skoro miał się zapuścić tak daleko na drodze do szaleństwa, czemu nie powiedzieć po prostu „pieprzyć to” i nie pojechać po bandzie? Siedząc tam, paląc papierosa i szykując się do zabicia Ricka, tak jak wcześniej uśmiercił Miriam...

Zabił ją?

Może ją tylko wystraszył, zostawił zapłakaną i wstrząśniętą. A może ją zranił – tak, pewnie to zrobił. Co ona powiedziała? „Nie pozwól, by znowu mnie skaleczył, nie pozwól, by ten zły człowiek znowu mnie skaleczył”. A na kartce było napisane: „skaleczenia”. I... czyż nie napisał również: „kończą”?

Tak. Owszem. Ale to miało związek ze snem, prawda? Miało związek z Endsville, miejscem, w którym kończą swój bieg wszystkie pociągi... nieprawdaż?

Modlił się o to, by tak było.

Musiał sprowadzić lub przynajmniej spróbować sprowadzić jej pomoc i ostrzec Ricka. Gdyby jednak po prostu zadzwonił do niego tak niespodziewanie i kazał mu się mieć na baczności, Rick chciałby

wiedzieć dlaczego.

„O co chodzi, Thad? Co się stało?”

A gdyby tylko wspomniał mu o Miriam, Rick popędziłby jak strzała do jej mieszkania, ponieważ nadal lubił swoją byłą żonę. Wciąż cholernie ją lubił. I wtedy to on by ją znalazł... może w kawałkach (część umysłu Thada wzdragała się przed tą myślą, tym obrazem, ale reszta była nieugięta, zmuszając go do wyobrażenia sobie, jak piękna Miriam wyglądałaby posiekana jak mięso na rzeźniczej ladzie).

I może właśnie na to liczył Stark. Na głupotę Thada posyłającego Ricka w pułapkę. Na głupotę Thada wykonującego za niego robotę.

Czyż jednak nie wykonywałem za niego roboty od samego początku? Czyż nie o to chodziło w tym pseudonimie literackim, na litość boską?!

Czuł, że jego umysł znowu się blokuje, cicho kurczy się niczym zakwaszony mięsień nogi, że wszystko mu się miesza, a przecież nie mógł sobie na to pozwolić, teraz stanowczo nie mógł sobie na to pozwolić.

– Thad... błagam! Powiedz mi, co jest grane!

Wziął głęboki wdech i zimnymi dłońmi chwycił jej zimne ramiona.

– To był ten sam człowiek, który zabił Homera Gamache’a i Clawsona. Był u Miriam. Groził jej. Mam nadzieję, że na tym poprzestał. Sam nie wiem. Krzyczała. Połączenie zostało przerwane.

– Och, Thad! Boże święty!

– Nie ma czasu na wpadanie w histerię – odparł i pomyślał: Chociaż Bóg jeden wie, że chwilami chcę w nią wpaść. – Idź na górę. Weź swój notes. W moim nie mam numeru i adresu Miriam. Sądzę, że ty je zapisałaś.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że wiedziałeś to niemal od

początku?

– Teraz nie ma na to czasu. Przyniesź szybko swój notes z adresami.

Dobrze?

Liz wahała się jeszcze przez chwilę.

– Ona może być ranna! Idź!

Liz odwróciła się i wybiegła z pokoju. Thad słyszał jej szybkie, lekkie stąpanie po schodach na górę i spróbował znowu zmusić umysł do pracy.

Nie dzwoń do Ricka. Jeżeli to jest pułapka, telefonowanie do niego byłoby bardzo nierozsądne.

W porządku – dotarliśmy tak daleko. To niewiele, ale zawsze coś. Do kogo zatem zadzwonić?

Do nowojorskiej policji? Nie – zadawaliby mnóstwo czasochłonnych pytań; po pierwsze, dlaczego facet z Maine zgłasza popełnienie przestępstwa w Nowym Jorku. Nie do NYPD². Kolejny zły pomysł.

Do Pangborna.

Uczepił się tej myśli. Najpierw zadzwoni do Pangborna. Będzie musiał uważać na to, co mówi, przynajmniej na razie. To, co powie lub czego nie powie później – o zaćmieniach, o wróblach, o Starku – mogło się rozstrzygnąć samo. Teraz najważniejsza była Miriam. Jeżeli jest ranna, lecz nadal żyje, nie można komplikować sytuacji niczym, co mogłoby spowolnić działanie szeryfa. To on będzie musiał zadzwonić do nowojorskich policjantów. Otrzymawszy tę wiadomość od jednego ze swoich, nawet jeśli ten akurat kolega po fachu znajduje się w Maine, będą działać szybciej i zadawać mniej pytań.

Ale najpierw Miriam. Módl się, żeby odebrała telefon.

Liz wpadła do pokoju ze swoim notesem. Twarz miała prawie tak

bladą jak wtedy, gdy wreszcie zdołała wydać na świat Williama i Wendy.

– Proszę – powiedziała, oddychając szybko, sapiąc niemalże.

Miał zamiar ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale się powstrzymał. Nie chciał powiedzieć niczego, co tak szybko mogłoby się okazać kłamstwem... a krzyk Miriam wskazywał na to, że sprawy miały się bardzo niedobrze. I przynajmniej dla Miriam mogły już nigdy nie powrócić do poprzedniego stanu.

„Jest tutaj jakiś człowiek, jest tutaj jakiś zły człowiek”.

Pomyślał o George’u Starku i lekko zadrżał. Stark rzeczywiście był bardzo złym człowiekiem. Thad lepiej niż ktokolwiek wiedział, że to prawda. Przecież w gruncie rzeczy to on go stworzył... czyż nie?

– Jesteśmy cali i zdrowi – powiedział do Liz. To przynajmniej było prawdą. Na razie, dodał szeptem jego uparty umysł. – Weź się w garść, dziecinko, jeśli możesz. Mdlejąc tutaj, nie pomożesz Miriam.

Liz usiadła prosto, jakby połknęła kij, patrząc na niego i bez przerwy zagryzając dolną wargę. Thad zaczął wystukiwać numer telefonu Miriam. Jego lekko drżący palec „zająknął” się na drugiej cyfrze. To wspaniale, że radzisz innym, żeby się wzięli w garść. Zaczerpnął jeszcze raz powietrza, wstrzymał oddech, uderzył w przycisk przerywania połączenia na klawiaturze i zaczął od nowa, zmuszając się do spowolnienia ruchów. Wcisnął ostatni guzik i słuchał miarowych kliknięć w słuchawce.

Oby była cała i zdrowa, Boże, a jeśli nie jest, jeśli nie uda Ci się tego sprawić, to przynajmniej niech będzie na tyle zdrowa, by odebrać telefon. Proszę.

Ale w słuchawce słyhać było jedynie natarczywy sygnał świadczący o zajętej linii. Może jej numer naprawdę był zajęty; może

dzwoniła do Ricka lub do szpitala. A może słuchawkę zdjęto z widełek.

Istniała jednak jeszcze jedna możliwość, pomyślał Thad, ponownie wciskając guzik przerywający połączenie. Być może Stark wyciągnął kabel telefonu z gniazdka. A może go („nie pozwól, by ten zły człowiek znowu mnie skaleczył”) przeciął.

Tak jak przeciął skórę Miriam.

Brzytwa, pomyślał Thad i dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Było to kolejne ze słów, które nagryzmolił tego popołudnia. Brzytwa.

2

Następne pół godziny oznaczało powrót do stanu złowieszczego surrealizmu, którego doświadczył, gdy Pangborn i dwaj funkcjonariusze policji stanowej zjawili się na progu domu Thada, żeby aresztować go za morderstwo, o którym nawet nie wiedział. Nie miał poczucia osobistego zagrożenia – przynajmniej nie bezpośredniego – ale ponownie odniósł wrażenie, że idzie przez ciemny pokój wypełniony delikatnymi nićmi pajęczej sieci, które muskały twarz, najpierw łaskocząc, a w końcu doprowadzając do szału, nićmi, które nie lgnęły, lecz odsuwały się z szelestem, zanim można je było schwycić.

Spróbował znowu wybrać numer Miriam, a gdy okazało się, że wciąż jest zajęty, jeszcze raz przerwał połączenie i wahał się przez chwilę w rozterce między chęcią zadzwonienia do Pangborna a pragnieniem sprawdzenia w centrali w Nowym Jorku telefonu Miriam. Czy potrafili odróżnić, kiedy ktoś rozmawiał na linii, a kiedy słuchawka została zdjęta z widełek lub telefon z jakiegoś powodu nie działał? Chyba potrafili, lecz oczywiście ważne było, dlaczego

rozmowa z Miriam urwała się nagle i nie można było się już do niej dodzwonić. Mogliby się tego dowiedzieć – Liz mogłaby się dowiedzieć – gdyby mieli dwie linie zamiast jednej. Czemu nie mieli dwóch linii? Brak dwóch linii był idiotyzmem, nieprawdą?

Chociaż te myśli przemknęły mu przez głowę w ciągu około dwóch sekund, wydawało się, że trwało to znacznie dłużej, i Thad zwymyślał się w duchu za hamletyzowanie w sytuacji, gdy Miriam Cowley mogła się wykrwawiać na śmierć w swoim mieszkaniu. Postaci w książkach – przynajmniej w tych firmowanych przez Starka – nigdy nie miały takich wahań, nigdy się nie zastanawiały nad czymś tak bezsensownym jak brak drugiej linii telefonicznej, na wypadek gdyby jakaś kobieta w innym stanie wykrwawiała się na śmierć. Ludzie w książkach nigdy nie musieli robić przerw na wizytę w toalecie, nigdy też nie działali tak nerwowo.

Świat funkcjonowałby o wiele sprawniej, gdyby wszyscy jego mieszkańcy pochodzili z dzieł literatury popularnej, pomyślał Thad. Ludziom w powieściach zawsze udaje się panować nad myślami, gdy przenoszą się gładko z jednego rozdziału do następnego.

Wybrał numer informacji telefonicznej w Maine, a kiedy telefonistka w centrali zapytała: „O jakie miasto chodzi?”, Thada zatkało na chwilę, ponieważ Castle Rock było miasteczkiem, nie miastem, choć stanowiło siedzibę władz okręgu. Wtedy pomyślał: To jest panika, Thad. Autentyczna panika. Musisz nad nią zapanować. Nie wolno ci pozwolić, by Miriam zmarła, bo ty spanikowałeś. Miał nawet, jak się wydawało, czas, by się zastanowić, dlaczego nie może na to pozwolić, i odpowiedzieć na to pytanie: był jedyną prawdziwą postacią, nad którą w ogóle miał jakąś kontrolę, a panika po prostu nie pasowała do jej wizerunku. Przynajmniej do takiego, jakim go

postrzegął.

„Tutaj nazywamy to bzdurą, Thad. Tutaj nazywamy to nadzieiem z...”.

– Proszę pana? – ponagliła go telefonistka. – O które miasto chodzi?

W porządku. Opanowanie.

Thad wziął głęboki oddech, uspokoił się i rzekł:

– Castle City. – Chryste. Zamknął oczy. I nie otwierając ich, rzekł powoli i wyraźnie: – Przepraszam panią. Castle Rock. Proszę o numer telefoniczny biura szeryfa.

Nastąpiła zwłoka, po czym głos robota zaczął recytować numer. Thad uświadomił sobie, że nie ma pióra ani ołówek. Robot powtórzył numer. Thad usiłował zapamiętać tę informację, lecz cyfry przeleciały przez jego świadomość i znowu zniknęły w ciemności, nie pozostawiając nawet mglistego śladu.

– Jeśli potrzebujesz dalszej pomocy – kontynuował głos robota – pozostań na linii w oczekiwaniu na rozmowę z telefonistką.

– Liz? – poprosił. – Masz pióro? Coś do pisania?

W jej notes wetknięty był długopis Bic; wręczyła go Thadowi. Telefonistka – człowiek, nie maszyna – wróciła na linię. Thad wyjaśnił jej, że nie zdążył zanotować numeru. Telefonistka wezwała robota, który znowu wyrecytował numer urywanym, z lekką kobiecym głosem. Thad zapisał go pospiesznie na okładce notesu, omal się nie rozłączył, po czym postanowił się upewnić, słuchając drugiej zaprogramowanej recytacji. Ponowne odtworzenie wykazało, że przestawił dwie cyfry. Było jasne jak słońce, że z trudem panował nad panicznym lękiem.

Wcisnął guzik przerywający połączenie. Oblał go lekki pot.

– Spokojnie! – powiedziała Liz.

– Łatwo ci mówić, bo jej nie słyszałaś – odparł ponuro i wybrał numer biura szeryfa.

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim rozległ się znudzony jankeski głos:

– Biuro szeryfa okręgu Castle, mówi jego zastępca Ridgewick. W czym mogę pomóc?

– Tu Thad Beaumont. Dzwonię z Ludlow.

– No i?

Nie został w ogóle rozpoznany, co oznaczało konieczność dodatkowych wyjaśnień. Zerwania kolejnych pajęczych sieci.

Nazwisko Ridgewick obudziło niewyraźne wspomnienie. No jasne – to ten policjant, który rozmawiał z panią Arsenault i znalazł ciało Homera Gamache’a. Na rany Chrystusa, jak to możliwe, że znalazł staruszkę, którego Thad miał ponoć zamordować, i nie wiedział, z kim rozmawia?

– Szeryf Pangborn zjawiał się tutaj, żeby... żeby podyskutować ze mną o śmierci Homera Gamache’a. Mam w tej sprawie pewne informacje i muszę natychmiast z nim porozmawiać.

– Szeryfa nie ma – odparł Ridgewick, który wydawał się kompletnie niewzruszony zniecierpliwieniem w głosie Thada.

– A gdzie jest?

– W domu.

– Proszę mi podać jego domowy numer.

To nie do wiary, ale Ridgewick odparł:

– Och, nie wiem, czy powinienem, panie Bowman. Szeryf... to znaczy Alan... ostatnio rzadko bywał w domu, a jego żona trochę źle się czuje. Cierpi na bóle głowy.

– Muszę z nim porozmawiać!

– No cóż – spokojnie zauważył zastępca szeryfa – najwyraźniej jest pan o tym przekonany. Może nawet rzeczywiście musi pan to zrobić. Coś panu powiem, panie Bowman! Może po prostu wyłuszczy pan tę sprawę mnie i pozwoli, bym sam osą...

– Zjawił się tutaj, żeby mnie aresztować za zabójstwo Homera Gamache’a, i stało się coś jeszcze, więc jeśli nie poda mi pan zaraz jego numeru...

– Och, cholera jasna! – krzyknął Ridgewick. Thad usłyszał słaby stuk i wyobraził sobie, jak stopy zastępcy szeryfa spadają z jego biurka lub, co bardziej prawdopodobne, z biurka Pangborna i lądują na podłodze, a on prostuje się w fotelu. – Beaumont, nie Bowman!

– Tak i...

– O Jezu! Jezu Chryste! Szeryf... Alan... powiedział, że jeżeli pan zadzwoni, mam dopilnować, żeby pan się z nim natychmiast skontaktował!

– Dobrze. A teraz...

– Jezu Chryste! Ale ze mnie baran!

Thad, który w tej kwestii całkowicie się z nim zgadzał, rzekł:

– Proszę mi podać jego numer.

Czerpiąc z pokładów cierpliwości, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia, jakoś zdołał nie wykrzyczeć tej prośby.

– Oczywiście. Chwileczkę. Eee...

Nastąpiła nieznośna pauza. Trwająca oczywiście tylko kilka sekund, ale Thadowi zdawało się, że w tym czasie można było wznieść egipskie piramidy. Wznieść i zburzyć. A z ciała Miriam leżącego na dywanie w salonie oddalonego o osiemset kilometrów mieszkania mogło właśnie uchodzić życie. Być może ją zabiłem, pomyślał,

postanawiając, że zadzwonię do Pangborna, i trafiając na tego sympatycznego durnia, zamiast po prostu zatelefonować do nowojorskiej policji. Albo pod 911. I tak prawdopodobnie powinien być zrobić, wybrać 911 i zwalić to na ich barki.

Tyle że ta opcja nawet teraz wydawała się nierealna. Przypuszczalnie chodziło o ten trans i słowa, które wtedy napisał. Nie sądził, że przewidział napaść na Miriam... lecz w jakiś niejasny sposób był świadkiem przygotowań Starka do tej napaści. Upiorne krzyki tysięcy ptaków jakby czyniły go odpowiedzialnym za całe to szaleństwo.

Jeżeli jednak Miriam umrze po prostu dlatego, że on panicznie bał się wybrać 911, jak będzie w stanie spojrzeć w oczy Rickowi?

Pieprzyć to; jak będzie w stanie spojrzeć na siebie w lustrze?

Jankeski Głupi Jaś wrócił na linię. Podał Thadowi numer szeryfa, artykułując każdą cyfrę dostatecznie wolno, żeby nawet osoba upośledzona mogła je zapisać... lecz Thad i tak kazał mu powtórzyć mimo dokuczliwego pragnienia pośpiechu. Wciąż pamiętał, z jaką szokującą łatwością pomylił cyfry numeru biura szeryfa, a przecież to, co się stało raz, mogło się powtórzyć.

– Dobra – rzekł. – Dzięki.

– Panie Beaumont? Byłbym oczywiście wdzięczny, gdyby pan nie podkreślał tego, jak...

Thad rozłączył się bez najmniejszych skrupułów i wybrał numer podany przez Ridgewicka. Oczywiście Pangborn nie odbierze telefonu; na to w Noc Pajęcznych Sieci po prostu nie ma co liczyć. A osoba, która się odezwie, wyjaśni Thadowi (po obowiązkowej kilkuminutowej gadaninie), że szeryf wyjechał po bochenek chleba i galon mleka. Prawdopodobnie do Laconii w stanie New Hampshire,

aczkolwiek nie można wykluczyć, że do Phoenix.

Thad parsknął gwałtownym śmiechem i Liz spojrzała nań zaskoczona.

– Thad? Nic ci nie jest?

Zaczął wyjaśniać, po czym tylko machnął ręką, żeby pokazać, że z nim wszystko w porządku, gdy uzyskał połączenie. Słuchawki nie podniósł Pangborn – co do tego przynajmniej Thad miał rację – tylko jakiś chłopiec o głosie dziesięciolatka.

– Halo, dom państwa Pangbornów – zaszcebiotał. – Mówi Todd Pangborn.

– Cześć – rzekł Thad. Miał niejasną świadomość, że zbyt mocno ściska słuchawkę telefonu, i spróbował rozluźnić palce. Zatrzeszczały w stawach, lecz tak naprawdę nie drgnęły. – Nazywam się Thad... – omal nie dodał „Pangborn”, Chryste, to byłby numer, świetnie nad tym panujesz, Thad, minąłeś się z powołaniem, powinieneś być kontrolerem ruchu lotniczego – ...Beaumont – dokończył po szybkiej korekcie. – Zastąłem szeryfa?

„Nie, pojechał do Lodi w Kalifornii po piwo i papierosy”.

Zamiast wypowiedzieć te słowa, głos chłopca oddalił się od słuchawki i Thad usłyszał jego ryk: „Tato, telefon!”, po czym nastąpił bolesny dla ucha huk.

Chwilę później, Bogu i wszystkim świętym niech będą dzięki, Alan Pangborn rzekł:

– Słucham?

Na dźwięk tego głosu myśliwska gorączka Thada częściowo ustąpiła.

– Mówi Thad Beaumont, szeryfie. W Nowym Jorku mieszka kobieta, która w tej chwili może potrzebować natychmiastowej

pomocy. Ma to związek ze sprawą, którą omawialiśmy w sobotę wieczorem.

– Kurza twarz – rzekł lakonicznie Alan.

Tylko tyle, a jaka niesamowita ulga. Thad poczuł się jak człowiek odzyskujący ostrość widzenia.

– Tą kobietą jest Miriam Cowley, była żona mojego agenta. – Thad pomyślał, że jeszcze minutę temu z pewnością określiliby Miriam mianem „agenta mojej byłej żony”. – Zadzwoiła do mnie. Płakała, była w skrajnej rozpacz. Początkowo nie poznałem nawet, z kim rozmawiam. Potem usłyszałem w tle głos jakiegoś mężczyzny. Kazał jej się przedstawić i powiedzieć, co się dzieje. Wyjaśniła, że w jej mieszkaniu jest człowiek grożący, iż zrobi jej krzywdę. Że... – Thad przełknął ślinę – że ją pokaleczy. Do tego momentu nie rozpoznałem jej głosu, ale mężczyzna krzyczał na nią, że jeżeli się nie przedstawi, odetnie jej pieprzony łeb. Tak brzmiały jego słowa: „Rób, co mówię, bo inaczej utnę ci ten pieprzony łeb”. Wtedy powiedziała, kim jest, i błagała mnie... – Znowu przełknął ślinę. Z jego krtani wydobył się dźwięk równie wyraźny jak litera E wystukana alfabetem Morse’a. – Błagała mnie, żebym nie pozwolił temu złemu człowiekowi znowu jej skaleczyć.

Siedząca naprzeciw niego Liz robiła się coraz bledsza. Nie pozwól jej zemdleć, myślał lub modlił się Thad. Proszę, nie pozwól jej teraz zemdleć.

– Krzyczała, a potem połączenie zostało przerwane. Sądzę, że to on przeciął kabel lub wyszarpnął go z gniazdka. – Tyle że to była bzdura. Thad niczego nie sądził. Wiedział. Połączenie zostało przerwane. Brzytwą. – Próbowałem znowu się do niej dodzwonić, ale...

– Gdzie dokładnie mieszka?

Głos Pangborna był nadal rzeczowy, nadal przyjemny i nadal spokojny. Gdyby nie pobrzmiewająca w nim wyraźna nuta zniecierpliwienia i rozkazujący ton, można by odnieść wrażenie, że gawędzi z dobrym znajomym. Dobrze, że do niego zadzwoniłem, pomyślał Thad. Dzięki niech będą Bogu za ludzi, którzy wiedzą, co robią, lub przynajmniej w to wierzą. Dzięki niech będą Bogu za ludzi, którzy zachowują się jak bohaterowie literatury popularnej. Gdybym miał teraz do czynienia z postacią stworzoną przez Saula Bellowa, to pewnie postradałbym zmysły.

Thad spojrział na adres zapisany w notesie Liz poniżej nazwiska Miriam.

– Kochanie, to jest trójka czy ósemka?

– Ósemka – odparła anemicznym głosem.

– Dobrze. Usiądź znowu w fotelu. Połóż głowę na kolanach.

– Panie Beaumont? Thad?

– Przepraszam. Moja żona jest bardzo zdenerwowana. Zrobiło się jej słabo.

– Wcale mnie to nie dziwi. Oboje jesteście zdenerwowani. To denerwująca sytuacja. Ale dobrze sobie radzicie. Trzymajcie się.

– Dobrze. – Uzmysłowił sobie ponuro, że jeżeli Liz zemdleje, będzie musiał zostawić ją na podłodze i wytrzymać do czasu, aż Pangborn uzyska wystarczająco dużo informacji, żeby działać. Proszę, nie mdlej, pomyślał znowu i zajrzał z powrotem do notesu Liz. – Mieszka przy Zachodniej Osiemdziesiątej Czwartej numer sto dziewięć.

– A numer telefonu?

– Próbowałem ci wyjaśnić... jej telefon nie...

– I tak muszę go znać.

– Tak. Oczywiście – zgodził się Thad, choć nie miał bladego

pojęcia, po co szeryfowi ta informacja. – Przepraszam – dodał i wyrecytował numer.

– Kiedy telefonowała?

Wiele godzin temu, pomyślał i popatrzył na zegar nad gzymsem kominka. Z początku przyszło mu do głowy, że zegar stanął. Musiał stanąć.

– Thad?

– Jestem, jestem – odparł spokojnym głosem, który wydobywał się jakby z ust kogoś innego. – Około sześciu minut temu. Właśnie wtedy straciłem z nią łączność. Została przerwana.

– W porządku, straciliśmy niewiele czasu. Gdybyś zadzwonił do NYPD, pewnie kazaliby ci czekać trzy razy dłużej. Oddzwonię do ciebie jak najszybciej.

– Rick – powiedział Thad. – Gdy będziesz rozmawiał z policją, powiedz im, że jej były mąż może jeszcze nie wiedzieć. Jeżeli ten gość... no wiesz, zrobił coś Miriam, Rick będzie następny na jego liście.

– Jesteś całkiem pewien, że to ten sam człowiek, który załatwił Homera i Clawsona, nieprawdaż?

– Absolutnie – potwierdził i dodał słowa, które popłynęły po drutach, zanim upewnił się, czy w ogóle chce je wypowiedzieć: – Chyba wiem, kto to jest.

– W porządku – rzekł Pangborn po bardzo krótkim wahaniu. – Gdy znajdę czas, będę chciał z tobą o tym porozmawiać – uprzedził i odłożył słuchawkę.

Thad spojrzał na Liz i spostrzegł, że przechyliła się na bok na fotelu. Oczy miała okrągłe i szkliste. Wstał i szybko do niej podszedł, usadził ją prosto i lekko poklepał po policzkach.

– Który z nich to robi? – zapytała go niewyraźnie z szarej strefy niepełnej świadomości. – Stark czy Alexis Machine? Który?

– Sądzę, że to bez różnicy – odparł po bardzo długiej chwili. – Zaparzę herbatę.

3

Był pewien, że o tym porozmawiają. Jakże mogliby tego uniknąć? A jednak nie doszło do tej rozmowy. Długo siedzieli tylko, patrząc na siebie znad kubków z herbatą, i czekali na telefon Alana. Gdy kolejne minuty wlekły się w nieskończoność, Thadowi to milczenie – dopóki Alan nie zadzwoni i nie powie, czy Miriam żyje – zaczęło się wydawać słuszne.

Przypuśćmy, pomyślał, pijąc herbatę i obserwując, jak Liz podnosi swój kubek oburącz do ust, przypuśćmy, że siedzieliśmy tutaj pewnego wieczoru z książkami w dłoniach (obserwator z zewnątrz odniósłby wrażenie, że czytamy, i moglibyśmy trochę poczytać, ale tak naprawdę delektowalibyśmy się ciszą niczym wyśmienitym winem, tak jak delektują się nią rodzice bardzo małych dzieci, ponieważ mają jej tak mało), i przypuśćmy dodatkowo, że w tym czasie meteoryt przebił dach i wylądował na podłodze salonu dymiący i rozżarzony. Czy jedno z nas pobiegłoby do kuchni, napełniło wiadro wodą, oblało go, zanim zdążyłby się od niego zapalić dywan, po czym po prostu czytało dalej? Nie – rozmawialibyśmy o tym. Musielibyśmy to zrobić. Tak jak musimy porozmawiać o tej sytuacji.

Być może zaczną po telefonie Alana. Być może nawet będą rozmawiać za jego pośrednictwem – Liz, słuchając uważnie pytań Alana i odpowiedzi Thada. Owszem – może tak właśnie zacznie się

ich rozmowa, Beaumont miał bowiem wrażenie, że Alan jest katalizatorem zdarzeń. Thadowi wydawało się, że w pewnym dziwnym sensie to szeryf zapoczątkował tę historię, mimo że jedynie reagował na poczynania Starka. Tymczasem zaś siedzieli i czekali.

Pragnął znowu zatelefonować do Miriam, ale nie miał odwagi

– Alan mógł wybrać akurat ten moment, żeby zadzwonić, i stwierdziłby, że numer Beaumontów jest zajęty. Znowu uświadomił sobie, iż bezsensownie żałuje, że nie mają drugiej linii. Cóż, pomyślał, samo się nie zrobi.

Rozsądek podpowiadał mu, że Stark nie może atakować niczym upiorny nowotwór w ludzkiej postaci i uśmiercać ludzi. Jak mawiał w *She Stoops to Conquer* Olivera Goldsmitha wiejski prostaczek: „To całkiem niemożliwe, Diggory”.

A jednak atakował. Thad wiedział o tym, Liz także. Ciekawe, czy do Alana również to dotrze, gdy mu o tym powie. Można by sądzić, że nie; można by się spodziewać, że po prostu pošle po tych miłych młodych ludzi w czystych białych fartuchach. Stark bowiem nie istniał, nie istniał też Alexis Machine, ta fikcja w fikcji. Żaden z nich nigdy nie istniał, podobnie jak George Eliot, Mark Twain, Lewis Carroll, Tucker Coe czy Edgar Box.

Pseudonimy były jedynie wyższą formą fikcyjnej postaci.

Mimo to Thadowi trudno było uwierzyć, że Alan Pangborn w to nie uwierzy, choćby nawet z początku nie chciał dać wiary. On sam też nie chciał, a jednak uświadomił sobie bezradnie, że nic innego mu nie pozostaje. Było to, proszę wybaczyć wyrażenie, nieubłagane wiarygodne.

– Czemu nie dzwoni? – zapytała nerwowo Liz.

– Minęło dopiero pięć minut, dziecinko.

– Raczej dziesięć.

Oparł się chęci warknięcia na nią – to nie była dodatkowa runda w teleturnieju, Alanowi nie przyznano by dodatkowych punktów ani cennych nagród za telefon przed dziewiątą.

Nie ma żadnego Starka, uparcie obstawała przy swoim część jego umysłu. Ów głos był racjonalny, lecz osobliwie bezsilny, jakby powtarzał tę tyradę nie z prawdziwego przekonania, lecz z nawyku, niczym papuga nauczona mówić „Ładny chłopiec!” lub „Polly chce krakersa!”. A jednak była to prawda, czyż nie? Miał wierzyć, że Stark wrócił jak potwór w filmowym horrorze? Byłaby to sprytna sztuczka, skoro ten człowiek – bądź nieczłowiek – nigdy nie został pochowany, miejsce jego grobu wskazywał jedynie kamień nagrobny z *papier mâché* ustawiony na pustej cmentarnej kwaterze, równie fikcyjny jak reszta jego postaci...

„To w każdym razie wiąże się z ostatnią sprawą... lub jej aspektem... czy jak tam, u diabła, chcesz to nazwać... Jaki nosisz numer butów?”

Thad siedział niedbale w fotelu, na przekór wszystkiemu szalenie bliski zdrzemnięcia się. Teraz wyprostował się tak nagle, że omal nie rozlał herbaty. Ślady stóp. Pangborn mówił coś o...

„Co to za ślady stóp?”

„To bez znaczenia. Nie mamy nawet zdjęć. Myślę, Thad, że omówiliśmy już prawie...”

– Thad? O co chodzi? – zapytała Liz.

Jakie ślady stóp? Gdzie? Oczywiście w Castle Rock, bo inaczej Alan nie wiedziałby o nich. Może były na Homeland Cemetery, gdzie neurasteniczna fotografika zrobiła zdjęcie, które oboje z Liz uznali za

tak zabawne?

– Niezbyt sympatyczny facet – wymamrotał.

– Thad?

Potem zadzwonił telefon i oboje rozlali herbatę.

4

Ręka Thada sięgnęła po słuchawkę... po czym znieruchomiła na chwilę tuż nad aparatem.

A jeśli to on?

„Jeszcze z tobą nie skończyłem, gnoju. Lepiej mnie nie wkurwiał, bo gdy mnie wkurwiasz, to masz przechlapane”.

Zmusił swą dłoń, by opadła, zacisnęła się na słuchawce i przytknęła ją do ucha.

– Halo?

– Thad? – rozległ się głos Alana Pangborna.

Nagle poczuł się bardzo osłabiony, jakby jego ciało trzymało się kupy dzięki sztywnym drucikom, które właśnie wyciągnięto.

– Tak – potwierdził, a słowo to zabrzmiało niczym westchnienie. Znowu wciągnął powietrze. – Czy u Miriam wszystko w porządku?

– Nie wiem – odparł Alan Pangborn. – Podąłem nowojorskiej policji jej adres. Wkrótce powinniśmy się tego dowiedzieć, ale ostrzegam, że dzisiejszego wieczoru oczekiwanie przez kwadrans lub pół godziny może wam się dłużyć.

– Nie ma obawy.

– Nic się jej nie stało? – zapytała Liz.

Thad zakrył mikrofon słuchawki na wystarczająco długą chwilę, by jej powiedzieć, że Pangborn jeszcze tego nie wie. Liz pokiwała głową i usadowiła się wygodnie, wciąż blada jak płótno, lecz chyba już

spokojniejsza i bardziej opanowana. Teraz przynajmniej ktoś coś robił i przejął od nich część odpowiedzialności.

– Zdobyli też od operatora telefonicznego adres pana Cowleya...

– Ejże! Nie będą chyba...

– Thad, nie zrobią nic, dopóki się nie dowiedzą, w jakim stanie jest pani Cowley. Powiedziałem im, że psychicznie nie zrównoważony mężczyzna może prześladować osobę lub osoby wymienione w artykule tygodnika „People” poświęconym twojemu pseudonimowi literackiemu, wyjaśniłem też związek Cowleyów z tobą. Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem. Niewiele wiem o pisarzach, a jeszcze mniej o ich agentach. Ale oni doskonale rozumieją, że były mąż tej kobiety nie powinien pędzić do jej mieszkania, dopóki nie zjawi się tam policja.

– Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko, Alanie.

– Thad, ludzie z NYPD są zbyt zajęci działaniem w tej sprawie, by teraz żądać dalszych wyjaśnień, ale pewnie będą chcieli je otrzymać. Ja też. Jak myślisz, kim jest ten facet?

– Nie chcę o tym mówić przez telefon. Przyjechałbym do ciebie, ale nie chcę teraz zostawiać żony i dzieci. Chyba możesz to zrozumieć. Będziesz musiał tutaj przyjechać.

– Nie mogę – tłumaczył cierpliwie Alan. – Mam swoją pracę i...

– Czy twoja żona jest chora?

– Dziś wieczorem czuje się chyba dość dobrze. Ale jeden z moich zastępców zawiadomił mnie telefonicznie o swojej chorobie i mam dyżur. To oznacza, że nie czas teraz na wstydlivość. Mów.

Thad zastanowił się nad słowami szeryfa. Czuł dziwną pewność, że Pangborn uwierzy w jego hipotezę. Ale może nie wtedy, gdy dowie się o niej przez telefon.

– A nie mógłbyś dotrzeć tu jutro?

– Jutro z pewnością będziemy musieli się spotkać – odparł szeryf. Jego głos był spokojny i zarazem niezmiernie natarczywy. – Ale to, co wiesz, muszę usłyszeć dziś wieczorem. Fakt, że gliny w Nowym Jorku zażądają wyjaśnień, dla mnie ma drugorzędne znaczenie. Muszę zadbać o własne podwórko. Nie brak tutaj ludzi, którzy chcą dopaść mordercę Homera Gamache’a. Tak się składa, że jestem jednym z nich. Nie każ mi więc dwa razy prosić. Nie jest aż tak późno, bym nie mógł zadzwonić do prokuratora okręgu Penobscot i poprosić go o zatrzymanie cię jako ważnego świadka w sprawie morderstwa w okręgu Castle. Niezależnie od twojego alibi wie już od policji stanowej, że znajdujesz się w kręgu podejrzeń.

– Naprawdę byś to zrobił? – zapytał Thad speszony i zafascynowany.

– Zrobiłbym, gdybyś mnie do tego zmusił, ale myślę, że tak się nie stanie.

Thadowi wydawało się, że ma teraz jaśniejszy umysł; jego myśli rzeczywiście chyba dokądś zmierzały. Ani dla Pangborna, ani dla nowojorskiej policji nie miałyby właściwie znaczenia, czy poszukiwany przez nich człowiek jest psycholem, który uważa się za Starka, czy Starkiem we własnej osobie... prawda? Tak sądził. Przypuszczał też, że i tak go nie schwytają.

– Tak jak zasugerowała moja żona, jestem całkiem pewien, że to jakiś psychotyk – powiedział w końcu. Spojrzał Liz w oczy, próbował jej w ten sposób coś zakomunikować. I chyba mu się udało, skinęła bowiem lekko głową. – To ma swoisty sens. Pamiętasz, jak wspomniałeś mi o śladach stóp?

– Tak.

– Zostały znalezione na cmentarzu, nieprawdaż?

Siedząca w drugim końcu pokoju Liz zrobiła okrągłe oczy.

– Skąd o tym wiesz? – Alan po raz pierwszy sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. – Ja ci tego nie mówiłem.

– Przeczytałeś już artykuł? Ten w „People”?

– Tak.

– Tam właśnie ta kobieta ustawiła imitację płyty nagrobkowej.

W tym miejscu pochowany został George Stark.

W słuchawce zapadła cisza, po czym Thad usłyszał:

– O cholera.

– Rozumiesz?

– Chyba tak – odparł Alan. – Jeżeli ten facet sądzi, że jest Starkiem, i jeżeli jest stuknięty, myśl, że zaczął przy grobie Starka, ma pewien sens, nieprawdaż? Czy ta fotografka mieszka w Nowym Jorku?

Thad drgnął.

– Tak.

– Więc ona też może być w niebezpieczeństwie?

– Tak, ja... cóż, nie pomyślałem o tym, ale przypuszczam, że tak.

– Nazwisko? Adres?

– Nie mam jej adresu. – Pamiętał, że dała mu wizytówkę, prawdopodobnie z myślą o książce, na której wydanie we współpracy z nim liczyła, ale ją wyrzucił. Cholera. Mógł podać Alanowi jedynie imię i nazwisko. – Phyllis Myers.

– A gość, który napisał ten artykuł?

– Mike Donaldson.

– Też z Nowego Jorku?

Thad uświadomił sobie nagle, że tego nie wie, nie wie na pewno, i trochę się wycofał.

- Cóż, chyba po prostu założyłem, że oboje są...
- To dość rozsądne założenie. Skoro redakcja magazynu mieści się w Nowym Jorku, mieszkaliby w pobliżu, czyż nie?
- Być może, ale jeżeli któreś z nich lub oboje są wolnymi strzelcami...
- Wróćmy do tego zdjęcia. Ani w jego opisie, ani w tekście artykułu nie zaznaczono, że chodzi o Homeland Cemetery. Tego jestem pewien. Powinienem był go rozpoznać na podstawie drugiego planu, ale skupiłem się na szczegółach.
- Nie – przyznał Thad. – Chyba nie.
- Przewodniczący rady miejskiej Dan Keeton nalegał zapewne, żeby nie podawać nazwy cmentarza. Byłby to warunek kardynalny. Keeton jest bardzo ostrożnym facetem. Właściwie to trochę nieprzyjemny typ. Wyobrażam sobie, że dał pozwolenie na zrobienie tych zdjęć, ale pewnie sprzeciwiłby się podawaniu nazwy konkretnego cmentarza z obawy przed aktami wandalizmu... ludźmi szukającymi tego nagrobka i w ogóle.
- Thad kiwał głową. To brzmiało sensownie.
- Tak więc ten twój psychol albo cię zna, albo pochodzi stąd – ciągnął Alan.
- Wcześniej Thad założył coś, czego teraz szczerze się wstydził: że szeryf małego okręgu w Maine, w którym było więcej drzew niż ludzi, musi być cymbałem. Ale to nie był cymbał; z pewnością myślał szybciej niż czołowy powieściopisarz świata Thaddeus Beaumont.
- Musimy tak założyć, przynajmniej na razie, skoro wygląda na to, że jest dobrze poinformowany.
- Zatem ślady, o których wspomniałeś, znajdowały się na cmentarzu Homeland.

– Oczywiście – odparł niemal w zamyśleniu Pangborn. – Co przede mną ukrywasz?

– O co ci chodzi? – zapytał nieufnie Thad.

– Nie marnujmy czasu, dobrze? Muszę zadzwonić do Nowego Jorku w sprawie tych dwóch nazwisk, a ty musisz ruszyć głową i się zastanowić, czy powinienem znać jeszcze jakieś inne. Wydawców. redaktorów. sam nie wiem. Mówisz mi, że gość, którego szukamy, naprawdę myśli, iż jest George'em Starkiem. W sobotę wieczorem snuliśmy teorie na ten temat, biorąc je z sufitu, a dzisiaj podajesz mi to jako niezbity fakt. Po czym, żeby to uzasadnić, rzucasz mi tekst o śladach stóp. Albo doszedłeś do tego oszałamiającego wniosku na podstawie znanych nam obu faktów, albo wiesz coś, czego nie wiem ja. Naturalnie wolę tę drugą możliwość. Więc mów.

Cóż jednak miał do powiedzenia? O zaćmieniach umysłu, których zwiastunem był zgodny krzyk tysięcy wróbli? O słowach, które mógł napisać na kartkach maszynopisu po tym, jak Alan Pangborn powiedział mu, że te same słowa zostały zapisane na ścianie mieszkania Fredericka Clawsona? O kolejnych słowach zanotowanych na kartce podartej potem na strzępy, a następnie wrzuconej do spalarni budynku wydziału anglistyki i matematyki?

O snach, w których jakiś straszny, niewidoczny mężczyzna prowadził go przez jego dom w Castle Rock, a wszystko, czego Thad dotknął, z jego własną żoną włącznie, ulegało samozniszczeniu? Mógłbym nazwać to, w co wierzę, rzeczywistością serca, zamiast twierdzić, że to intuicja, pomyślał, ale przecież i tak nie ma dowodu, prawda? Odciski palców i ślina wskazywały na to, że dzieje się coś bardzo dziwnego – to jasne! – ale żeby aż tak dziwnego?

Thad w to wątpił.

– Uśmiełbyś się, Alanie – rzekł powoli. – Nie... cofam to. Teraz za dobrze cię znam, by tak sądzić. Nie uśmiełbyś się... ale też bardzo wątpię, byś mi uwierzył. Analizowałem to na wszystkie strony, ale taki właśnie jest wniosek: naprawdę nie sądzę, byś mi uwierzył.

Głos Alana – natarczywy, rozkazujący, nieodparty – rozległ się natychmiast:

– Wypróbuj mnie.

Thad zawahał się, spojrział na Liz, po czym pokręcił głową.

– Jutro. Gdy będziemy mogli patrzeć sobie w oczy. Wtedy to zrobię. Dzisiaj będziesz po prostu musiał uwierzyć mi na słowo, że to nie ma znaczenia. Że z rzeczy mających jakikolwiek praktyczny walor mogę powiedzieć tylko to, co ci powiedziałem.

– Thad, gdy mówiłem o zatrzymaniu ciebie jako ważnego świadka...

– Jeśli musisz to zrobić, trudno. Nie będę żywił urazy. Ale bez względu na twoją decyzję nie wyjawię ci nic więcej, dopóki się z tobą nie zobaczę.

Cisza w słuchawce, po czym westchnienie.

– Dobra.

– Chcę ci przedstawić sporządzony naprędcie opis mężczyzny, którego poszukuje policja. Nie jestem całkowicie pewien, czy jest trafny, ale myślę, że bliski prawdy. W każdym razie na tyle bliski, żeby go przekazać glinom w Nowym Jorku. Masz ołówek?

– Mam. Dyktuj.

Thad zamknął oczy, które Bóg umieścił w jego twarzy, i otworzył to, które Bóg ulokował w jego umyśle, oko uparcie oglądające nawet rzeczy, na które nie chciał patrzeć. Gdy czytelnicy jego książek spotykali go po raz pierwszy, byli niezmiennie rozczarowani.

Próbowali to przed nim ukryć i nie potrafili. Nie żywił do nich urazy, ponieważ rozumiał, co czują... przynajmniej trochę. Jeżeli lubili jego twórczość (a niektórzy twierdzili, że ją wręcz uwielbiają), uważali go wcześniej prawie za Boga. Zamiast Boga widzieli gościa, który miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, nosił okulary, zaczynał łysieć i potykał się o własne nogi. Mężczyznę z łuszczącą się na głowie skórą i nosem z dwiema dziurkami, podobnie jak u nich.

Tym, czego widzieć nie mogli, było trzecie oko wewnątrz głowy Thada. To oko jarzące się w jego mrocznej połowie, tej, która pozostawała wciąż w cieniu... było niczym Bóg i Thad cieszył się, że go nie widzą. Sądził, że gdyby widzieli, wielu z nich starałoby się je ukraść. Tak, nawet jeżeli oznaczało to wydłubanie go prosto z głowy tępym nożem.

Patrząc w ciemność, przywołał swoje wyobrażenie George'a Starka – prawdziwego George'a Starka, który w niczym nie przypominał modela pozującego do zdjęcia na obwolucie. Szukał człowieka cienia, który rósł niepostrzeżenie przez lata, znalazł go i zaczął przedstawiać Alanowi Pangbornowi.

– Jest dość wysoki – rzekł na wstępie. – W każdym razie wyższy ode mnie. Metr dziewięćdziesiąt, w butach może trochę więcej. Ma jasne, krótkie i równo przystrzyżone włosy. Błękitne oczy. I doskonały wzrok. Mniej więcej pięć lat temu zaczął nosić okulary do pracy. Głównie do czytania i pisania. Uwagę zwraca na siebie nie wzrostem, lecz oddechem. Nie jest gruby, lecz niezmiernie barczysty. Numer kołnierzyka: czterdzieści osiem, może czterdzieści dziewięć. Jest w moim wieku, Alanie, ale nie słabnie jak ja ani nie zaczyna tyć. To silny gość. Teraz, gdy Schwarzenegger zaczął tracić dawną muskulaturę, wygląda jak on. Ćwiczy z hantlami. Potrafi naprężyć

biceps na tyle mocno, by rozpruć szew w rękawie koszuli, ale nie jest dobrze umięśniony. Urodził się w New Hampshire, lecz po rozwodzie rodziców przeprowadził się z matką do Oxfordu w stanie Missisipi, gdzie się wychował. Mieszkał tam prawie całe życie. Gdy był młodszy, mówił z tak silnym akcentem, że wydawało się, iż pochodzi z zapadłej dziury. Wielu ludzi nabijało się z tego akcentu w college'u, jednak nie otwarcie, nikt nie śmieje się bowiem takiemu gościowi w twarz. Ciężko pracował, żeby się go pozbyć. Myślę, że teraz biednego wieśniaka z Południa można by usłyszeć w jego głosie tylko wtedy, gdy dostaje szału, a ludzie, którzy doprowadzają go do szału, chyba nie są później w stanie o tym zaświadczyć. Jest w gorącej wodzie kąpany, gwałtowny i niebezpieczny. Tak naprawdę to aktywny psychotyk.

– Co... – zaczął Pangborn, lecz Thad go zignorował.

– Jest dość mocno opalony, a ponieważ blondyni zazwyczaj nie opalają się tak ładnie, to może być dobry wyróżnik. Duże stopy, duże dłonie, gruby kark, szerokie bary. Jego twarz wygląda tak, jakby utalentowany rzeźbiarz w pośpiechu wyciosał ją z twardej skały. I ostatnia rzecz: być może jeździ czarnym toronadem. Nie wiem, z którego roku. W każdym razie jednym z tych starych modeli z potężnym kopytem pod maską. Czarnym. Mógłby mieć tablice z Missisipi, ale prawdopodobnie je zmienił. – Thad zrobił pauzę, po czym dodał: – A na tylnym zderzaku jest nalepka z napisem GŁOŚNY SUKINSYN.

Otworzył oczy.

Liz wpatrywała się w niego. Jej twarz była bledsza niż kiedykolwiek.

W słuchawce zapadła długa cisza.

– Alanie? Jesteś...?

– Momencik. Piszę. – Nastąpił kolejna, krótsza pauza. – W porządku – rzekł w końcu. – Zanotowałem. Możesz powiedzieć mi to wszystko, ale nie to, kim jest ten facet, co cię z nim łączy ani skąd go znasz?

– Nie wiem, ale spróbuję. Jutro. Znajomość jego nazwiska i tak dziś wieczorem nikomu nie pomoże, ponieważ posługuje się innym.

– George Stark.

– Cóż, mógłby być na tyle szalony, by przyjąć miano Alexis Machine, ale w to wątpię. Owszem, myślę, że nazywa się Stark.

Thad próbował mrugnąć do Liz. Tak naprawdę nie sądził, by nastrój można było poprawić mrugnięciem lub w inny sposób, ale próbował. Udało mu się tylko zmrużyć oczy i wyglądał niczym senna sowa.

– I dziś wieczorem w żaden sposób nie zdołam cię przekonać do tego, prawda?

– Nie. Przykro mi, ale nie.

– W porządku. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko będę mógł – rzekł szeryf i przerwał połączenie, tak po prostu, bez żadnego „dziękuję” czy „do widzenia”. Po namyśle Thad uznał, że w rzeczywistości nie zasłużył na podziękowanie.

Odłożył słuchawkę i podszedł do żony, która siedziała wpatrzona w niego, jakby ktoś zmienił ją w posąg. Wziął ją za rękę – były bardzo zimne – i rzekł:

– Wszystko będzie dobrze. Przysięgam.

– Czy podczas jutrzejszej rozmowy masz zamiar powiedzieć mi o twoich stanach hipnotycznych? O odgłosie ptaków? O tym, że słyszałeś go w dzieciństwie i co wtedy oznaczał? O rzeczach, które pisałeś?

– Mam zamiar powiedzieć mu o wszystkim – odparł Thad. – Co zdecyduje się przekazać innym władzom... – Wzruszył ramionami. – To zależy od niego.

– Tak dużo... – powiedziała cichym, anemicznym głosem. Jej wzrok nadal był utkwiony w jego twarzy, chyba nie miała siły go odwrócić. – Tak dużo o nim wiesz. Thad... skąd?

Mógł jedynie klęknąć przed nią, trzymając w dłoniach jej zimne ręce. Skąd mógł tak dużo wiedzieć? Ludzie cały czas zadawali mu to pytanie. Wyrażali je na różne sposoby: – Jak pan to wymyślił? Jak pan ujął to w słowa? Jak pan to widział? – zawsze jednak sprowadzało się to do tego samego: Skąd pan to wie?

Nie wiedział skąd.

Po prostu wiedział.

– Tak dużo – powtórzyła Liz tonem osoby pogrążonej w przygnębiającym śnie.

Potem oboje milczeli. Thad spodziewał się, że bliźnięta wyczują ich zdenerwowanie, obudzą się i zaczną płakać, ale słychać było jedynie miarowe tykanie zegara. Przyjął wygodniejszą pozycję na podłodze przy jej fotelu i dalej trzymał ją za ręce w nadziei, że je rozgrzeje. Kwadrans później, gdy zadzwonił telefon, były nadal zimne.

5

Alan Pangborn oznajmił beznamiętnie, że Rick Cowley jest bezpieczny w swoim mieszkaniu, chroniony przez policję. Niebawem wyruszy do swojej byłej żony, która teraz już na zawsze pozostanie jego byłą żoną; pojednanie, o którym oboje mówili od czasu do czasu z wyraźną ochotą, było niemożliwe. Miriam nie żyła. Rick miał dokonać formalnej identyfikacji w kostnicy na Manhattanie przy

Pierwszej Alei. Thad nie powinien tego wieczoru spodziewać się telefonu od Ricka ani sam próbować do niego zadzwonić; jego związek z zabójstwem Miriam Cowley został zatajony przed Rickiem „w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń”. Phyllis Myers została odnaleziona i również objęta ochroną policji. Z Michaeliem Donaldsonem sprawa okazała się trudniejsza, ale liczyli na to, że do północy zostanie zlokalizowany i objęty ochroną.

– Jak zginęła? – zapytał Thad, doskonale znając odpowiedź. Czasem jednak trzeba było zapytać. Bóg jeden wiedział dlaczego.

– Poderżnięto jej gardło – odparł Alan z celowym, jak podejrzewał Thad, okrucieństwem. Chwilę później zapytał: – Wciąż jesteś pewien, że nie chcesz mi nic powiedzieć?

– Rano. Gdy będziemy mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Dobra. Pomyślałem, że nie zaszkodzi zapytać.

– Dobrze pomyślałeś.

– Nowojorska policja wydała szczegółowy komunikat dotyczący mężczyzny o nazwisku Stark, opatrzony podanym przez ciebie rysopisem.

– Dobrze – rzekł Thad i tak właśnie sądził, chociaż wiedział, że przypuszczalnie jest to również bezcelowe. Policja niemal na pewno nie znajdzie Starka, jeżeli on nie zechce być znaleziony, a gdyby ktoś go znalazł, to zdaniem Thada pożałowałyby tego.

– Dziewiąta – powiedział Pangborn. – Tylko na pewno bądź w domu, Thad.

– Możesz na to liczyć.

6

Liz zażyła środek uspokajający i wreszcie zasnęła. Thad na

przemian zapadał w płytką, niespokojną drzemkę i budził się z niej; wstał kwadrans po trzeciej, żeby skorzystać z toalety. Gdy stał i sikał do muszli klozetowej, wydawało mu się, że słyszy wróble. Zesztywniał, nasłuchując, i strumień moczu natychmiast przestał płynąć. Ów dźwięk nie nasilał się ani nie cichł i już po chwili Thad zdał sobie sprawę, że to tylko świerszcze.

Wyjrzał przez okno i po drugiej stronie ulicy zobaczył stojący tam z wyłączonymi światłami i silnikiem radiowóz policji stanowej. Gdyby nie przerywane mrugania rozżarzonego tytoniu z papierosa, mógłby uznać, że samochód został porzucony. Wyglądało na to, że on, Liz i bliźnięta również pozostają pod ochroną policji.

Albo raczej strażą, pomyślał i wrócił do łóżka.

Jakkolwiek było, zapewniało to chyba odrobinę spokoju ducha. Thad zasnął i obudził się o ósmej, nie pamiętając żadnych złych snów. Ale oczywiście prawdziwy zły sen wciąż się gdzieś śnił.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY NADZIENIE Z GŁUPCA

1

Facet z idiotycznym wąsikiem był znacznie szybszy, niż Stark się spodziewał.

Czekał na Michaela Donaldsona na dziewiątym piętrze budynku, tuż za załomem ściany w korytarzu przed drzwiami jego mieszkania. Wszystko poszłoby łatwiej, gdyby Stark mógł się tam dostać pierwszy, tak jak do mieszkania tej suki, lecz jedno spojrzenie wystarczyło, by się przekonał, że zamki w odróżnieniu od tych w drzwiach Miriam nie zostały wstawione przez amatora. Mimo to nie powinno być żadnych problemów. Było późno i wszystkie króliki w królikarni pewnie mocno spały i śniły o koniczynie. Sam Donaldson powinien być ślamazarny i zamroczony – gdy ktoś wracał do domu za kwadrans pierwsza nad ranem, to nie z biblioteki publicznej.

Donaldson rzeczywiście wydawał się nieco zamroczony, ale wcale nie był ślamazarny.

Gdy Stark wyszedł zza rogu i ciął brzytwą guzdrzącego się z kółkiem na klucze Donaldsona, spodziewał się, że oślepi tego człowieka szybko i sprawnie. Potem, zanim tamten zdąży krzyknąć, rozpląta mu gardło, przecinając tchawicę w tej samej chwili, w której przerwie struny głosowe.

Stark nie próbował się poruszać bezgłośnie. Chciał, żeby

Donaldson go słyszał, żeby zwrócił ku niemu twarz. To by ułatwiło sprawę.

Początkowo Donaldson robił to, co powinien. Stark smagnął mocno jego twarz brzytwą krótkim łukiem. Ale tamten zdołał się nieco uchylić – nieznacznie, lecz za bardzo jak dla Starka. Zamiast dosięgnąć jego oczu, brzytwa obnażyła kość na czole. Kawałek skóry opadł Donaldsonowi na brwi niczym luźny pas tapety.

– Pomocy! – zaskrzeczał Donaldson zduszonym, przypominającym beczenie barana głosem i uszedł z życiem.

Cholera jasna.

Stark zbliżył się do niego, trzymając brzytwę przed oczami z ostrzem lekko uniesionym, niczym matador pozdrawiający byka przed pierwszą korridą. No dobra; nie zawsze szło dokładnie tak, jak powinno. Nie oślepił kapusia, ale krew lała się z rany na jego czole całymi litrami, a resztki pola widzenia zasnuwała lepka czerwona mgła.

Machnął brzytwą, a ten drań cofnął głowę niemal równie szybko jak grzechotnik odskakujący przed ciosem, ze zdumiewającą szybkością. I wtedy Stark uświadomił sobie, że ów gość mimo niedorzecznego wąsika zasługuje na podziw.

Ostrze brzytwy przecięło tylko powietrze pół centymetra od szyi Donaldsona i dziennikarz znowu głośno wezwał pomoc. Króliki, które w tym mieście, tym robaczywym Wielkim Jabłku, nigdy nie spały zbyt mocno, mogły się obudzić. Stark cofnął się i znowu chlasnął brzytwą, wspinając się na palce i rzucając do przodu. Był to zgrabny baletowy ruch i powinien załatwić sprawę. Ale Donaldson jakoś zdołał osłonić gardło dłonią; zamiast go zabić, Stark zadał szereg długich, płytkich ran, które policyjni patolodzy nazwaliby

obrażeniami doznanymi w obronie własnej. Donaldson uniósł otwartą dłoń i ostrze brzytwy przecięło mu cztery palce u nasady. Na serdecznym nosił grubą obrączkę, tak więc ten nie został naruszony. Rozległ się krótki metaliczny dźwięk, gdy ostrze przejechało po obrączce, pozostawiając maleńki ślad na powierzchni złotego stopu. Brzytwa głęboko wcięła się w trzy pozostałe palce, zagłębiając się w ciele równie łatwo jak ciepły nóż w maśle. Gdy zostały przecięte ścięgnięta, palce opadły do przodu niczym senne marionetki i tylko ten z obrączką pozostał wyprostowany, jakby w zamięcie i przerażeniu Donaldson zapomniał, którego palca się używa, chcąc komuś pokazać obsceniczny gest.

Kiedy tym razem Donaldson otworzył usta, wręcz zaskowyczał. Stark zrozumiał, że może zapomnieć o załatwieniu tego niepostrzeżenie i po cichu. Wcześniej bardzo na to liczył, ponieważ nie musiał utrzymywać Donaldsona przy życiu na tyle długo, by ten mógł jeszcze zatelefonować, ale po prostu wyszło inaczej. Nie zamierzał jednak pozwolić mu żyć. Gdy już zaczęła mokra robota, nie rezygnowałeś dopóty, dopóki jej nie skończyłeś albo nie skończono z tobą.

Stark ruszył do ataku. Dotarli już niemal do drzwi sąsiedniego mieszkania. Niedbałym ruchem dłoni oczyścił ostrze brzytwy. Drobne krople krwi opryskały kremową ścianę.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i jakiś mężczyzna w niebieskiej górze od pizamy i z rozczochranymi włosami wystawił za próg głowę i część tułowia.

– Co się tam wyprawia?! – krzyknął burkliwym głosem, który świadczył o tym, że nie obchodzi go, czy są tutaj u siebie, pora skończyć zabawę.

– Morduje się – odparł swobodnym tonem Stark i tylko na chwilę przeniósł spojrzenie z zakrwawionego wyjca przed sobą na mężczyznę w drzwiach mieszkania. Później ów człowiek powiedział policji, że intruz miał jasnoniebieskie oczy. A w nich kompletny obłęd. – Masz ochotę?

Drzwi zamknęły się tak szybko, jakby w ogóle ich nie otwierano.

Gdy Stark spojrział w bok, mimo że to roztargnienie trwało ledwie chwilę, Donaldson – choć zapewne spanikowany i bez wątpienia ranny – dostrzegł szansę. Ten mały drań był naprawdę szybki. Stark czuł dla niego coraz większy podziw. Jego szybkość i instynkt samozachowawczy równoważyły niemal całkowicie fakt, że tak kurewsko mu się naprzykrzał.

Gdyby skoczył naprzód i mocno chwycił napastnika, mógłby z utrapienia stać się prawdziwym problemem. Zamiast tak zrobić, rzucił się do ucieczki.

Odruch całkowicie zrozumiały, ale jednak błąd.

Stark pobiegł za nim w swych dużych butach skrzypiących cicho na wykładzinie dywanowej i zamachnął się brzytwą na kark mężczyzny, przeświadczony, że to wreszcie położy kres tej farsie.

Jednak ułamek sekundy przedtem, zanim brzytwa zdążyła dosięgnąć celu, Donaldson gwałtownie pochylił głowę do przodu, a równocześnie jakoś schował ją niczym żółw wsuwający łeb pod skorupę. Stark zaczął podejrzewać Donaldsona o telepatyczne zdolności. Tym razem cios, który miał być zabójczy, tylko rozciął czaszkę nad ochronnym kostnym wybrzuszeniem na karku. Cios był sakramencki, ale bynajmniej nie śmiertelny.

Rzecz intrygująca, doprowadzająca do szału... i zakrawająca na niedorzeczność.

Donaldson szedł chwiejnym krokiem przez korytarz z jednej strony na drugą, czasem nawet odbijając się od ścian niczym kulka we flipperze uderzająca o jeden z oświetlonych słupków, które przynoszą graczowi sto tysięcy punktów, bezpłatną grę lub jakąś inną pieprzoną nagrodę. Gdy się tak zataczał korytarzem, krzyczał. Gdy się tak zataczał korytarzem, krew lała się z niego na dywan. Gdy się tak zataczał korytarzem, zostawiał na ścianach krwawe ślady dłoni znaczące jego wędrówkę naprzód. Ale jeszcze nie umierał.

Żadne inne drzwi się nie otworzyły, Stark wiedział jednak, że co najmniej w sześciu mieszkaniach sześć palców wystukiwało właśnie (lub już wystukało) numer 911 w sześciu telefonach.

Donaldson szedł chwiejnym krokiem, potykając się, w stronę wind.

Stark – ani zły, ani przerażony, a jedynie strasznie zdesperowany – maszerował za nim wielkimi krokami. Nagle zagrzmiął:

– Może po prostu przestaniesz i będziesz grzeczny!

Wołanie Donaldsona o pomoc zmieniło się w pisk. Próbował się rozejrzeć, potknął się o własne nogi i upadł jak długi w miejscu, gdzie korytarz przechodził w niewielki hol. Stark stwierdził, że nawet najbardziej zwawi goście w końcu tracą trafność sądu, gdy tylko doznają wystarczająco poważnych obrażeń.

Donaldson podźwignął się z podłogi na kolana. Teraz, gdy zawiodły go stopy, najwyraźniej zamierzał dopełznąć do windy. Rozejrzał się, żeby zobaczyć, gdzie jest jego prześladowca, i Stark wymierzył mu kopniaka w czerwony grzbiet nosa wystający z krwawej miazgi, jaka została z jego twarzy. Nosił brązowe mokasyny i kopnął tego przekłętego utrapieńca najmocniej, jak tylko potrafił, dla utrzymania równowagi unosząc w bok ręce; lewa stopa zetknęła się z głową Donaldsona, po czym zakreśliwszy w powietrzu łuk, wzniosła się na

wysokość czoła oprawcy. Na ten widok każdemu, kto kiedykolwiek oglądał mecz piłkarski, nieuchronnie przypomniałby się świetny i bardzo mocny strzał z woleja.

Głowa dziennikarza odleciała do tyłu, uderzyła w ścianę na tyle mocno, by zrobić w tynku płytkie miseczkowate wgłębienie, i odbiła się od niej.

– W końcu wyciągnąłem ci baterię, co? – mruknął Stark i usłyszał, jak otwierają się za nim drzwi. Odwrócił się i ujrzał kobietę ze zmierzwionymi czarnymi włosami i wielkimi ciemnymi oczami wyglądającą z mieszkania w końcu korytarza. – Właż do domu, suko! – wrzasnął.

Drzwi zatrzasnęły się, jakby były na sprężynie.

Pochylił się, chwycił Donaldsona za makabrycznie lepkie włosy, wykręcił mu do tyłu głowę i poderżnął gardło. Pomyślał, że dziennikarz był przypuszczalnie martwy, zanim jeszcze jego głowa zetknęła się ze ścianą, a niemal na pewno potem, ale najlepiej było mieć pewność. A poza tym: gdy już zaczniesz rżnąć, to rżniesz do końca.

Cofnął się natychmiast, lecz Donaldson nie bluznął krwią jak tamta kobieta. Jego pikawa już się poddała lub ledwo rzeziła. Stark ruszył szybko ku windom, składając brzytwę i wsuwając ją z powrotem do kieszeni.

Z nadjeżdżającej windy dobiegł cichy trzask.

Mógł to być jakiś lokator; godzina pierwsza w nocy w dużym mieście nie była późną porą, nawet jak na poniedziałek. Tak czy inaczej, Stark ruszył pospiesznie ku dużej roślinie doniczkowej, która wraz z całkowicie bezużytecznym abstrakcyjnym obrazem zajmowała róg holu, i stanął za nią. Wszystkie jego radiolokatory dzwoniły na

alarm. To mógł być ktoś, kto wracał z powweekendowego dyskotekowego szaleństwa lub suto zakrapianej kolacji służbowej, lecz on nie sądził, by tak było. Przypuszczał, że to policja, a tak naprawdę wiedział to.

Radiowóz, który przypadkiem znajdował się w pobliżu budynku, gdy jeden z mieszkańców zadzwonił z informacją, że w holu ktoś popełnia morderstwo? Możliwe, ale Stark bardzo w to wątpił. Wyglądało raczej na to, że Beaumont podniósł larum, znaleziono martwą siostrunię i właśnie zjawiała się policyjna ochrona dla dziennikarza. Lepiej poniewczasie niż nigdy. Przesunął się powoli wzdłuż ściany, opierając się o nią plecami, i poplamiona krwią sportowa kurtka, którą miał na sobie, zaszeleściła sucho w kontakcie z tynkiem. Nie tyle ukrył się, ile zanurzył niczym łódź podwodna schodząca na głębokość peryskopową, a osłona, jaką zapewniała roślina, była w najlepszym razie znikoma. Gdyby się rozejrzeli, zobaczyliby go od razu. Liczył jednak na to, że ich uwagę przykuje eksponat A leżący w połowie korytarza. Przynajmniej na parę chwil – to mu w zupełności wystarczy.

Szerokie, krzyżujące się liście rośliny rzucały zygzakowate cienie na jego twarz. Stark spoglądał zza nich niczym błękitnooki tygrys.

Otworzyły się drzwi windy. Rozległ się stłumiony okrzyk

– „jasna cholera” czy coś w tym stylu – i z kabiny wyskoczyli dwaj umundurowani policjanci. Za nimi wyszedł czarnoskóry gość w podwijanych dżinsach i dużych, starych, zapinanych na rzepy adidasach ulicznego chuligana. Nosił również koszulkę z odciętymi rękawami i nadrukiem WŁASNOŚĆ NY YANKEES, a także okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądał jak sutener. Jeśli to nie był detektyw, to Stark był George'em prosto z pierdolonego drzewa. Gdy

zostawiali tajniakami, zawsze posuwali się za daleko, a później wstydzieli się tego. Tak jakby wiedzieli, że popadają w przesadę, ale po prostu nie mogli się powstrzymać. A zatem była to – a w każdym razie miała być – ochrona Donaldsona. Nie detektyw z przejeżdżającego przypadkiem wozu patrolowego. Takie przypadki były po prostu trochę zbyt rzadkie. Ten facet przyszedł tu ze strażnikami, żeby przesłuchać Donaldsona, a potem opiekować się nim.

Przykro mi, panowie, pomyślał Stark. Myślę, że ten dzieciak już nic nie powie.

Wstał i wyszedł zza doniczki. Nie zaszeleścił ani jeden liść. Stąpając bezgłośnie po wykładzinie, przeszedł w odległości niespełna metra za detektywem, który pochyliwszy się, wyciągał trzydziestkędwójkę z kabury na łydce. Stark mógł go porządnie kopnąć w tyłek, gdyby zechciał.

Wśliznął się do otwartej kabiny windy ułamek sekundy przedtem, zanim drzwi zaczęły się zasuwować. Jeden z mundurowych spostrzegł kątem oka cień ruchu – może drzwi, może samego Starka, to naprawdę nie miało znaczenia – i uniósł głowę znad zwłok Donaldsona.

– Ejże...

Stark podniósł dłoń i z namaszczeniem pomachał mu palcami na do widzenia, po czym drzwi odcięły go od tej pełnej dramatycznego napięcia sceny w holu.

Foyer na poziomie ulicy było opustoszałe, jeśli nie liczyć odźwiernego, który leżał w stanie śpiączki pod swoim biurkiem. Stark wyszedł, skręcił za rogiem, wsiadł do skradzionego samochodu i odjechał.

Phyllis Myers mieszkała w jednym z nowych budynków w zachodniej części Manhattanu. Jej policyjna ochrona (której towarzyszył detektyw noszący spodnie do biegania marki Nike, bluzę New York Islanders z oderwanymi rękawami i sutenerskie okulary przeciwsłoneczne z boczną osłoną) przybyła o wpół do jedenastej wieczorem szóstego czerwca i zastała ją wściekłą z powodu odwołanej randki. Z początku zachowywała się gburowato, ale humor znacznie się jej poprawił, gdy usłyszała, że ktoś, kto uważał się za George'a Starka, może być zainteresowany pozbawieniem jej życia. Odpowiedziała na pytania detektywa o wywiad z Thadem Beaumontem – który nazywała sesją zdjęciową – zakładając nowe filmy do trzech aparatów i majstrując przy ponad dwudziestu obiektywach. Gdy detektyw zapytał, co robi, mrugnęła do niego okiem i odparła:

– Wyznaję starą harcerską dewizę. Kto wie... coś może się naprawdę wydarzyć.

Po rozmowie za drzwiami jej mieszkania jeden z mundurowych zagadnął detektywa:

– Ona mówi poważnie?

– Oczywiście – odparł detektyw. – Jej problem polega na tym, że myśli, iż wszystko inne to tak naprawdę żarty. Dla niej cały świat sprowadza się do zdjęcia, które czeka na fotografa. Mamy do czynienia z głupią suką, która rzeczywiście wierzy, że zawsze będzie po właściwej stronie obiektywu.

Teraz, o wpół do czwartej nad ranem siódmego czerwca, detektywa już dawno nie było. Mniej więcej dwie godziny wcześniej dwaj ludzie

wyznaczeni do ochrony Phyllis Myers otrzymali z policyjnych radioodbiorników przypiętych do pasa wiadomość o śmierci Donaldsona. Poradzono im, by zachowali wyjątkową ostrożność i czujność, ponieważ psychol, z którym mieli do czynienia, okazał się osobnikiem zarówno wyjątkowo żądnym krwi, jak i niezwykle błyskotliwym.

– Ostrożność to główna cecha mojego charakteru – rzekł gliniarz numer 1.

– A wyjątkowość mojego. Cóż za zbieg okoliczności – zauważył glina numer 2.

Od ponad roku byli partnerami i dobrze się rozumieli. Uśmiechnęli się do siebie szeroko, no bo czemuż by mieli się nie uśmiechać. Byli dwójką uzbrojonych i umundurowanych członków najwspanialszej formacji robaczywego starego Wielkiego Jabłka, stojących w porządku oświetlonym i klimatyzowanym korytarzu na dwudziestym piątym piętrze nowiutkiej kamienicy czynszowej – a może był to budynek z mieszkaniami własnościowymi, czyli *condo*, któż to, do kurwy nędzy, wiedział; kiedy funkcjonariusze Ostrożny i Wyjątkowy byli dziećmi, *condo* było czymś, co człowiek z wadą wymowy zakładał na czubek swojego wihajstra – i nikt nie zamierzał się podkraść do nich niepostrzeżenie, skoczyć na nich z sufitu lub skosić z magicznego uzi, który nigdy się nie zacinał i w którym nigdy nie kończyła się amunicja. To było prawdziwe życie, nie powieść o 87. posterunku ani film o Rambo, dziś wieczorem zaś prawdziwe życie polegało na specjalnej służbie zdecydowanie przyjemniejszej niż jazda wozem patrolowym, przerywanie bójek najpierw w barach, póki te były czynne, a potem do świtu w gównianych małych budynkach bez wind, gdzie pijani mężowie i żony zgodnie wyjaśniali

dzielące ich różnice zdań. Prawdziwe życie w mieście zawsze powinno polegać na pełnieniu funkcji Ostrożnego i Wyjątkowego w klimatyzowanych korytarzach w upalne noce. Oni w każdym razie byli o tym głęboko przekonani.

W swoich rozważaniach doszli do takich wniosków, gdy otworzyły się drzwi i z kabiny, zataczając się, wyszedł na korytarz ranny niewidomy mężczyzna.

Był wysoki i barczysty. Wyglądał na czterdziestolatka. Miał na sobie podartą sportową kurtkę i spodnie, które były w innym kolorze, ale przynajmniej jako tako do niej pasowały. Pierwszy policjant, Ostrożny, zdążył pomyśleć, że ten, kto wybierał garderobę dla ślepcy, musi mieć całkiem dobry gust. Niewidomy mężczyzna nosił także duże czarne okulary, które przekrzywiły się na jego nosie, ponieważ jeden z zauszników był oderwany.

Nawet puszczając wodze wyobraźni, trudno było je uznać za sutenerskie okulary przeciwsłoneczne z boczną ochroną. Przypominały szkła, jakie Claude Rains nosił w filmie *Niewidzialny człowiek*.

Ślepiec trzymał obie ręce wyciągnięte przed siebie. Lewa dłoń była pusta, machał nią tylko bez celu. W prawej kurczowo ścisnął brudną białą laskę z gumową rowerową rękojęcią. Obie dłonie były pokryte krzepnącą krwią. Na kurtce i koszuli mężczyzny zasychały rudobrazowe smugi krwi. Gdyby policjanci wyznaczeni do ochrony Phyllis Myers rzeczywiście byli Wyjątkowo Ostrożni, wszystko to zapewne wydałoby się im dziwne. Niewidomy mężczyzna krzyczał o czymś, co najwyraźniej właśnie się stało, i sądząc z jego wyglądu, coś na pewno mu się przydarzyło, i to coś nieprzyjemnego, lecz krew na jego skórze i ubraniu była już brązowa. To wskazywało, że rozlała

się jakiś czas temu, i ten fakt mógłby wzbudzić zdziwienie funkcjonariuszy wiernych koncepcji Wyjątkowej Ostrożności. Może nawet uruchomiłby dzwonek alarmowy w ich głowach.

Przypuszczalnie jednak nie uruchomił. Wszystko stało się po prostu zbyt szybko, a gdy wszystko dzieje się dostatecznie szybko, przestaje mieć znaczenie, czy jesteś wyjątkowo ostrożny, czy wyjątkowo lekkomyślny – po prostu musisz płynąć z prądem.

Przed chwilą stali przed drzwiami pani Myers szczęśliwi jak uczniaki w dniu odwołania lekcji wskutek eksplozji bojlera, a teraz ten zakrwawiony ślepiec pojawił się przed nimi, wymachując swą brudną białą laską. Nie mieli czasu myśleć, a tym bardziej wyciągać wniosków.

– Poliicja! – wrzasnął niewidomy mężczyzna, zanim jeszcze drzwi windy rozsunęły się całkowicie. – Odźwierny twierdzi, że na dwudziestym piątym są policjanci! Poliicja! Jesteście tu?

Szedł teraz przez korytarz kołyszącym się krokiem, machając na boki laską, która z hukiem uderzała w ścianę z lewej strony, przecinała ze świstem powietrze i waliła w ścianę na prawo od niego. Każdy na tym przeklętym piętrze, kto jeszcze spał, miał się niebawem obudzić.

Wyjątkowy i Ostrożny ruszyli naprzód, nie wymieniając nawet spojrzeń.

– Poliicja! Po...

– Proszę pana! – warknął Wyjątkowy. – Chwileczkę! Zaraz pan upad...

Niewidomy mężczyzna gwałtownym ruchem zwrócił głowę w stronę, z której dobiegł głos policjanta, ale się nie zatrzymał. Parł dalej, wymachując pustą ręką i brudną laską; wyglądem przypominał

trochę Leonarda Bernsteina próbującego dyrygować orkiestrą filharmonii nowojorskiej po wypaleniu paru fiolek kokainy.

– Poliiicja! Zabili mojego psa! Zabili Daisy! Po-liiic ja!

– Proszę pana...

Ostrożny wyciągnął rękę ku zataczającemu się ślepcowi. Zataczający się ślepiec wsadził pustą dłoń do lewej kieszeni kurtki i nie wyjął z niej dwóch biletów na bal niewidomych, lecz czterdziestkępiątkę. Wymierzył z niej w Ostrożnego i pociągnął dwa razy za spust. W ciasnym korytarzu ogłuszający huk wystrzałów zabrzmiał bezbarwnie. Powstało sporo siniego dymu. Ostrożny został trafiony z dość bliskiej odległości i osunął się na podłogę z piersią zapadniętą niczym pęknięty koszyk na brzoskwinie. Osmalona bluza jego munduru lekko się tliła.

Wyjątkowy patrzył, jak ślepiec celuje do niego z rewolweru.

– Chryste, błagam, nie – powiedział bardzo cichym głosem, brzmiącym tak, jakby ktoś pozbawił go tchu.

Ślepiec oddał dwa następne strzały, wypuszczając kolejną porcję siniego dymu. Jak na niewidomego człowieka strzelał bardzo celnie. Wyjątkowy poleciał do tyłu z dala od dymu i upadł, uderzając łopatkami o podłogę. Zanim znieruchomiał, jego ciałem wstrząsnął nagły, gwałtowny spazm.

3

W Ludlow, osiemset kilometrów dalej, Thad Beaumont obrócił się niespokojnie na drugi bok.

– Siny dym – wymamrotał. – Siny dym.

Za oknem sypialni na drucie telefonicznym siedziało dziewięć wróbli. Dołączyło do nich sześć kolejnych. Ptaki siedziały milczące

i niezauważone ponad obserwatorami w radiowozie policji stanowej.

– Nie będą mi już potrzebne – powiedział przez sen. Jedną dłonią zrobił niezdarny ruch przy twarzy, a drugą wykonał gest odrzucenia.

– Thad? – zapytała Liz, siadając. – Nic ci nie jest?

Jej mąż mruknął coś niezrozumiałego.

Liz spojrzała na swoje ręce. Były pokryte gęsią skórką.

– Thad? Czy to znowu te ptaki? Słyszysz ptaki?

Thad milczał. Za oknem wróble zerwały się jednocześnie i odfrunęły w ciemność, chociaż zazwyczaj nie latały o takiej porze.

Nie zauważyli ich ani Liz, ani dwaj policjanci w radiowozie.

4

Stark pozbył się ciemnych okularów i laski. W korytarzu unosił się gryzący dym kordytu. Wystrzelił cztery naboje Colt Hi-Point, które przerobił na pociski dum-dum. Dwa z nich przebiły ciała policjantów na wylot i pozostawiły w ścianie korytarza dziury wielkości talerza. Podszedł do drzwi mieszkania Phyllis Myers. W razie konieczności był gotów ją stamtąd wywabić, lecz ona stała tuż za drzwiami. Słuchając jej, zrozumiał, że nie będzie to trudne.

– Co się dzieje?! – krzyknęła. – Co się stało?

– Mamy go, pani Myers – odparł radośnie Stark. – Jeśli pani chce pstryknąć zdjęcie, to piorunem. I niech pani pamięta: nigdy nie mówiłem, że może je pani zrobić.

Otwierając drzwi, nie zdjęła łańcucha, ale to w niczym nie przeszkadzało. Gdy przytknęła jedno okrągłe piwne oko do szczeliny, Stark wpakował w nie kulę.

Zamknięcie jej oczu – czy też tego, które jeszcze miała – było niemożliwe, więc odwrócił się i ruszył w stronę wind. Nie ociągał się,

ale też nie biegł. Drzwi jednego mieszkania otworzyły się ostrożnie – wyglądało na to, że tej nocy wszyscy otwierali przed nim drzwi – i Stark wycelował z rewolweru w króliczy pysk ujrzanego w nich gapia. Od razu się zatrzasnęły.

Nacisnął guzik windy. Drzwi kabiny, którą wjechał do góry, znokautowawszy drugiego portiera tej nocy (laską skradzioną niewidomemu mężczyźnie na Sześćdziesiątej Ulicy), rozsunęły się natychmiast, tak jak się spodziewał – o tej porze trzy windy nie cieszyły się wielkim wzięciem. Cisnął broń przez ramię. Rewolwer uderzył głucho o wykładzinę.

– To poszło jak z płatka – zauważył, wsiadł do windy i zjechał do holu budynku.

5

Gdy zadzwonił telefon, w oknie salonu Ricka Cowleya wschodziło słońce. Rick miał pięćdziesiąt lat, zaczerwienione oczy, wymizerowaną twarz i był nieźle wstawiony. Podniósł słuchawkę drżącą mocno ręką. Nie bardzo wiedział, gdzie jest, a jego znużony, obolały umysł uparcie twierdził, że to wszystko sen. Czy niespełna trzy godziny temu w kostnicy przy Pierwszej Alei, niecały kwartał od eleganckiej francuskiej knajpki, do której zabierali tylko zaprzyjaźnionych klientów agencji, identyfikował okaleczone zwłoki swojej byłej żony? Czy przed drzwiami jego mieszkania stali policjanci, ponieważ mężczyzna, który zabił Mir, zapewne miał ochotę zabić i jego? Czy to wszystko było prawdą? Na pewno nie. To musiał być sen... i może dzwonek wcale nie był tak naprawdę dzwonkiem telefonu, lecz budzika przy łóżku. Zwykle nie znosił tego pieprzonego budzika... i niejeden raz ciskał nim o ścianę. Ale dziś

rano pocałowałby go. I to z języczkiem, psiakrew!

Ale zamiast się obudzić, odebrał telefon.

– Halo?

– Mówi człowiek, który poderznął gardło twojej kobiecie – powiedział głos w jego uchu i Rick nagle całkowicie oprzytomniał. Pierzchły resztki nadziei, że to wszystko jest tylko snem. Taki głos powinno się słyszeć jedynie w snach... ale nigdy tak nie jest.

– Kim jesteś? – usłyszał swoje pytanie zadane anemicznym, cichym głosem.

– Zapytaj Thada Beaumonta, kim jestem – odparł mężczyzna. – On wie o mnie wszystko. Przekaż mu, że powiedziałem, iż jesteś żywym trupem. I że jeszcze nie skończyłem z robieniem nadzienia z głupca.

Usłyszał trzask w słuchawce, na chwilę zapadła cisza, po czym rozległ się jałowy szum wolnej linii.

Rick położył telefon na kolanach, spojrzał nań i wybuchnął płaczem.

6

O dziewiątej rano zadzwonił do biura i powiedział Friedzie, że oboje z Johnem powinni pójść do domu – nie będą pracować ani dzisiaj, ani przez resztę tygodnia. Frieda chciała poznać przyczynę i Rick ze zdumieniem uświadomił sobie, że o mało nie skłamał, jakby zamknęli go za jakieś paskudne i poważne przestępstwo – na przykład za molestowanie nieletnich – i nie potrafił się przyznać do tego, dopóki choć trochę nie osłabnie dotkliwy wstrząs, którego doznał.

– Miriam nie żyje – powiedział. – Wczoraj wieczorem została zamordowana w swoim mieszkaniu.

Zaszokowana Frieda wciągnęła szybko powietrze z gwałtownym

świstem.

– Jezu Chryste, Rick! Nie żartuj sobie z takich rzeczy! Gdy się żartuje z takich rzeczy, one się spełniają!

– To prawda, Friedo – rzekł i stwierdził, że znowu jest bliski łez. One zaś – te, które wylał w kostnicy, te, które wracając tutaj, wylał w samochodzie, i te, których starał się nie uronić teraz – stanowiły dopiero początek. Myśl o wszystkich łzach, jakie uroni w przyszłości, wzbudzała w nim uczucie trwogi. Miriam była suką, ale też była na swój sposób suką uroczą i kiedyś ją kochał. Zamknął oczy. Gdy je otworzył, jakiś mężczyzna spoglądał na niego przez okno, mimo że znajdowało się ono na trzynastym piętrze. Rick wzdrygnął się, po czym zauważył uniform. Człowiek myjący okna. Mężczyzna pomachał mu z rusztowania. Rick podniósł rękę w zdawkowym geście odwzajemniającym pozdrowienie. Miał wrażenie, że jego ręka waży jakieś czterysta kilogramów, i niemal natychmiast opuścił ją na kolano.

Frieda znowu mówiła, żeby nie żartował, a on czuł się bardziej znużony niż kiedykolwiek. Zrozumiał, że łyzy to zaledwie początek.

– Chwileczkę – rzekł i odłożył telefon.

Podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Płacz podczas rozmowy telefonicznej z Friedą był już wystarczająco bolesny; nie musiał na dodatek pokazywać się w tym stanie cholernemu sprzątaczoowi.

Gdy dotarł do okna, mężczyzna na rusztowaniu sięgnął po coś do kieszeni swojego kombinezonu. Rick poczuł nagły niepokój. „Przekaż mu, że powiedziałem, iż jesteś żywym trupem”.

(Chryste...).

Człowiek myjący okna wyjął małą tabliczkę. Na żółtym tle widniał czarny napis MIŁEGO DNIA! Z obu jego stron domalowano

uśmiechnięte kretyńsko twarze.

Rick skinął ze znużeniem głową. Miłego dnia. Jasne. Zaciągnął zasłony i wrócił do telefonu.

7

Kiedy w końcu przekonał Friedę, że nie żartuje, wybuchnęła głośnym i całkowicie szczerym szlochem – każdy w biurze i wszyscy klienci, nawet ten cholerny kutafon Ollinger, który pisał marne powieści science fiction i najwyraźniej uparł się, że strzeli z gumek wszystkich biustonoszy w świecie zachodnim, lubili Mir – i oczywiście Rick płakał razem z nią, dopóki w końcu nie zdołał się rozłączyć. Przynajmniej, pomyślał, zaciągnąłem zasłony.

Kwadrans później, gdy parzył kawę, znowu mu się przypomniał telefon od tego szaleńca. Za drzwiami było dwóch gliniarzy, a on nic im nie powiedział. Co, u diabła, mu się stało?

Cóż, pomyślał, moja żona zginęła, a gdy zobaczyłem ją w kostnicy, odniosłem wrażenie, że wyhodowała sobie dodatkowe usta pięć centymetrów poniżej podbródka. To mogło mieć z tym jakiś związek.

„Zapytaj Thada Beaumonta, kim jestem. On wie o mnie wszystko”.

Wcześniej zamierzał oczywiście zatelefonować do Thada. Jego umysł jednak nadal spadał swobodnie – wszystko przybrało nowe proporcje, których przynajmniej na razie nie był w stanie pojąć. Cóż, zadzwoni do Thada. Zrobi to, gdy tylko powie policjantom o tym telefonie.

Rzeczywiście powiedział i niezmiernie ich to zainteresowało. Jeden z nich przekazał tę informację do policyjnej centrali przez radiotelefon. Kiedy skończył, oznajmił Rickowi, że szefwydziału dochodzeniowo-śledczego chce, by przyjechał do One Police Plaza

i porozmawiał z nim na temat otrzymanego telefonu. W tym czasie jakiś człowiek wpadnie do jego mieszkania i podłączy telefon do magnetofonu i sprzętu namierzającego. Na wypadek gdyby były jeszcze jakieś telefony.

– Pewnie będą – uprzedził Ricka drugi gliniarz. – Ci psychole są naprawdę zakochani w brzmieniu własnego głosu.

– Powiniennem najpierw zadzwonić do Thada – rzekł Rick.

– On też może być w tarapatach. Tak wynikało z tej rozmowy.

– Pan Beaumont jest już objęty ochroną policji w Maine, panie Cowley. Chodźmy, dobrze?

– Cóż, naprawdę sędzę...

– Chyba może pan do niego zadzwonić od szefa. No... ma pan jakiś płaszcz?

Tak więc Rick skołowany i nie do końca pewny, czy cokolwiek z tego dzieje się naprawdę, pozwolił się wyprowadzić z mieszkania.

8

Kiedy wrócili po dwóch godzinach, jeden z towarzyszących Rickowi policjantów spojrzał z marsową miną na drzwi jego mieszkania i rzekł:

– Nikogo tu nie ma.

– I co z tego? – zapytał anemicznie Rick.

Czuł się wyczerpany i kruchy niczym mlecznobiała, niemal przezroczysta szyba. Zadano mu mnóstwo pytań i odpowiedział na nie najlepiej, jak potrafił – trudne zadanie, skoro tak niewiele z nich brzmiało sensownie.

– Ludzie z łączności mieli na nas poczekać, w razie gdyby skończyli przed naszym powrotem.

– Pewnie są w środku – zauważył Rick.

– Może jeden z nich, ale drugi powinien być tutaj. To standardowa procedura.

Rick wyciągnął pęk kluczy, odszukał ten właściwy i wsunął go do zamka. Problemy, które ci panowie mogli mieć z przestrzeganiem procedury operacyjnej przez swoich kolegów, nie były przedmiotem jego troski. I Bogu dzięki; tego ranka doświadczył wszystkich możliwych trosk.

– Najpierw muszę zadzwonić do Thada – rzekł. Westchnął i uśmiechnął się trochę. – Nie ma jeszcze południa, a już mam wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy.

– Niech pan tego nie robi! – krzyknął nagle jeden z gliniarzy i skoczył naprzód.

– Cze... – zaczął Rick, przekręcając klucz, i drzwi eksplodowały błyskiem światła, dymem i hukiem. Ciało policjanta, którego instynkt obudził się o ułamek sekundy za późno, rodzina zdołała rozpoznać; Rick Cowley niemal wyparował. Drugi policjant, który stał trochę bardziej z tyłu i odruchowo zasłonił twarz, usłyszawszy okrzyk partnera, trafił na leczenie z oparzeniami, wstrząśnieniem mózgu i obrażeniami wewnętrznymi. Odłamki drzwi i muru latały wokół całą chmurą, ale na szczęście – prawie cudem – żaden go nie trafił. Już nigdy nie miał jednak pracować dla nowojorskiej policji; wybuch w jednej chwili uczynił go głuchym jak pień.

W mieszkaniu Ricka dwaj technicy z łączności, którzy przyjechali pomajstrować przy telefonach, leżeli martwi na dywanie w salonie. Do czoła jednego z nich przypięty został pinezką liścik:

WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ

Na czole drugiego technika przypięto następny:

KOLEJNE NADZIENIE Z GŁUPCA.
POWIEDZ THADOWI

CZEŚĆ DRUGA

STARK BIERZE SPRAWY W SWOJE RĘCE

– *Każdy głupiec o zwinnych rękach potrafi chwycić tygrysa za jaja – zapewnił Jacka Halsteda Machine.*

– *Wiedziałaś o tym?*

Jack zaczął się śmiać. Spojrzenie, które mu postąpił Machine, sprawiło jednak, że spoważniał.

– *Zetrzyj z gęby ten durnowaty uśmiech i uważaj na to, co mówię – rzekł Machine. – Instruuje cię. Uważasz?*

– *Tak, panie Machine.*

– *Więc posłuchaj i nigdy nie zapomnij. Każdy głupiec o zwinnych rękach potrafi chwycić tygrysa za jaja, ale trzeba bohatera, by nie zwolnić uścisku. Skoro już jestem przy tym, to powiem ci coś jeszcze: odchodzą tylko bohaterowie i ludzie, którym brak wytrwałości, Jack. Nikt inny. A mnie wytrwałości nie brakuje.*

George Stark, *Sposób Machine'a*

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

NIEDOWIERZANIE STARKA

1

Thad i Liz siedzieli pogrążeni w szoku tak głębokim i ponurym, że aż lodowatym, słuchając opowieści Alana Pangborna o przebiegu zdarzeń w Nowym Jorku wczesnym rankiem. Mike Donaldson pocięty i pobity na śmierć w korytarzu swojej kamienicy; Phyllis Myers oraz dwaj policjanci zastrzeleni w jej bloku w West Side. Nocny portier w jej budynku został uderzony czymś ciężkim i miał pękniętą czaszkę. Lekarze dawali mu nieco więcej niż połowę szans na to, że się obudzi wśród śmiertelników. Portier z kamienicy Donaldsona nie żył. Mokłą robotę we wszystkich wypadkach wykonano w stylu gangsterskim – zabójca po prostu podchodził do swoich ofiar i atakował.

Mówiąc to, Alan wielokrotnie nazwał zabójcę Starkiem.

Zupełnie bezwiednie określa go właściwym mianem, rozmyślał Thad. Potem pokręcił głową zirytowany własną refleksją. Trzeba było go przecież jakoś nazywać, a nazwisko Stark było chyba trochę lepszym rozwiązaniem niż „sprawca” czy „pan X”. Błędem byłoby sądzić w tym momencie, że Pangborn traktuje to miano inaczej niż jako poręczne narzędzie.

– A co z Rickiem? – zapytał, gdy szeryf skończył i dopuścił go do głosu.

– Pan Cowley żyje i jest pod ochroną policji.

Była za kwadrans dziesiąta; od eksplozji, która miała uśmiercić Ricka i jednego z jego opiekunów, dzieliły ich jeszcze dwie godziny. – Phyllis Myers też była chroniona przez policję – zauważyła Liz.

Wendy smacznie spała, a William przysypiał w dużym kojcu. Oczy mu się zamykały, główka opadała na pierś... po czym znowu podrywał ją do góry. Wyglądał komicznie i przypominał Alanowi strażnika usiłującego nie zasnąć na służbie. Ale każde kolejne poderwanie główki było trochę bardziej anemiczne. Obserwując bliźnięta, siedzący z zamkniętym notesem na kolanach Pangborn zauważył interesującą rzecz: ilekroć William podrywał główkę, Wendy wzdrygała się przez sen.

Czy rodzice to zauważyli? – zastanawiał się, po czym pomyślał: Jasne, że zauważyli.

– To prawda. Zaskoczył ich. Policjanci są tak samo podatni na zaskoczenie jak wszyscy inni; powinni tylko lepiej na nie reagować. Na piętrze, na którym mieszkała Phyllis Myers, kilka osób otworzyło drzwi mieszkań i wyjrzało na korytarz, gdy padły strzały. Dzięki ich zeznaniom oraz temu, co policja znalazła na miejscu zbrodni, dość dobrze wiemy, co zaszło. Stark udawał niewidomego. Po zamordowaniu Miriam Cowley i Michaela Donaldsona nie zmienił ubrania, które było... wybaczenie mi oboje, ale było ubabrane. Wychodzi z windy w ciemnych okularach prawdopodobnie kupionych od ulicznego sprzedawcy, wymachując białą, zakrwawioną laską. Bóg jeden wie, skąd wzięł laskę, ale nowojorska policja sądzi, że poturbował nią również portierów.

– Ukradł ją prawdziwemu ślepcowi – zauważył spokojnie Thad. – Ten gość nie jest rycerzem króla Artura, Alanie.

– Najwyraźniej. Przypuszczalnie wrzeszczał, że został napadnięty

albo zaatakowany przez włamywaczy w mieszkaniu. Tak czy inaczej, podszedł do nich tak szybko, że nie mieli dość czasu na reakcję. Byli przecież dwoma gliniarzami z wozu patrolowego, których bez specjalnego uprzedzenia wyciągnięto z rewiru i postawiono przed drzwiami mieszkania tej kobiety.

– Ale wiedzieli, że Donaldson został zamordowany! – zaprotestowała Liz. – Jeżeli coś takiego nie zdołało im uświadomić, że ten człowiek jest niebezpieczny...

– Wiedzieli też, że policjanci z ochrony Donaldsona przybyli po jego zabójstwie – zauważył Thad. – Byli zbyt pewni siebie.

– Chyba tak, trochę – przyznał Alan. – Nie wiem. Ale goście u Cowleya zdają sobie sprawę, że ten człowiek jest śmiały, dość sprytny oraz niebezpieczny dla otoczenia. Mają oczy otwarte. Nie, Thad... twój agent jest bezpieczny. Możesz na to liczyć.

– Powiedziałeś, że są świadkowie – przypomniał Thad.

– O tak. Wielu świadków. W domu pani Cowley, u Donaldsona, u Myers. Wydaje się, że miał to w dupie. – Szeryf spojrzał na Liz i dodał: – Wybacz.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Słyszałam już ten zwrot parę razy, Alanie.

Pangborn skinął głową, posłał jej blady uśmiech i znowu odwrócił się do Thada, który zapytał:

– A rysopis, który ci podałem?

– Zgadza się pod każdym względem – odparł szeryf.

– Postawny, blondyn, dość mocno opalony. Powiedz mi więc, kim on jest. Podaj nazwisko. Mam teraz znacznie więcej zmartwień niż śmierć Homera Gamache'a. Naciska na mnie cholerny komisarz policji nowojorskiej. Sheila Brigham... to mój główny dyspozytor.

uważa, że będę ulubieńcem mediów, ale to właśnie Homer mnie nadal obchodzi. Nawet bardziej niż ci dwaj martwi policjanci, którzy próbowali chronić Phyllis Myers. Więc podaj mi nazwisko.

– Już to zrobiłem – odparł Thad.

Zapadło długie, chyba dziesięciosekundowe milczenie, po czym Alan bardzo cicho zapytał:

– Co?

– Nazywa się George Stark.

Thad był zaskoczony, gdy usłyszał, jak spokojnie brzmi jego głos, a jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że czuł spokój... chyba że głęboki szok i spokój w sensie emocjonalnym niczym się nie różniły. Ale ulgi, jaka towarzyszyła słowom: „Znasz jego nazwisko, to George Stark”, nie dało się opisać.

– Chyba cię nie rozumiem – stwierdził Alan po kolejnej długiej pauzie.

– Oczywiście, że rozumiesz, Alanie – powiedziała Liz. Thad spojrzał na żonę zaskoczony jej rzeczowym tonem. – Mój mąż twierdzi, że jego pseudonim literacki jakoś ożył. Płyta nagrobna na zdjęciu... napis na niej w miejscu, gdzie powinno być jakieś epitafium lub krótki wiersz, wyraża coś, co Thad powiedział reporterowi agencji prasowej, który pierwszy ujawnił tę historię. NIEZBYT SYMPATYCZNY FACET. Pamiętasz o tym?

– Tak, ale... Liz... – Pangborn patrzył na nich oboje z bezradnym zdziwieniem, jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że rozmawia z ludźmi, którzy postradali zmysły.

– Oszczędź sobie swoich „ale” – powiedziała tym samym tonem. – Będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu na zastrzeżenia i kontrargumenty. Ty i wszyscy inni. A tymczasem po prostu mnie

wysłuchaj. Thad nie żartował, mówiąc, że George Stark jest niezbyt sympatycznym facetem. Może myślał, że żartuje, ale nie żartował. Wiedziałam o tym, nawet jeśli on sam nie wiedział. George Stark był nie tylko niezbyt sympatyczny, tak naprawdę był potworem. Każdą z czterech książek, jakie napisał, wprowadził mnie w coraz większe zdenerwowanie i gdy Thad wreszcie postanowił go uśmiercić, poczułam taką ulgę, że poszłam na piętro naszej sypialni i się rozpłakałam. – Spojrzała na wpatrującego się w nią Thada. Zmierzyła go wzrokiem, po czym skinęła głową. – Zgadza się. Płakałam. Naprawdę płakałam. Pan Clawson z Waszyngtonu był odrażającym małym mendoidem, ale wyświadczył nam przysługę, chyba największą w naszym małżeńskim życiu, i choćby z tego powodu przykro mi, że nie żyje.

– Liz, nie sędzę, byś naprawdę miała na myśli...

– Tylko mi nie mów, co mam, a czego nie mam na myśli! – ostrzegła.

Alan zmrużył oczy. Liz nadal mówiła modulowanym głosem i nie dość głośno, żeby obudzić Wendy lub sprawić, by William zrobił coś poza uniesieniem głowy po raz ostatni, ułożeniem się na boku i zaśnięciem koło swojej siostry. Szeryf miał jednak wrażenie, że gdyby nie dzieci, usłyszałby donośniejszy głos. Może nawet wrzask.

– Thad ma ci do powiedzenia parę rzeczy. Musisz go wysłuchać bardzo uważnie, Alanie, i spróbować mu uwierzyć. Bo jeśli nie uwierzysz, to obawiam się, że ten człowiek... czy też to coś, czym jest... będzie dalej zabijał, dopóki wszystkim nie wystawi swojego rzeźnickiego rachunku. Z paru bardzo osobistych powodów nie chcę, żeby się tak stało. Bo widzisz, wydaje mi się, że Thad, ja i nasze dzieci możemy się znajdować na jego liście.

– Zgoda.

Głos Pangborna zabrzmiał łagodnie, ale myśli w jego głowie kołatały się gwałtownie. Świadomie spróbował odsunąć na bok frustrację, złość, a nawet zdumienie i rozważyć tę szaloną ideę tak jasno, jak tylko potrafił. Nie chodziło o to, czy była prawdziwa, czy fałszywa – oczywiście tej pierwszej możliwości nie sposób było nawet brać pod uwagę – ale po prostu o to, dlaczego w ogóle zadają sobie trud opowiedzenia takiej historii. Czy wymyślili ją, żeby ukryć jakiś wyimaginowany współdział w tych morderstwach? Faktyczny współdział? Czyżby w nią uwierzyli? Wydawało się niepojęte, że dwoje porządnie wykształconych i racjonalnych – przynajmniej dotychczas – ludzi może w to wierzyć, ale sytuacja była taka jak wtedy, gdy przybył aresztować Thada za zabójstwo Homera; po prostu nie roztaczali wokół siebie delikatnej, lecz charakterystycznej woni kłamstwa. Kłamstwa świadomego, poprawił się w myślach.

– Mów dalej, Thad.

– W porządku – odparł gospodarz.

Odchrząknął nerwowo i wstał. Jego dłoń powędrowała ku kieszeni na piersi i wówczas uświadomił sobie z nieco gorzkim rozbawieniem, co robi: sięga po papierosy, których od lat tam nie było. Wetknął rękę do kieszeni i spojrzał na Alana Pangborna tak, jak mógłby patrzeć na zafrasowanego człowieka, który w poszukiwaniu rady wylądował w bardzo przyjaznych progach jego gabinetu.

– Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego. Nie... to więcej niż dziwne. To straszne i niewytłumaczalne, ale się dzieje. A zaczęło się, jak sądzę, gdy miałem zaledwie jedenaście lat.

Thad opowiedział o wszystkim: o bólach głowy w dzieciństwie, o przeraźliwych krzykach i wróblach pojawiających się w mętnych wizjach, które zwiastowały nadejście tych dolegliwości, oraz o powrocie wróbli. Pokazał Alanowi stronę maszynopisu z nabazgranym ciemnymi pociągnięciami ołówka napisem WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ. Opowiedział o stanie amnezji, w jaki wpadł poprzedniego dnia w swoim uniwersyteckim gabinecie, i – na tyle, na ile pozwalała mu pamięć – o tym, co napisał na odwrocie formularza zamówienia. Wyjaśnił, co się z nim stało, próbował też wyrazić strach i konsternację, które zmusiły go do zniszczenia formularza.

Twarz Alana pozostała obojętna.

– Poza tym – zakończył Thad – wiem i czuję, że to Stark. Tutaj. – Zacisnął dłoń i uderzył się nią lekko w pierś.

Alan przez jakiś czas nic nie mówił. Zaczął obracać obrączkę na środkowym palcu lewej dłoni i wydawało się, że skupił na tym całą uwagę.

– Widzę, że schudłeś od ślubu – powiedziała cicho Liz. – Jeżeli nie dasz obrączki do zmniejszenia, pewnego dnia ją zgubisz.

– Możliwe. – Pangborn uniósł głowę i spojrzał na żonę pisarza. Gdy zaczął mówić, można było odnieść wrażenie, że Thad wyszedł z pokoju, żeby coś załatwić, i zostali tam tylko we dwoje. – Twój mąż zaprowadził cię na górę do swojego gabinetu i pokazał ci tę pierwszą wiadomość ze świata duchów po moim wyjściu... Zgadza się?

– Jedyne świat duchów, o którego istnieniu wiem na sto procent, to przeżycia po wypiciu duszkiem czystego spirytusu – odparła spokojnie Liz. – Ale rzeczywiście pokazał mi wtedy tę wiadomość.

– Zaraz po moim wyjściu?

– Nie... najpierw położyliśmy dzieci do łóżka, a potem, gdy sami

szukowaliśmy się do snu, zapytałam Thada, co przede mną ukrywa.

– Czy od mojego wyjścia do chwili, gdy powiedział ci o zanikach świadomości i odgłosach ptaków, nie traciłaś go z oczu? Nie miał okazji, by pójść na piętro i zapisać słowa, o których wspomniałem?

– Nie pamiętam tego dokładnie – przyznała. – Myślę, że przez cały czas byliśmy razem, ale głowy za to nie dam. Przecież gdybym ci powiedziała, że ani na chwilę nie straciłam go z oczu, nie miałoby to znaczenia, prawda?

– Co przez to rozumiesz?

– To, że wtedy założyłbyś, iż ja też kłamię, prawda?

Alan głęboko westchnął. Żadne z nich nie potrzebowało innej odpowiedzi.

– Thad cię nie okłamuje.

– Doceniam twoją szczerłość... ale skoro nie możesz przysiąc, że ani razu nie zostawił cię na parę minut, nie muszę cię oskarżać o kłamstwo. I cieszy mnie to. Przyznajesz, że istniała ku temu sposobność, i przyznasz też chyba, że odwrotna sytuacja jest dość niedorzeczna.

Thad oparł się o gzyms kominka, wędrując spojrzeniem tam i z powrotem jak kibic oglądający grę w tenisa. Szeryf Pangborn nie mówił niczego, czego Thad nie przewidział, na luki w tej wersji wydarzeń wskazywał znacznie uprzejmiej, niżby mógł. Mimo to pisarz czuł się gorzko zawiedziony... niemal przybity. Przeczucie, że Alan uwierzy – po prostu jakoś instynktownie uwierzy – okazało się równie zawodne jak fiołka z cudownym lekiem.

– Tak, przyznaję – odparła spokojnie Liz.

– Jeśli chodzi o to, co zdaniem Thada stało się w jego uniwersyteckim gabinecie... to nie ma żadnych świadków ani zaniku

świadomości, ani tego, co rzekomo napisał. Zresztą Thad wspomniał ci o tym incydencie dopiero po telefonie pani Cowley, nieprawdaż?

– Owszem.

– Tak więc... – Pangborn wzruszył ramionami.

– Mam do ciebie pytanie, szeryfie.

– Słucham.

– Po co Thad miałby kłamać? Czemu miałoby to służyć?

– Nie wiem. – Alan spojrzał na nią z całkowitą szczerością. – On sam chyba też nie wie. – Zerknął na Thada, po czym skierował spojrzenie z powrotem na Liz. – Może nawet nie wiedzieć, że kłamie. To, co powiem, zabrzmiałoby dość kategorycznie: czegoś takiego żaden oficer policji nie mógłby przyjąć bez mocnego dowodu. A takiego nie ma.

– Thad mówi prawdę. Rozumiem wszystko, co powiedziałaś, ale też bardzo mi zależy na tym, żebyś uwierzył, że on nie kłamie. Rozpaczliwie tego pragnę. Bo widzisz, ja żyłam z George'em Starkiem. I wiem, co Thad o nim myślał w miarę upływu czasu. Powiem ci coś, czego nie napisano w tygodniku „People”. Thad zaczął mówić o pozbyciu się Starka już po drugiej książce...

– Po pierwszej – wtrącił cicho Thad ze swojego miejsca przy kominku. Jego nikotynowy głód przerodził się w suchą gorączkę. – Zacząłem o tym myśleć po pierwszej książce.

– Niech będzie. W tym artykule zabrzmiało to tak, jakby to była całkiem świeża sprawa, a to po prostu nieprawda. To właśnie próbuję wyjaśnić. Gdyby Frederick Clawson nie pojawił się i nie wywarł presji na mojego męża, to myślę, że Thad nadal by mówił o pozbyciu się Starka. Tak jak alkoholik lub narkoman mówi rodzinie i przyjaciołom, że jutro... albo następnego dnia... albo dzień później.

– Nie – rzekł Thad. – Niezupełnie w ten sposób. Wiesz, że dzwonią, ale nie wiesz, w którym kościele.

Przerwał, marszcząc czoło, myśląc, ale nie tylko. Koncentrując się. Alan niechętnie wyzbył się myśli, że Beaumontowie kłamią albo drażnią się z nim z jakiegoś dziwnego powodu. Nie wysilali się po to, żeby przekonać jego czy nawet siebie, ale po to, żeby wyłożyć, jak było... tak jak ludzie próbują nieraz opisać walkę z ogniem długo po ugaszeniu pożaru.

– Słuchaj – rzekł w końcu Thad. – Zostawmy na chwilę temat zaników świadomości, wróbli i przeczuć... jeżeli to były przeczucia. Jeśli masz taką potrzebę, możesz porozmawiać z moim lekarzem, George'em Hume'em, o objawach fizycznych. Być może moje wczorajsze badania mózgu wykażą coś dziwnego, a nawet jeśli nie, to chirurg, który mnie operował, gdy byłem dzieckiem, przypuszczalnie jeszcze żyje i jest w stanie z tobą porozmawiać o tym przypadku. Może wie coś, co mogłoby rzucić nieco światła na ten bałagan. Nie potrafię sobie przypomnieć jego nazwiska na poczekaniu, ale jestem pewien, że znajduje się w mojej kartotece. Ale w tej chwili całe to psychologiczne gównem to ślepy tor.

Te słowa w ustach Thada wydały się Alanowi czymś bardzo dziwnym... jeśli założyć, że podrzucił ten proroczy zapisek i skłamał w kwestii drugiego. Ktoś na tyle szalony, żeby coś takiego uczynić – i na tyle szalony, by o tym zapomnieć i wierzyć, że te zapiski stanowiły prawdziwe symptomy zjawisk psychicznych – nie chciałby mówić o niczym innym. Nieprawdaż? Zaczęła go boleć głowa.

– W porządku – rzekł spokojnie. – Jeśli to, co nazywasz „psychologicznym gównem”, jest ślepym torem, cóż więc jest główną magistralą?

– George Stark – odparł Thad i dodał w myślach: Tą, która biegnie do Endsville, gdzie kończą bieg wszystkie pociągi. – Wyobraź sobie, że jakiś obcy wprowadził się do twojego domu. Ktoś, kogo zawsze trochę się bałeś, tak jak Jim Hawkins zawsze bał się trochę starego wilka morskiego z tawerny Admirala Benbow. czytałeś *Wyspę skarbów*, Alanie?

Szeryf przytaknął.

– Więc znasz uczucie, które staram się wyrazić. Boisz się tego faceta i wcale nie darzysz go sympatią, ale pozwalasz mu zostać. Nie prowadzisz gospody jak w tej powieści, ale może myślisz, że to daleki krewny twojej żony lub ktoś w tym rodzaju. Rozumiesz?

Alan skinął głową.

– I w końcu pewnego dnia, gdy ten niechciany gość na przykład ciśnie o ścianę solniczką, ponieważ była zatkana, pytasz żonę: „Jak długo twój durnowaty kuzyn będzie się tu jeszcze kręcił?”. A ona spogląda na ciebie i mówi: „Mój kuzyn? Myślałam, że to twój krewniak!”.

Alan mimowolnie parsknął śmiechem.

– Czy jednak wywalasz faceta z domu? – ciągnął Thad. – Nie. Po pierwsze, jest tam już od jakiegoś czasu i choć dla kogoś, kto sam nie znajduje się w takiej sytuacji, mogłoby to zabrzmieć groteskowo, wydaje się, że nabył... prawa dzikiego lokatora czy coś w tym stylu. Ale nie to jest ważne.

Liz kiwała głową. Jej oczy wyrażały rozgorączkowanie i wdzięczność kobiety, która właśnie usłyszała słowo, jakie przez cały dzień miała na końcu języka.

– Ważne jest to, jak cholernie się go boisz – dodała. – Przeraza cię, co mógłby zrobić, gdybyś rzeczywiście powiedział mu prosto z mostu,

żeby spakował manatki i ruszał w drogę.

– No właśnie – rzekł Thad. – Chcesz być odważny i kazać mu się wynieść. I to nie tylko dlatego, że obawiasz się, iż może być niebezpieczny. Tu chodzi o szacunek do samego siebie. Ale... stale to odkładasz. Wynajdujesz powody ku temu. Na przykład taki, że pada deszcz, a jeśli pokażesz mu drzwi w słoneczny dzień, nie narobi tyle krzyku. Albo zrobisz to, gdy wszyscy się porządnie wyśpicie. Wymyślasz setki wymówek, żeby to odroczyć. Okazuje się, że gdy te powody wydają ci się wystarczająco uzasadnione, możesz zachować przynajmniej część szacunku do siebie, a część jest lepsza niż nic. Część jest również lepsza niż pełen szacunek, jeżeli zachowanie go w całości oznacza, że lądujesz w szpitalu lub w grobie.

– Być może nie sam – znowu przyklasnęła mu Liz, wypowiadając te słowa opanowanym i przyjemnym głosem kobiety zwracającej się do członkiń klubu ogrodnika na przykład w kwestii pory sadzenia kukurydzy lub oceny stopnia dojrzałości pomidorów. – Gdy z nami... mieszkał... był szpetnym oraz niebezpiecznym człowiekiem i teraz też taki jest. Wszystko wskazuje na to, że jeżeli w ogóle się zmienił, to na gorsze. Oczywiście jest obłąkany, ale w świetle jego zasad to, co robi, jest całkowicie rozsądne: odnajduje ludzi, którzy zmówili się, żeby go zabić, i likwiduje ich jednego po drugim.

– Skończyliście?

Liz spojrzała zaskoczona na Alana, jakby ją wyrwał z głębokiej zadumy.

– Słucham?

– Zapytałem, czy skończyliście. Chcieliście wypowiedzieć swoje zdanie, a ja chcę się upewnić, czy je wyraziliście.

Spokój Liz prysł. Wzięła głęboki oddech i w roztargnieniu

przeczesala dlonimi wlosy.

– Nie wierzysz w to, prawda? W ani jedno nasze slowo.

– Liz – odparl szeryf – to sa po prostu... jakies brednie. Przepraszam, ze tak mowie, ale zwaywszy na okolicznosci, to chyba i tak najuprzejmniejsze z mozliwych określeń. Niedlugo zjawią się tu inni gliniarze. Przypuszczam, ze rowniez FBI... ten czlowiek moze być teraz uwazany za zbiega międzystanowego, to zaś wciągnie ich w tę sprawę. Jezeli przedstawicie im tę historie wraz z opisem chwilowych zaników świadomości i tekstów skreślanych przez duchy, usłyszycie mnóstwo mniej uprzejmych słów. Gdybyście mi powiedzieli, ze ci ludzie zginęli z rąk ducha, też bym w to nie uwierzył. – Thad poruszył się, lecz Alan uniósł dłoń i pisarz przynajmniej na razie opadł na fotel. – Ale prędzej uwierzyłbym w historie o duchu niż w to.

Tutaj nie chodzi po prostu o ducha, lecz o czlowieka, który nigdy nie istniał.

– A jak wytłumaczysz dokladność mojego opisu? – zapytal nagle Thad. – Przekazalem ci moje wyobrazenie tego, jak Stark wygladal... wyglada. Część tego opisu znajduje się w profilu autorskim, który wydawnictwo Darwin Press przechowuje w swoich archiwach. Część zaś miałem w swojej glowie. Nigdy nie usiadłem i nie wyobrazilem sobie tego gościa powoli i do końca. Po prostu przez kilka lat stworzyłem coś w rodzaju obrazu myślowego, tak jak tworzysz wizerunek radiowego didżeja, którego słuchasz codziennie rano w drodze do pracy. Ale gdy przypadkiem go spotykasz, najczęściej okazuje się, ze całkowicie się myliłeś. Najwyraźniej mnie ów obraz wyszedł dość dokladnie. Jak to wytłumaczysz?

– Nie umiem – odparl Alan. – O ile oczywiście nie kłamiesz w kwestii źródła tego opisu.

– Wiesz, że nie kłamię.

– Nie zakładaj tego. – Pangborn wstał, podszedł do kominka i zaczął nerwowo szturchać po grzebaczem leżące na stosie bierwiona brzeziny. – Nie wszystkie kłamstwa rodzą się ze świadomej decyzji. Jeżeli człowiek sam jest przekonany, że mówi prawdę, może nawet celująco zdać test na wykrywaczu kłamstw. Ted Bundy też go zdał.

– Daj spokój – warknął Thad. – Przestań się tak wysilać. To znowu przypomina sprawę tych linii papilarnych. Jediną różnicą jest to, że tym razem po prostu nie mam tylu świadków mogących potwierdzić moje słowa. A propos, co z tymi odciskami palców? Gdy dodać tę sprawę, to może przynajmniej ona świadczy o tym, że mówimy prawdę?

Alan się odwrócił. Nagle poczuł złość na Thada... na nich oboje. Miał wrażenie, że jest bez przerwy spychany do narożnika, a oni nie mają żadnego prawa doprowadzać go do takiego stanu. Czuł się jak jedyna osoba na zebraniu Stowarzyszenia Wyznawców Płaskości Ziemi, która sądzi, że Ziemia jest kulą.

– Nie umiem... jeszcze nie umiem... tego wyjaśnić – odparł.

– A tymczasem może zechciałbyś mi powiedzieć, skąd dokładnie wziął się ten facet... ten prawdziwy. Czy po prostu stworzyłeś go pewnego wieczoru? Czy wyskoczył z jakiegoś cholernego wróblego jaja? Kiedy pisałeś książki, które w końcu ukazały się pod jego nazwiskiem, wyglądałeś jak on? Jak dokładnie to przebiegało?

– Nie wiem, jak powstał – rzekł Thad ze znużeniem. – Nie sądzisz, że powiedziałbym ci, gdybym mógł? O ile wiem czy też pamiętam, byłem sobą, pisząc *Sposób Machine'a*, *Oksfordzki blues*, *Zapiekankę z rekinim mięsem* oraz *Podróż do Babilonu*. Nie mam bladego pojęcia, kiedy stał się... odrębną osobą. Gdy pisałem jako Stark, wydawał mi

się prawdziwy, ale tylko w takim sensie, w jakim wszystkie historie, które opisuję, wydają mi się prawdziwe. To znaczy traktuję je poważnie, ale w nie nie wierzę... tyle że wierzę... wtedy... – Przerwał oszołomiony i parsknął cichym śmiechem. – Tyle razy mówiłem o pisaniu – dodał. – Setki wykładów, tysiące zajęć, a nie sądzę, bym kiedyś wspomniał słowem o rozumieniu przez powieściopisarza bliźniaczych realiów, które istnieją dla niego: realiów prawdziwego świata i tych ze świata rękopisu. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w ogóle o tym myślał. A teraz zdaję sobie sprawę... cóż... wydaje się, że nawet nie wiem, jak o tym myśleć.

– To nie ma znaczenia – zauważyła Liz. – Dopóki Thad nie próbował go uśmiercić, Stark nie musiał być odrębną osobą.

Alan zwrócił się do niej:

– Znasz Thada lepiej niż ktokolwiek inny. Czy pracując nad powieściami kryminalnymi, zmieniał się z Beaumonta w Starka? Bił cię? Groził ludziom na przyjęciach brzytwą?

– Sarkazm w niczym nie ułatwi nam rozmowy – odparła Liz, patrząc bacznie na szeryfa.

Pangborn wyrzucił ręce w górę ze złością – chociaż nie był pewien, czy jest zły na nich, na siebie, czy też na całą ich trójkę.

– Nie jestem sarkastyczny. Próbuje zastosować odrobinę werbalnej terapii szokowej, żeby wam uświadomić, jak szalona jest wasza opowieść! Bo mówicie o ożywającym pseudonimie literackim, do ciężkiej cholery! Jeżeli powiecie FBI choćby połowę tych bzdur, zajrzą do przepisów stanowych dotyczących przymusowego leczenia!

– Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie – oświadczyła Liz. – Nie bił mnie ani nie wymachiwał brzytwą na koktajlach. Ale gdy pisał jako George Stark... a zwłaszcza gdy pisał o Alexisie Machinie...

zmieniał się. Kiedy otwierał drzwi... chyba najlepiej ująć to właśnie w ten sposób... i zapraszał Starka do domu, stawał się sztywny. Nie zimny, nawet nie chłodny, po prostu sztywny. Był mniej zainteresowany wychodzeniem z domu, widywaniem się z ludźmi. Czasami urywał się z zebrań wykładowców, a nawet nie zjawiał się na umówionych spotkaniach ze studentami... chociaż to akurat zdarzało się dość rzadko. Kładł się spać późną nocą, czasem też rzucał się i przewracał na łóżku przez pierwszą godzinę. Gdy zasypiał, krzywił się i dużo mamrotał, jakby miał złe sny. Przy kilku okazjach pytałam, czy o to chodzi, a on odpowiadał, że ćmi go w głowie i czuje się zmęczony, ale jeżeli miał złe sny, nie pamiętał, co mu się śniło. Nie dochodziło do znaczącej zmiany osobowości... ale nie był taki sam. Jakiś czas temu mój mąż zrezygnował z picia alkoholu, Alanie. Nie chodzi na spotkania anonimowych alkoholików czy kogoś takiego, ale przestał pić. Z jednym wyjątkiem. Gdy któraś z powieści Starka była ukończona, upijał się. Można było wtedy odnieść wrażenie, że pozbywa się tego wszystkiego, mówiąc do siebie: „Ten sukinsyn znowu odszedł. Przynajmniej na chwilę. George wrócił na swą farmę w Missisipi. Hura!”.

– Dobrze to zinterpretowała – przyznał Thad. – Hura... tak właśnie się czułem. Pozwól, że podsumuję, czym dysponujemy, jeżeli usuniemy z obrazu sytuacji zaniki świadomości i machinalne zapiski. Człowiek, którego szukasz, zabija znanych mi ludzi, z wyjątkiem Homera Gamache’a odpowiedzialnych za „egzekucję” George’a Starka... oczywiście w spisku ze mną. Ma moją grupę krwi, która nie należy do tych naprawdę rzadkich, trafia się jednak u sześciu osób na sto.

Odpowiada podanemu rysopisowi, który stanowi kwintesencję

mojego wyobrażenia wyglądu Starka, gdyby ten istniał. Pali papierosy, jakie sam kiedyś paliłem. I wreszcie, co najciekawsze, okazuje się, że mamy identyczne linie papilarne. Mimo tego wszystkiego nie chcesz nawet rozważyć mojego twierdzenia, że Stark jakimś cudem żyje. To teraz ty mi powiedz, szeryfie: kim jest ten, który, że tak powiem, działa w zamroczeniu?

Alan poczuł, że podstawowe zasady, które kiedyś uważał za pewne i niewzruszone, lekko się chwieją. To naprawdę jest niemożliwe, czyż nie? Ale... dzisiaj przynajmniej będzie musiał porozmawiać z lekarzem Thada i odszukać historię jego choroby. Pomyślał, że będzie naprawdę cudownie odkryć, iż nie było żadnego guza mózgu, a Thad albo skłamał... albo mu się przywidziało. Jeśli zdoła dowieść, że ten człowiek to psychol, wszystko będzie o wiele mniej krępujące. Może...

Może przestanie pieprzyć. Nie ma żadnego George'a Starka i nigdy nie było. Pewnie nie jest cudownym dzieckiem z FBI, ale to nie znaczy, że jest na tyle naiwny, by się nabrać na tę bajkę. Mogą capnąć tego szalonego drania w Nowym Jorku, gdy będzie szukał Cowleya, i pewnie rzeczywiście go capną, ale jeśli nie, to ten psychol może postanowić, że tego lata spędzi wakacje w Maine. Gdyby naprawdę wrócił, Alan chciał się z nim zmierzyć. I nie sądził, by dawanie wiary tym bzdurom rodem z serialu *Strefa mroku* pomogło mu w chwili, gdy nadarzy się ku temu szansa. Nie chciał też marnować czasu na rozmowę o tym.

– Czas pokaże, jak przypuszczam – rzekł niejasno. – Na razie radziłbym wam obojgu trzymać się tego, co zaserwowałeś mi wczoraj wieczorem: to gość, który myśli, że jest George'em Starkiem, i jest na tyle obłąkany, by zacząć w logicznym miejscu... w każdym razie

logicznym dla człowieka obłąkanego... tam, gdzie Stark został oficjalnie pochowany.

– Przynajmniej dopuść to do swojej świadomości, bo inaczej wylądujesz w gównie po uszy – rzekł Thad. – Ten facet... jego nie da się przekonać, nie da się ubłagać. Mógłbyś prosić go o litość... gdyby dał ci na to czas. ale to by nic dobrego nie przyniosło. Jeżeli kiedyś się do niego zbliżysz z opuszczoną gardą, zrobi z ciebie pieróg z rekinim mięsem.

– Zapytam twojego lekarza – odparł Alan – oraz lekarza, który operował cię w dzieciństwie. Nie wiem, co to da ani jakie światło może rzucić na tę sprawę, ale tak zrobię. Poza tym chyba po prostu będę musiał zaryzykować.

Thad uśmiechnął się ponuro.

– Z mojego punktu widzenia problem polega na tym, że moja żona, dzieci i ja będziemy ryzykowali razem z tobą.

3

Piętnaście minut później starannie utrzymana niebiesko-biała furgonetka zaparkowała na podjeździe domu Thada za samochodem szeryfa. Wyglądała jak wóz firmy telefonicznej i okazało się, że nim jest, chociaż na boku dyskretnymi małymi literami zapisano słowa: *maine state police*.

Dwaj technicy podeszli do drzwi, przedstawili się, przeprosili, że to tak długo trwało (mogli sobie oszczędzić przeprosin, ponieważ Thad i Liz w ogóle nie spodziewali się ich przyjazdu), i zapytali, czy Thad może podpisać formularz, który jeden z nich miał na podkładce. Przejrzał go szybko i zrozumiał, że upoważnia ich do zainstalowania w jego telefonie sprzętu nagrywającego i namierzającego. Nie

uprawniał natomiast do wykorzystania otrzymanych zapisów w postępowaniu sądowym.

Thad nabazgrał swój podpis w odpowiednim miejscu, czego świadkami byli zarówno Alan Pangborn, jak i jeden z techników (Thad zauważył ku swemu osłupieniu, że z jednej strony pasa miał przewieszony tester linii telefonicznych, a z drugiej czterdziestkępiątkę).

– Ten sprzęt namierzający rzeczywiście działa? – zapytał Thad kilkanaście minut później, gdy Alan wyjechał do Komendy Policji Stanowej w Orono. Wydawało mu się, że powinien coś powiedzieć; otrzymawszy z powrotem swój formularz, technicy umilkli.

– Taa – odparł jeden z nich. Podniósł z widełek słuchawkę telefonu w salonie i pospiesznie podważał wewnętrzny plastikowy kołnierz słuchawki. – Możemy namierzyć rozmowę telefoniczną w dowolnym punkcie świata. To nie stary sprzęt pokazywany w filmach, wymagający utrzymywania łączności do czasu namierzenia rozmówcy. Dopóki nikt nie przerwie połączenia po tej stronie linii – potrząsnął słuchawką, która teraz przypominała trochę wyglądem androida rozwalonego ogniem z miotacza płomieni w filmowej epopei science fiction – możemy zlokalizować źródło sygnału. Naj częściej okazuj e się nim automat telefoniczny w centrum handlowym.

– Zgadza się – potwierdził jego partner majstrujący coś przy gniazdku telefonu na listwie przypodłogowej. – Ma pan aparat na górze?

– Dwa – odparł Thad, który zaczął się czuć tak, jakby ktoś go brutalnie wepchnął do króliczej nory. – Jeden w moim gabinecie, a drugi w sypialni.

– Są na oddzielnej linii?

– Nie... mamy tylko jedną. Gdzie umieścicie magnetofon?

– Przypuszczalnie w piwnicy – odparł z roztargnieniem pierwszy technik.

Wtykał druty z aparatu telefonicznego do kostki z metakrylanu metylu najeżonej złączami sprężystymi i w jego głosie pobrzmiwała nuta rozdrażnienia, że Thad nie pozwala mu spokojnie pracować.

Thad objął Liz w talii i wyprowadził ją z salonu, zastanawiając się, czy jest ktoś, kto mógłby zrozumieć lub zrozumie, że żadne magnetofony i najnowocześniejsze przezroczyste kostki na świecie nie powstrzymają George'a Starka. Stark tam był, może odpoczywał, a może już wyruszył.

A skoro nikt nie chciał Thadowi uwierzyć, to co, u licha, miał z tym zrobić? Jak, u diabła, miał ochronić swą rodzinę? Czy był jakiś sposób? Zamyślił się głęboko, a gdy to nic nie przyniosło, po prostu wsłuchał się w siebie. Czasem – nie zawsze, ale czasem tak – odpowiedź przychodziła tą drogą.

Tym razem jednak nie przyszła. Z rozbawieniem stwierdził nagle, że stał się potwornie napalony. Zamierzał namówić żonę na wizytę w sypialni i wtedy przypomniał sobie, że wkrótce zjawią się tam policyjni technicy pragnący zrobić jakieś czary-mary z jego przestarzałymi jednoliniowymi telefonami.

Nie mogę sobie nawet bzyknąć, pomyślał. Cóż więc mamy robić?

Odpowiedź była jednak dość prosta. Czekali, to właśnie robili.

Nie musieli też długo czekać na następny smakowity kąsek: Stark dopadł w końcu Ricka Cowleya – podłożył jakoś bombę pułapkę w jego mieszkaniu, urządziwszy zasadzkę na techników, którzy robili z telefonami Ricka to samo co ludzie w salonie z aparatami Beaumontów. Gdy Rick obrócił klucz w zamku, drzwi po prostu

wyleciały w powietrze.

Tę wiadomość przywiózł im Alan. Ujechał niespełna pięć kilometrów drogą do Orono, gdy przez radio dotarła informacja o wybuchu. Natychmiast zawrócił.

– Mówiłeś, że Rick jest bezpieczny – przypomniała Liz. Jej głos i oczy były bez wyrazu. Wydawało się, że nawet włosy straciły blask.

– Niemal to gwarantowałeś.

– Myliłem się. Przepraszam.

Alan był równie głęboko wstrząśnięty jak Liz, sądząc po jej oczach i głosie, ale bardzo się starał nie pokazać tego po sobie. Zerknął na Thada, który spoglądał na niego ze spokojem w jasnych oczach. W kącikach ust pisarza czaił się ponury uśmiezek.

On zna moje myśli. Prawdopodobnie nie było to prawdą, lecz Alan czuł, że tak jest. Cóż... może nie wszystkie, ale niektóre z nich. Może całkiem sporo. Pewnie marnie je ukrywam, ale nie sądzę, by o to chodziło. Myślę, że chodzi o niego. On zbyt dużo widzi.

– Przyjąłeś założenie, które okazało się błędne, i tyle – rzekł Thad. – Zdarza się najlepszym. Może powinieneś wrócić i trochę więcej pomyśleć o Starku. Jak uważasz, Alanie?

– Uważam, że mogłeś mieć rację – odparł Alan i pomyślał, że mówi to tylko po to, by ich oboje uspokoić. Ale twarz George'a Starka, którą dotąd widział jedynie dzięki opisowi Thada Beaumonta, zaczęła zaglądać szeryfowi przez ramię. Jeszcze jej nie dostrzegął, lecz czuł, że tam jest, że patrzy. – Chcę porozmawiać z doktorem Hurdem...

– Hume'em – poprawił go Thad. – Z George'em Hume'em.

– Dzięki. Chcę z nim porozmawiać, więc będę w okolicy. Jeżeli FBI rzeczywiście się pojawi, chcielibyście, żebym później wpadł do was?

– Nie wiem jak Thad, ale ja bardzo bym chciała – odparła Liz.

Thad skinął głową.

Alan rzekł:

– Przepraszam za to wszystko, ale najbardziej przepraszam za niespełnioną obietnicę, że coś będzie w porządku.

– W tej sytuacji chyba łatwo jest zlekceważyć zagrożenie – zauważył Thad. – Powiedziałem ci prawdę... przynajmniej prawdę w moim rozumieniu... z prostego powodu. Jeżeli to jest Stark, sędzę, że zanim się to skończy, wiele osób będzie go lekceważyć.

Pangborn przeniósł spojrzenie z Thada na Liz i z powrotem. Po długiej chwili, kiedy ciszę zakłócała jedynie rozmowa członków policyjnej ochrony Thada za drzwiami domu (kolejny znajdował się na jego tyłach), zauważył:

– Najbardziej zadziwiające, że wy naprawdę w to wierzycie, prawda?

Thad skinął głową.

– Ja w każdym razie wierzę.

– Ja nie – powiedziała Liz i obaj spojrzeli na nią zaskoczeni. – Ja nie wierzę. Ja wiem.

Szeryf westchnął i wetknął ręce głęboko do kieszeni.

– Chciałbym wiedzieć jedno – rzekł. – Jeżeli macie rację... ja w to nie wierzę, jak pewnie uważacie, nie mogę w to wierzyć... ale jeżeli macie rację, czego, u diabła, ten gość chce? Tylko zemsty?

– Wcale nie – odparł Thad. – Chce tego samego, czego ty i ja chcielibyśmy na jego miejscu. On pragnie znowu żyć. Nie chce niczego więcej. Tylko znowu żyć. Jestem jedyną osobą, która mogłaby to sprawić. A jeżeli nie będę mógł lub chciał... cóż... przynajmniej może zapewnić sobie towarzystwo.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

POWOŁANIE GEORGE'A STARKA

1

Alan pojechał porozmawiać z doktorem Hume'em, a agenci FBI właśnie kończyli swoje przesłuchanie – o ile było to właściwe określenie czegoś, co wydawało się tak dziwnie wyjąłowane i chaotyczne – gdy zadzwonił George Stark. Telefon zadzwieczał niespełna pięć minut po tym, jak technicy policji stanowej (którzy nazywali siebie „elektromonterami”) w końcu oznajmili, że są usatysfakcjonowani działaniem osprzętu, który podłączyli do aparatów Thada i Liz.

Byli też zdegustowani, lecz najwyraźniej niezbyt zaskoczeni tym, że supernowoczesne obudowy aparatów marki Merlin mieszczą staroświecki system wybierania z tarczą numerową, któremu Beaumontowie pozostali wierni.

– Człowieku, aż trudno w to uwierzyć – powiedział (tonem wskazującym, że tutaj, na tym zadupiu, tak naprawdę niczego innego nie oczekiwał) elektromonter imieniem Wes.

Drugi elektromonter, Dave, ruszył ciężkim krokiem do furgonetki, żeby znaleźć odpowiednie łączniki i wszelki inny sprzęt, którego mogli potrzebować, chcąc przystosować aparaty Beaumontów do technologii używanej przez organy ochrony porządku publicznego w ostatnich latach dwudziestego wieku. Wes przewrócił oczami, po

czym spojrział na Thada, jakby ten powinien był go od razu poinformować, że wciąż żyje w epoce pionierów telefonii.

Żaden z elektromonterów nie raczył nawet zerknąć na funkcjonariuszy FBI, którzy przylecieli do Bangor z bostońskiej filii biura i odbyli heroiczną podróż samochodem przez niebezpieczne pustkowie między Bangor i Ludlow, gdzie roiło się od wilków i niedźwiedzi. Jakby agenci istnieli w zupełnie innym zakresie fal świetlnych, tak samo niewidzialnym dla policyjnych elektromonterów jak podczerwień lub promienie rentgenowskie.

– Wszystkie telefony w mieście są skonstruowane w ten sposób – wyjaśnił z pokorą Thad, który zaczął odczuwać ostrą zgagę. W normalnych okolicznościach stałby się przez to zręczliwy i trudny we współzyciu. Dzisiaj jednak czuł się jedynie zmęczony, bezbronny i strasznie smutny.

Myślami stale wracał do ojca Ricka, który mieszkał w Tucson, i do mieszkających w San Luis Obispo rodziców Miriam. Co teraz myślał stary pan Cowley? Co myśleli Penningtonowie? Jak ci często wspomniani w rozmowach ludzie, których Thad nigdy nie poznał, mieli sobie dać radę? Jak można sobie poradzić nie tyle ze śmiercią swego dziecka, ile z niespodziewaną śmiercią dorosłego potomka? Jak się uporać ze zwykłym, irracjonalnym morderstwem?

Thad zdał sobie sprawę, że myśli o pozostałych przy życiu zamiast o ofiarach z jednego prostego, ponurego powodu: czuł się za wszystko odpowiedzialny. Jakżeby inaczej? Jeżeli nie on miał być obwiniany za George'a Staraka, to kto? Bobcat Goldthwaite? Alexander Haig? Fakt, że przestarzały system wybierania z tarczą numerową, nadal tutaj stosowany, utrudnił założenie podsłuchu w jego telefonach, był kolejnym źródłem poczucia winy.

– Sądzę, że to już wszystko, panie Beaumont – powiedział jeden z funkcjonariuszy FBI. Wcześniej przeglądał swoje notatki, najwyraźniej równie nieświadomy obecności Wesa i Dave’a jak oni jego. Teraz agent, który nazywał się Malone, zamknął notes. Był oprawiony w skórę, a w lewym dolnym rogu okładki widniały jego dyskretnie wytłoczone inicjały. Malone nosił klasyczny popielaty garnitur i włosy zaczesane z idealnie prostym przedziałkiem. – Masz coś jeszcze, Bill?

Bill, zwany również agentem Prebble’em, przerzucił kartki swojego notesu – także oprawionego w skórę, lecz bez inicjałów – zamknął go i pokręcił głową.

– Nie. Myślę, że to wystarczy. – Agent Prebble był ubrany w klasyczny brązowy garnitur. On też miał idealnie prosty przedziałek z lewej strony. – W dalszej części śledztwa zapewne będziemy musieli zadać kilka następnych pytań, ale na razie mamy to, co trzeba. Chcielibyśmy podziękować wam obojgu za współpracę.

Posłał im szeroki uśmiech, odsłaniając zęby, które albo miały nałożone korony, albo były tak idealne, że aż upiorne, i Thad pomyślał: Gdybyśmy byli pięciolatkami, pewnie dałby każdemu z nas zaświadczenie, że dzisiaj był radosny dzień, do pokazania w domu mamusi.

– Nie ma za co – odparła Liz strapionym głosem, cedząc słowa. Delikatnie masowała sobie lewą skroń końcami palców, jakby głowa pękała jej z bólu.

Prawdopodobnie, pomyślał Thad, tak właśnie jest.

Zerknął na zegar na kominku i spostrzegł, że jest tuż po wpół do trzeciej. Czy to popołudnie było najdłuższym w jego życiu? Nie chciał naprędce wyrokować, ale podejrzewał, że tak.

Liz wstała.

– Chyba pójdę się położyć, jeżeli mogę. Nie czuję się najlepiej.

– To dobry... – Miał zamiar powiedzieć na końcu „pomysł”, ale zanim zdołał, zadzwonił telefon.

Wszyscy spojrzeli na aparat, a Thad poczuł, jak w tętnicy szyjnej zaczyna mu pulsować krew. Świeża, paląca porcja kwasu powędrowała powoli w górę jego piersi, a potem odniósł wrażenie, że wypełnia mu krtań.

– Dobra nasza – zauważył zadowolony Wes. – Nie będziemy musieli nikogo wysyłać, żeby zadzwonił na próbę.

Thad poczuł się nagle tak, jakby został zamknięty w bańce z chłodnym powietrzem. Wędrowało ono razem z nim, gdy podchodził do telefonu, który teraz dzielił stolik z gadżetem przypominającym cegłę z przezroczystego plastiku z osadzonymi w ścianie lampkami. Jedna z lampek pulsowała w rytmie zsynchronizowanym z dzwonkiem telefonu.

Gdzie się podziały ptaki? Powinienem je słyszeć. Nie było jednak żadnych ptaków; ciszę zakłócał jedynie natarczywy świergot telefonu.

Wes klęczał przy kominku i chował narzędzia do czarnej walizki, która swoimi wielkimi chromowanymi zatrzaskami przypominała robociarskie menażki. Dave opierał się o framugę między salonem a jadalnią. Zapytał Liz, czy może zjeść banana z miski na stole, i teraz obierał go w zamyśleniu, robiąc raz po raz przerwę, żeby spojrzeć na swe dzieło krytycznym okiem artysty w ferworze tworzenia.

– Może weźmiesz tester obwodu? – rzekł do Wesa. – Jeżeli będziemy musieli sprawdzić linię, możemy to zrobić jeszcze tutaj. Oszczędzimy sobie podróży powrotnej.

– Dobry pomysł – stwierdził Wes i wyciągnął z ogromnych menażek

jakiś przyrząd z uchwytem pistoletowym.

Obaj mężczyźni spoglądali lekko wyczekująco, i to wszystko. Agenci Malone i Prebble chowali notesy i prostowali ostre jak brzytwa kanty na nogawkach spodni. W zasadzie potwierdzali początkowe wrażenie Thada: bardziej przypominali konsultantów podatkowych z firmy H&R Block niż uzbrojonych agentów federalnych. Malone i Prebble wydawali się zupełnie nieświadomi tego, że w ogóle dzwoni telefon.

Ale Liz wiedziała. Przestała masować skroń i patrzyła na Thada okrągłymi udręczonymi oczami osaczonego zwierzęcia. Prebble podziękował jej za kawę oraz ciastko z owocami, które wcześniej podała, i chyba był równie nieświadomy braku odpowiedzi z jej strony jak tego, że dzwoni telefon.

Ludzie, co się z wami dzieje?! – nagle zapragnął krzyknąć Thad. Po co, u diabła, w ogóle podłączyliście cały ten sprzęt?

Zarzut oczywiście krzywdzący. Ponieważ to, że mężczyzna, którego ścigali, okazał się pierwszą osobą dzwoniącą do Beaumontów po zainstalowaniu sprzętu podsłuchowego i namierzającego, a w istocie zaledwie pięć minut po jego podłączeniu, było po prostu szczęśliwym zrzędzeniem losu... tak by pewnie powiedzieli, gdyby ktokolwiek raczył ich o to zapytać. Powiedzieliby, że w cudownym świecie ochrony porządku publicznego ostatnich lat dwudziestego wieku nic nie dzieje się w ten sposób. To inny pisarz dzwoni do ciebie w sprawie nowego fajnego pomysłu na intrygę, Thad, lub ktoś, kto chce się dowiedzieć, czy twoja żona może pożyczyć szklanek cukru. Ale facet, który uważa się za twoje alter ego? Wykluczone, stary. Zbyt szybko, zbyt szczęśliwym trafem.

Tyle że to był Stark. Thad wyczuł go, a spojrzawszy na żonę,

zrozumiał, że Liz też go wyczuła.

Teraz Wes patrzył na niego, zastanawiając się bez wątpienia, dlaczego Thad nie podnosi słuchawki swojego świeżo podłączonego telefonu.

Nie martw się, pomyślał Thad. Nie martw się, on poczeka. Wie, że jesteśmy w domu.

– Cóż, zaraz przestaniemy zawracać pani głowę, pani Beau... – zaczął Prebble, a Liz powiedziała spokojnym, lecz strasznie zbolałym głosem:

– Sądzę, że powinniście zaczekać.

Thad podniósł słuchawkę i krzyknął:

– Czego chcesz, sukinsynu? Czego ty, kurwa, chcesz?!

Wes aż podskoczył. Dave zamarł w chwili, gdy zamierzał napocząć banana. Głowy agentów federalnych obróciły się gwałtownie. Thad uświadomił sobie, że żałośnie pragnie, by Alan Pangborn był tutaj, zamiast rozmawiać z doktorem Hume'em w Orono. On też nie wierzył w istnienie Starka, przynajmniej na razie, ale był chociaż człowiekiem. Thad przypuszczał, że pozostali również mogą być ludźmi, lecz miał poważne wątpliwości, czy wiedzą, że on i Liz należą do gatunku ludzkiego.

– To on, to on! – mówiła Liz do Prebble'a.

– O Jezu – mruknął Prebble.

Wraz z drugim nieustraszonym sługą sprawiedliwości wymienili skonsternowane spojrzenia: „Co mamy teraz, kurwa, zrobić?”.

Thad słyszał i widział to wszystko, ale był od tego odizolowany. Nawet od Liz. Teraz byli tylko Stark i on. Po raz pierwszy znowu razem, jak mawiali starzy konferansjerzy rewiowi.

– Uspokój się, Thad – powiedział George Stark. Wydawał się

rozbawiony. – Nie ma potrzeby się tak podniecać.

Był to głos, którego się spodziewał. Dokładnie taki. Wszystkie niuanse, aż po typowe dla południowców zlewanie się głosek, co zniekształciło dwa ostatnie słowa.

Dwaj elektromonterzy naradzali się przez chwilę, po czym Dave rzucił się do furgonetki po dodatkowy telefon. W dłoni nadal trzymał banana. Wes pobiegł w stronę schodów prowadzących do piwnicy, żeby sprawdzić umieszczony tam magnetofon aktywowany głosem.

Nieustraszeni słudzy sprawiedliwości z FBI stali, gapiąc się, na środku salonu. Wyglądali tak, jakby chcieli dla pokrzepienia objąć się nawzajem ramionami niczym zagubione w lesie dzieci.

– Czego chcesz? – powtórzył cichszym głosem Thad.

– Powiedzieć ci, że to już koniec – odparł Stark. – Dziś w południe załatwiłem ostatnią ofiarę... tę małą, która pracowała w Darwin Press dla szefa działu księgowości.

Omal nie powiedział: „działusiengowosi”.

– To ta, co pilnowała, żeby Clawson miał świeżo zaparzoną kawę – wyjaśnił Stark. – Gliny ją znajdują; ma mieszkanie przy końcu Drugiej Alei. Część leży na podłodze, resztę położyłem na kuchennym stole. – Roześmiał się. – To był pracowity tydzień. Skaczę tak szybko jak jednonogi na zawodach w kopaniu do dupy. Dzwonię, żeby cię uspokoić.

– Nie czuję się specjalnie uspokojony – odparł Thad.

– Cóż, daj sobie czas, stary. Daj sobie czas. Chyba wybiorę się na południe, połowię ryby. Męczy mnie to miejskie życie.

Stark się roześmiał; jego śmiech zabrzmiał tak potwornie radośnie, że przyprawił Thada o dreszcze.

Kłamał.

Thad wiedział o tym równie dobrze jak o tym, że Stark zaczął z dzwonieniem do momentu, aż zainstalowano sprzęt do podsłuchu i namierzania sygnału. Czy mógł wiedzieć o czymś takim? Odpowiedź brzmiała: tak. Stark mógł telefonować z Nowego Jorku, jednakże obaj byli połączeni tą samą niewidzialną, lecz niewątpliwą więzią, jaka łączyła bliźnięta. Byli bliźniętami, połówkami jednej całości; Thada przerażała świadomość, że przenosi się poza swe ciało, wędruje po linii telefonicznej nie do samego Nowego Jorku, nie, lecz do połowy dzielącej ich odległości; spotyka się z potworem pośrodku tej pępowiny, gdzieś w zachodnim Massachusetts, i obaj znowu się łączą, tak jak spotykali się i łączyli za każdym razem, gdy zakładał pokrowiec na maszynę do pisania i brał do ręki jeden z tych przeklętych ołówków.

– Ty kłamliwy kutasie! – zawołał.

Agenci FBI podskoczyli, jakby ktoś ich uszczypnął w tyłek.

– Ejże, Thad, to nie było zbyt miłe! – zauważył Stark. Wydawał się urażony. – Myślałeś, że zrobię ci krzywdę? Mowy nie ma! Mściłem się za ciebie, chłopcze! Wiedziałem, że sam muszę to zrobić. Wiedziałem, że jesteś strachliwy, ale nie mam ci tego za złe; żeby nasz zapracowany świat się kręcił, potrzeba i takich. Czemu, u diaska, miałbym sobie zawracać głowę pomszczeniem ciebie, gdybym zamierzał wszystko tak załatwić, byś nie mógł na tym skorzystać?

Palce Thada powędrowały ku małej białej bliźnie na czole i pocierały ją, tarły tak mocno, aż zaczerwieniła się skóra. Uświadomił sobie, że próbuje – próbuje rozpaczliwie – nie wyjść z siebie. Nie oderwać się od własnej, podstawowej rzeczywistości.

On łąze i ja wiem, dlaczego to robi, a on wie, że ja wiem i że to nie ma znaczenia, bo i tak nikt mi nie uwierzy. Wie, jak dziwnie to

wszystko wygląda w ich oczach, i wie, że słuchają tej rozmowy, wie, co myślą... ale też jak myślą, i to zapewnia mu bezpieczeństwo. Sądzą, że to psychol, któremu tylko wydaje się, iż jest George'em Starkiem, bo tak właśnie muszą myśleć. Inne wytłumaczenie jest sprzeczne ze wszystkim, czego się nauczyli, wszystkim, kim są. I nie zmienia tego żadne odciski palców na świecie. Wie, że gdy da do zrozumienia, iż nie jest George'em Starkiem, gdy zasugeruje, że w końcu to zrozumiał, uspokoją się. Nie usuną policyjnej ochrony od razu... ale on może to przyspieszyć.

– Wiesz przecież, że to ja wpadłem na pomysł, żeby cię pogrzebać.

– Nie, nie! – rzekł swobodnie Stark. – Zostałeś wprowadzony w błąd, to wszystko. Gdy pojawiła się ta gnida Clawson, wytrąciła cię z równowagi, tak właśnie było. Potem, gdy zadzwoniłeś do tej tresowanej małpy, która miała się za agenta literackiego, otrzymałeś naprawdę złą radę. Thad, to tak, jakby ktoś walnął kupę na stole w waszej jadalni. Ty zadzwoniłeś do człowieka, któremu ufałeś, żeby zapytać, co z nią zrobić, a on rzekł: „Nie ma problemu; po prostu polej ją sosem pieczeniowym. Gównu z sosem smakuje znakomicie w zimny wieczór”. Sam nigdy byś na to nie wpadł. Wiem o tym, stary.

– Wiesz, że to wierutne kłamstwo! – zawołał Thad. Nagle uświadomił sobie, jak doskonały jest plan Starka i jak dobrze rozumie on ludzi, z którymi ma do czynienia. Zamierza się niebawem ujawnić i powiedzieć, że nie jest George'em Starkiem. A wtedy oni mu uwierzą. Posłuchają taśmy, która się teraz przewija w piwnicy, i uwierzą w to, co zarejestrowała. Alan i wszyscy inni. Bo to nie jest tylko to, w co chcą wierzyć; to jest to, w co już wierzą.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł spokojnie, niemal uprzejmie Stark. – Nie będę ci więcej zawracał głowy, ale pozwól, że zanim

skończę, dam ci przynajmniej jedną radę. Może ci się przydać. Nie myśl sobie, że jestem George'em Starkiem. To błąd, który sam popełniłem. Musiałem zabić całą zgraję ludzi, żeby znowu wyrównało mi się pod sufitem.

Thad słuchał tego jak rażony gromem. Powinien jakoś zareagować, ale nie mógł się wyzbyć tego dziwaczного uczucia oderwania od własnego ciała oraz zdumienia niesamowitym tupetem tego człowieka.

Przypomniał sobie jałową rozmowę z Alanem Pangbornem i znowu zadał sobie pytanie, kim był, gdy wymyślał Starka, który na początku był dla niego po prostu kolejną historią. Gdzie dokładnie leżała granica wiary? Czy stworzył tego potwora, tracąc jakoś tę granicę z oczu, czy też był jeszcze jakiś inny, nieznany czynnik, którego nie dostrzegł, lecz słyszał tylko w okrzykach tych urojonych ptaków?

– Sam nie wiem – mówił Stark ze swobodnym śmiechem – może rzeczywiście jestem szalony, jak mówiono, gdy byłem w tamtym zakładzie.

Świetny pomysł, zmusz ich do szukania wysokiego barczystego blondyna w zakładach dla obłąkanych na Południu. Nie odwróci to uwagi wszystkich, ale na początek chyba wystarczy?

Thad mocno zacisnął dłoń na słuchawce, głowa pękała mu od niezdrowej furii.

– Ale ani trochę nie żałuję, że to zrobiłem, ponieważ ja naprawdę uwielbiałem te książki. Gdy byłem... tam... w tym wariatkowie... to chyba tylko one utrzymywały mnie przy zdrowych zmysłach. I wiesz co? Teraz czuję się znacznie lepiej. Teraz wiem na pewno, kim jestem, a to już coś. Sądzę, że to, co zrobiłem, można by nazwać terapią, ale nie wydaje mi się, by miała przyszłość, a tobie?

– Przestań łąć, do cholery! – krzyknął Thad.

– Moglibyśmy o tym podyskutować – rzekł Stark. – Moglibyśmy to zrobić w drodze do piekła i z powrotem, ale to by trochę trwało. Podejrzewam, że kazali ci przetrzymać mnie na linii, prawda?

Nie. To nie jest im potrzebne. I o tym także wiesz.

– Pozdrów ode mnie serdecznie swoją uroczą żonę – rzekł Stark z odrobiną czegoś, co zabrzmiało jak szacunek. – Dbaj o dzieci. A sam się nie przejmuj. Nie mam zamiaru zawracać ci więcej głowy. To...

– A te ptaki? – zapytał niespodziewanie Thad. – Słyszysz te ptaki, George?

W słuchawce zapadła nagle cisza. Thad wyczuł w niej zaskoczenie... jakby po raz pierwszy w tej rozmowie coś poszło niezgodnie ze starannie przygotowanym scenariuszem George'a Starka. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale miał wrażenie, że zakończenia jego nerwów miały jakąś tajemną zdolność rozumienia, której nie posiadał jego umysł. Doznał na chwilę uczucia szalonego triumfu – niczym bokser amator, którego cios ominął gardę Mike'a Tysona i na moment zachwiał mistrzem.

– George... słyszysz te ptaki?

W pokoju rozlegało się jedynie tykanie zegara na kominku. Liz i agenci FBI wpatrywali się w Thada.

– Nie wiem, o czym mówisz, stary – wycedził Stark. – To mogło być two...

– Nie – rzekł Thad i wybuchnął gwałtownym śmiechem. Palcami pocierał nadal małą białą bliznę, kształtem przypominającą nieco znak zapytania. – Nie, nie wiesz, o czym mówię, prawda? To posłuchaj mnie przez chwilę, George. Ja słyszę te ptaki. Jeszcze nie wiem, co one zwiastują... ale się dowiem. A wtedy...

W tym miejscu jednak urwał. Gdy się już dowie, to co się stanie? Nie miał pojęcia.

Głos w słuchawce powiedział powoli, z wielką rozważą i naciskiem:

– O czymkolwiek mówisz, to i tak nie ma znaczenia. Bo teraz to już skończone.

Rozległ się trzask. Stark przerwał połączenie. Thad poczuł się niemal wyrwany z tego mitycznego miejsca spotkania w zachodnim Massachusetts, wyrwany nie z prędkością dźwięku bądź światła, lecz myśli, i wtłoczony brutalnie z powrotem w swoje ciało znowu wolne od Starka.

Chryste Panie.

Upuścił słuchawkę i ta opadła nierówno na widełki. Odwrócił się, nie zwracając sobie głowy odłożeniem jej prawidłowo; nogi miał sztywne jak szczudła.

Dave wpadł do salonu z jednej, a Wes z drugiej strony.

– Wyszło idealnie! – wrzasnął Wes.

Agenci FBI znowu aż podskoczyli z wrażenia. Malone zapiszczał niczym kobieta z kreskówki, która właśnie zobaczyła mysz. Thad próbował sobie wyobrazić, jak tych dwóch zachowałyby się w starciu z bandą terrorystów lub rabusiów uzbrojonych w śrutówki, i nie potrafił. Może po prostu jestem zbyt zmęczony, pomyślał.

Dwaj elektromonterzy wykonali krótki niezdamy taniec, klepiąc się po plecach, po czym razem pognali do furgonetki ze sprzętem.

– To był on – powiedział Thad do Liz. – Twierdził, że nie jest Starkiem, ale to był on. On.

Wtedy podeszła do męża i objęła go mocno; potrzebował tego – dopóki nie wzięła go w ramiona, nie wiedział, jak bardzo.

– Wiem – wyszeptała mu do ucha, a on wtulił twarz w jej włosy

i zamknął oczy.

2

Krzyki obudziły bliźnięta; płakały donośnie na piętrze. Liz poszła po nie. Thad ruszył za nią, po czym zawrócił, żeby ułożyć słuchawkę prawidłowo na widełkach. Telefon natychmiast zadzwonił. W słuchawce rozległ się głos Alana Pangborna. Został w Komendzie Policji Stanowej w Orono, żeby wypić filiżankę kawy przed umówionym spotkaniem z doktorem Hume'em, i był tam, gdy Dave elektromonter wysłał mu przez radio informację o telefonie mordercy i wstępnych wynikach namierzania sygnału. Alan wydawał się bardzo podniecony.

– Nie mamy jeszcze pełnych współrzędnych, lecz wiemy, że dzwoniło z Nowego Jorku, numer kierunkowy dwieście dwanaście – wyjaśnił. – Za pięć minut ostatecznie ustalimy to miejsce.

– To był on – powtórzył Thad. – Stark. Powiedział, że nim nie jest, ale to właśnie on. Ktoś musi sprawdzić, co z dziewczyną, o której wspominał. Przypuszczalnie nazywa się Darla Gates.

– Ta wścibska zdzira z Vassar?

– Zgadza się – potwierdził Thad, chociaż wątpił, by Darla Gates mogła jeszcze gdzieś wściubić swój nos. Czuł się ogromnie znużony.

– Przekażę to nazwisko nowojorskiej policji. Jak się czujesz?

– W porządku.

– A Liz?

– Daj spokój z tą troską, dobrze? Słyszałeś, co powiedziałem? To był on. Nieważne, co mówił, to był on.

– Cóż... może po prostu poczekam na efekty namierzania telefonu?

W głosie Pangborna pobrzmiwał ton, którego Thad wcześniej

w nim nie słyszał. Nie chodziło o ostrożne niedowierzanie, jakie szeryf okazał, gdy po raz pierwszy uświadomił sobie, że Beaumontowie mówią o George’u Starku jak o prawdziwym człowieku, lecz o autentyczne zażenowanie. Chętnie oszczędziłby sobie tej świadomości, ale ów ton w głosie szeryfa był aż nazbyt wyraźny. Zażenowanie, i to bardzo szczególnego rodzaju – takie, jakie odczuwamy w stosunku do kogoś zbyt zrozczonego, głupiego lub po prostu zbyt czulego na swoim punkcie, żeby sam je odczuwał. Na tę myśl poczuł przez chwilę gorzkie rozbawienie.

– Dobrze, poczekamy – zgodził się Thad. – Mam nadzieję, że w tym czasie stawisz się na spotkanie z moim lekarzem.

Pangborn zaczął coś mówić, ale nagle Thada przestało to obchodzić. Nadkwasota znowu dała o sobie znać. Tym razem kwas żołądkowy tryskał jak z wulkanu. Przebiegły George, pomyślał. Sądzą, że go przejrzeni. On chce, żeby tak sądzili. Obserwuje ich, a gdy stąd odjadą, odjadą dostatecznie daleko, przebiegły stary George przybędzie w swoim czarnym toronado.

I co mam zrobić, żeby go zatrzymać?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Odłożył słuchawkę, uciszając głos Alana Pangborna, i poszedł na górę, żeby pomóc żonie w przewinięciu bliźniąt i ubraniu ich na popołudnie.

Cały czas myślał o tym, jakie to uczucie być uwięzionym na linii telefonicznej biegnącej pod polami zachodniego Massachusetts, uwięzionym tam w ciemności wraz z przebiegłym George’em Starkiem. Czuł się tam jak w Endsville.

Dziesięć minut później telefon znowu zadzwonił. Umilkł w połowie drugiego dzwonka i Wes elektromonter zawołał go do aparatu. Thad szedł na parter, żeby odebrać.

– Gdzie są agenci FBI? – zapytał Wesa.

Przez chwilę naprawdę oczekiwał, że Wes powie: „Agenci FBI? Nie widziałem żadnych agentów”.

– Oni? Wyszli. – Wes wzruszył ramionami, jakby chciał zapytać Thada, czy jest tym zaskoczony. – Mają te wszystkie komputery i gdy ktoś się nimi nie bawi, to przypuszczalnie ktoś inny się zastanawia, skąd tyle przestojów w pracy, a wtedy mogą zostać zmuszeni do cięć w budżecie czy czegoś takiego.

– A robią coś w ogóle?

– Nie – odparł po prostu Wes. – Nie w takich sprawach. A jeśli robią, to nigdy mnie przy tym nie było. Zapisują różne rzeczy, to fakt. Potem umieszczają to gdzieś w komputerze. Tak jak mówiłem.

– Rozumiem.

Wes spojrzał na zegarek.

– Ja i Dave też się stąd wynosimy. Sprzęt sam będzie działał. I nawet nie dostanie pan rachunku.

– Dobrze – rzekł Thad, idąc do telefonu. – I dziękuję.

– Nie ma sprawy. Panie Beaumont?

Thad się odwrócił.

– Gdybym miał przeczytać jedną z pańskich książek, to poleciliby mi pan którąś pisaną pod własnym nazwiskiem czy pod nazwiskiem tego drugiego gościa?

– Niech pan spróbuje poczytać tego drugiego – odparł Thad, podnosząc słuchawkę. – Więcej się dzieje.

Wes skinął głową, zamarkował salut i wyszedł.

– Halo?

Miał wrażenie, że powinien niebawem wszczepić sobie telefon z boku głowy. Oszczędziłoby mu to czasu i zachodu. Oczywiście podłączony do sprzętu do nagrywania i namierzania dzwoniących.

– Cześć, Thad. Mówi Alan. Wciąż jestem w Komendzie Policji Stanowej. Słuchaj, wiadomość w sprawie namierzania sygnału nie jest zbyt dobra. Twój przyjaciel telefonował z budki na Penn Station.

Thad pamiętał, co drugi elektromonter, Dave, powiedział o sensowności instalowania tego kosztownego, supernowoczesnego sprzętu po to, by namierzyć sygnał jednego z automatów telefonicznych w jakimś centrum handlowym.

– Jesteś zaskoczony?

– Nie. Zawiedziony, ale nie zaskoczony. Liczymy na jakieś spotkanie i wierz lub nie, ale zazwyczaj prędzej czy później nasze rachuby się sprawdzają. Chciałbym do was przyjechać dziś wieczorem. Może być?

– W porządku – odparł Thad. – Czemu nie? Jeżeli zrobi się nudno, zagramy w brydża.

– Dziś wieczorem powinniśmy dostać sonogramy.

– Więc dostaniecie jego sonogram. Co z tego?

– Nie sonogram. Sonogramy.

– Nie...

– Sonogram to generowana komputerowo grafika, która przedstawia wiernie parametry głosowe człowieka – wyjaśnił Pangborn. – Nie ma on nic wspólnego z mową... nie interesuje nas akcent, wady wymowy, tego rodzaju rzeczy. Komputer syntetyzuje wysokość tonu oraz intonację... to, co fachowcy nazywają rejestrem głowowym... a także barwę głosu i rezonans, które nazywane są

rejestrze piersiowym lub przeponowym. Stanowią one werbalne linie papilarne i podobnie jak w przypadku odcisków palców nikt nie znalazł jeszcze dwóch identycznych sonogramów. Słyszałem, że różnica w sonogramach bliźniąt jednojajowych jest znacznie większa niż w ich liniach papilarnych. – Zrobił pauzę. – Wysłaliśmy wierną kopię otrzymanej taśmy do FOLE w Waszyngtonie. Uzyskamy od nich porównanie waszych sonogramów. Ludzie w tutejszej Komendzie Policji Stanowej chcieli mi uświadomić, że jestem szalony. Wyczytałem to w ich twarzach, ale po historii z odciskami palców i twoim alibi nikt nie miał odwagi, by to stwierdzić wprost.

Thad otworzył usta, próbował coś powiedzieć, nie zdołał, zwilżył wargi, ponownie spróbował i ponownie mu się nie udało.

– Thad? Znowu rzucisz słuchawkę?

– Nie – odparł i nagle wydało mu się, że w jego strunach głosowych zabrzmiał świerszcz. – Dziękuję, Alanie.

– Nie mów tego głośno. Wiem, za co mi dziękujesz, i nie chcę wprowadzać cię w błąd. Staram się jedynie przestrzegać standardowej procedury śledczej. Zgoda, ta procedura jest w tym wypadku trochę dziwna, bo trochę dziwne są okoliczności. Nie znaczy to jednak, że powinieneś snuć bezpodstawne przypuszczenia, rozumiesz?

– Tak. Co to jest FOLE?

– FO... Och. Federal Office of Law Enforcement. Chyba jedyna dobra rzecz, jaką Nixon zrobił przez cały okres swojego urzędowania w Białym Domu. Składa się ono głównie z komputerowych banków danych, które służą jako centralny ośrodek wymiany informacji dla lokalnych organów ścigania... i oczywiście z programistów. Mamy dostęp do odcisków palców niemal każdego człowieka skazanego w Ameryce za ciężkie przestępstwo mniej więcej od tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątego dziewiątego roku. FOLE dostarcza również raporty balistyczne do analiz porównawczych, dostępne dane o grupie krwi zbrodniarzy, sonogramy oraz tworzone komputerowo zdjęcia podejrzanych o popełnienie przestępstw.

– Sprawdzimy więc, czy mój głos i jego...?

– Tak. Powinniśmy to dostać przed siódmą. O ósmej, jeżeli będą mieli sporo pracy.

Thad kręcił głową.

– Nasze głosy miały zupełnie inne brzmienie.

– Słyszałem to nagranie i wiem o tym – odparł Pangborn.

– Pozwól, że powtórzę: sonogram nie ma absolutnie nic wspólnego z mową. Rejestr głowowy i piersiowy. To duża różnica.

– Ale...

– Czy twoim zdaniem głosy Elmera Fudda i Kaczora Daffy’ego brzmią tak samo?

Thad zmrużył oczy.

– No... nie.

– Moim zdaniem też nie, ale niejaki Mel Blanc użył głosu jednej i drugiej postaci... nie wspominając o Króliku Bugsie, Tweetiem Kuraku i Bóg jeden wie ilu jeszcze. Muszę kończyć. Zobaczymy się dziś wieczorem, dobrze?

– Tak.

– Może między siódmą trzydzieści a dziewiątą?

– Będziemy na ciebie czekać, Alanie.

– Dobra. Jakkolwiek pójdzie, jutro wrócę do Castle Rock i jeśli nie nastąpi jakiś nieprzewidziany przełom w sprawie, już tam zostanę.

– Palec, zapisawszy, sunie dalej, zgadza się? – zauważył Thad i pomyślał: Ostatecznie na to właśnie liczy.

– Taak... mam też inne sprawy na głowie. Żadna nie jest aż tak poważna, lecz obywatele okręgu Castle płacą mi za ich załatwienie. Wiesz, co przez to rozumiem?

Thad odniósł wrażenie, że to poważne pytanie, a nie tylko wypełniacz w ich rozmowie.

– Tak. Dobrze wiem.

Obaj wiemy. Ja... i szczywany George.

– Będę musiał lecieć, ale dopóki się to nie skończy, przed twoim domem całą dobę będzie stał radiowóz policji stanowej. To twardziele. Gliniarze w Nowym Jorku trochę stracili czujność, ale ci strzegący ciebie tego nie zrobią. Nikt już nie zlekceważy tego szaleńca. Nikt o tobie nie zapomni ani nie pozwoli, by twoja rodzina borykała się z tym sama. Ludzie będą pracować nad tą sprawą, a w tym czasie inni będą strzegli ciebie i twoich bliskich. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem – odparł Thad i pomyślał: Dziś. Jutro. W przyszłym tygodniu. Może w przyszłym miesiącu. Ale w przyszłym roku? Wykluczone. Wiem o tym. I on też o tym wie. W tej chwili niezupełnie wierzą w to, co Stark powiedział o opamiętaniu się i zostawieniu mnie w spokoju. Później uwierzą... gdy miną tygodnie i nic się nie wydarzy, wiarę w to nakaże im nie tylko rozsądek, ale także rachunek ekonomiczny. George i ja wiemy bowiem, że ten świat krąży wokół Słońca utartym torem, i gdy tylko wszyscy zajmą się innymi sprawami, pojawi się George i zajmie się mną. Nami.

4

Kwadrans później Alan nadal znajdował się w Komendzie Policji Stanowej w Orono, nadal rozmawiał przez telefon i nadal czekał.

W słuchawce rozległ się trzask. Jakaś młoda kobieta zapytała go nieco przeproszającym tonem:

– Może pan jeszcze trochę zaczekać, komendancie? Komputer ma dzisiaj zły dzień.

Alan zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że jest szeryfem, a nie komendantem, ale potem przestał sobie zawracać tym głowę. Wszyscy popełniali ten błąd.

– Oczywiście – odparł.

Powrócił do trybu oczekiwania, tej późnodwudziestowiecznej odmiany czyśćca.

Siedział w ciasnym biurze na samym końcu komendy. Jeszcze trochę, a załatwiałyby sprawy w krzakach. Pokój wypełniały zakurzone akta. Jedyne biurko – z pochyłym blatem na zawiasach i kałamarzem – trafiło tutaj z jakiejś szkoły podstawowej. Szeryf trzymał blat na kolanach i dla zabicia czasu kołysał nim w tę i we w tę. Równocześnie obracał na biurku kartkę. Drobnym i starannym pismem Alana zanotowano na niej dwie informacje: „Hugh Pritchard” oraz „szpital okręgowy w Bergenfield w stanie New Jersey”.

Myślał o ostatniej rozmowie z Thadem przeprowadzonej pół godziny temu. Tej, w której powiedział mu, jak odważni funkcjonariusze policji stanowej ochronią Thada i jego żonę przed niegodziwym starym szaleńcem, który uważał się za George’a Starka, gdy ten się pojawi. Zastanawiał się, czy Thad mu uwierzył. Wątpił w to; człowiek, który zarabiał na chleb pisaniem powieści, miał pewnie dobrego nosa do bajek.

Cóż, spróbowaliby ochronić Thada i Liz, trzeba im to przyznać. Alan miał jednak stale w pamięci coś, co się wydarzyło w Bangor w 1985 roku.

Pewna kobieta na swoją prośbę otrzymała policyjną ochronę, kiedy jej mąż, od którego odeszła, pobił ją ciężko i zagroził, że wróci i ją zabije, jeżeli zrealizuje swoje plany rozwodowe. Przez dwa tygodnie nic się nie działo. Bangorska policja już miała zaprzestać obserwacji, gdy mąż pojawił się za kierownicą furgonetki z pralni, ubrany w zielony firmowy uniform z nazwą pralni na grzbiecie koszuli. Podszedł do drzwi, niosąc pakunek z upranymi rzeczami. Policjanci rozpoznaliby chyba tego człowieka nawet w uniformie, gdyby przyjechał wcześniej, tuż po wydaniu rozkazu obserwacji, ale to nie było pewne; kiedy w końcu się zjawił, nie poznali go. Zapukał do drzwi i gdy kobieta otworzyła, wyciągnął z kieszeni spodni broń i ją zastrzelił. Zanim gliniarze wyznaczeni do jej ochrony zdali sobie sprawę, co się dzieje, i wysiedli z samochodu, zabójca stał na werandzie z podniesionymi rękami. Wcześniej cisnął dymiący jeszcze rewolwer w krzaki. „Nie zabijajcie mnie – powiedział spokojnie. – Już skończyłem”. Okazało się, że furgonetkę i uniform pożyczył od starego kompana od kieliszka, który nawet nie wiedział, że sprawca jest skłócony z żoną.

Wniosek był prosty: jeżeli ktoś się na ciebie uweźmie i będzie miał choć trochę szczęścia, dopadnie cię. Pomyśl o Oswaldzie; pomyśl o Chapmanie; zobacz, co ten Stark zrobił z tymi biedakami w Nowym Jorku.

Trzask.

– Jest pan tam jeszcze, komendancie? – zapytał radośnie kobiecy głos ze szpitala okręgowego w Bergenfield.

– Tak – odparł Pangborn. – Jeszcze tu jestem.

– Mam informację, o które pan prosił. Doktor Hugh Pritchard odszedł na emeryturę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym

roku. Mam jego adres i numer telefonu w Fort Laramie w stanie Wyoming.

– Może mi pani je podać?

Zrobiła to, on podziękował, rozłączył się i wybrał podany numer. W słuchawce rozległ się krótki dzwonek, po czym włączyła się automatyczna sekretarka, która zaczęła recytować nagraną zapowiedź do ucha Alana.

– Witam, mówi Hugh Pritchard – powiedział chropawy głos. Cóż, pomyślał Alan, w każdym razie ten gość nie wykitował... a to już pewien postęp. – Nie ma nas teraz w domu. Ja pewnie gram w golfa, Bóg jeden wie, co robi Helga.

– Rozległ się chrapliwy starczy chichot. – Jeżeli masz wiadomość, zostaw ją po sygnale. Masz na to około trzydziestu sekund.

Biiip!

– Doktorze Pritchard, mówi szeryf Alan Pangborn. Jestem funkcjonariuszem organów ścigania w stanie Maine. Muszę z panem porozmawiać o człowieku, który nazywa się Thad Beaumont. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, gdy miał jedenaście lat, usunął pan zmianę w jego mózgu. Proszę zadzwonić pod numer dwieście siedem, osiemset sześćdziesiąt sześć, dwadzieścia jeden, dwadzieścia jeden w Komendzie Policji Stanowej Orono. Dziękuję.

Zakończył lekko spocony. Rozmawianie z automatycznymi sekretarkami zawsze sprawiało, że czuł się niczym uczestnik teleturnieju *Wygraj z czasem*.

Po co w ogóle zawracasz sobie tym głowę?

Odpowiedź, której udzielił Thadowi, była prosta: procedury. On sam nie mógł być usatysfakcjonowany tak gładkim wyjaśnieniem, wiedział bowiem, że nie chodzi o procedury. Mogłoby o nie chodzić –

tego nie wykluczał – gdyby ten lekarz operował człowieka, który nazywał siebie Starkiem (tyle że już nim nie jest, teraz twierdzi, że wie, kim jest naprawdę), ale tak nie było. Operował Beaumonta, a poza tym było to dwadzieścia osiem długich lat temu.

Więc dlaczego?

Dlatego że nic się tu nie zgadzało, oto dlaczego. Ani odciski palców, ani grupa krwi pobranej z niedopałków, ani połączenie pomysłowości i morderczej furii, którymi odznaczał się poszukiwany przez nich człowiek, ani uparte twierdzenia Thada i Liz, że pseudonim literacki ożył. To przede wszystkim. Były to twierdzenia pary szaleńców. Teraz zaś nie zgadzało mu się coś jeszcze. Policja stanowa bez zastrzeżeń zaakceptowała zapewnienia tego człowieka, że już rozumie, kim naprawdę jest. Według Alana były one równie autentyczne jak banknot trzydolarowy.

Z daleka pachniało podstępem i pułapką.

Ale to wszystko nie stanowi odpowiedzi na to pytanie, podszeptał jego umysł. Dlaczego zawracasz sobie tym głowę? Dlaczego dzwonisz do Fort Laramie w stanie Wyoming i ponaglasz starego doktora, który pewnie nie pamięta Thada Beaumonta z jakiejś pipidówki?

Dlatego że nie mam nic lepszego do roboty, odparł z rozdrażnieniem. Dlatego że mogę dzwonić stąd bez obaw o to, iż miejscy radni będą psioczyć na rosnące koszty rozmów międzymiastowych. A także dlatego, że oni... Thad i Liz... w to wierzą. Owszem, to szaleństwo, ale poza tym sprawiają wrażenie wystarczająco zdrowych na umyśle... i oni w to wierzą, do ciężkiej cholery. Co nie znaczy, że wierzę ja.

Bo nie wierzył.

Na pewno?

Dzień mijał powoli. Doktor Pritchard nie zadzwonił. Ale tuż po ósmej nadeszły sonogramy, a ich postać była zdumiewająca.

5

Czegoś takiego Thad zupełnie się nie spodziewał.

Oczekiwał kartki papieru milimetrowego pokrytej kolczastymi górami i dolinami wykresów, które Alan próbowałby objaśnić. On i Liz kiwaliby mądrze głowami, jak czynią ludzie, gdy ktoś tłumaczy im rzecz zbyt skomplikowaną, by mogli ją zrozumieć, wiedząc, że jeśli zadadzą pytania, kolejne wyjaśnienia będą jeszcze mniej zrozumiałe.

Zamiast tych wykresów Alan pokazał im dwie kartki gładkiego białego papieru. Przez środek każdej z nich biegła pojedyncza linia. Było na nich kilka grup „kolców”, z reguły podwójnych lub potrójnych, ale linie te w większości tworzyły łagodne (choć dość nieregularne) sinusoidy. I wystarczyło przenieść wzrok z jednej na drugą, by dostrzec, że są identyczne lub niemal identyczne.

– To wszystko? – zapytała Liz.

– Niezupełnie – odparł Alan. – Obserwujcie.

Nasunął jedną kartkę na drugą. Zrobił to z miną magika wykonującego wyjątkowo piękną sztuczkę. Uniósł obie kartki do światła. Thad i Liz wpatrywali się w nie.

– Rzeczywiście – powiedziała Liz cichym, zatrwożonym głosem. – One są identyczne.

– Cóż... nie całkiem – rzekł Alan i wskazał trzy miejsca, gdzie linia sonogramu pod spodem odrobinę przezierała. Jedno z nich znajdowało się nad linią na wierzchniej kartce, dwa pozostałe poniżej. We wszystkich trzech wypadkach chodziło o miejsca,

w których występowały „kolce”. Same sinusoidy pasowały do siebie idealnie.

– Różnice pojawiają się na sonogramie Thada, i to tylko w chwilach napięcia. – Alan stukał po kolei palcem w każdy taki punkt. – Tutaj: „Czego chcesz, sukinsynu? Czego ty, kurwa, chcesz?”. Oraz tutaj: „Wiesz, że to wierutne kłamstwo!”. I wreszcie tutaj: „Przestań łągać, do cholery!”. W tej chwili wszyscy skupiają się na tych trzech drobnych różnicach, bo chcą się trzymać swojego założenia, że dwa sonogramy nigdy nie są identyczne. Faktem jednak jest, że w kwestiach Starka nie było śladu napięcia. Ten drań zachował chłód, spokój i opanowanie przez całą rozmowę.

– Taak–potwierdził Thad. – Sprawiał wrażenie człowieka popijającego lemoniadę.

Alan położył sonogramy na stoliku przy ścianie.

– Nikt w centrali policji stanowej tak naprawdę nie wierzy, że to są dwa różne sonogramy, nawet przy tych drobnych różnicach – powiedział. – Wydruki otrzymaliśmy z Waszyngtonu bardzo szybko. Przyjechałem tak późno dlatego, że gdy zobaczył je ekspert w Auguście, zażądał kopii nagrania. Wysłaliśmy ją samolotem z Bangor, a oni przepuścili nagranie przez gadżet zwany wzmacniaczem sygnału audio. Używają go do oceny, czy ktoś rzeczywiście wypowiedział analizowane słowa, czy też słuchają głosu, który został wcześniej nagrany.

– Czy jest to głos na żywo, czy tylko z taśmy? – zapytał Thad, który siedział przy kominku i popijał napój gazowany.

Obejrawszy sonogramy, Liz podeszła z powrotem do kojca. Siedziała po turecku na podłodze, próbując uchronić Williama i Wendy przed zderzeniem się główkami podczas wzajemnego

oglądania sobie palców u nóg.

– Po co to zrobili?

Alan skierował uniesiony kciuk w stronę Thada, który uśmiechał się kwaśno.

– Twój mąż zna odpowiedź.

Thad zwrócił się do Alana:

– Wobec niewielkich różnic w miejscach „kolców” mogą się przynajmniej łudzić, że na taśmie słyhać dwa różne głosy, nawet jeżeli nie są dyletantami... to chciałeś powiedzieć, prawda?

– Mhm. Chociaż nigdy nie słyzałem o sonogramach choćby w przybliżeniu tak podobnych. – Wzruszył ramionami.

– Zgoda, w tej dziedzinie nie mam tak bogatego doświadczenia jak ludzie z FOLE, którzy zarabiają ich badaniem na życie, czy nawet ludzie w Auguście, którzy w zasadzie są praktykami... od sonogramów, linii papilarnych, śladów opon. Czytam jednak literaturę fachową i byłem tam, gdy przysłyły wyniki. Łudzą się, owszem, ale robią to bez przekonania.

– Wykryli zatem trzy drobne różnice, ale one nie wystarczą. Tak więc użyli tego wzmacniacza, licząc na wyjście awaryjne. W istocie zaś mając nadzieję, że kwestie wypowiedane przez Starka okażą się nagraniem odtworzonym z taśmy. Dokonanym przeze mnie. – Thad rzucił okiem na Alana. – Czy wygrałem duszonego kurczaka?

– Nie tylko kurczaka, ale i szklany serwis na sześć osób oraz bezpłatną wycieczkę do Kittery.

– To najbardziej szalona rzecz, o jakiej słyzałem – stwierdziła kategorycznie Liz.

Thad zaśmiał się smętnie.

– Cała ta historia to szaleństwo. Myśleli, że mogłem zmienić głos

jak Rich Little... czy Mel Blanc. Założyli, że nagrałem taśmę z głosem George'a Starka, wprowadzając pauzy, w których mógłbym odpowiadać w obecności świadków własnym głosem. Oczywiście musiałbym kupić jakiś gadżet, który podłączyłby magnetofon kasetowy do automatu telefonicznego. Są takie urządzenia, nieprawdaż, Alanie?

– No pewnie. Można je dostać u wszystkich dostawców precyzyjnych urządzeń elektronicznych lub po prostu wybrać bezpłatny numer, który pojawi się na wyświetlaczu twojego telefonu, operatorzy są w pogotowiu.

– Zgadza się. Potrzebowałbym jeszcze tylko współnika... kogoś zaufanego, kto pojechałby na Penn Station, podłączył odtwarzacz do automatu, który wyglądał na najrzadziej używany, i zadzwonił do mojego domu w odpowiednim momencie. Po czym... – Thad przerwał. – Jak zapłacono za tę rozmowę, bo nie pamiętam? A nie było to połączenie na koszt rozmówcy.

– Użyto numeru twojej telefonicznej karty kredytowej – odparł Alan. – Najwyraźniej dałeś ją swojemu współnikowi.

– Tak, oczywiście. Gdy zaczęła się ta ściema, musiałem tylko zrobić dwie rzeczy. Jedną było dopilnowanie, bym sam odebrał ten telefon. A drugą zapamiętanie swoich kwestii i wypowiedzenie ich we właściwych pauzach. Spisałem się na medal, nie sądzisz, Alanie?

– Taak. Fantastycznie.

– Mój współnik odwiesza słuchawkę w momencie wskazanym w scenariuszu. Odłącza odtwarzacz od telefonu, wtyka go pod pachę...

– Diabła tam, wtyka! Wsuwa go do kieszeni – poprawił szeryf. – Teraz mają tak dobry sprzęt, że nawet CIA kupuje w Radio Shack.

– W porządku. Wsuwa go do kieszeni i po prostu odchodzi. Wynikiem tej ściemy jest rozmowa, podczas której widać i słyszać, jak zwracam się do jakiegoś człowieka oddalonego o osiemset kilometrów, kogoś, czyj głos brzmi inaczej... tak naprawdę ociupinkę przypomina głos południowca... ale ma identyczny sonogram. Znowu linie papilarne, tylko jeszcze lepsze.

Thad spojrział na Pangborna, licząc na potwierdzenie.

– Po zastanowieniu – powiedział Alan – przyznaję ci w nagrodę w pełni opłaconą podróż do Portsmouth.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– To nie tylko szalone – zauważyła Liz – ale też zupełnie niewiarygodne. Myślę, że tych wszystkich ludzi należałoby...

Gdy odwróciła uwagę od bliźniąt, malcom w końcu udało się zderzyć główkami i zaczęły płakać wniebogłosy. Liz wzięła Williama na ręce, a Thad pospieszył na ratunek Wendy.

Gdy kryzys minął, Pangborn rzekł:

– Owszem, to niewiarygodne. Ty to wiesz, ja to wiem i oni też to wiedzą. Ale Conan Doyle włożył w usta Sherlocka

Holmesa przynajmniej jedno stwierdzenie, które nadal się sprawdza w wykrywaniu przestępstw: gdy wyeliminujesz wszystkie potencjalne wyjaśnienia, pozostaje rozwiązanie... niezależnie od tego, jak bardzo może być nieprawdopodobne.

– Sądzę, że w oryginale brzmiało to trochę zgrabniej – zauważył Thad.

Alan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pieprz się.

– Może was to bawi, ale mnie nie – powiedziała Liz. – Thad

musiałby być szalony, żeby uczynić coś takiego. Oczywiście policja może myśleć, że oboje jesteśmy szaleni.

– Wcale tak nie myśli – odparł z powagą Pangborn.

– Przynajmniej nie w tym momencie. I nie będzie tak myśleć, o ile zachowacie swoje co bardziej szalone opowieści dla siebie.

– A ty, Alanie? – zapytał Thad. – Ujawniliśmy ci wszystkie szalone opowieści... Co ty myślisz?

– Myślę, że nie jesteście szaleni. Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdybym rzeczywiście tak sądził. Nie wiem, co tu jest grane.

– Czego się dowiedziałeś od doktora Hume'a? – zapytała Liz.

– Jak nazywa się lekarz, który operował Thada w dzieciństwie – odparł szeryf. – To Hugh Pritchard... Czy to nazwisko brzmi znajomo, Thad?

Beaumont zmarszczył czoło i się zastanawiał. W końcu rzekł:

– Chyba tak... ale być może tylko mi się wydaje. To było dawno temu.

Liz pochyliła się do przodu; oczy jej pojaśniały. William gapił się z zaciekawieniem na Pangborna z bezpiecznych kolan matki.

– Co powiedział ci Pritchard? – zapytała.

– Nic. Usłyszałem zapowiedź nagrany na jego automatycznej sekretarce... co pozwala wywnioskować, że ten człowiek jeszcze żyje... i to wszystko. Zostawiłem mu wiadomość.

Liz wyraźnie rozczarowana usadowiła się wygodnie w fotelu.

– A wyniki moich badań? – zapytał Thad. – Czy Hume dostał coś z powrotem? Czy też nie chciał ci powiedzieć?

– Oświadczył, że gdy otrzyma wyniki, w pierwszej kolejności poznasz je ty – odparł Pangborn i uśmiechnął się szeroko. – Doktor Hume wydawał się urażony sugestią, że miałby cokolwiek mówić

szeryfowi okręgowemu.

– Cały George Hume – rzekł Thad z uśmiechem. – Zrzedliwość to główna cecha jego charakteru.

Pangborn poprawił się na swoim miejscu.

– Chciałbyś się czegoś napić, Alanie? – zapytała Liz.

– Może piwa albo pepsi?

– Nie, dziękuję. Wróćmy do tego, co sądzi i czego nie sądzi policja stanowa. Nie wierzą, by któreś z was było w to zamieszane, lecz zastrzegają sobie prawo, by zakładać, że tak mogło być. Wiedzą, że nie mogą przypisać ci, Thad, zabójstw z wczorajszej nocy i dzisiejszego poranka. Może współnikowi... temu samemu, hipotetycznie, który wykręciłby numer z magnetofonem... ale nie tobie. Ty byłeś tutaj.

– A co z Darlą Gates? – zapytał cicho Thad. – Z tą dziewczyną, która pracowała w biurze rewidenta?

– Nie żyje. Została dość poważnie okaleczona, tak jak sugerowałem, ale najpierw kula przestrzeliła jej głowę. Nie cierpiała.

– To kłamstwo.

Alan zrobił wielkie oczy.

– Nie potraktował jej tak łagodnie. Nie po tym, co zrobił Clawsonowi. Ostatecznie to ona pierwsza zakapowała, czyż nie? Clawson pomachał jej pieniędzmi przed nosem... nie mogło być tego dużo, sądząc po stanie jego finansów. a ona wyświadczyła mu przysługę, puszczając farbę. Więc nie wmawiaj mi, że dostała kulkę, zanim ją pokaleczył, i że nie cierpiała.

– No dobra – przyznał Alan. – Było inaczej. Chcecie wiedzieć, jak było naprawdę?

– Nie – odparła natychmiast Liz.

W pokoju na moment zaległa głucha cisza. Wydawało się, że wyczuły to nawet bliźnięta, które spojrzały na siebie z wielką powagą. W końcu Thad rzekł:

– Pozwól, że znowu zapytam: co ty sądzisz? Co myślisz teraz?

– Nie mam żadnej teorii. Wiem, że nie nagrałeś kwestii Starka, ponieważ wzmacniacz nie ujawnił żadnego szumu na taśmie, a gdy wzmocnisz sygnał akustyczny, słysząc zapowiedź z głośnika na Penn Station, że „Pielgrzyma” do Bostonu podstawiono na tor numer trzy. Tego popołudnia „Pielgrzym” rzeczywiście stał na torze trzecim. Pasażerowie zaczęli wsiadać do pociągu o drugiej trzydzieści sześć i jest to zbieżne z waszą krótką pogawędką. Ale mnie nawet to nie było potrzebne. Gdyby słowa Starka zostały odtworzone z taśmy, ty albo Liz zapytalibyście mnie, co wykazał proces wzmocnienia sygnału, gdy tylko poruszyłem tę kwestię. Żadne z was tego nie zrobiło.

– I mimo tych wszystkich faktów nadal w to nie wierzysz, prawda?
– rzekł Thad. – Sęk w tym, że cię to rusza... na tyle, byś faktycznie starał się odnaleźć doktora Pritcharda... ale w rzeczywistości nie potrafisz dotrzeć do istoty wydarzeń. – Thad samemu sobie wydawał się sfrustrowany i udręczony.

– Ten gość sam przyznał, że nie jest Starkiem.

– O tak. I w dodatku zrobił to bardzo szczerze. – Thad się roześmiał.

– Zachowujesz się tak, jakbyś nie był tym zaskoczony.

– Bo nie jestem. Ciebie to zaskoczyło?

– Szczerze mówiąc, tak. Zadawszy sobie tyle trudu, żeby dowieść, iż obaj macie identyczne linie papilarne, identyczne sonogramy...

– Przerwij na chwilę, Alanie – poprosił Thad.

Alan spojrzał pytająco na Thada.

– Dziś rano powiedziałem ci, że moim zdaniem te czyny są dziełem George’a Starka. Nie mojego współnika, nie psychola, który jakimś cudem zdołał wynaleźć sposób na skopiowanie linii papilarnych innych osób... między napadami morderczego szału a zanikami poczucia tożsamości... a ty mi nie uwierzyłeś. Czy teraz wierzysz?

– Nie. Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć inaczej, ale potrafię jedynie przyznać, iż wierzę, że ty wierzysz. – Przesunął wzrok, by spojrzeć na Liz. – Że oboje wierzycie.

– Zadowolę się prawdą, ponieważ wszystko, co nią nie jest, może mnie zabić – odparł Thad. – W tym momencie cieszy mnie sama wiadomość, że nie masz żadnej teorii. To niewiele, ale i tak oznacza krok naprzód. Próbowiałem ci pokazać, że odciski palców i sonogramy nie mają żadnego znaczenia i że Stark o tym wie. Możesz sobie mówić do woli o odrzucaniu niemożliwego i akceptowaniu choćby najbardziej nieprawdopodobnej reszty, ale to nie działa w ten sposób. Nie akceptujesz Starka, a przecież to on zostaje po usunięciu reszty. Ujmę to tak, Alanie: gdybyś miał tyle dowodów na obecność guza w swoim mózgu, poszedłbyś do szpitala i poddał się operacji, nawet gdyby istniało spore ryzyko, że jej nie przeżyjesz.

Pangborn otworzył usta, pokręcił głową i znowu zacisnął wargi. Poza tykaniem zegara oraz cichym gaworzeniem bliźniąt w salonie nie słychać było żadnych dźwięków. Thad szybko nabierał poczucia, że spędził tu całe dorosłe życie.

– Z jednej strony masz dość mocnych dowodów, żeby wszcząć proces poszlakowy w sądzie – podjął cicho Beaumont. – Z drugiej dysponujesz niepopartym dowodami zapewnieniem mojego telefonicznego rozmówcy, że „opamiętał się”, że „teraz wie, kim jest”.

Mimo to zamierzasz zignorować dowody, wybierając to zapewnienie.

– Nie, Thad. To nieprawda. W tej chwili nie akceptuję żadnych zapewnień... twoich, twojej żony, a już najmniej tych, które złożył dzwoniący do ciebie mężczyzna. Nadal rozważam wszystkie możliwości.

Thad wskazał kciukiem na okno za sobą. Za delikatnie drżącymi zasłonami widzieli radiowóz funkcjonariuszy policji obserwujących dom Beaumontów.

– A co z nimi? Czy oni też nadal rozważają wszystkie możliwości? Wiele bym dał, byś tutaj został, Alanie... wolałbym ciebie od całej armii policjantów stanowych, bo ty przynajmniej masz jedno oko na wół otwarte. Ich oczy są szczelnie zamknięte.

– Thad...

– Nieważne – rzekł Thad. – To prawda. Wiesz o tym... a on też o tym wie. I poczeka. A gdy wszyscy uznają, że sprawa skończona i Beaumontowie są bezpieczni, gdy policja zwinie swój obóz i się wyniesie, George Stark przybędzie tutaj.

Kiedy Thad przerwał, trzeba było widzieć jego ponurą twarz. Alan dostrzegł w niej żal, determinację i strach.

– Teraz coś ci powiem... powiem wam obojgu. Wiem dokładnie, czego on chce. Chce, żebym napisał jeszcze jedną powieść pod nazwiskiem Stark... przypuszczalnie kolejną o Alexisie Machinie. Nie wiem, czy mógłbym to zrobić, ale gdybym uznał, że to coś da, tobym spróbował. Zniszczyłbym *Złotego psa* i zaczął dziś wieczorem.

– Nie! – krzyknęła Liz.

– Nie martw się – ciągnął. – To by mnie zabiło. Nie pytaj, skąd o tym wiem; po prostu wiem. Ale gdyby moja śmierć miała położyć temu kres, mogę spróbować. Choć nie sądzę, by tak było. Ponieważ

tak naprawdę myślę, że Stark wcale nie jest człowiekiem.

Alan milczał.

– No! – dodał Thad, mówiąc z miną kogoś kończącego ważną sprawę. – Tak właśnie wygląda sytuacja. Nie mogę, nie napiszę, nie wolno mi. To zaś znaczy, że on przybędzie. A gdy przybędzie, Bóg jeden wie, co się wydarzy.

– Thad – rzekł Alan z zażenowaniem – musisz nabrać do tego dystansu, i tyle. A gdy już nabierzesz, prawie wszystko po prostu... uleci. Niczym puch mlecza. Niczym zły sen nad ranem.

– Nie takiego dystansu potrzebujemy – powiedziała Liz. Spojrzeli na nią i zobaczyli, że płacze bezgłośnie. Łez było niewiele, ale były. – Potrzebujemy kogoś, kto z nim skończy.

6

Alan wrócił do Castle Rock wczesnym rankiem, dotarł do domu tuż przed drugą. Zakradł się do środka jak najszybciej, zauważywszy przy okazji, że Annie znowu nie włączyła alarmu przeciwwłamaniowego. Nie lubił jej tym zamęczać – ostatnio coraz częściej miewała migreny – ale przypuszczał, że prędzej czy później będzie musiał.

Ruszył na piętro z butami w dłoni, stąpając tak lekko, jakby wręcz unosił się w powietrzu. Poruszał się z wielką gracją, stanowiącą krańcowe przeciwieństwo niezdarności Thada Beaumonta, ale rzadko ją przejawiał; ciało szeryfa posiadało chyba jakiś tajemny sekret ruchu, który na swój sposób wprawiał go w zażenowanie. Teraz, w tej ciszy, nie musiał tego ukrywać i sunął z zagadkową, makabryczną niemal swobodą.

W połowie schodów przystanął... i wrócił na dół. Obok salonu miał pokoik niewiele większy od schowka na sprzęt do sprzątania,

wyposażony w biurko i parę regałów, ale wystarczający na jego potrzeby. Starał się nie przynosić pracy do domu. Nie zawsze mu się to udawało, ale usilnie próbował.

Zamknął drzwi, włączył światło i spojrzał na telefon.

Chyba nie masz zamiaru tego zrobić? – pomyślał. Chodzi mi o to, że w Górach Skalistych jest prawie północ, a ten gość nie jest po prostu emerytowanym lekarzem; to emerytowany neurochirurg. Obudź go, a zmiesza cię z błotem, dupku.

Po czym pomyślał o oczach Liz Beaumont – ciemnych, przerażonych – i postanowił, że to zrobi. Może nawet to coś da; telefon w środku nocy dowiódłby, że to poważna sprawa, i skłonił doktora Pritcharda do myślenia. Potem Alan mógłby do niego ponownie zadzwonić o bardziej sensownej porze.

Kto wie, pomyślał bez większej nadziei (ale z odrobiną poczucia humoru), może brakuje mu telefonów w środku nocy.

Wyciągnął skrawek papieru z kieszeni bluzy munduru i wybrał numer Hugh Pritcharda w Fort Laramie. Zrobił to na sto jęco, szykując się na wybuch złości w chropawym głosie doktora.

Niepotrzebnie się martwił; automatyczna sekretarka włączyła się w tym samym co poprzednio momencie i przekazał tę samą wiadomość.

Odwiesił w zamyśleniu słuchawkę i usiadł przy biurku. Wygięta niczym gęsia szyja lampa rzucała na blat biurka krąg światła i Alan zaczął w jej blasku tworzyć serię zwierzęcych postaci – królika, psa, jastrzębia, a nawet całkiem znośnego kangura. Gdy był sam i się nie denerwował, jego dłonie odznaczały się takim samym wdziękiem jak reszta ciała; pod tymi niesamowicie giętkimi palcami zwierzęta paradowały ciągłym szeregiem przez maleńki krąg punktowego

światła rzucanego przez zakapturzoną żarówkę. Ta drobna rozrywka zawsze fascynowała i bawiła dzieci szeryfa, a często uspokajała jego wzburzony umysł.

Teraz nie podziiała.

Doktor Hugh Pritchard nie żyje. Stark dopadł i jego.

To oczywiście było niemożliwe; pewnie mógłby uwierzyć w ducha, gdyby ktoś przytknął mu pistolet go głowy, ale nie w jakiegoś złośliwego Supermana, który jednym skokiem przemierzał całe kontynenty. Mógłby wymyślić kilka niezłych powodów, by włączyć na noc automatyczną sekretarkę. Nie najgorszym z nich była chęć obrony przed telefonującymi późno obcymi, takimi jak szeryf Alan J. Pangborn z Castle Rock w stanie Maine.

Taak, ale on nie żyje. On i jego żona. Jak miała na imię? Helga. „Ja pewnie gram w golfa, Bóg jeden wie, co robi Helga”. Ale ja wiem, co Helga robi; wiem, co oboje robicie. Leżycie zbrukani krwią aż po wasze poderżnięte gardła, tak właśnie myślę, a na ścianie waszego salonu na Wielkiej Równinie zostawiono wiadomość, która brzmi: WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ.

Alan Pangborn zadrzał. To były obłądne myśli, ale i tak zadrzał. Dreszcze przebiegły po nim jak prąd.

Wybrał numer informacji telefonicznej stanu Wyoming, otrzymał numer biura szeryfa w Fort Laramie i zadzwonił tam. Odebrał zaspany dyspozytor. Alan przedstawił się, wyjaśnił, z kim próbuje się skontaktować i gdzie ten człowiek mieszka, po czym zapytał, czy mają doktora Pritcharda i jego żonę w swojej ewidencji urlopowej. Jeżeli rzeczywiście wyjechali na wakacje – a zbliżał się sezon wakacyjny – prawdopodobnie poinformowali o tym lokalną policję i poprosili, by miała na oku pusty dom.

– Cóż – odparł dyspozytor. – Może poda mi pan swój numer? Oddzwonię do pana z tą informacją.

Alan westchnął. Kolejna standardowa procedura operacyjna, a mówiąc wprost, kolejne wciskanie kitu. Facet nie chciał ujawnić informacji, dopóki się nie upewnił, czy Alan jest tym, za kogo się podaje.

– Nie – rzekł. – Telefonuję z domu i jest środek nocy...

– Tutaj też nie jest samo południe, szeryfie Pangborn – odparł lakonicznie dyspozytor.

Alan westchnął.

– To z pewnością prawda. Na pewno też pańska żona i dzieci nie śpią na piętrze. Zrób tak, przyjacielu: zadzwoń do komendy policji stanu Maine w Oxfordzie... podyktuję ci numer. i sprawdź moje nazwisko. Mogą ci podać numer mojej policyjnej legitymacji. Zadzwonię za dziesięć minut i wtedy możemy wymienić hasła.

– Niech pan dyktuje – rzekł dyspozytor, ale nie wydawał się zachwycony.

Alan domyślił się, że być może odciągnął mężczyznę od nocnego filmu lub lektury najnowszego numeru „Penthouse’u”.

– O co chodzi? – zapytał dyspozytor, odczytawszy numer telefonu Komendy Policji Stanowej w Oxfordzie.

– O śledztwo w sprawie morderstwa – odparł Pangborn.

– To świeża sprawa. Nie dzwonię do ciebie w sprawie stanu mojego zdrowia, kolego – dodał i się rozłączył.

Siedział przy biurku, robił zwierzątka w teatrze cieni i czekał, aż sekundnik dziesięć razy zakreśli pełny krąg na tarczy zegara. Ruch wskazówki wydawał się bardzo powolny. Obiegła tarczę zaledwie pięć razy, gdy otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Annie. Miała

na sobie różowy szlafrok i wyglądem przypominała trochę zjawę; poczuł, że znowu zaczyna przenikać go dreszcz, jakby zajrzał w przyszłość i zobaczył w niej coś nieprzyjemnego, paskudnego wręcz.

Jak bym się czuł, gdyby to na mnie polował? – zastanowił się nagle. Na mnie, na Annie, Toby'ego i Todda? Jak bym się czuł, gdybym wiedział, kim on jest... i nikt by mi nie wierzył?

– Alanie? Co tu robisz o tak późnej porze?

Pangborn uśmiechnął się, wstał i pocałował ją swobodnie.

– Czekam, aż przestaną działać prochy – odparł.

– A tak naprawdę... chodzi o tę sprawę z Beaumontem?

– Taak. Staram się odnaleźć jednego lekarza, który może coś o tym wiedzieć. I stale zgłasza się automatyczna sekretarka, więc zadzwoniłem do biura szeryfa, żeby się upewnić, czy figuruje w ich ewidencji urlopowej. Człowiek, z którym rozmawiałem, sprawdza teraz pewnie moją wiarygodność.

– Alan spojrział na żonę z troską i zapytał: – Jak się czujesz, kochanie? Bolała cię wieczorem głowa?

– Nie, ale słyszałam, jak przyjechałeś – odparła z uśmiechem. – Gdy chcesz, zachowujesz się najciszej w świecie, lecz samochodu nie jesteś w stanie uciszyć.

Pangborn przytulił żonę.

– Chcesz herbaty? – zapytała.

– Nie, nie. Za to chętnie napiję się mleka.

Annie zostawiła go samego i wróciła po chwili z pełną szklanką.

– Jaki jest Beaumont? – zapytała. – Widuję go w mieście, a jego żona od czasu do czasu zagląda do sklepu, ale z nim nigdy nie rozmawiałam.

Chodziło o sklep Szycie na Okrągło, prowadzony przez jego właścicielkę Polly Chalmers. Annie Pangborn pracowała tam w niepełnym wymiarze godzin od czterech lat.

Alan zastanowił się nad tym.

– Lubię go – rzekł w końcu. – Z początku nie darzyłem go sympatią... uważałem, że to zimna ryba. Ale widywałem go w trudnych okolicznościach. Po prostu... zachowuje dystans. Może z uwagi na to, czym zarabia na życie.

– Obie jego powieści bardzo mi się podobały – powiedziała Annie. Pangborn uniósł brwi.

– Nie wiedziałem, że czytałaś jego książki.

– Nigdy o to nie pytałeś, Alanie. Potem, gdy ukazał się ten artykuł o jego pseudonimie literackim, spróbowałam lektury jednej z pozostałych. – Zmarszczyła z niesmakiem nos.

– Niedobra?

– Straszna. Przerażająca. Nie skończyłam jej. Nigdy bym nie uwierzyła, że napisał ją ten sam człowiek.

Nie zgadniesz, kotku, pomyślał Alan, ale on też w to nie wierzy.

– Powinnaś wrócić do łóżka – zauważył – bo inaczej obudzisz się z kolejnym potwornym bólem głowy.

Annie pokręciła głową.

– Myślę, że ten potwór znowu zniknął, przynajmniej na jakiś czas. – Posłała mu spojrzenie spod opuszczonych powiek.

– Gdy przyjdiesz na górę, wciąż będę czuwała... o ile nie będziesz zbyt długo zwlekał.

Alan nakrył dłonią okrytą szlafrokiem pierś żony i pocałował ją w rozchylone usta.

– Przyjdę jak najszybciej.

Annie wyszła, a on spostrzegł, że minęło ponad dziesięć minut. Znowu zatelefonował do Wyoming i usłyszał tego samego sennego dyspozytora.

– Już myślałem, że pan o mnie zapomniał, przyjacielu.

– Bynajmniej – odparł Alan.

– Może pan podać mi numer swojej legitymacji, szeryfie?

– Sto dziewięć, czterdzieści cztery, dwieście pięć, ME.

– Sądzę, że naprawdę jest pan szeryfem. Przepraszam, że o tak późnej porze poddałem pana tej skomplikowanej weryfikacji, szeryfie, ale chyba pan rozumie.

– Rozumiem. Co może mi pan powiedzieć o doktorze Pritchardzie?

– On i jego żona faktycznie są w ewidencji urlopowej – odparł dyspozytor. – Do końca miesiąca obozują pod namiotem w parku Yellowstone.

No proszę, pomyślał Alan. Widzisz? Siedzisz tu i walczysz z widmami w środku nocy. Żadnych podejrziętych gardeł. Żadnego napisu na ścianie. Jedynie dwoje starszych ludzi podróżujących z namiotem.

Przekonał się jednak, że nie czuje specjalnej ulgi. Doktora Pritcharda trudno będzie złapać, przynajmniej przez następnych parę tygodni.

– Gdybym musiał przekazać temu człowiekowi wiadomość, myślisz, że mógłbym to zrobić? – zapytał Alan.

– Sądzę, że tak – odparł dyspozytor. – Mógłby pan zadzwonić do obsługi parku Yellowstone. Powinni wiedzieć, gdzie jest. To może trochę potrwać, ale przypuszczalnie ściągną go do telefonu. Spotkałem go parę razy. Sprawia wrażenie dość miłego staruszka.

– Cóż, dobrze wiedzieć – rzekł Alan. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co dziękować... po to tu jesteśmy.

Alan usłyszał cichy szelest kartek i wyobraził sobie, jak gdzieś w środku Ameryki ten anonimowy mężczyzna znowu sięga po swój magazyn dla panów.

– Dobranoc – rzekł.

– Dobranoc, szeryfie.

Alan rozłączył się i przez moment siedział na swoim miejscu, spoglądając w ciemność przez okno pokoiku.

On tam jest. Gdzieś jest. Coraz bliżej.

Znowu się zastanawiał, jak by się czuł, gdyby stawką było jego życie oraz życie Annie i ich dzieci. Jak by się czuł, gdyby o tym wiedział i nikt by mu nie wierzył.

„Znowu przynosisz to ze sobą do domu, mój drogi” – usłyszał w myślach słowa żony.

To była prawda. Piętnaście minut temu był przekonany – a raczej czuł – że Hugh i Helga Pritchardowie leżą martwi w kałuży krwi. Okazało się, że to nieprawda; tej nocy spali spokojnie pod rozgwieżdżonym niebem w Parku Narodowym Yellowstone. Tyle była warta jego intuicja; potrafiła tylko zaciemnić obraz.

Tak właśnie poczuje się Thad, gdy odkryje, co naprawdę się dzieje, pomyślał. Gdy dowiemy się, że wyjaśnienie, choć może się okazać dziwaczne, jest zgodne ze wszystkimi prawami natury.

Naprawdę w to wierzył?

Uznał, że tak – naprawdę wierzy. Przynajmniej w swojej świadomości. Jego zakończenia nerwowe nie potwierdzały tej pewności.

Dopił mleko, zgasił lampę na biurku i poszedł na górę. Annie nie spała i była cudowna w swej nagości. Wzięła go w ramiona, a on

chętnie zapomniał o całym świecie.

7

Dwa dni później Stark znowu zadzwonił. W tym czasie Thad Beaumont znajdował się w Dave's Market.

Był to rodzinny sklepik przy tej samej ulicy, oddalony o dwa i pół kilometra od domu Beaumontów. Przydawał się, gdy jazda do supermarketu w Brewer stanowiła po prostu zbyt duży kłopot.

Thad wybrał się tam w piątkowy wieczór, żeby kupić zgrzewkę pepsi, trochę chipsów i dip. Pojechał z nim jeden z policjantów pilnujących jego rodziny. Był dziesiąty czerwca, szósta trzydzieści wieczorem, a niebo było jeszcze dość jasne. Lato, ten piękny zielony stwór, znowu dotarło do Maine.

Thad wszedł do sklepu, policjant został w samochodzie. Beaumont kupił pepsi i właśnie oglądał szeroki asortyment dipów (był normalny dip z mały, a tym, którzy za nim nie przepadali, zostawał jeszcze zwykły cebulowy), gdy zadzwieczał telefon.

Od razu uniósł wzrok, myśląc: Och. No dobra.

Odebrała stojąca za ladą Rosalie. Powiedziała „halo”, słuchała przez chwilę, po czym, tak jak się spodziewał, podała mu słuchawkę. Znowu ogarnęło go to senne uczucie – *presque vu*.

– Telefon do pana.

Czuł się całkiem spokojny. Serce zabiło mu mocniej, ale tylko raz; teraz pracowało w normalnym tempie. Nie pocił się.

Nie było też ptaków.

Nie odczuwał zupełnie strachu i wściekłości, jak dwa dni wcześniej. Nie zawracał sobie głowy pytaniem Rosalie, czy to jego żona, pragnąca, żeby przy okazji kupić tuzin jaj lub może karton soku

pomarańczowego. Wiedział, kto dzwoni.

Stał przy komputerze Megabucks z jasnozielonym ekranem oznajmiającym, że w ubiegłym tygodniu nikt nie wygrał i teraz w puli loteryjnej czekają na zwycięzcę cztery miliony dolarów. Wziął słuchawkę od sprzedawczyni i rzekł:

- Cześć, George.
- Cześć, Thad.

Delikatny niczym pociągnięcie pędzlem akcent pozostał, ale po sposobie artykulacji wiejskiego prostaka nie było śladu; Beaumont zdał sobie tylko sprawę, jak dobitnie, choć subtelnie, Stark zdołał w tej sytuacji stworzyć wrażenie, że mówi: „Patrza jta, chłopaki, nie jestem zbyt lotny, ale przecież uszło mi to na sucho, co nie?”.

Ale teraz oczywiście zostało tylko „chłopaki”, pomyślał Thad. Po prostu dwóch białych powieściopisarzy, którzy stali sobie i rozmawiali.

- Czego chcesz?
- Znasz odpowiedź na to pytanie. Nie ma potrzeby, byśmy uprawiali gierki, prawda? Trochę na to za późno.
- Może po prostu chcę to usłyszeć z twoich ust.

I znowu to uczucie, to dziwne wrażenie, że został wyssany z cielesnej powłoki i znalazł się dokładnie pośrodku linii telefonicznej między nimi.

Rosalie przeszła na drugi koniec lady, gdzie wyciągnęła paczki papierosów ze stosu kartonów i uzupełniała ich zapas w długim automacie. Ostentacyjnie, co było niemal komiczne, nie słuchała słów wypowiedzianych przez Thada w tej rozmowie. W Ludlow – a w każdym razie w tym rejonie miasta – nie było człowieka, który nie zdawał sobie sprawy, że Thad pozostaje pod policyjną strażą,

ochroną czy jakimś innym policyjnym cholerstwem, i Beaumont nie musiał słyszeć plotek, by wiedzieć, że już zaczęły krążyć. Ci, którzy nie oczekiwali, iż zaraz zostanie aresztowany za przemyt narkotyków, bez wątpienia wierzyli, że chodzi o molestowanie dzieci lub bicie żony. Biedna stara Rosalie stała tam, próbując się zachowywać uprzejmie, i Thad czuł absurdalną wdzięczność. Miał również wrażenie, że patrzy na nią przez niewłaściwy koniec potężnego teleskopu. Znajdował się na linii telefonicznej, w króliczej norze, gdzie nie było białego królika, a jedynie przebiegły stary George Stark, człowiek, którego nie mogło tam być, ale jakoś był.

Przebiegły stary George, a tutaj w Endsville wszystkie wróble znowu fruwały.

Thad walczył, walczył zawzięcie z tym wrażeniem.

– Dalej, George – rzekł nieco zaskoczony szorstką furią w swoim głosie. Był oszołomiony, porwał go potężny prąd oddalenia i nierzeczywistości... ale na Boga, wydawał się taki czujny i świadomy! – Może tak powiesz to na głos?

– Skoro nalegasz.

– Owszem.

– Pora rozpocząć nową książkę. Nową powieść Starka.

– Nie sądzę.

– Nie mów tak! – Zdenerwowanie w tym głosie było niczym smagnięcie batem obciążonym kuleczkami śrutu. – Kreślę ci pewien obraz, Thad. Rysuję go dla ciebie. Nie zmuszaj mnie, bym narysował go na tobie.

– Jesteś trupem, George. Tylko nie masz dość rozsądku, by leżeć w grobie.

Rosalie obróciła nieco głowę; Thadowi mignęło jej okrągłe oko,

zanim pospiesznie odwróciła się znowu w stronę stojaków z papierosami.

– Tylko uważaj, co mówisz!

W tym głosie pobrzmiwała prawdziwa furia. Ale czy jedynie to? Czy był w nim też strach? Ból? Jedno i drugie? A może Thad tylko się łudził?

– Co się stało, George? – zapytał szyderczo. – Czyżbyś tracił trafność sądu?

Wtedy nastąpiła przerwa w rozmowie. Thad go zaskoczył, wytrącił z rytmu; przynajmniej chwilowo. Był tego pewien. Ale dlaczego? Co było przyczyną?

– Posłuchaj, przyjacielu – rzekł w końcu Stark. – Dam ci tydzień na rozpoczęcie pracy. Nie myśl, że możesz wcisnąć mi kit, bo tak nie jest.

W ostatnim słowie zabrakło głoski „t”. Tak, George był zdenerwowany. Finał tej historii mógł Thada sporo kosztować, ale na razie czuł jedynie dzikie zadowolenie. Przebił się. Wydawało się, że nie tylko on czuje się bezradny i marzycielsko bezbronny podczas tych koszmarnie intymnych rozmów; uraził Starka i to było wspaniałe.

– To prawda – odparł Thad. – Między nami nie ma kitu. Cokolwiek jest między nami, nie ma mowy o wciskaniu kitu.

– Wpadłeś na pewien pomysł – rzekł Stark. – Wpadłeś na niego, zanim ten przekłęty młokos pomyślał o szantażu. Chodzi o ten pomysł z weselem i udanym napadem na opancerzoną furgonetkę.

– Wyrzuciłem swoje notatki. Skończyłem z tobą.

– Mylisz się. Notatki, które wyrzuciłeś, były moje, ale to bez znaczenia. Nie potrzebujesz notatek. To będzie dobra książka.

– Nie rozumiesz. George Stark nie żyje.

– To ty nie rozumiesz – odparł Stark. Jego głos był cichy, grobowy, stanowczy. – Masz tydzień. I jeżeli nie będziesz miał wtedy co najmniej trzydziestu stron rękopisu, zjawię się u was, stary. Tyle że nie zacznę od ciebie... to byłoby zbyt łatwe. Stanowczo zbyt łatwe. Najpierw załatwię wasze dzieci i zadbam o to, by umierały powoli. Znam się na tym. Nie będą wiedziały, co się dzieje. Będą tylko czuły, że umierają w męczarniach. Ty jednak będziesz wiedział i twoja żona także. Ją załatwię w następnej kolejności... tyle że wcześniej ją zaliczę. Wiesz, co mam na myśli, stary. A gdy oni odejdą, załatwię ciebie i umrzesz tak, jak nie umierał dotąd żaden człowiek na ziemi.

Stark przerwał. Thad słyszał, jak dyszy mu chrapliwie do ucha niczym pies w upalny dzień.

– Nie wiedziałeś o ptakach – rzekł cicho Thad. – Tak było, nieprawdaż?

– Thad, ty nie rozumiesz. Jeżeli szybko nie zaczniesz, wielu ludziom stanie się krzywda. Czas ucieka.

– Słucham cię z uwagą – zastrzegł Thad. – Zastanawiam się, jak mogłeś napisać to, co napisałeś na ścianie u Clawsona, a potem u Miriam, i o tym nie wiedzieć.

– Lepiej przestań gadać bzdury i zacznij rozumieć, przyjacielu – poradził Stark, lecz Thad wyczuł w tym głosie konsternację i gwałtowny strach. – Na ścianach nie było żadnych napisów.

– Owszem, były. I wiesz co, George? Myślę, że nie wiesz o tym dlatego, iż to ja jestem ich autorem. Myślę, że byłem tam częścią świadomości. Jakoś tam trafiłem i ci się przyglądałem. Sądzę, że z nas dwóch tylko ja wiem o wróblach, George. Chyba to ja napisałem te słowa. Powinieneś się nad tym zastanowić... głęboko zastanowić... zanim zaczniesz mnie poganiać.

– Posłuchaj – rzekł Stark łagodnym głosem. – Posłuchaj naprawdę uważnie. Najpierw twoje dzieci... później twoja żona... potem ty. Zaczynaj kolejną książkę, Thad. To najlepsza rada, jaką mogę ci dać. Najlepsza, jaką dostałeś w swoim cholernym życiu. Zaczynaj kolejną powieść. Ja żyję. – Długa pauza, po czym cicho, bardzo powoli i wyraźnie: – I chcę żyć. Jedź więc do domu, zastrugaj ołówki, a gdy będziesz potrzebować inspiracji, pomyśl, jak wasze maleństwa wyglądałyby z buziami pełnymi odłamków szkła. Nie ma żadnych cholernych ptaków, po prostu zapomnij o nich i zacznij pisać.

W słuchawce rozległ się trzask.

– Pierdol się – wyszeptał Thad i powoli odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

UPADEK WENDY

1

Problem sam by się tak czy inaczej rozwiązał, niezależnie od tego, co się stanie – Thad był tego pewien. George Stark nie zamierzał po prostu odejść. Beaumont jednak nie bez powodu poczuł, że upadek Wendy ze schodów dwa dni po telefonie Starka do sklepu wyznaczył kierunek, w jakim na dobre rozwinie się ta sytuacja.

Co najważniejsze, ten upadek wskazał mu wreszcie sposób działania. Owe dwa dni spędził bowiem pogrążony w czymś w rodzaju głębokiego letargu. Trudno mu było śledzić nawet najbardziej niewyszukane programy telewizyjne, nie mógł czytać, a myśl o pisaniu przypominała pomysł podróży na Marsa. Przeważnie snuł się z pokoju do pokoju, przysiadając na chwilę, a potem ruszając dalej. Płatał się Liz pod nogami i działał jej na nerwy. Nie była wobec niego złośliwa, choć domyślał się, że niejedną raz gryzła się w język, aby się powstrzymać przed jakąś uszczypliwością.

Dwa razy przymierzał się, by powiedzieć jej o drugiej rozmowie telefonicznej ze Starkiem, tej, w której szczerzy George wyjaśnił mu dokładnie, co mu chodzi po głowie, spokojny w swej pewności, że telefon nie jest na podsłuchu i rozmawiają bez świadków. W obu wypadkach zrezygnował świadomy, że może tym tylko jeszcze bardziej ją zdenerwować.

Dwa razy też znalazł się w swoim gabinecie, trzymając w dłoni jeden z tych cholernych ołówków Berola, których obiecał nigdy więcej nie użyć, i patrzył na świeży, owinięty celofanem stos notesów, w których Stark zapisywał swoje powieści.

„Wpadłeś na pewien pomysł... Ten z weselem i udanym napadem na opancerzoną furgonetkę”.

To była prawda. Thad miał nawet tytuł, dobry tytuł: *Maszyna ze stali*. Prawdą było też coś jeszcze: chwilami rzeczywiście pragnął to napisać. Korciło go to, tak jak korci człowieka, żeby podrapać swędzące i trudno dostępne miejsce na plecach.

George skrobnąłby je za ciebie.

O tak. George z radością by to zrobił. Ale coś by się stało Thadowi, bo teraz sytuacja się zmieniała, nieprawdaż? Co dokładnie? Nie wiedział, chyba nie mógł wiedzieć, lecz stale powracał do niego jeden przerażający obraz. Pochodził z niegdysiejszej uroczej rasistowskiej opowieści dla dzieci *Little Black Sambo*. Gdy mały Sambo wspiął się na drzewo i tygrysy nie mogły go dopaść, wpadły w taką złość, że zaczęły się gryźć nawzajem po ogonach i coraz szybciej goniły wokół drzewa, dopóki nie zmieniły się w masło. Sambo zebrał je do glinianego garnka i zaniósł do domu matce.

George alchemik, dumał Thad, siedząc w swoim gabinecie i stukając niezastruganym ołówkiem w brzeg biurka. Słomę w złoto. Tygrysy w masło. Książki w bestsellery. A Thada w. co?

Nie wiedział. Bał się wiedzieć. Ale on, Thad, zniknąłby, tego był pewien. Może zamieszkałby tutaj ktoś, kto by wyglądał jak on, lecz za twarzą Thada Beaumonta kryłby się inny umysł. Chory, genialny umysł.

Pomyślał, że nowy Thad Beaumont byłby znacznie mniej

niezdarny... i znacznie bardziej niebezpieczny.

A Liz i dzieci?

Czy Stark zostawiłby ich w spokoju, gdyby rzeczywiście znalazł się u steru?

Nie on.

Thad rozważał również możliwość ucieczki. Zapakowania Liz i bliźnięt do chevroleta i po prostu ruszenia w drogę. Ale co by to dało w sytuacji, gdy przebiegły stary George mógł patrzeć oczami durnego starego Thada? Choćby uciekli na koniec świata, i tak nie miałyby to żadnego znaczenia; dotarliby tam, rozejrzeli się i zobaczyli George'a Starka podążającego za nimi z brzytwą w dłoni na saniach zaprzęzonych w husky.

Rozważał i jeszcze szybciej i bardziej stanowczo odrzucił myśl o zadzwonieniu do Alana Pangborna. Alan wyjaśnił im, gdzie jest doktor Pritchard, i jego decyzja, by nie przekazywać mu wiadomości – by czekać na powrót neurochirurga i jego żony z wakacji pod namiotem – powiedziała Beaumontowi wszystko, co musiał wiedzieć o tym, w co szeryf wierzy... a co ważniejsze, w co nie wierzy. Gdyby go poinformował o telefonie odebranym w sklepie, Alan uznałby, że zmyśla. Nawet gdyby Rosalie to potwierdziła, Pangborn nadal by nie wierzył. On i wszyscy inni funkcjonariusze policji, którzy wprosilili się na to szczególne przyjęcie, mieli spory interes w tym, żeby nie dowierzać.

Tak więc te dni mijały powoli, stanowiły coś w rodzaju czasu wyciszenia. Drugiego dnia tuż po południu Thad zanotował w swoim dzienniku: „Mam wrażenie, że mentalnie znajduję się w strefie ciszy morskiej”. Był to jedyny wpis, jaki zrobił w ciągu tygodnia, i zaczął się zastanawiać, czy kiedyś zrobi kolejny. Praca nad nową powieścią

Złoty pies utknęła w martwym punkcie. Uważał, że to niemal zupełnie oczywiste. Bardzo trudno było wymyślać opowieści, gdy bałeś się, że bardzo zły człowiek pojawi się i wymorduje całą twoją rodzinę, zanim weźmie się do ciebie.

Pamiętał, że w podobnej rozterce był tylko w pierwszych tygodniach po tym, jak przestał pić – odcinając dopływ wody, w której się pływał po poronieniu Liz i przed pojawieniem się Starka. Wtedy, tak jak teraz, miał uczucie, że jest pewien problem, ale jego rozwiązanie było równie nieosiągalne jak miraż, które w upalne popołudnie widać na płaskim odcinku szosy. Im bardziej zawzięcie biegł w stronę tego problemu, pragnąc dostać go w swe ręce, rozwiązać, unicestwić, tym szybciej on się cofał, aż w końcu Thad stawał, dysząc ciężko, a zmarszczka na powierzchni wyimaginowanej wody nadal drwiła zeń na horyzoncie.

Nocami źle sypiał i śnił, że George Stark pokazuje mu jego opuszczony dom, w którym wszystko wybuchało, gdy tylko tego dotknął, i gdzie w ostatnim pokoju czekały zwłoki jego żony i Fredericka Clawsona. Kiedy tam docierał, do lotu wzbijały się wszystkie ptaki, eksplodując ku niebu z drzew, linii telefonicznych i słupów sieci elektrycznej, tysiące, miliony ptaków, tyle, że przesłaniały słońce. Dopóki Wendy nie upadła na schodach, sam czuł się bardzo podobnie jak nadzienie z głupca, po prostu czekając, aż przyjdzie odpowiedni zbrodniarz, wetknie serwetę za kołnierz, podniesie widelec i zacznie jeść.

2

Bliźnięta od pewnego czasu raczkowały, a mniej więcej od miesiąca podciągały się do pozycji stojącej za pomocą najbliższego stabilnego

(lub czasem niestabilnego) przedmiotu – noga od krzesła, podobnie jak niski stolik, była w sam raz, lecz nawet puste kartonowe pudło nadawało się do tego celu, przynajmniej dopóki któryś bliźniak nie obciążył go zbyt mocno i pudło nie zapadło się do środka lub nie odwróciło do góry dnem. Dzieci są zdolne pakować się w niesamowite tarapaty w każdym wieku, lecz w wieku ośmiu miesięcy, gdy raczkowanie im odpowiada, a chodzenia jeszcze się do końca nie nauczyły, siejąc zamęt, najwyraźniej są w swoim żywiole.

Mniej więcej za kwadrans piąta po południu Liz posadziła je na podłodze poza kojcem, żeby bawiły się w jasnej smudze słońca. Po jakichś dziesięciu minutach wprawnego raczkowania i chwiejnego stania (któremu towarzyszyło gromkie gaworzenie o tym osiągnięciu adresowane do rodziców i do siebie nawzajem) William podciągnął się przy brzegu stolika. Rozejrzał się dokoła i wykonał prawą ręką kilka władczych gestów, które przypominały Thadowi starą kronikę filmową pokazującą Il Duce przemawiającego z balkonu do swoich zwolenników. Potem chłopczyk chwycił filiżankę z herbatą mamy i zdołał wylać na siebie fusy, zanim opadł na pupę. Herbata na szczęście była zimna, lecz William nie wypuścił filiżanki z rąk i uderzył się nią w usta z takim rozmachem, że lekko skaleczył dolną wargę. Zaczął wyć. Wendy natychmiast mu zawtórowała.

Liz podniosła malca z podłogi, przyjrzała się skaleczeniu, przewróciła oczami, patrząc na męża, i zabrała chłopca na górę, żeby go uspokoić, a potem umyć.

– Miej oko na księżniczkę – powiedziała na odchodnym.

– Dobrze – odparł Thad, ale już wcześniej odkrył, a niebawem miał odkryć ponownie, że w wypadku tak żywiołowych siewców zamętu tego rodzaju obietnice często niewiele znaczą. Williamowi udało się

zabrać Liz filiżankę sprzed nosa, a Thad spostrzegł, że Wendy spadnie z trzeciego stopnia schodów, o ułamek sekundy za późno, by jej tego oszczędzić.

Przeglądał właśnie jakiś magazyn informacyjny – nie czytając go, a jedynie kartkując leniwie i od czasu do czasu zerkając na jakieś zdjęcie. Gdy skończył, podszedł do stojącego przy kominku dużego koszyka na robótki, który pełnił funkcję prowizorycznego stojaka na gazety, żeby odłożyć czasopismo i wziąć następne. Wendy raczkowała po podłodze, zapomniawszy o łzach, zanim te wyschły całkowicie na jej pucołowatych policzkach. Jak zawsze podczas raczkowania wydawała z siebie lekko chrapliwy odgłos, który czasem sprawiał, że Thad zastanawiał się, czy wszelki ruch kojarzy się obojgu jego dzieciom z samochodami i ciężarówkami oglądanymi w telewizji. Przykucnął, położył magazyn na wierzchu stosu leżącego w koszyku i przekartkował pozostałe, bez konkretnego powodu wybierając w końcu wydanie „Harper’s” z poprzedniego miesiąca. Przyszła mu wtedy do głowy myśl, że zachowuje się niczym człowiek w gabinecie dentystycznym, który czeka na usunięcie zęba.

Gdy się odwrócił, Wendy była już na schodach. Wygramoliła się na trzeci stopień i teraz wstawiała chwiejnie, trzymając się jednego z wrzecionowatych słupków, które biegły od podłogi do poręczy balustrady. Gdy spojrzał na córkę, posłała mu szczególnie nienaturalny gest ręką i szeroki uśmiech. Ruch ramienia sprawił, że jej pulchne ciało zachwiało się nad krótkim stopniem.

– Chryste – mruknął pod nosem i gdy wstawał z suchym trzeszczeniem w kolanach, spostrzegł, że Wendy robi krok naprzód i puszcza słupek balustrady. – Wendy, nie rób tego!

Niemal skoczył na drugą stronę pokoju i prawie zdążył. Był jednak

człowiekiem niezdarnym i zahaczył stopą o nogę fotela. Ten się przewrócił, a Thad rozłożył się jak długi. Wendy upadła z cichym szczekliwym jękiem zaskoczenia. Ciało dziewczynki obróciło się nieco w powietrzu. Beaumont rzucił się ku niej z klęczek, próbując ją złapać, i zabrakło mu dobre pół metra. Prawą nóżką uderzyła w pierwszy stopień, a główką ze stłumionym głuchym odgłosem stuknęła o podłogę pokrytą wykładziną dywanową.

Wrzasnęła i Thad zdążył jeszcze pomyśleć, jak przerażający jest krzyk bólu dziecka, po czym porwał małą w ramiona.

– Thad?! – zawołała z góry Liz przestraszonym głosem i Thad usłyszał głuchy stuk jej pantofli na korytarzu.

Wendy próbowała płakać. Z pierwszym rykiem bólu z jej płuc uszło całe powietrze, teraz zaś nadszedł ten niekończący się paraliżujący moment, w którym usiłowała zrzucić ciężar z piersi i wciągnąć powietrze niezbędne do kolejnego okrzyku. Gdyby ten wreszcie wydobył się z jej ust, pękałyby od niego bębunki.

Gdyby się wydobył.

Thad trzymał małą, spoglądając z niepokojem na jej wykrzywioną, przekrwioną twarzyczkę, która przybrała niemal fioletowobrazowy kolor z wyjątkiem czerwonego, przypominającego wielki przecinek śladu na czole. Boże, a jeśli straci przytomność? Jeśli się udusi, nie będąc w stanie wciągnąć powietrza i wyrzucić z siebie krzyku uwięzionego w maleńkich płaskich płucach? Co wtedy?

– Krzycz, do cholery! – wrzasnął na córkę. Boże! Jej purpurowa buzia! Jej wybałuszone zbolące oczy! – Krzycz!!!

– Thad!

Teraz w głosie Liz zabrzmiało przerażenie, ale wydawało się też, że jest bardzo daleko. W tych kilku ciągnących się całą wieczność

sekundach między pierwszym krzykiem Wendy a jej próbą uwolnienia drugiego krzyku i dalszego oddychania George Stark po raz pierwszy od ośmiu dni został całkowicie wyrzucony poza nawias myśli Thada. Wendy zrobiła głęboki, konwulsyjny wdech i zaniósła się krzykiem. Trzęsąc się z ulgą, Thad przytulił córkę, zaczął ją delikatnie gładzić po plecach i uspokajać.

Liz zbiegła po schodach, stukając pantoflami; szamoczącego się Williama przyciskała do boku niczym mały worek ziarna.

– Co się stało? Nic jej nie jest?

– Jest cała. Spadła z trzeciego stopnia schodów. Odkąd zaczęła krzyczeć, nic jej nie jest. Z początku wydawało się, że... że po prostu ją zatkało. – Thad zaśmiał się niepewnie i wymienił córkę na syna, który teraz wrzeszczał we współczującej harmonii z siostrą.

– Nie pilnowałeś jej? – zapytała Liz z wyrzutem. Machinalnie kołysała biodrami w przód i w tył, próbując uspokoić Wendy.

– Tak... nie. Poszedłem po magazyn. Ledwie się obejrzałem, a już była na schodach. Przypominało to sytuację z Willem i filiżanką. Oni są jak piskorze, cholera. Myślisz, że nic się jej nie stało w głowę? Uderzyła nią wprawdzie o dywan, ale za to mocno.

Liz odsunęła od siebie na chwilę córeczkę, spojrzała na czerwone znamię, po czym pocałowała ją delikatnie. Szlochanie Wendy zaczęło słabnąć.

– Myślę, że nic jej nie jest. Przez parę dni będzie miała guza, to wszystko. Dzięki Bogu mamy wykładzinę. Nie chciałam na ciebie naskakiwać. Wiem, jak szybko się poruszają. Ja po prostu... czuję się tak, jakbym miała mieć okres, tyle że teraz to uczucie nigdy nie mija.

Szloch Wendy przeszedł w pociąganie nosem. William też zaczął cichnąć. Wyciągnął pulchną rączkę i chwycił za białą bawełnianą

koszulkę siostry. Wendy się obejrzała. Malec zagruchał do niej, po czym zaczął gaworzyć. Thadowi ich gaworzenie zawsze wydawało się trochę niesamowite: niczym nagranie w obcym języku, które zostało na tyle przyspieszone, że nie można było go rozpoznać, nie mówiąc o zrozumieniu. Wendy uśmiechnęła się do brata, choć z oczu wciąż płynęły jej łzy, a policzki były jeszcze od nich wilgotne. Zagruchała w odpowiedzi. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że toczą rozmowę we własnym świecie – świecie bliźniąt.

Dziewczynka wyciągnęła rączkę i pogładziła brata po ramieniu. Spojrzeli na siebie i dalej gaworzyli.

„Dobrze się czujesz, cukiereczku?”

„Już tak. Zabolało, drogi Williamie, ale tylko trochę”.

„Chcesz zostać w domu i zrezygnować z przyjęcia u Stadleyów, serce moje?”

„Nie sądzę, choć bardzo ładnie z twojej strony, że pytasz”.

„Na pewno, moja droga?”

„Tak, kochany, obyło się bez szkód, choć boję się, że zesrałam się w pieluchę”.

„Och, skarbie, to takie denerwujące!”

Thad uśmiechnął się lekko, po czym spojrzał na nóżkę córki.

– Będzie miała siniaka – rzekł. – Wygląda na to, że już jej się robi.

Liz posłała mu blady uśmiech.

– Zagoi się – odparła. – I to nie będzie ostatni.

Thad pochylił się i pocałował Wendy w czubek nosa, myśląc o tym, jak szybko i gwałtownie nadciągają te burze – niespełna trzy minuty temu obawiał się, że mała może umrzeć z braku tlenu – i jak szybko ustają.

– Nie, jak Bóg da, to nie będzie ostatni – potwierdził.

3

Zanim o siódmej bliźnięta obudziły się z przedwieczornej drzemki, siniak na udzie Wendy zrobił się ciemnopurpurowy. Kształtem wyraźnie przypominał grzyb.

– Thad? – powiedziała Liz znad stołu do przewijania. – Spójrz na to.

Beaumont zdjął małej właściwie suchą, lekko tylko wilgotną pieluchę i wrzucił ją do kubła oznaczonego napisem JEJ. Podszedł z nagą córeczką do drugiego stołu, żeby zobaczyć, co takiego żona chce mu pokazać. Spojrzał na Williama i zrobił okrągłe oczy.

– Co o tym myślisz? – zapytała cicho. – Czy to nie dziwne? Thad długo patrzył na syna.

– Taak – rzekł w końcu. – Bardzo dziwne.

Liz przytrzymała ręką pierś wiercącego się na stole malca. Teraz spojrzała surowo na Thada.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedział Thad zaskoczony spokojnym brzmieniem swego głosu.

Wydawało się, że z tyłu, za nimi, nie zaś na jego oczach, niczym flesz rozbłysło silne białe światło. Nagle pomyślał, że rozumie – trochę – o co chodzi z tymi ptakami i jaki będzie następny krok. Zrozumiał to, ujrzawszy na nóżce syna siniec w kształcie, kolorze i położeniu identycznym z tym na udzie Wendy. Will złapał filiżankę Liz i wylał na siebie jej zawartość, po czym wylądował twardo na pupie. O ile Thad zdążył się zorientować, chłopczyk w ogóle nie uszkodził sobie nóżki. A mimo to miał na prawym udzie siniec przypominający niewielki grzyb.

– Na pewno dobrze się czujesz? – nie ustępowała Liz.

– Siniaki też mają wspólne – rzekł, spoglądając na nóżkę chłopca.

– Thad?

– Nic mi nie jest – odparł i musnął ustami policzek Liz. – Może ubierzemy Psycho i Somatykę, co ty na to?

Liz wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś szalony.

Thad uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech nieco osobliwy i trochę nieprzytomny.

– Taak. Szalony, ale przebiegły jak lis – stwierdził Thad. Zaniósł Wendy z powrotem na stół do przewijania i zaczął zmieniać jej pieluchę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

PISANIE MACHINALNE

1

Zanim poszedł na górę do gabinetu, poczekał, aż Liz położy się spać. Po drodze przystanął na jakąś minutę przy drzwiach ich sypialni i wsłuchiwał się w regularny rytm jej oddechu, upewniając się, czy zasnęła. Nie miał wcale pewności, czy to, co zamierza zrobić, poskutkuje, ale gdyby poskutkowało, mogłoby być niebezpieczne. Ogromnie niebezpieczne.

Jego gabinet tworzyło jedno duże i długie pomieszczenie – wyremontowane poddasze dawnej stodoły – które zostało podzielone na dwie części: „czytelnię” z książkami na ścianach, kanapą, krzesłem z regulowanym oparciem oraz szynowym systemem oświetlenia i miejsce do pracy na drugim końcu. W tej części gabinetu dominowało staroświeckie biurko, którego niezwyklej brzydoty nie rekompensował ani jeden element. Ten pokierszowany, poobijany i bezwzględnie użytkowy mebel był własnością Thada od dwudziestego szóstego roku życia i Liz tłumaczyła czasem ludziom, że jej mąż nie chce się go pozbyć, ponieważ w głębi duszy uważa, że biurko jest jego prywatnym Źródłem Słów. Gdy to mówiła, oboje się uśmiechali, jakby naprawdę wierzyli, że to żart.

Nad tym dinozaurem zwiślały trzy lampy ze szklanymi abażurami i gdy – tak jak teraz – tylko one były włączone, bezlitosne kręgi

światła, zachodzące na siebie na zaśmieconym krajobrazie biurka, stwarzały wrażenie, jakby Thad miał tam zagrać w jakąś dziwną odmianę bilarda. Trudno było powiedzieć, według jakich reguł można grać na takiej nierównej powierzchni, ale po wieczornym upadku Wendy napięcie na twarzy Thada przekonałoby obserwatora, że bez względu na reguły gra będzie się toczyć o bardzo wysoką stawkę.

Thad zgodziłby się z tym całkowicie. Ostatecznie potrzebował ponad dwudziestu czterech godzin, żeby zdobyć się na odwagę.

Przez chwilę patrzył na swojego remingtona tworzącego pod pokrowcem niewyraźny garb, z dźwignią powrotną ze stali nierdzewnej sterczącą z lewej strony niczym wyciągnięty kciuk autostopowicza. Usiadł przed maszyną, przez chwilę bębnił niespokojnie palcami o brzeg biurka, po czym wysunął szufladę z lewej strony.

Była szeroka i głęboka. Wyjął z niej swój dziennik, a następnie wysunął do oporu. Kamienny słoje, w którym trzymał ołówki, potoczył się do tyłu, rozsypując po drodze zawartość. Thad wyciągnął go, postawił tam gdzie zwykle, po czym pozbierał ołówki i włożył je z powrotem do środka.

Zasunął szufladę i spojrzał na słoje. Cisnął go do szuflady po pierwszym ataku amnezji, gdy jednym z ołówków napisał WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ na maszynopisie *Złotego psa*. Nie zamierzał użyć go znowu... a mimo to parę wieczorów temu bawił się ołówkiem. I proszę, są tam, gdzie stały przez tych dwanaście lat, gdy Stark mieszkał z nim i w nim. Przez długie okresy Stark milczał, prawie jakby go wcale nie było. Potem pojawiał się jakiś pomysł i przebiegły stary George wyskakiwał z jego głowy niczym oszalały diabeł z pudełka. Hop! Jestem, Thad! Chodźmy, stary! Siodłaj konia!

I odtąd codziennie przez prawie trzy miesiące Stark wyskakiwał punktualnie o dziesiątej, również w weekendy. Wyskakiwał, chwycił za ołówek i zaczynał pisać swoje oszalałe bzdury – oszalałe bzdury pozwalające Thadowi opłacić rachunki, których nie mógł uregulować z honorariów za własną twórczość. Potem książka była gotowa i George znowu zniknął niczym ten szalony karzeł, który wysnuwał złotą nić ze słomy dla córki młynarza.

Thad wyciągnął jeden z ołówków, spojrzął na ślady zębów odcisnięte lekko na drewnianym walcu, po czym wrzucił go z powrotem do słoja. Rozległ się cichutki stuk.

– Moja mroczna połowa – mruknął.

Czy jednak George Stark kiedykolwiek należał do niego? Z wyjątkiem amnezji, transu czy tego czegoś, czymkolwiek to było, sam nie używał żadnego z ołówków nawet do notowania, odkąd napisał „Koniec” u dołu ostatniej strony ostatniej powieści Starka *Podróż do Babilonu*.

Ostatecznie nie miał potrzeby ich używać; należały do Starka, a Stark nie żył... tak przynajmniej zakładał Thad. Sądził, że z czasem je wyrzuci.

Teraz jednak wydawało się, że w końcu znalazł dla nich zastosowanie.

Sięgnął ku szerokiemu słoju, po czym cofnął dłoń jak od ściany pieca, który pała własnym zazdrosnym ogniem.

Jeszcze nie.

Wyciągnął z kieszeni koszuli pióro, otworzył swój dziennik, zdjął nasadkę, zawahał się, po czym napisał:

Gdy William płacze, Wendy też wybucha płaczem. Odkryłem jednak, że łącząca ich więź jest znacznie głębsza i silniejsza. Wczoraj Wendy spadła ze schodów i nabiła sobie siniaka –

siniaka, który wygląda jak duży purpurowy grzyb. Gdy bliźnięta wstały po drzemce, William też miał siniaka. W tym samym miejscu, w tym samym kształcie.

Thad powrócił do stylu wywiadu z samym sobą, który cechował sporą część jego dziennika. Zdał sobie wówczas sprawę, że sam ten nawyk – ten sposób znajdowania drogi do swoich prawdziwych myśli – wskazywał na jeszcze jedną postać dwoistości... a może był to tylko kolejny przejaw rozdarcia w jego umyśle i duszy, czegoś fundamentalnego i tajemniczego zarazem.

Pytanie: Gdybyś zrobił slajdy siniaków na nóżkach moich dzieci, a potem nałożył je na siebie, czy otrzymałbyś jeden obraz?

Odpowiedź: Tak, tak myślę. Sądzę, że z tym jest tak jak z liniami papilarnymi. Jak z sonogramami.

Thad siedział przez chwilę spokojnie, stukając końcem pióra o kartkę, i zastanawiał się nad tym. Potem znowu się pochylił i zaczął pisać jeszcze szybciej.

Pytanie: Czy William wie, że ma siniaka?

Odpowiedź: Nie. Myślę, że nie wie.

Pytanie: Czy wiesz, czym są wróble lub co oznaczają?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Ale wróble istnieją. Tyle wiem, nieprawdaż?

W cokółwiek wierzy Alan Pangborn lub ktoś inny, ja wiem, że istnieją i znowu fruują, prawda?

Odpowiedź: Tak.

Piéro śmigało teraz po kartce. Od miesięcy nie pisał tak szybko i tak śmiało.

Pytanie: Czy Stark wie o wróblach?

Odpowiedź: Nie. Powiedział, że nie wie, i ja mu wierzę.

Pytanie: Jestem pewien, że mu wierzę?

Znowu przerwał na krótko, a potem napisał:

Stark wie, że coś istnieje. Ale William też musi o tym wiedzieć – jeżeli ma posiniaczoną nóżkę, to pewnie go boli. Ale Wendy nabiła mu tego siniaka, gdy spadła ze schodów. William wie tylko, że ma stłuczone miejsce.

Pytanie: Czy Stark wie, że ma stłuczone miejsce? Słaby punkt?

Odpowiedź: Tak, chyba tak.

Pytanie: Czy te ptaki są moje?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy to znaczy, że gdy pisał WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ na ścianie u Clawsona i u Miriam, nie wiedział, co robi, a gdy skończył, nie pamiętał o tym?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Kto o nich napisał? Kto napisał to krwią?

Odpowiedź: Ten, który wie. Ten, do kogo należą wróble.

Pytanie: Kim jest ten, który wie? Kto jest właścicielem tych wróbli?

Odpowiedź: Ja jestem tym, który wie. Są moją własnością.

Pytanie: Byłem tam? Byłem tam, gdy ich mordował?

Znowu na chwilę przerwał. Tak – napisał, po czym dodał: Nie. I tak, i nie. Nie miałem ataku amnezji, gdy Stark zabijał Homera Gamache’a i Clawsona, a przynajmniej niczego takiego nie pamiętam. Myślę, że to, co wiem... co widzę... chyba rośnie.

Pytanie: Czy on cię widzi?

Odpowiedź: Nie wiem. Ale...

– Musi wiedzieć – mruknął Thad.

I zapisał: Musi mnie znać. Musi mnie wiedzieć. Jeżeli naprawdę napisał te powieści, zna mnie od dawna. Sam zaś wie i widzi coraz więcej. Cały ten sprzęt namierzający i nagrywający ani trochę nie spieszył przebiegłego starego George'a, prawda? Nie, jasne, że nie. Ponieważ przebiegły stary George wiedział, że zostanie zainstalowany. Kiedy poświęcasz niemal dziesięć lat pisaniu powieści kryminalnych, to dowiadujesz się o takich rzeczach. To dlatego nie był tym speszony. Ale drugi powód jest jeszcze lepszy, nieprawdaż? Gdy chciał ze mną pogadać, pogadać bez świadków, dokładnie wiedział, gdzie będę i jak mnie złapać, czyż nie?

Tak. Stark zadzwonił do domu, gdy chciał być podsłuchiwany, i do sklepu, gdy sobie tego nie życzył. Czemu w tym pierwszym wypadku chciał być podsłuchiwany? Bo miał wiadomość dla policji i wiedział, że gliniarze będą słuchać – o tym, że nie jest George'em Starkiem i zdaje sobie z tego sprawę... i że skończył z zabijaniem, nie będzie ścigał Thada i jego rodziny. Był też inny powód. Chciał, żeby Thad zobaczył policyjne sonogramy. Wiedział, że je zrobią i nie uwierzą w to, co zobaczą, choćby nie budziło to żadnych wątpliwości... ale Thad uwierzy.

Pytanie: Skąd wiedział, gdzie będę?

I było to cholernie dobre pytanie, nieprawdaż? Nie gorsze niż pytania o to, jak dwaj różni ludzie mogą mieć identyczne linie papilarne oraz sonogramy i jak dwoje różnych dzieci może mieć identyczne sińce... zwłaszcza gdy tylko jedno z nich uderzyło się w nogę.

Tyle że podobne zagadki były dobrze udokumentowane i akceptowane, przynajmniej w wypadku bliźniąt; więc między bliźniętami jednojajowymi była jeszcze bardziej niesamowita. Jakiś

rok temu w jednym z magazynów ukazał się artykuł na ten temat. Z uwagi na obecność bliźniąt w jego własnym życiu Thad przeczytał go uważnie.

Opisano w nim przypadek bliźniaków jednojajowych, którzy mieszkali na dwóch różnych końcach kontynentu, ale gdy jeden z nich złamał lewą nogę, drugi poczuł rozdzierający ból w tej samej nodze, nie wiedząc nawet, że coś się stało jego bratu. Wspomniano o bliźniaczkach jednojajowych, które wykształciły własny język, nieznanany nikomu innemu na ziemi i niezrozumiały dla nikogo innego. Mimo identycznego wysokiego ilorazu inteligencji nigdy nie nauczyły się angielskiego. Po cóż im był angielski. Miały siebie... i niczego więcej nie potrzebowały. W artykule napisano też o bliźniakach, którzy rozdzieleni po urodzeniu spotkali się jako dorośli ludzie i okazało się, że obaj ożenili się w tym samym dniu tego samego roku z uderzająco podobnymi kobietami o identycznych imionach. Ponadto obie pary małżeńskie dały swoim pierworodnym synom na imię Robert. Obaj chłopcy urodzili się w tym samym miesiącu i w tym samym roku.

Pół na pół.

Skrzyżowani.

Rach-ciach.

– Hania i Ania jednego są zdania – mruknął Thad. Wyciągnął rękę i zakreślił ostatnią zanotowaną przez siebie kwestię.

Pytanie: Skąd wiedział, gdzie będę?

Poniżej zapisał:

Odpowiedź: Stąd, że wróble znowu fruwały. I stąd, że jesteśmy bliźniakami.

Przewrócił kartkę w dzienniku i odłożył na bok pióro. Z sercem tłukącym się w piersiach i z krwią zmrożoną w żyłach przez strach sięgnął drżącą ręką do słoja po jeden z ołówków. Miał wrażenie, że ten parzy go nieprzyjemnie w dłoń.

Pora zabrać się do pracy.

Thad Beaumont pochylił się nad czystą kartką, zawahał się, po czym napisał u góry dużymi drukowanymi literami: WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ.

2

Co dokładnie zamierzał zrobić tym ołówkiem?

To również wiedział. Zamierzał podjąć próbę odpowiedzi na ostatnie pytanie, tak oczywiste, że nie raczył nawet go zapisać: Czy potrafi świadomie wprowadzić się w trans? Czy zdoła sprawić, by wróble fruwały?

Chodziło o formę kontaktu parapsychologicznego, o której kiedyś czytał, ale nigdy nie widział jej na własne oczy: pisanie machinalne. Osoba próbująca nawiązać tym sposobem kontakt z duszą zmarłego (lub żyjącego) trzymała luźno w dłoni pióro lub ołówek oparty na niezapisanej kartce i po prostu czekała, aż poruszy ją duch. Thad czytał, że do pisania machinalnego, które można było ćwiczyć za pomocą planszy *ouija*, często podchodzono jak do jakiejś hecy, a nawet gry towarzyskiej, i że może to być niezmiernie niebezpieczne – tak naprawdę może narazić piszącego na pewną formę opętania.

Podczas lektury artykułu Thad nie mógł stwierdzić, czy w to wierzy, czy nie; wydawało się to tak obce jego życiowemu doświadczeniu jak kult pogańskich bożków lub zwyczaj trepanacji czaszki w celu złagodzenia bólów głowy. Teraz nabrało swoistej

zabójczej logiki. Musiałyby jednak przywołać wróble.

Pomyślał o nich. Próbował przywołać obraz tych wszystkich ptaków, tysiący ptaków siedzących na kalenicach i drutach telefonicznych pod łagodnym wiosennym niebem, czekających na telepatyczny sygnał do odlotu.

I ten obraz się pojawił... lecz bezbarwny i nierealny, coś w rodzaju mentalnego, pozbawionego życia malowidła. Początek pisania często przypominał mu suchą zaprawę. Nie, jeszcze gorzej. Ruszanie z miejsca zawsze uważał za akt trochę obsceniczny – niczym francuski pocałunek z trupem.

Ale nauczył się, że gdy nie szczędził starań, gdy po prostu uparcie umieszczał słowa na kartce, zaczynało się coś innego – coś, co było cudowne i straszne zarazem. Słowa jako odrębne elementy zaczynały znikać. Postaci, które były koturnowe i pozbawione życia, zaczynały się rozgrzewać, jakby trzymał je przez noc w ciasnej szafie wnekowej i musiały rozluźnić mięśnie, zanim mogły ruszyć do swego skomplikowanego tańca. Coś zaczynało się dziać w jego mózgu; czuł niemal, jak zmienia się kształt fal elektrycznych, jak tracą swą nadętą sztywność defiladowego kroku, przechodząc w miękkie porozciągane fale delta charakterystyczne dla głębokiego snu.

Thad zgarbił się teraz z ołówkiem w dłoni nad swoim dziennikiem i starał się sprawić, by to się stało. W miarę jak płynął czas i nic się nie działo, czuł się coraz bardziej idiotycznie. „Ene, due, rike, fake, zaraz przemówią duchy!” – ta kwestia ze starego filmu rysunkowego *Rocky i Łoś Superktoś* utkwiała mu w głowie na dobre. Cóż, na miły Bóg, zamierzał powiedzieć Liz, gdyby się zjawiła i zapytała, co tu robi z ołówkiem w dłoni i pustą kartką przed nosem kilka minut przed północą? Że stara się narysować zajęczka na kartoniku z zapalkami

i zdobyć stypendium w Famous Artists School w New Haven? Psiakrew, przecież nawet nie miał takiego kartonika.

Zrobił ruch, żeby odłożyć ołówek, po czym się zawahał. Obrócił się trochę na krześle, tak że wyglądał teraz przez okno znajdujące się na lewo od biurka.

Na parapecie siedział ptak i patrzył na niego bystrymi czarnymi ślepiami.

Wróbel.

Na oczach Thada do wróbla dołączył kolejny.

I jeszcze jeden.

– O mój Boże – rzekł drżącym, płaczącym głosem. Nigdy w życiu nie był taki przerażony... i nagle to wrażenie jazdy znowu go przepełniło. Tak samo jak wtedy, gdy rozmawiał ze Starkiem przez telefon, ale teraz było silniejsze, o wiele silniejsze.

Przyleciał kolejny wróbel, odpychając pozostałe trzy na bok, i za nimi Thad zobaczył cały rząd ptaków siedzących na szczycie powozowni, w której trzymali sprzęt do pielęgnacji trawnika i samochód Liz. Obsiadły też wiekowy wiatrowskaz na dachu i teraz kołysał się pod ich ciężarem.

– O mój Boże – powtórzył i usłyszał swój głos z odległości miliona kilometrów, głos przerażony i strasznie zdumiony. – O mój Boże, one są prawdziwe... wróble są prawdziwe.

Nawet w najgorszych snach tego nie podejrzewał... ale nie było czasu na zastanawianie się nad tym, nie było narzędzia do takich rozważań. Nagle gabinet zniknął i zamiast niego Thad ujrzał Ridgeway, część Bergenfield, w której dorastał. Była równie cicha i opuszczona jak dom w jego koszmarze ze Starkiem; uświadomił sobie, że spogląda na ciche przedmieście w martwym świetle.

Nie był on jednak zupełnie martwy, dachy wszystkich domów obsiadły bowiem ćwierkające wróble. Pod ich ciężarem ugięła się każda antena telewizyjna. Roilo się od nich na wszystkich drzewach. Ustawiały się w kolejce na każdej linii telefonicznej. Siedziały na dachach zaparkowanych samochodów, na dużej niebieskiej skrzynce pocztowej, która stała na rogu Duke Street i Marlborough Lane, oraz na stojaku na rowery przed sklepem ogólnospożywczym przy Duke Street, gdzie w dzieciństwie kupował mleko i chleb dla matki.

Ten świat był wypełniony wróblami oczekującymi na rozkaz odlotu.

Thad Beaumont rozparł się w biurowym fotelu, z kącików ust wylewała mu się rzadka piana, stopy drżały bezsensownie, a we wszystkich oknach w gabinecie stojące rzędem wróble spoglądały na niego niczym dziwni latający widzowie. Z ust Thada wydobył się przeciągły odgłos płukania gardła. Przewrócił oczami, ukazując wybałuszone lśniące białka.

Ołówek dotknął kartki i zaczął pisać.

SIOSTRO

Nagryzmolił w górnej linii. Opuścił dwa wiersze, zaznaczył symbolem „L” wcięcie typowe dla każdego nowego akapitu w tekstach Starka i zapisał:

L Kobieta zaczęła się cofać od drzew. uczyniła to niemal natychmiast, zanim jeszcze zakończyły swój krótki ruch do środka, było już jednak za późno. Maja dłoń wysunęła się błyskawicznie przez kilkucentymetrową szparę między drzewami a osłonięciem i zachwyciła się na jej ręce

Wróble pofrunęły.

Nagle wszystkie – te w jego głowie z dawnego Bergenfield i te za oknami domu w Ludlow. te prawdziwe – wzbiły się do lotu. Poleciały

ku dwóm niebom: białemu wiosennemu niebu w roku 1960 oraz ciemnemu letniemu niebu w roku 1988.

Pofrunęły i zniknęły w gigantycznym szumie nastroszonych piór ich skrzydeł.

Thad wyprostował się w fotelu... ale jego dłoń wciąż była przykuta do ołówka, który ciągnął ją dalej.

Ołówek pisał sam.

Zrobiłem to, pomyślał w oszołomieniu, ścierając lewą ręką ślinę z ust i podbródka. Zrobiłem to... i bardzo żałuję, że nie zostawiłem tego w spokoju. Co to jest?

Gapił się na słowa wylewające się spod jego dłoni, serce biło mu tak mocno, że czuł pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej. Zdania wysypujące się na niebieskie linie były zanotowane jego charakterem pisma – ale przecież wszystkie powieści Starcka zostały napisane jego ręką. Skoro identyczne są linie papilarne, ulubione papierosy i parametry głosu, byłoby bardzo dziwne, gdyby to nie był jego charakter pisma, pomyślał.

Jego charakter pisma, tak jak poprzednio, ale skąd pochodziły te słowa? Nie z jego głowy, to pewne; teraz wypełniało ją tylko przerażenie maskowane gwałtowną konsternacją. A w dłoni nie miał już czucia. Prawa ręka jakby kończyła się mniej więcej osiem centymetrów nad przegubem. Palce były całkowicie rozluźnione, chociaż Thad widział, że trzyma ołówek tak mocno, aż zbieleły mu czubki kciuka i dwóch palców. Czuł się jak po wstrzyknięciu sporej dawki nowokainy.

Dotarł do dołu pierwszej strony. Pozbawiona czucia ręka odwróciła kartkę, pozbawiona czucia dłoń powędrowała wzdłuż obszycia notesu, przygniatając ją na płask, i zaczęła znowu pisać.

„Miriam Cowley otworzyła usta, by krzyknąć. Stałem tuż za progiem, czekając cierpliwie od ponad czterech godzin, nie pójść kawy i nie palić (miałem ochotę na jednego papłosa – i zapale, gdy tylko będzie po wszystkim – ale zapach tytoniu mógłby ją spłoszyć). Poderżnawszy jej gardła, pamiętałem o tym, by zamknąć jej oczy

Thad z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie, że czyta opis morderstwa Miriam Cowley... i tym razem nie była to beładna mieszanka słów, lecz spójna, brutalna opowieść człowieka, który był na swój potworny sposób niezwykle przekonującym narratorem – przekonującym na tyle, by miliony ludzi kupowały jego powieści.

Debiut George'a Starka jako twórcy literatury faktu, pomyślał z odrazą.

Zrobił dokładnie to, co sobie postanowił: nawiązał kontakt, jakoś podłączył się do umysłu Starka, tak jak Stark musiał się wcześniej podłączyć do umysłu Thada. Któż jednak by odgadł, jakich potwornych, nieznanych sił przy okazji dotknie? Któż mógłby odgadnąć? Kontakt z wróblami – i świadomość, że są prawdziwe – był fatalnym przeżyciem, ale to było jeszcze gorsze. Czy zauważył wcześniej, że zarówno ołówek, jak i notes są ciepłe w dotyku? Nic dziwnego. W umyśle tego człowieka było gorąco jak w piecu.

A teraz – Chryste! Proszę! Słowa wysypujące się z jego własnej dłoni! Chryste Panie!

„... Myślisz, że mogłabyś rozwalić mi na głowę, nieprawdaż, słastrunlu? – zapytałem. – Coś ci powiem... to nie jest trafna myśl, a przecież wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy tracą trafność sądu, prawda? ... Po policzkach spływały jej łzy

„Co się stało, George? Czyżbyś tracił swą trafność sądu?”

Nic dziwnego, że gdy to powiedział, na moment powstrzymał tego niegodziwego sukinsyna. Jeżeli rzeczywiście tak to wyglądało, to

Stark użył tego samego zwrotu, zanim zabił Miriam.

Gdy popełniał to morderstwo, byłem podłączony do jego umysłu – byłem. Właśnie dlatego użyłem tego zwrotu w rozmowie, którą odbyliśmy u Dave’a.

W tym momencie Stark zmuszał Miriam, by zadzwoniła do Thada, podając jej numer telefonu, gdyż była zbyt przerażona, żeby go sobie przypomnieć, choć bywało, że dzwoniła do niego sześć razy tygodniowo. Thad uznał ten zanik pamięci i wyrozumiałość Starka za potworne i przekonujące. A teraz Stark przy użyciu swojej brzytwy...

Ale on nie chciał tego czytać, nie czytałby tego. Podciągnął w górę rękę, podnosząc swą zdrętwiałą dłoń niczym ołowiany ciężarek. W chwili oderwania ołówka od kartki notesu odzyskał czucie w dłoni. Mięśnie były skurczone, w palcu wskazującym czuł tępy ból; okrągły ołówek pozostawił na jego powierzchni wgłębienie, które teraz się zaczerwieniło.

Spojrzał na zabazgraną kartkę pełną obrzydlistwa i zadziwiających bredni. Opuszczenie tego ołówka, ponowne zamknięcie tego ohydneho obwodu łączącego go ze Starkiem było ostatnią rzeczą, jaką miał ochotę zrobić... ale przecież nie wpakował się w to tylko po to, żeby przeczytać relację z pierwszej ręki z zabójstwa Miriam Cowley.

Może te ptaki wrócą?

Nie chciały jednak wrócić. Spełniły swoją funkcję. Łączący go ze Starkiem obwód, do którego dotarł, był nadal cały i dobrze działał. Thad nie miał pojęcia, skąd o tym wie, ale wiedział.

Gdzie jesteś, George? – pomyślał. Dlaczego cię nie czuję? Czy dlatego, że mniej zdajesz sobie sprawę z mojej obecności niż ja z twojej? Czy chodzi o co innego? Gdzie, do kurwy nędzy, jesteś?

Zatrzymał tę myśl na powierzchni świadomości, próbując

wyobrazić ją sobie w postaci jaskrawoczerwonego neonu. Po czym znowu chwycił za ołówek i zaczął go zbliżać do kartki notesu. Gdy tylko czubek ołówka dotknął papieru, ręka Thada ponownie się podniosła i otworzyła dziennik na niezapisanej stronie. Dłoń jak przedtem wygładziła odwróconą kartkę, a ołówek opadł z powrotem na papier i napisał:

*L - to nie ma znaczenia - powiedział Machine do
Jacka rangelyga - Wszystkie miejsca są takie same
- zrobił pauzę - Może z wyjątkiem domu. I przekonam
się o tym, gdy tam dotrę.*

„Wszystkie miejsca są takie same”. Najpierw rozpoznał tę pierwszą kwestię, potem cały cytat. Pochodził z pierwszego rozdziału pierwszej powieści Starka *Sposób Machine’a*.

Tym razem ołówek zatrzymał się z własnej woli. Thad uniósł go i spojrzał na nagryzłone słowa – deprymujące i jeżące włosy na głowie. „Może z wyjątkiem domu. I przekonam się o tym, gdy tam dotrę”.

W *Sposobie Machine’a* domem była Flatbush Avenue, gdzie Alexis Machine spędził dzieciństwo, sprzątając w salonie bilardowym swojego chorego ojca alkoholika. Gdzie znajdował się dom w tej opowieści?

Gdzie jest dom? – pomyślał Thad z ołówkiem w dłoni i znowu opuścił go powoli na kartkę.

Ołówek szybko zostawił na papierze ciąg pochyłych znaków w kształcie litery „m”. Zatrzymał się, po czym ruszył.

m m m m m
L Dom znajduje się tam, gdzie jest początek

zapisał pod symbolami ptaków.

Gra słów. Czy coś znaczyła? Czy kontakt trwał, czy Thad tylko się łudził? Nie łudził się w sprawie ptaków i podczas tego pierwszego

szaleńczego zapisywania, wiedział o tym, lecz wydawało się, że uczucie gorąca i wewnętrznego przymusu osłabło. Nadal czuł zdrętwienie w dłoni, ale mogło się to wiązać z tym, z jaką siłą ścisnął ołówek – a sądząc po śladzie z boku palca, ścisnął naprawdę mocno. Czyż nie przeczytał w tym samym artykule o pisaniu machinalnym, że ludzie często łudzili się co do planszy *ouija* – że przeważnie kierowały nią nie duchy, lecz podświadome myśli i pragnienia piszącego?

„Dom znajduje się tam, gdzie jest początek”. Jeżeli to nadal był Stark i jeżeli ta gra słów miała jakieś znaczenie, oznaczała to miejsce, ten dom, nieprawdaż? Ponieważ George Stark przyszedł na świat właśnie tutaj.

Nagle napłynęło wspomnienie tego cholernego artykułu w tygodniku „People”.

„Wkręciłem kartkę do maszyny... po czym wyciągnąłem ją spod wałka. Wszystkie moje książki pisałem dotąd na maszynie, ale George Stark okazał się przeciwnikiem maszyn do pisania. Może dlatego, że nie mieli zajęć z maszynopisania w żadnym z więzień, w których siedział”.

Śliczne. Cudowne. Ale mające niewiele wspólnego z faktami, nieprawdaż? Nie po raz pierwszy Thad opowiedział historię, która miała tylko luźny związek z prawdą, i przypuszczał, że nie po raz ostatni – zakładając oczywiście, że to przeżyje. Właściwie nie było to kłamstwem; mówiąc ściślej, nie było to nawet ubarwianiem prawdy. Była to niemal nieświadoma sztuka beletryzowania własnego życia i Thad nie znał ani jednego powieściopisarza bądź nowelisty, który tego nie robił. Nie czyniło się tego, żeby poprawić swój rzeczywisty wizerunek w danej sytuacji; to się czasem zdarzało, ale równie chętnie opowiadało się historie, które ukazywały kogoś w złym

świetle lub sprawiały, że wychodził na komicznego głupca. W którym to filmie jakiś dziennikarz powiedział: „Kiedy masz wybór między prawdą a legendą, drukuj legendę”? Chyba w *Człowieku, który zabił Liberty Valance’a*. Być może taki zabieg przyczyniał się do tworzenia gównianych i nikczemnych reportaży, ale tworzył cudowną beletrystykę. Nadmiar fantazji we własnym życiu wydawał się niemal nieuniknionym skutkiem gawędziarstwa – niczym odciski na opuszkach palców od gry na gitarze lub nikotynowy kaszel po latach palenia papierosów.

Prawda o narodzinach Starka w rzeczywistości bardzo różniła się od wersji zaprezentowanej w magazynie „People”. Nie było żadnej mistycznej decyzji, by pisać powieści Starka odręcznie, chociaż z czasem stało się to rodzajem rytuału. Jeśli zaś chodziło o rytuały, pisarze byli równie przesadni jak zawodowi sportowcy. Baseballiści nosili nieraz te same skarpety lub zegnali się znakiem krzyża przed wejściem na stanowisko miotacza, gdy dobrze im szło; pisarze, gdy odnosili sukcesy, mieli skłonność do przestrzegania pewnych wzorców, aż te stawały się rytuałami, próbując ustrzec się przed literackim odpowiednikiem kryzysu pałkarza, zwanym zanikiem inwencji twórczej.

Zwyczaj pisania powieści przez George’a Starka odręcznie powstał po prostu dlatego, że Thad zapomniał przywieźć ze sobą nowe taśmy do underwooda stojącego w jego małym gabinecie w letnim domku w Castle Rock. Nie miał taśm do maszyny do pisania, ale pomysł na powieść był zbyt świeży i obiecujący, żeby czekać, więc Thad szperał w szufladach małego biurka, dopóki nie znalazł notesu, kilku ołówków i...

W tamtym okresie dotarliśmy do domu nad jeziorem znacznie

później, ponieważ prowadziłem ten trzytygodniowy kurs. Jak to się nazywało? Twórcze nastroje. Cholerny idiotyzm. Był koniec czerwca i pamiętam, że poszedłem na górę do gabinetu i odkryłem, iż nie ma żadnych taśm. Cholera, pamiętam, jak Liz psioczyła, że nie ma nawet kawy...

„Dom znajduje się tam, gdzie jest początek”.

Rozmawiając z Mikiem Donaldsonem, gościem z tygodnika „People”, opowiadając na wpół fikcyjną historię narodzin George’a Starka, bez namysłu ulokowałem ją tutaj, w dużym domu w Ludlow, ponieważ sądziłem, że właśnie w Ludlow najczęściej pisał i umieszczenie tej sceny tutaj było zupełnie normalne – zwłaszcza gdy umieszczasz scenę świadomie, tak jak czyniłeś to, tworząc powieść. Ale to nie tutaj debiutował George Stark; nie tu spojrzął na świat oczami Thada, aczkolwiek właśnie tutaj Thad napisał większość tekstów zarówno jako Stark, jak i pod swoim nazwiskiem, to tu wiedli znaczną część dziwnego podwójnego życia.

„Dom znajduje się tam, gdzie jest początek”.

W tym wypadku dom musi oznaczać Castle Rock. Castle Rock, w którym – tak się złożyło – mieścił się Homeland Cemetery, gdzie zdaniem Thada, a może nawet w mniemaniu Alana Pangborna, dwa tygodnie temu George Stark pojawił się po raz pierwszy w swoim zbrodniczym wcieleniu.

I wtedy, jakby to była najbardziej logiczna kolej rzeczy (i z tego, co wiedział, tak właśnie mogło być), przyszło mu do głowy kolejne pytanie, tak zasadnicze i tak spontaniczne, że wymamrotał je pod nosem jak nieśmiały wielbiciel na wieczorze autorskim:

– Dlaczego chcesz wrócić do pisania?

Opuścił rękę, aż czubek ołówka zetknął się z papierem. Wróciło

odrętwienie i uczucie, jakby dłoń była zanurzona w strumieniu lodowatej i przejrzystej wody.

I znowu dłoń najpierw się uniosła i przewróciła kartkę w dzienniku. Opadła, przyglądała stronie... lecz tym razem pisanie nie zaczęło się natychmiast. Thad zdążył pomyśleć, że kontakt bez względu na jego charakter został zerwany pomimo odrętwienia, i wtedy ołówek drgnął w jego dłoni, jakby był żywą istotą... żywą, lecz poważnie ranną. Drgnął, zostawiając znak przypominający rozciągnięty przecinek, znowu drgnął, robiąc poziomą kreskę, po czym napisał:

*George Stark George George Stark Nie ma żadnych
ptaków George Stark*

zanim zatrzymał się niczym rzeźąca maszyna.

Tak. Możesz zapisać swoje imię i nazwisko. I możesz zaprzeczać istnieniu wróbli. Świetnie. Ale dlaczego chcesz wrócić do pisania? Czemu to takie ważne? Ważne na tyle, by zabijać?

I jeśli nie będę pisał, umrę

zanotował ołówek.

– Co przez to rozumiesz? – wymamrotał Thad, ale poczuł, jak w jego głowie eksploduje szalona nadzieja. Czy to mogłoby być takie proste? Przypuszczał, że tak, zwłaszcza dla pisarza, który w ogóle nie powinien istnieć. Chryste Panie, było wystarczająco dużo prawdziwych pisarzy, którzy nie mogli żyć bez pisania lub czuli, że nie mogą... a w wypadku takich ludzi jak Ernest Hemingway tak

naprawdę sprowadzało się to do tego samego, nieprawdaż?

Ołówek zadrżał, po czym wykreślił pod ostatnią wiadomością długą nierówną linię. Miała dziwny, przypominający sonogram kształt.

– No co, u diabła, przez to rozumiesz? – wyszeptał Thad.

L ROZPAD

napisał ołówek. Litery były nienaturalne, stawiały opór. Ołówek drgał między białymi jak wosk palcami Thada. Jeśli nacisnę mocniej, pomyślał, po prostu się złamie.

utrata

utrata niezbędnej SPÓWNOŚCI

*L nie ma żadnych ptaków NIE MA ŻADNYCH PRZEPŁYNYCH PTAKÓW
och ty sukłn.synu wyjdź z mojej głowy!*

Nagle jego ramię pofrunęło w górę, a odrętwiała dłoń podrzuciła ołówek ze zręcznością scenicznego magika manipulującego kartą i zamiast trzymać go w palcach, Thad dzierżył ołówek w zaciśniętej pięści niczym sztylet.

Opuścił go – Stark go opuścił – i nagle ołówek pograżył się w tkance między kciukiem a palcem wskazującym lewej ręki Thada. Grafitowy czubek, trochę stępiony pisaniem, przebił ją niemal na wylot. Ołówek się złamał. Kałuża jasnej krwi wypełniła wgłębienie, które drewniany walec zrobił w jego ciele, a siła trzymająca Thada w uścisku zniknęła. Szalony ból przeniknął jego dłoń spoczywającą na biurku ze sterczącym z niej ołówkiem.

Thad odrzucił do tyłu głowę i zacisnął zęby, by powstrzymać rozdzierający skowyt, który usiłował się wydostać z jego krtani.

3

Obok gabinetu znajdowała się mała łazienka i gdy Thad poczuł, że

może chodzić, zaniósł tam swą potwornie rwącą dłoń i obejrzał ranę pod ostrym światłem jarzeniówki. Przypominała ranę od kuli – idealnie okrągła dziura okolona rozszerzającą się czarną smugą, która wyglądała niczym proch strzelniczy, a nie grafit. Odwrócił rękę i z drugiej strony ujrzał jasnoczerwoną kropkę wielkości ostrza szpilki. Czubek ołówka.

Tak niewiele brakowało, by przeszedł na wylot, pomyślał.

Polewał ranę zimną wodą, dopóki nie zdrętwiała mu dłoń, po czym wyjął z szafki butelkę z wodą utlenioną. Okazało się, że nie potrafi jej utrzymać w lewej ręce, przycisnął ją więc do ciała ramieniem, żeby zdjąć zakrętkę. Wlał środek dezynfekujący do dziury w dłoni, przyglądając się, jak płyn robi się biały i spieniony, i z bólu zagryzając zęby.

Odstawił wodę utlenioną, a następnie ścigał po kolei z półek nieliczne buteleczki z lekami na receptę, oglądając ich etykiety. Przed dwoma laty po upadku na nartach biegowych cierpiał na okropnie bolesne skurcze pleców i stary dobry doktor Hume dał mu receptę na percodan. Zażył wówczas tylko kilka tabletek; okazało się, że lek zaburzał sen i utrudniał pisanie.

W końcu odnalazł plastikową fiolkę ukrytą za puszką kremu do golenia, który liczył pewnie tysiąc lat z okładem. Thad podważył zębami zakrętkę fiolki i wytrząsnął jedną pastylkę na brzeg umywalki. Zastanawiał się nad dodaniem drugiej, ale zrezygnował. Były mocne.

I przypuszczalnie przeterminowane. Może zakończysz tę szaloną noc zabaw porządnymi drgawkami i podróżą do szpitala – co ty na to?

Postanowił jednak zaryzykować. Tak naprawdę nie miał nawet innego wyboru – ból był ogromny, niesamowity. Jeśli zaś chodzi

o szpital... Thad znowu spojrział na ranę w dłoni i pomyślał: Chyba powinienem pojechać i pokazać to komuś, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli to zrobię. W ostatnich kilku dniach wystarczająco dużo osób patrzyło na mnie jak na wariata, bym miał dość na całe życie.

Zgarnął kolejne cztery pastylki percodanu, wetknął je do kieszeni spodni i wsadził fiolkę z powrotem na półkę szafki z lekarstwami. Potem opatrzył ranę. Jeden okrągły plaster załatwił sprawę. Patrząc na ten mały krążek, pomyślał, nie wyobrażałbyś sobie, jak cholernie ta rana boli. Zastawił na mnie wnyki. Zastawił je w swoim umyśle, a ja w nie wlażłem.

Czy naprawdę tak właśnie się stało? Thad nie wiedział, nie na pewno, wiedział za to jedno: nie pragnął powtórnego występu.

4

Kiedy odzyskał panowanie nad sobą – lub coś na kształt panowania – odłożył swój diariusz do szuflady w biurku, zgasił lampy w gabinecie i zszedł na pierwsze piętro. Przystanął na podeście i przez chwilę nasłuchiwał. Bliźnięta były spokojne. Liz także.

Percodan, najwyraźniej nie dość stary, zaczął działać. A ból w dłoni Thada nieco ustępował. Gdyby przez nieuwagę ją zgiał, lekkie pulsowanie w dłoni przemieniłoby się w torturę, jeżeli jednak będzie ostrożny, wytrzyma.

Ale rankiem będzie bolało, kolego... i co masz zamiar powiedzieć Liz?

Dokładnie nie wiedział. Przypuszczalnie prawdę... w każdym razie część prawdy. Wydawało się, że bardzo wprawnie wykrywa jego kłamstwa.

Ból był lżejszy, lecz skutki nagłego wstrząsu – wszystkich nagłych

wstrząsów – nie ustępowały i Thad pomyślał, że zanim zdoła zasnąć, minie jeszcze trochę czasu. Zszedł na parter i zza cienkich firanek w dużym oknie salonu zerknął na radiowóz policji stanowej zaparkowany na podjeździe. Spostrzegł w środku przypominające świetliki migotanie dwóch papierosów.

Siedzą tam ze stoickim spokojem, pomyślał. Nie zwracają sobie głowy żadnymi ptakami, może więc nie było żadnych ptaków z wyjątkiem tych w mojej głowie. Ostatecznie tym gościom płaci się za zwracanie im głowy.

Myśl była kusząca, ale gabinet Thada znajdował się po drugiej stronie domu. Jego okien nie było widać z podjazdu. Powozowni też nie, więc gliniarze i tak nie mogli widzieć tych ptaków. W każdym razie w chwili, gdy zaczęły siadać na grzędzie.

A kiedy wszystkie odfruwają? Chcesz mi powiedzieć, że ich nie słyszeli? Ty widziałeś ich co najmniej setkę – może dwie lub trzy setki.

Thad wyszedł na zewnątrz. Ledwie otworzył siatkowe drzwi kuchni, obydwaj policjanci stanęli z obu stron radiowozu. Byli rośliymi mężczyznami, którzy poruszali się bezszelestnie i zwinnie jak dzikie koty.

– Znowu zadzwonił, panie Beaumont? – zapytał ten, który wysiadł od strony kierowcy. Nazywał się Stevens.

– Nie... bynajmniej – odparł Thad. – Pisałem w moim gabinecie, gdy wydało mi się, że słyszę, jak odlatuje całe stado ptaków. Trochę się wkurzyłem. Słyszeliście to, panowie?

Thad nie znał nazwiska gliniarza, który wysiadł od strony pasażera. Był młody i jasnowłosy, miał okrągłą prostolinijną twarz, z której emanowała łagodność.

– Słyszałem je i widziałem – rzekł. Wskazał na niebo nad domem, gdzie wisiał księżyc w pierwszej kwadrze. – Przecięły w locie tarczę księżycy. Wróble. Spore stado. Prawie nigdy nie fruują nocą.

– Jak pan przypuszcza, skąd przyleciały?

– Cóż, powiem panu, że nie wiem – odparł policjant o okrągłej twarzy. – Obląłem egzamin z obserwacji ptaków.

Roześmiał się. Drugi policjant zachował powagę.

– Czuje się pan dzisiaj zdenerwowany, panie Beaumont? – zapytał.

Thad spojrział na niego spokojnie.

– Tak – przyznał. – Ostatnio czuję się tak co wieczór.

– Możemy panu teraz w czymś pomóc?

– Nie. Nie sędzę. Po prostu zaciekawilo mnie to, co uslyszalem.
Dobranoc.

– ...branoc – odparł policjant z krągłą twarzą.

Stevens skinął tylko głową. Poniżej szerokiego ronda policyjnego stetsona błyszcząły jego pozbawione wyrazu oczy.

Ten uważa, że jestem winny, pomyślał Thad, wracając chodnikiem. Czego? Nie wie. Prawdopodobnie nic go to nie obchodzi. Ale ma twarz człowieka, który sądzi, że każdy jest czegoś winny. Kto wie? Może nawet ma rację.

Zamknął kuchenne drzwi na klucz. Wrócił do salonu i znowu wyrzwał na zewnątrz. Policjant o okrągłej twarzy wsiadł z powrotem do radiowozu, ale Stevens nadal stał od strony kierowcy i Thad przez chwilę miał wrażenie, że tamten patrzy mu prosto w oczy. Było to oczywiście niemożliwe; przy zaciągniętych firankach Stevens widziałby tylko niewyraźną ciemną sylwetkę... jeżeli w ogóle coś by dostrzegł.

A jednak wrażenie to nie ustępowało.

Thad zaciągnął zasłony i podszedł do barku. Otworzył go i wyciągnął butelkę glenliveta, który był jego ulubionym trunkiem. Patrzył na nią długo, po czym odstawił z powrotem. Strasznie chciał się napić, ale byłby to najgorszy moment w dziejach na powrót do picia.

Wyszedł do kuchni i nalał sobie szklanekę mleka, bardzo uważając, by nie zginać lewej dłoni. Rana była nierówna i gorąca w dotyku.

Przyszedł w nieokreślonej postaci, pomyślał, popijając mleko. To nie trwało długo – nabrał ostrości przeraźliwie szybko – ale przyszedł w nieokreślonej postaci. Myślę, że spał. Być może śnił o Miriam, ale nie sądzę. To, do czego się podłączyłem, było zbyt spójne jak na sen. Myślę, że to była pamięć, Sala Kronik w podświadomości George’a Starka, gdzie wszystko jest starannie zapisywane, a potem umieszczane w odpowiedniej przegródce. Przypuszczam, że gdyby podłączył się do mojej podświadomości – a z tego, co wiem, chyba już to zrobił – stwierdziłby to samo.

Wypił łyk mleka i spojrzął na drzwi spiżarni.

Ciekawe, czy mógłbym się podłączyć do jego myśli na jawie... do jego świadomości?

Sądził, że odpowiedź brzmi „tak”... ale pomyślał też, że to znowu uczyni go bezbronnym. A następnym razem mógłby nie dostać ołówkiem w dłoń, lecz nożem do papieru w szyję.

To niemożliwe. On mnie potrzebuje.

Owszem, ale jest szalony. Szaleńcy nie zawsze są świadomi tego, co jest dla nich najbardziej korzystne.

Popatrzył na drzwi spiżarni i zaczął się zastanawiać, czy tam wejść... a stamtąd wydostać się na zewnątrz, z drugiej strony domu.

Czy mógłbym go skłonić do zrobienia czegoś? Tak jak on mnie

skłonił?

Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Przynajmniej na razie. A jeden nieudany eksperyment mógłby go zabić.

Thad dopił mleko, wypłukał szklanekę i włożył ją do suszarki na naczynia. Potem wszedł do spiżarni. Tutaj, między półkami z puszkami z prawej strony a półkami z żywnością w kartonach z lewej, znajdowały się dzielone poziomo drzwi prowadzące na szeroki trawnik, który nazywali ogrodem za domem. Otworzył drzwi, pchnął obie połówki skrzydła i zobaczył stół i grill trzymające w milczeniu straż. Wyszedł na asfaltową ścieżkę, która biegła wokół tej części domu i w końcu łączyła się z głównym chodnikiem od frontu.

Lśniła niczym czarne szkło w bladym blasku półksiężyca. W regularnych odstępach widać było na niej białe plamy.

Ptasie gówna, mówiąc wprost, pomyślał.

Szedł powoli asfaltem, aż stanął pod oknami gabinetu. Jakaś ciężarówka pojawiła się na widnokręgu i pomknęła w dół drogi numer 15 w kierunku posesji Beaumontów, rzucając na chwilę jaskrawe światło na trawnik i ścieżkę. W tym świetle Thad ujrzał leżące na niej wróble – maleńkie kupki piór ze sterczącymi z nich trójpalczastymi łapkami. Ciężarówka zniknęła. W blasku księżyca ciała martwych ptaków na powrót stały się nieregularnymi skrawkami cienia – i niczym więcej.

One były prawdziwe, pomyślał znowu. Wróble były prawdziwe. Powróciło to ślepe, odrażające przerażenie, pod wpływem którego poczuł się trochę zbrukany. Próbował zacisnąć dłonie w pięści i lewą, urażoną, przeszył ostry ból. Uczucie niewielkiej ulgi, jaką przyniósł percodan, już mijało.

Były tutaj. Były prawdziwe. Jak to możliwe?

Nie wiedział.

Przywołałem je czy stworzyłem z niczego?

Tego też nie wiedział. Był jednak pewien jednej rzeczy: wróble, które przyleciały dziś w nocy, prawdziwe wróble, które zjawily się tuż przedtem, zanim wpadł w trans, stanowiły jedynie część potencjalnego stada. Być może tylko drobną część.

Nigdy więcej, pomyślał. Błagam – nigdy więcej.

Podejrzewał jednak, że to, czego chciał, nie miało znaczenia.

To był prawdziwy horror; wyzwolił w sobie jakieś okropne paranormalne zdolności, nie potrafił jednak ich kontrolować. Sama myśl o kontroli w tej kwestii zakrawała na żart.

Sądził też, że zanim się to skończy, one wrócą.

Wzdrygnął się i wrócił do domu. Wśliznął się do własnej spizarni jak włamywacz, po czym zamknął za sobą drzwi i zaniósł swą pulsującą z bólu dłoń do łóżka. Wcześniej połknął kolejną tabletkę percodanu, popijając ją wodą z kuchennego kranu.

Liz się nie obudziła, gdy kładł się obok niej. Po jakimś czasie uciekł w trzygodzinny niespokojny sen, w którym krążyły nad nim – zawsze tuż poza jego zasięgiem – koszmary.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

STARK DOKONUJE ZAKUPU

1

Przebudzenie nie przypominało przebudzenia.

Sądził, że tak naprawdę nigdy nie był przytomny ani uśpiony, przynajmniej w znaczeniu, w jakim normalni ludzie używali tych pojęć. W pewnym sensie było tak, jakby zawsze spał i tylko przechodził z jednego snu w drugi. W tym sensie jego życie – ta niewielka część, którą pamiętał – przypominało zestaw chińskich pudełek, których stale przybywało, lub zerkanie do bezkresnej sali wyłożonej lustrami.

Ten sen był koszmarem.

Zbudził się powoli, wiedząc, że tak naprawdę wcale nie spał. Thad Beaumont zdołał jakoś zawładnąć nim na krótki czas, nagiąć go do swojej woli. Czy kiedy był pod kontrolą Beaumonta, mówił różne rzeczy i różne rzeczy ujawnił? Miał wrażenie, że mogło się tak stać... był jednak całkiem pewien, że Beaumont nie wiedziałby, jak je zinterpretować i jak odróżnić rzeczy ważne od tych, które nie miały znaczenia.

Poza tym obudził się z tego snu, czując ból.

Wynajął wcześniej umeblowaną kawalerkę w East Village tuż przy Avenue B. Gdy otworzył oczy, siedział przy asymetrycznym kuchennym stole z otwartym notesem przed sobą. Strużka jasnej krwi

biegła po spłowiałej ceracie, którą nakryty był stół, i nie było w tym nic zaskakującego, ponieważ z jego prawej dłoni sterczał tani długopis.

I teraz ten sen zaczął powracać.

Właśnie tak mógł wyrzucić Beaumonta ze swych myśli, tylko w ten sposób był w stanie zerwać więź, którą ten tchórzliwy gnój jakoś stworzył między nimi. Tchórzliwy? Tak. Był jednak również szczwany i należało o tym pamiętać. Bardzo dobrze pamiętać.

Stark przypominał sobie jak przez mgłę, że śnił, iż Thad jest z nim, w jego łóżku – rozmawiali ze sobą, szeptali do siebie i z początku wydawało się to przyjemne, a zarazem dziwnie pokrzepiające – niczym rozmowa z bratem po zgaszeniu światła w sypialni.

Tyle że oni nie tylko rozmawiali, prawda?

To, co robili, było wymianą tajemnic... lub raczej sytuacją, w której Thad zadawał mu pytania, a Stark na nie odpowiadał. Było to przyjemne, podnosiło na duchu. Ale też niepokoiło. Z początku jego zaniepokojenie dotyczyło tych ptaków – czemu Thad wypytywał go o ptaki? Przecież nie było żadnych ptaków. Może kiedyś... bardzo dawno temu... ale potem już nie. Chodziło po prostu o grę umysłową, żalną próbę wkurzenia go. Później stopniowo poczucie zaniepokojenia splotło się z niemal doskonale dostrojonym instynktem samozachowawczym – wzmagало się i konkretyzowało, w miarę jak nieustannie próbował się obudzić. Miał wrażenie, że jest trzymany pod wodą, że tonie...

Wciąż pogrążony w stanie tego pół snu, pół czuwania wszedł do kuchni, otworzył notes i wziął do ręki długopis. To nie Thad się do tego przyczynił, bo i dlaczego miałby się przyczynić? Czyż sam nie pisał osiemset kilometrów stąd? Długopis nie był oczywiście

właściwym narzędziem – nawet dobrze nie leżał w dłoni – ale by wystarczył. Na razie.

Obserwował siebie, jak pisze: *Rozpad* – i w tym momencie znalazł się bardzo blisko czarodziejskiego lustra, które oddzielało sen od czuwania. Usiłował narzucić własne myśli długopisowi, swą wolę temu, co pojawi się na czystej kartce papieru, lecz było to bardzo trudne, dobry Boże, dobry Jezu, to było tak cholernie trudne.

Długopis i sześć notesów kupił zaraz po przybyciu do Nowego Jorku, zanim jeszcze wynajął tę nędzną kawalerkę. W sklepie były ołówki Berol i nawet miał ochotę je kupić, ale tego nie zrobił, ponieważ niezależnie od tego, czyj umysł wprowadził te ołówki w ruch, trzymała je dłoń Thada Beaumonta, on zaś musiał się dowiedzieć, czy potrafi zerwać tę więź. Zostawił więc ołówki i zamiast nich wziął długopis.

Gdyby potrafił pisać, gdyby potrafił pisać samodzielnie, wszystko byłoby dobrze i w ogóle nie potrzebowałby tej nędznej, płacziwej kreatury w stanie Maine. Ale okazało się, że długopis nie przydał mu się na nic. Bez względu na to, jak bardzo się starał, jak usilnie się skupiał, jedynym, co był w stanie zapisać, było jego imię i nazwisko. Zapisywał je raz po raz: George Stark, George Stark, George Stark, aż u dołu kartki słowa te stały się zupełnie nieczytelnymi gryzmołami przedszkolaka.

Wczoraj poszedł do filii nowojorskiej biblioteki publicznej i zapłacił za godzinny dostęp do jednej z ponurych, szarych elektrycznych maszyn IBM w skrytorium. Wydawało się, że ta godzina trwała tysiąc lat. Usiadł w osłoniętym z trzech stron boksie i drżącymi palcami wystukał swoje imię i nazwisko, tym razem dużymi literami: GEORGE STARK, GEORGE STARK, GEORGE STARK.

Przerwij to! – krzyknął w myślach. Napisz coś innego, cokolwiek, tylko przerwij!

Spróbował więc. Pochylił się spocony nad klawiaturą i napisał: *Chyży rudy lis przeskoczył leniwego psa.*

Dopiero gdy spojrział na kartkę, spostrzegł, że w rzeczywistości napisał: *george George Stark george starknął starkliwego starka.*

Poczuł gwałtowną chęć, by wyrwać przyśrubowaną maszynę ze stołu i zdemolować salę, wymachując nią niczym maczugą, rozłupując ludziom czaszki i gruchocąc kości: skoro nie mógł tworzyć, niech unicestwia!

Zamiast to uczynić, opanował się (z wielkim wysiłkiem) i wyszedł z biblioteki, mnąc bezużyteczną kartkę w krzepkiej dłoni i wrzucając ją do ulicznego kosza na śmieci. Teraz z długopisem Bic w ręce przypomniał sobie ślepą furję, jaką poczuł, odkrywszy, że bez Beaumonta może napisać jedynie swoje imię i nazwisko.

I ten strach.

Paniczny strach.

Ale przecież wciąż miał Beaumonta, czyż nie? Beaumont pewnie myślał, że jest na odwrót, ale może... może czekała go zjebicie duża niespodzianka.

utrata – napisał. Chryste Panie, nie mógł powiedzieć Beaumontowi nic więcej – to, co już napisał, było wystarczająco fatalnym błędem. Usiłował zapanować nad swą zdradliwą ręką. Obudzić się.

niezbędnej SPOJNOŚCI – napisała jego ręka jakby dla wzmocnienia poprzedniej myśli i nagle Stark ujrzał, że dźga Beaumonta długopisem. Pomyślał: Ja też potrafię to zrobić. Myślę, że ty byś nie potrafił, bo gdy rzecz się sprowadza do tego, jesteś jak ciepłe kluchy, nieprawdaż? Ale gdy chodzi o kwestię sporną... Ja sobie z tym

poradzę, draniu. Myślę, że już czas, byś to zrozumiał.

Mimo że przypominało to sen we śnie, mimo że o władnęło nim to potworne, przyprawiające o zawrót głowy uczucie utraty kontroli, odzyskał część swojej dzikiej i bezwzględnej pewności siebie i zdołał przebić tarczę snu. W tej triumfalnej chwili rozbicia powierzchni lustra, zanim Beaumont zdążył go utopić, uzyskał władzę nad długopisem... i w końcu mógł nim pisać.

Przez chwilę – i była to tylko chwila – pojawiło się wrażenie, że dwie dłonie chwytają za dwa narzędzia do pisania. To uczucie było zbyt wyraźne, zbyt prawdziwe, żeby nie było realne.

nie ma żadnych ptaków – napisał. Pierwsze prawdziwe zdanie, jakie skreślił jako cielesna istota. Pisanie było strasznie trudne: tylko stworzenie o nieziemskiej determinacji mogło znieść taką próbę. Ale z chwilą, gdy padły te słowa, poczuł, że jego opanowanie wzrasta. Uścisk tej drugiej ręki osłabł i Stark zacisnął na niej własną dłoń, nie okazując litości ani wahania.

Potop się przez chwilę, pomyślał. Zobacz, jakie to przyjemne.

W uniesieniu bardziej gwałtownym i przyjemnym niż nawet najpotężniejszy orgazm napisał: *NIE MA ŻADNYCH PIEPRZONYCH PTAKÓW och ty sukinsynu wyjdź z mojej głowy!*

Po czym, zanim zdążył o tym pomyśleć – myślenie mogło spowodować fatalne wahanie – zakreślił w powietrzu długopisem krótki łagodny łuk. Stalowy czubek wbił się w jego prawą dłoń... i wtedy poczuł, jak setki kilometrów na północ od niego Thad Beaumont zamaszystym ruchem wbija ołówek Berol Black Beauty w swoją lewą dłoń.

Wtedy właśnie obudził się – obudzili się obaj – naprawdę.

2

Ból był piekący i ogromny, ale też wyzwalający. Stark krzyknął, przyciskając ramię do spoconej twarzy, żeby stłumić głos, jednak ów krzyk wyrażał nie tylko cierpienie, lecz także radość i euforię.

Czuł, jak Beaumont tłumi własny krzyk w swoim gabinecie w Maine. Wiąż świadomości, jaką Beaumont stworzył między nimi, nie zerwała się; bardziej przypominało to rozwiązywanie zrobionego w pośpiechu węzła, który rozsypał się wskutek ostatecznego, potężnego szarpnięcia. Stark wyczuł, dojrzał niemalże sondę, którą ten zdradliwy drań umieścił podstępnie w jego głowie podczas snu, kręcącą się teraz, wyslizgującą i drżącą.

Sięgnął – nie ręką, lecz umysłem – i uchwycił znikającą końcówkę sondy mentalnej Thada. Według Starka wyglądała ona jak robak, gruby biały czerw wypchany delirycznie padliną i próchnem.

Pomyślał o tym, by skłonić Thada do chwycenia za kolejny ołówek z kamiennego słoja i ponownego dźgnięcia się we własne ciało – tym razem w oko. A może zmusiłby go do wbicia ostrza ołówka głęboko w ucho, przebicia błony bębenkowej i szukania za nią miękkich tkanek mózgu. Usłyszał niemal krzyk Thada. Tego krzyku nie zdołałby stłumić.

Po czym przestał. Nie chciał śmierci Beaumonta.

W każdym razie jeszcze nie teraz.

Dopóki Beaumont nie nauczy go, jak żyć samodzielnie.

Powoli rozluźnił pięść i wówczas poczuł, że uścisk, w którym trzymał istotę Beaumonta – uścisk mentalny, pod każdym względem równie szybki i bezlitosny jak jego pięść – też słabnie. Czuł, jak Beaumont, pulchny biały czerw, wymyka się, piszcząc i jęcząc.

– Tylko na razie – wyszeptał i powrócił do innych ważnych spraw. Zamknął lewą dłoń na długopisie wystającym z drugiej ręki. Wyciągnął go gładko, po czym wrzucił do kosza na śmieci.

3

Na zrobionej ze stali nierdzewnej suszarce do naczyń przy zlewie stała butelka whisky Glenlivet. Stark zabrał ją do łazienki. Gdy szedł, wymachując prawą ręką, pryskał na pofałdowane wypłowiałe linoleum kroplami krwi wielkości dziesięciocentówek. Dziura w jego dłoni znajdowała się mniej więcej centymetr nad linią knykci, nieco na prawo od środkowego palca. Była idealnie okrągła. Plama czarnego tuszu wokół brzegu w połączeniu z krwotokiem wewnętrznym upodobniła ją do rany postrzałowej. Spróbował zgiąć dłoń. Palce się poruszyły... lecz wywołana tym przyprawiająca o mdłości fala bólu była zbyt gwałtowna, by dalej eksperymentować. Stark pociągnął za łańcuszek zwisający z oprawki nad lustrem szafki na lekarstwa i zapaliła się nieosłonięta sześćdziesięciowatowa żarówka. Prawym ramieniem przycisnął butelkę whisky do boku, żeby móc zdjąć nakrętkę, i rozczapierzywszy palce, wyciągnął zranioną dłoń nad umywalką. Czy Beaumont robił to samo w Maine?

Bardzo w to wątpił. Wątpił, czy Beaumont ma dość odwagi, by uprzątnąć bałagan, którego narobił. Pewnie był już w drodze do szpitala.

Polał ranę alkoholem i stalowa błyskawica niestłumionego niczym bólu przeszła całe jego ramię. Ujrzał whisky pieniaącą się na zranionej skórze, widział cienkie kłaczkę krwi w bursztynowej cieczy i musiał znowu wtulić twarz w przepocony rękaw koszuli.

Wydawało mu się, że ten ból nigdy nie zniknie, ale w końcu zaczął

słabnąć.

Próbował umieścić flaszkę na półce przytwierdzonej śrubami do wykafelkowanej ściany poniżej lustra. Ręka za bardzo mu drżała, by ta operacja mogła się zakończyć sukcesem, więc postawił whisky na pokrytej plamami rdzy blaszanej podłodze kabiny prysznicowej. Za chwilę będzie miał pewnie ochotę się napić.

Uniósł dłoń do światła i zajął do dziury. Widział przez nią żarówkę, ale jej obraz był niewyraźny – jakby patrzył przez czerwony filtr zamglony jakimś błoniastym paskudztwem. Długopis nie przeszedł na wylot, ale cholernie mało brakowało. Może Beaumont spisał się lepiej.

Zawsze mógł mieć taką nadzieję.

Podłożył dłoń pod kran z zimną wodą, rozczapierzając palce, żeby jak najbardziej rozciągnąć ranę, po czym przygotował się na atak bólu. Z początku było fatalnie – musiał precedzić kolejny krzyk przez zaciśnięte zęby i ściągnięte w cieką białą linię wargi – ale potem dłoń zdętwiała i już było lepiej. Wytrzymał przez pełne trzy minuty, zakręcił wodę i znowu uniósł rękę do światła.

Nadal widać było blask żarówki, teraz jednak przyćmiony i odległy. Rana się zasklepiła. Wyglądało na to, że jego ciało ma zdumiewającą zdolność regeneracji, co było dość zabawne, bo równocześnie Stark się rozpadał. Utrata spójności – napisał. I był to dość trafny opis.

Przez ponad trzydzieści sekund patrzył nieruchomym wzrokiem na swą twarz w pofalowanym, pokrytym plamami zwierciadle, po czym gwałtownym ruchem głowy otrząsnął się ze stanu nieświadomości. Oglądając własną twarz, tak dobrze znaną, a mimo to tak nową i dziwną, zawsze miał wrażenie, że wpada w stan hipnotyczny. Gdyby wpatrywał się w nią dostatecznie długo, po prostu tak by się stało.

Stark otworzył szafkę z lekami, odchylając lustro i swe odrażająco fascynujące oblicze na bok. W apteczce znajdował się niewielki, przypadkowy zbiór przedmiotów: dwie maszynki do golenia jednorazowego użytku, jedna zużyta; słoiczki z fluidem; puderniczka; kilka trójkątnych kawałków gładkiej gąbki w kolorze kości słoniowej, pokrytych miejscami ciemniejszymi plamami pudru; buteleczka generycznej aspiryny. Żadnych bandaży. Bandaże są jak gliny, pomyślał Stark, gdy są naprawdę potrzebne, nigdy ich nie ma. Nic się jednak nie stało – zdezynfekuje ranę dodatkową porcją whisky (porządnie zdezynfekowawszy sobie najpierw gardło), a potem owinie ją chusteczką. Nie sądził, że wda się zakażenie; wyglądało na to, że jest odporny na infekcje. To także uznał za rzecz zabawną.

Zdjął zębami nakrętkę buteleczki z aspiryną, wypluł ją do umywalki, po czym odwrócił naczynie do góry dnem i wytrząsnął z niego do ust pół tuzina tabletek. Wyciągnął whisky z kabiny prysznicowej i popił nią aspirynę. Alkohol trafił do żołądka i rozlał się w nim pokrzepiającą falą ciepła. Potem Stark zrosił alkoholem zranioną dłoń.

Wszedł do sypialni i otworzył górną szufladę komody, która pamiętała lepsze – o niebo lepsze – czasy. Oprócz wiekowej rozkładanej kanapy była jedynym meblem w pokoju.

Tylko ona zawierała cokolwiek poza wyściółką z kartek „Daily News”: trzy pary krótkich kalesonów niewyjętych jeszcze ze sklepowego opakowania, dwie pary skarpet z etykietą wytwórcy na przepasce, parę lewisów oraz chusteczki do nosa, również nierozpakowane. Rozerwał zębami celofan i obwiązał dłoń chusteczką. Cienki materiał przesiąkł najpierw bursztynową whisky, a potem pojawił się na nim niewielki krwawy wykwit.

Stark poczekał, żeby zobaczyć, czy się powiększy, ale tak się nie stało. Dobrze to załatwił. Bardzo dobrze.

Ciekawe, czy Beaumont mógł coś wyczuć? Czy na przykład wie, że George Stark schronił się w East Village w obrzydliwej klitce mieszczącej się w tandetnym budynku, gdzie karaluchy wyglądały na wystarczająco duże, by kraść czeki z opieki społecznej? Sądził, że nie, ale nie było sensu niepotrzebnie ryzykować. Obiecał dać Thadowi tydzień na podjęcie decyzji i choć teraz był niemal pewien, że Beaumont nie zamierza wrócić do pisania pod pseudonimem, zadba o to, by miał cały obiecany mu czas.

On przecież nie rzucał słów na wiatr.

Beaumont prawdopodobnie potrzebował odrobiny zachęty. Płomień małej opalarki gazowej, które można kupić w sklepach z narzędziami, skierowany przez parę sekund na stópki jego dzieci powinien pomóc, pomyślał Stark, ale to zostawił sobie na później. Na razie grał na przeczekanie... i nie zaszkodziłoby, gdyby w tym czasie zaczął się przemieszczać na północ. I zyskać trochę pola, można by rzec. Miał w końcu samochód – czarne toronado. Odprowadził je do garażu, ale to nie znaczyło, że musi tam zostać. Jutro rano mógłby wyjechać z Nowego Jorku. Ale wcześniej musiał dokonać pewnego zakupu... teraz zaś powinien użyć paru kosmetyków z łazienkowej szafki.

4

Wyjął słoiczki z fluidem, puder i gąbki. Zanim zaczął, pociągnął mocno z butelki. Ręce przestały mu się trząść, ale w prawej dłoni czuł nieprzyjemne pulsowanie. Nie martwił się tym zbytnio; jeżeli on czuł pulsowanie, to Beaumont musiał czuć rozdzierający ból.

Stanął twarzą do lustra, dotknął palcem obwisłej skóry pod lewym

okiem, po czym przesunął nim po policzku do kącika ust.

– Tracę spójność – mruknął i na pewno nie minął się z prawdą.

Kiedy po raz pierwszy spojrzął na swą twarz – klęcząc za murem Homeland Cemetery i wpatrując się w błotnistą kałużę, której nieruchomą powierzchnię oświetlał okrągły biały księżyc pobliskiej latarni ulicznej – był zadowolony. Dokładnie taka sama pojawiała się w jego snach, gdy był uwięziony w przypominającym łono lochu wyobraźni Beaumonta. Ujrzał mężczyznę o pospolitej urodzie i rysach trochę zbyt grubo ciosanych, by przyciągać uwagę. Gdyby jego czoło nie było tak wysokie, a oczy tak szeroko rozstawione, może kobiety oglądałyby się za nim. Twarz doskonale nijaka (jeśli coś takiego istnieje) przyciąga nieraz uwagę tylko dlatego, że nie ma ani jednej cechy mogącej przykuć wzrok, zanim oko powędruje dalej; jej całkowita zwyczajność może je wręcz razić i spowodować, że spojrzy po raz drugi. Twarz, którą Stark zobaczył po raz pierwszy prawdziwymi oczami w błotnistej kałuży, dość znacznie odbiegała od tego rodzaju pospolitości. Uznał, że jest idealna, taka, że nikt nie będzie jej w stanie potem opisać. Błękitne oczy... opalenizna, która mogła się wydawać nieco dziwna u osoby o tak jasnych włosach... i o to właśnie chodziło! O nic więcej! Świadek byłby zmuszony przejść do opisu szerokich ramion, które były naprawdę najbardziej charakterystyczną jego cechą... a świat był pełen barczystych mężczyzn.

Teraz wszystko się zmieniło. Teraz jego twarz stała się zdecydowanie dziwna... i gdyby szybko nie zaczął znowu pisać, przybrałaby wręcz groteskowy wygląd.

Tracę spójność, pomyślał znowu. Ale ty położysz temu kres, Thad. Gdy zaczniesz książkę o napadzie na opancerzoną furgonetkę,

postępujące teraz zmiany zaczną się cofać. Nie wiem, skąd to wiem, ale naprawdę wiem.

Minęły dwa tygodnie, odkąd po raz pierwszy zobaczył siebie w tej kałuży, i od tego czasu jego twarz ulegała bezustannej degeneracji. Z początku nieznacznie, tak nieznacznie, że zdołał przekonać samego siebie, iż to tylko złudzenie. Lecz w miarę jak zmiany zaczęły zachodzić coraz szybciej, to przekonanie stało się nie do obrony i musiał je zweryfikować. Na widok jego zdjęcia zrobionego wtedy i aktualnego można by pomyśleć, że został poddany działaniu jakiegoś dziwnego promieniowania lub niszczącej substancji chemicznej. Wydawało się, że George Stark doświadcza spontanicznego rozpadu wszystkich tkanek miękkich równocześnie.

Kurze łapki wokół oczu, typowe oznaki wieku średniego, które zobaczył w zwierciadle kałuży, teraz były głębokimi bruzdami. Powieki stały się obwisłe i miały szorstką fakturę krokodylej skóry. Jego poorane zmarszczkami i popękane policzki też zaczęły ją przypominać. Obwódki samych oczu zrobiły się czerwone, nadając mu żałosny wygląd człowieka, który nie wie, że pora już odstawić butelkę. Głębokie bruzdy biegły na skórze twarzy od kącików warg do brzegu zuchwy, niepokojąco upodabniając jego usta do przegubowych ust lalki brzuchomówcy. Jasne włosy, od początku rzadkie, zrobiły się jeszcze rzadsze, wypadając na skroniach i ukazując różową skórę czaszki. Na grzbietach rąk pojawiły się plamy wątrobowe.

Mógłby to wszystko znieść bez uciekania się do makijażu. Ostatecznie tylko wyglądał staro, a starość nie była niczym niezwykłym. Wydawało się, że jego siła nie została nadwątlona. A w dodatku miał niewzruszoną pewność, że gdyby tylko obaj zaczęli

znowu pisać – to znaczy pisać jako George Stark – proces ten by się cofnął.

Teraz jednak zęby ruszały mu się w dziąsłach. Widać też było rany.

Pierwszą zauważył przed trzema dniami po wewnętrznej stronie łokcia – czerwoną plamę z koronką martwej białej skóry dookoła. Była to skaza w rodzaju tych, które kojarzyły mu się z pelagrą, chorobą endemiczną na głębokim Południu jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku. Przedwczoraj spostrzegł następną, tym razem na szyi, poniżej płatka lewego ucha, a wczoraj dwie kolejne – jedną na piersi między sutkami, drugą poniżej pępka.

Dzisiaj pojawiła się pierwsza skaza na jego twarzy, przy prawej skroni.

Nie były bolesne. Czuł wprawdzie monotonne swędzenie głęboko pod skórą, ale to wszystko... przynajmniej jeśli chodziło o wrażenia. Tyle że skazy szybko się rozprzestrzeniały. Prawa ręka była teraz opuchnięta i ziemistoczerwona od zgięcia w łokciu do połowy ramienia. Popęłnił błąd i się podrapał – wówczas skóra z przyprawiającą o mdłości łatwością ustąpiła pod naciskiem palców. Z pozostawionych przez paznokcie bruzd wyciekła krew zmieszana z żółtawą ropą, a rany wydzielały upiorną woń. Mógłby jednak przysiąc, że nie było to spowodowane zakażeniem. Przypominało raczej... butwienie.

Patrząc teraz na niego, ktoś – nawet lekarz – podejrzewałby zapewne błyskawicznie rozprzestrzeniającego się czerniaka wywołanego na przykład kontaktem z silnym promieniowaniem.

Mimo to rany nie martwiły go zbyt. Przypuszczał, że się rozmnożą, rozprzestrzeniają, połączą ze sobą i w końcu pożrą go żywcem... jeśli im na to pozwoli. Ponieważ nie zamierzał do tego

dopuścić, nie musiał się nimi martwić. Ale nie mógłby być po prostu jeszcze jedną twarzą w tłumie, gdyby skazy na niej przeobraziły się w czynny wulkan. I stąd ten makijaż.

Starannie nałożył gąbką podkład, rozprowadzając go od kości policzkowych na skronie i w końcu zakrywając ziemistoczerwoną grudkę za prawą brwią oraz nową ranę, która właśnie zaczynała wyzierać spod skóry na lewej kości policzkowej. Wcześniej odkrył, że mężczyzna z makijażem przypomina wyglądem tylko jedną istotę na tym bożym świecie: mężczyznę noszącego makijaż. Czyli albo aktora w telewizyjnej operze mydlanej, albo gościa programu Phila Donahue. Ale wszystko było lepsze od ran, a opalenizna częściowo złagodziła wrażenie sztuczności. W mroku lub w świetle lamp to niemal zupełnie niedostrzegalne. Taką miał przynajmniej nadzieję. Były też inne powody, by unikać bezpośredniego kontaktu ze światłem słonecznym. Podejrzewał, że słońce w rzeczywistości przyspiesza katastrofalną reakcję chemiczną, która w nim zachodziła. Miał niemal wrażenie, że zmienia się w wampira. Ale to w niczym nie przeszkadzało; w pewnym sensie zawsze nim był. Poza tym jestem nocnym markiem, zawsze nim byłem; to po prostu leży w mojej naturze.

Ta myśl sprawiła, że wyszczerzył się w uśmiechu, obnażając zęby jak kły.

Zakręcił słoiczek z podkładem i zaczął się pudrować. Czuję swój zapach, pomyślał, a niebawem inni ludzie też będą mogli go wyczuć – intensywny, nieprzyjemny niczym woń pasztetu w puszcze, który przez cały dzień stał w słońcu. To niedobrze, kochani przyjaciele. To bardzo niedobrze.

– Będziesz pisał, Thad – rzekł, patrząc na swoje odbicie w lustrze. –

Ale przy odrobinie szczęścia nie będziesz musiał tego robić długo.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając siekacz, który zdążył pociemnieć i obumrzeć.

– Szybko się uczę.

5

O wpół do jedenastej następnego dnia właściciel sklepu papierniczego przy Houston Street sprzedał trzy pudełka ołówków Berol Black Beauty wysokiemu barczystemu mężczyźnie w kraciastej koszuli, niebieskich dżinsach i bardzo dużych okularach przeciwsłonecznych. Sklepikarz zauważył, że mężczyzna ma również makijaż – prawdopodobnie ślady nocnych łowów w barach dla sadomasochistów. Sądząc zaś po zapachu, uznał, że jego klient nie skropił się po prostu wodą kolońską English Leather, tylko się w niej wykąpał. Zapach wody nie ukrył faktu, że ten barczysty facet paskudnie śmierdział. Sklepikarz przez chwilę – bardzo krótką – zamierzał rzucić jakiś dowcip, po czym się rozmyślił. Facet cuchnął, ale wyglądał na krzepkiego gościa. Poza tym transakcja na szczęście trwała krótko. Ostatecznie ten świrus kupował tylko ołówki, nie zaś rolls-royce’a corniche.

Chorych najlepiej zostawiać w spokoju.

6

Stark wpadł jeszcze do kawalerki w East Village, żeby upchać swój skromny dobytek w worku, który kupił w sklepie z militariami pierwszego dnia pobytu w starym robaczywym Wielkim Jabłku. Gdyby nie butelka szkockiej, pewnie w ogóle nie zawracałby sobie

tym głowy.

Wchodząc po kruszejących schodach od frontu, minął małe ciała trzech martwych wróbli, nie zwróciwszy na nie uwagi.

Opuścił Avenue B pieszo... ale nie szedł długo. Już wcześniej odkrył, że zdeterminowany człowiek zawsze znajdzie jakiś środek transportu, jeżeli naprawdę go potrzebuje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PO TERMINIE

1

Dzień, w którym zakończył się tydzień dany łaskawie Beaumontowi przez Starka, bardziej przypominał dni w końcu lipca niż w trzecim tygodniu czerwca. Thad przemierzał trzydziestokilometrowy odcinek do University of Maine pod niebem w kolorze zamglonego chromu, a klimatyzacja w jego suburbanie pracowała pełną parą mimo spustoszenia, jakie czyniło to w zbiorniku paliwa. Za nim jechał ciemnobrązowy plymouth. Ani razu nie zbliżył się bardziej niż na dwie długości samochodu, nigdy też nie oddalił na więcej niż pięć. Rzadko pozwalał na to, by znalazł się między nimi inny samochód; gdy jakiś kierowca rzeczywiście ostrożnie włączył się w tę dwupojazdową kawalkadę na skrzyżowaniu lub w okolicach szkoły w Veazie, brązowy plymouth mijał go szybko... a jeśli nie było to od razu możliwe, jeden ze stróżów Thada zdejmował osłonę z niebieskiej lampy na desce rozdzielczej. Kilka błysków załatwiało sprawę.

Thad trzymał kierownicę prawą dłonią, lewej używając tylko wtedy, gdy okazywało się to absolutnie niezbędne. Dłoń była już w lepszym stanie, ale gdy zginał ją zbyt gwałtownie, nadal czuł piekielny ból. Uświadomił sobie, że odlicza końcowe minuty ostatniej godziny, zanim będzie mógł zażyć kolejny percodan.

Liz nie chciała, by dzisiaj jechał na uniwersytet, nie chcieli tego też

policjanci wyznaczeni do ochrony Beaumontów. Dla tych chłopaków sprawa była prosta: woleli nie rozdzielać swojego zespołu obserwacyjnego. W wypadku Liz sytuacja była trochę bardziej złożona. Powiedziała, że chodzi jej o jego dłoń; próbując kierować autem, mógł otworzyć ranę. Jej oczy mówiły coś zupełnie innego. Były pełne pytań o George'a Starka.

Po diabła masz tam dzisiaj jechać? – spytała i było to pytanie, na które musiał się wcześniej przygotować, semestr skończył się bowiem dość dawno, a on nie wykładał na kursach letnich. W końcu zadowolił się wyjaśnieniem, że chodzi o teczki wyróżniających się studentów.

Sześćdziesiąt osób zgłosiło się na Eh-7A, kurs twórczego pisania dla wyróżniających się studentów wydziału. Zgłoszeń było przeszło dwa razy więcej niż w poprzednim, jesiennym semestrze, ale (to proste, mój drogi Watsonie) jesienią świat – w tym ta jego część, która specjalizowała się w filologii angielskiej na University of Maine – nie wiedział, że ten stary nudziarz Thad Beaumont to przypadkowo również ekscentryczny George Stark.

Powiedział więc Liz, że chce zebrać ich teczki i zacząć je przeglądać, wyławiając spośród sześćdziesiątki kandydatów piętnaścioro studentów – maksymalną liczbę, jaką mógł przyjąć (choć pewnie nauczyć twórczego pisania mógł jedną osobę).

Ona oczywiście zapytała, dlaczego nie może tego odłożyć przynajmniej do lipca, i (też oczywiście) przypomniała, że rok wcześniej zabrał się do tego w połowie sierpnia. On powrócił do kwestii znacznego wzrostu liczby zgłoszeń, po czym dodał z miną niewiniątka, że nie chce, by zeszłoroczne lenistwo weszło mu w krew.

W końcu Liz przestała protestować – nie dlatego, jak sądził, że przekonały ją jego argumenty, ale ponieważ zrozumiała, że zamierza

tam pojechać bez względu na wszystko. Wiedziała też równie dobrze jak on, że prędzej czy później będą musieli zacząć znowu wychodzić – ukrywanie się w domu do czasu, aż ktoś zabije lub złapie George'a Starka, nie było im zbyt w smak.

Jednak jej badawcze spojrzenie wciąż przepelniał stłumiony lęk.

Thad pocałował żonę i dzieci na pożegnanie i szybko wyszedł. Liz wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać, i gdyby wtedy wciąż był w domu, już by tam został.

Oczywiście nie chodziło o żadne teczki.

Chodziło o termin.

Tego ranka obudził się przepelniony własnym stłumionym lękiem, równie nieprzyjemnym jak skurcz żołądka. George Stark dzwonił wieczorem dziesiątego czerwca i dał mu tydzień na rozpoczęcie powieści o napadzie na opancerzoną furgonetkę. Thad nadal nic nie zrobił w tej sprawie... choć z każdym upływającym dniem coraz wyraźniej widział, jak mogłaby się potoczyć akcja książki. Parę razy nawet o tym śnił, znajdując przyjemne wytchnienie po wędrówce we śnie po opuszczonym domu i patrzeniu, jak eksplodują dotykane przez niego rzeczy. Ale tego ranka jego pierwszą myślą było: Termin. Nie dotrzymałem terminu.

To zaś oznaczało, że nadeszła pora na ponowną rozmowę z George'em, choć wcale nie miał na nią ochoty. Pora przekonać się, jak bardzo jest zły. Cóż... chyba znał odpowiedź na to pytanie. Możliwe jednak, że gdyby był bardzo zły, gdyby nie mógł opanować gniewu i udałoby się go kompletnie wytrącić z równowagi, stary przebiegły George mógłby po prostu popełnić błąd i się z czymś wygadać.

„Utrata spójności”.

Thad miał wrażenie, że George już coś zdradził, pozwalając, by nachalna dłoń Thada zapisała te słowa w jego dzienniku. Gdyby tylko mógł mieć pewność, co znaczą. Domyślał się... ale nie był pewien. A ceną za błąd w tym momencie mogło być nie tylko jego życie.

Tak więc był w drodze na uniwersytet, w drodze do swojego gabinetu w gmachu wydziałów anglistyki i matematyki. Jechał tam nie po to, żeby zebrać teczki wyróżniających się studentów – chociaż by to zrobił – ale dlatego, że znajdował się tam telefon, który nie był na podsłuchu, oraz dlatego, że coś należało zrobić. Nie dotrzymał przecież terminu.

Spoglądając na lewą dłoń, która spoczywała na kierownicy, pomyślał (nie po raz pierwszy w tym bardzo długim tygodniu), że telefon nie jest jedynym sposobem na nawiązanie kontaktu z George'em. Dowiódł już tego... tyle że bardzo wysokim kosztem. Nie chodziło tylko o potworny ból spowodowany zatopieniem naostrzonego ołówka w grzbiecie jego dłoni ani o zgrozę, z jaką przyglądał się, jak ciało wymykające się jego kontroli zadaje sobie cierpienie na rozkaz Starka – starego szczwanego George'a, który wydawał się duchem nigdy nieistniejącego człowieka. Prawdziwą cenę zapłacił w swym umyśle. Tą ceną było pojawienie się wróbli; przerażająca świadomość, że działające tu siły są znacznie potężniejsze i jeszcze bardziej niepojęte niż sam George Stark.

Nabierał coraz większej pewności, że wróble oznaczają śmierć. Tylko dla kogo?

Przerażało go to, że być może będzie zmuszony podjąć ryzyko przywołania wróbli, żeby się znowu skontaktować z George'em Starkiem.

Widział, jak nadlatują; widział, jak docierają do tego mistycznego

punktu w połowie drogi, w którym byli ze sobą połączeni, do tego miejsca, gdzie będzie w końcu musiał stoczyć z George'em Starkiem walkę o panowanie nad ich jedną wspólną duszą.

Obawiał się, że wie, kto zwycięży w takiej walce.

2

Alan Pangborn siedział w swoim gabinecie z tyłu biura szeryfa okręgu Castle, które zajmowało jedno skrzydło magistratu. Dla niego ten tydzień też był długi i stresujący... ale nie było w tym nic nowego. Z prawdziwym początkiem lata w Castle Rock tak właśnie się działo. Od Dnia Pamięci do Święta Pracy funkcjonariusze organów ochrony porządku publicznego w stanie Maine zawsze dostawali obłędu. Pięć dni temu na szosie numer 117 doszło do spektakularnej demolki z udziałem czterech samochodów, spowodowanej alkoholem katastrofy, która pozbawiła życia dwie osoby. Dwa dni później Norton Briggs uderzył żonę patelnią, zwalając ją z nóg na kuchenną podłogę. W ciągu dwudziestu burzliwych lat ich małżeństwa Norton zadał swej żonie wiele ciosów, lecz tym razem najwyraźniej myślał, że ją zabił. Napisał krótki list pełen skruchy i błędów gramatycznych, po czym pozbawił się życia kulą z rewolweru kaliber.38. Gdy żona Briggsa, która też nie była stypendystką Rhodesa, ocknęła się i znalazła stygnące zwłoki swojego dręczyciela, odkręciła gaz w piekarniku i wsadziła do środka głowę. Sanitariusze z pogotowia w Oxfordzie ledwie ją odratowali.

Dwójka dzieci z Nowego Jorku oddaliła się od domku swoich rodziców nad Castle Lake i zabłądziła w lesie niczym Jaś i Małgosia. Odnaleziono je osiem godzin później wystraszone, lecz całe i zdrowe. John LaPointe, drugi zastępca Alana, był w gorszej formie; leżał

w domu w majakach po oparzeniu sumakiem jadowitym, którego doznał podczas poszukiwań. W Nan's Luncheonette między dwoma letnikami doszło do walki na pięści o ostatni egzemplarz niedzielnego wydania „New York Timesa”; kolejna bójka wybuchła na parkingu przed Łagodnym Tygrysem; jakiś niedzielny wędkarz oderwał sobie pół prawego ucha, próbując fantazyjnie zarzucić wędkę do jeziora; odnotowano trzy przypadki kradzieży w sklepie oraz mały nalot na handlarzy narkotyków w Universe, miejscowym salonie gier.

Po prostu typowy małomiasteczkowy czerwcowy tydzień, coś w rodzaju wspaniałej premiery lata. Alanowi ledwie starczało czasu na to, by wypić cały kubek kawy za jednym posiedzeniem. Uświadomił sobie jednak, że stale wraca myślami do Thada i Liz Beaumontów. do nich i do ich prześladowcy. Ten człowiek zabił też Homera Gamache'a. Alan kilka razy dzwonił do nowojorskich policjantów – był wśród nich porucznik Reardon, który przypuszczalnie miał już serdecznie dość jego telefonów – ale nie mieli żadnych nowych informacji.

Dziś po południu Pangborn wszedł do nadspodziewanie spokojnego biura. Sheila Brigham nie miała do przekazania żadnych meldunków, a Norris Ridgewick drzemał w fotelu przy kratkach aresztu z nogami na blacie biurka. Alan powinien był go zbudzić – gdyby Danforth Keeton, przewodniczący rady miejskiej, wszedł i zobaczył śpiącego na służbie Norrisa, dostałby szału – ale po prostu nie miał serca tego zrobić. Dla Ridgewicka to też był pracowity tydzień. Kierował zeskrobywaniem ludzkiej miazgi z jezdni po demolce na szosie numer 117 i zważywszy na koszmarne okoliczności, cholernie dobrze się spisał.

Alan siedział teraz przy biurku, tworząc zwierzęcy teatr cieni

w plamie słońca, którego światło padało na ścianę... i znowu myślał o Thadzie Beaumoncie. Uzyskawszy błogosławieństwo od Thada, doktor Hume zadzwonił do Alana z Orono z informacją, że badania neurologiczne pisarza dały wynik negatywny. Teraz Alan jeszcze raz zwrócił swe myśli ku doktorowi Hugh Pritchardowi, który operował Thada, gdy ten miał jedenaście lat, a przed sobą długą drogę do sławy.

Po plamie słońca na ścianie przebiegł, kicając, królik. Po nim przemknął kot ścigany przez psa.

Daj temu spokój. To szaleństwo.

Jasne, że to było szaleństwo. I oczywiście mógł dać temu spokój. Niebawem trzeba będzie zażegnać w Castle Rock kolejny kryzys; człowiek nie musiał być jasnowidzem, żeby to wiedzieć. Tak po prostu wyglądała tutaj latem sytuacja. Człowiek stale był tak zajęty, że przeważnie nie mógł myśleć, a czasami dobrze było nie myśleć.

Za psem podążył słoń, machając trąbą, a właściwie cieniem lewego palca wskazującego szeryfa.

– Pierdolić to – rzekł Alan Pangborn i przysunął do siebie telefon. Równocześnie drugą ręką wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni. Wcisnął guzik automatycznego wybierania numeru Komendy Policji Stanowej w Oxfordzie i zapytał dyspozytora, czy jest Henry Payton, miejscowy komendant i szef wydziału kryminalnego. Okazało się, że tak. Alan zdążył pomyśleć, że tego dnia policja stanowa też pewnie dla odmiany ma niewiele roboty, po czym usłyszał w słuchawce głos Henry’ego.

– W czym mogę ci pomóc, Alanie?

– Zastanawiałem się – odparł szeryf – czy nie zechciałbyś zadzwonić w moim imieniu do szefa straży leśnej w Parku

Narodowym Yellowstone. Mógłbym ci podać numer.

Spojrzał nań z lekkim zaskoczeniem. Dostał go w informacji telefonicznej niemal przed tygodniem i zapisał na odwrocie jakiejś wizytówki. Jego wprawne dłonie wygrzebały ją z portfela niemal samodzielnie.

– Yellowstone! – Henry wydawał się rozbawiony. – Czy to nie tam mieszka Miś Yogi?

– Nie – odparł Alan z uśmiechem. – On mieszka w Jellystone. Zresztą miś nie jest o nic podejrzany. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Muszę porozmawiać z człowiekiem, który spędza tam wakacje pod namiotem. Cóż... nie wiem, czy rzeczywiście muszę, ale to by mnie uspokoiło. Czułbym, że zamknąłem niezłałatwioną sprawę.

– Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Homera Gamache'a?

Alan przełożył słuchawkę do drugiego ucha i w roztargnieniu obracał w palcach wizytówkę, na której zapisał numer do szefa straży leśnej w Yellowstone.

– Tak, ale jeżeli poprosisz mnie o wyjaśnienie, wyjdę na głupca.

– To tylko przeczucie?

– Owszem. – Ze zdziwieniem stwierdził, że rzeczywiście ma przeczucie... nie był tylko pewien, czego dotyczyło. – Człowiek, z którym chcę porozmawiać, to emerytowany lekarz. Nazywa się Hugh Pritchard. Jest tam z żoną. Szef straży leśnej przypuszczalnie wie, gdzie przebywają, bo przy wjeździe trzeba się zameldować, i domyślam się, że prawdopodobnie rozbili obóz na jakimś campingu z dostępem do telefonu. Oboje są po siedemdziesiątce. Gdybyś ty zadzwonił do szefa straży, pewnie przekazałyby wiadomość temu gościowi.

– Innymi słowy, sądzisz, że strażnik z parku narodowego może

potraktować dowódcę oddziału policji stanowej poważniej niż szeryfa jakiegoś górnianego okręgu.

– Potrafisz wszystko ująć w bardzo dyplomatyczny sposób, Henry.

Henry Payton roześmiał się z zachwytem.

– Prawda, że potrafisz? Cóż, coś ci powiem, Alanie... nie mam nic przeciwko załatwieniu dla ciebie jednej drobnej sprawy, o ile nie będziesz chciał, bym w to dalej brnął, i o ile...

– Nie, to wszystko – rzekł Alan z wdzięcznością. – Niczego więcej nie chcę.

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. O ile zrozumiesz, że nie mogę do dzwonienia wykorzystywać naszej linii telefonicznej dużego zasięgu. Kapitan sprawdza wykazy, przyjacielu. Bardzo dokładnie. I gdyby zobaczył taki telefon, to chyba zapytałby, dlaczego wydaję pieniądze podatników na spełnianie twoich zachcianek. Rozumiesz, co mówię?

Alan westchnął z rezygnacją.

– Możesz użyć numeru mojej telefonicznej karty kredytowej – rzekł – i możesz powiedzieć szefowi straży, by kazał Pritchardowi zadzwonić na koszt rozmówcy. Zaznaczę tę rozmowę w wykazie i zapłacę za nią z własnej kieszeni.

W słuchawce zapadła cisza, a gdy Henry znowu się odezwał, jego głos brzmiał poważniej.

– To naprawdę jest dla ciebie ważne, czyż nie, Alanie?

– Tak. Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

I znowu zapadła cisza. Alan czuł, że Henry Payton usiłuje się powstrzymać od zadawania pytań. W końcu górę wzięła lepsza część jego osobowości. A może, pomyślał Alan, tylko ta bardziej praktyczna.

– W porządku – rzekł. – Zatelefonuję i powiem szefowi straży, że chcesz pogadać z tym Hugh Pritchardem o trwającym śledztwie w sprawie zabójstwa w okręgu Castle w Maine. Jak ma na imię jego żona?

– Helga.

– Skąd pochodzą?

– Z Fort Laramie w Wyoming.

– Dobra, szeryfie; a teraz najtrudniejsza część. Jaki jest numer twojej telefonicznej karty kredytowej?

Wzdychając, Alan podał mu numer.

Chwilę później po plamie światła na ścianie znowu przemaszerowały postaci z teatru cieni.

Ten facet przypuszczalnie nigdy nie zadzwoni, pomyślał, a jeżeli nawet, nie będzie w stanie powiedzieć mi niczego, co mogę wykorzystać – bo jakżeby mógł powiedzieć?

Mimo to Henry miał rację co do jednego: Alan miał przecucie. Przecucie, które go nie opuszczało.

3

Kiedy Alan Pangborn rozmawiał z Henrym Paytonem, Thad Beaumont ustawiał samochód na jednym z miejsc parkingowych za budynkiem wydziału anglistyki i matematyki. Wysiadł, uważając, żeby o nic nie uderzyć lewą dłonią. Przez chwilę po prostu tam stał, ciesząc się tym dniem i wyjątkowo sennym spokojem kampusu.

Brązowy plymouth zatrzymał się obok jego suburba, a dwóch roślących mężczyzn, którzy z niego wysiedli, rozwiało wszelkie marzenie o spokoju, jakie mógł mieć na progu budynku.

– Idę na parę chwil do mojego gabinetu – wyjaśnił Thad. – Możecie

zostać tutaj, gdybyście mieli ochotę. – Obrzucił wzrokiem dwie przechodzące obok dziewczyny, przypuszczalnie zmierzające do aneksu wschodniego, żeby się zapisać na kursy letnie. Jedna miała na sobie bluzkę z odkrytymi plecami i niebieskie szorty, a druga bardzo kusą sukienkę mini bez pleców i z rąbkami oddalonym o jedno bicie serca siłacza od wypukłości jej pośladków. – Nacieszcie oczy.

Dwaj policjanci odwrócili się, żeby śledzić wzrokiem dziewczyny, jakby ich górniki były osadzone na niewidocznych przegubach. Teraz ten, który dowodził – Ray Garrison lub Roy Harriman, Thad nie miał pewności – zwrócił się do niego z żalem:

– Oczywiście, że mielibyśmy ochotę, proszę pana, ale powinniśmy pójść z panem na górę.

– Naprawdę to tylko pierwsze piętro...

– Zaczekamy w korytarzu.

– Nie wiecie, panowie, jak bardzo to wszystko zaczyna mnie przygnębiać – zauważył Thad.

– Takie mamy rozkazy – wyjaśnił Garrison lub Harriman. Było jasne, że przygnębianie Thada, czy też jego szczęście, nie miało dla policjanta najmniejszego znaczenia.

– Taak – rzekł Thad, dając za wygraną. – Rozkazy.

Ruszył do drzwi bocznych. Dwaj gliniarze szli za nim w odległości kilkunastu kroków; Thad podejrzewał, że w cywilnych ubraniach przypominali policjantów bardziej niż wtedy, gdy mieli na sobie mundury.

Chroniąc się w budynku przed nieruchomym wilgotnym skwarem ulicy, Thad zderzył się z falą klimatyzowanego powietrza. Nagle poczuł, że koszula przymarza mu do skóry. Budynek pełen życia i zgiełku podczas trwającego od września do maja roku

akademickiego w to sobotnie późnowiosenne popołudnie przyprawiał go o gęsią skórkę. W poniedziałek, gdy zaczynała się pierwsza trzytygodniowa sesja letnia, odzyska pewnie jedną trzecią zwykłego gwaru i zamętu, ale dzisiaj Thad poczuł lekką ulgę na myśl, że towarzyszy mu policyjna ochrona. Sądził, że pierwsze piętro, gdzie znajdował się jego gabinet, może być zupełnie puste, co przynajmniej pozwoli mu uniknąć konieczności wyjaśniania obecności jego rosnących czujnych znajomych.

Okazało się, że zupełnie puste nie jest, ale i tak łatwo się wywinął. Z wydziałowej świetlicy w stronę swojego gabinetu szedł Rawlie DeLesseps, snując się po korytarzu w charakterystyczny dla niego sposób... co oznaczało, że wyglądał tak, jakby niedawno otrzymał mocny cios w głowę, który zaburzył zarówno jego pamięć, jak i kontrolę motoryczną. Wędrował niczym we śnie od ściany do ściany łagodnymi zakolami, zerkając na rysunki, wiersze i ogłoszenia przypięte do tablic informacyjnych wiszących na zamkniętych na klucz drzwiach gabinetów jego kolegów. Chyba był w drodze do swojego gabinetu, na to wyglądało, lecz nawet ktoś, kto go dobrze znał, pewnie nie chciałby się o to założyć. W zębach trzymał fajkę. Zęby nie były aż tak żółte jak ona, ale niewiele im do niej brakowało. Fajka się nie paliła, była zgaszona od końca 1985 roku, gdy po łagodnym ataku serca lekarz Rawliego zabronił mu palić. „I tak nigdy nie przepadałem za paleniem – wyjaśniał swoim łagodnym roztargnionym głosem, gdy ktoś pytał go o fajkę. – Ale bez wędzidła w zębach... panowie, nie wiedziałbym, dokąd iść ani co robić, gdyby mi się udało tam dotrzeć”. Rawlie zresztą na ogół sprawiał wrażenie człowieka, który nie wie, dokąd iść ani co robić... tak jak teraz. Niektórzy ludzie znali go od lat, zanim odkrywali, że wcale nie jest

roztargnionym wykształconym głupcem, jakim się wydawał. Inni nigdy tego nie odkryli.

– Cześć, Rawlie – rzekł Thad, potrząsając pękiem kluczy.

Rawlie spojrzał na niego zmrużonymi oczami, przeniósł spojrzenie, by zlustrować dwóch stojących za nim mężczyzn, zignorował ich i znowu skierował wzrok na Thada.

– Cześć – odparł. – Myślałem, że w tym roku nie prowadzisz żadnych kursów letnich.

– Bo nie prowadzę.

– Co w takim razie cię opętało, żeby w pierwszy dzień prawdziwej kanikuły tu przyłączyć?

– Zabieram tylko parę teczek wyróżniających się studentów – powiedział Thad. – Wierz mi, nie zamierzam tu być dłużej, niż jest to konieczne.

– Co ci się stało? Twoja dłoń jest sinoczarna aż po nadgarstek.

– Cóż...

Thad miał zakłopotaną minę. Wyjaśnienie sprawiło, że wyszedł na pijaka lub na idiotę, albo na jednego i drugiego... ale i tak przyjęto je lepiej, niż przyjęto by prawdę. Thad stwierdził z ponurym rozbawieniem, że policja zaakceptowała je równie łatwo jak teraz Rawlie – nie padło ani jedno pytanie o to, jak i dlaczego zdołał przytrzasnąć sobie rękę drzwiami sypialnianej szafy wnękowej.

Instynktownie wiedział, jaką dokładnie historię ma opowiedzieć – wiedział to, nawet cierpiąc katusze. Spodziewano się po nim niezdarności – była częścią jego natury. W pewnym sensie przypominało to poinformowanie dziennikarza „People” (niech spoczywa w pokoju), że George Stark został stworzony w Ludlow zamiast w Castle Rock i że pisał odręcznie dlatego, iż nigdy nie

nauczył się pisać na maszynie.

Liz nie próbował okłamywać... ale nalegał, by zachowała w tajemnicy to, co naprawdę się stało, a ona się zgodziła. Zmusiła go tylko, by obiecał, że nie podejmie ponownej próby skontaktowania się ze Starkiem. Przyrzekł to dość chętnie, chociaż wiedział, że może nie będzie w stanie dotrzymać słowa. Podejrzewał, że w istocie rzeczy Liz też o tym wie.

Rawlie patrzył teraz na niego z autentycznym zainteresowaniem.

– Drzwiami szafy wnękowej – rzekł. – Wspaniale. Bawiliście się może w chowanego? Czy odprawialiście jakiś dziwny rytuał seksualny?

Thad uśmiechnął się szeroko.

– Z dziwnych rytuałów seksualnych zrezygnowałem około osiemdziesiątego pierwszego roku – odparł. – Za radą lekarza. Po prostu się zagapiłem. Cała ta sprawa jest trochę żenująca.

– Tak mi się zdaje – potwierdził Rawlie... po czym mrugnął. Było to bardzo delikatne mrugnięcie, trzepot spuchniętej i pomarszczonej ze starości powieki... ale na pewno mrugnął. Sądził, że nabrał Rawliego? Nie wierzył w cuda.

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl i zapytał:

– Nadal prowadzisz to seminarium z mitów ludowych?

– Każdej jesieni – potwierdził Rawlie. – Nie czytasz katalogu swojego wydziału? Różdżkarstwo, wiedźmy, holistyczne remedia, znaki magiczne bogatych i sławnych. Jak zawsze popularne. Czemu pytasz?

Thad odkrył kiedyś, że na to pytanie jest uniwersalna odpowiedź; jedną z największych zalet bycia pisarzem było to, że człowiek zawsze miał odpowiedź na pytanie: „Czemu pytasz?”.

– Mam pomysł na fabułę powieści – odparł. – Jest jeszcze w fazie poszukiwań, ale chyba ma potencjał.

– Czego chciałeś się dowiedzieć?

– Czy wróble odgrywają jakąś rolę w amerykańskich zabobonach lub znanych ci mitach ludowych?

Marszczące się czoło Rawliego zaczęło przypominać powierzchnię jakiejś obcej planety, która była wyraźnie szkodliwa dla ludzkiego życia. Uczony gryzł cybuch fajki.

– Nic tak od razu nie przychodzi mi do głowy, chociaż... zastanawiam się, czy rzeczywiście dlatego cię to interesuje.

Nie wierzę w cuda, znowu pomyślał Thad.

– Cóż... może i nie, Rawlie. Może i nie. Może powiedziałem tak po prostu dlatego, że powodów mojego zainteresowania nie mógłbym wyjaśnić na poczekaniu. – Pobiegnął na moment wzrokiem ku swoim nadzorcom, po czym na powrót zatrzymał go na twarzy swojego kolegi. – Teraz czas mnie trochę nagli.

Wargi Rawliego zadrżały w niewyraźnym jak cień uśmiechu.

– Chyba rozumiem. Wróble... takie pospolite ptaki. Sądzę, że zbyt pospolite, by miały jakieś głębokie zabobonne konotacje. A jednak... gdy teraz o tym myślę... coś jest. Tyle że kojarzę to z lelkami. Pozwól, że sprawdzę. Będiesz tu jakiś czas?

– Niestety, najwyżej pół godziny.

– Cóż, może znajdę coś od razu w książce Barringera. *Tradycja ludowa Ameryki*. Tak naprawdę to tylko opis powstawania zabobonów, ale się przydaje.

– Tak. To zawsze mógłbyś zrobić.

– Urządziliście Tomowi Carrollowi uroczę przyjęcie – powiedział Rawlie. – Oczywiście ty i Liz zawsze urządzaście najlepsze przyjęcia.

Twoja żona jest zdecydowanie zbyt czarująca, żeby być żoną, Thad. Powinna być twoją kochanką.

– Dzięki. Pewnie tak.

– Gonzo Tom – ciągnął czule Rawlie. – Trudno uwierzyć, że Gonzo Tom Carroll pozełgował do szarych niebios emerytury. Przez ponad dwadzieścia lat słuchałem, jak puszcza głośne niczym dźwięk trąbki bąki w sąsiednim gabinecie. Przypuszczam, że jego następca będzie to robił ciszej. A przynajmniej bardziej dyskretnie.

Thad się roześmiał.

– Wilhelmina też była zadowolona – dodał Rawlie. Jego powieki opadły szelmowsko. Doskonale wiedział, co Thad i Liz sądzą o Billie.

– To świetnie – rzekł Thad. Uznał Billie Burks i pojęcie zadowolenia za wzajemnie wykluczające się... skoro jednak ona i Rawlie tworzyli część jakże potrzebnego alibi, sądził, że powinien być zadowolony z jej wizyty. – A jeżeli przyjdzie ci coś do głowy w tej drugiej sprawie...

– Wróble i ich miejsca w zaświatach. W rzeczy samej. – Rawlie skinął głową policjantom stojącym za Thadem. – Życzę miłego dnia, panowie. – Wyminął ich i kontynuował swą wędrówkę do gabinetu, zyskawszy dodatkowy cel. Niewielki, ale zawsze coś.

Thad spojrzął za nim speszony.

– Co to było? – zapytał Garrison lub Harriman.

– DeLesseps – mruknął Thad. – Naczelnny gramatyk i folklorysta amator.

– Wygląda na gościa, który potrzebuje mapy, żeby trafić do domu – zauważył drugi gliniarz.

Thad zbliżył się do drzwi swojego gabinetu i przekręcił klucz w zamku.

– Wbrew pozorom jest bardzo sprawny umysłowo – odparł i otworzył drzwi.

Z tego, że Garrison lub Harriman stoi obok z jedną ręką pod połą specjalnie uszytej sportowej kurtki, zdał sobie sprawę, dopiero gdy włączył górne lampy. Przez chwilę poczuł spóźniony strach, ale gabinet był oczywiście pusty – pusty i tak starannie uporządkowany po tym, jak opadła już miękko całoroczna wrzawa, że wyglądał niczym grobowiec.

Bez konkretnego powodu wezbrała w nim nagła i przyprawiająca niemal o mdłości fala tęsknoty za domem, pustki i poczucia straty – mieszanka uczuć, która przypominała głęboki nieoczekiwany żal. To było jak ten sen. Jakby przyszedł tutaj, żeby się pożegnać.

Przestań być takim cholernym głupcem, pomyślał, a druga część jego umysłu odpowiedziała cicho: Termin minął, Thad. Nie dotrzymałeś terminu i sądzę, że chyba popełniłeś fatalny błąd, nie próbując przynajmniej zrobić tego, czego ten człowiek od ciebie oczekuje. Krótkotrwała ulga jest lepsza niż żadna.

– Jeżeli chcecie się napić kawy, możecie dostać filiżankę w świetlicy – rzekł. – Jak znam Rawliego, to dzbanek będzie pełny.

– Gdzie to jest? – zapytał partner Garrisona lub Harrimana.

– Po drugiej stronie korytarza, dwoje drzwi dalej – wyjaśnił Thad, otwierając kluczem szafkę z aktami. Odwrócił się i posłał im szeroki uśmiech, który na jego twarzy wydawał się nieszczerzy. – Myślę, że usłyszycie mój wrzask.

– Po prostu niech pan koniecznie krzyczy, jeśli coś się stanie – zalecił Garrison lub Harriman.

– Dobrze.

– Mógłbym przysłać tu Manchestera z kawą, ale mam wrażenie, że

zależy panu na odrobinie prywatności.

– Cóż, taak. Skoro pan o tym wspomina.

– Nie ma sprawy, panie Beaumont – odparł i popatrzył z powagą na Thada, który nagle przypomniał sobie, że tamten nazywa się Harrison. Tak samo jak eks-Beatles. Idiotyczne, że o tym zapomniał. – Powinien pan tylko pamiętać, że ci ludzie w Nowym Jorku zmarli z przedawkowania prywatności.

Zamierzał powiedzieć: „Och? A ja myślałem, że Phyllis Myers i Rick Cowley zmarli w towarzystwie policji”, ale zrezygnował. Przecież ci ludzie starali się tylko spełnić swój obowiązek.

– Niech pan się wyluzuje, Harrison – rzekł. – W budynku jest dzisiaj tak cicho, że nawet bosonogi mężczyzna wywołałby echo.

– W porządku. Będziemy po drugiej stronie korytarza w. jak to pan nazywa?

– Świetlicy.

– Zgadza się.

Policjanci wyszli, a Thad otworzył teczkę oznaczoną napisem PODANIA WYR. STUD. Oczyma duszy stale widział, jak Rawlie DeLesseps puszcza do niego oko szybko i dyskretnie. I słyszał ów głos informujący, że nie dotrzymał terminu, że przeszedł na mroczną stronę. Stronę, po której znajdowały się potwory.

4

Telefon milczał.

No, pospiesz się, zwrócił się do niego w myślach, układając teczki na biurku obok dostarczonej przez uniwersytet maszyny IBM Selectric. No, pospiesz się, pospiesz, tu jestem, stoję tuż obok telefonu bez podsłuchu, więc się pospiesz, George, zatelefonuj do mnie,

zadzwoń, zaserwuj mi jakąś bombę.

Ale telefon nadal milczał.

Thad zdał sobie sprawę, że zagląda do szafki, która była zupełnie pusta. W swoim zaabsorbowaniu wyciągnął z niej wszystkie dokumenty, nie tylko teczki wyróżniających się studentów zainteresowanych kursem twórczego pisania. Nawet kserokopie z danymi tych, którzy chcieli zgłębiać gramatykę transformacyjną, czyli ewangelię według Noama Chomskiego w tłumaczeniu dziekana wygasłej fajki Rawliego DeLessepsa.

Thad podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Harrison i Manchester stali w drzwiach świetlicy, popijając kawę. W ich wielkich jak bochny dłoniach kubki wyglądały jak małe filiżanki. Thad uniósł rękę. Harrison odwzajemnił ten gest i zapytał, jak długo jeszcze będzie w gabinecie.

– Pięć minut – odparł Thad i obaj policjanci skinęli głowami.

Podszedł z powrotem do biurka, oddzielił teczki adeptów twórczego pisania od pozostałych i zaczął chować te drugie do szuflady szafki, robiąc to jak najwolniej, dając telefonowi więcej czasu. Ale aparat wciąż milczał. Beaumont usłyszał jeden dzwonek gdzieś w głębi korytarza, stłumiony przez zamknięte drzwi i na swój sposób upiorny w niezwykle letniej ciszy budynku. Może George pomylił numer, pomyślał i zaśmiał się cicho. Pozostawało faktem, że George nie zamierzał dzwonić. Pozostawało faktem, że on, Thad, się mylił. Najwyraźniej George miał jakiegoś innego asa w rękawie. Nie powinno go to dziwić. Sztuczki stanowiły *spécialité de la maison* George'a Starka. A jednak był taki pewny, tak cholernie pewny...

– Thaddeus?

Poderwał się, omal nie wysypując zawartości ostatnich sześciu

teczek na podłogę. Gdy nabrał pewności, że nie wysuną mu się z dłoni, odwrócił się. Tuż za progiem stał Rawlie DeLesseps. Jego wielka fajka sterczała niczym poziomy peryskop.

– Przepraszam – rzekł Thad. – Zaskoczyłeś mnie, Rawlie. Myślami byłem tysiące kilometrów stąd.

– Ktoś dzwoni do ciebie pod mój numer – rzekł uprzejmie DeLesseps. – Musiał się pomylić. Szczęście, że byłem w gabinecie.

Thad poczuł, że serce zaczyna mu mocno bić – jakby miał werbel w piersi i ktoś zaczął powoli i miarowo uderzać weń z wielką siłą.

– Tak – przyznał Thad. – To wielkie szczęście.

Rawlie posłał mu taksujące spojrzenie. Niebieskie oczy pod jego zapuchniętymi, lekko zaczerwienionymi powiekami były żywe i niemal brutalnie wścibskie; z pewnością też nie pasowały do jego profesorskiej pogody ducha, niezdarności i roztargnienia.

– Wszystko w porządku, Thaddeus?

Nie, Rawlie. Gdzieś tam grasuje szalony morderca, który poniekąd jest mną, facet, który najwyraźniej może przejmować kontrolę nad moim ciałem i skłaniać mnie do robienia dziwnych rzeczy, takich jak wbijanie w siebie ołówków, i każdy dzień, w którym nie tracę zdrowych zmysłów, uważam za zwycięski. Rzeczywistość staje na głowie, kolego.

– W porządku? Czemu miałyby być nie w porządku?

– Zdaje mi się, że wyczuwam w twoim głosie delikatną, lecz wyraźnie brzmiącą nutę ironii.

– Mylisz się.

– Czyżby? Czemu więc wyglądasz jak jeleni oślepieni reflektorami samochodu?

– Rawlie...

– A człowiek, z którym właśnie rozmawiałem, miał głos sprzedawcy, od którego kupujesz coś przez telefon, żeby przypadkiem nie odwiedził cię w domu.

– Nie ma o czym mówić.

– Świetnie. – Rawlie nie wyglądał na przekonanego.

Thad wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem w stronę gabinetu kolegi.

– Dokąd pan idzie?! – zawołał za nim Harrison.

– Rawlie odebrał telefon do mnie w swoim gabinecie – wyjaśnił Thad. – Numery telefonów na naszym wydziale różnią się końcową cyfrą. Facetowi coś się pewnie pochrzało.

– I przypadkiem dodzwonił się do jedyne go obecnego dzisiaj pracownika? – zapytał sceptycznie Harrison.

Thad wzruszył tylko ramionami i szedł dalej.

Gabinet Rawliego DeLessepsa był zagracony, przyjemny i wciąż wypełniony wonią jego fajki – dwuletnia abstynencja najwyraźniej nie zneutralizowała śladów trzydziestoletniego folgowania swojej słabości. Najbardziej rzucała się w oczy tarcza do gry w strzałki z przymocowanym do niej zdjęciem Ronalda Reagana. Na biurku spoczywał otwarty, gruby jak encyklopedia tom *Tradycji ludowej Ameryki* Franklina Barringera.

Zdjęta z widełek słuchawka leżała na stosie czystych zeszytów do prac egzaminacyjnych. Patrząc na nią, Thad poczuł, jak ogarnia go znajomy dławiący lęk. Miał wrażenie, że jest okutany w koc, który wymaga natychmiastowego prania. Odwrócił głowę pewny, że zobaczy wszystkich trzech – Rawliego, Harrisona i Manchesterera – ustawionych w drzwiach niczym wróble na drucie telefonicznym. Ale żadnego nie było, a gdzieś z głębi korytarza dobiegał cichy chrapliwy

głos DeLessepsa, który najwyraźniej zagadnął stróżów Thada. Beaumont wątpił, by Rawlie zrobił to przypadkiem.

Podniósł telefon i rzekł:

– Witaj, George.

– Miałeś do dyspozycji tydzień – powiedział głos w słuchawce. Należał do Starka, lecz Thad zastanawiał się, czy teraz ich sonogramy też pasowałyby do siebie tak dokładnie. Głos George’a wyraźnie się zmienił. Stał się ochrypły i ostry niczym u kibica, który nadwerężył struny głosowe na jakiejś sportowej imprezie. – Miałeś tydzień i nic nie zrobiłeś.

– Masz rację – odparł Thad. Było mu bardzo zimno. Musiał bardzo się starać, żeby powstrzymać dreszcze. To zimno docierało jakby z samego telefonu, wydobywało się z otworów w słuchawce jak sople lodu. Czuł jednak także wielką złość. – Nie zamierzam tego zrobić, George. Tydzień, miesiąc, dziesięć lat, dla mnie to bez różnicy. Czemu się z tym nie pogodzisz? Jesteś trupem i trupem pozostaniesz.

– Popełniasz błąd, stary. Jeśli chcesz zapłacić za swój błąd życiem, po prostu rób tak dalej.

– Wiesz, jakie odnoszę wrażenie? – zapytał Beaumont. – Takie, że się rozpadasz. I dlatego chcesz, żebym znowu zaczął pisać, prawda? Utrata spójności, tak właśnie napisałeś. Ulegasz biodegradacji, zgadza się? Niebawem po prostu się rozlecisz na kawałki jak cudowna dwukółka.

– To wszystko nie powinno mieć dla ciebie znaczenia, Thad – odparł chrapliwy głos, który z szorstkiego stał się najpierw ostry niczym łoskot żwiru wysypującego się z wywrotki, następnie przeszedł w piskliwy szept, jakby struny głosowe na moment zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa, po czym odzyskał pierwotną szorstkość.

– To, co się ze mną dzieje, to nie twój interes. To cię tylko rozprasza, kolego. Powinieneś po prostu zabrać się przed zmierzchem do roboty, bo inaczej pożałujesz, sukinsynu. I nie ty jeden.

– Nie...

Trzask na linii i cisza. Thad przez chwilę spoglądał w zamyśleniu na słuchawkę, po czym odłożył ją na widełki. Gdy się odwrócił, Harrison i Manchester stali w drzwiach.

5

– Kto to był? – zapytał Manchester.

– Student – odparł Thad, który w tym momencie nawet nie bardzo wiedział, dlaczego kłamie. Jedyne, czego był naprawdę pewien, to okropny skurcz jelit. – Po prostu student. Tak jak myślałem.

– Skąd wiedział, że pana zastanie? I dlaczego zadzwonił pod numer tego dzentelmena?

– Poddaję się – powiedział pokornie Thad. – Jestem głęboko zakonspirowanym rosyjskim agentem. Tak naprawdę dzwonił mój łącznik. Nie będę stawiał oporu.

Harrison nie był zły, a przynajmniej tego nie okazywał. Pełne wyrzutu, znużone spojrzenie, które posłał Thadowi, wywarło na nim większe wrażenie niż wybuch złości.

– Panie Beaumont, staramy się pomóc panu i pańskiej żonie. Wiem, że wleczenie za sobą wszędzie dwóch gości może po pewnym czasie stać się nie do wytrzymania, ale my naprawdę staramy się wam pomóc.

Thad się zawstydził... nie na tyle jednak, by powiedzieć prawdę. Wciąż miał złe przeczucie – przeczucie, że wszystko pójdzie źle, że może już poszło. Czuł jeszcze coś. Lekkie drzenie skóry. Wrażenie, że

pod nią roi się od robaków. Ucisk w skroniach. Nie chodziło o wróble, a w każdym razie tak nie uważał. Mimo to jakiś barometr nastroju, z którego istnienia wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy, spadał. I doświadczył tego nie po raz pierwszy. Podobne, choć nie tak silne wrażenie miał osiem dni temu w drodze do sklepu Dave'a. Czuł to w swoim gabinecie, gdy wyciągał teczkę. Przygnębienie i treść.

To Stark. Na swój sposób jest z tobą, w tobie. Obserwuje. Jeśli powiesz coś niewłaściwego, będzie wiedział. A wtedy ktoś ucierpi.

– Przepraszam – powiedział. Uświadomił sobie, że Rawlie DeLesseps stoi teraz za policjantami, spoglądając na niego spokojnym, zaciekawionym wzrokiem. Musiał zacząć kłamać, a kłamstwa przychodziły mu do głowy tak naturalnie i z taką łatwością, jakby je tam zaszczerpił sam Stark. Nie miał całkowitej pewności, czy Rawlie nie zaoponuje, ale było już trochę za późno, żeby się tym przejmować. – Jestem podenerwowany, to wszystko.

– To zrozumiałe – odparł Harrison. – Chcę tylko, żeby pan wiedział, że nie jesteśmy pańskimi wrogami.

– Chłopak, który dzwonił, wiedział, że tu jestem, bo wychodził z księgarni, gdy tamtędy przejeżdżałem. Pytał, czy prowadzę letni kurs pisania. Wykaz numerów telefonów kadry jest podzielony na wydziały, pracownicy każdego wydziału są wymienieni w porządku alfabetycznym. Druk jest bardzo drobny, o czym zaświadczą wszyscy, którzy kiedyś próbowali skorzystać z wykazu.

– I przez to jest bardzo szkodliwy – potwierdził Rawlie, nie wyciągając z ust fajki.

Zaskoczeni policjanci odwrócili się na chwilę w jego stronę. Rawlie uraczył ich poważnym spojrzeniem swych swoich oczu.

– Rawlie figuruje w wykazie zaraz po mnie – dodał Thad. – Tak się

składa, że w tym roku w naszej kadrze nie ma osoby, której nazwisko zaczyna się na literę C. – Zerknął na Rawliego, lecz ten wyjął z ust fajkę i bardzo uważnie oglądał jej szerniałą od ognia główkę. – W rezultacie – zakończył – zawsze otrzymuję telefony do niego, a on odbiera te do mnie. Powiedziałem temu chłopakowi, że ma pecha, bo wracam dopiero jesienią.

Cóż, to wszystko. Miał wrażenie, że chyba wyjaśnił tę sytuację zbyt szczegółowo, ale w rzeczywistości chodziło o to, w którym momencie Harrison i Manchester dotarli do drzwi gabinetu Rawliego i ile usłyszeli. Normalnie nikt nie mówił studentom zgłaszającym się na kursy pisarskie, że ulegają biodegradacji i niebawem po prostu rozlecą się w kawałki.

– Szkoda, że ja nie mogę wrócić jesienią – westchnął Manchester. – Skończył pan, panie Beaumont?

Thad w skrytości ducha odetchnął z ulgą i odparł:

– Muszę tylko odłożyć teczki, które nie będą mi potrzebne.

(i krótki list, musisz napisać krótki list do sekretarki)

– I oczywiście muszę skreślić kilka słów do pani Fenton – usłyszał swój głos. Nie miał bladego pojęcia, czemu to mówi; wiedział jedynie, że musi to powiedzieć. – To sekretarka wydziału anglistyki.

– Zdążymy wypić jeszcze jedną filiżankę kawy? – upewnił się Manchester.

– No jasne. Może nawet zjecie parę ciasteczek, o ile hordy tych barbarzyńców coś zostawiły.

Uczucie, że wszystko stoi na głowie, że sprawy idą źle i coraz gorzej, wróciło i było silniejsze niż kiedykolwiek. Zostawić krótki list dla pani Fenton? Chryste, a to dobre! Rawlie pewnie mało się nie udławił swoją fajką.

Gdy Thad wychodził z gabinetu DeLessepsa, ten zapytał:

– Mogę z tobą przez chwilę pogadać?

– Oczywiście – odparł Thad.

Miał ochotę powiedzieć Harrisonowi i Manchesterowi, żeby zostawili ich samych, że zaraz do nich dołączy, ale uznał – z bólem serca – że takich słów nie rzuca się, chcąc rozwiać podejrzenia. A przynajmniej Harrison wysunął już czułki. Może jeszcze nie wszystkie, ale prawie.

W każdym razie milczenie okazało się lepszym rozwiązaniem.

Gdy odwracał się do Rawliego, policjanci szli wolnym krokiem w głąb korytarza. Harrison przez chwilę rozmawiał ze swoim partnerem, po czym stanął w drzwiach świetlicy; w tym czasie Manchester szukał ciasteczek. Harrison miał ich na widoku, ale Thad uznał, że obaj z DeLessepsem są zbyt daleko, żeby mógł ich usłyszeć.

– Ta opowieść o wykazie numerów telefonicznych była niezła – zauważył Rawlie, wkładając obgryziony cybuch fajki z powrotem do ust. – Masz chyba sporo wspólnego z tą dziewczyną w *Otwartym oknie* Sakiego... wygląda na to, że jesteś specjalistą od nagłych romansów.

– Jest inaczej, niż myślisz, Rawlie.

– Nie mam bladego pojęcia, jak jest – rzekł łagodnie Rawlie – i choć przyznaję, że bywam trochę wścibski, chyba nie jestem pewien, czy naprawdę chcę to wiedzieć. – Thad uśmiechnął się blado. – A jednak wyraźnie wyczułem, że celowo zapomniałeś o Gonzo Tomie Carrollu. Może i jest na emeryturze, ale gdy zaglądałem po raz ostatni do aktualnego spisu numerów telefonicznych kadry, jego nazwisko nadal znajdowało się między naszymi.

– Powiniennem się zbierać.

– Rzeczywiście – przyznał Rawlie. – Masz jeszcze do napisania

krótki list do pani Fenton.

Thad poczuł, że jego policzki robią się czerwone. Althea Fenton, sekretarka wydziału anglistyki od 1961 roku, zmarła w kwietniu na raka krtani.

– Zatrzymałem cię tylko po to – ciągnął Rawlie – by ci powiedzieć, że chyba znalazłem to, czego szukałeś. Na temat wróbli.

Thadowi przyspieszyło tętno.

– Co masz na myśli?

Rawlie wprowadził go z powrotem do gabinetu i wziął do ręki dzieło Barringera.

– Wróble, nury, a zwłaszcza lelki to *psychopompos* – wyjaśnił z nutą triumfu w głosie. – Wiedziałem, że piszą tu coś o lelkach.

– *Psychopompos*? – rzekł z powątpiewaniem Thad.

– To greckie słowo oznaczające tych, którzy przewodzą. W tym wypadku chodzi o prowadzących dusze z krainy żywych do świata umarłych. Według Barringera nury i lelki eskortują żyjących; gromadzą się ponoć koło miejsca, w którym ma nastąpić śmierć. Nie są ptakami zwiastującymi nieszczęście. Ich zadaniem jest zaprowadzenie dusz umarłych na ich miejsce w życiu pozagrobowym.

– Rawlie spojrzał spokojnie na Thada. – Gromady wróbli są bardziej złowróżbne, przynajmniej według Barringera. Mówi się, że te ptaki są eskortą umarłych.

– Co oznacza...

– Co oznacza, że ich zadaniem jest prowadzenie zbłąkanych dusz z powrotem do świata żywych. Innymi słowy, zwiastują one obecność żywych trupów. – Rawlie wyjął fajkę z ust i popatrzył poważnie na Thada. – Nie wiem, w jakim jesteś położeniu, ale sugeruję ostrożność. Wielką ostrożność. Wyglądasz na człowieka, który znalazł się

w poważnych tarapatach. Jeżeli mogę w czymś pomóc, powiedz, proszę.

– Jestem ci wdzięczny, Rawlie. Milcząc, zrobiłeś to, na co mogłem liczyć.

– Wydaje się, że przynajmniej w tym całkowicie zgadzasz się z moimi studentami – odparł DeLesseps, lecz jego łagodne oczy spoglądające na Thada znad fajki były zatroskane. – Będiesz uważał na siebie?

– Tak.

– Jeżeli ci ludzie wszędzie za tobą chodzą, żeby ci pomóc w kłopotach, może należałoby im zaufać.

Byłoby wspaniale, gdyby mógł to zrobić, ale problemem nie było jego zaufanie do nich. Gdyby rzeczywiście zaczął mówić, ich zaufanie do niego stopniałoby do zera. I nawet gdyby rzeczywiście ufał Harrisonowi i Manchesterowi na tyle, by z nimi porozmawiać, nie śmiałyby nic wyjawić, dopóki nie wyzbyły się uczucia, że pod jego skórą roją się robaki. Ponieważ stale obserwował go George Stark. A on nie dotrzymał terminu.

– Dzięki.

Rawlie skinął głową, powiedział, żeby się trzymał, po czym usiadł przy biurku.

Thad wrócił do swojego gabinetu.

6

„I oczywiście muszę napisać krótki list do pani Fenton”.

Przerwał w trakcie chowania ostatnich teczek, które omyłkowo wyjął z szafki, i spojrzał na swą beżową maszynę. Ostatnio wydawało się, że jest niemal hipnotycznie świadomy istnienia wszystkich

narzędzi do pisania, dużych i małych. W minionym tygodniu przy niejednej okazji zastanawiał się, czy każde z nich zawiera inną wersję Thada Beaumonta, czającą się niczym zły dzinn w butelce.

„Muszę napisać krótki list do pani Fenton”.

Aby jednak skontaktować się z nieżyjącą już wspaniałą panią Fenton, która parzyła kawę tak mocną, że mogła niemal chodzić i mówić, należało raczej użyć planszy *ouija*, a zresztą dlaczego to powiedział? Wcale nie miał zamiaru o niej wspominać.

Wrzucił do szafki ostatnie z teczek studentów niezainteresowanych kursem kreatywnego pisania, zasunął szufladę i spojrzał na lewą dłoń. Osłonięta bandażem skóra między kciukiem a palcem wskazującym zaczęła nagle piec i swędzieć. Potarł nią o nogawkę spodni, ale to chyba tylko wzmogło swędzenie. Teraz doszło do tego pulsowanie. Uczucie piekącego ciepła się pogłębiło.

Wyjrzał przez okno gabinetu.

Przewody telefoniczne po drugiej stronie Bennett Boulevard obsiadło stado wróbli. Kolejne siedziały na dachu szpitala, a na jego oczach na jeden z kortów tenisowych przyleciały następne.

Wydawało się, że wszystkie patrzą na niego.

„*Psychopompos. Zwiastuny żywych trupów*”.

Teraz stado wróbli opadło niczym cyklon spalonych liści na dach Bennett Hall.

– Nie – wyszeptał trzęsącym się głosem Thad. Plecy stwardniały mu od gęsiej skórki. Dłoń piekła i swędziała.

Maszyna do pisania.

Mógł się pozbyć tych wróbli i pieczenia tylko dzięki użyciu maszyny do pisania.

Instynktowna chęć, by przed nią usiąść, była zbyt silna, żeby ją

poskromić. Uczynienie tego wydawało się na swój sposób potwornie naturalne, jak chęć wetknięcia oparzonej ręki do zimnej wody.

„Muszę napisać krótki list do pani Fenton”.

„Powinieneś po prostu zabrać się przed zmierzchem do roboty, bo inaczej pożałujesz, sukinsynu. I nie ty jeden”.

To wrażenie, że pod swędzącą skórą ma robaki, stawało się coraz silniejsze. Falami promieniowało z dziury w dłoni. Wydawało się, że gałki jego oczu pulsują w idealnej synchronizacji z tym uczuciem. A obraz wróbli widziany oczyma wyobraźni stał się bardziej wyrazisty. Były to okolice Ridgeway w Bergenfield; Ridgeway pod łagodnym, białym wiosennym niebem; rok 1960; cały świat z wyjątkiem tych okropnych pospolitych ptaków, tych przewodników dusz, był martwy i na jego oczach wszystkie wzbiły się do lotu. Niebo pociemniało od tej wielkiej krążącej masy. Wróble znowu fruwały.

Za oknem wróble siedzące na drutach oraz na dachu szpitala i Bennett Hall pofrunęły razem w górę z furkotem skrzydeł. Kilkoro studentów przystanęło w marszu przez czworokątny dziedziniec, by się przyjrzeć, jak stado skręca w lewo i znika po zachodniej stronie nieba.

Thad tego nie widział. Ujrzał tylko zapamiętane z dzieciństwa okolice przeobrażone jakoś w dziwaczną martwą krainę ze snu. Siedział przed maszyną do pisania, pogrążając się coraz bardziej w mrocznym świecie swojego transu. Jednakże jedna myśl pozostała niewzruszona. Szczwany George mógł go wprawdzie zmusić do tego, by siadł i bawił się klawiszami maszyny, ale i tak nie napisałby książki... i gdyby się tego trzymał, stary szczwany George albo by się rozleciał, albo po prostu zgasł niczym płomień świecy. Thad wiedział o tym i to czuł.

Wydawało mu się, że jego ręka zaraz eksploduje, a gdyby mógł ją zobaczyć, wyglądałaby niczym łapa bohatera kreskówek – może Wilusia E. Kojota – po uderzeniu ciężkim młotem. Właściwie nie był to ból, a raczej wrażenie, że zaraz dostaniesz szału, gdy zacznie cię swędzieć pośrodku pleców, w jedynym miejscu, gdzie nie potrafisz sięgnąć. Nie chodziło o swędzenie powierzchowne, lecz głębokie, pulsujące, które sprawia, że aż zaciskasz zęby.

Ale nawet ono wydawało się odległe i nieistotne.

Thad usiadł przed maszyną do pisania.

7

W chwili gdy ją włączył, swędzenie ustało... a wraz z nim zniknął obraz wróbli.

Mimo to trans trwał, a u jego podstaw leżała pewna przykra konieczność; trzeba było coś napisać i czuł, że całe jego ciało głośno domaga się, żeby się do tego zabrał, zrobił to, załatwił. Na swój sposób było to znacznie gorsze od wyobrażenia wróbli i swędzenia dłoni. Źródło tego swędzenia tkwiło chyba głęboko w jego świadomości.

Wkręcił kartkę w maszynę, po czym po prostu siedział przez chwilę, czując się nieobecny i zagubiony. Później ułożył palce w pozycji wyjściowej do pisania metodą bezwzrokową na środkowym rzędzie klawiszy, chociaż z takiego sposobu pisania zrezygnował przed wielu laty.

Palce Thada drżały przez moment, po czym cofnęły się wszystkie z wyjątkiem wskazujących. Najwyraźniej gdy Stark rzeczywiście pisał na maszynie, robił to tak samo jak Thad – metodą szukania i „dziobania”. To było oczywiste; maszyna do pisania nie była

narzędziem, które sam wybrał.

Kiedy poruszał palcami lewej dłoni, czuł słaby ból, ale nic więcej. Palce wskazujące pisały powoli, lecz niebawem na białej kartce powstała wiadomość. Była przerażająco krótka. Kulka z gotyckimi czcionkami zawirowała i wystukała trzy słowa:

ZGADNIJ, SKĄD TELEFONOWAŁEM?

Świat nagle na nowo nabrał ostrości. Thad nigdy w życiu nie czuł takiego przerażenia, takiej grozy. Boże, to oczywiste – to było takie jasne jak słońce.

Ten sukinsyn dzwonił z mojego domu! Dorwał Liz i bliźnięta!

Zaczął się podnosić, nie mając pojęcia, dokąd zamierza pójść. Nie zdawał sobie nawet sprawy, co robi, dopóki w jego dłoni przypominającej tłącą się pochodnię, którą wymachuje się mocno w powietrzu, by wywołać jaskrawy rumieniec ognia, nie nasilił się ból. Rozwarte wargi Thada obnażyły zęby, a on wydał z siebie cichy jęk. Opadł na fotel przed biurkiem i zanim się zorientował, co się dzieje, jego dłonie po omacku wróciły na klawisze i znowu zaczęły w nie stukać.

Tym razem więcej słów.

POWIEDZ KOMUŚ O TYM, A ONE UMRA

Wpatrywał się tępo w tekst. Gdy tylko zapisał ostatnią literę, nagle wszystko się skończyło – tak jakby on był lampą i ktoś odłączył go od prądu. Przestała go boleć dłoń. Przestało go swędzieć. Nie czuł rojących się pod skórą robaków.

Ptaki zniknęły. Minęło wrażenie otepienia i hipnotycznego transu. Zniknął też Stark.

Tyle że w rzeczywistości wcale nie zniknął, prawda? Nie. Stark pod nieobecność Thada prowadził jego gospodarstwo. Zostawili tam na czatach dwóch funkcjonariuszy policji stanowej, ale to nie miało żadnego znaczenia. Thad był głupi, niewiarygodnie głupi, myśląc, że dwóch gliniarzy może robić różnicę. Nie zrobiłby jej oddział komandosów w zielonych beretach Delta Force. George Stark nie był człowiekiem, lecz czymś takim jak niemiecki czołg Tygrys, który przez przypadek przypominał ludzką postać.

– Jak idzie? – zapytał Harrison zza pleców Beaumonta. Thad podskoczył, jakby ktoś wbił mu szpilkę w kark... i to sprawiło, że pomyślał o Fredericku Clawsonie, który wtrącił się w nie swoje sprawy... i mówiąc to, co wiedział, popełnił samobójstwo.

POWIEDZ KOMUŚ O TYM, A ONE UMRA

krzyczały doń słowa zapisane na kartce w maszynie.

Wyciągnął rękę, wyrwał kartkę z wałka i zmiął ją w dłoni. Zrobił to, nie sprawdzając, jak blisko znajduje się Harrison – byłoby to fatalnym błędem. Starał się wyglądać swobodnie. Czuł się inaczej; czuł, że traci zmysły. Czekał, aż Harrison zapyta, co napisał i dlaczego w takim pośpiechu wyciągnął to z maszyny. Ponieważ policjant milczał, Thad rzekł:

– Myślę, że skończyłem. Do diabła z listem. I tak zwrócę te teczki, zanim pani Fenton zorientuje się, że zniknęły.

Przynajmniej to była prawda... chyba że Althea akurat patrzyła na nich z nieba. Thad wstał, modląc się, żeby nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa i żeby nie opadł z powrotem na fotel. Z ulgą spostrzegł, że Harrison stoi w drzwiach i wcale na niego nie patrzy. Jeszcze przed chwilą przysięgłby, że czuje na karku jego oddech, lecz

policjant jadł właśnie ciasteczko i spoglądał przez ramię Thada na kilkoro studentów snujących się leniwie po dziedzińcu.

– O rany, w tym miejscu rzeczywiście brak oznak życia – zauważył. Moja rodzina też może je stracić, zanim dotrę do domu.

– Może pojedziemy? – zaproponował Thad.

– Dobry pomysł – odparł Harrison.

Thad ruszył do drzwi. Harrison spojrzał na niego zdeprymowany i rzekł:

– Jezu Chryste, może w gadaniu tego rozkojarzonego profesora coś jednak jest.

Thad zerknął na niego nerwowo, po czym spuścił wzrok i spostrzegł, że wciąż trzyma w dłoni zmiętą w kulę kartkę. Cisnął nią w stronę kosza na śmieci, ale drżąca ręka zawiodła go i papierowa kula odbiła się od brzegu. Zanim zdążył się po nią schylić, Harrison minął go, podniósł zgniecioną kartkę z podłogi i przerzucił ją teraz z jednej ręki do drugiej.

– Ma pan zamiar wyjść bez teczek, po które pan przyjechał? – zapytał, wskazując na teczki kandydatów na kurs twórczego pisania, które spoczywały obok maszyny do pisania opasane czerwoną gumką. Po czym powrócił do przerzucania papierowej kuli z ostatnimi dwiema wiadomościami od Starka: z prawej dłoni do lewej, z lewej do prawej, tam i z powrotem, śledził ruch podskakującej kuli. Thad widział strzępy słów na pomarszczonym papierze: WIEDZ KOMUŚ A ONE UM.

– Och. Teczki. Dzięki.

Thad podniósł je, po czym omal nie upuścił. Teraz Harrison rozprostuje trzymaną w dłoni kulę papieru. Zrobi to i chociaż Stark w tej chwili nie obserwował Thada – w każdym razie Beaumont był

tego całkiem pewien – to niebawem znowu sprawdzi. I wtedy się dowie. A gdy się dowie, urządzi Liz i bliźniętom potworną jatkę.

– Drobiazg. – Harrison cisnął zmiętą kartkę w kierunku kosza. Papierowa kula przetoczyła się po całej niemal jego krawędzi, po czym wpadła do środka. – Rzut za dwa punkty – powiedział i wyszedł na korytarz, żeby Thad mógł zamknąć drzwi pokoju.

8

Zszedł na parter, ciągnąc za sobą policyjną eskortę. Rawlie DeLesseps wyskoczył ze swojego gabinetu i na wypadek gdyby mieli się nie zobaczyć, życzył mu przyjemnego lata. Thad odwzajemnił te życzenia głosem, który przynajmniej w jego uszach brzmiał dość zwyczajnie. Miał wrażenie, że steruje nim autopilot. To uczucie trwało dopóty, dopóki nie dotarł do samochodu. Gdy rzucał teczkę na fotel pasażera, jego wzrok przykuł automat telefoniczny po drugiej stronie parkingu.

– Zadzwoń do żony – wyjaśnił Harrisonowi. – Sprawdzę, czy nie potrzebuje czegoś ze sklepu.

– Powinien był pan to zrobić na górze – zauważył Manchester. – Zaoszczędziłby pan ćwierć dolara.

– Zapomniałem – odparł Thad. – Może jednak mam w sobie coś z tego rozkojarzonego profesora.

Dwaj policjanci wymienili rozbawione spojrzenia i wsiedli do swojego plymoutha, gdzie mogli włączyć klimatyzację i obserwować Beaumonta przez przednią szybę.

Thad czuł się tak, jakby wszystkie jego wnętrzności zamieniły się w wymieszane bezładnie odłamki szkła. Wydobył z kieszeni ćwierćdolarówkę i wsunął ją do automatu. Ręka mu drżała i źle

wybrał drugą cyfrę numeru. Odwiesił słuchawkę, odczekał, aż moneta wypadnie, po czym znowu spróbował, myśląc: Chryste, to przypomina wieczór, gdy zginęła Miriam. Przypomina ten wieczór.

Bez takiego *déjà vu* mógłby się spokojnie obejść.

Za drugim razem nie popełnił błędu i stał teraz ze słuchawką przyciśniętą do ucha tak mocno, że czuł ból. Świadomie starał się odprężyć. Nie mógł dopuścić do tego, by Harrison i Manchester zauważyli, że coś jest nie w porządku – tego absolutnie nie wolno mu było zrobić. Najwyraźniej jednak nie potrafił rozluźnić mięśni.

Stark podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Thad?

– Co im zrobiłeś? – zapytał tak, jakby wypluwał kłaczki bandaża. W tle słyszał ryczące na całe gardło bliźnięta. Ich krzyki podziały na niego dziwnie pokrzepiająco. Różniły się od chrapliwych wrzasków, które wydawała z siebie Wendy, gdy spadła ze schodów; wyrażały oszołomienie, może złość, ale nie ból.

Ale Liz – gdzie była Liz?

– Nic – odparł Stark – jak sam słyszysz. Z ich ślicznych główek nie spadł ani jeden włos. Na razie.

– Liz – rzekł Thad. Nagle ogarnęło go obłądne przerażenie. Jakby pogrążył się w zimnej grzywiastej fali przyboju.

– Co Liz? – Ten żartobliwy ton był groteskowy i nieznośny.

– Przekaż jej słuchawkę! – warknął Thad. – Jeżeli oczekujesz, że napiszę jeszcze choć jedno słowo pod twoim nazwiskiem, to przekaz jej słuchawkę, do cholery!

W części jego świadomości, najwyraźniej niewzruszonej nawet tak skrajnym przerażeniem i zaskoczeniem, pojawiło się ostrzeżenie: Gryź się w język, Thad. Nie stoisz plecami do tych gliniarzy. Mąż nie

krzyczy do słuchawki, dzwoniąc do domu, żeby zapytać żonę, czy ma wystarczająco dużo jajek.

– Thad! Stary! – Stark wydawał się urażony, lecz Beaumont wiedział z całą potworną i doprowadzającą do szału pewnością, że ten sukinsyn szczerzy zęby w uśmiechu. – Masz o mnie piekielnie złą opinię, koleżko. To już jest podłość, synu! Wyluzuj, oto twoja żona.

– Thad? Thad, jesteś tam? – W jej głosie pobrzmiwały strach i udręka, ale paniki właściwie nie było.

– Tak. Kochanie, nic ci nie jest? Co z dziećmi?

– Jesteśmy cali i zdrowi. My... – Ostatnie słowo było trochę niewyraźne. Thad słyszał, jak ten drań mówi coś do niej, ale nie zrozumiał co. Liz zgodziła się i gdy wróciła do przerwanej rozmowy, jej głos brzmiał płacząco. – Thad, musisz zrobić to, czego on chce.

– Tak. Wiem o tym.

– Ale kazał ci powiedzieć, że nie możesz tego zrobić tutaj. Wkrótce zjawi się tu policja. On... Thad, on twierdzi, że zabił tych dwóch, którzy pilnowali domu.

Thad zamknął oczy.

– Nie wiem, jak to zrobił, ale tak twierdzi... aja... mu wierzę.

Teraz już płakała. Próbowwała powstrzymać łzy, wiedząc, że to go tylko zdenerwuje i że w zdenerwowaniu może narazić ich na niebezpieczeństwo. Thad ścisnął słuchawkę, przytknął ją mocno do ucha i starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

Stark znowu mamrotał coś w tle. Thad wychwycił jedno ze słów. „Współpraca”. Nie do wiary, psiakrew. Nie do wiary.

– Ma zamiar nas stąd wywieźć. Pamiętasz ciotkę Marthę? Mówi, że powinieneś zgubić ludzi, którzy są z tobą. Wie, że potrafisz to zrobić, bo on potrafił. Chce, żebyś dołączył do nas przed zmrokiem. Mówi...

– Zniosła się szlochem przerażenia. Kolejny szloch udało się jej powstrzymać. – Mówi, że będziesz z nim współpracował, że gdy obaj weźmiecie się do pracy, to będzie to najlepsza książka wszech czasów. On...

Przeciągłe mamrotanie.

Jakże pragnął złapać George'a Starca za szyję i dusić go, aż palce przebiją skórę i krtań tego nikczemnego sukinsyna.

– On twierdzi, że Alexis Machine zmartwychwstał i jest potężniejszy niż kiedykolwiek – powiedziała, po czym piskliwym głosem dodała: – Proszę, zrób, co mówi! On ma broń! I lampę lutowniczą! Mały palnik! Mówi, że jeżeli będziesz próbował jakichś dziwnych numerów.

– Liz...

– Błagam, zrób, co każe.

Słowa Liz ucichły, gdy Stark odebrał jej słuchawkę.

– Powiedz mi coś, Thad – rzekł i teraz w jego głosie nie było przekory. Był śmiertelnie poważny. – Powiedz mi i lepiej bądź wiarygodny i szczery, koleżko, bo inaczej oni zapłacą. Rozumiesz mnie?

– Tak.

– Na pewno? Bo to, co mówiła o lampie lutowniczej, jest prawdą.

– Tak! Tak, do cholery!

– Co miała na myśli, pytając, czy pamiętasz ciotkę Marthę? Kto to, kurwa, jest? Czy to był jakiś szyfr? Próbowwała mnie przechytrzyć?

Thad ujrzał nagle, że życie jego żony i dzieci zawisło na jednej cienkiej nici. To nie była metafora; on to widział. Nić była bladoniebieska, cienka jak pajęczyna, ledwie widoczna pośród całej wieczności. Wszystko teraz sprowadzało się zaledwie do dwóch

rzeczy – tego, co on powie, i tego, w co George Stark uwierzy.

- Czy sprzęt nagrywający został odłączony?
- Oczywiście! – odparł Stark. – Za kogo ty mnie masz?
- A czy Liz wiedziała o tym, gdy przekazywałaś jej słuchawkę?

Nastąpiła pauza, po czym Stark wyjaśnił:

- Wystarczyło spojrzeć. Przewody leżą na podłodze.
- Ale czy to zrobiła? Czy spojrzała?
- Przestań owijać w bawełnę.
- Próbowała mi wyjaśnić, dokąd jedziecie, nie podając nazwy tego miejsca – powiedział Thad. Starał się przybrać cierpliwy, pouczający ton, cierpliwy, ale trochę protekcyjny. Nie wiedział, czy robi to z powodzeniem, ale przypuszczał, że George poinformuje go o tym jakoś, i to całkiem szybko. – Miała na myśli nasz dom letni. W Castle Rock. Martha Telford jest jej ciotką. Nie przepadamy za nią. Ilekroć dzwoniła z informacją, że przyjedzie z wizytą, marzyliśmy o ucieczce do Castle Rock i ukryciu się w letnim domu do czasu, aż umrze. Powiedziałem to i jeżeli mają bezprzewodowy sprzęt nagrywający, George, to odpowiedzialność spada na ciebie.

Czekał, ociekając potem, by sprawdzić, czy Stark to kupi... albo czy ta cienka nić będąca jedynym łącznikiem między jego bliskimi a wiecznością pęknie.

- Nie mają – rzekł w końcu Stark, a jego głos znowu był spokojny.

Thad zwalczył w sobie przemożną chęć oparcia się o ścianę budki telefonicznej i zamknięcia z ulgą oczu. Jeżeli kiedyś znowu cię ujrzę, Liz, pomyślał, skrećę ci kark za to, że podjęłaś takie szalone ryzyko. Tyle że jeżeli ją znowu zobaczy, to przypuszczalnie będzie ją całował do utraty tchu.

- Nie rób im krzywdy – rzekł do słuchawki. – Proszę, nie rób im

krzywdy. Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

– Och, przecież wiem. Wiem, że to zrobisz, Thad. I zrobimy to razem. Przynajmniej na początku. Po prostu ruszaj. Pozbądź się swoich dozorców i przywieź swój tyłek do Castle Rock. Dojedź tam jak najszybciej, ale zrób to tak, by nie zwracać na siebie uwagi. To byłby błąd. Możesz pomyśleć o zmianie samochodów, ale szczegóły zostawiam tobie... ostatecznie jesteś człowiekiem pomysłowym. Jeśli chcesz zastać ich żywych, dotrzyj tam przed zmrokiem. Nie daj ciała. Kumasz? Nie daj ciała i nie próbuj się wycwanić.

– Nie spróbuję.

– Słusznie. Nie spróbujesz. Będziesz za to przestrzegał reguł. Jeżeli dasz dupy, znajdziesz tu tylko zwłoki i nagrany głos twojej żony przeklinającej przed śmiercią twe imię.

Rozległ się trzask. Połączenie zostało przerwane.

9

Gdy Thad wracał do samochodu, siedzący na miejscu pasażera Manchester opuścił szybę plymoutha i zapytał, czy w domu wszystko w porządku. Z wyrazu oczu mężczyzny Thad wywnioskował, że to nie jest pytanie retoryczne. Policjant dostrzegł jednak coś na twarzy Thada. Ale to nie był problem; Thad uznał, że da sobie z tym radę. Ostatecznie był człowiekiem pomysłowym i jego myśli mknęły teraz z potworną prędkością niczym japońska szybka kolej. Znowu pojawiło się pytanie: skłamać czy powiedzieć prawdę? I jak wcześniej odpowiedź była z góry wiadoma.

– Wszystko w porządku – odparł naturalnym i beztroskim tonem. – Dzieci są nieznośne, i tyle. A przez to Liz też staje się nieznośna. – Podniósł trochę głos. – Wy dwaj zachowujecie się nerwowo, odkąd

opuściliśmy dom. Czy dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Nawet w tej rozpaczliwej sytuacji miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Owszem, coś się działo, ale to on o tym wiedział i to ukrywał.

– Nie – odparł Harrison zza kierownicy, pochylając się, żeby zobaczyć Thada. – Nie możemy się skontaktować z Chattertonem i Eddingsem, to wszystko. Pewnie weszli do domu.

– Liz powiedziała, że właśnie przygotowała świeżą mrożoną herbatę – rzekł Thad, kłamiąc beztrosko.

– To wyjaśnia sprawę – stwierdził Harrison i uśmiechnął się do Thada, który poczuł kolejny wyrzut sumienia. – Może coś jeszcze zostanie, gdy dotrzemy na miejsce, co?

– Wszystko jest możliwe.

Thad zatrzasnął drzwi suburbaną i wetknął kluczyk do stacyjki ręką, która wydawała się odrętwiała jak kłoda drewna. Po głowie krążyły mu pytania, płasząc w skomplikowanym i nieszczerze przyjemnym rytmie gawota. Czy Stark i jego bliscy wyruszyli już do Castle Rock? Miał taką nadzieję – chciał, żeby to zrobili, zanim wieść, że porwano jego rodzinę, rozejdzie się po policyjnej sieci łączności. Gdyby jechali samochodem Liz i ktoś go spostrzegł lub gdyby nadal byli w Ludlow bądź gdzieś w pobliżu, mogłoby się to źle skończyć, zabójczo źle. Potworny paradoks tej sytuacji polegał na tym, że Thad musiał mieć nadzieję, iż Stark szybko się zmyje, ale właśnie w takim znalazł się położeniu.

Skoro już mowa o zmywaniu się, to jak zamierzał zgubić swoich opiekunów? Kolejne dobre pytanie. Że nie zdystansuje ich swoim samochodem, to pewne. Policyjny plymouth ze swym popielatym lakierem i wytartymi oponami wyglądał jak szmelc, lecz ostry warkot

pracującego na wolnych obrotach silnika świadczył o tym, że pod maską kryje się bestia. Przypuszczalnie mógłby się im wymknąć – miał już pomysł, jak i gdzie może to zrobić – ale jak zamierzał pokonać niezauważony dwieście pięćdziesiąt kilometrów do Castle Rock?

Nie miał bladego pojęcia... wiedział tylko, że jakoś będzie to musiał zrobić.

„Pamiętasz ciotkę Marthę?”

Zaserwował Starkowi głodne kawałki, wyjaśniając znaczenie słów Liz, i Stark dał temu wiarę. Tak więc dostęp drania do jego umysłu okazał się ograniczony. Martha Tellford była ciotką Liz, a jakże, i żartowali oboje, na ogół w łóżku, o ucieczce od niej, ale mieli na myśli ucieczkę do egzotycznych miejsc, takich jak Aruba bądź Tahiti... ponieważ ciotka doskonale wiedziała o ich letnim domu w Castle Rock. Odwiedzała ich tam znacznie częściej niż w Ludlow. A jej ulubionym miejscem w Castle Rock było wysypisko. Była pełnoprawną, opłacającą składki członkinią NRA³ i lubiła sobie tam postrzelać do szczurów.

„Jeśli chcesz, żeby wyjechała, sama będziesz musiała jej to powiedzieć”. Thad pamiętał, że kiedyś wyjaśnił to Liz. Ta rozmowa także odbyła się w łóżku, pod koniec niekończącej się wizyty ciotki latem – 1979 czy 1980 roku? Przypuszczalnie było to bez znaczenia. „To twoja ciotka. Poza tym boję się, że jeżeli jej to powiem, może zrobić użytek ze swojego winchestera”.

Liz odparła: „Nie jestem pewna, czy pokrewieństwo miałoby dla niej jakieś znaczenie. Ma w oczach coś takiego...”. Pamiętał, iż udała, że drży u jego boku, po czym zachichotała i szturchnęła go w żebra. „No, idź. Bóg nie znosi tchórzy. Powiedz jej, że jesteśmy działaczami

ruchu na rzecz ochrony przyrody, nawet wtedy, gdy chodzi o szczury na wysypiskach. Idź do niej i powiedz: »Zwijaj się, ciociu! Zastrzeliłaś swojego ostatniego szczura na wysypisku! Pakuj manatki i po prostu zabieraj się stąd!«”.

Oczywiście żadne z nich nie kazało jej się wynieść; dalej wyruszała na swe codzienne wyprawy na wysypisko, gdzie zabijała dziesiątki szczurów (a jak podejrzewał Thad, również kilka mew, gdy gryzonię się przed nią kryły). I w końcu nadszedł ten szczęśliwy dzień, w którym Thad odwiózł ją na lotnisko w Portlandzie i odprowadził do samolotu do Albany. Przy wyjściu w dziwnie żenujący sposób uścisnęła mu po męsku dłoń – jakby zamiast się żegnać, dobijali targu – i oznajmiła, że w przyszłym roku może ich zaszczyścić kolejną wizytą. „Cholernie fajnie się u was poluje – powiedziała. – Wytrzebiłam pewnie z sześć lub siedem tuzinów tej zarazy”.

Nigdy więcej nie wróciła, chociaż raz niewiele brakowało (tej zbliżającej się nieuchronnie wizycie zapobiegło w ostatniej chwili miłosierne zaproszenie do Arizony, gdzie – o czym poinformowała ich telefonicznie – wciąż było pełno kojotów).

Przez wiele lat po jej ostatniej wizycie słowa „Pamiętasz ciotkę Marthę?” były hasłem typu „Pamiętaj o Maine”. Oznaczały, że jedno z nich powinno wyjąć dwudziestkędwójkę z szopy i zastrzelić jakiegoś szczególnie nudnego gościa, tak jak ciotka Martha załatwiała szczury na wysypisku. Gdy teraz o tym myślał, wydało mu się, że Liz użyła tego zwrotu podczas wywiadu i sesji zdjęciowych dla magazynu „People”. Czyż nie odwróciła się wtedy do niego i nie mruknęła: „Ciekawe, czy ta Myers pamięta ciotkę Marthę”?

Po czym zasłoniła usta i zaczęła chichotać.

Całkiem zabawne.

Tyle że teraz nie chodziło o żart.

Ani o strzelanie do szczurów na wysypisku.

O ile dobrze zrozumiał, Liz próbowała mu powiedzieć, żeby ruszył za nimi i zabił George'a Starka. I jeżeli ona, która rozplakała się na wieść, że bezdomne zwierzęta są usypiane w schronisku w Derry, chciała, żeby to zrobił, widocznie uznała, że nie ma innego wyjścia. Uważa zapewne, że teraz są tylko dwie możliwości: śmierć Starka... albo śmierć jej oraz bliźniąt.

Harrison i Manchester patrzyli na niego z zaciekawieniem i Thad zdał sobie sprawę, że niemal od minuty pogrążony w myślach siedzi za kierownicą pracującego na jałowym biegu samochodu. Podniósł dłoń, zamarkował salut, wycofał samochód i skręcił ku Maine Avenue, która wyprowadziłaby go z kampusu. Próbował się zastanowić, jak uciec tym dwóm, zanim usłyszą w policyjnym radiu wiadomość o śmierci swoich kolegów. Starał się myśleć, ale bez przerwy słyszał głos Starka ostrzegającego, że jeżeli schrzani sprawę, po przyjeździe do domu w Castle Rock znajdzie jedynie ich zwłoki oraz taśmę z nagraniem Liz przeklinającej go przed śmiercią.

Stale też widział Marthę Tellford celującą ze swojego winchestera – broni o nieco większego kalibru niż dwudziestkadwójka, którą trzymał w zamkniętej na klucz szopie – do wypasionych szczurów przemykających pośród stert śmieci i niskich pomarańczowych płomieni na wysypisku. Nagle zdał sobie sprawę, że chce zastrzelić Starka, i to nie z dwudziestkidwójki.

Szczwany George zasługiwał na coś większego.

Haubica byłaby chyba w sam raz.

Szczury skaczące na tle galaktycznego blasku potłuczonych butelek i zgniecionych puszek, ich ciała zwijające się najpierw, a potem

rozbryzgujące na kawałki wnętrzości i sierści.

Tak, obserwowanie, jak coś takiego dzieje się z George'em Starkiem, byłoby bardzo przyjemne.

Thad zbyt mocno trzymał kierownicę, sprawiając, że bolała go lewa dłoń. Wydawało się nawet, że słyhać jęk kości i stawów.

Rozluźnił się – a przynajmniej próbował to zrobić – i w kieszeni na piersi zaczął szukać po omacku percodanu, który zabrał ze sobą. Znalazł tabletkę i połknął ją na sucho.

Myślał o skrzyżowaniu koło szkoły w Veazie. Tym ze znakami „stop” z czterech stron.

Zaczął też myśleć o tym, co powiedział Rawlie DeLesseps.

O psychopompos.

Emisariuszach żywych trupów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

STARK BIERZE SPRAWY W SWOJE RĘCE

1

Chociaż nigdy w życiu nie był w Ludlow, bez trudu zaplanował, co i jak chciał zrobić.

Bywał tam wystarczająco często w swoich snach.

Dwa i pół kilometra od domu Beaumontów zjechał kradzioną zaniedbaną hondą civic na parking przy drodze. Thad wybrał się na uniwersytet; to dobrze. Czasem nie było wiadomo, co Thad robi lub myśli, chociaż Stark niemal zawsze wyczuwał jego emocje, jeśli tylko wyteżył zmysły.

Gdy miał trudności z nawiązaniem kontaktu z Thadem, po prostu zaczynał obracać w palcach jeden z ołówków, które kupił w sklepie papierniczym przy Houston Street.

To pomagało.

Dzisiaj będzie łatwo. Będzie łatwo, ponieważ niezależnie od tego, co Thad powiedział swoim stróżom, pojechał na uniwersytet z jednego tylko powodu: nie dotrzymał terminu i sądził, że Stark spróbuje się z nim skontaktować. On zaś miał właśnie taki zamiar. W rzeczy samej.

Tyle że nie zamierzał robić tego w sposób, jakiego spodziewał się Thad.

I na pewno nie z miejsca, w którym Thad spodziewał się go zastać.

Zbliżało się południe. Na parkingu kilka osób urządziło sobie piknik, ale siedziały one przy stołach na trawniku lub skupiły się wokół małych kamiennych grillów nad rzeką. Nikt nie patrzył na Starka, gdy ten wysiadł z hondy i się oddalił. I dobrze, bo gdyby go widziano, z pewnością wryłby się w pamięć.

Zapamiętano by go.

Ale nie potrafiono by opisać.

Kiedy kroczył po asfalcie, a potem ruszył pieszo drogą w kierunku domu Beaumontów, przypominał do złudzenia Niewidzialnego Człowieka z powieści H.G. Wellsa. Jego czoło od brwi do linii włosów pokrywał szeroki bandaż. Drugim bandażem pokryte były podbródek i zuchwa. Na głowę wcisnął bejsbolówkę New York Yankees. Nosił okulary słoneczne, pikowaną kamizelkę, a na dłoniach czarne rękawiczki.

Bandaże były poplamione żółtą ropą, która sączyła się stale przez bawełnianą gazę niczym lepkie łzy. Żółty płyn wyciekał również spod okularów od Fostera Granta. Od czasu do czasu Stark ścierał go z policzków cienkimi rękawiczkami z imitacji koźłej skóry. Palce rękawiczek lepiły się od zasychającej wydzieliny. Skóra pod bandażami w sporej części zeszała, a to, co zostało, nie było ludzkim ciałem; zastąpiła je ciemna, gąbczasta tkanka, z której bezustannie sączyło się coś, co wyglądało jak ropa, lecz miało nieprzyjemną woń – przypominającą połączenie zapachu mocnej kawy i chińskiego tuszu.

Stark szedł z lekko pochyloną głową i rękami w kieszeniach. Pasażerowie nielicznych samochodów, które nadjeżdżały z naprzeciwka, widzieli mężczyznę w bejsbolówce chroniącego twarz przed blaskiem słońca. Cień daszka czapki skrywał ją przed mniej natarczywymi spojrzeniami, a gdyby ktoś przyjrzał się dokładnie,

zobaczyłyby tylko bandaże. Z samochodów, które nadjeżdżały z tyłu i mijały go w drodze na północ, można się było dobrze przyjrzeć wyłącznie jego plecom.

Bliżej bliźniaczych miast Bangor i Brewer ten spacer byłby nieco trudniejszy. Tam znajdowały się przedmieścia i osiedla mieszkaniowe. Część Ludlow, w której mieszkali Beaumontowie, leżała na tyle daleko od miasta, że można było ją uznać za obszar wiejski – nie za zapadłą dziurę, ale też z pewnością nie za część którejś z tych dużych miejscowości. Niektóre domy stały na wystarczająco dużych działkach, by uznać je za pola. Nie były oddzielone żywopłotami, tymi awatarami podmiejskiego zacisza, lecz wąskimi pasami drzew oraz niekiedy wijącymi się kamiennymi murkami. Tu i ówdzie talerze anten satelitarnych majaczyły ponuro na horyzoncie niczym forpoczty jakichś obcych najeźdźców.

Stark kroczył poboczem drogi, dopóki nie minął domu Clarków. Dom Thada stał za nim. Stark przeciął róg ogrodu porośniętego sianem raczej niż trawą. Zerknął na budynek. Zaciągnięte rolety chroniły przed skwarem, a drzwi garażu były szczelnie zamknięte. Dom Clarków wyglądał na opuszczony na dłużej niż tylko poranne godziny; tchnął żalną atmosferą domostw pustych już od jakiegoś czasu. Za siatkowymi drzwiami brakowało wprawdzie świadczącej o tym sterty gazet, ale Stark sądził, że właściciele przypuszczalnie wyjechali na wczesne wakacje letnie, to zaś było mu bardzo na rękę.

Wszedł w kępę drzew między dwiema posiadłościami, przestąpił rozpadającą się pozostałość kamiennego murku, po czym przyklęknął na jedno kolano. Po raz pierwszy spoglądał prosto na dom swojego upartego brata bliźniaka. Na podjeździe parkował policyjny radiowóz, a dwaj policjanci, którzy powinni w nim siedzieć, stali w cieniu

pobliskiego drzewa, pałac papierosy i rozmawiając. I bardzo dobrze.

Miał to, czego potrzebował; reszta była dziecinnie prosta. Zwlekał jednak jeszcze przez chwilę. Nie uważał się za człowieka obdarzonego bujną wyobraźnią – a przynajmniej nie był nim poza kartami książek, w których stworzeniu odegrał decydującą rolę – ani uczuciowego, trochę zaskoczyła go więc tłąca się w nim furia i niezadowolenie.

Jakim prawem ten sukinsyn mu odmawiał? Jakim prawem, do cholery? Dlatego że pierwszy rzeczywiście zaistniał? Dlatego że Stark nie wiedział po prostu, jak, czemu i gdzie sam stał się prawdziwą postacią? To były brednie. Jeśli chodziło o George'a

Starka, starszeństwo nie miało w tej sprawie żadnego znaczenia. Nie miał obowiązku położyć się i umrzeć bez słowa sprzeciwu, jak chciał Thad Beaumont. Miał obowiązek wobec siebie – po prostu przetrwać. I nie tylko przetrwać.

Musiał też myśleć o swoich wiernych fanach, nieprawdaż?

Spójrzcie na ten dom. Tylko spójrzcie. Przestronny nowoangielski budynek w stylu kolonialnym, który – gdyby nie brak jednego skrzydła – można by uznać za pałac. Duży trawnik, zraszacze obracające się pracowicie, żeby był stale zielony. Płot z drewnianych palików, który pewnie miał wyglądać „malowniczo”. Między domem a garażem znajdowała się wiata – na Boga, wiata! A w środku umeblowanie w eleganckim (a może nazywali go wytwornym) stylu kolonialnym, dopasowanym do stylu budynku – długi dębowy stół w jadalni, wysokie ładne komody w pokojach na piętrze oraz fotele, które były delikatne i cieszyły oko, nie wyglądając pretensjonalnie; fotele, które można było podziwiać i zarazem mieć odwagę na nich usiąść. Ściany nie zostały wytapetowane, lecz pomalowane, a następnie ozdobione za pomocą szablonu. Stark widział wszystko,

widział to w snach, kiedy pisał jako George Stark, o czym Beaumont nie miał nawet pojęcia.

Nagle zapragnął puścić ten uroczy biały dom z dymem. Przyłożyć do niego zapałkę – lub może płomień palnika gazowego, który trzymał w kieszeni kamizelki – i spalić go do cna. Ale dopiero gdy znajdzie się w środku. Dopiero gdy rozwali te meble, nasra na dywan w salonie i rozetrze ekskrementy na tych starannie ozdobionych ścianach grubymi smugami. Dopiero gdy zamierzy się siekierą na te jakże cenne komody i zmieni je w podpałkę.

Jakie prawo miał Beaumont do dzieci? Do pięknej żony? Jakie właściwie prawo miał Thad Beaumont do życia w świetle dziennym i bycia szczęśliwym, podczas gdy jego mroczny brat – który uczynił go bogatym i sławnym, dzięki czemu nie egzystował w nędzy i nie wyzionął ducha w zapomnieniu – umarł w ciemności niczym chory kundel w jakimś zaułku?

Żadne, oczywiście. Wcale nie miał prawa. Chodziło po prostu o to, że Beaumont uwierzył kiedyś w to prawo i mimo wszystko nadal w nie wierzył. Ale to ta wiara, nie zaś George Stark z Oxfordu w stanie Missisipi, była fikcją.

– Czas na twą pierwszą ważną lekcję, koleżko – mruknął Stark w kępie drzew. Znalazł klipsy utrzymujące bandaż na swoim czole, zdjął je i schował do kieszeni na później. Potem zaczął odwijać bandaż. Kolejne warstwy były tym wilgotniejsze, im bliżej znajdowały się jego dziwnego ciała. – To lekcja, której nigdy nie zapomnisz. I ja ci to, kurwa, gwarantuję.

2

Była to jedynie odmiana numeru z białą laską, który wywinął

gliniarzom w Nowym Jorku, ale Starkowi to zupełnie nie przeszkadzało; wierzył niewzruszenie, że jeśli raz wymyśliło się dobry gag, należało go wykorzystywać do oporu. Ci policjanci i tak nie stanowili żadnego problemu, chyba że zrobiłby się nieudolny; pełnili służbę od ponad tygodnia, nabierając coraz większej pewności, że ten szaleniec nie kłamał, gdy powiedział, że po prostu ma zamiar się opamiętać i wrócić do domu. Jediną niewiadomą była Liz – gdyby przez przypadek wyglądała przez okno, gdy on będzie szlachtował te świnie, mogłoby to wszystko skomplikować. Ale zbliżało się południe; ona i bliźnięta drzemały lub przygotowywały się do snu. Niezależnie od tego, jak było, żywił przekonanie, że wszystko się powiedzie.

Prawdę mówiąc, był tego pewien.

Miłość znajdzie sposób.

3

Chatterton uniósł stopę, żeby rozgnieść butem niedopałek papierosa – zamierzał go potem wrzucić do popielniczki w radiowozie: policja stanu Maine nie zaśmiecała posesji podatników – a gdy podniósł wzrok, po podjeździe szedł chwiejnym krokiem mężczyzna z obdartą ze skóry twarzą. Jedną ręką machał powoli na niego i Jacka Eddingsa z prośbą o pomoc; druga, zgięta za plecami, wyglądała na złamaną.

Chatterton omal nie dostał ataku serca.

– Jack! – krzyknął.

Eddings odwrócił się i rozdziawił usta.

– ...pomocy... – wychrypiał mężczyzna.

Policjanci podbiegli do niego.

Gdyby żyli, powiedzieliby pewnie swoim kolegom z policji, że myśleli, iż mężczyzna uczestniczył w jakiejś kraksie, został poparzony

eksplodującą benzyną lub naftą albo padł twarzą na jedną z okrutnych części maszyn rolniczych, które co jakiś czas postanawiają pokiereszować swoich właścicieli nożami, rębakami lub bezlitosnymi wirującymi szprychami.

Mogliby udzielić swoim kolegom jednego z tych wyjaśnień, ale w tym momencie tak naprawdę nie myśleli o niczym. Ich umysły zostały wyprane pod wpływem przerażenia. Lewa część twarzy mężczyzny niemal kipiała, jakby po zdarciu z niej skóry ktoś wylał na żywe mięso silny roztwór kwasu karbolowego. Obrzydliwy kleisty płyn spływał po hałdach ziarniny i wypełniał czarne szczeliny, tworząc chwilami makabryczne rozlewiska.

Nie myśleli o niczym; po prostu zareagowali.

To właśnie było zaletą sztuczki z białą laską.

– ...pomocy...

Stark potknął się o własne nogi i poleciał do przodu. Krzyząc coś nieskładnie do swojego partnera, Chatterton wyciągnął ręce, by chwycić rannego, zanim ten zdąży upaść. Stark zarzucił mu prawe ramię na szyję i wyciągnął lewą rękę zza pleców. W niej zaś trzymał niespodziankę. Niespodziankę w postaci brzytwy z rączką z masy perłowej. Jej ostrze lśniło gorączkowo w wilgotnym powietrzu. Stark dźgnął brzytwą i gdy ta rozcinała prawą gałkę oczną Chattertona, rozległ się cichy plask. Policjant krzyknął i przyłożył dłoń do twarzy. Stark chwycił go za włosy, szarpnął głowę do tyłu i poderznął mu gardło od ucha do ucha.

Krew buchnęła z muskularnej szyi Chattertona czerwoną strugą. Wszystko to stało się w ciągu czterech sekund.

– Co?! – zapytał Eddings cichym i dziwnie wytwornym tonem. Stał niezgrabnie pół metra za swoim kolegą i Starkiem. – Co?!

Dyndająca ręka policjanta zwisała obok kolby służbowego rewolweru, ale jedno szybkie spojrzenie przekonało Starka, iż gliniarz ma równie blade pojęcie o tym, że jego broń jest w zasięgu ręki, jak o tym, ile ludności ma Mozambik. Oczy wyszły mu z orbit. Nie wiedział, na co patrzy ani kto krwawi. Nie, to nieprawda, pomyślał Stark. On sądzi, że ja. Stał tam beczynn timer i przyglądał się, jak podrzynam gardło jego partnerowi, ale myśli, że to ja krwawię, bo brakuje mi połowy twarzy, a tak naprawdę powód jest inny – to ja krwawię, muszę krwawić, ponieważ on i jego partner są policjantami. To oni są bohaterami tego filmu.

– Proszę, niech pan to przytrzyma, dobrze? – rzekł i pchnął ciało umierającego Chattertona w stronę jego partnera.

Eddings wydał z siebie krótki przenikliwy krzyk. Próbował się odsunąć, ale było już za późno. Napór dziewięćdziesięciokilowego wora z kośćmi konającego samca, którym był Tom Chatterton, spowodował, że Eddings zatoczył się do tyłu na radiowóz. Ciepła krew spłynęła na jego zadartą ku górze twarz niczym woda z zepsutego sitka prysznic. Policjant krzyczał i młócił rękami po ciele kolegi. Chatterton obrócił się powoli i resztkami sił chwycił się samochodu. Lewą ręką uderzył w maskę silnika, pozostawiając na niej krwawy odcisk dłoni. Prawą złapał za antenę radia i ją odłamał. Upadł na podjazd, trzymając ją przed nieuszkodzonym oknem niczym uczony, który rzadkiego okazu nie wypuszcza z rąk nawet *in extremis*.

Eddingsowi mignęła przed oczami pochylona sylwetka atakującego go mężczyzny; próbował się cofnąć i wpadł na samochód.

Stark ciął brzytwą w górę, jednym długim ruchem rozpruwając w kroku spodnie bezowego policyjnego munduru i worek mosznowy Eddingsa. Jego jądra, nagle rozdzielone, zawisły mu przy udach

niczym ciężkie węzły na końcu rozplątującego się sznura. Na spodniach wokół zamka błyskawicznego ukazała się plama krwi. Przez chwilę czuł się tak, jakby ktoś wcisnął mu w krocze garść lodów. a potem nastąpił atak piekącego i rozdzierającego bólu. Krzyknął.

Stark skierował brzytwę nagłym, potwornie szybkim ruchem w kierunku gardła policjanta, ale ten zdołał jakoś unieść rękę i pierwszy cios tylko rozciął mu dłoń na pół. Eddings próbował się obrócić w lewo i w ten sposób odsłonił prawą stronę szyi.

Nagie ostrze, jasnosrebrzyste w zamglonym świetle dnia, znowu przemknęło w powietrzu i tym razem trafiło tam, gdzie miało trafić. Eddings osunął się na kolana, trzymając się rękami za krocze. Beżowe spodnie były jasnoczerwone niemal do kolan. Głowa mu obwisała i wyglądał teraz jak ofiara pogańskiego kultu.

– Miłego dnia, dupku – rzekł Stark swobodnym tonem.

Pochylił się, zatopił dłoń we włosach Eddingsa i szarpnął jego głowę do tyłu, obnażając szyję do ostatniego ciosu.

4

Otworzył tylne drzwi radiowozu, podniósł Eddingsa za kołnierz bluzy munduru oraz zakrwawione siedzenie spodni i cisnął go do środka niczym worek ziarna. Potem to samo zrobił z Chattertonem. Ten drugi – wraz z dodatkami w postaci pasa i przypiętej do niego czterdziestkipiątki – ważył pewnie ze sto kilo, lecz Stark przeniósł go z taką łatwością, jakby dźwigał wypchany pierzem worek. Zatrzasnął drzwi, po czym spojrzał z pogodnym zaciekawieniem na dom.

Wokół panowała cisza. Jedynymi dźwiękami były cykania świerszczy w wysokiej trawie obok podjazdu oraz cichy,

przypominający szelest słomy odgłos zraszaczy na trawniku. Do tego dochodził warkot nadjeżdżającej ciężarówki – cysterny Orinco. Z rykiem silnika przejechała obok setką i skierowała się na północ. Gdy Stark spostrzegł, że wielkie światła hamowania rozbłysły na chwilę na czerwono, zeszywniał i przygiął się nieco za radiowozem. Kiedy zgasły i cysterna, przyspieszywszy, zniknęła za następnym pagórkiem, zaśmiał się chrapliwie. Kierowca ciężarówki ujrzał w przelocie radiowóz zaparkowany na podjeździe domu Beaumontów, sprawdził prędkość na liczniku i pomyślał, że to kontrola radarowa. Zareagował najzwyczajniej w świecie. Niepotrzebnie się martwił; ta kontrola radarowa została zlikwidowana na zawsze.

Na podjeździe było sporo krwi, ale zebrana w kałużach na błyszczącym czarnym asfalcie z oddali mogła wyglądać jak woda, nie było zatem problemu. A jeśli nawet był, to należało go zignorować.

Stark złożył brzytwę i trzymając ją w lepkiej dłoni, podszedł do drzwi. Nie zauważył ani nagromadzonych przy werandzie martwych wróbli, ani tych żywych, które teraz obserwowały go w milczeniu z kalenicy domu i jabłoni koło garażu.

Parę minut później Liz Beaumont, wciąż rozespana po południowej drzemce, na dźwięk dzwonka zeszła na parter, żeby otworzyć drzwi.

5

Nie krzyknęła. Chciała to zrobić, ale widok wpatrzonych w nią twarzy pozbawionej skóry uwięził jej krzyk głęboko w krtani, zatrzymał go, zakwestionował i unieważnił, pogrzebał go żywcem. W odróżnieniu od Thada nie pamiętała żadnych snów o George'u Starku, ale one i tak mogły się skrywać w lochach jej

podświadomości, ta rzucająca się w oczy, uśmiechnięta szeroko twarz mimo swej potworności wydawała się bowiem czymś niemal oczekiwanym.

– Chce pani kupić kaczkę? – zapytał Stark przez siatkowe drzwi. Wyszczерzył w uśmiechu zęby, w większości już martwe. Okulary przeciwsłoneczne zmieniły jego oczy w wielkie czarne łożyska. Z policzka i podbródka ściekała mu na kamizelkę kleista breja.

Poniewczasie Liz próbowała zamknąć drzwi. Stark wbił odzianą w rękawiczkę pięść w siatkę i z powrotem je otworzył. Zatoczyła się do tyłu, usiłując krzyknąć. Nie mogła. Jej krtań nadal była ściśnięta.

Stark wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Liz patrzyła, jak idzie powoli ku niej. Wyglądał niczym zgniły strach na wróble, który jakimś cudem ożył. Najgorszy był ten uśmiech, bo lewa połowa górnej wargi nie wydawała się tylko zgniła lub gnijąca, ale odgryziona. Widziała szaroczarne zęby i miejsca, w których do niedawna znajdowała się reszta jego uzębienia.

Wyciągnął do niej dłonie w rękawiczkach.

– Cześć, Beth – rzekł z tym okropnym uśmiechem.

– Wybacz to najście, ale byłem w sąsiedztwie i pomyślałem, że wpadnę. Nazywam się George Stark i miło mi cię poznać. Pewnie nawet nie wiesz, jak miło.

Dotknął... pogłaskał ją wręcz po podbródku. Ciało ukryte pod czarną skórą rękawiczki było gąbczaste w dotyku. W tym momencie Liz pomyślała o śpiących na piętrze bliźniętach i jej paraliż ustąpił. Odwróciła się i uciekła w stronę kuchni. W swej zmaconej świadomości ujrzała, jak chwytą jeden z noży rzeźniczych z namagnesowanych szyn nad blatem i wbija głęboko w tę obsceniczną karykaturę twarzy.

Słyszała, jak biegnie za nią szybki jak wicher.

Jego ręka otarła się o jej bluzkę, szukając punktu oparcia, i zsunęła się w dół.

Drzwi kuchni były wahadłowe; Liz w biegu kopnęła w drewniany klin blokujący je w otwartym położeniu, wiedząc, że jeśli chybi lub tylko go przekrzywi, nie będzie miała drugiej szansy. Trafiła go jednak prosto stopą obutą w pantofel i natychmiast poczuła ostry ból w palcach. Klin przeleciał po podłodze kuchni, wywoskowanej tak porządnie, że widać było w niej całe pomieszczenie odwrócone do góry nogami. Czują, że

Stark znowu próbuje ją złapać. Sięgnęła ręką za siebie i zamknęła drzwi. Usłyszała głuchy łomot, gdy skrzydło zderzyło się z ciałem mordercy. Wrzasnął wściekły i zaskoczony, ale bez szwanku. Zaczęła szukać po omacku noży... i Stark złapał ją za włosy i bluzkę. Mocnym szarpnięciem odwrócił ją ku sobie. Liz usłyszała gwałtowny odgłos rozrywanej tkaniny i pomyślała nieskładnie: Jeżeli mnie zgwałci, o Boże, jeżeli mnie zgwałci, chyba oszaleję...

Zaczęła okładać jego groteskową twarz pięściami, najpierw przekrzywiając, a potem strącając mu okulary. Ciało pod lewym okiem obwisło niczym martwe usta, odsłaniając całą nabiegłą krwią gałkę oczną.

A on się śmiał.

Chwycił ją za ręce i szarpnął je w dół. Liz uwolniła jedną i podrapała go po twarzy. Jej palce zostawiły na niej głębokie bruzdy, z których zaczęła powoli spływać krew i ropa. Miała wrażenie, że ciało nie stawia oporu; równie dobrze mogła rozrywać kawałek upstrzonego przez muchy mięsa. I teraz odzyskała głos – chciała krzyżeć, wyartykułować swoje przerażenie, zanim znowu zdławi jej

krtań, ale udało się jej jedynie wydobyć z siebie serię pełnych udręczenia, chrapliwych szczeknięć.

Stark chwycił wolne ramię Liz w powietrzu, ściągnął w dół za plecy i skrępował obie ręce w nadgarstkach swoją dłonią, gąbczastą, lecz nieugiętą jak kajdany. Drugą rękę uniósł ku gorsowi jej bluzki i położył na piersi. Liz jęknęła, czując jego dotyk. Zamknęła oczy i próbowała się wyrwać.

– Och, przestań się szarpać – powiedział Stark. Nie uśmiechał się teraz, lecz i tak zgniła lewa strona jego ust zastygła w grymasie mimowolnego uśmiechu. – Przestań, Beth. Dla własnego dobra. Twój opór mnie podnieca. A zapewniam cię, że nie powinnaś mnie podniecać. Myślę, że nasz związek powinien pozostać platoniczny. Przynajmniej na razie.

Ścisnął mocniej jej pierś i Liz poczuła pod gnijącą powłoką bezlitosną siłę, jakby w miękkim plastiku osadzony został połączony przegubami stalowy szkielet.

Skąd on ma w sobie tyle siły? Skąd on ma tyle siły, skoro wygląda na umierającego?

Ale odpowiedź na to pytanie była oczywista. Nie był człowiekiem. Liz nie sądziła nawet, że on tak naprawdę żyje.

– A może jednak tego chcesz? – zapytał. – Czy tak właśnie jest? Chcesz tego? Pragniesz tego w tej chwili? – Jego język, czarnoczerwonożółty, z powierzchnią rozsadaną dziwnymi pęknięciami przypominającymi szczeliny w gruncie na obszarze zalewowym, wysunął się z wykrzywionych w uśmiechu ust i wił się jak wąż.

Liz natychmiast przestała się szarpać.

– Tak lepiej – rzekł Stark. – A teraz... puszcę cię, moja droga, moja

słodka Bethie. Gdy to zrobię, znowu ogarnie cię chęć przebiegnięcia stu metrów w pięć sekund. To naturalne; ledwie się znamy i zdaję sobie sprawę, że nie wyglądam najlepiej. Ale zanim zrobisz coś głupiego, pamiętaj, że ci dwaj policjanci przed domem... nie żyją. Pomyśl też o swoich maleństwach śpiących spokojnie na piętrze. Dzieci potrzebują wypoczynku, nieprawdaż? Zwłaszcza bardzo małe dzieci, bardzo bezbronne, jak twoje. Rozumiesz, co mówię?

Liz pokiwała w osłupieniu głową. Czuła teraz jego woń, potworny zapach rozkładającego się mięsa. On gnije, pomyślała. Gnije na moich oczach.

Stało się dla niej jasne, dlaczego tak rozpaczliwie chce, żeby Thad znowu zaczął pisać.

– Jesteś wampirem – powiedziała ochrypłym głosem. – Przeklętym wampirem. A on zalecił ci dietę. Wtargnąłeś więc tutaj. Terroryzujesz mnie i grozisz moim dzieciom. Jesteś nędznym tchórzem, Stark.

Puścił ją, po czym naciągnął i wygładził najpierw lewą, a następnie prawą rękawiczkę. Był to gest pompatyczny, lecz dziwnie złowieszczy.

– To niesprawiedliwe, Beth. Co ty zrobiłabyś na moim miejscu? Co byś zrobiła na przykład, gdybyś była zdana na własne siły na jakiejś wyspie bez jedzenia i picia? Przybierałabyś leniwe pozy i uroczo wzdychała czy walczyłabyś? Naprawdę obwiniasz mnie o to, że pragnę czegoś tak zwyczajnego jak ocalenie?

– Tak! – prychnęła.

– Przemawia przez ciebie zaciętrzewienie... ale może zmienisz zdanie. Bo widzisz, cena zaciętrzewienia może być nadspodziewanie wysoka. Gdy przeciwnik jest przebiegły i pełen poświęcenia, cena może być niebotyczna. Może się okazać, że odniesiesz się do naszej

współpracy z entuzjazmem, który teraz uznalabyś za wykluczony.

– Śnij dalej, skurwysynu!

Prawa strona jego ust uniosła się, wiecznie uśmiechnięta lewa powędrowała trochę wyżej i Stark uraczył ją upiornym uśmiechem, który zapewne miał być ujmujący. Jego dłoń, obrzydliwie lodowata pod cienką rękawiczką, prześliznęła się pieszczotliwie po ramieniu Liz. Nacisnął sugestywnie palcem jej lewą dłoń i po chwili opuścił rękę.

– Zapewniam cię, Beth, że to nie sen. Ja i Thad mamy zamiar wspólnie pracować nad nową powieścią... przez jakiś czas. Innymi słowy, Thad mnie popchnie, bo jestem jak samochód, w którym zgasł silnik. Tyle że zamiast z zatkanym gaźnikiem mam problem z zanikiem inwencji twórczej. To wszystko. Sądzę, że to jedyny kłopot. Gdy tylko ruszę z miejsca, wrzucę dwójkę, puszcze sprzęgło i brum! Pojadę!

– Jesteś szalony – szepnęła Liz.

– Mowa! Ale Tolstoj też był szalony. Richard Nixon również, a wybrali tego wstrętnego psa na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Stark odwrócił nagle głowę i spojrzał przez okno. Liz nic nie słyszała, lecz on nasłuchiwał w całkowitym skupieniu, usiłując wyłować jakiś słaby, niemal niesłyszalny dźwięk.

– Co ty...? – zaczęła Liz.

– Ucisz się na chwilę, kotku. Po prostu się przymknij.

Liz wychwyciła słaby odgłos zrywającego się do lotu stada ptaków. Dźwięk ten był niesamowicie odległy i niesamowicie piękny. Przywodził na myśl pełną swobodę.

Stała tam z bijącym zbyt szybko sercem, patrząc na Starka i zastanawiając się, czy mogłaby się od niego uwolnić. Nie był

w transie ani niczym takim, ale teraz z pewnością nie zwracał na nią uwagi. Chyba mogłaby uciec. Gdyby zdołała zdobyć broń...

Gnijąca dłoń Starka znowu niepostrzeżenie znalazła się na jej nadgarstku.

– Potrafię wejść do wnętrza twojego męża i wyrzeć stamtąd. Czuję, jak myśli. Nie umiem tego uczynić z tobą, ale mogę spojrzeć ci w twarz i spróbować trafnie odgadnąć twoje myśli. Cokolwiek zamysłasz w tej chwili, Beth, powinnaś pamiętać o tych glinach... i o swoich dzieciach. Zachowasz dzięki temu należyty dystans.

– Czemu stale mnie tak nazywasz?

– Jak? Beth? – Stark się roześmiał. Zabrzmiało to paskudnie, jakby zwir uwiązał mu w krtani. – Tak właśnie on by cię nazywał, gdyby był na tyle bystry, żeby o tym pomyśleć.

– Jesteś sza...

– Szalony, wiem. To urocze, kochanie, ale będziemy musieli odłożyć dyskusję o twojej opinii na temat mojego zdrowia psychicznego na później. Zbyt dużo się teraz dzieje. Posłuchaj: muszę zadzwonić do Thada, ale nie do jego gabinetu. Jego służbowy telefon może być na podsłuchu. On tak nie uważa, lecz gliny mogły to zrobić bez jego wiedzy. Twój mąż to ufny gość. Ja nie.

– Jak możesz...?

Stark pochylił się ku niej i rzekł bardzo powoli i wyraźnie, niczym nauczyciel zwracający się do mało pojętnego pierwszoklasisty:

– Powinnaś przestać się ze mną o to spierać i odpowiedzieć na moje pytania. Bo jeżeli nie zdołam wydobyć tego, co chcę, od ciebie, może uda mi się to wydostać z waszych maleństw. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie potrafią mówić, ale może zdołam je nauczyć. Drobnny bodziec potrafi czynić cuda.

Mimo letniego skwaru Stark miał na sobie pikowaną kamizelkę w rodzaju tych z wieloma zapinanymi na zamek błyskawiczny kieszeniami, tak cenionych przez myśliwych i turystów. Pociągnął w dół zamek kieszeni, w której jakiś cylindryczny przedmiot wyrzucił poliestrową tkaninę, i wyciągnął mały palnik.

– Nawet jeżeli nie potrafię nauczyć ich mówić, założę się, że mógłbym nauczyć je śpiewać. Idę o zakład, że zaśpiewają jak para skowronków. Chyba nie będziesz chciała tego słuchać, Beth.

Starła się oderwać wzrok od palnika, ale nie była w stanie. Jej oczy podążały za nim bezradnie, gdy Stark przekładał go z jednej okrytej rękawiczką dłoni do drugiej. Ich spojrzenie wydawało się przykute do dyszy palnika.

– Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć – odparła i dodała w myślach: Na razie.

– To dobrze – stwierdził i schował palnik z powrotem do kieszeni. Gdy to robił, poła kamizelki odchyliła się nieco i Liz ujrzała pod nią kolbę bardzo dużego pistoletu. – I bardzo rozsądnie, Beth. A teraz posłuchaj. Dzisiaj na wydziale anglistyki jest ktoś jeszcze. Widzę go tak wyraźnie jak teraz ciebie. Niski i drobny, siwe włosy, w ustach trzyma fajkę niemal tak dużą jak on sam. Jak się nazywa?

– Ten opis przypomina Rawliego DeLessepsa – odparła ponuro.

Zastanawiała się, skąd Stark może wiedzieć o obecności Rawliego... i uznała, że tak naprawdę nie chce poznać odpowiedzi.

– Nikogo więcej?

Po chwili namysłu Liz pokręciła głową.

– To musi być Rawlie.

– Masz spis numerów na wydziale?

– Jest w szufladzie stolika na telefon w salonie.

– Dobrze. – Stark prześliznął się obok niej, niemal zanim uświadomiła sobie, że się poruszył. Nienaturalna kocia gracia tego zaropiałego, gnijącego kawałka mięsa przyprawiła ją o lekkie mdłości. Potem oderwał jeden z długich noży z magnetyzowanych szyn. Liz zeszywniała. Zerknął na nią i z jego ust znowu wydobył się taki odgłos, jakby żwir uwiązł mu w krtani. – Nie bój się, nie zamierzam cię okaleczyć. Jesteś moją małą pomocnicą, prawda? Chodź.

Dłoń Starka, mocna, lecz nieprzyjemnie gąbczasta, zamknęła się na jej nadgarstku. Gdy Liz próbowała się wyrwać, jedynie zwiększył ucisk. Natychmiast przestała się szarpać i pozwoliła, by ją prowadził.

– Tak lepiej – rzekł.

Zabrał ją do salonu, gdzie usiadła na kanapie i objęła rękami kolana. Stark zerknął na nią, pokiwał głową, po czym zwrócił uwagę na telefon. Gdy stwierdził, że nie ma przewodu alarmowego – co świadczyło po prostu o policyjnym niedbalstwie – przeciął przewody podłączone przez elektromonterów: jeden biegnący do gadżetu namierzającego i drugi, który prowadził do uruchamianego głosem magnetofonu w piwnicy.

– Wiesz, jak się zachowywać, i to jest bardzo ważne – powiedział do siedzącej z pochyloną głową Liz. – A teraz posłuchaj. Mam zamiar znaleźć numer do tego DeLessepsa i odbyć krótką naradę z Thadem. A ty w tym czasie pójdziesz na górę i spakujesz wszystkie łachy oraz inne rzeczy, które będą potrzebne dzieciom w waszym letnim domu. Gdy skończysz, zbudź je i przynieś tutaj.

– Skąd wiedziałeś, że one...?

Stark uśmiechnął się lekko na widok jej zdziwionej miny i odparł:

– Och, znam wasz harmonogram. Może nawet lepiej niż wy sami. Wyciągnij je z łóżek, przyszykuj, znieś na dół. Znam ten dom równie

dobrze jak rozkład waszych zajęć i jeśli spróbujesz ode mnie uciec, kochanie, będę o tym wiedział. Nie musisz ich ubierać, po prostu spakuj co trzeba i przynieś je w śpioszkach. Ubierzesz je później, gdy wyruszymy w naszą radosną podróż.

– Do Castle Rock? Chcesz jechać do Castle Rock?

– Uhm. Ale nie musisz teraz zaprzętać sobie tym głowy. Teraz masz myśleć wyłącznie o tym, że jeżeli zabawisz tam dłużej niż dziesięć minut, będę musiał pójść na górę i sprawdzić, co cię zatrzymało. – Spojrzał na nią spokojnie. Ciemne okulary wyglądały pod obłazającym ze skóry i ociekającym ropą czołem niczym oczodoły w czaszce. – I zjawię się tam z zapalonym palniczką gotowy do działania. Rozumiesz?

– Ja... tak.

– Przede wszystkim jednak, Beth, musisz pamiętać o jednym. Jeżeli będziesz ze mną współpracować, nic ci się nie stanie. Ani twoim dzieciom. – Znowu się uśmiechnął. – Podejrzewam, że dla tak troskliwej matki jak ty to najważniejsze. Chcę tylko, byś wiedziała, że nie należy próbować mnie przechytrzyć. Ci dwaj policjanci leżą z tyłu swojego radiowozu i wabią muchy, bo tak się pechowo dla nich złożyło, że trafili pod koła mojego ekspresu. W Nowym Jorku została banda martwych gliniarzy, którzy... jak dobrze wiesz... mieli pecha podobnego rodzaju. Sobie, swoim dzieciom... oraz Thadowi, bo jeżeli zrobi to, czego chcę, nic mu się nie stanie... najlepiej pomożesz wtedy, gdy nie będziesz mędrkować. Rozumiesz?

– Tak – potwierdziła ochryłym głosem.

– Może wpadniesz na jakiś pomysł. Wiem, że to się może zdarzyć, gdy człowiek czuje się przyparty do muru. Ale jeżeli naprawdę tak będzie, powinnaś od razu go poniechać. Musisz pamiętać, że choć nie

wyglądam na okaz zdrowia, mam świetny słuch. Jeżeli spróbujesz usunąć siatkę w oknie, usłyszę to. Bethie, jestem człowiekiem, który słyszy śpiew aniołów w niebie i krzyk diabłów w najgłębszych czeluściach piekła. Musisz zadać sobie pytanie, czy ośmielisz się zaryzykować. Jesteś inteligentną kobietą i myślę, że podejmiesz właściwą decyzję. Ruszaj, dziewczyno. Idź już.

Patrzył na swój zegarek, rzeczywiście mierząc jej czas. I Liz ruszyła ku schodom na zdrętwiałych nogach.

6

Usłyszała, jak krótko rozmawia przez telefon na parterze.

Nastąpiła długa przerwa, po czym znowu zaczął mówić. Głos mu się zmienił. Nie wiedziała, do kogo zwracał się przed przerwą – może do Rawliego DeLessepsa – ale gdy znowu się odezwał, była prawie pewna, że jego rozmówcą jest Thad. Nie rozumiała poszczególnych słów i nie ośmieliła się podejść do drugiego aparatu, ale i tak miała pewność, że to Thad. Zresztą nie było czasu na podsłuchiwanie. Stark poprosił, żeby się zastanowiła, czy odważy się mu sprzeciwić. Nie zaryzykowała.

Wrzuciła pieluchy do worka, ubrania do walizki. Kremy, puder, chusteczki pielęgnacyjne, agraiki do pieluch oraz inne drobiazgi zgarnęła do torebki.

Rozmowa na parterze dobiegła końca. Liz szła do dzieci gotowa je zbudzić, gdy Stark zawołał:

– Beth! Już czas!

– Schodzę!

Podniosła Wendy, która zaczęła płakać przez sen.

– Jesteś mi tu potrzebna... czekam na telefon, a ty masz tworzyć tło

dźwiękowe.

Ale Liz ledwie słyszała ostatnie słowa. Utkwiła oczy w plastikowym pudełku na agrafki do zapinania pieluch stojącym na dziecięcej komodzie.

Obok pudełka leżały błyszczące nożyczki krawieckie.

Włożyła Wendy z powrotem do łóżeczka, rzuciła okiem na drzwi, po czym podeszła pospiesznie do komody. Wzięła nożyczki i dwie agrafki. Wetknęła je do ust jak kobieta szyjąca sukienkę i rozpięła zamek spódnicy. Przypięła nożyczki do wewnętrznej strony majtek i zasunęła zamek. W miejscu, gdzie znajdowała się rączka nożyczek i zaczepy agrafek, powstało niewielkie wybrzuszenie. Zwyczajny człowiek by tego nie zauważył, ale George Star nie był zwyczajnym człowiekiem. Nie schowała bluzki do środka. Tak było lepiej.

– Beth!

W głosie Starka pobrzmiwały pierwsze nuty złości. Co gorsza, dobiegał z połowy schodów, a Liz nawet nie słyszała jego kroków, chociaż jej zdaniem w tym starym domu nie dało się iść po głównych schodach zupełnie bezgłośnie.

I w tym momencie zadzwonił telefon.

– Sprowadź je tu natychmiast! – wrzasnął Stark i Liz pobiegła obudzić Williama. Nie miała czasu na delikatność, więc gdy szła po schodach, w każdej ręce trzymała krzyczące wniebogłosy dziecko.

Stark rozmawiał przez telefon i Liz obawiała się, że ten zgiełk jeszcze bardziej go rozwścieczy. On zaś przeciwnie, wyglądał na bardzo zadowolonego... i wtedy zdała sobie sprawę, że jeżeli rozmawia z Thadem, to rzeczywiście powinien być zadowolony. Chyba nawet nagranie z własnymi efektami dźwiękowymi nie mogłoby zrobić mocniejszego wrażenia.

Ostateczny argument, pomyślała i poczuła przypływ gwałtownej nienawiści do tej gnijącej kreatury, która nie powinna istnieć, ale nie chciała zniknąć z powierzchni ziemi.

Stark trzymał w ręce ołówek, stukając delikatnie gumką w krawędź stolika, na którym stał aparat. Liz z lekkim szokiem rozpoznała w nim markę Berol Black Beauty. Jeden z ołówków Thada, pomyślała. Czyżby poszedł do gabinetu?

Nie – oczywiście, że tam nie poszedł, nie był to też jeden z ołówków Thada. Tak naprawdę nigdy nie były jego ołówkami – po prostu kupował je czasem. Należały do Starka, który zanotował coś dużymi literami na odwrocie wydziałowego spisu numerów. Gdy Liz zbliżyła się do niego, zdołała odczytać dwa zdania. ZGADNIJ, SKĄD TELEFONOWAŁEM? – brzmiało pierwsze z nich. Drugie było brutalnie bezpośrednie: POWIEDZ KOMUŚ O TYM, A ONE UMRA.

Jakby na potwierdzenie tych słów Stark rzekł:

– Nic, jak sam słyszysz. Z ich ślicznych główek nie spadł ani jeden włos.

Odwrócił się do Liz i mrugnął do niej. Było to wyjątkowo odrażające – jakby oboje brali w tym udział. W palcach lewej ręki obracał okulary przeciwsłoneczne. Gałki jego oczu jaśniały na twarzy niczym szklane kulki osadzone w głowie roztapiającej się figury woskowej.

– Na razie – dodał.

Słuchał, po czym uśmiechnął się szeroko. Nawet gdyby jego twarz nie rozpadała się niemal na jej oczach, ten uśmiech sprawiałby wrażenie przekornego i złośliwego.

– Co Liz? – zapytał głosem, który brzmiał niemal śpiewnie, i właśnie wtedy gniew Liz wziął górę nad strachem i pomyślała po raz

pierwszy o ciotce Marcie i szczurach. Żałowała, że nie ma jej tu teraz, by mogła się zająć tym szczególnym gryzoniem. Miała nożyczki, lecz to jeszcze nie znaczyło, że Stark da jej szansę ich użycia. Ale Thad... Thad wiedział o ciotce Marcie. I wówczas wpadł jej do głowy ten pomysł.

7

Gdy rozmowa dobiegła końca i Stark się rozłączył, Liz zapytała, co zamierza zrobić.

– Szybko się przemieszczać – odparł. – To moja specjalność. – Wyciągnął rękę. – Daj mi jedno z dzieci. Nieważne które.

Liz cofnęła się przed nim, odruchowo tuląc oba niemowlęta do piersi. Wcześniej uspokoiły się, ale w gwałtownym matczynym uścisku znowu zaczęły się wiercić i kwilić.

Stark patrzył na nią cierpliwie.

– Nie mam czasu na sprzeczki, Beth. Nie zmuszaj mnie, żebym cię tym przekonał. – Poklepał się po cylindrycznym wybrzuszeniu w kieszeni kamizelki łowieckiej. – Nie mam zamiaru krzywdzić twoich dzieci. W pewnym zabawnym sensie też jestem ich tatusiem.

– Nie waż się tak mówić! – wrzasnęła, jeszcze bardziej odsuwając się od niego. Drżała gotowa się rzucić do ucieczki.

– Opanuj się, kobieto.

Słowa te były beznamienne, monotonne i zabójczo lodowate. Sprawily, że czuła się tak, jakby ktoś chlusnął jej w twarz zimną wodą.

– Ocknij się, kochanie. Muszę wyjść na zewnątrz i wprowadzić radiowóz do waszego garażu. Nie mogę pozwolić, byś w tym czasie rzuciła się do ucieczki. Jeżeli będę trzymał jedno z twoich dzieci...

jako zastaw, że tak powiem... nie będę musiał się tego obawiać. W tym, co mówię o znoszeniu ich i ciebie, nie ma złej woli... a nawet gdyby była, co dobrego dałoby mi skrzywdzenie jednego z twoich maleństw? Potrzebuję twojej współpracy, a w ten sposób jej nie uzyskam. A teraz daj mi jedno z nich, bo inaczej zrobię krzywdę obojgu... nie zabiję, lecz skrzywdzę, naprawdę skrzywdzę... i to ty będziesz temu winna.

Stark wyciągnął rękę. Jego surowa twarz przybrała wyraz kamiennej powagi. Patrząc na nią, Liz zrozumiała, że nie przekona go żaden argument i nie wzruszy żadne błaganie. Nie słuchałby nawet. Po prostu spełniłby swoją groźbę.

Podeszła bliżej, ale gdy Stark próbował wziąć Wendy, ręka Liz znowu się zacisnęła, udaremniając na chwilę jego zamiar. Wendy zaczęła mocniej szlochać. Liz rozluźniła się, puszczając dziewczynkę, i sama znowu się rozplakała.

– Jeżeli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię – ostrzegła, patrząc mu w oczy.

– Wiem, że byś spróbowała – odparł ponuro Stark. – Mam wielki szacunek dla macierzyństwa. Myślisz, że jestem potworem, i pewnie masz rację. Ale prawdziwe potwory zawsze mają jakieś uczucia. Sądzę, że w sumie to właśnie, a nie ich wygląd, czyni je tak przerażającymi. Nie zamierzam krzywdzić tej małej, Beth. Przy mnie jest bezpieczna... o ile będziesz współpracowała.

Liz trzymała teraz Williama w obu ramionach... i krąg, który utworzyły, jeszcze nigdy nie wydawał się jej taki pusty. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak przekonana, że popełniła błąd. Cóż innego miała jednak zrobić?

– Poza tym... spójrz! – krzyknął Stark i w jego głosie było coś,

czemu nie mogła i nie chciała dać wiary. Czułość, którą w nim słyszała, musiała być fałszywa, stanowiła tylko kolejny przejaw jego potwornej przekory. Stark jednak spoglądał na

Wendy z niepokojąco głęboką uwagą... a dziewczynka patrzyła na niego jak urzeczona, nie roniąc już łez. – Ta mała nie wie, jak paskudnie wyglądam. Nie boi się mnie ani trochę. Ani trochę.

Liz obserwowała z niemym przerażeniem, jak podniósł prawą rękę. Wcześniej ściągnął rękawiczki i widać było na niej gruby bandaż – dokładnie w miejscu, w którym Thad nosił bandaż na grzbiecie lewej dłoni. Stark rozprostował dłoń, zacisnął ją w pięść i znowu rozprostował. Jego ściśnięte szczęki wyraźnie wskazywały, że zginanie dłoni sprawia mu ból, ale i tak ją zginał.

Thad też tak robi, dokładnie w ten sam sposób, o Boże, on to robi dokładnie w taki sam sposób...

Wyglądało na to, że Wendy jest zupełnie spokojna. Uniosła wzrok na twarz Starka, przyglądając mu się bacznie, utkwivszy jasnoszare oczka w jego mętnoniebieskich oczach, które sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili miały wypaść z oczodołów i zawisnąć na pozbawionych skóry policzkach.

Dziewczynka pomachała mu w odpowiedzi.

Dłoń otwarta; dłoń zamknięta; dłoń otwarta.

Machnięcie Wendy.

Liz poczuła poruszenie w swoich ramionach, spojrzała w dół i spostrzegła, że William patrzy na George'a Starka takim samym urzeczonym błękitnoszarym spojrzeniem. Uśmiechał się do niego.

Dłoń Williama otworzyła się, zamknęła i otworzyła.

Machnięcie Williama.

– Nie – jęknęła tak cicho, że niemal niesłyszalnie. – Boże, nie,

blagam, nie pozwól, by to się działo.

– Widzisz? – zapytał Stark, patrząc na żonę Thada. Szczyrzył do niej zęby w sardonicznym uśmiechu, a najpotworniejsze było to, że Liz rozumiała, iż stara się być delikatny... i nie potrafi. – Widzisz? One mnie lubią, Beth. One mnie lubią.

8

Założywszy z powrotem ciemne okulary, Stark wyniósł Wendy na podjazd. Liz podbiegła do okna i patrzyła za nimi z niepokojem. Chwilami była pewna, że kierowca ma zamiar wskoczyć do radiowozu i odjechać z jej dzieckiem na fotelu obok i dwoma martwymi policjantami z tyłu.

Ale przez moment Stark po prostu stał beczynnym w mglistym świetle słońca przy drzwiach kierowcy z pochyloną głową i dzieckiem w ramionach. Pozostał w tej nieruchomej pozycji przez pewien czas, jakby rozmawiał z Wendy. A może się modlił? Później, gdy Liz była już lepiej zorientowana, uznała, że próbował znowu skontaktować się z Thadem, chyba po to, by czytać w jego myślach i odgadnąć, czy zamierza spełnić oczekiwania Starka, czy też ma własne plany.

Po jakichś trzydziestu sekundach Stark uniósł głowę, potrząsnął nią energicznie, jakby chciał oprzytomnieć, po czym wszedł do radiowozu i uruchomił silnik. Kluczyki były w stacyjce, pomyślała z przygnębieniem Liz. Nie musiał nawet zwierać kabli czy co tam się robi w takich sytuacjach. Ten człowiek ma diabelne szczęście.

Wjechał do garażu i wyłączył silnik. Potem Liz usłyszała trzask drzwi auta i Stark wyszedł, przystając na wystarczająco długą chwilę, by wcisnąć guzik, który sprawił, że brama z łoskotem zjechała w dół po prowadnicach.

Kilka sekund później znowu był w domu.

– Widzisz? – rzekł, wręczając jej małą. – Jest cała i zdrowa.

Opowiedz mi teraz o ludziach z sąsiedniego domu.

O Clarkach.

– O Clarkach? – zapytała, czując się niezwykle głupio.

– Czemu chcesz coś o nich wiedzieć? Tego lata są w Europie.

Uśmiechnął się. W pewnym sensie była to najbardziej odrażająca dotąd rzecz, bo w normalniejszych okolicznościach byłby to uśmiech autentycznego zadowolenia... i to dość ujmujący, jak podejrzewała. Czyż nie wzbudził w niej chwilowego pociągu do siebie? Było to oczywiście obłąkańcze, ale czy znaczyło, że mogła temu zaprzeczyć? Chyba nie i nawet rozumiała, dlaczego tak może być. Ostatecznie poślubiła najbliższego krewnego tego mężczyzny.

– Wspaniale! – rzekł. – Lepiej być nie mogło! A mają samochód?

Wendy zaczęła płakać. Liz spuściła wzrok i zauważyła, że jej córka patrzy na człowieka ze zgniłą twarzą i wybałuszonymi szklanymi oczami, wyciągając ku niemu swe drobne i pulchniutkie rączki. Nie płakała ze strachu przed nim, ale dlatego, że chciała trafić z powrotem na jego ręce.

– Czyż to nie urocze!? – rzekł Stark. – Ona chce wrócić do tatusia.

– Zamknij się, potworze – prychnęła Liz.

Szczwany George Stark odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

9

Dał jej pięć minut na spakowanie kilku dodatkowych rzeczy dla siebie i bliźniąt. Liz zastrzegła, że w tym czasie nie sposób zebrać nawet połowy tego, czego im potrzeba, a on kazał jej zrobić, co może.

– Masz szczęście, że w ogóle daję ci więcej czasu w tych okolicznościach... w waszym garażu są dwaj martwi gliniarze, a twój mąż wie, co się dzieje. Jeśli chcesz strawić pięć minut na dyskusję ze mną, to twój wybór. Zostały ci już... – Zerknął na zegarek, po czym uśmiechnął się do niej. – Cztery i pół.

Zrobiła więc, co mogła, przystając raz podczas pakowania słoików z odżywkami dla niemowląt do torby na zakupy, żeby spojrzeć na swoje dzieci. Siedziały obok siebie na podłodze, klaszcząc w dłonie w takt wyimaginowanej rymowanki i patrząc na Starka. Liz miała okropną świadomość, że wie, o czym myślą.

„Czyż to nie urocze?!”.

Nie. Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała, ale mogła myśleć tylko o jednym: o Wendy wyciągającej z płaczem swoje pulchne rączki. Wyciągającej je do krwiożerczego nieznajomego.

„Chce wrócić do tatusia”.

Stark stał w drzwiach kuchni, obserwując ją z uśmiechem; Liz miała ochotę natychmiast użyć nożyczek. Nigdy w życiu nie pragnęła niczego tak głęboko.

– Może tak byś mi pomógł?! – krzyknęła do niego gniewnie, wskazując ręką na dwie torby i lodówkę turystyczną, którą wypełniła.

– Oczywiście, Beth – odparł i wziął lodówkę. Drugą, lewą rękę nadal miał wolną.

10

Przeszli przez podwórko z boku domu i wąski pas zieleni między nieruchomościami, po czym dotarli na podjazd przed domem Clarków. Stark nalegał, by się pospieszyła, i gdy zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami garażu, dyszała. zaproponował, że weźmie

jedno z bliźniąt, ale Liz odmówiła.

Odstawił lodówkę, wyjął z tylnej kieszeni portfel i wyciągnął z niego wąski pasek metalu, który zwężał się ku końcowi. Wsunął go do zamka drzwi garażowych. Obrócił w prawo, a potem w lewo, nasłuchując. Rozległ się trzask i wtedy się uśmiechnął.

– Dobrze – rzekł. – Nawet idiotyczne zamki w drzwiach garażu mogą być cholernie upierdliwe. Mają duże sprężyny i trudno je podważyć. Ten jest jednak sfatygowany jak cipa starej dziwki o świcie. Na szczęście dla nas. – Obrócił klamkę i szarpnął. Drzwi z łoskotem uniosły się na prowadnicach.

W garażu było gorąco jak w stercie siana w stodole, a wewnątrz volva kombi Clarków jeszcze goręcej. Stark schylił się pod deskę rozdzielczą, odsłaniając kark. Siedząca obok Liz poczuła drżenie w palcach. Wyrwanie nożyczek spod bielizny trwałoby tylko sekundę.

Wygarnął wiązkę przewodów spod deski, po czym wyjął z przedniej kieszeni zakrwawioną brzytwę. Liz zadrżała lekko, musiała dwa razy szybko przełknąć ślinę, żeby powstrzymać odruch wymiotny. Stark rozłożył brzytwę, znowu się pochylił, zdarł izolację z dwóch przewodów i zetknął dwa nagie miedziane rdzenie. Pojawiła się błękitna iskra, po czym rozrusznik zaczął się kręcić. Chwilę później silnik samochodu już pracował.

– Dobra nasza! – krzyknął triumfalnie Stark. – Ruszamy w drogę, co wy na to?

Bliźnięta zachichotały i pomachały do niego rączkami. Stark radośnie odpowiedział im tym samym. Gdy wyjeżdżał tyłem z garażu, Liz sięgnęła ukradkiem za plecy córki, którą usadziła sobie na kolanach, i dotknęła uchwytów na palce w ukrytych pod spódnicą nożyczkach. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce. Nie miała zamiaru

czekać na Thada. Za bardzo się niepokoiła, co ten ponury stwór mógłby w tym czasie zrobić bliźniętom.

Albo jej.

Zamierzała wydobyć ukryte nożyczki i zatopić je w jego szyi, gdy tylko będzie dostatecznie zdekongrowany.

CZĘŚĆ TRZECIA

PRZYBYCIE PRZEWODNIKÓW DUSZ

– Poeci mówią o miłości – rzekł Machine, przesuając ostrzem brzytwy po pasku w jednostajnym, hipnotycznym rytmie – i nie ma w tym nic złego. Miłość istnieje. Politycy mówią o służbie. W tym także nie ma nic złego. Służba istnieje. Eric Hoffer mówi o postmodernizmie, Hugh Hefner o seksie, Hunter Thompson o narkotykach, a Jimmy Swaggart o Bogu Ojcu Wszchemogącym, stwórcy nieba i ziemi. Wszystko to istnieje i nie ma w tym nic złego. Wiesz, co mam na myśli?

– Taak, chyba tak – odparł Jack Rangely. W rzeczywistości nie wiedział, nie miał bladego pojęcia, lecz gdy Machine był w takim nastroju, tylko szalenieć by się z nim spierał.

Machine obrócił ostrze brzytwy i nagle przeciął pasek na dwoje. Dłuższy kawałek upadł na posadzkę hali niczym obcięty język.

– Ale ja mówię o przeznaczeniu – rzekł. – Bo w ostatecznym rozrachunku liczy się tylko przeznaczenie.

George Stark, *Podróż do Babilonu*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

UCIECZKA THADA

1

Zachowuj się tak, jakby to była książka, którą piszesz, pomyślał, gdy skręcał w lewo w College Avenue, zostawiając campus za sobą. I udawaj, że jesteś postacią z tej książki.

Była to magiczna myśl. W jego umyśle szerzyła się dotąd gwałtowna panika – rodzaj mentalnego tornado, w którym fragmenty ewentualnego planu wirowały niczym wyrwane z korzeniami kawałki krajobrazu. Ale na myśl, że mógłby się zachowywać tak, jakby to wszystko było nieszkodliwą fikcją, jakby mógł przestawiać nie tylko siebie, ale i inne postaci w tej opowieści (na przykład Harrisona i Manchestera) tak, jak to czynił na papierze w bezpiecznym gabinecie z jasnymi lampami nad głową i puszką zimnej pepsi albo filiżanką gorącej herbaty pod ręką... na tę myśl poczuł, jakby wichur wyjący w jego głowie nagle ucichł. Wraz z nim zniknęły nieistotne bzdury, pozostawiając mu rozłożone wokół kawałki jego planu... kawałki, które – jak sobie uświadomił – dość łatwo dało się poskładać. Odkrył, że ma coś, co może się nawet sprawdzić.

I lepiej niech się sprawdzi, pomyślał Thad. Bo jeśli nie, ty wylądujesz w areszcie prewencyjnym, a Liz i dzieci najprawdopodobniej na cmentarzu.

Ale co z wróblami? Gdzie było ich miejsce w tej układance?

Nie wiedział. Rawlie wyjaśnił, że to *psychopompos*, zwiastuny żywych trupów, i to się zgadzało, nieprawdaż? Owszem, w każdym razie do pewnego stopnia. Ponieważ przebiegły stary George znowu żył, a zarazem był martwy... był martwy i gnił. Tak więc wróble pasowały... ale nie do końca. Jeżeli to one sprowadziły go z powrotem z

(krainy umarłych)

miejsca, w którym przebywał, dlaczego sam George nic o nich nie wiedział? Dlaczego nie pamiętał, że napisał WRÓBLE ZNOWU FRUWAJĄ krwią na ścianach dwóch mieszkań?

– Dlatego że ja to napisałem – mruknął Thad i wrócił myślami do tego, co zanotował w swoim dzienniku, gdy siedział w gabinecie, balansując na krawędzi transu.

Pytanie: Czy te ptaki są moje?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Kto o nich napisał?

Odpowiedź: Ten, który wie... Ja nim jestem. Są moją własnością.

Nagle wszystkie odpowiedzi – straszne, niewyobrażalne odpowiedzi – zamajaczyły niemal o krok od niego. Thad usłyszał przeciągły, wibrujący dźwięk, pomruk wydobywający się z jego ust.

Pytanie: Kto przywrócił George'a Starka do życia?

Odpowiedź: Ich właściciel. Ten, który wie.

– Nie chciałem! – zawołał.

Ale czy naprawdę tak właśnie było? Czyż od początku nie był chwilami wielbicielem nieskomplikowanej i gwałtownej natury George'a Starka? Czyż od początku nie podziwiał chwilami George'a,

mężczyzny, który nie potykał się o rzeczy ani nie wpadał na nie, mężczyzny, który nigdy nie wyglądał na słabeusza ani głupca i nigdy nie musiał się lękać demonów zamkniętych w barku z alkoholem? Mężczyzny, który nie musiał się liczyć z żoną i z dziećmi, którego nie krępowały i nie powstrzymywały żadne więzy miłosne? Mężczyzny, który nigdy nie musiał brnąć przez lekturę gównianych studenckich esejów ani zadręczać się zebraniem komisji budżetowej? Mężczyzny, który miał zdecydowaną, prostą odpowiedź na wszystkie trudniejsze pytania stawiane przez życie?

Mężczyzny, który nie lękał się ciemności, ponieważ ciemności były jego domeną?

– Tak, ale to drań! – wrzasnął Thad w gorącym wnętrzu swego praktycznego, wyprodukowanego w Ameryce samochodu z napędem na cztery koła.

Zgadza się – i chwilami jest to dla ciebie bardzo pociągające, czyż nie?

Być może tak naprawdę on, Thad Beaumont, nie stworzył George’a... ale niewykluczone, że swą tęsknotą pozwolił na jego wskrzeszenie.

Pytanie: Skoro wróble są moją własnością, czy mogę się nimi posłużyć?

Nie padła żadna odpowiedź. Pragnęła paść; Thad to czuł. Ale tańczyła tuż poza jego zasięgiem i nagle ogarnęła go obawa, że sam – jakaś uwielbiająca Starka część jego osobowości – może ją powstrzymać. Jakaś część, która nie chciała śmierci George’a.

Jestem tym, który wie. Jestem ich właścicielem. To ja je sprowadziłem.

Zatrzymał się na światłach w Orono, po czym ruszył drogą numer 2

w stronę Bangor i Ludlow.

Rawlie stanowił część jego planu – tę część, którą przynajmniej rozumiał. Co zrobi, jeżeli rzeczywiście zdoła zgubić jadących za nim policjantów i okaże się, że Rawlie już wyszedł ze swojego gabinetu?

Nie wiedział.

A co zrobi, jeżeli go zastanie, ale Rawlie nie zechce mu pomóc?

Tego też nie wiedział.

Spalę za sobą te mosty, gdy do nich dotrę i jeżeli dotrę.

A niebawem miał do nich dotrzeć.

Mijał teraz znajdującą się po prawej stronie siedzibę firmy Gold's, długi, skonstruowany z aluminiowych prefabrykatów budynek w kształcie rury. Pomalowany na kolor akwamaryny w szczególnie odrażającym odcieniu stał w otoczeniu tysięcy samochodów porzuconych na terenie o powierzchni kilkunastu hektarów. Ich przednie szyby lśniły w mglistym słońcu plejadą białych gwiazd. Było sobotnie popołudnie – niemal od dwudziestu minut. Liz i jej ponury porywacz zmierzali już pewnie do Castle Rock. Chociaż w budynku, gdzie firma Gold's prowadziła sprzedaż detaliczną dla weekendowych mechaników, było zapewne paru sprzedawców, Thad mógł liczyć na to, że sam szrot będzie pozostawiony bez nadzoru. Wśród prawie dwudziestu tysięcy aut w różnych stadiach rozpadu, ustawionych z grubsza w dziesiątki zygzakowatych rzędów, powinien jakoś ukryć swojego suburba... i musiał to zrobić. Wysoki, kanciasty, szary z jasnoczerwonymi bokami za bardzo rzucał się w oczy.

ZWOLNIJ, SZKOŁA – głosił zbliżający się znak. Thad poczuł w żołądku falę gorąca. Na to czekał.

Zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że od plymoutha nadal oddzielały go dwa inne samochody. Nie był to dystans, o jakim

mógłby marzyć, ale nie zanosiło się na poprawę sytuacji. Jeśli chodzi o resztę, musi się zdać na szczęście i efekt zaskoczenia. Oni nie spodziewali się, że podejmie próbę ucieczki; po cóż miałyby to robić? I przez moment zamierzał zrezygnować. Przypuśćmy, że zamiast uciec, po prostu zatrzyma się na poboczu? A gdy staną za nim i Harrison wysiądzie, żeby zapytać, co się stało, odpowie: „Mnóstwo rzeczy. Stark dopadł moją rodzinę. Wróble nadal fruwią”.

„Thad, on twierdzi, że zabił tych dwóch, którzy pilnowali domu. Nie wiem, jak to zrobił, ale tak twierdzi... a ja... mu wierzę”.

Thad też mu wierzył. Na tym polegała cała draka. I właśnie dlatego nie mógł po prostu się zatrzymać i poprosić o pomoc. Gdyby spróbował wykręcić jakiś numer, Stark by się dowiedział. Thad nie sądził, by Stark mógł czytać w jego myślach, a przynajmniej nie tak, jak obcy odczytywali myśli w komiksach oraz filmach science fiction, ale potrafił się „dostrajać” do Thada... potrafił zyskać dokładne wyobrażenie o jego zamiarach. Chyba mógłby przygotować George’owi drobną niespodziankę – jeśli uda mu się rozwikłać zagadkę tych cholernych ptaków – na razie jednak zamierzał rozegrać to według scenariusza.

O ile będzie miał taką możliwość.

Oto skrzyżowanie przed szkołą i nakaz zatrzymania się przy dojeździe z każdego kierunku. Jak zawsze panował na nim zdecydowanie zbyt duży ruch; od lat dochodziło tu do stłuczek, przeważnie spowodowanych przez ludzi, którzy po prostu nie mogli pojąć idei takiego nakazu i zamiast czekać na swoją kolej, zajeżdżali innym drogę. Po każdym wypadku przychodziła seria listów, w większości autorstwa zaniepokojonych rodziców, z żądaniem, by miasto postawiło tam sygnalizację świetlną, a potem radni Veazie

wydawali oświadczenie, że wniosek w tej sprawie „jest rozpatrywany”... po czym sprawa po prostu przysychała do czasu kolejnej stłuczki.

Thad dołączył do kolejki samochodów oczekujących na możliwość przebiccia się na południe, upewnił się, czy od brązowego plymoutha nadal dzieli go dwa auta, a potem obserwował akcję wzajemnego wymuszania pierwszeństwa przejazdu na skrzyżowaniu. Widział, jak samochód pełen siwowłosych pań omal nie zderzył się z młodą parą w datsunie Z, zobaczył, jak dziewczyna kierowcy datsuna pokazuje im palec w obscenicznym geście, i spostrzegł, że sam przejedzie skrzyżowanie z północy na południe tuż przed cysterną Grant's Dairy przecinającą je ze wschodu na zachód. To zaś stwarzało niespodziewaną szansę.

Stojące przed nim auto ruszyło i Thad był gotowy. Znowu poczuł w żołądku falę gorąca. Po raz ostatni spojrział w lusterko wsteczne. Harrison i Manchester utrzymywali dystans.

Dwa samochody przejechały przed nim we wzajemnie prostopadłych kierunkach. Znajdująca się po lewej stronie cysterna z mlekiem zajęła miejsce przed linią na jezdni. Thad wziął głęboki wdech i spokojnie pokonał skrzyżowanie. Jakiś pick-up jadący na północ w kierunku Orono minął go na drugim pasie jezdni.

Po przeciwnej stronie krzyżówki poczuł niemal nieodparte pragnienie – potrzebę – wciśnięcia pedału gazu do dechy i pomknięcia przed siebie. Zamiast to uczynić, toczył się dalej spokojnie z przepisową w strefie szkoły prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę i wzrokiem przyklejonym do lusterka wstecznego. Plymouth wciąż czekał na swoją kolej.

Hej, mleczarzu! – ponaglił, skupiając myśli, naprawdę wywierając

na niego presję, jakby mógł go skłonić do jazdy zwykłą siłą woli... tak jak sprawiał, że ludzie i rzeczy pojawiali się i znikali w powieści. Mleczarzu, ruszaj!

I ten rzeczywiście ruszył, tocząc swe srebrzyste cielsko przez skrzyżowanie z powolną godnością kilkusetkonnej matrony.

Kiedy cysterna przesłoniła ciemnobrązowego plymoutha w lusterku wstecznym, Thad naprawdę wcisnął pedał gazu do dechy.

2

Pół kwartału dalej był zakręt w prawo. Beaumont skręcił i z rykiem silnika pomknął krótką ulicą, modląc się, by żadne małe dziecko nie postanowiło w tej sekundzie wbiec na jezdnię za gumową piłką.

Przeżył paskudną chwilę, gdy wydawało się, że ta ulica jest ślepa, po czym dostrzegł, że jednak może skręcić ponownie w prawo – boczną ulicę częściowo przesłaniał wysoki żywopłot okalający narożny budynek.

Zignorował znak Stop przed skrzyżowaniem, po czym gwałtownie skręcił; opony wydały cichy pisk. Dwieście metrów dalej pokonał kolejny zakręt w prawo i popędził suburbanem do punktu przecięcia z drogą numer 2. Wrócił na główną drogę około pół kilometra na północ od skrzyżowania, na którym zgubił swój ogon. Jeżeli – na co liczył – cysterna z mlekiem zasłoniła go, gdy skręcał w prawo, brązowy plymouth nadal jechał dwójką na południe. Policjanci mogli nawet jeszcze nie wiedzieć, że coś jest nie w porządku... chociaż Thad bardzo wątpił, by Harrison był aż takim durniem. Może Manchester, ale nie on.

Skręcił szybko w lewo, wjeżdżając w lukę między samochodami tak wąską, że kierowca forda na sąsiednim pasie musiał gwałtownie

hamować. Pogroził pięścią Thadowi, gdy ten przejechał mu przed nosem i skierował się z powrotem ku cmentarzysku samochodów firmy Gold's, znowu wciskając gaz do dechy. Jeżeli jakiś podróżujący właśnie gliniarz zaobserwował, że nie tylko przekracza dozwoloną prędkość, ale też najwyraźniej próbuje pobić jakiś rekord, to fatalnie. Thad nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Musiał jak najszybciej ukryć ten pojazd, który był po prostu zbyt duży i zbyt jaskrawy.

Do szrotu został niespełna kilometr. Prawie cały ten dystans Thad pokonał ze wzrokiem utkwionym w lusterku wstecznym, wypatrując plymoutha. Gdy skręcał w lewo na teren szrotu, radiowozu nie było widać.

Powoli przejechał przez otwartą bramę w ogrodzeniu z drucianej siatki. Wyblakłe czerwone litery na brudnym białym tle głosiły: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU! W tygodniu zauważono by go i niemal natychmiast zawrócono. Była jednak sobota, a w dodatku zaczęła się pora lunchu.

Jechał między rzędami rozbitych samochodów ustawionych w podwójne, czasem nawet potrójne sterty. Te na spodzie straciły już swój pierwotny kształt i powoli jakby wtapiały się w grunt. Ziemia tak szerniała od oleju, że można by sądzić, iż nic tam nie urośnie, lecz wybijały zielone chwasty i ogromne słoneczniki kiwające w milczeniu głowami znaczyły ją tandetnymi kępami niczym organizmy ocalałe z nuklearnej zagłady. Jeden duży słonecznik wyrósł przez stłuczoną szybę furgonetki z logo piekarni, leżącej na boku jak zdechły pies. Jego włochata zielona łodyga owinęła się niczym zaciśnięta pięść wokół kikuta osi koła, a druga przywarła do ozdoby na klapie silnika starego cadillaca, który spoczywał na furgonetce. Wydawało się, że słonecznik wpatruje się w Thada niczym

czarno-żółte oko martwego potwora.

Widok tej wielkiej i cichej nekropolii produktów z Detroit przyprawił Thada o gęsią skórę.

Skręcił z prawo, potem w lewo. Nagle wszędzie zobaczył wróble siedzące na dachach, bagażnikach i tłustych, amputowanych silnikach. Trójka małych ptaków kąpała się w wypełnionym wodą dekle. Nie odleciały, gdy podjechał, przerwały tylko kąpiel i obserwowały go czarnymi paciorkowatymi ślepiami. Kolejne wróble obsiadły szybę opartą o błotnik starego plymoutha. Beaumont minął je w odległości metra. Zatrzepotały nerwowo skrzydłami, ale pozostały na miejscu.

Zwiastuny żywych trupów, pomyślał. Jego dłoń powędrowała ku białej bliźnie na czole i zaczęła ją nerwowo pocierać.

Spoglądając przez coś, co wyglądało jak wybita przez meteor dziura w przedniej szybie jakiegoś datsuna, dostrzegł szeroką plamę zakrzepłej krwi na desce rozdzielczej.

To nie meteor wybił tę dziurę, pomyślał i zrobiło mu się niedobrze.

Na przednim fotelu datsuna siedziała grupka wróbli.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał ochrypłym głosem. – Czego, na litość boską, chcecie?

Wydawało mu się, że słyszy w myślach coś na kształt odpowiedzi, piskliwy głos tego ptasiego zwiadu: „Ależ, Thad... czego ty chcesz od nas? To ty jesteś naszym właścicielem. Ty nas sprowadziłeś. Ty jesteś tym, który wie”.

– Gównu tam wiem – wymamrotał.

Na końcu rzędu aut było wolne miejsce przed najnowszym modelem oldsmobila cutlass supreme – ktoś amputował mu cały przód. Thad zaparkował tyłem i wysiadł. Patrząc z jednego końca

wąskiego korytarza na drugi, czuł się trochę jak szczur w labiryncie. Wokół śmierdziało olejem, wyczuł też mocniejszy i bardziej kwaśny odór płynu przekładniowego. Ciszę zakłócał jedynie odległy warkot samochodów na drodze numer 2.

Ze wszystkich stron spoglądały nań wróble – milczące zgromadzenie tych małych brązowo-czarnych ptaków.

Po czym raptownie wszystkie naraz zerwały się do lotu. Na moment powietrze wypełnił głośny trzepot skrzydeł. Stado rozciągnęło się na niebie i skręciło na zachód – w kierunku Castle Rock. Nagle Thad znowu poczuł to mrowienie... nie tyle na skórze, ile pod nią.

Próbujemy rzucić okiem, George?

Zaczął nucić pod nosem piosenkę Boba Dylana:

– John Wesley Harding... przyjaźnił się z biedotą... wędrował z gnatem w każdej dłoni...

To uczucie mrowienia, swędzenia pod skórą chyba się nasilało. Skupiło się na ranie w jego lewej dłoni. Być może mylił się całkowicie, może były to tylko jego pobożne życzenia, ale wydawało mu się, że wyczuwa złość... i frustrację.

– We wszystkich depeszach... rozbrzmiewało jego imię... – śpiewał pod nosem. Przed nim na oleistej ziemi leżało zardzewiałe łożo silnika niczym zdeformowana pozostałość jakiegoś stalowego posągu, na który nikt tak naprawdę nie chciał spojrzeć. Thad podniósł je i podszedł z powrotem do suburbana, nie przestając nucić urywków piosenki o Johnie Wesleyu Hardingu i wspominając swojego dawnego przyjaciela szopa pracza o tym samym imieniu. Gdyby zdołał zamaskować samochód, uszkadzając go trochę, gdyby zapewnił sobie choćby dwie dodatkowe godziny, dla Liz i bliźniąt mogło to oznaczać ocalenie od śmierci.

– *Wszędzie w okolicy... przepraszam, wielgusie, to mnie bardziej boli niż ciebie... włamywał się do wielu domów.* – Thad cisnął łożem silnika w drzwi od strony kierowcy, robiąc w nich wgniecenie głębokości umywalki. Podniósł łoże, stanął przed suburbanem i uderzył nim w osłonę chłodnicy wystarczająco mocno, by nadwerężyć sobie bark. Plastikowa kratownica rozleciała się w drobny mak. Thad otworzył pokrywę silnika i uniósł ją nieco, dzięki czemu suburban uśmiechnął się jak martwy aligator, co na wybiegu firmy Gold's wydawało się odmianą motoryzacyjnego *haute couture*.

– *...ale nie słyszano, by ranił uczciwego człowieka...*

Znowu podniósł łoże silnika, zauważając w tym momencie, że na bandażu na zranionej dłoni wykwitła plama świeżej krwi. Teraz jednak nie mógł z tym nic zrobić.

– *...z kobietą swą u boku zeznania w sądzie złożył...*

Thad rzucił je po raz ostatni. Wpadło przez przednią szybę z głośnym chrzęstem, który – choć mogło się to wydać absurdalne – przyprawił go o ból serca.

Uznał, że suburban wystarczająco upodobnił się do innych wraków, by nie odstawać od przeciętnej.

Ruszył pieszo wzdłuż rzędu samochodów. Na pierwszym skrzyżowaniu korytarzy skręcił w lewo, kierując się z powrotem w stronę bramy i znajdującego się za nią sklepu. Gdy wjeżdżał na plac, zauważył na ścianie przy drzwiach automat telefoniczny. W połowie drogi przystanął i przestał śpiewać. Przekrzywił głowę. Wyglądał jak człowiek usiłujący wychwycić jakiś cichy dźwięk. W rzeczywistości zaś wsłuchiwał się w swoje ciało, poddawał je badaniu.

Mrowienie pod skórą ustało.

Wróble zniknęły, podobnie jak George Stark, przynajmniej na razie. Uśmiechając się nieco, Thad ruszył szybszym krokiem.

3

Po dwóch dzwonekach Thad zaczął się denerwować. Jeżeli Rawlie wciąż tam był, powinien już odebrać telefon. Gabinety na wydziale anglistyki i matematyki nie były aż tak duże. Do kogo jeszcze mógłby zadzwonić? Kto, u diabła, jeszcze tam był? Nikt nie przychodził mu do głowy.

Zanim wybrzmiał trzeci dzwonek, Rawlie podniósł słuchawkę.

– Halo, tu DeLesseps.

Thad zamknął oczy na dźwięk tego chropawego od dymu głosu i na chwilę oparł się o chłodną metalową ścianę sklepu z częściami.

– Halo?

– Cześć, Rawlie. Mówi Thad.

– Witaj, Thad. – Rawlie nie wydawał się strasznie zaskoczony jego telefonem. – Zapomniałeś czegoś?

– Nie. Rawlie, mam kłopoty.

– Tak.

Tylko tyle – i wcale nie było to pytanie. Rawlie wypowiedział to słowo, po czym po prostu czekał.

– Pamiętasz tych dwóch – Thad wahał się przez chwilę – tych dwóch gości, którzy byli ze mną?

– Owszem – odparł spokojnie Rawlie. – Policyjna eskorta.

– Wymknąłem się im – rzekł Thad, po czym spojrzał szybko przez ramię, usłyszawszy odgłos samochodu wjeżdżającego z łoskotem na klepisko, które służyło jako parking dla klientów firmy Gold's. Przez moment był tak głęboko przekonany, że to brązowy plymouth, iż

faktycznie go zobaczył... był to jednak jakiś importowany samochód, to, co uznał z początku za brąz, okazało się ciemną czerwienią przyćmioną ulicznym kurzem, a kierowca właśnie zawracał. – Mam przynajmniej taką nadzieję. – Przerwał. Dotarł do punktu, w którym jedynym wyborem było skoczyć albo nie skoczyć, a nie mógł zwlekać z tą decyzją. Na dobrą sprawę w rzeczywistości nie było mowy o żadnej decyzji, ponieważ nie miał wyboru. – Potrzebuję pomocy. Samochodu, którego nie skojarzą ze mną.

Rawlie milczał.

– Powiedziałeś, że jeżeli będziesz mógł coś dla mnie zrobić, mam poprosić.

– Wiem, co mówiłem – odparł łagodnie Rawlie. – Przypominam sobie też, że powiedziałem, iż jeżeli ci dwaj mężczyźni chodzą za tobą w charakterze ochroniarzy, chyba powinienesz udzielić im jak największej pomocy. – Zrobił pauzę. – Rozumiem, że postanowiłeś nie skorzystać z mojej rady.

Thad omal nie odparł: „Nie mogłem, Rawlie. Człowiek, który ma moją żonę i nasze dzieci, zabiłby również ich”. Nie obawiał się, że Rawlie uzna go za szaleńca, jeśli mu powie, co się dzieje; profesorowie wyższych uczelni prezentują o wiele bardziej elastyczne poglądy na temat szaleństwa niż większość innych osób, czasem zaś w ogóle nie mają poglądu w tej sprawie, woląc uważać ludzi za nieciekawych (lecz zdrowych na umyśle), dość ekscentrycznych (lecz zdrowych na umyśle) lub bardzo ekscentrycznych (lecz wciąż dość zdrowych na umyśle, staruszkę). Milczał, ponieważ Rawlie DeLesseps był człowiekiem tak niezależnym, że Thad przypuszczalnie nie mógł powiedzieć nic, co by go przekonało... a każde jego słowo mogłoby jedynie zaszkodzić sprawie. Ale niezależny czy nie, gramatyk miał

dobre serce... był na swój sposób odważny... Thad sądził też, że DeLesseps przejawia całkiem spore zainteresowanie tym, co się z nim działo, jego policyjną eskortą oraz osobliwym zaciekawieniem wróblami. Koniec końców po prostu uważał – nie tylko miał taką nadzieję – że milczenie jest w jego najlepszym interesie.

Mimo to ciężko było czekać.

– W porządku – rzekł w końcu Rawlie. – Pożyczę ci mój samochód.
– Thad zamknął oczy i musiał usztywnić kolana, żeby nie ugięły się pod nim nogi. Otarł szyję pod brodą i na jego dłoni zostały krople potu. – Ale liczę na to, że będziesz miał dość poczucia przyzwoitości, by zapłacić za wszystkie naprawy, jeżeli wróci... pokiereszowany – dodał DeLesseps. – Jeżeli uciekasz przed wymiarem sprawiedliwości, to bardzo wątpię, czy moje towarzystwo ubezpieczeniowe pokryje koszty.

Ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości? Dlatego że zniknął z pola widzenia gliniarzy, którzy nie mogli go ochronić? Nie wiedział, czy to czyni go zbiegiem, czy nie. Było to ciekawe pytanie, które będzie musiał później rozważyć. Później, gdy przestanie odchodzić od zmysłów ze strachu.

– Wiesz, że zapłacę.

– Stawiam jeszcze jeden warunek – oświadczył Rawlie.

Thad znowu zamknął oczy. Tym razem pod wpływem frustracji.

– Jaki?

– Gdy to się skończy, chcę poznać wszystkie szczegóły – odparł Rawlie. – Chcę wiedzieć, dlaczego tak bardzo interesowałeś się symbolicznymi znaczeniami wróbli w folklorze i dlaczego zbladłeś, gdy powiedziałem ci, kim są *sapsychopompos* i co takiego mają robić.

– Zbladłem?

- Jak prześcieradło.
- Opowiem ci wszystko – obiecał Thad i uśmiechnął się nieco. –
Może nawet uwierzysz w część tej historii.
- Gdzie jesteś? – zapytał Rawlie.
- Thad wyjaśnił mu i poprosił o jak najszybszy przyjazd.

4

Odwiesił słuchawkę, przeszedł z powrotem przez bramę w drucianym ogrodzeniu i usiadł na szerokim zderzaku szkolnego autobusu, który nie wiedzieć czemu przecięto na pół. To miejsce świetnie nadawało się do czekania. Z drogi był niewidoczny, ale wystarczyło po prostu, by się pochylił, a widział parking sklepu z częściami. Rozejrzał się w poszukiwaniu wróbli i nie zobaczył ani jednego – tylko dużą tłustą wronę dziobiącą ospale lśniące kawałki chromu w jednym z korytarzy biegnących między wyrzuconymi na złom samochodami. Myśl, że drugą rozmowę z George’em Starkiem zakończył zaledwie pół godziny temu, sprawiała, iż miał wrażenie lekkiej utraty kontaktu z rzeczywistością. Wydawało się, że od tego czasu minęło wiele godzin. Mimo utrzymującego się stale niepokoju czuł się tak, jakby zbliżała się pora snu.

Około kwadransa po rozmowie z Rawliem znowu naszło go uczucie mrowienia i swędzenia. Zaśpiewał zapamiętane urywki ballady Dylana i po paru minutach to wrażenie minęło.

Może to objaw psychosomatyczny, pomyślał, ale wiedział, że to bzdura. Czuł, że George próbuje uzyskać dostęp do jego umysłu, i im lepiej to sobie uświadamiał, tym bardziej stawał się przeczulony na tym tle. Sądził, że zadziała to również w odwrotną stronę. I że prędzej czy później będzie musiał spróbować do tego doprowadzić...

oznaczało to jednak próbę przywołania ptaków i wcale mu się nie uśmiechało. Był też inny powód – kiedy ostatnim razem udało mu się zerknąć w myśli Starka, skończył z ołówkiem wbitym w lewą dłoń.

Minuty mijały w wyjątkowo powolnym tempie. Po niemal półgodzinie Thad zaczął się obawiać, że Rawlie się rozmyślił i nie przyjedzie. Wstał ze zderzaka przepołowionego autobusu i stanął w bramie szrotu, nie bacząc na to, że ktoś może zobaczyć go z drogi. Zaczął się zastanawiać, czy odważy się wyruszyć w drogę autostopem.

Postanowił jednak zadzwonić znowu do gabinetu DeLessepsa i był w drodze do automatu, gdy na parking wjechał zakurzony garbus. Rozpoznał go natychmiast i rzucił się biegiem, myśląc z pewnym rozbawieniem o obawach Rawliego dotyczących ubezpieczenia. Miał wrażenie, że mógłby skasować volkswagena i zapłacić za szkodę skrzynką butelek po napojach gazowanych.

Rawlie zatrzymał samochód przy narożniku budynku i wysiadł. Thad był trochę zaskoczony, gdy zobaczył, że z jego zapalanej fajki dobywają się wielkie kłęby dymu, który w zamkniętym pomieszczeniu byłby szalenie niezdrowy.

– Nie powinienes palić – rzekł Thad w pierwszym odruchu.

– A ty nie powinienes uciekać – odparł ponuro Rawlie.

Patrzyli na siebie przez chwilę zdziwieni, po czym obaj wybuchnęli śmiechem.

– Jak się dostaniesz do domu? – zapytał Beaumont. Teraz, gdy pozostało tylko wsiąść do małego wozu DeLessepsa i podążyć długą i krętą drogą do Castle Rock, wydawało się, że ma w swym arsenale konwersacyjnym jedynie nielogiczne uwagi.

– Pewnie zadzwonię po taksówkę – odparł Rawlie i przyjrzał się lśniącym wzgórzom i dolinom porzuconych samochodów. –

Przypuszczam, że muszą stąd dość często zabierać gości, którzy dołączają do grona niezmotoryzowanych.

– Pozwól, że dam ci jakieś pieniądze...

Thad wyjął portfel z tylnej kieszeni, ale Rawlie zbył tę propozycję machnięciem ręki.

– Jak na nauczyciela angielskiego latem jestem nadziany – wyjaśnił.

– Mam przy sobie pewnie ponad czterdzieści dolców. To cud, że Billie pozwala mi chodzić bez obstawy. – Pyknął z fajki z wielką rozkoszą, wyjął ją z ust i uśmiechnął się do Thada. – Ale nie bój się, wezmę od taksówkarza paragon i przedłożę ci go w stosownym momencie.

– Zacząłem myśleć, że nie przyjedziesz.

– Zatrzymałem się przy sklepie z tanim towarem. Kupiłem parę rzeczy, które mogą ci się przydać.

Wsunął się z powrotem do garbusa (który wyraźnie osiadł z lewej strony na już pękniętym albo bardzo nadwerężonym resorze) i spędziwszy jakiś czas na grzebaniu, pomrukiwaniu i wypuszczaniu świeżych kłębow dymu, wyjął z auta papierową torbę. Wręczył ją Thadowi. Ten zajrzał do środka i zobaczył okulary przeciwsłoneczne oraz bejsbolówkę bostońskich Red Sox, która dość dobrze zakryłaby mu włosy. Spojrzał na Rawliego nedorzecznie wzruszony.

– Dziękuję ci.

Rawlie machnął ręką i wykrzywił usta w chytrym uśmiešku.

– Może to ja powinienem podziękować tobie – odparł. – Od dziesięciu miesięcy szukałem pretekstu, by zapalić tego starego śmierdziela. Od czasu do czasu trafiała się okazja... rozwód mojego najmłodszego syna, noc, kiedy przegrałem pięćdziesiąt dolarów w pokera w domu Toma Carrolla... ale żadna nie wydawała się dość... wystarczająco apokaliptyczna.

– To rzeczywiście jest sytuacja apokaliptyczna – przyznał Thad i lekko zadrżał. Popatrzył na zegarek. Zbliżała się pierwsza. Stark miał nad nim co najmniej godzinę przewagi, może więcej. – Muszę jechać, Rawlie.

– Tak... to pilne, prawda?

– Niestety, tak.

– Mam jeszcze jedną rzecz... wetknąłem go do kieszeni marynarki, żeby nie zgubić. Nie pochodzi ze sklepu. Znalazłem go w moim biurku.

Rawlie zaczął metodycznie przeszukiwać kieszenie starej kraciatej sportowej marynarki, którą nosił przez okrągły rok.

– Jeżeli zapali się lampka poziomego oleju, zjedź gdzieś i kup bańkę sapphire'a – powiedział, nie przestając szukać. – To olej obiegowy. Och, tutaj jest! Już zacząłem myśleć, że w końcu zostawiłem go w gabinecie.

Wyciągnął z kieszeni walcowaty kawałek odartego z kory drewna, wydrążony i zbliżony długością do palca wskazującego Thada. Na jednym końcu drewnianej rurki wycięto karb.

– Co to jest? – zapytał Thad, przyjmując chyba dość stary przedmiot. Znał już jednak odpowiedź i poczuł, że kolejny klocek jego nieprawdopodobnej układanki trafia na swoje miejsce.

– Wabik – odparł Rawlie, przyglądając się Thadowi znad lśniącej główki swej fajki. – Jeśli uważasz, że potrafisz go użyć, to weź.

– Dziękuję – rzekł Thad i lekko drżącą ręką wsunął wabik do kieszeni na piersi. – Może się przydać.

Oczy Rawliego zrobiły się okrągłe pod spletanym żywopłótem brwi. Wyjął z ust fajkę.

– Chyba jednak nie będzie ci potrzebny – rzekł cichym, drżącym

głosem.

– Co takiego?

– Obejrzyj się.

Thad odwrócił się, wiedząc, co zobaczył DeLesseps, zanim ujrzał to na własne oczy.

Teraz nie było setek ani paru tysięcy wróbli; wraki samochodów i ciężarówek ustawione w sterty na końcowych czterech hektarach szrotu zostały szczelnie pokryte ptakami. Wróble były dosłownie wszędzie... a Thad nie słyszał trzepotu skrzydeł ani jednego z nich.

Obaj mężczyźni spoglądali na ptaki, one zaś odwzajemniały ich spojrzenie dwudziestoma lub może czterdziestoma tysiącami oczu. Nie wydawały żadnego dźwięku. Siedziały tylko na maskach silników, szybach, dachach, rurach wydechowych, osłonach chłodnic, blokach silników, przegubach Cardana i ramach.

– Jezu Chryste – wychrypiał Rawlie. – *Psychopompos*. co to znaczy, Thad? Co to znaczy?

– Chyba właśnie zaczynam się domyślać – odparł Beaumont.

– Mój Boże.

Rawlie uniósł ręce nad głowę i głośno klasnął. Wróble się nie poruszyły. Rawlie nie był obiektem ich zainteresowania, patrzyły tylko na Thada Beaumonta.

– Znajdźcie George'a Starka – rzekł Thad cichym głosem, a właściwie szeptem. – George Stark. Znajdźcie go. Lećcie!

Wróble wzniosły się ku zamglonemu błękitnemu niebu czarną chmurą; furkot ich skrzydeł przypominał grzmot upleciony z delikatnych dźwięków, z gardeł dobywało się kwilenie. Dwaj mężczyźni, którzy stali w drzwiach sklepu z częściami, wybiegli przed budynek, żeby na nie popatrzeć. W górze czarna masa skrzydlatych

stworzeń skręciła i pofrunęła na zachód, tak jak wcześniej uczyniło mniejsze stado.

Thad spojrział na ptaki i na chwilę rzeczywistość zlała się z wizją, która oznaczała początek jego hipnotycznych transów; przez moment przeszłość i teraźniejszość tworzyły jedną całość splecione w jakiś dziwny i wspaniały warkocz.

Wróble odleciały.

– Boże Wszchemogący! – wrzeszczał mężczyzna w szarym kombinezonie mechanika. – Widziałeś je? Skąd, do cholery, wzięły się te wszystkie ptaki?

– Mam lepsze pytanie – rzekł Rawlie, patrząc na Thada. Znowu panował nad sobą, ale było oczywiste, że przeżył głęboki wstrząs. – Dokąd one lecą? Znasz odpowiedź, nieprawdaż?

– Tak, oczywiście – mruknął Thad, otwierając drzwi volkswagena. – Ja też muszę lecieć, Rawlie... naprawdę muszę. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Bądź ostrożny, Thad. Bardzo ostrożny. Żaden człowiek nie ma władzy nad przedstawicielami zaświatów. Jeśli już, to krótko... i to zawsze kosztuje.

– Będę tak ostrożny, jak to tylko możliwe.

Dźwignia skrzyni biegów stawiała opór, ale w końcu dała za wygraną i Thad wrzucił jedynekę. Zdążył jeszcze założyć ciemne okulary i bejsbolówkę, po czym pomachał Rawliemu dłonią i ruszył.

Gdy skręcał na drogę numer 2, spostrzegł, jak DeLesseps wlecze się w stronę tego samego automatu telefonicznego, z którego sam skorzystał, i pomyślał: Teraz muszę unikać kontaktu ze Starkiem, bo mam tajemnicę. Być może nie mam władzy nad przewodnikami dusz, ale przynajmniej przez krótki czas należą do mnie – albo ja do nich –

a on nie może się o tym dowiedzieć.

Wrzucił drugi bieg i volkswagen Rawliego DeLessepsa, trzęsąc się, zaczął zmierzać do wyraźnie niezbadanych sfer prędkości przekraczających pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI DWA TELEFONY DO SZERYFA PANGBORNA

1

Pierwsza z dwóch rozmów telefonicznych, które sprawiły, że Alan Pangborn znalazł się z powrotem w samym środku wydarzeń, odbyła się tuż po trzeciej, gdy Thad wlewał trzy litry oleju Sapphire do silnika spragnionego volkswagena na stacji benzynowej w Auguście. Sam Alan wychodził właśnie do baru na kawę.

Sheila Brigham wystawiła głowę z dyspozytorni i krzyknęła:

– Alan? Telefon na koszt rozmówcy do ciebie... znasz kogoś o nazwisku Pritchard, Hugh Pritchard?

Alan zawrócił gwałtownie.

– Tak! Przyjmij ten telefon!

Wpadł do swojego gabinetu i podniósł słuchawkę w samą porę, by usłyszeć, jak Sheila zgadza się pokryć koszty rozmowy.

– Doktor Pritchard? Doktorze, słyszy mnie pan?

– Tak, słyszę.

Połączenie było całkiem dobre, lecz Alan przez chwilę miał wątpliwości – głos tego człowieka nie brzmiał jak głos siedemdziesięciolatka. Może czterdziesto-, ale nie siedemdziesięciolatka.

– Mam przyjemność rozmawiać z doktorem Hugh Pritchardem, który prowadził praktykę w Bergenfield w stanie New Jersey?

– W Bergenfield, Tenafly, Hackensack, Englewood, Englewood Heights. psia krewny, leczylem ludziom glowy az w Paterson. To pan jest tym szeryfem, ktory probowal sie ze mna skontaktowac? Bylem z zona daleko, az w Devil's Knob. Wlasnie wrócilem. Wszystko mnie boli.

– Tak, przykro mi. Dziękuję, że pan dzwoni, doktorze. Wydaje się pan młodszy, niż się spodziewałem.

– Cóż, to świetnie – odparł Pritchard – ale powinien pan mnie zobaczyć. Wyglądam jak aligator chodzący na dwóch nogach. W czym mogę panu pomóc?

Alan zastanawiał się nad tym wcześniej i postanowił ważyć słowa. Wetknął słuchawkę między ucho i ramię, rozsiadł się wygodnie w fotelu i chwilę później po ścianie ruszyła parada zwierząt z teatru cieni.

– Prowadzę tutaj, w okręgu Castle w stanie Maine, śledztwo w sprawie morderstwa. Jego ofiarą padł miejscowy obywatel, Homer Gamache. Pojawił się potencjalny świadek tej zbrodni, ale ten człowiek stawia mnie w bardzo delikatnej sytuacji, doktorze. Z dwóch powodów. Po pierwsze, jest sławny. Po drugie, występują u niego objawy, które pan kiedyś poznał. Mówię tak, ponieważ operował go pan dwadzieścia osiem lat temu. Miał guza mózgu. Obawiam się, że jeżeli doszło do nawrotu, jego zeznania mogą nie być zbyt wiary...

– Thaddeus Beaumont – natychmiast przerwał mu Pritchard. – I niezależnie od tego, na jakie objawy cierpi, bardzo wątpię, by doszło do nawrotu tamtego guza.

– Skąd pan wie, że chodzi o niego?

– Stąd, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku uratowałem mu życie – odparł Pritchard i dodał nieświadom własnej arogancji: –

Gdyby nie ja, nie napisałby ani jednej książki, ponieważ nie dożyłby swoich dwunastych urodzin. Odkąd omal nie zdobył National Book Award za swą pierwszą powieść, śledzę jego karierę z pewnym zainteresowaniem. Spojrzałem na zdjęcie na obwolucie i wiedziałem, że to ten sam człowiek. Twarz się zmieniła, ale oczy nie. Oczy niezwykle.

Powinienem rzec: rozmarzone. I oczywiście wiedziałem, że mieszka w Maine, dzięki niedawnemu artykułowi w „People”. Ukazał się tuż przed naszym wyjazdem na wakacje.

Przerwał na chwilę, po czym powiedział coś tak szokującego, a mimo to tak banalnego, że Alan przez moment nie był w stanie odpowiedzieć.

– Twierdzi pan, że może był świadkiem morderstwa. Na pewno nie podejrzewa pan, że mógł je popełnić?

– Cóż... ja...

– Tak tylko się zastanawiam – ciągnął Pritchard – ponieważ ludzie z guzami mózgu często robią bardzo osobliwe rzeczy. Osobliwość tych czynów wydaje się wprost proporcjonalna do inteligencji osoby dotkniętej taką przypadłością. Ale ten chłopiec wcale nie miał guza mózgu... w każdym razie nie w normalnie przyjętym znaczeniu tego terminu. To był niezwykle, bardzo niezwykle przypadek. Od sześćdziesiątego roku czytałem tylko o trzech podobnych przypadkach... dwa wykryto, gdy już byłem na emeryturze. Czy przeszedł standardowe badania neurologiczne?

– Tak.

– I?

– Dały wynik negatywny.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Pritchard zamilkł na chwilę, po czym

dodał: – Nie jest pan ze mną całkiem szczery, młody człowieku, prawda?

Alan zakończył spektakl zwierzęcego teatru cieni i wyprostował się w fotelu.

– Nie, chyba nie. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, co pan ma na myśli, mówiąc, że Thad Beaumont nie miał guza mózgu w „normalnie przyjętym znaczeniu tego terminu”. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w relacjach lekarza z pacjentem obowiązuje zasada poufności, i nie wiem, czy może pan zaufać człowiekowi, z którym rozmawia pan po raz pierwszy w życiu... w dodatku przez telefon... ale mam nadzieję, że uwierzy mi pan, gdy powiem, że stoję po stronie Thada. I jestem pewien, że chciałby, by zdradził mi pan to, co chcę wiedzieć. A nie mam czasu na skłanianie go, by do pana zadzwonił i dał panu zgodę, doktorze... muszę to wiedzieć teraz.

Alan z zaskoczeniem stwierdził, że to prawda – albo wierzył, że to prawda. Zaczęło go ogarniać dziwne napięcie, uczucie, że dzieją się ważne rzeczy. Coś, o czym nie wiedział... ale wkrótce się dowie.

– Opisanie panu tego przypadku to żaden problem – odparł spokojnie lekarz. – Wiele razy myślałem, że sam powinienem się skontaktować z Beaumontem, choćby po to, żeby mu powiedzieć, co się wydarzyło w szpitalu niedługo po zakończeniu zabiegu. Czułem, że to może go zainteresować.

– Co to było?

– Dojdę do tego, zapewniam pana. Nie wyjawiałem jego rodzicom, co odkryłem podczas operacji, bo nie miało to znaczenia... w sensie praktycznym... a nie chciałem mieć z nimi więcej do czynienia. Szczególnie z jego ojcem. Ten człowiek powinien się urodzić w jaskini i przez całe życie polować na włochate mamuty. Postanowiłem

wówczas powiedzieć im to, co chcieli usłyszeć, i jak najszybciej się od nich uwolnić. Potem oczywiście zdecydował sam upływ czasu. Z pacjentami traci się kontakt. Gdy Helga pokazała mi tę pierwszą książkę, pomyślałem, że napiszę do niego, i później myślałem o tym przy kilku okazjach. Czułem też jednak, że pewnie mi nie uwierzy... albo nie przejmie się... albo pomyśli, że jestem świrem. Nie znam żadnych sławnych ludzi, ale im współczuję... podejrzewam, że muszą wieść defensywne, dezorganizowane, przeraźliwe życie. Wydawało się, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. A teraz słyszę o tym. Jak powiedziałyby moje wnuki, to kanał.

– Co dolegało Thadowi? Co sprowadziło go do pana?

– Zaniki pamięci. Bóle głowy. Omamy słuchowe. I w końcu...

– Omamy słuchowe?

– Tak... ale musi mi pan pozwolić opowiedzieć to po mojemu, szeryfie.

I znowu Alan usłyszał w głosie mężczyzny nieświadomioną arogancję.

– W porządku.

– I w końcu miał atak. Wszystkie te problemy były spowodowane małą masą komórkową w płacie przedczołowym. Zrobiliśmy operację, zakładając, że to jakiś guz. Okazało się, że tym guzem jest brat bliźniak Thada.

– Co?!

– Tak, w rzeczy samej – rzekł Pritchard. Wydawało się, że niekłamany szok w głosie Alana sprawił mu przyjemność. – Nie jest to sytuacja zupełnie wyjątkowa... bliźnięta są często wchłaniane *in utero*, a w rzadkich przypadkach to wchłonięcie jest niecałkowite... ale niezwykle było usytuowanie, a także gwałtowny rozrost tej obcej

tkanki. Taka tkanka niemal zawsze pozostaje nieaktywna. Sądzę, że problemy Thada mogły być spowodowane wcześniejszym rozpoczęciem okresu dojrzewania.

– Chwileczkę – rzekł Alan. – Jedną chwileczkę. – Raz czy dwa razy zetknął się w książkach ze zwrotem „zakręciło mu się w głowie”, ale teraz po raz pierwszy sam doświadczył takiego uczucia. – Chce mi pan powiedzieć, że Thad miał brata bliźniaka, ale... jakoś... jakoś go zjadł?

– Brata lub siostrę – zauważył Pritchard. – Ale podejrzewam, że to był brat, ponieważ moim zdaniem takie wchłanianie jest znacznie rzadsze w wypadku bliźniąt dwujajowych. Opieram się na statystyce, nie na niezbitych faktach, ale naprawdę tak sądzą. Ponieważ zaś bliźnięta jednojajowe zawsze są tej samej płci, odpowiedź na pańskie pytanie brzmi „tak”. Uważam, że płód, którym Thad Beaumont kiedyś był, zjadł swojego brata w łonie matki.

– Chryste – rzekł cicho Alan. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał coś tak potwornego lub tak wstrętnego.

– Wyczuwam w pańskim głosie odrazę – zauważył pogodnie doktor Pritchard – ale gdy tylko umieścimy tę sprawę we właściwym kontekście, przestanie budzić wstręt. Nie mówimy o Kainie zabijającym Abła kamieniem. Nie był to akt zabójstwa; chodzi po prostu o to, że zaszła tu jakaś niepojęta dla nas biologiczna konieczność. Może jakiś niewłaściwy sygnał uruchomiony w układzie hormonalnym matki. Dokładnie biorąc, nie mówimy nawet o płodach; w momencie wchłaniania w łonie pani Beaumont znajdowały się pewnie dwa skupiska tkanki, prawdopodobnie nieprzypominające nawet człowieka. Powiedzmy, żywe płazy. I jeden z nich... ten większy, ten silniejszy... po prostu objął słabszego... i wcielił go

w siebie.

– Jakbym, kurwa, słuchał o insektach – mruknął Alan.

– Trochę to tak wygląda, prawda? W każdym razie wchłonięcie nie było całkowite. Zachowała się drobna część drugiego bliźniaka. Skończyło się tym, że ta obca materia... nie potrafię wymyślić innego określenia... została wpleciona w tkanę, z której wykształcił się mózg Beaumonta. I z jakiegoś powodu uaktywniła się niedługo po jedenastych urodzinach chłopca. Zaczęła rosnać. W środku nie było miejsca i dlatego trzeba było wyciąć ją jak brodawkę. Co z powodzeniem zrobiliśmy.

– Jak brodawkę – powtórzył Alan z obrzydzeniem i fascynacją.

W jego głowie roilo się od rozmaitych myśli. Były ponure jak nietoperze w wieży opuszczonego kościoła. Tylko jedna okazała się całkowicie spójna: On jest dwoma ludźmi naraz – zawsze taki był. Taki musi być każdy, kto zarabia na życie fantazjowaniem. Każdy, kto istnieje w normalnym świecie... i tworzy światy. Jest ich dwóch. Zawsze co najmniej dwóch.

– Tak niezwykły przypadek zapamiętałbym bez względu na wszystko – ciągnął Pritchard – ale tuż przed wybudzeniem chłopca stało się coś, co było chyba jeszcze bardziej niezwykłe. Coś, nad czym zawsze się zastanawiałem.

– Co takiego?

– Przed każdym atakiem bólu głowy mały Beaumont słyszał ptaki – wyjaśnił lekarz. – Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym; to dobrze udokumentowane zjawisko w wypadku guza mózgu lub epilepsji. Nosi nazwę syndromu zwiastuna czuciowego. Ale tuż po operacji wydarzył się dziwny incydent z udziałem prawdziwych ptaków. Szpital okręgowy w Bergenfield został w istocie zaatakowany

przez wróble.

– Co pan przez to rozumie?

– To brzmi absurdalnie, nieprawdaż? – Pritchard wydawał się zadowolony z siebie. – W ogóle bym o tym nie mówił, tyle że zdarzenie niezwykle dokładnie udokumentowano. Na pierwszej stronie „Bergenfield Courier” ukazał się nawet opatrzony zdjęciem artykuł na ten temat. Tuż po drugiej po południu dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku ogromne stado wróbli przyfrunęło do zachodniego skrzydła szpitala okręgowego. Wówczas znajdował się tam oddział intensywnej opieki, gdzie oczywiście mały Beaumont trafił po operacji. Wiele okien zostało rozbitych, a personel techniczny uprzątnął potem grubo ponad trzysta martwych ptaków. Jak pamiętam, w artykule przytoczono słowa jakiegoś ornitologa... zwrócił on uwagę, że zachodnia elewacja szpitala była niemal cała ze szkła, i wysnuł teorię, że ptaki mogło zwabić jaskrawe światło słońca odbite od szyb.

– To szaleństwo – stwierdził Alan. – Ptaki wpadają na szyby tylko wtedy, gdy ich nie widzą.

– Sądzę, że reporter przeprowadzający wywiad wspomniał o tym, a ornitolog zauważył, że łączące się w stada ptaki doświadczają jakby zbiorowej telepatii, w której jednoczą się ich umysły... o ile można powiedzieć, że ptaki mają umysły. Już raczej przypomina to mrówki szukające pożywienia. Wyjaśnił, że gdy jeden z członków stada postanowił polecieć na szybę, przypuszczalnie reszta po prostu podążyła w ślad za nim. Gdy to się stało, nie było mnie już w szpitalu... skończyłem operować, upewniłem się, czy jego parametry życiowe są stabilne...

– Parametry?

– Objawy funkcji życiowych, szeryfie. Potem pojechałem pograć w golfa. Rozumiem jednak, że te ptaki napędziły stracha wszystkim, którzy znajdowali się w skrzydle Hirschfielda. Dwie osoby zostały pokaleczone odłamkami szkła. Mógłbym zaakceptować teorię tego ornitologa, ale to wciąż nie dawało mi spokoju... wiedziałem bowiem o zwiastunie czuciowym małego Beaumonta. Nie o ptakach w ogóle, ale o konkretnych ptakach: wróblach.

– Wróble znowu fruwią – mruknął Alan grobowym, przerażonym głosem.

– Słucham, szeryfie?

– Nieważne. Niech pan mówi dalej.

– Dzień później wypytałem go o te objawy. Czasem następuje amnezja wysepkowa, zanik pamięci o zwiastunach czuciowych, po operacji, która usuwa ich przyczynę, ale w tym wypadku tak nie było. Thad pamiętał doskonale. Widział ptaki i je słyszał. Powiedział, że były wszędzie, na domach, trawnikach i ulicach Ridgeway, części Bergenfield, w której mieszkał. Zaciekawilo mnie to na tyle, że sprawdziłem jego kartę choroby i zestawilem ją z doniesieniami o wypadku. Stado wróbli uderzyło w budynek szpitala o drugiej pięć. Chłopiec obudził się o drugiej dziesięć, może nawet trochę wcześniej.

– Pritchard zrobił pauzę, a potem dodał: – Tak naprawdę jedna z pielęgniarek na oddziale intensywnej opieki powiedziała, że jej zdaniem to dźwięk tłuczonego szkła go zbudził.

– No, no! – rzekł cicho Alan.

– Owszem – przyznał Pritchard. – To właściwa reakcja. Od lat nie rozmawiałem o tej sprawie, szeryfie Pangborn. – Czy któraś z tych informacji się przyda?

– Nie wiem – odparł szczerze Alan. – Być może. Doktorze Pritchard,

może nie usunął pan wszystkiego... to znaczy... jeżeli pan nie usunął, może to znowu zaczęło rosnąć.

– Powiedział pan, że przeszedł badania. Czy jednym z nich była tomografia komputerowa?

– Tak.

– Oczywiście zrobiono mu też zdjęcie rentgenowskie?

– Uhm.

– Skoro te badania dały wynik negatywny, to dlatego, że nic tam nie ma. Co do mnie, sądzę, że naprawdę usunęliśmy to w całości.

– Dziękuję panu, doktorze. – Pangborn miał trochę kłopotów z formułowaniem słów; jego wargi były dziwnie odrętwiałe.

– Powie mi pan bardziej szczegółowo, co się stało, gdy ta sprawa się wyjaśni, szeryfie? Byłem z panem bardzo szczery i chyba w zamian proszę o drobną przysługę. Bardzo mnie to ciekawi.

– Powiem, jeżeli będę mógł.

– O nic więcej nie proszę. Może pan wracać do swoich zajęć, a ja wrócę do moich wakacji.

– Mam nadzieję, że pan i pańska żona przyjemnie spędzacie czas.

Pritchard westchnął.

– W moim wieku coraz trudniej przychodzi spędzanie czasu jako tako. Kiedyś uwielbialiśmy obozowanie pod namiotem, ale w przyszłym roku chyba zostaniemy w domu.

– Cóż, jestem oczywiście wdzięczny, że poświęcił pan czas na tę rozmowę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Brakuje mi pracy, szeryfie. Nie mistyki zabiegów. o to nigdy specjalnie nie dbałem... ale obcowania z tajemnicą. Tajemnicą ludzkiego umysłu. To było bardzo ekscytujące.

– Wyobrażam sobie – zgodził się Alan, myśląc, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby teraz w jego życiu było trochę mniej takich tajemnic. – Skontaktuję się z panem, gdy sytuacja... się wyjaśni. O ile się wyjaśni.

– Dziękuję, szeryfie. – Lekarz zawahał się, po czym dodał: – Widzę, że mocno zaangażował się pan w tę sprawę, nieprawdaż?

– Tak. To prawda.

– Pamiętam, że ten chłopiec był bardzo sympatyczny. Przestraszony, ale sympatyczny. Jakim jest człowiekiem?

– Myślę, że dobrym – odparł Alan. – Może nieco oziębłym i trochę wyobcowanym, ale mimo to dobrym człowiekiem.

– I powtórzył: – Tak myślę.

– Dziękuję panu. Może pan wrócić do swoich obowiązków. Do widzenia, szeryfie.

W słuchawce rozległ się trzask i Alan niespiesznym ruchem odłożył ją na widełki. Rozsiadł się w fotelu, złożył zwinne dłonie i sprawił, że przez plamę słońca na ścianie gabinetu przeleciał powoli duży czarny ptak, trzepocząc skrzydłami. Przyszła mu do głowy i tłukła się w niej kwestia z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*: „Naprawdę wierzę w duchy, naprawdę wierzę w duchy, naprawdę, naprawdę, naprawdę wierzę w duchy”. Powiedział to Tchórzliwy Lew, zgadza się?

Pytanie brzmiało: w co on sam wierzy?

Łatwiej mu było myśleć o rzeczach, w które nie wierzył. Nie wierzył, że Thad Beaumont kogokolwiek zabił. Nie wierzył też, by Thad napisał to zagadkowe zdanie na ścianie.

Jak więc się tam znalazło?

To proste. Stary doktor Pritchard przyleciał na wschód z Fort Laramie, zabił Fredericka Clawsona, napisał WRÓBLE ZNOWU

FRUWAJĄ na ścianie jego mieszkania, po czym poleciał z Waszyngtonu do Nowego Jorku, otworzył zamek w drzwiach mieszkania Miriam Cowley ulubionym skalpelem i to samo zrobił z nią. Zoperował ich dlatego, że brakowało mu obcowania z tajemnicą chirurgii.

Nie, jasne, że nie. Ale Pritchard nie był jedyną osobą, która wiedziała o – jak on to nazwał? – zwiastunie czuciowym Thada. Nie napisano o nim w artykule w „People”. To prawda, ale...

Zapominasz o odciskach palców i sonogramach. Zapominasz o spokojnym, kategorycznym twierdzeniu Thada i Liz, że George Stark naprawdę istnieje; że jest skłonny mordować, aby nadal istnieć. A teraz próbujesz za wszelką cenę nie analizować tego, że zaczynasz wierzyć, iż to wszystko może być prawdą. Rozmawiałeś z nimi o tym, jakim szaleństwem byłaby wiara w istnienie nie tylko mściwego ducha, ale i ducha człowieka, którego nigdy nie było. A przecież pisarze sprowadzają duchy; wraz z aktorami i artystami są jedynymi całkowicie akceptowanymi mediami w naszym społeczeństwie. Tworzą światy, których nigdy nie było, zaludniają je ludźmi, którzy nigdy nie istnieli, a potem zachęcają nas, byśmy dołączyli do nich w ich fantazjach. A my robimy to, czyż nie? Owszem. Płacimy, żeby to zrobić.

Alan splótł ciasno dłonie, wysunął małe palce i puścił na rozjaśnioną słońcem ścianę znacznie mniejszego ptaka. Wróbla.

Nie da się wyjaśnić pochodzenia stada wróbli, które niemal trzydzieści lat temu uderzyło w szpital okręgowy w Bergenfield, tak samo jak nie można wyjaśnić, jak dwóch mężczyzn może mieć identyczne linie papilarne i sonogramy. Teraz wiadomo jednak, że Thad Beaumont dzielił łono swej matki z kimś innym. Z obcym.

Hugh Pritchard wspomniał o wcześniejszym rozpoczęciu okresu dojrzewania.

Alan Pangborn nagle uświadomił sobie, że zastanawia się, czy rozrost tej obcej tkanki zbiegł się z innym zdarzeniem.

Zastanawiał się, czy zaczęła się ona rozrastać wtedy, gdy Thad Beaumont zaczął pisać.

2

Zaskoczył go brzęk interkomu na biurku. Znowu dzwoniła Sheila.

– Na pierwszej linii masz Kędzierzawego Martina, Alanie. Chce z tobą rozmawiać.

– Kędzierzawy? Czego on, u licha, ciężkiego chce?

– Nie wiem. Nie chciał powiedzieć.

– Chryste. Tylko tego mi dzisiaj brakowało.

Kędzierzawy miał sporą posiadłość przy drodze miejskiej numer 2, około sześciu kilometrów od Castle Lake. Kiedyś mieściło się tam dobrze prosperujące gospodarstwo mleczne, ale to było w czasach, gdy Kędzierzawy był znany pod imieniem chrzestnym Albert i jeszcze panował nad swą skłonnością do whisky. Jego dzieci dorosły, żona rzuciła go jako nieudacznika przed dziesięcioma laty i teraz Kędzierzawy sam był panem na siedmiu hektarach pól, które powoli, lecz stale zarastały chwastami. Po zachodniej stronie jego posiadłości, gdzie droga zakręcała w kierunku jeziora, stały dom i obora. Mieszcząca kiedyś czterdzieści krów obora była wielkim budynkiem, którego dach wygiął się teraz siodłowato, ściany obłaziły z farby, a większość okien była zasłonięta kawałkami tektury. Alan i Trevor Hartland, szef straży pożarnej w Castle Rock, od czterech lat czekali, aż dom Martina, jego obora lub jedno i drugie pójdą z dymem.

– Mam mu powiedzieć, że cię nie ma? – zapytała Sheila. – Właśnie przyszedł Clut... mogę przełączyć tę rozmowę do niego.

Alan rozważał przez moment ten pomysł, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Porozmawiam z nim, Sheilo. Dzięki. – Podniósł słuchawkę i wetknął ją między ucho i ramię.

– Komendant Pangborn?

– Tak, mówi szeryf.

– Kędzierzawy Martin z dwójki. Chyba mam tutaj problem, komendancie.

– O? – Alan przyciągnął drugi aparat na biurku bliżej siebie. Zapewniał on bezpośrednią łączność z innymi biurami w siedzibie władz miejskich. Czubkiem palca wodził wokół kwadratowego klawisza z wytłoczoną cyfrą 4. Wystarczyło jedynie podnieść słuchawkę i wcisnąć guzik, żeby się połączyć z Trevorem Hartlandem.

– Co to za problem?

– Cóż, komendancie, niech mnie gówno pochłonie, jeśli znam dokładnom odpowiedź. Nazwałbym to wielkom kradzieżom samochodu, gdyby chodziło o samochód, który znam. Ale nie chodziło. Nie widziałem takiego nigdy w życiu. Tak czy owak, wyjechał z mojej obory. – Kędzierzawy mówił z wyraźnym i na swój sposób zabawnym akcentem mieszkańca Maine, który zmieniał zwykłe słowo takie jak „obora” w coś, co brzmiało niemal jak ryk śmiechu.

Alan odsunął interkom na jego zwykłe miejsce. Bóg sprzyjał głupcom i pijakom – przekonał się o tym dobrze podczas wieloletniej pracy w policji – i wyglądało na to, że dom i obora Kędzierzawego wciąż stoją, mimo że ich właściciel miał zwyczaj po pijaku rzucać

niedopałki papierosów tu i tam. Teraz muszę jedynie, pomyślał szeryf, siedzieć tu, dopóki Martin nie wyjaśni istoty tego problemu. Wtedy będę mógł dojść – lub spróbować dojść – do tego, czy to problem zrodzony z rzeczywistości, czy jedynie z resztek mózgu Kędzierzawego.

Powstrzymał dłonie puszczające kolejnego wróbla po ścianie i zmusił je do bezruchu.

– Co to za samochód wyjechał z twojej obory, Albercie? – zapytał cierpliwie szeryf. Niemal wszyscy w Castle Rock (w tym sam Martin) nazywali Alberta Kędzierzawym i Alan też mógłby spróbować po kolejnych dziesięciu latach pobytu w mieście. Albo po dwudziestu.

– Przecież tłumaczyłem, że nigdy wcześniej żem go nie widział – odparł Kędzierzawy Martin tonem, który mówił: „Och, ty cholerny głupcze” tak dobitnie, że Martin mógł równie dobrze powiedzieć to na głos. – Właśnie dlatego żem do pana zadzwonił, komendancie. To na pewno nie był żaden z moich.

W głowie Alana w końcu zarysował się obraz sytuacji. Odkąd Martin pozbył się krów, dzieci i żony, nie potrzebował zbyt wiele żywej gotówki – gdy odziedziczył ziemię po tacie, hipoteka była czysta, do zapłacenia miał tylko podatki. Forsa, którą Kędzierzawy faktycznie dostawał, pochodziła z rozmaitych dziwnych źródeł. Alan sądził, a właściwie wiedział, że co parę miesięcy na wypełnione sianem poddasze obory Kędzierzawego trafiały jedna bądź dwie bele marihuany, a był to tylko jeden z jego drobnych przekrętów. Alan myślał od czasu do czasu, że powinien podjąć poważną próbę zapuszkowania Martina za posiadanie narkotyków z zamiarem ich sprzedaży, ale wątpił, czy Kędzierzawy w ogóle pali ten towar, a tym bardziej, czy ma dość oleju w głowie, by go sprzedawać.

Najprawdopodobniej po prostu co jakiś czas kasował sto lub dwieście dolarów za zapewnienie handlarzom miejsca do składowania. A nawet w miasteczku takim jak Castle Rock były ważniejsze rzeczy do zrobienia niż zamykanie pijaków za przechowywanie trawki.

Kolejną usługą magazynową, jaką świadczył Kędzierzawy – ta przynajmniej nie naruszała prawa – było trzymanie aut letników w swojej oborze. Gdy Alan zjawił się w mieście, obora Martina pełniła funkcję normalnego garażu. Można było tam wejść i zobaczyć w środku aż piętnaście aut – będących na ogół własnością ludzi, którzy mieli domy nad jeziorem – stojących tam, gdzie kiedyś krowy spędzały noce i zimowe popołudnia. Kędzierzawy zburzył ściany działowe, aby zrobić jeden duży garaż, i tam samochody na lato przeczekiwały długie miesiące jesieni i zimy w przyjemnym, pachnącym sianem mroku, zaparkowane zderzak w zderzak i drzwi w drzwi, a błyszczące powierzchnie ich karoserii matowiały pod warstwą plew stale opadających z poddasza.

Z biegiem lat garażowy biznes Kędzierzawego wyraźnie podupadł. Alan przypuszczał, że rozeszły się pogłoski o jego niefrasobliwości w paleniu papierosów i to wystarczyło. Nikt nie chce stracić samochodu w pożarze obory, nawet jeśli to tylko stary grat trzymany, żeby załatwić sprawunki, gdy nadejdzie lato. Kiedy ostatnio był u Kędzierzawego, widział w oborze tylko dwa samochody: własność Ossiego Brannigana, t-birda z 1959 roku – który byłby prawdziwym cackiem, gdyby nie był tak porzewiały i poobijany – oraz forda woody, stare kombi Thada Beaumonta.

Znowu ten Thad.

Tego dnia wydawało się, że wszystkie drogi prowadzą z powrotem do Thada Beaumonta.

Alan wyprostował się w fotelu, przyciągając bezwiednie telefon bliżej siebie.

– Jesteś pewien, że to nie był stary ford Thada Beaumonta? – zapytał teraz Kędzierzawego.

– Jasne, że jestem. To nie był ford, a już na pewno nie ford kombi. To było czarne toronado.

W głowie szeryfa pojawił się kolejny błysk... chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Ktoś kiedyś powiedział mu coś na temat czarnego toronada, i to całkiem niedawno. Nie potrafił tylko sobie przypomnieć, kto i kiedy, nie teraz... ale na pewno sobie przypomni.

– Akurat byłem w kuchni, robiłem sobie zimnom lemoniade – ciągnął Kędzierzawy – gdy zobaczyłem, jak ten samochód wyjeżdża tyłem z obory. Najpierw pomyślałem, że przecież nie trzymam tam takiego auta. Potem zacząłem się zastanawiać, jak wogle ktoś się dostał do obory, skoro na drzwiach wisi wielka stara kłódka, a jedyny klucz do niej mam na swoim kółku z kluczami.

– A co z ludźmi, którzy trzymają tam auta? Nie mają kluczy?

– Nie, panie komendancie! – Kędzierzawy wydawał się urażony na samą myśl, że mogliby je mieć.

– Pewnie nie zapisałeś numeru rejestracyjnego, co?

– A żeby pan wiedział, że zapisałem! – krzyknął Kędzierzawy. – Przecież na kuchennym parapecie trzymam lornetkę, do cholery, co nie?

Alan, który bywał z Trevorem Hartlandem na inspekcjach w oborze Martina, ale nigdy nie trafił do jego kuchni (i bynajmniej nie miał w najbliższych planach takiej wizyty), odparł:

– O tak. Lornetka. Zapomniałem o niej.

– A ja nie! – rzekł Kędzierzawy z radosną zadzierzystością.

– Ma pan przy sobie ołówek?

– Pewnie, że mam, Albercie.

– Komendancie, może by pan tak mówił mi „Kędzierzawy” jak wszyscy inni?

Alan westchnął.

– W porządku, Kędzierzawy. A skoro już przy tym jesteśmy, może byś tak mówił mi „szeryfie”?

– Jak pan sobie życzy. To chce pan znać ten numer czy nie?

– Wal.

– Po pierwsze, auto miało tablice rejestracyjne z Missisipi – rzekł Kędzierzawy z czymś na kształt triumfu w głosie. – Co pan, u diabła, o tym sondzi?

Alan nie wiedział, co dokładnie o tym sądzi... tyle że w jego głowie pojawił się trzeci błysk, jeszcze jaśniejszy od pozostałych. Toronado. I Missisipi. Coś na temat Missisipi. I jakiegoś miasta. Oxfordu? Czy chodziło o Oxford? O ten niedaleko stąd?

– Nie wiem – odparł szeryf, po czym przypuszczając, że właśnie to chciał usłyszeć Kędzierzawy, dodał: – To brzmi bardzo podejrzanie.

– Ma pan absolutnom racje! – zapiał Kędzierzawy. Potem odchrząknął i przybrał rzeczowy ton. – No dobra. Tablice z Missisipi numer sześć, dwa, dwa, osiem, cztery. Zapisał pan, komendancie?

– Sześć, dwa, dwa, osiem, cztery.

– Sześć, dwa, dwa, osiem, cztery, tak jest, to pewne jak w pieprzonym banku. Podejrzane! Tak jest! Tak właśnie sobie pomyślałem! Jezus zjad puszkę fasoli!

Na myśl o Jezusie przeżuującym fasolę z puszkę B&M Alan musiał na kolejną chwilę zasłonić słuchawkę telefonu.

– Jakie wienc działanie zamierza pan podjąć, komendancie? –

zapytał Kędzierzawy.

Mam zamiar spróbować zakończyć tę rozmowę, nie tracąc zmysłów, pomyślał Alan. To po pierwsze. Zamierzam również przypomnieć sobie, kto wspominał...

I wtedy to wspomnienie nawiedziło go w przebłysku lodowatej jasności, która sprawiła, że dostał na rękach gęziej skórki, a skóra na jego karku zrobiła się napięta jak membrana bębna.

Wieczorna rozmowa telefoniczna z Thadem. Niedługo po tym, jak ten psychol zadzwonił z mieszkania Miriam Cowley. W dniu, w którym naprawdę zaczęła się seria zabójstw.

Usłyszał słowa Thada: „Urodził się w New Hampshire, lecz po rozwodzie rodziców przeprowadził się z matką do Oxfordu w stanie Missisipi... teraz biednego wieśniaka z Południa można by usłyszeć w jego głosie tylko wtedy, gdy dostaje szału”.

Co jeszcze powiedział mu Thad, gdy opisywał George’a Starka przez telefon?

„I ostatnia rzecz: być może jeździ czarnym toronadem. Nie wiem, z którego roku. W każdym razie jednym z tych starych modeli z potężnym kopytem pod maską. Czarnym. Mógłby mieć tablice z Missisipi, ale prawdopodobnie je zmienił”.

– Pewnie był na to trochę zbyt zajęty – mruknął Alan. Gęsia skórka wciąż pokrywała jego ciało niczym tysiąc maleńkich stóp.

– Co to było, komendancie?

– Nic, Albercie. Mówiłem do siebie.

– Jak mawiała moja mama, to oznacza, że dostanie pan trochę forsy. Może powinienem zacząć sam to robić.

Alan przypomniał sobie nagle, że Thad dodał jeszcze coś... ostatni szczegół.

– Albercie...

– Niech pan mi mówi „Kędzierzawy”, komendancie. Powiedziałem panu.

– Czy na zderzaku samochodu, który widziałeś, była naklejka? Czy zauważyłeś może...

– Skond, u licha, pan o tym wie? Ma pan ten wóz na liście skradzionych samochodów? – zapytał Kędzierzawy z przejęciem.

– Nie wypytuj, to sprawa policji. Widziałeś, co było na niej napisane?

– Jasne, że tak. GŁOŚNY SUKINSYN. Dokładnie to. Może pan sobie wyobrazić?

Alan powoli odłożył słuchawkę, wyobrażając to sobie, a zarazem tłumacząc, że to niczego, absolutnie niczego nie dowodzi... oprócz tego, że być może Thad Beaumont jest kompletnym świrem. Byłoby przecież zwyczajną głupotą sądzić, że to, co zobaczył Kędzierzawy, dowodzi, iż dzieje się coś... coś nadprzyrodzonego, z braku lepszego słowa.

Po czym przypomniał sobie o sonogramach i odciskach palców, o tysiącach wróbli, które wpadły na okna szpitala okręgowego w Bergenfield, i dostał ataku gwałtownych dreszczy trwających prawie całą minutę.

3

Alan Pangborn nie był ani tchórzem, ani przesądnym prowincjuszem, który spluwał przez lewe ramię, gdy czarny kot przebiegł mu drogę, i trzymał ciężarną kobietę z dala od świeżego mleka, bo mogłoby się skwasić. Nie był wiejskim prostakiem; nie był wrażliwy na pochlebstwa cwaniaków, którzy chcieli wcisnąć mu kit;

nie urodził się wczoraj. Wierzył w logikę i rozsądne wyjaśnienia. Przeczekał więc atak dreszczy, po czym przyciągnął do siebie swój wizytownik i odnalazł numer do Thada. Zauważył z kpiarskim rozbawieniem, że numer na wizytówce zgadza się z tym w jego głowie. Najwyraźniej znakomity „kolega pisarz” z Castle Rock jeszcze mocniej utkwiał w świadomości szeryfa – a w każdym razie w jej części – niż sądził.

Człowiek w tym samochodzie to musiał być Thad. Jeżeli wykluczysz szalone teorie, jaka inna możliwość pozostaje? Thad go opisał. Jak się nazywała ta dawna radiowa zgaduj-zgadula? *Nazwij i wygraj*. Ale szpital okręgowy w Bergenfield rzeczywiście został zaatakowany przez wróble.

Były też inne wątpliwości – zdecydowanie zbyt liczne.

Thad i jego rodzina pozostawali pod ochroną policji stanu Maine. Gdyby postanowili się spakować i przyjechać tu na weekend, chłopcy ze stanowej zadzwoniliby do niego – po części po to, żeby go ostrzec, a po części przez grzeczność. Ale policja stanowa starałaby się wybić Thadowi taką podróż z głowy, skoro ograniczyła swoją ochronę w Ludlow do rutynowej obserwacji. Gdyby zaś decyzja o tej podróży została podjęta pod wpływem impulsu, policyjne starania, by zmienić zdanie, byłyby jeszcze bardziej stanowcze.

Poza tym było jeszcze to, czego Kędzierzawy nie zobaczył – a mianowicie samochód lub samochody rezerwowe, które przydzielono by Beaumontom, gdyby jednak zdecydowali się wybrać w podróż... co mogli zrobić; przecież nie byli więźniami.

„Ludzie z guzami mózgu często robią bardzo osobliwe rzeczy”.

Jeżeli to było toronado Thada i jeżeli to on zjawił się u Kędzierzawego, żeby je zabrać, i jeżeli był sam, należało wysnuć

z tego wniosek, który dla Alana był trudny do przełknięcia, żywił bowiem do Beaumonta prawdziwą sympatię. Wyglądało na to, że Thad z premedytacją porzucił rodzinę i wymknął się swojej ochronie.

Jeżeli tak było, policja stanowa i tak powinna mnie zawiadomić. Opublikowaliby list gończy, a doskonale wiedzą, że Castle Rock to jedno z miejsc, do których mógł się udać.

Wybrał numer Beaumontów. Ktoś odebrał po pierwszym sygnale. Rozległ się głos, którego nie znał. Co oznaczało jedynie, że nie potrafił skojarzyć go z żadnym nazwiskiem, bo to, że ma do czynienia z funkcjonariuszem policji, wiedział po pierwszej usłyszanej sylabie.

– Dom państwa Beaumontów.

Głos powściągliwy. Gotów się wbić klinem pytań w następną pauzę, jeżeli rozmówca okaże się kimś właściwym... albo niewłaściwym.

Co się stało? – zastanawiał się Pangborn. I po chwili znalazł odpowiedź: Nie żyją. Ktokolwiek tam był, zabił całą rodzinę równie szybko, z równą łatwością i równie bezlitośnie jak pozostałe ofiary. Ochrona, przesłuchania, sprzęt namierzający... wszystko na nic.

W swoim głosie nie ujawnił nawet cienia tych myśli, gdy odparł rzeczowo:

– Mówi Alan Pangborn, szeryf z Castle Rock. Chciałem rozmawiać z Thadem Beaumontem. Z kim mam przyjemność?

Zapadła cisza, po czym w słuchawce padła odpowiedź:

– Mówi Steve Harrison z policji stanowej, szeryfie. Miałem zamiar zadzwonić do pana. Powinienem być to zrobić co najmniej godzinę temu. Ale sytuacja tutaj... wszystko się tutaj kompletnie spierdoliło. Mogę zapytać, dlaczego pan zadzwonił?

Alan bez chwili namysłu – który z pewnością zmieniłby jego reakcję – skłamał. Uczynił tak, nie zadając sobie pytania, dlaczego to

robi. To pytanie miało paść później.

– Żeby z nim pogadać. Minęło sporo czasu i chciałem się dowiedzieć, jak sobie radzą. Rozumiem, że doszło do jakiegoś nieszczęścia.

– Tak wielkiego, że by pan nie uwierzył – potwierdził ponuro Harrison. – Dwaj moi ludzie nie żyją. Jesteśmy całkiem pewni, że to robota Beaumonta.

„Jesteśmy całkiem pewni, że to robota Beaumonta”.

„Osobliwość tych czynów wydaje się wprost proporcjonalna do inteligencji osoby dotkniętej taką przypadłością”.

Alan miał wrażenie, że *déjà vu* nie tylko zakrada się do jego umysłu, ale wręcz maszeruje po jego ciele niczym armia okupacyjna. Thad, na końcu zawsze był Thad. Oczywiście. Był inteligentnym, dziwnym człowiekiem, cierpiał też, co sam przyznał, na objawy, które wskazywały na guza mózgu.

„Ten chłopiec wcale nie miał guza mózgu”.

„Skoro te badania dały wynik negatywny, to dlatego, że nic tam nie ma”.

Zapomnij o guzie. Teraz powinieneś myśleć o wróblach – bo wróble znowu fruują.

– Co się stało? – zapytał Harrisona.

– Pociął Toma Chattertona i Jacka Eddingsa niemal w kawałki, oto co się stało, do cholery! – krzyknął Harrison, zaskakując Alana dzikością swej furii. – Zabrał ze sobą rodzinę. Niech ja tylko dorwę tego sukinsyna!

– Co... jak uciekł?

– Nie mam czasu, żeby w to teraz wchodzić – odparł Harrison. – Żal dupę ściska, szeryfie. Kierował czerwono-szarym chevroletem

suburbanem, cholernym wielorybem na czterech kołach, ale pewnie porzucił go gdzieś i się przesiadł. Ma tam u was letni dom. Zna pan to miejsce i rozkład pomieszczeń, prawda?

– Owszem – przyznał Alan. Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Spojrzał na zegar na ścianie i spostrzegł, że zbliża się trzecia czterdzieści. Czas. Wszystko znowu sprowadzało się do czasu. Uświadomił sobie, że nie zapytał Kędzierzawego, która była godzina, gdy widział wyjeżdżające z jego obory toronado. Wtedy nie było to istotne. Teraz tak. – O której go zgubiliście?

Czuł, że Harrison gotuje się ze złości, ale gdy policjant odpowiadał na to pytanie, w jego słowach nie było gniewu ani niechęci.

– Około wpół do pierwszej. Jeżeli zmienił samochód, to pewnie zajęło mu to trochę czasu, a potem pojechał do siebie do Ludlow.

– Gdzie był, gdy go zgubiliście? Jak daleko od domu?

– Szeryfie, chciałbym odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania, ale nie ma na to czasu. Chodzi o to, że jeżeli pojechał do swojego letniego domu... to wydaje się nieprawdopodobne, ale facet jest świrnięty, więc nigdy nie wiadomo... jeszcze tam nie dotarł, ale pewnie dotrze niebawem. On i jego cholerna rodzinka. Byłoby bardzo dobrze, gdyby pan i paru pańskich ludzi zgotowało mu tam powitanie. Jeżeli coś się pojawi, niech pan połączy się przez radio z Henrym Paytonem w Komendzie Policji Stanowej w Oxfordzie, a wyślemy wam takie wsparcie, jakiego w życiu pan nie widział. W żadnym razie nie próbujcie go zatrzymać sami. Zakładamy, że żona została wzięta jako zakładniczka, o ile jeszcze żyje. Tym bardziej dotyczy to dzieci.

– Skoro zabił policjantów na służbie, to musiał zabrać żonę siłą – zgodził się Alan i pomyślał: Ale gdybyś mógł, wrzuciłbyś ich

wszystkich do jednego worka, nieprawdaż? Bo masz już wyrobione zdanie i nie zamierzasz go zmienić. Do diabła, człowieku, ty nawet nie zamierzasz myśleć – trzeźwo bądź inaczej – dopóki krew nie zakrzepnie na ciałach twoich przyjaciół.

Pytań, które Alan chciał zadać, było z dziesięć, a odpowiedzi na nie zrodziłyby kolejne czterdzieści, lecz Harrison pod jednym względem miał rację. Nie mieli czasu.

Szeryf wahał się przez chwilę, pragnąc bardzo zapytać Harrisona o najważniejszą rzecz, zadać kluczowe pytanie: Czy jest pewien, że Thad miał czas dotrzeć do domu, zabić pilnujących go ludzi i zabrać stamtąd niepostrzeżenie rodzinę, a wszystko to zanim przybyły pierwsze posiłki? Ale zadanie tego pytania oznaczałoby rozdrapywanie bolesnej rany, którą tamten właśnie próbował opatrzyć, krył się w nim bowiem potępiający, nieodwołalny werdykt: Zgubiliście go. Jakimś cudem go zgubiliście. Mieliście do wykonania zadanie i daliście dupy.

– Mogę na panu polegać, szeryfie? – zapytał Harrison i teraz w jego głosie nie pobrzmiwał już gniew, a tylko znużenie i udreka; Alan współczuł mu z całego serca.

– Tak. Zaraz zabezpieczę to miejsce.

– Porządny z pana człowiek. I będzie pan współpracował z komendą w Oxfordzie?

– Tak. Henry Payton to mój znajomy.

– Beaumont to niebezpieczny osobnik, szeryfie. Niezmiernie niebezpieczny. Jeżeli rzeczywiście się tam zjawi, niech pan uważa.

– Dobrze.

– I niech pan mnie stale informuje. – Harrison przerwał połączenie bez słowa pożegnania.

4

Jego umysł – a w każdym razie ta jego część, która czyniła zadość formalnościom – przebudził się i zaczął zadawać pytania... bądź próbował to robić. Alan uznał, że nie ma czasu na formalności. Nie w przyjętej dotąd postaci. Zamierzał po prostu pozostawić wszystkie możliwe obwody otwarte i działać. Miał wrażenie, że sytuacja dojrzała do tego, by niektóre z nich niebawem zaczęły się same zamykać.

Wezwij przynajmniej paru swoich ludzi.

Ale tego chyba też nie był gotów uczynić. Norris Ridgewick, jedyny, do którego by zadzwonił, skończył służbę i nie było go w mieście. John LaPointe wciąż leczył się z oparzeń sokiem sumaka jadowitego. Seat Thomas wyruszył na patrol. Andy Clutterbuck znajdował się na miejscu, ale był żółtodziobem, a chodziło o paskudną robotę.

Przez pewien czas będzie działał na własną rękę.

Oszalałeś! – krzyczał formalista w jego świadomości.

– Być może zmierzam do szaleństwa – rzekł na głos Alan. Odszukał w książce telefonicznej numer Alberta Martina i zadzwonił do niego, żeby zadać pytania, które powinien postawić za pierwszym razem.

5

– O której toronado wyjechało z twojej obory? – zapytał, gdy Martin odebrał telefon, i pomyślał: Nie będzie wiedział. Psiakrew, nie jestem nawet całkowicie pewien, czy potrafi odczytywać wskazania zegara.

Ale Kędzierzawy natychmiast udowodnił mu, że się myli.

– Nie później niż o włos z cipy po trzeciej, komendancie – odparł, a po chwili namysłu dodał: – Niech mi pan wybaczy mój jenzyk.

– Zadzwoiłeś do mnie dopiero... – Alan zerknął na wykaz rozmów z tego dnia, gdzie odnotował telefon Kędzierzawego, nie myśląc nawet o tym. – Dopiero o trzeciej dwadzieścia osiem.

– Musiał żem to przemyśleć – wyjaśnił Martin. – Menżczyzna zawsze powinien spojrzeć, zanim skoczy, komendancie. Tak przynajmniej to widze. Zanim do pana zadzwoniłem, poszłem do obory, żeby sprawdzić, czy ten, kto wyprowadził samochód, nie narobił tam jakiegoś bydła.

Bydła, pomyślał zdeprymowany szeryf. Pewnie polazłeś tam sprawdzić, czy nie rąbnał marychy, prawda, Kędzierzawy?

– I co, narobił?

– Narobił czego?

– Jakiegoś bydła.

– Nie. Nie sondze.

– W jakim stanie była kłódka?

– Otwarta – odparł zwięźle Martin.

– Zniszczona?

– Nie. Po prostu wisiała na skoblu z otwartym kabłonkiem.

– Myślisz, że użył klucza?

– Nie wiem, gdzie ten skurwysyn mógł go zdobyć. Myśle, że otworzył jom wytrychem.

– Był sam w tym samochodzie? – zapytał Alan. – Widziałeś to?

Kędzierzawy zrobił pauzę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie widziałem na sto procent – stwierdził w końcu.

– Wiem, co pan sobie myśli, komendancie... jeżeli mogłem dojrzeć rodzaj tablic i przeczytać nadeny napis na naklejce, powinienem

dostrzec, ile osób siedziało w środku. Ale słońce padało na szybę, a nie była to zwykła szyba. Myśle, że była lekko przyciemniona. Niezbyt, ale trochę tak.

– W porządku. Dzięki. Sprawdzimy to.

– Cóż, stond odjechał – rzekł Kędzierzawy, a potem dodał w przebłysku nagłej dedukcji: – Ale musi gdzieś być.

– Święta prawda – przyznał Alan. Obiecał, że powie Kędzierzawemu, „jak to wszystko wyszło”, i przerwał połączenie. Odsunął się od biurka i spojrzął na zegarek.

„Nie później niż o włos z cipy po trzeciej, komendancie – powiedział Kędzierzawy. – Niech mi pan wybaczy mój jenzyk”.

Alan nie sądził, by Thad mógł się dostać z Ludlow do Castle Rock w trzy godziny inaczej niż rakieta – zbacząc w dodatku z drogi, by wrócić do domu, skąd przy okazji porwał żonę oraz dzieci i gdzie zabił dwóch policjantów. Może gdyby chodziło o prostą podróż z samego Ludlow, ale żeby przyjechać z innego miejsca, zatrzymać się w Ludlow, po czym dotrzeć tutaj w samą porę, by otworzyć kłódkę wytrychem i wyjechać toronadem, które przypadkiem w dogodnym momencie ukrył w oborze

Kędzierzawego Martina? Wykluczone.

Przypuśćmy jednak, że ktoś inny zabił policjantów w domu Beaumonta i porwał jego rodzinę? Ktoś, kto nie musiał się bawić w gubienie policyjnej eskorty, w zamianę samochodów i zbaczenie z drogi? Ktoś, kto po prostu wpakował Liz Beaumont i jej bliźnięta do auta i skierował się do Castle Rock? Alan pomyślał, że oni mogli dotrzeć tutaj w samą porę, by Kędzierzawy Martin zobaczył ich tuż po trzeciej. Mogli to zrobić bez większego wysiłku.

Policja – czytaj: funkcjonariusz Harrison, przynajmniej na razie –

uwazała, że sprawcą na pewno był Thad, lecz Harrison i jego *compadres* nie wiedzieli o toronadzie.

Tablice rejestracyjne z Missisipi, powiedział Kędzierzawy.

Według fikcyjnej biografii George'a Starka Missisipi to jego macierzysty stan. Gdyby Thad miał dostatecznie silne urojenia schizofreniczne, by myśleć, że jest Starkiem, choćby momentami, mógłby sprawić sobie czarne toronado, chcąc wzmóc iluzję, urojenie lub coś, czym było to przekonanie... ale w celu zdobycia tablic nie tylko musiałby odwiedzić Missisipi, ale jeszcze wystąpić o prawo stałego pobytu w tym stanie.

To idiotyczne. Mógł przecież ukraść te tablice. Albo kupić stare. Kędzierzawy nie mówił nic o tym, z którego roku pochodziły – z okien domu przypuszczalnie i tak nie mógłby tego wyczytać nawet przez lornetkę.

Ale to nie był samochód Thada. To niemożliwe. Liz wiedziałaby o nim, nieprawdaż?

Może nie. Jeżeli on jest na tyle szalony, to może i nie wiedziała.

Zostały jeszcze zamknięte na kłódkę drzwi. Jak Thad mógł się dostać do obory, nie zrywając kłódki? Był przecież pisarzem i wykładowcą, nie włamywaczem.

Zapasowy klucz, podszeptał mu umysł, ale Alan wykluczał taką ewentualność. Skoro Kędzierzawy od czasu do czasu przechowywał tam marychę, dość starannie pilnowałby kluczy bez względu na to, jak beztróska obchodził się z niedopałkami.

I ostatnia wątpliwość, zabójcza: dlaczego Kędzierzawy nigdy wcześniej nie widział czarnego toronada, skoro przez cały czas stało w jego oborze? Jak to możliwe?

Rozpatrz taką możliwość, szepnął głos z tyłu głowy, gdy szeryf

chwycił kapelusz i wyszedł z gabinetu. To całkiem zabawny pomysł, Alanie. Uśmiejesz się. Uśmiejesz się do łez. Przypuśćmy, że Thad Beaumont od początku miał rację. Przypuśćmy, że potwór o nazwisku Stark naprawdę grasuje... a fragmenty jego życia, elementy stworzone przez Thada, ożywają, gdy ich potrzebuje. Ale nie zawsze tam, gdzie ich potrzebuje. Ponieważ zawsze pojawiały się w miejscach związanych z życiem pierwotnego twórcy. Tak więc Stark musiałby wydostać swój samochód z miejsca, w którym Thad przechowuje swoje auto, tak samo jak musiał wyruszyć z cmentarza, gdzie Thad urządził mu symboliczny pogrzeb. Nie podoba ci się to? Czyż to nie jest przezabawne?

Nie spodobał mu się ten pomysł. Wcale nie był przezabawny. Nie śmieszył go ani trochę. Paskudnie przekreślał nie tylko wszystko, w co wierzył, ale i sposób, w jaki nauczono go myśleć.

Przypomniał sobie słowa Thada. „Nie wiem, kim jestem, gdy piszę”. Nie brzmiały one dokładnie tak, ale bardzo podobnie. „A co jeszcze bardziej zdumiewające, aż do teraz nie przyszło mi do głowy, by się temu dziwić”.

– Byłeś nim, prawda? – rzekł Alan cicho. – Byłeś nim, a on był tobą, i właśnie tak wyrósł zabójca, od tego się zaczęło.

Zadrżał i Sheila Brigham spojrzała znad swojej maszyny do pisania w samą porę, by to zauważyć.

– Jest zbyt gorąco na dreszcze, Alanie. Najwyraźniej łapiesz przeziębienie.

– Coś zapewne łapię – odparł szeryf. – Odbieraj telefony, Sheilo. Wszystkie drobne sprawy przekazuj Seatowi Thomasowi, a wszystkie duże mnie. Gdzie się podział Clut?

– Tutaj jestem! – dobiegł z kibla głos młodego policjanta.

– Spodziewam się wrócić mniej więcej za trzy kwadranse! – krzyknął do niego Alan. – Do tego czasu pracujesz przy biurku!

– Dokąd się wybierasz? – Clut wyszedł z męskiej ubikacji, wkładając koszulę khaki do spodni.

– Nad jezioro – odparł ogólnikowo Pangborn i wyszedł, zanim Clut lub Sheila zdążyli zadać następne pytania... i zanim on sam zdążył się zastanowić nad tym, co robi. Opuszczanie biura bez określenia celu wyjazdu w takiej sytuacji było fatalnym pomysłem, szukaniem czegoś znacznie gorszego niż guza; było szukaniem śmierci.

Ale to, co myślał,

(wróble fruwały)

po prostu nie mogło być prawdą. Nie mogło. Musiało istnieć bardziej sensowne wyjaśnienie.

Wciąż próbował siebie o tym przekonać, gdy wyjeżdżał radiowozem patrolowym z miasta i pakował się w największe kłopoty w swoim życiu.

6

Przy drodze numer 5 niespełna kilometr od posiadłości Kędzierzawego Martina znajdował się parking. Alan zjechał nań, kierując się po trosze przecuciem, a po trosze kaprysem. Przecucie było dość zwyczajne: czarne toronado czy też nie, nie przybyli przecież tutaj z Ludlow na czarodziejskim dywanie. Musieli przyjechać samochodem. Co znaczyło, że gdzieś w okolicy stało porzucone auto. Człowiek, którego ścigał, zostawił furgonetkę Homera Gamache'a na przydrożnym parkingu, gdy już nie była mu potrzebna, a to, co sprawca uczynił raz, zrobiłby ponownie.

Na pętli stały zaparkowane trzy pojazdy: ciężarówka z ładunkiem

piwa, nowy ford escort i zakurzone volvo. Gdy Alan wysiadał z radiowozu, jakiś mężczyzna w zielonym stroju roboczym wyszedł z męskiej toalety i ruszył w stronę szoferki ciężarówki. Był niski, ciemnowłosa i wąski w ramionach. Nie wyglądał na George'a Staraka.

– Witam – rzekł i lekko zasalutował Alanowi. Ten skinął mu głową i podszedł do jednego ze stołów, przy którym siedziały trzy starsze kobiety, pijąc kawę z termosu i rozmawiając.

– Dzień dobry, panie władzo – powiedziała jedna z nich. – Możemy w czymś pomóc?

„Czy też zrobiliśmy coś niewłaściwego?” – zapytały zatroskane przez chwilę oczy.

– Byłem po prostu ciekaw, czy tamten ford i to volvo należą do pań – odparł Alan.

– Ford jest mój – powiedziała druga z kobiet. – Przyjechałyśmy nim. O volvie nic nie wiem. Chodzi o tę naklejkę? Znowu straciła ważność? Powinien o to zadbać mój syn, ale on jest taki zapominalski! Ma czterdzieści trzy lata, a ja wciąż muszę mu o wszystkim...

– Naklejka jest w porządku, proszę pani – uspokoił ją Alan, rozciągając usta w swoim najserdeczniejszym uśmiechu „przyjaznego policjanta”. – Żadna z pań nie widziała przypadkiem, jak wjeżdżało tutaj to volvo?

Pokręciły głowami.

– Widziały panie w ciągu kilku ostatnich minut jeszcze kogoś, kto mógłby być jego właścicielem?

– Nie – odparła trzecia kobieta, która patrzyła na niego małymi bystrymi oczami myszokoczki. – Jest pan na tropie, panie władzo?

– Słucham, proszę pani?

– Mam na myśli tropienie jakiegoś przestępcy.

– Och – zachnął się Alan. Przez chwilę miał poczucie nierzeczywistości. Co dokładnie tu robił? Co dokładnie zamierzał tutaj zdobyć? – Nie, proszę pani. Po prostu lubię szwedzkie auta. – O rany, ależ błysnął inteligencją. To zabrzmiało... zajebiście.

– Och – westchnęła pierwsza kobieta. – Cóż, nikogo nie widziałyśmy. Ma pan ochotę na filizankę kawy, panie władzo? Sądzę, że starczy akurat na jedną.

– Nie, dziękuję. Życzę paniom miłego dnia.

– Nawzaj em, panie władzo – odpowiedziały niemal idealnie zgodnym chórem, co sprawiło, że poczucie nierzeczywistości Alana jeszcze się wzmogło.

Podszedł z powrotem do volva. Pociągnął za klamkę drzwi od strony kierowcy. Otworzyły się. Wewnątrz samochodu było gorąco jak na poddaszu. Pewnie stał tutaj od dłuższego czasu. Pangborn zajrzał do tyłu i zauważył na podłodze paczkę nieco większą niż pudełko ze słodzikami Sweet n' Low. Pochylił się między fotelami i podniósł ją z podłogi.

Na paczce widniał napis CHUSTECZKI PIELEGNACYJNE i Pangborn poczuł się tak, jakby ktoś upuścił mu w żołądku kulę do gry w kręgle.

To nic nie znaczy, przemówił natychmiast głos rozsądnego formalisty. W każdym razie niekoniecznie. Wiem, co sobie myślisz: niemowlęta. Alanie, na litość boską, przecież takie rzeczy rozdają na przydrożnych straganach przy zakupie smażonego kurczaka.

Tak czy inaczej...

Alan wetknął chusteczki do kieszeni bluzy munduru i wysiadł z samochodu. Już miał zamknąć drzwi, gdy znowu zerknął do środka. Próbował zajrzeć pod deskę rozdzielczą i nie bardzo umiał zrobić to

na sto jęco. Musiał przyklęknąć.

Ktoś upuścił kolejną kulę do gry w kręgle. Alan wydał z siebie stłumiony jęk – jak człowiek, który otrzymał dość silny cios.

Przewody stacyjki zwisały luźno, ich miedziane druty były nagie i nieco poskręcane. Wiedział, że wcześniej musiały zostać splecione. Volvo uruchomiono metodą zwarcia kabli i wyglądało na to, że zrobiono to bardzo wprawnie. Kierowca chwycił przewody za izolację i rozłączył je znowu, żeby zgasić silnik, gdy tutaj parkowali.

Więc to prawda... a przynajmniej część prawdy. Najważniejsze pytanie brzmiało: jak duża. Alan zaczynał się czuć niczym człowiek powoli zbliżający się do śmiertelnie niebezpiecznego urwiska.

Wrócił do radiowozu, wsiadł, uruchomił silnik i zdjął mikrofon z wieszaka.

Co jest prawdą? – szepnął rozsądny formalista. Boże, ten głos doprowadzał go do szału. Że ktoś jest w domu Beaumontów nad jeziorem? Tak, to możliwe. Że ktoś o nazwisku Stark wyjechał tym czarnym toronadem z obory Kędzierzawego Martina? Daj spokój, Alanie.

Dwie myśli przyszły mu do głowy niemal równocześnie. Pierwszą było to, że jeżeli skontaktuje się z Henrym Paytonem z Komendy Policji Stanowej w Oxfordzie, jak polecił mu Harrison, może nigdy się nie dowie, jak to się zakończyło. Lake Lane, przy której mieści się letni dom Beaumontów, była ślepym zaułkiem. Policja stanowa zabroniłaby mu zbliżyć się do domu samemu – nie w pojedynkę; nie w sytuacji, gdy podejrzewano mężczyznę, który przetrzymywał Liz i bliźnięta, co najmniej o tuzin morderstw. Kazaliby mu zablokować drogę i nie robić nic więcej, a sami wysłaliby całą flotę krążowników, może helikopter oraz – z tego, co Alan wiedział – kilka niszczycieli

i myśliwców.

Druga myśl dotyczyła Starka.

Oni nie myśleli o Starku; nawet o nim nie wiedzieli.

A jeżeli Stark istniał naprawdę?

Jeżeli tak było, Alan uznał, że posłanie na Lake Lane zgrai policjantów stanowych, którzy też o niczym nie wiedzieli, będzie niczym prowadzenie ludzi na rzeź.

Odwiesił mikrofon. Wkroczy do akcji i zrobi to sam. To mógł być błąd i pewnie był, ale tak właśnie miał zamiar postąpić. Mógł znieść myśl o własnej głupocie; Bóg jeden wiedział, że czynił tak już wcześniej. Tym, czego nie potrafiłby znieść, była choćby możliwość, że doprowadził do śmierci kobiety i dwojga niemowląt, wzywając posiłki, zanim poznał sytuację.

Alan wyjechał z parkingu i skierował się w stronę Lake Lane.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY PRZYLOT WRÓBLI

1

Thad unikał płatnej autostrady w drodze na południe (Stark polecił Liz, żeby z niej skorzystała, skracając czas podróży o pół godziny), musiał więc przejechać albo przez Lewiston-Auburn, albo przez Oxford. L.A., jak nazywali je miejscowi, było znacznie większym obszarem metropolitalnym... ale Komenda Policji Stanowej mieściła się w Oxfordzie.

Wybrał Lewiston-Auburn.

Czekał na światłach w Auburn i stale zerkał w lusterko wsteczne, wypatrując policyjnych radiowozów, gdy znowu uderzyła go myśl, którą po raz pierwszy wyraźnie pojął podczas rozmowy z Rawliem na szrocie. Tym razem nie chodziło o uczucie swędzenia; to było niczym mocny cios otwartą dłonią.

Jestem tym, który wie. Jestem ich właścicielem. To ja je sprowadziłem.

Mamy tutaj do czynienia z magią, pomyślał Thad, każdy magik z prawdziwego zdarzenia musi mieć czarodziejską różdżkę. Wszyscy o tym wiedzą. Na szczęście wiem, gdzie taką różdżkę można dostać. Gdzie tak naprawdę sprzedaje się je na tuziny.

Najbliższy sklep z materiałami piśmiennymi znajdował się przy Court Street i Thad skręcił teraz w tym kierunku. Był pewien, że

w domu w Castle Rock są ołówki Berol Black Beauty, nie wątpił też, że Stark przywiózł własny zapas, ale on ich nie potrzebował. Potrzebował natomiast ołówków, których Stark nigdy nie dotknął, ani jako część Thada, ani jako odrębna istota.

Znalazł miejsce parkingowe pół kwartału od sklepu, wyłączył silnik volkswagena (zgasł z trudem, rżąc i dysząc kilka razy) i wysiadł. Przyjemnie było uciec na chwilę od ducha fajki Rawliego na świeże powietrze.

W sklepie kupił pudełko ołówków Berol Black Beauty. Gdy zapytał, czy może skorzystać z temperówki na ścianie, sprzedawca wyraził zgodę. Thad naostrzył nią sześć ołówków. Włożył je do kieszeni na piersi, umieszczając jeden obok drugiego. Grafitowe pręciki sterczały niczym główce bojowe małych śmiercionośnych pocisków.

Czary-mary, abrakadabra, pomyślał. Niech się zacznie maskarada.

Wrócił do samochodu, wsiadł do środka i siedział tam przez moment, pocąc się w cieple i cicho nucąc piosenkę *John Wesley Harding*. Przypomniawszy sobie niemal wszystkie słowa. Było rzeczą naprawdę zdumiewającą, czego ludzki umysł mógł dokonać pod presją.

To może być szalenie niebezpieczne, pomyślał. Ale nieszczególnie troszczył się o siebie. W końcu to on sprowadził George'a Starka na ten świat i to chyba czyniło go odpowiedzialnym za niego. Wydawało się to niesprawiedliwe; przecież nie stworzył George'a w jakichś złych zamiarach. Bez względu na to, co groziło teraz jego żonie i dzieciom, nie mógł się utożsamiać z żadnym z niesławnych lekarzy, doktorem Jekyll'em czy Frankensteinem. Nie miał na celu napisania cyklu powieści, które przyniosłyby mnóstwo forsy, z pewnością też nie zamierzał stworzyć potwora. Próbował jedynie obejść głąz, który

zablokował jego drogę twórczą. Chciał tylko znaleźć sposób na napisanie kolejnej porządnej opowieści, bo to sprawiało mu radość.

Zamiast tego złapał jakąś nieziemską chorobę. A wiele schorzeń zagnieźdżało się w ciałach osób, które niczym sobie na nie nie zasłużyły – takie przyjemności, jak porażenie mózgowe, dystrofia mięśni, epilepsja, choroba Alzheimera – ale gdy już kogoś dopadły, trzeba było się z nimi uporać. Jak brzmiała nazwa tej radiowej zgaduj-zgaduli? *Nazwij i wygraj?*

To może być jednak bardzo niebezpieczne dla Liz i dzieci, dość słusznie upierał się jego umysł.

Owszem. Operacja mózgu też mogła być niebezpieczna... ale jeżeli rósł ci tam guz, czy miałeś inny wybór?

On będzie patrzył. Podglądał. Ołówki to dobry pomysł; to może mu nawet pochlebiać. Jeżeli jednak wyczuje, co zamierzasz z nimi zrobić, albo dowie się o wabiku... jeśli domyśli się, o co chodzi z wróblami... psiakrew, jeśli w ogóle domyśli się, że jest się czego domyślać... to masz przesrane.

Ale to może poskutkować, szepnęła druga część jego umysłu. Do licha ciężkiego, przecież wiesz, że to może poskutkować.

Tak. Rzeczywiście wiedział. A ponieważ w najgłębszych zakamarkach jego umysłu czaiła się uparta myśl, że tak naprawdę niczego innego nie da się zrobić ani spróbować, Thad uruchomił volkswagena i skierował go ku Castle Rock.

Piętnaście minut później zostawił Auburn za sobą i znowu znalazł się na wsi, zmierzając na zachód w stronę pojezierza.

2

Przez ostatnich sześćdziesiąt kilometrów podróży Stark mówił bez

przerwy o *Maszynie ze stali*, książce, nad którą on i Thad mieli zamiar wspólnie pracować. Gdy Liz otwierała drzwi letniego domu i wpuszczała ich do środka, pomógł jej przy dzieciach – stale mając jedną rękę wolną i wystarczająco bliską broni zatkniętej za pasem, aby żona Thada nie miała złudzeń. Liz liczyła, że przynajmniej na niektórych podjazdach domów przy Lake Lane będą zaparkowane auta, że usłyszy głosy albo dźwięki pił łańcuchowych, ale słyszała tylko senne brzęczenie owadów i potężne dudnienie silnika toronada. Wyglądało na to, że ten sukinsyn miał wprost diabelne szczęście.

Kiedy wyładowywali rzeczy i wnosili je do domu, Stark dalej gadał. Nie przerwał nawet wtedy, gdy przy użyciu brzytwy odciął wszystkie gniazdka telefoniczne z wyjątkiem jednego. A książka wydawała się dobra. I to było naprawdę straszne. Książka zapowiadała się rzeczywiście bardzo dobrze. Mogłaby dorównać *Sposobowi Machine'a*, może nawet go przebić.

– Muszę iść do łazienki – powiedziała Liz, gdy bagaż znalazł się za progiem domu, przerywając mu w pół słowa.

– W porządku – odparł łagodnie, spoglądając na nią. Gdy tylko przyjechali, zdjął okulary przeciwsłoneczne i teraz musiała odwracać głowę. Nie była w stanie wytrzymać tego gniewnego, gnijącego spojrzenia. – Pójdę z tobą.

– Gdy się załatwiam, lubię być sama. Ty nie?

– Dla mnie nie ma to większego znaczenia – powiedział Stark pogodnie. W takim nastroju był, odkąd zjechali z płatnej autostrady w Gates Falls. Miał charakterystyczną minę człowieka, który wie, że wszystko pójdzie dobrze.

– Ale ma dla mnie – oświadczyła Liz, jakby zwracała się do szczególnie tępego dziecka. Czuła, że jej palce zginają się w szpony.

W wyobraźni nagle wyrywała te wpatrzone w nią gałki oczne z rozmiękłych oczodołów. a gdy zaryzykowała spojrzenie na Starka i zobaczyła jego rozbawioną twarz, wiedziała, że on wie, co ona myśli i czuje.

– Zostanę w progu – rzekł z udawaną pokorą. – Będę grzecznym chłopcem. Nie będę podglądał.

Niemowlęta raczkowały zapamiętałe po dywanie salonu. Były radosne, hałaśliwe i tryskały energią. Wydawały się zachwycone, że są tu, gdzie były wcześniej tylko raz przez długi zimowy weekend.

– Nie można ich zostawić bez opieki – zastrzegła Liz. – Łazienka sąsiaduje z główną sypialnią. Jeżeli zostaną tutaj, wpakują się w kłopoty.

– Nie ma problemu, Beth – odparł Stark i bez wysiłku podniósł je z podłogi, po jednym każdą ręką. Jeszcze tego ranka

Liz sądziła, że gdyby ktoś oprócz niej bądź Thada spróbował zrobić coś takiego, William i Wendy wydarliby się wniebogłosy. Ale gdy uczynił to Stark, zachichotały radośnie, jakby była to najzabawniejsza rzecz pod słońcem. – Zaniosę je do sypialni i będę pilnował ich zamiast ciebie. – Odwrócił się i przyjrzał jej z nagłą oziębłością. – I będę miał na nie oko. Nie chciałbym, żeby przydarzyła się im jakaś krzywda. Lubię je. Jeżeli coś się im stanie, to nie z mojej winy.

Liz weszła do łazienki, a on stanął w drzwiach, zgodnie z obietnicą odwrócony do niej plecami, i obserwował bliźnięta. Gdy zadzierała spódnicę, spuszczała majtki i siadała na sedesie, miała nadzieję, że Stark jest człowiekiem słownym. Nie umarłaby, gdyby się obrócił i zobaczył, jak kuca nad muszlą... ale gdyby spostrzegł w jej majtkach nożyczki krawieckie, mogłaby umrzeć.

I jak zwykle, gdy się spieszyła, jej pęcherz uparcie odmawiał

współpracy. No już, no już, myślała ze strachem i irytacją. Co się stało, myślisz, że zainkasujesz od tego odsetki?

Wreszcie. Co za ulga.

– Ale gdy próbują się wydostać z obory – ciągnął Stark – Machine zapala benzynę wlaną nocą do okalającego ją rowu. Czyż to nie będzie wspaniałe? Jest też w tym materiał na film, Beth. Dupki, które robią filmy, uwielbiają pożary.

Użyła papieru toaletowego i bardzo ostrożnie podciągnęła majtki. Gdy wygładzała na sobie ubranie, modląc się, żeby Stark się nie obejrzał, nie odrywała wzroku od jego pleców. On jednak był głęboko pochłonięty własną opowieścią.

– Westerman i Jack Rangely dają nura z powrotem do samochodu, zamierzając przejechać przez ogień. Ale Ellington wpada w panikę i...

Przerwał nagle, przekrzywiwszy głowę, po czym odwrócił się do Liz w chwili, gdy obciągała spódnice.

– Wyłaż – rzucił i z jego głosu wyparował cały dobry nastrój. – Zabieraj się stamtąd natychmiast.

– Co...

Stark chwycił ją brutalnie za rękę i wywlókł do sypialni.

Potem wszedł do łazienki i otworzył szafkę z lekami.

– Mamy towarzystwo, a jeszcze za wcześnie na wizytę Thada.

– Nic nie...

– Silnik samochodu – rzekł krótko. – Potężny silnik. Chyba policyjnego radiowozu. Słyszysz?

Zatrzasnął drzwi szafki i wyszarpał szufladę na prawo od obudowanej umywalki. Znalazł rolkę przylepca i zerwał z niej blaszany pierścień z symbolem Czerwonego Krzyża.

Liz odparła, że nic nie słyszy.

– Nie szkodzi – stwierdził. – Ja słyszę za nas troje. Ręce do tyłu.

– Co masz zamiar.

– Przymknij się i rób, co mówię!

Posłuchała i Stark natychmiast skrepował jej nadgarstki. Krzyżował taśmę w ciasnych ósemkach.

– Silnik właśnie zgasł – zauważył. – Może pół kilometra stąd. Ktoś próbuje się wycwanić.

Liz pomyślała, że w ostatnim momencie usłyszała odgłos silnika, lecz mogło to być jedynie wynikiem sugestii. Wiedziała, że nie byłoby to możliwe, gdyby nie wyteżęła słuchu. Dobry Boże, on słyszy każdy szmer!

– Muszę przeciąć tę taśmę – powiedział. – Wybacz, Beth, że przez parę sekund będę zachowywał się niedyskretnie. Nie ma czasu na uprzejmość.

I zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, włożył rękę pod pasek jej spódnicy. Chwilę później wyciągnął stamtąd nożyczki. Nawet nie pokłął jej agrafkami.

Gdy sięgnął za plecy Liz i przeciął nożyczkami taśmę, popatrzył jej w oczy. I znowu wydawał się rozbawiony.

– Zobaczyłeś je – powiedziała z przygnębieniem. – W końcu dostrzegłeś wypukłość.

– Nożyczki? – Roześmiał się. – Zauważyłem je, ale nie tutaj. Zobaczyłem je w twoich oczach, kochana Bethie. Jeszcze w Ludlow. Wiedziałem, że tam są, w chwili, gdy zeszłaś na parter.

Idiotycznie – i złowieszczo – niczym zalotnik proponujący małżeństwo uklęknął przed Liz z taśmą w dłoni, spojrzął na nią i rzekł:

– Tylko nie myśl o tym, żeby mnie kopnąć czy coś. Nie jestem

pewien, ale sędzę, że to jakiś gliniarz. I choć bardzo bym chciał, nie mam czasu na zabawy z tobą. Więc się nie ruszaj.

– Dzieci...

– Zamknę drzwi – uprzedził Stark. – Są za niskie, by dosięgnąć klamek, nawet gdy staną na nogi. Być może nałykają się trochę kurzu pod łóżkiem, ale chyba nic gorszego im nie grozi. Niebawem wrócę.

Teraz taśma owijała się ósemkami wokół jej kostek. Stark odciął rolkę i znowu wstał.

– Bądź grzeczna, Beth – ostrzegł. – Nie trać trafności sądu. Za coś takiego wystawiłbym ci rachunek... ale najpierw musiałabyś się przyglądać, jak płacą one.

Po czym zamknął drzwi łazienki oraz sypialni i sobie poszedł. Zniknął szybko jak dobry magik robiący sztuczkę.

Liz pomyślała o dwudziestcedwójce schowanej w szopie z narzędziami. Czy są tam również naboje? Na pewno tak. Na górnej półce jest pół pudełka naboju kalibru 5,6 mm do karabinów myśliwskich Winchestera.

Zaczęła obracać dłońmi w nadgarstku. Stark splótł taśmę bardzo umiejętnie i przez jakiś czas nie miała pewności, czy będzie w stanie ją poluzować, a co dopiero uwolnić skrępowane ręce.

Potem poczuła lekki luz i dysząc, zaczęła obracać dłońmi jeszcze szybciej.

William podpełzł do Liz, położył rączki na nogach matki i spojrzał na nią pytająco.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

Will odwzajemnił uśmiech i oddalił się na czworakach w poszukiwaniu siostry. Liz szybkim ruchem głowy odrzuciła przed oczu spocony kosmyk włosów i powróciła do obracania dłońmi

w nadgarstkach.

3

Z tego, co Pangborn widział, Lake Lane była całkowicie wyludniona... w każdym razie było tak na odcinku, który ośmielił się pokonać. Zatrzymał się przy szóstym podejździe. Sądził, że mógłby bezpiecznie podjechać trochę dalej – z tej odległości warkot silnika jego samochodu byłby zupełnie niesłyszalny z domu Beaumontów oddzielonego od radiowozu dwoma pagórkami – ale wolał dmuchać na zimne. Dojechał do domku ze stromym, sięgającym ziemi dwuspadowym dachem, który należał do rodziny Williamsów, letników z Lynn w stanie Massachusetts, zaparkował na dywanie z igieł pod wiekową sosną, zgasił silnik i wysiadł.

Uniósł wzrok i zobaczył wróble.

Siedziały na kalenicy domku Williamsów i na górnych gałęziach rosnących wokół drzew. Przysiadły na skałach nad jeziorem; walczyły o miejsce na pomoście – było ich tyle, że Alan nie widział desek pirsu. Całe setki.

I siedziały w zupełnym milczeniu, patrząc tylko na niego maleńkimi czarnymi ślepiami.

– Chryste Panie – szepnął szeryf.

W wysokiej trawie, która rosła wzdłuż fundamentów budynku, śpiewały świerszcze, słysząc było cichy plusk fal uderzających o pirs oraz samolot lecący z warkotem na zachód, w kierunku New Hampshire. Poza tym panowała cisza. Z jeziora nie dobiegał warkot silnika choćby jednej łodzi.

Tylko te ptaki.

Te wszystkie ptaki.

Alan poczuł, jak głęboki, lodowaty strach powoli rozlewa się w jego ciele. Widział wróble łączące się w stada wiosną lub jesienią, czasem sto lub dwieście naraz, ale czegoś takiego nie widział nigdy w życiu.

Przyleciały po Thada... czy po Starka?

Znowu spojrzął na mikrofon policyjnego radia, zastanawiając się, czy nie powinien jednak wezwać posiłków. To po prostu było zbyt dziwne, za bardzo wymknęło się spod kontroli.

A jeśli wszystkie pofruną równocześnie? Jeżeli tam jest i jeśli ma wyostrzone zmysły, jak twierdzi Thad, na pewno to usłyszy. Usłyszy z łatwością.

Ruszył. Wróble nie drgnęły... za to pojawiło się nowe stado i usiadło na drzewach. Wszystkie otaczały go teraz, wpatrując się weń niczym bezlitośni przysięgli w mordercę zasiadającego na ławie oskarżonych. Puste były jedynie gałęzie drzew rosnących przy Lake Lane.

Postanowił wrócić tą drogą.

Przyszła mu do głowy posępna myśl, bliska niemal przeczuciu, że być może popełnia największy błąd w swojej policyjnej karierze.

Zrobię tylko rekonesans, pomyślał. Jeżeli ptaki nie odfruną – a chyba nie mają na to ochoty – nic złego nie powinno mi się przytrafić. Mogę pójść tym podjazdem, przeciąć Lake Lane i przedostać się do domu Beaumontów lasem. Jeżeli jest tam toronada, zobaczę je. Wtedy być może zobaczę i jego. A wówczas będę przynajmniej wiedział, z kim mam do czynienia. Dowiem się, czy to Thad, czy... ktoś inny.

Naszła go również inna myśl. Alan nie śmiał jej do siebie dopuścić, nie chciał bowiem zapeszyć. Gdyby rzeczywiście zobaczył właściciela czarnego toronada, mógłby oddać celny strzał. Może zdołałby

skasować drania i zakończyć sprawę tutaj. Gdyby tak wszystko się potoczyło, dostałby porządny ochrzan za zlekceważenie wyraźnych rozkazów policji stanowej... ale Liz i dzieci byłyby bezpieczne, a teraz tylko to się dla niego liczyło.

Kolejne wróble sfrunęły bezszelestnie na ziemię. Pokryły całą powierzchnię asfaltu na podjeździe domku Williamsów. Jeden z nich usiadł niespełna półtora metra od butów Alana. Szeryf zamachnął się na niego nogą i natychmiast tego pożałował, licząc po trosze na to, że wyśle go – a wraz z nim całe stado tych potworów – w niebo.

Wróbel podskoczył nieco. I to wszystko.

Następny wróbel sfrunął Alanowi na ramię. Nie mógł w to uwierzyć, ale naprawdę tam był. Szeryf musnął go ręką i wtedy ptak skoczył mu na dłoń. Jego dziób opadł, jakby zamierzał dziobnąć dłoń Alana... po czym znieruchomiał. Pangborn z mocno bijącym sercem opuścił dłoń. Ptak odskoczył, zatrzepotał skrzydłami i siadł na podjeździe u boku swoich kolegów. Spojrzał na niego błyszczącymi, nieprzytomnymi oczami.

Alan przełknął ślinę. W jego krtani rozległ się wyraźny chrzęst.

– Kim jesteście? – mruknął. – Kim wy, kurwa, jesteście?

Wróble tylko gapiły się na niego. Teraz wydawało się, że wszystkie sosny i klony, które widział po tej stronie Castle Lake, są ich pełne. Usłyszał, jak pod ich ciężarem pęka gdzieś gałąź.

Ich kości są wydrażone, pomyślał. Te ptaki są lekkie jak piórko. Ile ich musi być, żeby złamać taką gałąź?

Nie wiedział. Nie chciał wiedzieć.

Odpiął pasek opinający kolbę jego trzydziestkiósemki i wrócił stromym podjazdem, oddalając się od ptaków. Zanim dotarł do Lake Lane, która była jedynie drogą gruntową ze wstęgą trawy rosnącej

między koleinami, twarz miał mokrą od potu, a wilgotna koszula kleiła się do pleców. Rozejrzał się. Widział wróble wzdłuż drogi, którą przyszedł – obsiadły cały radiowóz, robiąc sobie grzędę z maski silnika, klapy bagażnika i „koguta” na dachu – ale tutaj nie było żadnych ptaków.

Jakby, pomyślał, nie chciały się za bardzo zbliżyć... przynajmniej jeszcze nie teraz. Jakby to tutaj znajdował się ich punkt tranzytowy.

Z miejsca za krzakiem sumaka, które – na to liczył – miało być jego kryjówką, spojrzął na drogę w obie strony. Nie było widać żywego ducha – tylko wróble, które z powrotem obsiadły zbocze nad domkiem Williamsów. Panującą wokół ciszę zakłócały jedynie świerszcze i parę komarów bzyczących w pobliżu jego głowy.

Dobrze.

Alan przebiegł truchtem na drugą stronę drogi niczym żołnierz operujący na terytorium wroga, z głową wciśniętą między zgarbione ramiona, przeskoczył zatkany przez chwasty i kamienie rów i zniknął wśród drzew. Gdy znalazł się w ukryciu, skupił się na jak najszybszym i jak najcichszym przedostaniu się do domu Beaumontów.

4

Wschodnia strona Castle Lake leżała u stóp długiego stromeego wzgórza. Lake Lane biegła w połowie zbocza, więc większość domów stała tak nisko względem drogi, że ze swojego miejsca, czyli z odległości około dwudziestu metrów od rowu, Alan widział tylko ich dachy. Niektóre były całkowicie ukryte przed jego wzrokiem. Widział jednak samą drogę oraz odchodzące od niej podjazdy i dopóki nie stracił rachuby, nic mu nie groziło.

Gdy dotarł do piątego zjazdu za domkiem Williamsów, przystanął.

Popatrzył za siebie, żeby zobaczyć, czy wróble podążają za nim. Ta myśl była dziwaczna, ale nieodparta. Nie dojrzał ani śladu ptaków i przyszło mu do głowy, że były chyba wytworem jego przeciążonego umysłu.

Daj spokój, pomyślał. To ci się nie przywidziało. One tam były... i wciąż tam są.

Spojrzał na podjazd przed domem Beaumontów, ale z tego miejsca nic nie zobaczył. Zaczął schodzić niżej, powoli, skulony. Poruszał się bezszelestnie i właśnie wieszował sobie tego, gdy George Stark przytknął mu broń do lewej skroni i rzekł:

– Jeśli się poruszysz, kolego, mózg wyląduje ci na prawym ramieniu.

5

Alan odwracał głowę bardzo, bardzo powoli.

To, co zobaczył, sprawiło, że pożałował, iż nie urodził się niewidomy.

– Chyba nigdy nie trafię na okładkę „GQ”, co? – powiedział Stark z uśmiechem od ucha do ucha.

Ów grymas odsłonił dziąsła i zęby (oraz pustki po tych, które kiedyś miał) bardziej, niż powinien odsłaniać nawet najszerszy uśmiech. Twarz Starka była pokryta ranami, a skóra jakby z niej złąziła. Ale nie w tym był cały szkopuł, nie to zdjęło Pangborna trwogą i obrzydzeniem. Wydawało się, że coś jest nie tak z tkanką podskórną twarzy mężczyzny. Tak jakby się nie rozkładał, ale po prostu mutował w jakiś potworny sposób.

Tak czy inaczej, Alan wiedział, kim jest człowiek z bronią.

Włosy, martwe niczym stara peruka przyklejona do słomianej

głowy stracha na wróble, miał jasne. Ramiona niemal równie szerokie jak futbolista w pełnym rynsztunku. Choć się nie poruszał, w jego pozie był jakiś arogancki wdzięk świadczący o zwinności i lekkości kroku. Spoglądał na Alana z pogodną miną.

Oto człowiek, który nie mógł istnieć, który nigdy nie istniał.

Oto pan George Stark, ten zimny sukinsyn z Oxfordu w stanie Missisipi.

To wszystko było prawdą.

– Witaj w wesołym miasteczku, stary – powiedział łagodnym tonem Stark. – Jak na takiego dryblasa, całkiem sprawnie się poruszasz. Nie od razu cię zauważyłem, a szukam od dawna. Chodźmy do domu. Chcę cię przedstawić tej kobietce. A jeśli zrobisz jeden fałszywy ruch, zginiesz, tak jak i ona oraz te śliczne maleństwa. Ja nie mam nic do stracenia. Wierzysz mi?

Stark rozciągnął swą rozkładającą się, potwornie zniekształconą twarz w uśmiechu. Świerszcze dalej śpiewały w trawie. Na jeziorze jakiś nur wzniósł uroczy, przesywający powietrze okrzyk. Alan żałował z całego serca, że nie jest tym ptakiem, kiedy bowiem popatrzył w wybałuszone oczy Starka, dojrzał w nich oprócz śmierci tylko jedną rzecz... a była to kompletna nicość.

Z pełną jasnością zdał sobie nagle sprawę, że już nigdy nie zobaczy swojej żony i synów.

– Wierzę – odparł.

– No to rzuć broń w krzaki i chodźmy.

Alan zrobił, jak mu kazano. Stark ruszył za nim i zeszli na drogę. Przecięli ją, po czym podążyli stromym podjazdem w stronę domu Beaumontów, który sterczał ze zbocza wzgórza na grubych drewnianych palach niemal jak dom na plaży w Malibu. O ile szeryf

zdołał zauważyć, wokół budynku nie było żadnych wróbli. Ani jednego.

W przedwieczornym słońcu oldsmobil Starka wyglądał jak czarna błyszcząca tarantula. Przypominał pocisk. Szeryf z lekkim podziwem przeczytał napis na naklejce na zderzaku. Wszystkie jego emocje były dziwnie stłumione, dziwnie łagodne, jakby to był tylko sen, z którego miał się niebawem obudzić.

Nie powinieneś tak myśleć, ostrzegł sam siebie. Myśląc tak, wykopiesz sobie grób.

Było to niemal zabawne, bo przecież już był trupem, nieprawdaż? Oto niedawno skradał się ku podjazdowi przed domem Thada, zamierzając przedostać się chyłkiem na drugą stronę drogi jak Indianin Tonto, rozejrzeć się porządnie, zorientować w sytuacji... a Stark po prostu przytknął mu pistolet do skroni, kazał rzucić broń i było po zabawie.

Nie słyszałem go; nawet go nie wyczułem. Ludzie sądzą, że jestem ostrożny, ale przy tym gościu wyszedłem na kompletnego niezdarę.

– Podoba ci się moja bryka? – zapytał Stark.

– Myślę, że twoja bryka musi się podobać wszystkim funkcjonariuszom policji w stanie Maine – odparł Alan – bo wszyscy jej szukają.

Stark zareagował radosnym śmiechem.

– Ciekawe, czemu w to nie wierzę? – Szturchnął Pangborna w okolice pasa lufą swojego pistoletu. – Właż do środka, mój miły kolego. Czekamy jeszcze na Thada. Gdy tutaj dotrze, myślę, że będziemy gotowi zaszaleć.

Alan spojrział na wolną rękę Starka i dostrzegł niezmiernie dziwną rzecz: wydawało się, że na jego dłoni nie ma żadnych bruzd. Była

zupełnie gładka.

6

– Alanie! – krzyknęła Liz. – Nic ci się nie stało?

– Cóż – odparł szeryf – jeżeli mężczyzna może wyjść na skończonego idiotę i mimo to twierdzić, że nic mu się nie stało, to chyba rzeczywiście tak jest.

– Pewnie wcześniej byś w to nie uwierzył – zauważył Stark łagodnie i wskazał na nożyczki, które wyjął Liz z majtek. Położył je wcześniej na jednym ze stolików nocnych, które stały po obu stronach dużego podwójnego łóżka, poza zasięgiem bliźniąt. – Rozetnij jej więzy na nogach, Alanie – polecił.

– Nadgarstkami nie musisz zawracać sobie głowy. Wygląda na to, że już niemal wyswobodziła ręce. A może jesteś komendantem Pangbornem?

– Szeryfem – wyjaśnił Alan i pomyślał: On o tym wie. Zna mnie, szeryfa Alana Pangborna z okręgu Castle, bo zna mnie Thad. Ale choć ma nade mną przewagę, nie zdradza całej swojej wiedzy. Jest szczwany jak lis, który zakradł się do kurnika.

Po raz drugi ogarnęła go ponura pewność zbliżającej się śmierci. Próbował myśleć o wróblach, były bowiem jedynym elementem tego koszmaru nieznanym, jak sądził, George'owi Starkowi. Zmienił jednak zdanie. Ten człowiek był zbyt bystry. Gdyby Alan dopuścił do siebie nadzieję, Stark dostrzegłby ją w jego oczach... i zaczął się zastanawiać, z czego wynika.

Alan wziął nożyczki i uwolnił nogi Liz, w chwili gdy sama wyswobodziła rękę z przylepca i zaczęła zrywać go z nadgarstków.

– Zrobisz mi krzywdę? – zapytała z niepokojem i uniosła dłonie,

jakby zaczerwienienia, które przylepiec pozostawił na jej przegubach miały jakoś odwieść go od takiego zamiaru.

– Nie – odparł, uśmiechając się nieco. – Nie mogę cię winić za zrobienie czegoś, co jest rzeczą naturalną, prawda, kochana Beth?

Przerażona Liz posłała mu w odpowiedzi pełne odrazy spojrzenie, po czym przygarnęła bliźnięta. Zapytała, czy może zabrać je do kuchni i dać im coś dojedzenia. Spały, dopóki Stark nie zatrzymał skradzionego Clarkom volva na parkingu, i teraz były ożywione i radosne.

– Oczywiście – odparł. Wydawało się, że jest w pogodnym, optymistycznym nastroju... lecz trzymał w dłoni broń, a jego oczy wędrowały bezustannie między Liz i Alanem. – Może wszyscy tam pójdziemy? Chcę pogadać z szeryfem.

Wyszli razem do kuchni i Liz zaczęła przygotowywać posiłek dla bliźniąt. W tym czasie Alan przyglądał się malcom. Były uroczyimi dziećmi – uroczyimi jak para króliczków – i ich widok przypomniał mu okres, gdy on i Annie byli znacznie młodsi, gdy Toby, kończący teraz szkołę średnią, nosił pieluchy, a Todd miał przyjść na świat dopiero za kilka lat.

Bliźnięta raczkowały radośnie tu i tam i co jakiś czas musiał kierować któreś z nich w inną stronę, zanim zdążyło ściągnąć na siebie krzesło lub walnąć głową w spód pokrytego laminatem kuchennego stołu.

Opiekując się dziećmi, słuchał wynurzeń Starka.

– Myślisz, że mam zamiar cię zabić. Nie musisz zaprzeczać, szeryfie; widzę to w twoich oczach, a znam takie spojrzenia. Mógłbym skłamać i powiedzieć, że to nieprawda, ale chyba byś mi nie uwierzył. Sam masz przecież pewne doświadczenie w tych sprawach, zgadza się?

– Tak sędzę – odparł Alan. – Ale coś takiego trochę... no cóż, odbiega od zwykłej praktyki policyjnej.

Stark odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał. Bliźnięta spojrzały w jego stronę i zaśmiały się do wtóru. Szeryf zerknął na Liz i zobaczył na jej twarzy trwogę i nienawiść. Malowało się jednak na niej coś jeszcze, nieprawdaż? Owszem. Alan pomyślał, że to zazdrość. Zastanawiał się leniwie, czy George Stark jest nieświadom czegoś jeszcze: czy ma pojęcie, jak groźna może być dla niego ta kobieta.

– Trafnie to ująłeś! – stwierdził Stark, wciąż chichocząc. Po chwili spoważniał. Pochylił się ku Alanowi i ten poczuł serowy odór rozkładającego się ciała. – Ale to nie musi się potoczyć tym torem, szeryfie. Prawdopodobieństwo, że nie wyjdiesz z tego żywy, jest spore, nie przeczę, lecz szansa przeżycia istnieje. Muszę tu coś zrobić. Napisać pewną rzecz. Thad mi pomoże, przygotowuje grunt, można by rzec. Pewnie będziemy, ja i on, pracować przez całą noc, ale zanim jutro rano wszędzie słońce, powinienem w zasadzie doprowadzić swoje sprawy do ładu.

– Chce, żeby Thad nauczył go pisać samodzielnie – wyjaśniła Liz. – Twierdzi, że będą wspólnie pracować nad książką.

– To niezupełnie tak – powiedział Stark. Przez chwilę patrzył na Liz, gładką dotąd powierzchnię jego dobrego nastroju zmarszczyła fala rozdrażnienia. – A Thad jest mi winien przysługę. Może i potrafił pisać, zanim się pojawiłem, ale to ja nauczyłem go pisać rzeczy, które ludzie chcieliby czytać. A co komu z pisania książek, jeżeli nikt nie będzie chciał po nie sięgnąć?

– Ty byś tego nie zrozumiał, prawda? – zauważyła Liz.

– Potrzebuję od Thada czegoś w rodzaju transfuzji – wyjaśnił Alanowi Stark. – Wydaje się, że mam... gruczoł, który przestał u mnie

pracować. Chwilowo. Sądzę, że Thad wie, jak go uaktywnić. Powinien wiedzieć, bo przecież sklonował jakby mój gruczoł ze swojego, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Chyba można by powiedzieć, że zbudował większość mojego wyposażenia.

O nie, przyjacielu, pomyślał Alan. Tak nie jest. Może o tym nie wiesz, ale nie jest. Wy dwaj robiliście to wspólnie, ponieważ istnieliście od samego początku. A ty byłeś strasznie uparty. Thad próbował położyć kres twojemu istnieniu, zanim się urodził, i nie zdołał tego zrobić w pełni. Potem, jedenaście lat później, spróbował swych sił doktor Pritchard i to poskutkowało, ale tylko na jakiś czas. W końcu Thad zachęcił cię do powrotu. Zrobił to, lecz nieświadomie... bo o tobie nie wiedział. Pritchard nigdy mu o tobie nie wspomniał. I zjawileś się, prawda? Jesteś duchem jego zmarłego brata... a zarazem kimś znacznie więcej i znacznie mniej niż duchem.

Alan złapał Wendy, która znalazła się przy kominku, zanim zdążyła wpaść tyłem do skrzynki z drewnem.

Stark spojrzał na bliźnięta, a potem znowu na Alana.

– Obaj z Thadem pochodzimy z długiej tradycji bliźniąt. A ja, oczywiście, powstałem po śmierci bliźniąt, które byłyby starszymi braćmi lub siostrami tych oto malców. Jeśli chcesz, nazwij to transcendentálną próbą pogodzenia interesów.

– Nazwę to szaleństwem – odparł Alan.

Stark się roześmiał.

– Ja właściwie też. Ale to się wydarzyło. Można by rzec, że słowo stało się ciałem. Jak do tego doszło, nie ma większego znaczenia... ważne, że tu jestem.

Mylisz się, pomyślał Alan. Być może ważne jest wyłącznie to, jak do tego doszło. Jeśli nie dla ciebie, to dla nas. bo chyba tylko to może

nas ocalić.

– Gdy sprawy doszły do pewnego punktu, stworzyłem siebie – ciągnął Stark. – I to, że mam problemy z pisaniem, naprawdę nie jest takie zaskakujące. Stworzenie swojego ja... wymaga sporo energii. Nie myślisz chyba, że coś takiego zdarza się codziennie?

– Boże broń – wtrąciła Liz.

Trafiła w punkt lub blisko celu. Głowa Starka obróciła się ku niej z prędkością atakującego węża i tym razem rozdrażnienie rozlało się większą falą.

– Chyba powinnaś po prostu zamknąć buźkę, Beth – powiedział cicho – zanim przysporzysz kłopotów komuś, kto nie może mówić za siebie.

Liz spojrzała na rondel na kuchence. Alanowi wydawało się, że pobladła.

– Przynieś je tutaj, Alanie, dobrze? – poprosiła cicho.

– Jedzenie gotowe.

Usadziła sobie córkę na kolanach, a Pangborn wziął Williama. Zdumiewające, jak szybko przypomniał sobie technikę karmienia, pomyślał, karmiąc pulchnego malca. Wsadź łyżeczkę, przechył, a potem, wyciągnąwszy ją z buzi malca, przesunij szybko, lecz delikatnie od podbródka ku dolnej wardze, zbierając jak najwięcej skapujących kropeł pokarmu i ściekającej po brodzie śliny. Will stale sięgał po łyżeczkę, uznając najwyraźniej, że jest wystarczająco duży i doświadczony, żeby kierować nią samemu, łaskawco. Alan zniechęcał go delikatnie i wkrótce chłopczyk zabrał się poważnie do jedzenia.

– Faktem jest, że mogę się tobą posłużyć – wyjaśnił mu Stark, opierając się o kuchenny blat i przesuwając leniwie czubkiem lufy po

gorsie pikowanej kamizelki, której szorstki materiał szeleścił głośno. – Czy dzwoniли do ciebie z policji stanowej i kazali ci tu przyjechać i sprawdzić to miejsce? Czy dlatego tutaj jesteś?

Alan rozważył wszystkie za i przeciw i uznał, że bezpieczniej będzie powiedzieć prawdę, głównie dlatego, że nie miał wątpliwości, iż ten człowiek – o ile Stark był człowiekiem – ma bardzo sprawny wewnętrzny wykrywacz kłamstw.

– Niezupełnie – odparł i powiedział Starkowi o telefonie od Kędzierzawego Martina.

Nim skończył mówić, Stark kiwał już głową.

– Wydawało mi się, że widziałem błysk w oknie tamtego wiejskiego domu – rzekł i zachichotał. Wyglądało na to, że wrócił mu dobry humor. – No, no! Ludzie na wsi muszą być trochę wścibscy, nieprawdaż, szeryfie? Mają tak niewiele do roboty, że zdziwiłbym się, gdyby było inaczej! Cóż zatem zrobiłeś, gdy odłożyłeś słuchawkę?

Odpowiadając na to pytanie, nie skłamał, ponieważ sądził, że Stark wie, co zrobił – już sama jego obecność starczała za odpowiedź na większość pytań. Uznał, że morderca tak naprawdę chciał wiedzieć, czy będzie na tyle głupi, by próbować zataić prawdę.

Gdy umilkł, Stark rzekł:

– W porządku, to dobrze, że nie strugasz bohatera. Masz szansę jeszcze pożyć, szeryfie. A teraz posłuchaj, bo powiem ci dokładnie, co zrobimy, gdy te maluchy się podtuczają.

7

– Na pewno wiesz, co powiedzieć? – zapytał znowu Stark.

Stali przy telefonie w holu od frontu, jedynym działającym aparacie, jaki został w domu.

– Tak.

– I nie będziesz próbował zostawić jakichś zaszyfrowanych wieści waszemu dyspozytorowi?

– Nie.

– To dobrze – stwierdził Stark. – To dobrze, bo byłoby fatalnie, gdybyś akurat teraz zapomniał, że wyrosłeś już z dziecięcych zabaw. Komuś z pewnością stałaby się krzywda.

– Może byś tak zaprzestał na moment tych gróźb?

Uśmiech Starka zrobił się jeszcze szerszy, stał się manifestacją parszywego splendoru. Morderca na wszelki wypadek zabrał ze sobą Williama, żeby zdyscyplinować Liz, i teraz połaskotał chłopczyka pod pachą.

– Nie mogę tego uczynić – odparł. – Człowiek, który sprzeciwia się swojej naturze, cierpi na zaparcia, szeryfie.

Telefon stał na stoliku przy dużym oknie. Gdy Alan podniósł słuchawkę, sprawdził, czy w lesie na zboczu za podjazdem są wróble. Nie było widać żadnych ptaków. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Czego tak wypatrujesz, stary?

– Że co? – Zerknął na Starka. Oczy bandyty spoglądały na niego beznamiętnie z rozkładających się oczodołów.

– Słyszałeś mnie. – Stark wskazał ruchem ręki na podjazd i toronado. – Nie patrzysz przez okno tylko dlatego, że tu jest. Masz twarz człowieka, który spodziewa się coś zobaczyć. Chcę wiedzieć, co to takiego.

Alan poczuł, jak lodowata nić trwogi wędruje mu po grzbiecie.

– Thad – usłyszał swój spokojny głos. – Wypatruję Thada, tak samo jak ty. Niebawem powinien tu dotrzeć.

– I lepiej, by okazało się to prawdą, nie sądzisz? – rzekł Stark

i podniósł Williama trochę wyżej. Zaczął powoli wodzić lufą swojego pistoletu po pulchnym brzuszku chłopca, łaskocząc go. William zachichotał i delikatnie pogładził Starka po rozkładającym się policzku, jakby chciał rzec: „Przestań, wesołku... ale jeszcze nie teraz, bo to niezła zabawa”.

– Rozumiem – odparł Alan i z trudem przełknął ślinę.

Stark przesunął wylot lufy do brody malca i poruszył nią jego maleńkie podgardle. Chłopczyk się zaśmiał.

Jeżeli Liz wyjdzie zza ściany i zobaczy, jak Stark to robi, dostanie szału, pomyślał ze spokojem Alan.

– Na pewno nie masz mi nic więcej do powiedzenia, szeryfie? Nie masz przede mną żadnych tajemnic?

– Nie – odparł Alan, a w myślach dodał: Ukrywam tylko informacje o wróblach w lesie wokół posesji Williamsów. – Nie mam żadnych tajemnic.

– W porządku. Wierzę ci. Przynajmniej na razie. A teraz rób, co masz zrobić.

Alan wybrał numer biura szeryfa okręgu Castle. Stark przysunął się blisko – tak bardzo, że czując jego odór, Alan miał wrażenie, iż zaraz się zakrztusi – i podsłuchiwał.

Sheila Brigham odebrała po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Sheilo... mówi Alan. Jestem nad Castle Lake. Próbowałem się połączyć przez radio, ale sama wiesz, jaki tutaj jest sygnał.

– Żaden – odparła i wybuchnęła śmiechem.

Stark się uśmiechnął.

8

Gdy Stark i Alan zniknęli za ścianą, Liz wysunęła szufladę pod

kuchennym blatem i wyjęła z niej największy nóż rzeźniczy. Zerknęła w stronę holu, wiedząc, że Stark może w każdej chwili wystawić głowę, żeby ją skontrolować. Ale na razie była bezpieczna. Słyszała, jak rozmawiają. Stark mówił coś o tym, w jaki sposób Alan spoglądał przez okno.

Muszę to zrobić, pomyślała, i muszę to zrobić samodzielnie. Stark obserwuje Alana jak dziki kot, a nawet gdybym mogła coś powiedzieć Thadowi, tylko pogorszyłyby to sytuację... ponieważ Stark ma dostęp do jego umysłu.

Trzymając Wendy na rękę, zdjęła buty i bosą weszła pośpiesznie do salonu. Była w nim kanapa ustawiona tak, by można było z niej patrzeć na jezioro. Liz wsunęła nóż pod falbanę obicia... ale niezbyt głęboko. Gdyby usiadła, byłby w zasięgu ręki.

A gdyby usiedli na kanapie razem, ona i szczywany George Stark, on też byłby w jej zasięgu.

Może uda mi się go do tego skłonić, pomyślała, wracając w pośpiechu do kuchni. Tak, może mi się uda. Pociągam go. To potworne... ale nie na tyle, by tego nie wykorzystać.

Weszła do kuchni, spodziewając się, że zastanie tam Starka błyskającego do niej resztkami zębów w swym okropnym, gnijącym uśmiechu. Kuchnia jednak była pusta, nadal też słyszała głos rozmawiającego w holu przez telefon Alana. Wyobraziła sobie Starka stojącego tuż obok i podsłuchującego.

I świetnie. Pomyślała, że jak dobrze pójdzie, George Stark zginie, zanim Thad dotrze na miejsce.

Nie chciała, żeby się spotkali. Nie rozumiała w pełni, skąd bierze się u niej ta głęboka chęć zapobieżenia ich spotkaniu, ale rozumiały był dla niej przynajmniej jeden powód: obawiała się, że ta współpraca

może się rzeczywiście udać, a obawę wzmagało to, że wiedziała, co będzie owocem tego sukcesu.

W ostatecznym rozrachunku tylko jedna osoba mogła rościć sobie prawo do dwoistych natur Thada Beaumonta i George'a Starka. Tylko jedna istota mogła przetrwać takie potworne rozdarcie. Gdyby Thad zdołał zapewnić Starkowi pomoc, której ten potrzebował, gdyby Stark zaczął pisać samodzielnie, czy jego rany i owrzodzenia zaczęłyby się goić?

Liz uważała, że tak. Uważała, że Stark mógłby nawet zacząć się upodabniać do jej męża.

A później jak szybko (zakładając, że Stark zachowałby ich wszystkich przy życiu i zdołałby uciec) na twarzy Thada pojawiłyby się pierwsze rany?

Jej zdaniem błyskawicznie. Bardzo wątpiła też, czy Stark byłby zainteresowany uchronieniem Thada najpierw od rozkładu, a w końcu od kompletnego unicestwienia wraz z całą trafnością sądów.

Włożyła z powrotem buty i zaczęła sprzątać resztki wczesnej kolacji bliźniąt. Ty draniu, pomyślała, wycierając blat, a następnie napełniając zlew ciepłą wodą. To ty jesteś pseudonimem literackim, to ty jesteś intruzem, nie mój mąż. Strzyknęła płynem do mycia naczyń do zlewozmywaka, po czym poszła do salonu, żeby sprawdzić, co robi Wendy. Mała raczkowała po podłodze, przypuszczalnie szukając braciszka. Za przeszklonymi rozsuwanymi drzwiami przedwieczne słońce przecierało jaskrawożłoty szlak przez błękitne wody jeziora.

Tu nie ma dla ciebie miejsca. Budzisz wstręt. Na twój widok i na myśl o tobie robi mi się niedobrze.

Spojrzała na kanapę, pod którą w pobliżu krawędzi leżał długi ostry nóż.

Ale ja potrafię temu zaradzić. I jeżeli Bóg pozwoli mi postawić na swoim, zaradzę temu.

9

Woń Starka docierała do niego z całą mocą, Alan próbował jednak opanować odruchy wymiotne.

– Czy Norris Ridgewick już wrócił, Sheilo?

Stojący obok Stark znowu zaczął łaskotać Williama lufą swojej czterdziestkiątki.

– Jeszcze nie, Alanie. Przykro mi.

– Gdy przyjdzie, powiedz, żeby siadł przy biurku i złuzował Cluta.

– Jego zmiana...

– Tak, jego zmiana się skończyła, wiem. Miasto będzie musiało zapłacić nadgodziny i Keeton zmyje mi głowę, ale co mogę zrobić? Jestem tu uziemiony z niesprawnym radiem i radiowozem, który się dławi, gdy tylko na niego spojrzę. Dzwonię z domu Beaumontów. Policja stanowa chciała, żebym go sprawdził, ale to fałszywy trop.

– Wielka szkoda. Chcesz, żebym przekazała tę wiadomość policji stanowej?

Alan spojrzał na Starka, który wydawał się całkowicie pochłonięty łaskotaniem wiercącego się w jego ramionach uradowanego malca. Morderca skinął w zamyśleniu głową.

– Tak. Zadzwoń w moim imieniu do komendy w Oxfordzie. Pomyślałem, że przegryzę coś w tym barze, gdzie sprzedają kurczaki na wynos, a potem wrócę tu, żeby jeszcze raz sprawdzić. Jeśli oczywiście uruchomię samochód. Jeśli nie, może zobaczę, co

Beaumontowie mają w spiżarni. Zanotujesz coś dla mnie, Sheilo?

Wyczuł raczej, niż zauważył, że Stark lekko sztywnieje. Lufa pistoletu zatrzymała się wycelowana w pępek Williama. Alan czuł, jak strużki zimnego potu ściekają mu powoli po klatce piersiowej.

– Oczywiście.

– Myślę, że jako człowiek pomysłowy powinien znaleźć lepsze miejsce na chowanie zapasowego klucza niż pod wycieraczką.

Sheila Brigham się roześmiała.

– Zanotowałam.

Lufa czterdziestkiipiątki znowu zaczęła się przesuwać i William uśmiechnął się szeroko. Alan rozluźnił się trochę.

– Mam rozmawiać z Henrym Paytonem?

– Mhm. Albo z Dannym Eamonsem, jeżeli Henry’ego nie będzie.

– Dobra.

– Dzięki. Kolejny bzdurny wymysł policji stanowej, to wszystko. Trzymaj się.

– Ty też, Alanie.

Odłożył delikatnie słuchawkę i odwrócił się do Starka.

– W porządku?

– Jak najbardziej – odparł Stark. – Szczególnie podobał mi się twój tekst o kluczu pod wycieraczką. Dodatkowy, bardzo znaczący akcent.

– Ale z ciebie kutas – rzekł szeryf. W tych okolicznościach nie było to zbyt mądre, ale nie potrafił opanować niespodziewanej złości.

Stark też sprawił mu niespodziankę. Swoim śmiechem.

– Nikt za mną nie przepada, prawda, szeryfie?

– Prawda – przyznał Alan.

– Cóż, nic nie szkodzi... wystarczy, że sam siebie lubię. Jestem prawdziwym przedstawicielem New Age. Najważniejsze, że moim

zdaniem jesteście w całkiem dobrej sytuacji. Myślę, że wszystko pójdzie jak z płatka. – Objął dłonią przewód telefonu i wyrwał go z gniazdka.

– Chyba tak – rzekł Alan, ale pewności nie miał.

Było to nieprzekonujące – znacznie bardziej nieprzekonujące, niż sądził Stark, który najwyraźniej uważał, że wszyscy policjanci na północ od Portlandu to zgraja zaspanych typów w rodzaju szeryfa Dawga. Dan Eamons w Oxfordzie prawdopodobnie nie zwróci na to uwagi, chyba że ktoś z Orono lub Augusty weźmie go do galopu. Ale Henry Payton? Tego, że Henry uwierzy, iż Alan w drodze na kurczaka w Cluck-Cluck Tonight zajrzał do domu mordercy Homera Gamache'a, szeryf wcale pewny nie był. Henry mógł wyczuć pismo nosem.

Obserwując, jak Stark łaskocze malca lufą czterdziestkią, zastanawiał się, czy chce, żeby tak się stało, i stwierdził, że tego nie wie.

– I co teraz? – zapytał Starka.

Ten westchnął głęboko i z wyraźną przyjemnością spojrzął na oświetlony słońcem las.

– Zapytajmy Bethie, czy może upichcić naprędce coś do żarcia. Jestem głodny. A niech mnie! Życie na wsi jest wspaniałe, czyż nie, szeryfie?

– Dobrze – rzekł Alan.

Ruszył z powrotem do kuchni. Stark chwycił go za ramię i zapytał:

– Ten bajer o zatykającym się gaźniku. To nie oznaczało nic szczególnego, prawda?

– Nie. To był tylko kolejny przykład... jak ty to nazywasz? Dodatkowego, bardzo znaczącego akcentu. W ostatnim roku kilka naszych patroli miało kłopoty z karburatorem.

– Oby to była prawda – mruknął Stark, patrząc na Alana martwym wzrokiem. Gęsta ropa wyciekała z wewnętrznych kącików jego oczu i spływała z obu stron obłazącego ze skóry nosa niczym lepkie krokodyle łzy. – Byłoby szkoda, gdybym musiał zrobić krzywdę jednemu z dzieciaków, bo ty chciałeś mnie przechytryć. Thad będzie pracował na pół gwizdka, gdy się dowie, że musiałem sprzątnąć jedno z bliźniąt, żeby cię zdyscyplinować. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wcisnął Williamowi lufę pistoletu pod pachę. Chłopczyk zachichotał i zaczął się wiercić. – Jest słodki jak ciepły kociak, nieprawdaż?

Alan miał wrażenie, że przełknął duży, suchy, kulisty kłak.

– Robiąc to, wkurzasz mnie na maksa, człowieku.

– A wkurzaj się dalej – odparł z uśmiechem Stark. – Jestem po prostu gościem, przy którym człowiek powinien się wkurzać. Zjedzmy coś, szeryfie. Ten malec stęsknił się chyba za swoją siostrą.

Liz podgrzała Starkowi miskę zupy w kuchence mikrofalowej. Najpierw zaproponowała, że rozmrozi mu jakieś gotowe danie, lecz pokręcił z uśmiechem głową, po czym sięgnął do ust i pociągnął za ząb. Ten z łatwością wyszedł z przegniłego dziąsła.

Gdy wrzucał go do kosza na śmieci, odwróciła głowę, zacisnąwszy mocno usta; jej napiętą twarz pokryła maska obrzydzenia.

– Nie przejmuj się – rzekł pogodnie Stark. – Niebawem będą w lepszym stanie. Wszystko będzie niebawem w lepszym stanie. Wkrótce zjawi się tu ojczulek.

Kiedy dziesięć minut później Thad zajechał przed dom volkswagenem Rawliego, Stark wciąż pił zupę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

MASZYNA ZE STALI

1

Letni dom Beaumontów znajdował się ponad półtora kilometra od zjazdu w Lake Lane z drogi numer 5, lecz Thad zatrzymał się po niespełna dwustu metrach, wybałuszając z niedowierzaniem oczy.

Wszędzie były wróble.

Obsiadły wszystkie gałęzie wszystkich drzew, wszystkie kamienie, każdy skrawek otwartej przestrzeni. Świat, który ujrzał, był groteskowy, wręcz oniryczny: tak jakby ten kawałek stanu Maine wypuścił pióra. Droga przed nim zniknęła. Całkowicie. Na jej miejscu biegł między przeciążonymi drzewami trakt usłany niemymi, popychającymi się nawzajem wróblami.

Gdzieś złamała się gałąź. Poza tym słychać było wyłącznie warkot volkswagena. Tłumik był już w złym stanie, gdy Thad zaczął swą ucieczkę na zachód; teraz wydawało się, że nie spełnia żadnej funkcji. Silnik prychał i ryczał, od czasu do czasu rozlegał się strzał z gaźnika i jego odgłos powinien był natychmiast spłoszyć to monstrualne stado, lecz ptaki nawet nie drgnęły.

Stado zaczynało się w odległości niespełna czterech metrów od miejsca, w którym Thad zatrzymał volkswagena i wrzucił oporną dźwignię skrzyni biegów na luz. Granica była wytyczona tak dokładnie, jakby wykreślono ją przy linijce.

Nikt od lat nie widział takiego stada, pomyślał Thad. Odkąd pod koniec XIX wieku wytopiono kanadyjskie gołębie wędrownie... o ile nie wcześniej. To przypomina obraz z opowieści Daphne du Maurier.

Jakiś wróbel sfrunął na maskę silnika volkswagena i zerkał na Thada; Thad wyczuł przerażające, beznamienne zaciekawienie w czarnych ślepiach ptaka.

Jak daleko dotarły? – zastanawiał się. Aż do samego domu? Jeśli tak, to George je widział... i cena będzie piekielna, jeżeli jeszcze nie została zapłacona. A jeśli nawet nie dotarły tak daleko, jak ja mam się tam dostać? One nie stoją na drodze, one ją tworzą.

Znał oczywiście odpowiedź na to pytanie. Jeżeli zamierzał się dostać do domu, będzie musiał przejechać po nich.

Nie, niemal jęknął jego umysł. Nie możesz tego zrobić. Wyobraźnia Thada stworzyła okropne obrazy: chrzęst łamanych kości w tysiącach ptasich ciał, strumienie krwi tryskające spod kół samochodu, rozmiękłe kłaki zlepionych piór obracające się wraz z kołami.

– Ale to zrobię – mruknął. – Zrobię to, bo muszę.

Drżący uśmiech zaczął wykrzywiać jego twarz w grymasie głębokiego, na wpół szaleńczego skupienia. W tym momencie niesamowicie przypominał George'a Starka. Wrzucił z powrotem jedynekę i zaczął nucić pod nosem piosenkę *John Wesley Harding*. Volkswagen Rawliego zaterkotał, omal nie zgasł, po czym trzykrotnie huknął z rury wydechowej i zaczął się toczyć naprzód.

Wróbel na masce silnika odfrunął i Thad wstrzymał oddech w oczekiwaniu, aż wszystkie wzbiją się w powietrze jak w jego transowych wizjach: wielka, wędrująca do góry ciemna chmura, której towarzyszył odgłos tornada w butelce.

Tymczasem powierzchnia drogi przed zderzakiem volkswagena

zaczęła się zwijać i przesuwać. Wróble – w każdym razie niektóre z nich – rozstępowały się, odsłaniając dwa puste pasy... dokładnie dostosowane do toru jazdy garbusa.

– Chryste – szepnął Thad.

Potem znalazł się pośród nich. Nagle przeszedł ze znanego mu od zawsze świata do obcego, zamieszkanego wyłącznie przez tych wartowników strzegących granicy między krainą żywych i krainą umarłych.

Tam właśnie teraz jestem, pomyślał, jadąc powoli podwójnym torem, który udostępniały mu ptaki. Jestem w krainie żywych trupów i niech Bóg ma mnie w opiece.

Droga nadal stała przed nim otworem. Zawsze miał cztery metry wolnego toru, a gdy pokonywał ten dystans, otwierały się przed nim kolejne cztery. Podwozie volkswagena przesuwało się nad wróblami, które zgromadziły się między kołami, ale wyglądało na to, że ptaki uchodzą z życiem; w lusterku wstecznym nie widział w każdym razie za sobą żadnych martwych ciał. Trudno było jednak stwierdzić to na pewno, bo wróble zamykały drogę za nim, tworząc na nowo ów płaski, pierzasty kobierzec.

Czuł ich woń – lekki zapach rozkładu, który osiadał na piersi niczym opadająca mączka kostna. Kiedyś w dzieciństwie wsadził głowę do worka z karmą dla królików i zrobił głęboki wdech. Poczł wówczas właśnie taki zapach. Nie obrzydliwy, lecz przytłaczający. I obcy. Zaczęła go dręczyć myśl, że ta olbrzymia masa ptaków kradnie tlen z powietrza, że się udusi, zanim dotrze tam, dokąd zmierza.

Usłyszał teraz coś jakby ciche tykanie nad głową i wyobraził sobie wróble siedzące na dachu volkswagena, porozumiewające się ze swoimi kolegami, kierujące nimi, nakazujące im, żeby się odsunęli

i zrobili miejsce kołom samochodu, oraz informujące, że mogą bezpiecznie wrócić na swoje pozycje.

Wspiął się na pierwsze wzgórze na Lake Lane i spojrzął w dolinę wróbli – były wszędzie, obsiadły wszystko i wypełniły koronę każdego drzewa, zmieniając krajobraz w koszmarny ptasi świat, który wykraczał daleko poza granice wyobraźni Thada; w świat, który był dla niego nie do pojęcia.

Beaumont poczuł, że mdleje, i wymierzył sobie ze złością policzek. W porównaniu z rykiem silnika garbusa odgłos tego ciosu był słaby, ale Thad zobaczył, jak wielka fala... fala przypominająca dreszcz przechodzi po morzu ptaków.

Nie mogę tam zjechać. Nie mogę.

Musisz. Jesteś tym, który wie. Tym, który je sprowadził. Są twoją własnością.

A poza tym dokąd miał się udać? Przypomniawszy sobie słowa Rawliego: „Bądź ostrożny, Thad. Bardzo ostrożny. Żaden człowiek nie ma władzy nad przedstawicielami zaświatów. Jeśli już, to krótko”. Przypuśćmy, że spróbowałby wycofać na drogę numer 5. Ptaki rozstępowały się przed nim... nie sądził jednak, by umożliwiły mu odwrót. Uważał, że konsekwencje próby zmiany decyzji w tym momencie byłyby niewyobrażalne.

Thad zaczął powolny zjazd ze wzgórza... i droga przed nim stanęła otworem.

Nie zapamiętał szczegółów dalszej części tej podróży; jego umysł spuścił na nią litościwie zasłonę zapomnienia, gdy tylko dobiegła końca. Pamiętał jedynie, że powtarzał w myślach: Na litość boską, przecież to tylko wróble... nie tygrysy, aligatory bądź piranie... to tylko wróble!

Było to prawdą, lecz widok tak wielu tych ptaków naraz, wszędzie, stłoczonych na każdej gałęzi i walczących o miejsce na każdej zwalonej kłodzie... wpływał na umysł. Sprawiał mu ból.

Gdy dojechał do ostrego wirażu na Lake Lane mniej więcej kilometr dalej, po lewej stronie powinna się ukazać Schoolhouse Meadow. tyle że jej nie zobaczył. Schoolhouse Meadow była bowiem czarna od wróbli.

Ich widok zadawał ból świadomości.

Ile ich jest? Ile milionów? A może są ich miliardy?

W lesie z trzaskiem przypominającym odległy grzmot pękła jakaś gałąź. Thad minął posesję Williamsów, lecz ich pokryty stromym dwuspadowym dachem domek pod ciężarem wróbli zmienił się w puszysty garb. Beaumont nie miał pojęcia, że na podjeździe stoi radiowóz Alana Pangborna; widział tylko pierzasty wzgórek.

Minął domy Saddlerów, Massenburgów i Payne'ów. Właściciele pozostałych nie znał lub nie pamiętał ich nazwisk. Po czym, gdy do jego domu zostało jeszcze czterysta metrów, ptaki po prostu zniknęły. W jednym miejscu cały świat należał do wróbli; piętnaście centymetrów dalej w ogóle ich nie było. I znowu wydawało się, że ktoś wykreślił idealnie prostą linię przez drogę. Ptaki w podskokach odsunęły się na boki, odsłaniając tory, które teraz prowadziły na nagą ubitą ziemię Lake Lane.

Thad wjechał z powrotem na wolną od ptaków przestrzeń, zatrzymał się nagle, otworzył drzwi auta i zwymiotował na ziemię. Jęcząc, ocierał ramieniem zimny pot z czoła. Przed sobą widział lasy po obu stronach drogi i jasnoniebieskie błyski światła na tafli jeziora po lewej.

Spojrzał do tyłu i zobaczył zastygły w oczekiwaniu, milczący czarny

świat.

Przewodnicy dusz, pomyślał. Boże, pomóż mi, jeżeli to się nie uda, jeżeli on uzyska jakoś kontrolę nad tymi ptakami. Boże, pomóż nam wszystkim.

Zatrzasnął drzwi auta i zamknął oczy.

Weź się w garść, Thad. Nie po to przez to wszystko przeszedłeś, żeby teraz zawalić sprawę. Weź się w garść. Zapomnij o tych wróblach.

Nie potrafię o nich zapomnieć! –jęknęła część jego umysłu, przerażonego, urażonego, znajdującego się na krawędzi szaleństwa. Nie potrafię! Nie potrafię!

Ale potrafił. I weźmie się w garść.

Wróble czekały. On też poczeka. Poczeka, aż nadejdzie odpowiedni moment. Wierzył, że będzie umiał go wyczuć. Jeżeli nie zdoła zrobić tego dla siebie, zrobi to dla Liz i swoich dzieci.

Zachowuj się tak, jakby to była powieść. Po prostu powieść, którą piszesz. Powieść, w której nie ma ptaków.

– Dobra – mruknął. – Spróbuję.

Znowu ruszył i jednocześnie zaczął nucić pod nosem tekst ballady Dylana.

2

Thad zgasił silnik volkswagena – który ucichł po triumfalnym strzale z rury wydechowej – i wysiadł powoli z samochodu. Przeciągnął się. George Stark wyszedł z domu, tym razem trzymając na rękach Wendy, i stanął na werandzie twarzą do Thada.

On też się przeciągnął.

Liz stojąca obok Alana poczuła, jak w jej głowie, nie w krtani,

narasta krzyk. Niczego tak nie pragnęła, jak oderwać wzrok od tych dwóch mężczyzn, ale okazało się, że nie jest w stanie.

Przyglądanie się im obu przypominało obserwację mężczyzny robiącego ćwiczenia rozciągające przed lustrem.

Nawet usunięcie z tego obrazu oznak coraz szybszego rozkładu ciała Starka w najmniejszym stopniu nie upodobniało ich do siebie. Thad miał szczupłą sylwetkę i śniadą cerę, a Stark był barczysty i mimo opalenizny (z której zostało niewiele) jasnoskóry. Tak czy inaczej, stanowili jednak swoje lustrzane odbicie. To podobieństwo było niesamowite właśnie dlatego, że ani jedna cecha nie mogła tłumaczyć tego przerażającego wrażenia. Istniało *sub rosa*, głęboko ukryte między wierszami, lecz tak autentyczne, że aż biło po oczach: ta sztuczka z krzyżowaniem nóg w kostkach podczas przeciągania się, z rozczapierzaniem sztywno palców dłoni na obu udach, z lekkim zmrużeniem oczu.

Rozluźnili się dokładnie w tym samym momencie.

- Cześć, Thad. – Stark wydawał się niemal zawstydzony.
- Cześć, George – odparł beznamiętnie Thad. – A moja rodzina?
- Po prostu świetnie, dziękuję. Zamierzasz to zrobić? Jesteś gotów?
- Tak.

Za ich plecami gdzieś w pobliżu drogi numer 5 pękła gałąź. Wzrok Starka pobiegł w tym kierunku.

- Co to było?
- Gałąź drzewa – odparł Thad. – Przed czterema laty przeszło tędy tornado. Uschnięte drzewa wciąż się wałą. Przecież wiesz o tym.

Stark skinął głową.

- Jak się masz, stary?
- W porządku.

– Wyglądasz trochę mizernie.

Stark omiótł wzrokiem jego twarz i Thad czuł, jak George próbuje się wedrzeć do jego świadomości.

– Sam też nie prezentujesz się najlepiej.

Stark zaśmiał się z tego, lecz w jego śmiechu nie było poczucia humoru.

– Chyba nie.

– Zostawisz ich w spokoju? – zapytał Thad. – Jeżeli zrobię to, czego chcesz, naprawdę puścisz ich wolno?

– Tak.

– Daj mi słowo.

– W porządku – odparł Stark. – Masz moje słowo. Słowo południowca, którego nie daje się pochopnie.

Jego udawany, niemal karykaturalny akcent białego nędzarza zniknął bez śladu. Teraz mówił po prostu z przerażającym dostojeństwem. Dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie w przedwieczornym świetle słońca tak jasnym i złocistym, że wydawało się nierzeczywiste.

– Dobrze – rzekł Thad po długiej chwili i pomyślał: On nie wie. Naprawdę nie wie. Wróble... nadal są dla niego niewidoczne. To moja tajemnica. – Spróbujemy.

3

Gdy ci dwaj tak stali przy drzwiach, Liz zdała sobie sprawę, że właśnie miała idealną okazję, by powiedzieć Alanowi o nożu ukrytym pod kanapą... i pozwoliła jej umknąć.

Czy na pewno?

Odwróciła się do szeryfa i w tym momencie Thad zawołał:

– Liz?!

Głos Thada zabrzmiał ostro. Uderzył w rozkazujący ton, którego rzadko używał, i Liz odniosła wrażenie, że zna jej zamiary... i nie chce, żeby to zrobiła. Co oczywiście było niemożliwe. Czyżby? Sama nie wiedziała. Przestała już cokolwiek wiedzieć.

Spojrzała na męża i zobaczyła, że Stark wręcza mu Wendy. Thad przytulił córkę, a ona objęła go rączkami za szyję równie przyjaźnie jak wcześniej Starka.

Teraz! – pomyślała. Powiedz mu teraz! Każ mu uciekać! Teraz, póki mamy bliźnięta!

Ale Stark miał przecież broń i chyba żadne z nich nie było wystarczająco szybkie, by umknąć przed kulą. Znała też świetnie Thada; nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, lecz nagle przyszło jej do głowy, że równie dobrze mógłby się potknąć o własne nogi.

Teraz Thad znalazł się bardzo blisko niej i nawet nie mogła się dłużej łudzić, że nie rozumie komunikatu zawartego w jego spojrzeniu.

„Daj temu spokój, Liz – mówiły jego oczy. – To moja rozgrywka”.

Objął ją wolną ręką i cała rodzina Beaumontów stała w niezgrabnym, lecz żarliwym krzyżowym uścisku.

– Kochanie – powiedział, całując jej chłodne usta. – Kochanie, przepraszam, strasznie cię za to przepraszam. Nie chciałem, by coś takiego się stało. Nie wiedziałem. Myślałem, że to... nieszkodliwe. Że to żart.

Liz przytuliła go mocno, pocałowała, pozwoliła, by ogrzał ustami jej wargi.

– Już dobrze – odparła. – Wszystko będzie dobrze, prawda?

– Tak – potwierdził i odsunął się, by móc spojrzeć jej w oczy. –

Będzie dobrze.

Pocałował ją jeszcze raz, po czym skierował wzrok na szeryfa.

– Witaj, Alanie – rzekł i uśmiechnął się blado. – Czyżbyś zmienił zdanie?

– Owszem. W kilku sprawach. Rozmawiałem dzisiaj z twoim dawnym znajomym. – Popatrzył na Starka. – Twoim też.

Stark uniósł to, co zostało z jego brwi.

– Nie wydaje mi się, szeryfie, byśmy obaj z Thadem mieli wspólnych znajomych.

– Och, łączyła cię z tym człowiekiem bardzo bliska znajomość. Tak naprawdę kiedyś zginąłeś z jego ręki.

– O czym ty mówisz? – zapytał ostro Beaumont.

– Rozmawiałem z doktorem Pritchardem, który bardzo dobrze was obu pamięta. Bo też była to dość niezwykła operacja. Tym, co wyjął wówczas z twojej głowy, był on. – Pangborn skinął głową w stronę Starka.

– Co ty mówisz? – zapytała Liz. Jej głos załamał się przy ostatnim słowie.

Alan powtórzył im więc to, co powiedział mu Pritchard... lecz w ostatniej chwili pominął fragment dotyczący lotu nurkowego wróbla na szpital. Zrobił tak, gdyż Thad nie wspomniał o nich ani słowem... przecież musiał przejeżdżać obok posesji Williamsów, żeby się tutaj dostać. To zaś wskazywało na dwie możliwości: albo wróble odfrunęły, zanim przybył, albo nie chciał, żeby Stark wiedział o ich obecności.

Alan spojrzał bardzo uważnie na Thada. Coś się tam kluje. Jakiś pomysł. Błagaj Boga, żeby był dobry.

Gdy Alan skończył, Liz wyglądała na oszołomioną. Thad kiwał

głową. Stark, po którym szeryf oczekiwał najgwałtowniejszej reakcji, nie wydawał się zbyt dotknięty. Na jego zniszczonej twarzy Alan mógł wyczytać jedynie rozbawienie.

– To wiele wyjaśnia – zauważył Thad. – Dziękuję, Alanie.

– Mnie nie wyjaśnia niczego, do cholery! – krzyknęła Liz tak przeraźliwie, że bliźnięta zaczęły kwilić.

Thad spojrzał na George'a Starka i rzekł:

– Jesteś duchem. Prawdziwym duchem. Czyż to nie zdumiewające? To nie jest jedynie paranormalny incydent; to jakaś cholerna epopeja!

– Myślę, że to nie ma znaczenia – odparł spokojnie Stark. – Opowiedz im tę historię z Williamem Burroughsem, Thad. Dobrze ją pamiętam. Byłem oczywiście w środku... ale słuchałem.

Liz i Alan spojrzeli pytająco na Thada.

– Wiesz, o czym on mówi? – zapytała Liz.

– Jasne, że wiem. Hania i Ania jednego są zdania.

Stark odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał. Bliźnięta przestały kwilić i zawtórowały mu śmiechem.

– A to dobre, stary! A to dobre!

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku uczestniczyłem... chyba powinienem powiedzieć, że uczestniczyliśmy... w dyskusji z Burroughsem w nowojorskiej New School. Po jej zakończeniu jakiś dzieciak zapytał go, czy wierzy w życie pozagrobowe. Odparł, że wierzy... uważał, że wszyscy żyjemy po śmierci.

– I ten człowiek to łebski gość – rzekł Stark z uśmiechem. – W ogóle nie potrafił strzelać, ale to łebski facet. No i widzisz? Widzisz, jak niewiele to znaczy?

Jednak znaczy, pomyślał Alan, przyglądając się bacznie Thadowi.

I to sporo. Świadczy o tym twarz Beaumonta... oraz wróble, o których obecności nie masz pojęcia.

Podjeżdżał, że wiedza Thada jest nawet bardziej niebezpieczna, niż on sam przypuszcza. Ale to mógł być ich jedyny atut. Uznał, że słusznie zachował finał opowieści Pritcharda dla siebie... a mimo to czuł się jak człowiek stojący na skraju urwiska i próbujący żonglować zbyt wieloma płonącymi pochodniami naraz.

– Dość tych pogaduszek – stwierdził Stark.

Thad skinął głową.

– Tak. Już wystarczy. – Popatrzył na Liz i Alana. – Nie chcę, by któreś z was próbowało czegoś... cóż... niestosownego. Mam zamiar spełnić jego życzenie.

– Thad! Nie! Nie możesz tego zrobić!

– Ciii. – Beaumont położył palec na jej wargach. – Mogę i zrobię. Żadnych sztuczek i efektów specjalnych. Stworzyły go słowa na papierze i tylko one pozwolą się go pozbyć. – Skłonił głowę w kierunku Starka. – Myślicie, że on wie, iż to się uda? Nie wie. Ma tylko nadzieję.

– Zgadza się – przyznał Stark. – Nadzieja zawsze rodzi się w cyckach człowieka. – Roześmiał się, wydając z siebie jakiś obłąkańczy ryk, i Alan zrozumiał, że Stark również żongluje płonącymi pochodniami na skraju urwiska.

Kątem oka dostrzegł nagły drżący ruch. Obrócił lekko głowę i zobaczył, jak wróbel sfrunął na poręcz tarasu przed taflą szkła, która tworzyła zachodnią ścianę salonu. Po chwili dołączyły do niego dwa następne. Alan spojrzał z powrotem na Thada i zauważył nieznaczny ruch oczu pisarza. Czyżby on też je spostrzegł? Chyba tak. W takim razie miał rację. Beaumont wiedział... ale nie chciał się podzielić tą

wiedzą ze Starkiem.

– Mamy zamiar po prostu popisać trochę we dwójkę, a potem się pożegnamy – wyjaśnił Thad. Przeniósł spojrzenie na zniszczoną twarz Starka. – To właśnie zrobimy, nieprawdaż, George?

– Dobrze zrozumiałeś.

– Powiedz mi więc – zwrócił się do swej żony. – Coś ukrywasz? Coś ci chodzi po głowie? Masz jakiś plan?

Stała, patrząc rozpaczliwie w oczy męża, nieświadoma tego, że William i Wendy trzymają się za ręce między nimi i spoglądają na siebie z zachwytem niczym krewni, którzy spotkali się niespodziewanie po długim rozstaniu.

„Nie mówisz poważnie, prawda? – zapytały jej oczy. – To pewnie jakaś sztuczka? Sztuczka mająca uspić jego podejrzenia?”.

„Nie – odpowiedział spojrzeniem swoich szarych oczu. – Mówię zupełnie serio. Tego właśnie chcę”.

Czy było w nich coś jeszcze? Coś tak głęboko ukrytego, że chyba tylko ona mogła to dostrzec?

„Zajmę się nim, dziecinko. Wiem jak. Potrafię”.

„Och, Thad. Mam nadzieję, że się nie mylisz”.

– Pod kanapą jest nóż – powiedziała powoli, patrząc mu w oczy. – Zabrałam go z kuchni, gdy Alan i... i on... korzystali z telefonu w holu.

– Chryste, Liz! – niemal krzyknął Alan, strasząc dzieci. W rzeczywistości nie był tak zdenerwowany, na jakiego – miał nadzieję – wyglądał. Zrozumiał, że jeżeli ta sprawa ma się zakończyć w sposób, który nie oznaczał totalnego horroru dla nich wszystkich, to właśnie Thad powinien do tego doprowadzić. To on stworzył Starka i to on będzie musiał go unicestwić.

Liz obejrzała się na Starka i zobaczyła, jak ten nienawistny uśmiech wykwita na pozostałościach jego twarzy.

– Wiem, co robię – rzekł Thad. – Zaufaj mi, Alanie. Liz, weź ten nóż i wyrzuć go z tarasu.

Mam tu do odegrania pewną rolę, pomyślał Pangborn. To rola epizodyczna, ale pamiętaj, co ci mówiono na zajęciach z aktorstwa w twoim college’u – nie ma marnych ról, są tylko marni aktorzy.

– Sądysz, że on po prostu puści nas wolno? – zapytał z niedowierzaniem. – Że zbiegnie truchtem z tego wzgórza ze zwieszonym ogonem niczym jagniątko Marysi? Chyba oszalałeś.

– Jasne, że oszalałem – przyznał Thad i się roześmiał. Niesamowicie przypominało to odgłos wydawany przez Starka: był to śmiech człowieka, który miotał się na skraju nicości. – On też, a przecież pochodzi ode mnie, prawda? Niczym jakiś tandetny demon z głowy trzeciorzędnego Zeusa. Ale wiem, jak to musi się stać. – Odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął na Alana otwarcie i ponuro. – Wiem, jak to musi się stać – powtórzył powoli i z ogromnym naciskiem. – No, idź, Liz. Alan prychnął z obrzydzeniem i odwrócił się do niego plecami, jakby chciał się od nich wszystkich odciąć.

Czując się jak we śnie, Liz przeszła przez salon, uklękła i wyciągnęła nóż spod kanapy.

– Obchodź się z tym ostrożnie – rzekł Stark. Wydawał się bardzo czujny i śmiertelnie poważny. – Twoje dzieci powiedziałyby ci to samo, gdyby tylko umiały mówić.

Liz rozejrzała się, odgarnęła włosy z twarzy i spostrzegła, że Stark mierzy z broni do Thada i Williama.

– Przecież jestem ostrożna! – rzuciła drżącym, niemal płaczącym głosem.

Odsunęła drzwi w przeszklonej ścianie i wyszła na taras. Na jego poręczy siedziało teraz sześć wróbli. Gdy Liz podeszła do balustrady i stromego urwiska za nią, odsunęły się na bok trójkami, ale nie odfrunęły.

Alan widział, że wahała się przez chwilę, przyglądając się ptakom, z rączką noża między palcami i czubkiem ostrza wskazującym na taras niczym ciężarek pionu. Zerknął na Thada i zauważył, że ten obserwuje ją z przejęciem. Na końcu spojrzął na Starka.

Morderca przyglądał się jej uważnie, ale na jego twarzy nie było wyrazu zaskoczenia ani podejrzliwości i Pangbornowi przemknęła przez głowę szalona myśl: On ich nie widzi! Nie pamięta, co napisał na ścianach mieszkania, i nie widzi ich teraz! Nie wie, że one tu są!

I wtedy nagle uświadomił sobie, że Stark patrzy nań, taksując go beznamiętnym spojrzeniem zaropiałych oczu.

– Czemu się na mnie tak gapisz? – zapytał Stark.

– Chcę się upewnić, czy pamiętam, co znaczy prawdziwa brzydota – odparł Alan. – Może powinienem to kiedyś opowiedzieć moim wnukom.

– Jeśli nie będziesz się, kurwa, liczył ze słowami, nie będziesz musiał się martwić o swoje wnuki – ostrzegł Stark. – Nic a nic. Przestań się gapić, szeryfie, dobrze ci radzę. To po prostu nie jest rozsądne.

Liz rzuciła nóż rzeźniczy przez barierkę tarasu. Usłyszawszy, jak ląduje w krzakach osiem metrów niżej, rozplakała się.

4

– Chodźmy na górę – zaproponował Stark. – Tam właśnie jest gabinet Thada. Rozumiem, że będziesz potrzebował maszyny do

pisania, prawda, stary?

– Nie tym razem – odparł Thad. – Sam wiesz najlepiej. Uśmiech przemknął po splekanych wargach Starka.

– Czyżby?

Thad wskazał na ołówki, które tkwiły w kieszeni na jego piersi.

– To ich używam, gdy chcę na powrót nawiązać kontakt z Alexisem Machine'em i Jackiem Rangelym.

Stark uśmiechał się jak głupi do sera.

– Taak, zgadza się, nieprawdaż? Myślałem, że tym razem zechcesz zrobić to inaczej.

– Ma być po staremu, George.

– Przywiozłem własne – rzekł Stark. – Trzy pudełka. Szeryfie, może będziesz tak dobry i skoczysz po nie do mojego samochodu? Są w schowku. Reszta z nas zaopiekuje się dziećmi. – Spojrzał na Thada, parsknął swym szaleńczym śmiechem i pokręcił głową. – Ty psie!

– Zgadza się, George – rzekł Thad i uśmiechnął się blado. – Jestem psem. Ty też. A nie da się nauczyć starego psa nowych sztuczek.

– Chyba jesteś na to gotowy? Bez względu na to, co mówisz, chwilami po prostu palisz się do tego. Widzę to w twoich oczach. Chcesz tego.

– Owszem – rzekł po prostu Thad, a Alan pomyślał, że nie kłamie.

– Alexis Machine – powiedział Stark. Jego żółte oczy błyszczały.

– Zgadza się – potwierdził Thad i teraz jego oczy też zabłyśły. – „Chłasnij go. Zrób to, póki tu stoję i patrzę”.

– Zrozumiałeś! – krzyknął Stark i się roześmiał. – „Chcę widzieć, jak płynie krew. Nie każ mi powtarzać”.

Teraz obaj zaczęli się śmiać. Liz przeniosła spojrzenie z Thada na Starka i z powrotem na męża. Krew odpłynęła jej z policzków,

ponieważ nie mogła ich odróżnić.

Nagle brzeg urwiska wydał się bliższy niż kiedykolwiek.

5

Alan wyszedł po ołówki. Jego głowa znalazła się w samochodzie tylko na chwilę, ale miał wrażenie, że trwało to znacznie dłużej, i z ulgą się cofnął. W środku unosił się ponury i nieprzyjemny zapach, który go lekko zamroczył. Grzebanie w toronadzie Starka przypominało wetknięcie głowy do pokoju na poddaszu, gdzie ktoś wylał chloroform.

Jeżeli tak pachną sny, pomyślał, to nie chcę więcej śnić.

Stał przez moment obok czarnego auta z pudełkami ołówków w dłoniach i patrzył na podjazd.

Wróble już się zjawiły.

Podjazd znikał pod kobiercem z ptaków. Na jego oczach przyfruwały kolejne. Las też był ich pełen. Przyfruwały tylko i wpatrzone w niego siedziały w upiornym milczeniu, jedna wielka żywa zagadka.

Przybywają po ciebie, George, pomyślał i ruszył z powrotem w stronę domu. W połowie drogi zatrzymał się nagle, gdy zaskoczyła go okropna myśl.

A może przybywają po nas?

Długo patrzył na skrzydlate stworzenia, lecz one nie zdradziły mu żadnych tajemnic, więc wszedł do domu Beaumontów.

6

– Na górę – powiedział Stark. – Ty pierwszy, szeryfie. Idź w głąb

sypialni dla gości. Pod ścianą stoi tam szklana gablotka wypełniona zdjęciami, szklanymi przyciskami do papieru i małymi pamiątkami. Gdy pchniesz lewą ściankę gabloty, obróci się wokół centralnego trzpienia. Gabinet Thada znajduje się za nią.

Alan spojrzał na Thada, który skinął głową.

– Cholernie dużo wiesz o tym domu – zauważył Alan – jak na kogoś, kto nigdy tu nie był.

– Ależ byłem – odparł ponuro Stark. – Bywałem tu bardzo często w moich snach.

7

Dwie minuty później wszyscy zebrali się przed wyjątkowymi drzwiami małego gabinetu Thada. Szklana gablotka była obrócona, tworząc dwa oddzielne wejścia. W gabinecie nie było okien. „Daj mi okno z widokiem na jezioro – powiedział kiedyś żonie Thad – a po napisaniu dwóch słów będę się gapił przez nie godzinami, obserwując przepływające łodzie”.

Lampa z giętkim ramieniem i jaskrawą żarówką halogenową rzucała na biurko krąg białego światła. Za biurkiem stały obok siebie biurowy fotel i rozkładane turystyczne krzesło, a przed nimi równolegle w świetlnym kręgu spoczywały na blacie dwa niezapisane notesy. Na każdym z nich leżały dwa zastrugane ołówki Berol Black Beauty. Elektryczna maszyna do pisania, której Thad czasem tutaj używał, została odłączona od prądu i odstawiona w kąt.

Thad osobiście przyniósł składane krzesło z szafy w korytarzu i wewnątrz pokoju wyrażało teraz dwoistość, która dla Liz była zaskakująca i zarazem niezmiernie przykra. Stanowiło w pewnym sensie kolejną postać lustrzanego stworzenia, które – jak się jej

zdawało – zobaczyła, gdy w końcu pojawił się Thad. W miejscu, gdzie zawsze stało jedno, teraz były dwa krzesła; tam gdzie powinno być tylko jedno stanowisko pisarskie, były dwa, także obok siebie. Urządzenie do pisania, które kojarzyła ze zwyczajnym

(lepszym)

wcieleniem Thada, zostało odstawione i gdy usiedli – Stark w fotelu biurowym Thada, a Thad na rozkładanym krześle – poczucie dezorientacji było już całkowite. Czuła niemal, że cierpi na chorobę morską.

Każdy z nich trzymał na kolanach jedno z bliźniąt.

– Ile mamy czasu, zanim ktoś nabierze podejrzeń i postanowi sprawdzić to miejsce? – zapytał Thad Alana, który stał w drzwiach razem z Liz. – Bądź szczery i maksymalnie dokładny. Musisz mi wierzyć, gdy mówię, że to nasza jedyna szansa.

– Thad, spójrz na niego! – wybuchnęła gwałtownie Liz. – Nie widzisz, co się z nim dzieje? On nie chce jedynie pomóc w napisaniu książki! Chce ukraść ci życie! Nie rozumiesz tego?

– Cicho sza! – powiedział. – Wiem, czego on chce. Myślę, że wiedziałem to od początku. To jedyny sposób. Wiem, co robię. Ile mamy czasu, Alanie?

Alan przemyślał to dokładnie. Wcześniej dzwonił i powiedział Sheili, że ma zamiar kupić coś do jedzenia, więc minie trochę czasu, zanim dyspozytorka zacznie się denerwować. Wszystko mogłoby się potoczyć szybciej, gdyby na miejscu był Norris Ridgewick.

– Może do momentu, aż moja żona zadzwoni, żeby zapytać, gdzie jestem – odparł. – Może więcej. W końcu nie od dzisiaj jest żoną gliniarza. Nie dziwią jej późne powroty i upiorne noce. – Nie podobało mu się to, co słyszał z własnych ust. Ta gra powinna

przebiegać dokładnie na odwrót.

Thad zniewalał go swym spojrzeniem. Stark jakby w ogóle nie słuchał; podniósł kamienny przycisk do papieru spoczywający na nierównym stosie kartek starego rękopisu w rogu biurka i bawił się nim.

– Myślę, że mamy co najmniej cztery godziny – uściślił, po czym dodał: – Może całą noc. Posadziłem za biurkiem Andy’ego Clutterbucka, a on nie jest szczególnie bystry. Jeżeli ktoś się zaniepokoi, to pewnie Harrison... ten gość, któremu umknąłeś... lub mój znajomy z Komendy Policji Stanowej w Oxfordzie. Nazywa się Henry Payton.

Thad spojrzał na Starka.

– To wystarczy?

Spojrzenie oczu Starka, błyszczących klejnotów w zniszczonej oprawie jego twarzy, było nieobecne i zamglone. Zabandażowana dłoń bawiła się przyciskiem. Stark odłożył go i uśmiechnął się do Thada.

– A jak myślisz? Znasz się na tym równie dobrze jak ja.

Thad zastanowił się nad pytaniem. Obaj wiemy, o czym mowa, ale sądzę, że żaden z nas nie potrafiłby tego wyrazić słowami. Niezupełnie zajmujemy się tutaj pisaniem. Pisanie to tylko rytuał. Mówimy o przekazaniu swego rodzaju pałeczki.

O wymianie mocy. A właściwie o handlu wymiennym: życie Liz i bliźniąt w zamian za... no właśnie. Dokładnie za co?

Ale on oczywiście wiedział za co. Byłoby dziwne, gdyby nie wiedział, bo nie tak dawno snuł rozważania na ten właśnie temat. Stark chciał – nie, żądał – jego oka. To dziwne trzecie oko ukryte w zwojach jego mózgu mogło patrzeć tylko do wewnątrz.

Znowu poczuł to charakterystyczne mrowienie i przemógł je w sobie. Nie podglądaj, George. Dysponujesz bronią; ja mam jedynie zgraję chuderlawych ptaków. Więc nie podglądaj.

– Chyba wystarczy – powiedział. – Dowiemy się, gdy to się stanie, nieprawdaż?

– Owszem.

– Niczym na huśtawce, gdy jeden koniec deski wędruje do góry... a drugi opada.

– Co ty przede mną ukrywasz, Thad?

W pokoju, który nagle wydał się zdecydowanie zbyt ciasny jak na ładunek wypełniających go emocji, na chwilę zapadła elektryzująca cisza.

– Mógłbym ci zadać takie samo pytanie – odparł w końcu Beaumont.

– Nie – rzekł Stark i powoli dodał: – Ja odkryłem wszystkie karty. Powiedz mi, Thad. – Swą zimną, gnijącą rękę zacisnął na nadgarstku Thada z nieubłaganą siłą stalowych kajdan. – Co ukrywasz?

Thad, chcąc nie chcąc, odwrócił się i spojrzał Starkowi w oczy. Wszędzie czuł teraz to mrowienie, ale ogniskowało się w ranie w jego dłoni.

– Chcesz napisać tę książkę czy nie?

Liz po raz pierwszy dostrzegła, jak zmienia się ukryty – nie ten pozorny – wyraz twarzy Starka. Nagle pojawiła się na niej niepewność. I strach? Być może. Może nie. Ale jeśli nawet nie było w niej strachu, to był on gdzieś blisko, czekał.

– Nie przyjechałem tu po to, by jeść z tobą płatki.

– W takim razie sam do tego dojdź – oświadczył Thad.

Liz usłyszała czyjś gwałtowny wdech i uświadomiła sobie, że sama

wydała ten odgłos.

Stark spojrział na nią, by po chwili przenieść wzrok z powrotem na Thada.

– Nie nabijaj się ze mnie – rzekł cicho. – Nie powinienes tego robić, stary.

Thad się roześmiał. Ten śmiech zabrzmiał lodowato i rozpaczliwie... ale nie był całkiem wyzbyty poczucia humoru, i to było najgorsze. Liz usłyszała w nim George'a Starka, tak jak wcześniej dostrzegła męża w oczach swego oprawcy, gdy ten bawił się z niemowlętami.

– Dlaczego nie? Wiem, co mam do stracenia. I też odkryłem wszystkie karty. Chcesz więc pisać czy pogadać?

Stark przyglądał mu się długo, sondując swoim złowieszczym, beznamietnym spojrzeniem oblicze Thada, po czym rzekł:

– Ach, pierdolić to. Zaczynajmy.

Thad się uśmiechnął.

– Czemu nie?

– Ty i glina wychodzicie – oświadczył Stark. – Zostają tylko chłopcy. To nam wystarczy.

– Wezmę dzieci – powiedziała Liz i Stark się roześmiał.

– Świetny dowcip, Beth. Ha, ha. Dzieci stanowią zabezpieczenie. Niczym ochrona zapisu na dyskietce, czyż nie tak, Thad?

– Ale... – zaczęła protestować Liz.

– W porządku – rzekł Thad. – Nic im nie będzie. George może ich pilnować, gdy ja będę nas wdrażał do pracy. One go lubią. Nie zauważyłaś?

– Oczywiście, że zauważyłam – odparła niskim, przepełnionym nienawiścią głosem.

– Pamiętaj tylko, że one są tutaj z nami – rzekł Stark do Alana. – Miej to na uwadze, szeryfie Pangborn. Nie kombinuj. Jeżeli spróbujesz wykręcić jakiś numer, będzie dokładnie tak jak w Jonestown. Wyniosą nas wszystkich nogami do przodu. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– I zamknij za sobą drzwi. – Stark zwrócił się do Thada:

– Już czas.

– Słusznie – odparł Beaumont i wziął ołówek do ręki. Odwrócił się do Liz i Alana i wówczas z jego twarz spojrzwały na nich oczy George’a Starka. – No, wychodźcie.

8

Liz zatrzymała się w połowie schodów. Alan o mało na nią nie wpadł. Patrzyła przez przeszkloną ścianę na drugim końcu salonu.

Światem zawładnęły ptaki. Taras skrył się pod nimi; w słabnącym świetle opadające do jeziora zbocze było czarne od ptaków; niebo nad jeziorem pociemniało od chmary następnych, nadlatujących ku domowi Beaumontów od zachodu.

– O mój Boże – jęknęła.

Alan chwycił ją za rękę i rzekł:

– Bądź cicho. Nie pozwól, by cię usłyszał.

– Ale co...

Sprowadził ją na dół, wciąż mocno trzymając za rękę. Gdy znaleźli się w kuchni, powiedział jej resztę tego, co wczesnym popołudniem, czyli wieki temu, usłyszał od doktora Pritcharda.

– Co to znaczy? – zapytała szeptem. Jej pobladła twarz stała się szara jak popiół. – Alanie, jestem przerażona.

Objął ją i choć sam także się bał, uzmysłowił sobie, że to bardzo atrakcyjna kobieta.

– Nie wiem, ale wiem, że są tutaj, bo przywołał je albo Thad, albo Stark. Jestem całkiem pewien, że zrobił to twój mąż, ponieważ musiał je widzieć, gdy wchodził do domu. Widział je, ale o nich nie wspomniał.

– On się zmienił, Alanie.

– Wiem.

– Po trosze uwielbia Starka. Po trosze uwielbia jego... jego nikczemność.

– Wiem.

Podeszli do okna przy stoliku w holu, na którym stał telefon, i wyjrzeli na zewnątrz. Na podjeździe, w lesie oraz na niewielkiej powierzchni wokół szopy, gdzie nadal zamknięta była dwudziestkadwójka, roiło się od wróbli. Volkswagen Rawliego zniknął pod nimi.

Nie było ich jednak na samochodzie George'a Starka. Wokół zaś pozostał równy krąg pustego podjazdu, jak gdyby toronado poddano kwarantannie.

Jakiś ptak wpadł na okno z cichym, głuchym odgłosem. Liz wydała z siebie stłumiony okrzyk. Pozostałe ptaki poruszyły się niespokojnie – w górę wzgórza przetoczyła się wielka fala – po czym znowu znieruchomiały.

– Jeżeli nawet należą do Thada – zauważyła Liz – on może ich nie użyć przeciwko Starkowi. Thad jest po części szalony, Alanie. On zawsze po części taki był. On... jemu się to podoba.

Alan milczał, ale on także zdawał sobie z tego sprawę. Wyczuł to już wcześniej.

– To wszystko jest niczym koszmarne sen. Chciałabym się z niego obudzić. Chciałabym się obudzić i żeby wszystko było tak jak dawniej. Nie tak jak przed pojawieniem się Clawsona; jak przed pojawieniem się Starka.

Alan skinął głową.

Liz spojrzała na niego i zapytała:

– Cóż więc mamy teraz robić?

– To, co najtrudniejsze – odparł. – Czekać.

9

Ten wieczór ciągnął się bez końca. Światło powoli ulatniało się z nieba, w miarę jak słońce kryło się po zachodniej stronie jeziora za górami, które oddalały się, by dołączyć do Presidential Range w północnej części New Hampshire.

Na zewnątrz do głównego stada wróbli dołączały ostatnie grupki ptaków. Alan i Liz wyczuwali ich obecność na dachu domu, ich kurhanie. Ale milczeli. I czekali.

Gdy chodzili po pokoju, ich głowy obracały się niczym reflektory anteny radarowej ustawionej na jeden sygnał. Nasłuchiwali odgłosów z gabinetu. Najbardziej irytujące było to, że zza prowadzących do niego zamaskowanych drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Liz nie słyszała nawet gaworzących i gruchających do siebie niemowląt. Miała nadzieję, że zasnąły, ale nie była w stanie uciszyć głosu, który uparcie podpowiadał, że Stark zabił jedno i drugie oraz Thada.

Po cichu.

Brzytwą, którą nosił przy sobie.

Uspokajała się myślą, że gdyby coś takiego się stało, wróble wiedziałyby o tym, coś by zrobiły, i to pomogło, ale tylko na trochę.

Wróble stanowiły wielką, niepojętą tajemnicę otaczającą dom. Bóg jeden wiedział, co zrobią... i kiedy.

Zmierzch powoli ustępował całkowitym ciemnościom, gdy Alan rzekł chrapliwym głosem:

– Jeżeli to potrwa wystarczająco długo, zamienią się miejscami, prawda? Thad zacznie chorować... a Stark wracać do zdrowia.

Liz była tak zaskoczona, że omal nie wypuściła z dłoni filiżanki z gorzką kawą.

– Tak. Sądzę, że tak.

Na jeziorze rozległ się krzyk nura – pojedynczy, przejmujący dźwięk. Alan pomyślał o tych na górze, dwóch parach bliźniąt, jednej odpoczywającej, a drugiej toczącej okropną walkę w półmroku ich scalonej wyobraźni.

Za oknem ptaki czuwały i czekały w zapadającym zmierzchu.

Huśtawka poszła w ruch, pomyślał Alan. Koniec, na którym siedzi Thad, wędruje w górę, koniec zajęty przez Starka opada.

Tam, za drzwiami, które po otwarciu tworzą podwójne wejście, zaczęła się dokonywać zmiana.

To prawie koniec, pomyślała Liz. Tak czy inaczej.

I wtedy, jakby za sprawą tej myśli, usłyszała, że zaczyna wiać wiatr – dziwny, furkoczący. Tyle że jezioro było gładkie jak tafla szkła.

Wstała z otwartymi szeroko oczami, unosząc dłonie ku szyi. Spoglądała przez okno salonu. „Alanie” – próbowała powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Nie miało to jednak znaczenia.

Na piętrze rozległ się dziwny, upiorny świst przypominający nutę wygrywaną na krzywym flecie. Stark krzyknął nagle i gwałtownie:

– Thad?! Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz?

Liz usłyszała najpierw krótki huk, jakby ktoś strzelił

z kapiszonowca, a chwilę później płacz Wendy.

W gęstniejącym mroku za oknem milion wróbli dalej trzepotało skrzydłami, szykując się do lotu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

WRÓBLE FRUWAJĄ

1

Gdy Liz zamknęła drzwi i zostawiła ich w gabinecie, Thad otworzył swój notes i przez chwilę wpatrywał się w niezapisaną kartkę. Potem wziął do ręki jeden z zaostzonych ołówków.

– Mam zamiar zacząć od tortu – powiedział do Starka.

– Tak – odparł Stark. Na jego twarzy odmalowało się podniecenie. – Słusznie.

Ołówek Thada zawisł nad kartką. Ten moment – tuż przed pierwszym ruchem dłoni – był zawsze najprzyjemniejszy. Pisanie stanowiło rodzaj zabiegu chirurgicznego i w końcu pacjent niemal zawsze umierał, lecz i tak wykonywałeś operację. Musiałeś to robić, bo do tego zostałeś stworzony. Wyłącznie do tego.

Tylko pamiętaj, pomyślał. Pamiętaj, co robisz.

Ale część jego świadomości – ta część, która naprawdę chciała napisać *Maszynę ze stali* – zaprotestowała.

Thad pochylił się i zaczął wypełniać pustą przestrzeń kartki.

George Stark

MASZYNA ZE STALI

ROZDZIAŁ 1: Wesele

Alexis Machine rzadko bywał figlarny i figlarne myśli w takich sytuacjach nigdy wcześniej

nie przychodziły mu do głowy. A jednak tak się stało i pomyślał: Spośród wszystkich ludzi na ziemi – ilu ich jest? pięć miliardów? – jestem jedynym, który w tej chwili stoi wewnątrz ruchomego tortu weselnego z półautomatycznym pistoletem marki Heckler & Koch kaliber 5,6 mm w rękach.

Jeszcze nigdy nie był tak szczelnie zamknięty.

W środku niemal natychmiast zrobiło się duszno, w żadnym razie nie mógł jednak odetchnąć głęboko. Lukier na torcie trojańskim był prawdziwy, ale pod nim znajdowała się jedynie cienka warstwa gipsowego produktu o nazwie nartex – rodzaju tektury wysokiej jakości. Gdyby wciągnął powietrze w płuca, państwo młodzi stojący na najwyższym stopniu tortu prawdopodobnie by pospadali. Oczywiście lukier by popękał i...

Pisał prawie czterdzieści minut, zwiększając tempo w trakcie pracy, a jego umysł stopniowo wypełniał się obrazami i dźwiękami przyjęcia weselnego, które miało się zakończyć tak wybuchowo.

W końcu odłożył ołówek. Stąpił go do cna.

– Daj mi papierosa – rzekł.

Stark uniósł brwi.

– Dobrze słyszałeś.

Na biurku leżała paczka pall malli. Stark wytrząsnął z niej papierosa i Thad go przyjął. Po tylu latach przerwy dziwnie układał się w ustach... wydawał się za duży. Ale Beaumont czuł się z nim dobrze. Był na swoim miejscu.

Stark potarł zapałkę i podsunął ją Thadowi, który zaciągnął się głęboko. Dym wgryzł się mu w płuca w należycie bezlitosny sposób, jak dawniej. Natychmiast zakręciło mu się w głowie, ale nie miał nic przeciwko temu.

Teraz muszę się napić, pomyślał. I jeśli wyjdę z tego żywy i bez szwanku, to zacznę od czegoś mocniejszego.

– Myślałem, że rzuciłeś palenie – zauważył Stark.

Thad skinął głową.

– Ja też. Cóż mogę rzec, George? Byłem w błędzie. – Jeszcze raz zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. Odwrócił się w stronę Starka i powiedział: – Twoja kolej.

Stark pochylił się nad nim i przeczytał ostatni akapit; tak naprawdę nie musiał czytać nic więcej. Obaj znali treść tej historii.

Tymczasem Jack Rangely i Tony Westerman siedzieli w kuchni, a Rollick powinien się teraz znajdować na piętrze. Wszyscy trzech byli uzbrojeni w półautomaty Steyr-Aug, jedyne porządne pistolety maszynowe wytwarzane w Ameryce, i nawet gdyby niektórzy z ochroniarzy udających gości byli bardzo szybcy, we trójkę powinni zarzucić ich wystarczająco gęstym gradem kul, by osłonić swój odwrót. Tylko wypuście mnie z tego tortu, pomyślał Machine. O nic więcej nie proszę.

Stark sam też zapalił pall malla, wziął jeden z ołówków, otworzył własny notes. i się zawahał. Spojrzał na Thada i zupełnie otwarcie przyznał:

– Boję się, stary.

Thad poczuł potężną falę współczucia dla niego – pomimo całej swej wiedzy o nim. Boisz się. Jasne, że się boisz, pomyślał. Jedynie ci, którzy dopiero zaczynają – dzieci – się nie boją. Lata mijają, a słowa na tej stronie nie ciemnieją... lecz biała przestrzeń między nimi z pewnością staje się bielsza. Boisz się? Byłbyś jeszcze bardziej szalony, niż jesteś, gdybyś się nie bał.

– Wiem – powiedział. – Ty zaś wiesz, do czego to się sprowadza... jedynym sposobem, by to zrobić, jest zrobienie tego.

Stark skinął głową i pochylił się nad swoim notesem. Jeszcze dwukrotnie spojrzął na ostatni akapit, jaki zapisał Thad... po czym zaczął pisać.

Słowa powstawały w umyśle Thada z pełną udręki powolnością.

Machine... nigdy... nie zastanawiał się...

Długa pauza, a potem wszystko jednym ciągiem:

...jak by to było mieć astmę, ale gdyby ktoś go po tym zapytał...

Krótsza pauza.

...pamiętałby zabójstwo Scorettiego.

Stark przeczytał to, co napisał, po czym spojrzał z niedowierzaniem na Thada.

Ten skinął głową.

– To ma sens, George.

Dotknął palcem kącika ust, który nagle go zapiekł, i poczuł tworzącą się tam świeżą ranę. Popatrzył na Starka i spostrzegł, że podobna rana zniknęła z kącika jego ust.

To się dzieje. To naprawdę się dzieje.

– Spróbuj, George – zachęcił. – Wal śmiało.

Ale Stark zdążył już się pochylić nad notesem i teraz pisał szybciej.

2

Pisał tak prawie pół godziny i w końcu odłożył ołówek z cichym westchnieniem zadowolenia.

– To jest dobre – powiedział niskim chępliwym głosem. – Lepsze być nie może.

Thad wziął notes i zaczął czytać – w odróżnieniu od Starka przeczytał cały tekst. To, czego szukał, pojawiło się na trzeciej z dziewięciu stron, które zapisał Stark.

Machine usłyszał odgłosy szurania, zeszywniał, zaciskając dłonie na pistolecie, i wtedy zrozumiał, co się dzieje. Goście – około dwustu – zgromadzeni przy długich stołach pod ogromną markizą w niebieskie i żółte pasy odsuwali swe składane wróble po deskach, które ułożono, żeby zabezpieczyć trawnik przed kobiecymi butami na wysokich wróblach. Goście urządzili tortowi wróblowemu pieprzoną owację na sto jęco.

On nie wie, pomyślał Thad. Odmienia słowo „wróble” przez wszystkie przypadki i nie ma o tym bladego... pieprzonego... pojęcia.

Słyszał, jak poruszają się niespokojnie tam i z powrotem nad jego głową. Bliźnięta też spojrzały kilka razy w górę, zanim zasnęły, wiedział więc, że one również to zauważyły.

A George nie.

Dla niego te skrzydlate stworzenia nie istniały.

Wrócił do lektury rękopisu. Słowo to zaczęło się coraz częściej wkradać do tekstu i w ostatnim akapicie pojawił się cały zwrot.

Później Machine odkrył, że wróble fruwać i że jedyni ludzie na jego usługach, którzy naprawdę są jego wróblami, to Jack Rangely i Lester Rollick. Cała reszta, wróble, z którymi latał od dziesięciu lat, była w to zamieszana. Wróble. I zaczęły fruwać, zanim jeszcze Machine krzyknął do swojej wróblofalówki.

– No i? – zapytał Stark, gdy Thad odłożył rękopis. – Co myślisz?

– Myślę, że to znakomite – odparł Thad. – Ale przecież wiedziałeś o tym, prawda?

– Owszem... ale chciałem usłyszeć to z twoich ust, stary.

– Uważam też, że wyglądasz znacznie lepiej.

Powiedział prawdę. Pograżywszy się w oszalałym, pełnym przemocy świecie Alexisa Machine’a, Stark zaczął zdrowieć.

Rany na jego ciele znikwały. Popękana gnijąca skóra znowu robiła się rumiana; brzegi nowej naskórki zbliżały się do siebie z obu stron

gojących się ran, miejscami już się zrastały. Brwi, które zmieniły się w gnijącą papkę, pojawiły się na nowo. Wysychały też strużki ropy, od której przemoczony kołnierz koszuli Starka paskudnie pożółkł.

Thad lewą ręką dotknął rany, która zaczęła się tworzyć na jego lewej skroni. Zatrzymał na chwilę palce przed oczami. Były wilgotne. Znowu podniósł rękę i dotknął czoła. Skóra na nim była gładka. Mała biała blizna, pamiątka po operacji, którą przeszedł w pierwszym roku swego prawdziwego życia, zniknęła.

Jeden koniec huśtawki wędruje w górę, drugi musi opaść. To po prostu kolejne prawo natury, dziecinko. Kolejne prawo natury.

Czy na zewnątrz zrobiło się już ciemno? Pewnie tak – ciemno lub prawie ciemno. Spojrzał na zegarek. Ale to nic nie dało. Wskazówki zatrzymały się za kwadrans piąta. Pora nie miała znaczenia. Wkrótce będzie musiał to zrobić.

Stark zgniótł niedopałek papierosa w przepelnionej popielniczce.

– Chcesz pisać dalej czy przerwać?

– Może ty będziesz pisał? – zaproponował Thad. – Myślę, że dasz radę.

– Taak–powiedział Stark, nie patrząc na Thada. Spojrzenie skupiał wyłącznie na słowach, wyłącznie na nich. Przeczesał dłonią jasne włosy, które znowu robiły się lśniące. – Też tak myślę, a nawet wiem, że dam sobie radę.

Znowu zaczął gryzmolić. Uniósł na chwilę wzrok, gdy Thad wstał z krzesła i podszedł do temperówki. Beaumont zastrugał jeden z ołówków tak porządnie, że był ostry jak igła. Odwracając się, wyjął z kieszeni otrzymany od Rawliego wabik. Zacisnął na nim dłoń i patrząc na leżący przed sobą notes, znowu usiadł.

To był ten moment. Czuł to równie wyraźnie jak kształt swojej

twarzy pod palcami. Chodziło jedynie o to, czy miał dość odwagi, żeby spróbować.

Część jego świadomości wzbraniała się przed tym; część jego świadomości wciąż pragnęła tej książki. Ale ze zdziwieniem stwierdził, że to pragnienie jest słabsze niż wtedy, gdy Liz i Alan wychodzili z gabinetu. I chyba wiedział dlaczego. Następową separacją. Rodzaj obscenicznych narodzin. To już nie była jego książka. Alexis Machine towarzyszył człowiekowi, który od początku był jego właścicielem.

Wciąż zaciskając lewą dłoń na wabiku, Thad pochylił się nad swoim notesem.

To ja je sprowadziłem – napisał.

Niespokojne ruchy ptaków u góry ustały.

Jestem tym, który wie – dodał.

Wydawało się, że cały świat zastygł w bezruchu, żeby nasłuchiwać.

Są moją własnością.

Przerwał i spojrzał na śpiące dzieci.

Jeszcze cztery słowa, pomyślał. Jeszcze tylko cztery.

Odkrył, że pragnie je zapisać bardziej niż jakiegokolwiek słowa w swoim życiu.

Pragnął pisać książki... ale jeszcze bardziej, bardziej niż tych cudownych urojeń, które to trzecie oko czasem tworzyło, pragnął wolności.

Jeszcze cztery słowa.

Uniósł lewą dłoń do ust i chwycił wabik wargami niczym cygaro.

Nie podnoś teraz wzroku, George. Nie podnoś wzroku, nie wyglądaj poza świat, który tworzysz. Nie teraz. Proszę, dobry Boże, nie pozwól, by spojrzał teraz na świat prawdziwych rzeczy.

Na leżącej przed nim pustej kartce napisał dużymi pogrubionymi literami: PRZEWODNICY DUSZ. Zakreślił oba wyrazy. Poniżej narysował strzałkę, a pod nią zanotował: WRÓBLE FRUWAJĄ.

Na zewnątrz zaczął wiać wiatr – tyle że nie był to wiatr, lecz ruch milionów piór. I stało się to w głowie Thada. Trzecie oko otworzyło się nagle w jego umyśle szerzej niż kiedykolwiek przedtem i ujrzał Bergenfield w New Jersey – puste domy, puste ulice, łagodne wiosenne niebo. Wszędzie widział wróble, więcej niż kiedykolwiek. Świat, w którym dorastał, stał się ogromną ptaszarnią.

Tyle że to nie było Bergenfield.

To było Endsville.

Stark przestał pisać. Jego oczy zrobiły się okrągłe od nagłej, spóźnionej trwogi.

Thad wziął głęboki wdech i dmuchnął. Z otrzymanego od DeLessepsa wabika wydobył się dziwny pisk.

– Thad?! Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz?

Stark usiłował chwycić wabik. Zanim zdołał go dotknąć, rozległ się huk i wabik rozerwał się w ustach Thada, rozcinając mu wargi. Ów dźwięk obudził bliźnięta. Wendy zaczęła płakać.

Szum powodowany na zewnątrz przez wróble przeszedł w głośny ryk.

Frunęły.

3

Gdy Liz usłyszała płacz córki, ruszyła ku schodom. Alan przez moment stał sparaliżowany tym, co widział za oknem. Ziemia, drzewa, jezioro, niebo – wszystko to zostało wymazane. Wróble wzniosły się wielką drżącą kurtyną, przesłaniając całą powierzchnię

okna.

Gdy pierwsze małe ciała zaczęły uderzać z głuchym stukiem w zbrojoną szybę, jego paraliż ustąpił.

– Liz! – krzyknął. – Padnij!

Ona jednak nie miała zamiaru tego zrobić; płakała jej córka i tylko o tym mogła myśleć.

Alan puścił się ku niej biegiem, wykorzystując tę niesamowitą szybkość, która zawsze stanowiła jego sekret, i chwycił żonę Thada w chwili, gdy cała przeszklona ściana zwała się do środka pod naporem dwudziestu tysięcy ptaków. Za nimi wleciało dwadzieścia tysięcy następnych i kolejne dwadzieścia, i znowu dwadzieścia. Po chwili salon wypełnił się nimi. Wróble były wszędzie. Alan rzucił się na Liz i wciągnął ją pod kanapę. Świat był pełen przenikliwego pisku skrzydlatych stworzeń. Usłyszeli teraz, jak pękają inne szyby, we wszystkich oknach. W całym domu słychać było głuchoe stuki maleńkich pilotów samobójców. Alan wyjrzał spod kanapy i zobaczył świat zmieniony w brunatnoczarną poruszającą się masę.

Czujniki dymu zaczęły dzwonić, gdy ptaki zderzały się z nimi. Gdzieś w domu rozległ się potworny łoskot, gdy eksplodował kineskop telewizora. I stukot spadających ze ścian obrazów. Seria metalicznych ksylofonicznych dźwięków, gdy wróble strącały na podłogę rondle wiszące na ścianie przy kuchence.

Wciąż słyszał też płacz niemowląt i krzyk Liz.

– Puść mnie! Moje dzieci! Puść mnie! Muszę zabrać moje dzieci!!!

Uwolniła się częściowo z objęć Alana i wróble natychmiast obsiadły jej głowę i tułów. Zaplątały się we włosy i szaleńczo trzepotały skrzydłami. Liz okładała je na oślep rękami. Alan chwycił ją i wciągnął z powrotem. W głębi salonu dostrzegł w tym kłębowisku

szeroki czarny sznur wróbli sunący w górę schodów – w stronę gabinetu.

4

Stark wyciągnął ręce do Thada, gdy pierwsze ptaki zaczęły uderzać z głuchym stukiem w zamaskowane drzwi gabinetu. Thad słyszał za ścianą stłumione odgłosy spadających przycisków do papieru i brzęk tłukącego się szkła. Teraz wyły już oba maluchy. Ich krzyki mieszały się z nieznośnym piskiem wróbli i razem tworzyły rodzaj piekielnej harmonii.

– Przestań! – wrzasnął Stark. – Przestań! Cokolwiek, u diabła, robisz, po prostu przestań!

Chwycił za broń i wtedy Thad zatopił trzymany w dłoni ołówek w jego szyi.

Trysnęła krew. Stark odwrócił się ku niemu, krztusząc się i usiłując chwycić ołówek. Gdy próbował przełknąć ślinę, koniec ołówka poruszał się w górę i w dół. Wyszarpnął go jedną ręką i wychrypiał:

– Co ty wyprawiasz? Co to?

Wreszcie usłyszał ptaki; nie pojmował sensu ich obecności, ale je słyszał. Skierował wzrok ku zamkniętym drzwiom i Thad po raz pierwszy dostrzegł w jego oczach autentyczną trwogę.

– Piszę zakończenie, George – wyjaśnił Thad cichym głosem, którego nie usłyszeli ani Liz, ani Alan. – Piszę zakończenie w rzeczywistym świecie.

– W porządku – odparł Stark. – Napiszmy je w takim razie dla nas wszystkich.

Odwrócił się do bliźniąt z zakrwawionym ołówkiem w jednej dłoni i czterdziestkąpiątką w drugiej.

Na końcu kanapy leżał złożony afgan. Alan sięgnął po niego i wtedy poczuł na ręce dźgnięcie tuzina gorących igieł.

– Psiakrew! – krzyknął i cofnął rękę.

Liz wciąż próbowała się wydostać spod niego. Zdawało się, że potworny furkot wypełnia teraz cały wszechświat, i Alan nie słyszał już niemowląt... słyszała je za to Liz Beaumont. Wiła się i wyrywała. Zacisnął lewą dłoń na jej kołnierzu i poczuł, jak drze się tkanina bluzki.

– Zaczekaj chwilę! – ryknął do niej, ale to było bezcelowe. Dopóki słyszała krzyk swoich dzieci, żadne jego słowa nie mogły jej powstrzymać. Annie reagowałyby tak samo.

Znowu sięgnął prawą ręką do góry, tym razem ignorując dźgające go ptasie dzioby, i chwycił za kobierzec. Zsuwający się z kanapy afgan rozłożył się nierówno. Z głównej sypialni dobiegł potężny łoskot, gdy się przewrócił jakiś mebel – chyba komoda. Alan próbował sobie wyobrazić, ilu wróbli trzeba było, żeby przewrócić komodę, ale jego roztargniony i przeciążony umysł nie mógł sprostać temu zadaniu.

Ilu wróbli potrzeba do wkręcenia żarówki? – zapytał szaleńczo w myślach. Trzech do jej trzymania i trzech miliardów do obracania domu! Zajodłował szalonym śmiechem i wtedy wielka kula wisząca pośrodku salonu eksplodowała niczym bomba. Liz krzyknęła i skuliła się na moment, a Alan zdołał narzucić jej kobierzec na głowę. Sam też nałożył go na siebie. Nawet pod nim nie byli jednak sami; towarzyszyło im pół tuzina wróbli. Poczuł, jak pierzaste skrzydła trzepoczą przy jego policzku i jak coś boleśnie wbija mu się w lewą

skroń. Walnął się w głowę przez kobierzec. Wróbel stoczył się na jego ramię i spadł na podłogę.

Alan gwałtownie przyciągnął Liz do siebie i krzyknął jej do ucha:

– Teraz pójdziemy! Pójdziemy! Pod tym kobiercem! Jeżeli spróbujesz pobiec, zwałę cię z nóg! Skiń głową, jeżeli rozumiesz!

Próbowała się wyrwać. Afgan się naciągnął. Wróble lądowały na nim na chwilę, odbijały się jak od trampoliny i odfruwaly. Szeryf przyciągnął ją z powrotem i potrząsnął nią mocno.

– Skiń głową, jeżeli rozumiesz, do jasnej cholery!

Kiwnęła, a on poczuł, jak włosy Liz łaskoczą go w policzek.

Wypełzli spod kanapy. Obejmował ją mocno ramieniem w obawie, że rzuci się biegiem. Powoli zaczęli się posuwać naprzód wśród nieznośnych chmar krzyczących ptaków, od których roilo się w pokoju Wyglądali niczym zwierzę na wiejskim jarmarku – tańczący osioł z Hanią jako głową i Anią jako zadem.

Salon w domu Beaumontów był przestronny i miał wysoki katedralny sufit, teraz jednak wydawało się, że w środku nie ma czym oddychać. Poruszali się oboje w plastycznej, migrującej i kleistej masie ptaków.

Upadały z łoskotem meble. Ptaki odbijały się z głuchym stukiem od ścian, sufitów i sprzętów. Cały świat stał się dziwną, cuchnącą perkusją.

W końcu dotarli do schodów i słaniając się pod kobiercem, który był już pokryty grubą warstwą piór i ptasich odchodów, zaczęli się powoli po nich wspinać. W tym momencie w gabinecie na piętrze rozległ się huk wystrzału.

Alan znowu usłyszał wrzask bliźniąt.

6

Gdy Stark wycelował z pistoletu do Williama, Thad wymacał ręką na biurku przycisk do papieru, którym tamten wcześniej się bawił – ciężki kawałek szaroczarnego łupku, płaski z jednej strony. Tuż przedtem, zanim rosły blondyn strzelił, uderzył go przyciskiem w nadgarstek, łamiąc mu kość i ściągając lufę pistoletu w dół. W małym pokoju huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco. Kula wbiła się w podłogę tuż przy lewej stópce Williama, rozrzucając drzazgi na nogawkach jego błękitnych puszystych śpioszków. Bliźnięta zaczęły piszczeć, a gdy Thad starł się ze Starkiem, zobaczył, jak tulą się do siebie w geście spontanicznej wzajemnej obrony.

Niczym Jaś i Małgosia, pomyślał i wtedy Stark wbił mu w ramię ołówek.

Thad krzyknął z bólu i odepchnął Starka, który potknął się o ustawioną w kącie gabinetu maszynę do pisania i uderzył plecami o ścianę. Próbował przełożyć pistolet do prawej ręki...

I wtedy go upuścił.

Odgłos ptaków napierających na drzwi brzmiał teraz jak nieprzerwany grzmot... i zaczęły się powoli obracać na trzpieniu. Wróbel ze zmiażdżonym skrzydłem wcisnął się do środka i drżąc, upadł na podłogę.

Stark sięgnął do tylnej kieszeni... i wyjął z niej brzytwę.

Otworzył ostrze zębami. Jego oczy skrzyły się blaskiem szaleństwa nad stalowym ostrzem.

– Chcesz tego, stary? – zapytał i Thad spostrzegł, że twarz mordercy znowu pokrywa zgnilizna, ni z tego, ni z owego upodabniając ją do kruszącego się muru. – Naprawdę chcesz? No to masz.

Liz i Alan utknęli w połowie schodów. Natrafili na elastyczną, wiszącą w powietrzu ścianę ptaków i po prostu nie mogli się przez nią przebić. Powietrze wypełniał trzepot i szum fruujących wróbli. Liz krzyczała z wściekłości i przerażenia.

Ptaki nie zwróciły się przeciwko nim, nie zaatakowały; po prostu stanęły im na przeszkodzie. Wydawało się, że wszystkie wróble świata zostały zwabione tutaj, na pierwsze piętro domu Beaumontów w Castle Rock.

– Połóż się! – krzyknął do niej Alan. – Może uda się nam przeczołgać pod nimi.

Osunęli się na kolana. Z początku mogli się tak posuwać, choć nie było to przyjemne; uświadomili sobie, że czołgają się po chrzęszczącym i krwawiącym dywanie z wróbli, głębokim co najmniej na czterdzieści centymetrów. Potem znowu natrafili na tę ptasią ścianę. Spoglądając spod kobierca, Alan widział stłoczoną i zdezorientowaną masę, której nie dało się opisać. Wróble na podstopnicach były rozgniatane. Kolejne warstwy żywych ptaków – które niebawem miały zginąć – stały na nich. Wyżej – jakiś metr nad schodami – wróble poruszały się w czymś na kształt strefy samobójców, zderzając się ze sobą i spadając; niektóre podnosiły się i znowu wzbijały do lotu, inne miały się z połamanymi nogami lub skrzydłami w masie swoich poległych partnerów. Alan przypomniał sobie, że wróble nie potrafią zawisnąć w powietrzu.

Nad nimi, po drugiej stronie tej groteskowej żywej bariery, rozległ się krzyk mężczyzny.

Liz chwyciła Alana i przyciągnęła go do siebie.

– Co możemy zrobić?! – krzyknęła. – Co możemy zrobić, Alanie?

Nie odpowiedział, ponieważ odpowiedź brzmiała: nic. Nie mogli nic zrobić.

8

Stark ruszył na Thada z brzytwą w prawej dłoni. Beaumont cofnął się ku powoli obracającym się drzwiom gabinetu, nie spuszczając jej ostrza z oka. Porwał z biurka kolejny ołówek.

– To nic nie da, stary – rzekł Stark. – Nie teraz – dodał, po czym przeniósł wzrok na drzwi, które otworzyły się na tyle szeroko, by do gabinetu wlała się cała rzeka ptaków. i popłynęła na George’a Starka.

W jednej chwili na jego obliczu odmalowała się trwoga... i zrozumienie.

– Nie! – krzyknął i zaczął smagać je brzytwą Alexisa Machine’a. – Nie wróć! Nie możecie mnie zmusić!

Przeciął jednego wróbla równo na pół – ptak spadł na ziemię w dwóch trzepoczących skrzydłami kawałkach – i uzbrojoną ręką dalej młócił otaczające powietrze.

I Thad nagle zrozumiał,

(„Nie wróć”)

co się dzieje.

Przewodnicy dusz przybyli tutaj, żeby eskortować George’a Starka. Eskortować w drodze powrotnej do Endsville; w drodze do krainy umarłych.

Thad upuścił ołówek i cofnął się w stronę swoich dzieci. W powietrzu roiło się od wróbli. Drzwi do gabinetu były niemal całkowicie otwarte; rzeka ptaków zmieniła się w zalew.

Wróble usiadły na szerokich ramionach Starka, na rękach i głowie.

Najpierw dziesiątkami, a potem setkami rzuciły mu się na pierś. Wił się na wszystkie strony w chmurze opadających piór i błyskających w ruchu dziobów, próbując oddawać otrzymane ciosy.

Wróble zasłoniły brzytwę; okropny srebrzysty blask stalowego ostrza zniknął pod przyklejonymi do niego piórami.

Thad spojrział na swoje dzieci. William i Wendy przestały płakać. Patrzyły w wypełnione skrzydlatymi istotami, rozedrgane powietrze z identycznym wyrazem zdumienia i zachwytu. Uniosły rączki, jakby sprawdzały, czy pada deszcz. Ich maleńkie palce były rozczapierzone. Wróble stały na nich... i nie dziobały.

Nie oszczędzały za to Starka.

Krew tryskała z setek miejsc na jego twarzy. Jedno z jego niebieskich oczu się zamknęło. Jakiś wróbel usiadł na kołnierzyku koszuli Starka i zatopił dziób w dziurze, którą Thad zrobił ołówkiem w jego szyi – ptak dziobnął trzy razy, szybko, jak karabin maszynowy, zanim ręka Starka szukająca po omacku napastnika chwyciła go i zgmiotła niczym żywe origami.

Thad przykucnął przy bliźniętach i teraz ptaki obsiadły także jego. Nie dziobały go; po prostu siedziały na nim.

I obserwowały.

Stark zniknął. Stał się żywą miotającą się ptasią rzeźbą. Spod warstwy rozedrganych skrzydeł i piór sączyła się krew. Gdzieś z dołu do uszu Thada dobiegł ptasi pisk i odgłos rozłupywanego drewna.

Wdarły się do kuchni, pomyślał. Przypomniawszy sobie o rurach doprowadzających gaz do kuchenki, lecz ta myśl była mglista i nieistotna.

Teraz dotarł do niego odgłos rozszarpywania wciąż żywego ciała George'a Starka.

- One przyfrunęły po ciebie, George – usłyszał swój szept.
- Przyfrunęły po ciebie. Niech Bóg ci dopomoże.

9

Alan wyczuł, że znowu powstała nad nim wolna przestrzeń, i wyrztał przez romboidalne dziury w kobiercu. Na twarz skapnęło mu ptasie łajno. Starł je z policzka. Klatka schodowa wciąż była pełna wróbli, ale ich stado się przerzedziło. Większość tych, które nadal żyły, najwyraźniej dostała się tam, dokąd zmierzała.

– Chodź – powiedział do Liz i ponownie zaczęli się piąć po okropnym dywanie z martwych ptaków. Zdołali dotrzeć na podest pierwszego pietra, gdy rozległ się wrzask Thada:

– Zabierzcie go więc! Zabierzcie! Zabierzcie z powrotem do piekła, gdzie jest jego miejsce!!!

I wtedy furkot ptasich skrzydeł przeobraził się w huragan.

10

Stark podjął ostatnią, dramatyczną próbę wyrwania się z matni. Nie miał dokąd pójść, dokąd uciec, ale i tak spróbował. To było w jego stylu.

Słup ptaków, które go obsiadły, ruszył naprzód razem z nim: olbrzymie pękate ręce pokryte piórami, głowami i skrzydłami uniosły się, uderzyły w tors, znowu się uniosły i skrzyżowały na jego piersi. Ptaki, niektóre ranne, niektóre martwe, opadły na podłogę i przez jedną chwilę Thad ujrzał coś, co miało go prześladować przez resztę życia.

Wróble pożerały George'a Starka żywcem. Jego oczy zniknęły;

w ich miejscu zostały tylko ciemne oczodoły. Nos zmienił się w krwawiący strzęp skóry. Skóra na czole i większość włosów zostały zerwane, odsłaniając pokrytą śluzem powierzchnię czaszki. Kołnierzyk wciąż okalał jego szyję, ale po reszcie koszuli nie było śladu. Białe kawałki żeber sterczały spod skóry. Skrzydlate bestie otworzyły mu brzuch. Stado wróbli siedziało na stopach Starka i z wielką uwagą spoglądało w górę, tocząc bój o wypadające z jamy brzusznej poszarpane kawałki jelit.

Thad zobaczył coś jeszcze.

Wróble próbowały poderwać Starka. Próbowały... i wkrótce, po odpowiednim zmniejszeniu ciężaru jego ciała, miały dopiąć swego.

– Zabierzcie go więc! – krzyknął Beaumont. – Zabierzcie! Zabierzcie z powrotem do piekła, gdzie jest jego miejsce!!!

Wrzaski Starka umilkły, gdy krtań rozpadła się pod ciosami setek dziobów. Wróble skupiły się pod pachami konającego i na sekundę jego stopy oderwały się od zakrwawionego dywanu.

Stark opuścił ręce – a raczej to, co z nich zostało – gwałtownym ruchem, rozgniatając dziesiątki ptaków. lecz setki następnych zjawiły się, żeby je zastąpić.

Odgłos dziobania i rozłupywanego drewna dobiegający z miejsca na prawo od Thada nagle stał się silniejszy i bardziej głuchy. Beaumont spojrział w tę stronę i zobaczył, że wschodnia ściana jego gabinetu rozpada się jak bibułka. Przez chwilę widział, jak tysiąc żółtych dziobów naraz wdziera się do środka, wówczas chwycił bliźnięta i rzucił się na podłogę, wyginając grzbiet, aby je osłonić. Chyba jedyny raz w życiu poruszał się z prawdziwą gracją.

Ściana zwała się z łoskotem w kłębach drzazg i trocin. Thad zamknął oczy i przytulił do siebie dzieci.

Nic więcej już nie zobaczył.

11

Zobaczyli za to Alan Pangborn oraz Liz.

Gdy chmara ptaków nad ich głowami rozdzieliła się, zsunęli kobierzec na ramiona. Liz, potykając się, ruszyła przez sypialnię gościnną ku otwartym drzwiom do gabinetu, a szeryf podążył za nią.

Przez moment nic nie widział – wewnątrz gabinetu stanowiło zamgloną czarnobrunatną plamę. Potem dostrzegł jakiś kształt – potworny, pękaty kształt. To był Stark pokryty ptakami, pożerany żywcem, a mimo to nadal żywy.

Nadleciały kolejne ptaki i następne. Alan pomyślał, że ich potworny, przenikliwy pisk doprowadzi go do obłędu. I wtedy zrozumiał, co robią.

– Alanie! – krzyknęła Liz. – Alanie, one go podnoszą!

Coś, co kiedyś było George'em Starkiem, coś, co teraz tylko trochę przypominało człowieka, wzniosło się w powietrze na skrzydlatej poduszce. Przemieściło się na drugą stronę gabinetu, omal nie upadło, po czym uniosło się chwiejnie jeszcze raz i zbliżyło do wielkiej, poszarpanej na brzegach dziury w ścianie.

Do środka dostało się przez nią więcej ptaków; te, które pozostały w sypialni gościnniej, pospiesznie wleciały do gabinetu.

Kawałki ciała spadały z wijącego się szkieletu Starka niczym makabryczny grad.

Żywy trup wyleciał przez dziurę w ścianie razem z fruującymi wokół wróblami, które zrywały mu ostatnie włosy z czaszki.

Alan i Liz z trudem dostali się do gabinetu po dywanie z martwych ptaków. Thad podnosił się powoli z podłogi z płaczącymi bliźniętami

na rękach. Liz podbiegła i wzięła od niego dzieci, po czym obmacała je nerwowo w poszukiwaniu ewentualnych obrażeń.

– Chyba są całe i zdrowe – rzekł Thad.

Alan podszedł do zniszczonej ściany gabinetu. Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył scenę jak ze złej baśni. Niebo było ciemne od ptaków, a w jednym miejscu miało wręcz barwę hebanu, jakby w materii rzeczywistości wyrwano dziurę.

Ta czarna dziura miała wyraźny kształt szamoczącego się mężczyzny.

Ptaki unosiły ją coraz wyżej i wyżej. Gdy dotarły do wierzchołków drzew, wydawało się, że znieruchomiały. Szeryf miał wrażenie, że ze środka tej ptasiej chmury doleciał nieludzki piskliwy krzyk. Potem wróble ruszyły dalej. Obserwowanie ich przypominało w pewnym sensie oglądanie puszczanego do tyłu filmu. Czarne strumienie wróbli wylewały się ze wszystkich rozbitych okien domu; płynęły w górę z podjazdu, gałęzi drzew i zakrzywionego dachu volkswagena.

Wszystkie zmierzały ku tej ciemności w centrum nieba.

Człękokształtna łąta zaczęła się znowu przemieszczać... nad drzewami... w głąb mrocznego nieba... i tam zniknęła z pola widzenia.

Liz siedziała w kącie pokoju z bliźniętami na kolanach, kołysząc je i uspokajając – ale żadne z nich nie wydawało się szczególnie zdenerwowane. Patrzyły radośnie na jej mokrą od łez, wymizerowaną twarz. Wendy pogładziła ją po policzku, jakby chciała pocieszyć matkę. William sięgnął rączką, wyciągnął jej z włosów ptasie pióro i obejrzał je uważnie.

– Zniknął – rzekł ochryłym głosem Thad, który dołączył do stojącego przy dziurze w ścianie Alana.

– Tak – potwierdził szeryf i nagle wybuchnął płaczem. Nie spodziewał się tego; po prostu stało się.

Thad próbował go objąć, lecz Pangborn odsunął się i wtedy zalegające grubą warstwą martwe wróble zachręściły pod jego butami.

– Nie – powstrzymał Beaumonta – nic mi nie będzie.

Thad znowu patrzył w ciemność. Jakiś wróbel wyłonił się z niej i wylądował mu na ramieniu.

– Dziękuję ci – rzekł do niego Thad. – Dzień...

Wróbel dziobnął go nagle i brutalnie w twarz, kalecząc do krwi tuż pod okiem.

Po czym odfrunął, by dołączyć do swoich kolegów.

– Czemu? – zapytała Liz. Spoglądała na Thada z pełnym zgorznięcia zdumieniem. – Czemu on to zrobił?

Thad nie odpowiedział, ale chyba znał odpowiedź. Pomyślał, że Rawlie DeLesseps też by ją znał. To, co się właśnie stało, było dość magiczne... ale nie baśniowe. Być może tego ostatniego wróbla przywiodła tutaj jakaś siła, która uznała, że trzeba o tym Thadowi przypomnieć. Z całą mocą.

„Bądź ostrożny... Żaden człowiek nie ma władzy nad przedstawicielami zaświatów. Jeśli już, to krótko... i to zawsze kosztuje”.

Jaką cenę będę musiał zapłacić? – zastanawiał się beznamiętnie. Po czym zapytał w myślach: A rachunek... kiedy należy go uregulować?

Ale to nie było pytanie na teraz, na dzisiaj. No i chodziło o to, że – być może – rachunek został już uregulowany.

Być może wreszcie wyrównał rachunki.

– On nie żyje? – pytała niemal błagalnie Liz.

– Tak – odparł Thad. – Nie żyje. Do trzech razy sztuka. George Stark to zamknięta księga. Chodźcie... zwijajmy się stąd.

I tak właśnie zrobili.

EPILOG

Henry nie pocałował tego dnia Mary Lou, nie zostawił jej jednak bez słowa, co mógłby przecież uczynić. Zobaczył się z nią, zniósł jej kolejny wybuch i odczekał do momentu, gdy złość wybrzmiła i zastąpiło ją tak dobrze mu znane uporczywe milczenie. Już wcześniej zdał sobie sprawę, że większość tych smutków to jej smutki i nie należy ich z nią dzielić ani nawet rozmawiać o nich. Mary Lou zawsze najlepiej tańczyła sama.

W końcu przeszli przez pole i jeszcze raz spojrzeli na domek zabaw, gdzie Evelyn zmarła przed trzema laty. Nie było to najwłaściwsze pożegnanie, ale nic więcej nie mogli zrobić. Henry uważał, że było wystarczająco dobre.

Położył małe papierowe baleriny Evelyn w wysokiej trawie przy zrujnowanym ganku, wiedząc, że i tak niebawem porwie je wiatr. Po czym oboje z Mary Lou po raz ostatni opuścili stary dom. Nie było dobrze, ale mogło być gorzej. Znacznie gorzej. Henry nie wierzył w szczęśliwe zakończenia. I temu głównie zawdzięczał tę odrobinę spokoju, którego zaznał.

Thaddeus Beaumont, *Niespodziewany taniec*

Sny ludzi – ich prawdziwe sny w odróżnieniu od tych sennych urojeń, które pojawiają się lub nie, jak chcą – kończą się o różnych porach. Sen Thada Beaumonta o George’u Starku skończył się kwadrans po dziewiątej tego wieczoru, kiedy przewodnicy dusz ponieśli jego mroczną połowę tam, gdzie było wyznaczone jej miejsce. Skończył się wraz z czarnym toronadem, tą tarantulą, którą on i George zawsze przyjeżdżali do tego domu w jego powracającym koszmarze.

Liz stanęła z bliźniętami na szczycie podjazdu, gdzie łączył się on z Lake Lane. Thad i Alan stali przy czarnym samochodzie George’a Starka, który przestał być czarny. Teraz był szary od ptasich odchodów.

Szeryf nie chciał patrzeć na dom, ale nie mógł oderwać od niego oczu. Budynek zamienił się w całkowitą ruinę. Wschodnia strona – gdzie znajdował się gabinet – ucierpiała najbardziej, ale cały dom był zdewastowany. Wszędzie ziały olbrzymie dziury. Drewniana balustrada zwisała z tarasu od strony jeziora niczym składana drabina. Budynek okalały zwały martwych ptaków. Wróble uwięzły w zagłębieniach w dachu. Zapchały rynny. Księżyc wzeszedł i grad odłamków szkła mienił się jego odbitym srebrzystoszarym blaskiem. Iskierki identycznego czarodziejskiego światła skrywały się głęboko w szklistych oczach martwych wróbli.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

Alan skinął głową.

– Pytam, bo to oznacza niszczenie dowodów.

Alan wybuchnął chrapliwym śmiechem.

– Czy ktokolwiek uwierzyłby w to, czego dowód stanowi?

– Nie przypuszczam – odparł Thad, a po chwili wahania rzekł: – Był czas, gdy czułem, że trochę mnie lubisz. Nie mam już takiego wrażenia. Zupełnie. Nie rozumiem tego. Uważasz, że jestem za to wszystko... odpowiedzialny?

– Mam to w dupie – odparł Pangborn. – Skończyło się i tylko to mnie obchodzi, panie Beaumont. W tej chwili to jedyna na świecie rzecz, która się dla mnie liczy.

Dostrzegł na zmęczonej i udręczonej twarzy Thada wyraz bólu i spróbował wyjaśnić:

– Słuchaj, Thad. To mnie przerasta. Właśnie widziałem człowieka unoszonego w niebo przez stado wróbli. Więc daj mi święty spokój, dobrze?

Thad skinął głową.

– Rozumiem.

Mylisz się, pomyślał Alan. Nie rozumiesz, kim jesteś, i wątpię, byś kiedyś to zrozumiał. Twoja żona mogłaby zrozumieć... chociaż zastanawiam się, czy po tym, co się stało, między wami wszystko się ułoży, czy ona zechce zrozumieć i odważy się znowu cię pokochać. Twoje dzieci być może kiedyś... ale nie ty. Przy tobie czuję się tak, jakbym stał obok groty, z której wyszedł jakiś koszmarny stwór. Potwór zniknął, ale człowiek nadal nie chce być zbyt blisko miejsca, z którego wyszedł. Bo może się pojawić kolejny. Pewnie nie; twój umysł to wie, lecz twoje serce bije innym rytmem, prawda? O rany. A nawet jeśli ta grota pozostanie na zawsze pusta, są jeszcze sny. I wspomnienia. Jest na przykład Homer Gamache zatłuczony na

śmierć własną protezą. Z twojego powodu, Thad. Wszystko z twojego powodu.

Ten zarzut był niesprawiedliwy i Alan po trosze zdawał sobie z tego sprawę. Thad nie prosił o to, by mieć brata bliźniaka; nie unicestwił go w łonie matki ze złej woli („Nie mówimy o Kainie zabijającym Abła kamieniem” – powiedział doktor Pritchard); gdy zaczynał pisać jako George Stark, nie wiedział, jaki potwór na niego czyha.

Mimo to byli bliźniakami.

I Alan nie mógł zapomnieć, jak Stark i Thad się razem śmiali.

Ten szalony, obłąkańczy śmiech i wyraz ich oczu.

Zastanawiał się, czy Liz będzie w stanie zapomnieć.

Powiew lekkiej bryzy przyniósł paskudną woń gazolu.

– Spalmy to – powiedział nagle. – Spalmy to wszystko. Nie obchodzi mnie, kto i co później sobie pomyśli. Wiatru prawie nie ma; wozy strażackie dotrą tu, zanim ogień się rozprzestrzeni. Jeżeli pochłonie trochę lasu wokół domu, tym lepiej.

– Ja to zrobię – rzekł Thad. – Ty idź do Liz. Pomóż przy dzie...

– Zrobimy to razem – przerwał mu Alan. – Daj mi swoje skarpetki.

– Co?

– Słyszałeś... potrzebuję twoich skarpetek.

Szeryf otworzył drzwi toronada i zajrzał do środka. Zgadza się – normalna skrzynia biegów, tak jak myślał. Taki macho jak George Stark nie zadowoliliby się automatem; przekładnie tego typu pasowały do żonatych eskapistów w rodzaju Thada Beaumonta.

Nie zamykając drzwi, uniósł prawą stopę i zdjął but oraz skarpetkę. Przyjrząwszy się Pangbornowi, Thad zaczął robić to samo. Alan włożył but z powrotem i powtórzył całą operację z lewą stopą. Nie miał zamiaru nawet przez chwilę stąpać boso po tej masie martwych

ptaków.

Gdy skończył, związał bawełniane skarpetki, po czym wziął skarpetki od Thada i dowieział je do swoich. Przeszedł na tył samochodu – martwe wróble chrzęściły mu pod butami niczym papier gazetowy – i otworzył osłonę wlewu paliwa. Odkręcił korek i wetknął prowizoryczny lont do baku. Gdy go wyciągnął, skarpetki były przesiąknięte paliwem. Odwrócił lont, wtykając go suchym końcem do wlewu, a mokry zostawiając na obryzganym ptasim łajnem błotniku. Potem odwrócił się do Thada, który cały czas śledził jego ruchy. Pogrzebał w kieszeni bluzy munduru i wyciągnął z niej bloczek papierowych zapalek w rodzaju tych, które dają w kioskach razem z papierosami. Nie pamiętał, skąd je ma, ale na okładce widniała reklama kolekcji znaczków pocztowych.

Widoczny na niej znaczek przedstawiał jakiegoś ptaka.

– Podpal lont, gdy wóz zacznie się toczyć – rzekł Alan. – Dopiero w tym momencie, rozumiesz?

– Tak.

– Wjedzie tam z wielkim hukiem. Dom zajmie się ogniem. Potem zapalą się zbiorniki z gazolem z tyłu budynku. Gdy dotrą tu inspektorzy straży pożarnej, będzie wyglądało na to, że twój przyjaciel stracił panowanie nad samochodem, walnął w dom i wtedy auto eksplodowało. W każdym razie na to właśnie liczę.

– Dobra.

Alan z powrotem obszedł samochód.

– Co się tam dzieje?! – zawołała nerwowo Liz. – Dzieci zaczynają marznąć!

– Jeszcze tylko minuta! – krzyknął Thad w odpowiedzi.

Pangborn sięgnął do śmierdzącego wnętrza toronada i zwolnił

hamulec ręczny.

– Zaczekaj, aż zacznie się toczyć! – zawołał przez ramię.

– Dobrze.

Szeryf nacisnął stopą na pedał sprzęgła i wrzucił luz.

Toronado potoczyło się natychmiast.

Alan cofnął się i przez chwilę myślał, że Thad nie zdołał wykonać swojego zadania... i wtedy lont błysnął jasnym długim płomieniem.

Samochód pokonał powoli ostatnie pięć metrów podjazdu, podskoczył na niewielkim asfaltowym krawężniku i siłą bezwładu wtoczył się na małą werandę, po czym uderzył w boczną ścianę domu i znieruchomiał. W pomarańczowym świetle płonącego lontu Alan mógł odczytać wyraźnie widoczną naklejkę na zderzaku: GŁOŚNY SUKINSYN.

– Już nie – mruknął.

– Słucham?

– Nieważne. Cofnij się. Samochód zaraz wybuchnie.

Zrobili dziesięć kroków w tył i wtedy toronado zmieniło się w ognistą kulę. Płomienie wystrzeliły w górę podziobanej i rozłupanej wschodniej ściany domu, zmieniając dziurę w ścianie gabinetu w szeroko otwarte oko.

– No. Chodźmy do mojego radiowozu – rzekł Alan. – Skoro to zrobiliśmy, musimy wszcząć alarm. Po co wszyscy mają stracić swoje domy nad jeziorem?

Ale Thad ociągał się jeszcze chwilę i Alan został przy nim. Kryty cedrowym gontem dom miał ściany z suchego drewna i szybko zajął się ogniem. Płomienie wdarły się do dziury, w której znajdował się gabinet Thada, i na ich oczach kartki papieru zostały porwane podmuchem wywołanym przez pożar. W panującej jasności Alan

dostrzegł na nich zapisane odręcznie słowa. Kartki marszczyły się, zapalały i czerniały trawione ogniem. Frunęły do góry w ciemność nad płomieniami niczym wirująca eskadra ciemnopiórych ptaków.

Pangborn pomyślał, że gdy już znajdą się wyżej, porwą je zwyczajne wiatry. Porwą i poniosą daleko, może nawet na kraniec świata.

To dobrze, pomyślał i ze spuszczoną głową ruszył w górę podjazdu w stronę Liz i niemowląt.

Znajdujący się za nim Thad Beaumont powoli uniósł ręce i zakrył twarz.

I stał tak długo.

3 listopada 1987 – 16 marca 1989

POSŁOWIE

Imię i nazwisko Alexis Machine nie są moim oryginalnym pomysłem. Czytelnicy *Dead City* Shane'a Stevensa rozpoznają w nim nazwisko szefa bandy chuliganów z kart tej powieści. Tak idealnie pasowało ono do postaci George'a Staraka i stworzonego przezeń przestępcy, że użyłem go w książce, którą właśnie przeczytaliście... zrobiłem to jednak również w hołdzie Shane'owi Stevensowi, autorowi innych powieści, między innymi *Rat Pack*, *By Reason of Insanity* oraz *The Anvil Chorus*. Dzieła te, w których tak zwany zbrodniczy umysł i stan nieuleczalnej psychozy łączą się, tworząc zamknięty system doskonałego zła, to jedne z najwspanialszych powieści o mrocznych stronach amerykańskiego marzenia, jakie dotąd napisano. Są one na swój sposób równie frapujące, jak *McTeague* Franka Norrisa czy *Siostra Carrie* Theodore'a Dreisera. Polecam je gorąco... wyłącznie jednak czytelnikom o żelaznych nerwach.

S.K.



- ¹ Armed Services Records and Identification – archiwa i kartoteki osobowe armii USA.
- ² New York Police Department – Wydział Policji Nowego Jorku.
- ³ National Rifle Association of America – Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie Ameryki.